

Trzyma w napięciu aż do ostatniej kropki.
Cezary Łazarewicz

ZADRY



Dominik Rutkowski

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

*

Dominik Rutkowski

ZADRY


Świat Książki
wydawnictwo

Wydawca
Joanna Laprus-Mikulska

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Anna Landowska

Korekta
Jolanta Spodar
Mirosława Kostrzyńska

Copyright © by Dominik Rutkowski 2017
Copyright © for this edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2017

Świat Książki
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Laguna

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-996-7

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Wszyscy opisani na kartach tej powieści bohaterowie oraz wszelkie wydarzenia w niej przedstawione stanowią fikcję literacką i zrodziły się wyłącznie w wybujałej wyobraźni autora. Jeśli jednak ktoś dostrzeże tu jakiegokolwiek podobieństwo do autentycznych zdarzeń czy realnych postaci, zachęcam, aby głęboko się nad tym zastanowił.

Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany.
William Szekspir, *Romeo i Julia*

L atka już nie te, pomyślałem, stając przed sklepem; mimo to postanowiłem wspiąć się na szczyt schodów, tak jak dawniej, dwoma susami. Sześć cementowych stopni, raz i dwa. W ten sposób wbiegałem na górę zawsze przez półtora roku pobytu tutaj. Wtedy wychodziło to lekko, bez wysiłku, teraz postarzałe, niewyćwiczone mięśnie trzeba było zmusić do ciężkiej pracy. Poddały się z oporem. Nacisnąłem kławkę, drzwi otworzyły się, jak dawniej, z dobrze mi znanym skrzypieniem i brzękiem ośmiu kiepsko osadzonych szybek. Zatańczyła zawieszona na gwoździu tabliczka z napisem OTWARTE. Rozejrzałem się po wnętrzu: wystrój niewiele się zmienił, to samo poszarzałe, piszczące pod butami linoleum, odrapane półki, wytarty kontuar, przechodzona lada chłodnicza i ten sam wyblakły, wyświechtany kitel kręcącej się niemrawo pomiędzy półkami sklepowej. To, co odróżniało dzisiejszy GS od tego sprzed lat, to kolorowy asortyment zapełniający szczelnie regały, wysypujący się z nich, sam szukający klienta, który teraz jednak – inaczej niż w dobie kwitnącego PGR-u – obracał każdą złotówkę w garści trzy razy, nim, wykrzykując zamówienie, położył ją na ladzie. Jeszcze jedna nowość kłuła w oczy: dwumetrowa lodówka ze szklanymi drzwiami, wypełniona po brzegi stojącymi równo w rzędkach butelkami z piwem; BROK, przeczytałem z wysiłkiem na etykiecie, ponieważ wnętrza chłodziarki nie rozświetlała żadna żarówka. Przechyliłem się przez ladę i zobaczyłem wtyczkę szczerzącą dwa kły do oddalonego o kilkadziesiąt centymetrów gniazdka – tu sprawy wciąż pozostawały proste: piwo powinno mieć właściwą relację ceny do procentów, a nie temperatury; wypity w pośpiechu browar miał dawać kopa, nie narażając

szeroko otwartego gardła na zapalenia, anginy i inne niebezpieczne paskudztwa.

Moje skrzypiące wejście nie przykuło niczyjej uwagi. Nikt nie odwrócił głowy, nie spojrział w moją stronę. Klienci, zaabsorbowani swoimi sprawami, zakupy robili po cichutku, ukradkiem, tak jakby wstydzieli się, że tu zajrzeli. Właścicielka blond łepetyny, ze spiętymi w kucyk rzadkimi włoskami, próbowała sięgnąć wzrokiem ponad ladę, wspinając się na palce i wyciągając w stronę sklepowej brudną, zaciśniętą dłoń pełną drobniaków; mała główka z wysiłkiem kalkulowała, z którego kolorowego opakowania za trzymane w garści grosiki popłynie najwięcej słodkości. Czekający za nią, należący do niewysokiego bruneta umysł pracował szybko i metodycznie, błyskawicznie eliminując nieopłacalne opcje – wódkę, która trzepała błyskawicznie, ale za solidny woltaż oczekiwała równie solidnej zapłaty, piwo tyleż tanie, co ubogie w procenty, likiery, na myślenie o których nawet szkoda było czasu – do wyboru pozostawiając jedynie słodkie owocowe wina, umiarkowane w cenie, zakłete w okazałej butelce 0,7 litra i, co najważniejsze, przynajmniej trzy razy mocniejsze od piwa. Tak, wina owocowe były bezkonkurencyjne. Kiedyś mówili na nie alpagi. A dzisiaj? Nie miałem pojęcia. Podążyłem za skupionym wzrokiem konesera. Co za wybór! Jakie bogactwo etykiet! Dawniej można było kupić jedynie wino marki Wino albo patykiem pisane, teraz na półce pysznił się cały rząd kuszących intrygującymi nazwami flaszeczek: Mocne z napiętym bicipsem na etykiecie, różowo-fioletowa Arizona z gwiazdą szeryfa w tle, opcję polityczną reprezentowały wina Wybory z parafrazą klasyka: nie chcem, ale muszem pić i okraszona piorunami Zemsta Elektryka, z prawej w kąciku erotycznym półnagie krągłe damy wdzięczyły się na etykietach Pokusy i Wampa, a rozkraczonej dziewoi na winie Weź Mnie! w strategicznym miejscu pulsowała żółta, jaskrawa gwiazdka z zachęcającą liczbą: 17%. Smakosz

zdecydował się na coś z działu fauna i flora, stawiając na ladzie torbę w kolorowe pasy, i kładąc obok odliczoną gotówkę, poprosił o sześć byków. Szarżujące z etykiety zwierzę robiło – trzeba przyznać – spore wrażenie.

Obserwując z rozbawieniem tę scenę, przypomniałem sobie, jak kiedyś, w czasach PGR-u, funkcjonował tu system obrotu pieniądza, i przestało mi być już tak wesoło. Pracujący w Państwowym Gospodarstwie Rolnym robotnicy mieli pozornie za darmo wszystko: mieszkania, wodę, prąd, przedszkole i szkołę dla dzieci, posiłki w stołówce, lekarza, ubranie, transport, deputaty; chciałeś nowy telewizor czy pralkę, proszę bardzo, PGR – matka i ojciec w jednym – kupował ci i wręczał wszelkie dobra hojną ręką, wyraziłeś chęć wybrania się do kina w pobliskim miasteczku, nic prostszego, zaraz zbierano grupkę chętnych, podczepiano do traktora bonanzę i już jechała wycieczka liznąć odrobinę kultury. Na koniec miesiąca wydatki za to wszystko potrącano z wypłaty, ale kto by się tym przejmował; skoro miało się tu wszystko, czego od życia się oczekiwało, pieniądze nie były do niczego potrzebne, a w zasadzie – do jednego: te drobne grosze, które pozostawały z pensji, należało jak najszybciej przepić. Co do złotówki! Przez dwa dni po wypłacie cała wieś chodziła pijana, a później wszystko wracało do swojej spokojnej codziennej rutyny, aż do kolejnej pensji. Każdy był zadowolony – zakład, bo miał załogę pod pełną kontrolą, i robotnicy, bo o nic nie musieli się martwić, wszystkie troski codziennego życia brał na siebie PGR, trzeba było jedynie – bagatela – pracować, ale za to co miesiąc miało się dwa dni świąt. Kto czuł potrzebę napicia się częściej, mógł pędzić bimberk, spieniężyć jakieś otrzymywane od gospodarstwa dobro albo zwyczajnie coś z zakładu wynieść – bo przecież nie ukraść, wszystko w PGR-ze było nasze, wspólne – i sprzedać któremuś z okolicznych chłopów (a więc i oni na tym systemie korzystali). Pieniądz znaczył procent – nie w banku, tylko na sklepowej, GS-owskiej

półce. Innego zastosowania nie miał. Gorzko zastanawiałem się, czy ten sposób myślenia funkcjonuje również dziś, kiedy PGR-u już nie ma, kiedy za wszystko trzeba zapłacić, na wszystko zarobić, kiedy niczego – mówiąc banalnie – nie dostaje się już za darmo. W sumie dlaczego miałyby być inaczej? Przecież w pięć lat nie zmieni się kilkudziesięcioletnich przyzwyczajeń i sposobu myślenia.

W drodze do Wrześniowa, w samochodzie, zastanawiałem się, jak po tych latach przyjmą mnie miejscowi, czy będą mnie pamiętali, czy rozpoznają, czy ja rozpoznam ich, i jak wielu jeszcze z tych, którzy wówczas tam pracowali, mieszka we wsi do dziś. Dziewczynki od cukierków, w czasie kiedy ja tu mieszkałem, nie było jeszcze na świecie, koneser owocowych win miał teraz pewnie koło trzydziestki, może mniej, trudno to określić – alkohol jednocześnie i konserwuje, i niszczy, zaciera cechy charakterystyczne dla wieku – ale na pewno wtedy był jeszcze dzieckiem. Sklepową pamiętałem, była córką ówczesnych sprzedawców, młodą dziewczyną, teraz tęgą dorosłą kobietą z resztkami trwałej okalającej okrągłą jak melon twarz. Przyglądała mi się badawczo, nawet chyba poznała, ale ze wstydliwą, pozorną obojętnością udawała, że nie wie, kim jestem. Usiłowałem zachęcającym uśmiechem dać jej znać, że ja to ja. Nie zareagowała, więc nie brnąłem dalej, jeszcze przyjdzie na to czas.

– Dla pana? – zapytała rzeczowo.

– Chleb proszę.

– Stary będzie, świeży dowożą w poniedziałki i czwartki. Lepiej poczekać do jutra.

– Coś muszę przecież jeść. – Chciałem, żeby dowiedziała się, że przyjechałem na dłużej.

– Pan wozem. Może se pojechać do Trójczyna, tam rzucają codziennie.

– Nie, wezmę ten, chyba że jest spleśniały.

– Też coś! Pewnie, że nie – prychnęła, odwracając się przodem do regału. – Smarowanie dać? – rzuciła przez ramię.

– Pani da. I jeszcze kilka pomidorów, kawałek tej kielbasy i cztery piwa.

Ołówkiem, na papierze, w który zawinięta była kielbasa, podliczyła słupki.

– Sto osiemdziesiąt dwa tysiące dwieście – podsumowała.

Drogo.

– Aha, i jeszcze czerwone marlboro – przypomniałem sobie.

– Nie ma.

– To camele.

– No coś pan? Takich tu się nie sprzedaje.

– A jakie?

– O, tu widać. – Pokazała zniecierpliwiona na półkę. – Może jechać do Trójczyna, jeśli...

– Dobrze, mocne poproszę.

Szybko wydała mi resztę. Pakowałem zakupy do siatki, kiedy skrzypnęły drzwi. Weszła wysoka, sucha kobiecina w okularach. Stała przy ladzie, ociągając się z zamówieniem, moja obecność wyraźnie ją krępowała. Nie spieszyłem się, pamiętałem ją, ale nie mogłem przypomnieć sobie jej imienia.

– Co dla ciebie? – Sklepową zniecierpliwiała się.

– Maryśka, dasz na zeszyt? – zaskomlała ściszym głosem.

– Opieka jeszcze nie oddała za zeszyt miesiąc.

– Ale zaraz odda. Co ci zależy? Na bloki nie mogę pójść, bo Piątkowa już od dawna na zeszyt nie daje.

– A co mnie to? Idź na żołędzie, jak inni!

– Maryśka, jutro pójdę, dzieciaki zabiorę, ale skup przyjeżdża dopiero pojutrze. Nie bądź taka. Opieka pewnie jutro zapłaci, będziesz...

Nie dałem rady dłużej tego słuchać, i tak przecież się dowiem, pomyślałem, jak się nazywa. Wyszedłem. Koło samochodu kręciło się kilkoro dzieciaków, które kiedy tylko mnie zobaczyły,

rozbiegły się bezszelestnie na wszystkie strony jak żerujące na kuchennym blacie karaluchy spłoszone zapalonym znieścawiałem. Po chwili zobaczyłem ich główki z zaciekawionymi, świdrującymi oczami, wychylające się z za drzew, płotów, wysokiej, zwiędłej, pożółkłej trawy. Były jak zdziczałe koty: wścibskie, ale nieufne, podchodzące nie bliżej niż na wyciągnięcie ręki, gotowe w każdej chwili do skoku w tył, od obcego dorosłego, choć je intrygował, niespodziewające się niczego dobrego. Zupełnie inaczej niż kiedyś, gdy do każdego przyjezdnego wybiegały naprzeciw, gotowe przyjąć wyciągnięte w ich stronę cukierki czy pozwolić się pogłaskać po głowach. Jedyny zysk – bo byłem pewien, że ich wzrok będzie mnie śledził, dokądkolwiek podjadę na miejsce – że pobiegną do domów i poinformują rodziców o przyjeździe do wsi obcego mężczyzny, który nikogo nie pyta o drogę i doskonale orientuje się w topografii ich osady. Wyśmienicie, kombinowałem, niech się zainteresują, niech zaczną plotkować. Będzie mi łatwiej.

Kiedy otwierałem drzwi renówki, doleciał do mnie z za pleców metaliczny jęk. Odwróciłem się gwałtownie. Po wysypanej żużlem, pełnej wybojów drodze, na której stałem, jechał wehikuł; najbliżej mu było... hmm, chyba do roweru – miał pedały, dwa scentrowane, chwiejące się na wszystkie strony koła różnej wielkości i coś w rodzaju kierownicy, rama sklecona była z powyginanych w dziwaczny sposób rurek różnych kształtów, kolorów i rozmiarów, przypominało to bardziej jakąś instalację z Centrum Sztuki Współczesnej niż dopuszczony do ruchu pojazd. Przy każdym obrocie tarczy łańcuch „przepuszczał”, co zdawało się nie zrażać kolarza miarowo kołyszącego zawieszonym w powietrzu tyłkiem (rowerowi brakowało siodełka) wystrojonym w świecące od tłuszczu, nieprane chyba od nowości džinsy. Minął mnie, taksując ciemnymi oczami i mamrocząc coś obleczonymi rzadkim wąsikami ustami. Jego opuchnięta od alkoholu twarz wyglądała znajomo, a przecież nie

mogłem go pamiętać, był za młody. Czyżby syn Czyżyka? Podobieństwo było uderzające. Ileż on miał dzieci? Całą czeredę. Rodziło się to rok po roku i biegało zasmarkane po wsi. Teraz jedno właśnie mnie minęło, oczywiście nie poznając. A reszta? A sam Czyżyk? Nie był tu najważniejszy, ale pewnie dużo wiedział i chętnie by ze mną porozmawiał. Skoro jego dzieci (a przynajmniej jedno z nich) wciąż tu mieszkają, to może i on sam też został. Jeśli tylko jeszcze żyje.

Powoli zaczynało do mnie docierać – a przecież we wsi byłem zaledwie od kilkunastu minut – że na wiele rzeczy nie jestem przygotowany. Oczekiwałem, że zastanę wieś o kilkanaście lat starszą, że ludzie będą wyglądać inaczej, że budynki, mimo sędziwego wieku, pokryją się jeszcze grubszą patyną, drzewa urosną, część lasów zostanie wycięta, zdawałem sobie sprawę, że i ja zmienię się przez ten czas, jednak nie spodziewałem się, że wszystko dookoła będzie tak obce, że w mijanych ludziach nie będę odkrywał znajomych rysów, a jeśli już tak się stanie, będzie to wynikało raczej ze sztafety genów niż spotkania kogoś, z kim mógłbym zagłębić się we wspomnienia, w sprawy, dla których tu przyjechałem. A jeśli nawet spotkam kogoś znajomego, to czy będzie chciał ze mną rozmawiać? Wracać do tamtych wydarzeń? To nie było wcale takie pewne. Zanim tu ruszyłem, kombinowałem, że skoro mnie cała ta sprawa po tylu latach wciąż nie daje spokoju, to pewnie i w nich gdzieś siedzi, będą chcieli zrzucić ten ciężar, przecież nikomu nic już nie grozi. Teraz pojawiła się wątpliwość – oni prawdopodobnie, a nawet na pewno, ułożyli swoje życia na nowo, wytłumaczyli sobie wszystko, nauczyli się funkcjonować z tym, co się kiedyś wydarzyło. Grzebanie się w przeszłości nikomu z nich nie wyjdzie na zdrowie. Czy mam więc prawo łądować się w tę ich małą stabilizację? I czy mi na to w ogóle pozwolą? Z drugiej strony, takie dylematy przerabiałem przez te wszystkie lata wiele razy. Skoro już zdecydowałem się przyjechać, należy

przynajmniej spróbować. Porozmawiać, wyciągnąć jak najwięcej i dowiedzieć się wreszcie, albo przynajmniej wywnioskować, dlaczego to wszystko się stało i jak w ogóle mogło do tego dojść. Mam czas, tłumaczyłem sobie, przecież to dopiero pierwsze wrażenie, nie najlepsze wprawdzie, ale powzięte zaledwie po kilkunastu minutach. Jutro może być zupełnie inaczej.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Wyładowana po brzegi renówka ruszyła z wysiłkiem, powoli, skręcając w prawo w wybrukowaną jeszcze za Niemca polnymi kamieniami dróżkę, niemal trąc dociśniętym do ziemi przez górę wiezionych przeze mnie gratów podwoziem o nierówną, zaniedbaną od kilkudziesięciu lat, dziurawą i zakurzoną nawierzchnię. Trzy dwupiętrowe bloki z nieotynkowanej szarej płyty umoszczone na niewielkim pagórku z lewej straszły jak dawniej, rzucając w zachodzącym słońcu długie cienie na brukowaną dróżkę. Na prawo od niej, aż po przecinającą wieś asfaltową szosę, po której kursował PKS, ciągnęły się działki zabudowane przedwojennymi domami bliźniakami z mocno palonej, ciemnej pruskiej cegły – dwurodzinne getta, obleczone byle jakimi płotami z siatki, świadectwo tego, że i kiedyś, przed wojną, nie mieszkali tutaj pracujący na swoim chłopci, a jedynie robotnicy rolni obsługujący junkierski folwark. Dostawali od jaśnie pana pół takiego domu, z wszelkimi wygodami i podwórkiem wspólnym z sąsiednią rodziną, zajmującą drugą połowę budowli. Jak kiedyś udało mi się ustalić, część wypłaty – jeszcze przed pierwszą wojną światową – otrzymywali w lokalnej monecie, bitej w kuźni przez właściciela majątku, którą mogli płacić jedynie w miejscowym sklepie. Naczynia połączone. System niemal zamknięty. Potem, w Rzeszy, junkier nie posiadał już prawa do bicia własnej monety, ale sklepik wciąż należał do niego. Po wojnie w tych relacjach niewiele się zmieniło. Może poza panem, którym teraz było Ludowe Państwo. To ono zostało od tej chwili właścicielem budynków, folwarku nazywanego odtąd PGR-em, sklepu, a nawet

kościół na wzgórzu, biło monetę i nią płaciło, dawało pracę i ją odbierało. W jednym tylko nowy pan diametralnie różnił się od starego: w żaden sposób nie umiał zadbać o swoje, a pracujący w gospodarstwie robotnicy potrafili z tej ułomności korzystać pełnymi garściami.

Delikatnym łukiem skręciłem w lewo, przejechałem kilkanaście metrów i zatrzymałem się przed zdezelowaną, niewysoką ażurową bramą. Zgasilem silnik i podszedłem do metalowego ogrodzenia. Prawe skrzydło, wyrwane z górnego zawiasu, opierało się ciężko narożnikiem o bruk, lewe przywiązane było do niego okręconym kilka razy wokół żerdzi łańcuchem zakończonym kłódką, która niczego nie spinała. Odwiązałem łańcuch; skrzydło bramy uchyliło się, nie wydając żadnego dźwięku, bezszelestnie, powoli, jakby czyniąc zapraszający gest. Już chciałem zawrócić do samochodu, kiedy mój wzrok padł na wysoki słup, na szczycie którego podziurawiona kamieniami tekturowa tablica głosiła krótko:

TEREN PRYWATNY

Zawahałem się. Teren prywatny – po raz pierwszy od wieków było tu coś prywatnego. Oczywiście i wcześniej przez setki lat, aż do wojny, wszystko dookoła było prywatną własnością: zabudowania, pola, lasy, zwierzęta, jezioro, ludzka praca, a pewnie nawet i marzenia, wszystko to należało do jednego właściciela, jednej rodziny i było niepodzielne, nigdzie nie stawiano płotów, bram, zapór, każdy z mieszkańców wiedział, dokąd wolno mu podejść, a gdzie zaczyna się strefa zakazana. Potem za komuny wiadomo jak było, a teraz nagle ktoś wykroił kawałek terenu i nazwał go prywatnym, i zagroził. Tego na pewno nikt we wsi nie potrafił zrozumieć. Bo niby skąd miał znać to pojęcie? Prywatny! Prywatna własność. To dla

popegeerowców musiało brzmieć jak chińszczyzna. Słowo obce. Rozumieli, co znaczy *moje*, ale *czyjeś*, *prywatne*? To zdecydowanie przekraczało ich pojmowanie, rozstrzelana tablica świadczyła o tym dobitnie.

Czy gdybym stąd nie wyjechał, po tym wszystkim, co się stało, dalej potrafił tu żyć i pracować, myślałbym podobnie? Ze smutkiem stwierdziłem, że pewnie tak, bo przecież owa przypadłość nie drążyła jedynie zatrudnionych w PGR-ze robotników, to samo dotyczyło pracowników biurowych – księgowych, kadrowych, całej administracji, kierowników, a nawet dyrektorów. Zwłaszcza dyrektorów. Na szczęście... na szczęście? Chyba tak – chyba na szczęście, po latach spędzonych daleko stąd, w mieście, i teraz sześć lat po zmianie systemu, zarażony Wolną Polską, potrafiłem docenić i uszanować, co to znaczy prywatne, dlatego – mimo że miałem zaproszenie – zostawiłem samochód za bramą i biorąc do ręki siatkę z piwem, ruszyłem w dół, w stronę jeziora, piechotą.

Uderzająca cisza. Do uszu dolatywały jedynie dźwięki natury. Wielki kontrast z tym, jak zapamiętałem to miejsce, kiedy obora, owczarnia i stajnie były pełne zwierząt, między zabudowaniami kręcili się ludzie, w warsztatach naprawiano sprzęt, który, jeśli się nie zepsuł po całodziennej pracy w polu, najpierw myto pod hydrantem, a następnie parkowano na podwórzu, ciasno, traktor przy traktorze, kombajn przy kombajnie. Pracownicy biurowi zapisywali w opasłych kartotekach, w odpowiednich rubrykach, dzienne udoje, wypełniali dzienniki pracy, notowali zużycie paliwa i oleju, nawozów, zamawiali części zamienne i obliczali, ile komu zostało z wypłaty. Kuchnia gotowała i wydawała obiady dla całej załogi. Zewsząd dolatywały śmiechy, wybuchały kłótnie, głośno pracowały maszyny... Dzisiaj plac porastały wysokie po pas chwasty, a wiekowe, ustawione w podkowie zabudowania z pruskiej cegły ziały pustką; po owczarni pozostał jedynie przezierający w szparach pomiędzy zielskiem, bielony wapnem

kamienny fundament; boczne skrzydła czteropiętrowego spichlerza, nad którego wejściem zachowała się data 1874, zniknęły bez śladu. Solidne z pozoru budynki zaczęły nadgryzać ząb czasu, w wielu miejscach pojawiały się spękania, tu i ówdzie smętnie zwisały oberwane rynny, przez dziury w spadzistych dachach, pokrytych resztkami dachówki lub eternitem, widać było nadgniłe obelkowania. Pięć lat wystarczyło, żeby zamienić folwark w ruinę. A może proces rozkładu rozpoczął się już wcześniej, w schyłkowym PGR-ze? Przecież i za moich czasów nic nie funkcjonowało tu prawidłowo: każdy doił gospodarstwo, jak tylko mógł, ekonomii nie było w tym żadnej i gdyby nie strumień pieniędzy z państwowej kasy, upadłoby w pięć minut, ale trwało, bo taka była wola polityczna; a kiedy jej zabrakło... Ruina.

O czasach dawnej świetności przypominały już tylko nieco poblakłe różnokolorowe tabliczki przytwierdzone przy wejściu, na murze obory. Jak dawniej, można było się z nich dowiedzieć, że:

DO PRACY NALEŻY PRZYCHODZIĆ ZAWSZE
TRZEŻWYM I WYPOCZĘTYM

a

PIJAŃSTWO JEST PRZYCZYNĄ WIELU WYPADKÓW
PRZY PRACY

dalej groźne memento przestrzegało:

PAMIĘTAJ, ŻE URODZIŁEŚ SIĘ BEZ CZĘŚCI
ZAPASOWYCH

Hasła uzupełniały pouczające rysunekczki przedstawiające pijanych facetów z pourywanymi kończynami i fantazyjne kolorowe wybuchy. To nie był jeszcze moment, gdy narodziła się moda na nostalgię za peerelowskimi gadżetami, dlatego tabliczki spokojnie wisiały sobie w miejscach, w których zostały przytwierdzone drżącą z przepicia robotniczą ręką na polecenie skacowanego kierownika. Czemu miało to służyć, trudno powiedzieć. Czy kogokolwiek odstraszało od picia w pracy, na pewno nie, ale przychodził nakaz z góry, tabliczki ostrzegawcze miały zawisnąć w widocznym miejscu, więc je wieszano, bez refleksji, ot tak, po prostu, bo przecież w tym czasie cały kraj był upstrzony plakatami, transparentami z hasłami propagandowymi czy muralami, których znaczeniem nikt sobie nawet głowy nie zawracał. Podobnie było z naszymi tabliczkami: jedni śmiali się z nich pod nosem, inni machali lekceważąc rękami, jeszcze inni w ogóle nie zwracali na nie uwagi, najważniejsze było to, że amunicja na froncie walki ze spożywaniem alkoholu na terenie zakładu pracy została wystrzelana, a że Panu Bogu w okno, tym już nikt się nie przejmował. W razie wypadku dyrektor, kierownik czy brygadzysta mogli filozoficznie stwierdzić: A nie mówiłem? Wisi tabliczka, pisze wyraźnie, trzeba było stosować się do zaleceń. I dalej już karcącym tonem dodać: Nie po to, wiecie, dyrekcja wiesza ostrzeżenia, żebyście wy sobie je lekce, prawda, wazyli. Nie czytaliście, to teraz was, towarzyszu, pokarało. Na przyszłość będziecie rozsądniejsi. A i stanowicie doskonały, odstraszający, widoczny, można powiedzieć, przykład dla reszty załogi. Bez palców, ręki, a nawet ucha, na pewno.

Dźwięk brzęczących w siatce butelek z piwem niósł się po pustym podwórzu, odbijał od murów budynków gospodarczych, okalającej je zielonej ściany lasu i miękko spływał w dół, ku spokojnej tafli jeziora. Przykuł też jego uwagę. Siedział na schodkach prowadzących do czworaków i spokojnie palił

papierosa. Oddalona sylwetka wydawała się drobna i szalenie samotna na tle murów gigantycznego zrujnowanego pałacu. Wszystko tu było ogromne: rozłożysty kilkusetletni dąb stojący nad brzegiem jeziora, porośły starymi bukami park, szczątki okrągłej fontanny i wreszcie neogotycki czterokondygnacyjny pałac z kikutem zniszczonej wieży, wyrastającej kilkanaście metrów ponad wierzchołki drzew.

Obserwował mnie przymrużonymi oczami. Przez telefon nie potrafiłem określić jego wieku. Teraz widziałem, że nie ma jeszcze trzydziestki, tak jak ja, kiedy tu mieszkałem. Wyciągnąłem rękę:

– Roman Bohdal, dzwoniłem do pana, byliśmy umówieni.

Nie poruszył się, wbił we mnie wzrok i milczał. Poczułem się nieswojo z tą wyciągniętą w jego kierunku ręką. Zamachałem ramionami w stronę wjazdu.

– Samochód zostawiłem za bramą. Teren prywatny – dodałem głupio.

Spojrzał we wskazanym kierunku i nagle, jakby budząc się z zamyślenia, powiedział szybko:

– Trzeba było wjeżdżać. Tu nikt się tą tabliczką nie przejmuje, ładują się jak do siebie. Mam zabawę co dzień, licząc w niej dziury po kamieniach. I wie pan? Zawsze jest tylko jedna nowa, jak w kalendarzu.

Uniósł się nieznacznie, odstawiając kubek, który trzymał w ręku, i wyciągnął w moją stronę dłoń: – Oskar Bukowski.

– Przyniosłem piwo. – Potrząsnąłem siatką.

Bez słowa ponownie wyciągnął w moją stronę rękę. Podąłem mu butelkę.

– Ma pan zapalniczkę? – spytał.

– Nie – pokręciłem przecząco głową – odpalam od samochodowej.

– Błąd. Jak wieczorem zostaniesz pan sam, to od samochodowej fajka jeszcze odpalisz, ale już w piecu rozpalic czy

ognisko nie będzie tak prosto. A jak prąd wyłączą, to ze świecą też łatwo nie pójdzie. Ogień bezwzględnie trzeba mieć przy sobie. Poza tym zapalniczka na tym zadupiu ma wiele zastosowań – tłumaczył, sięgając do kieszeni. – Można nią na przykład otworzyć piwo. Ooo...

Podłożył zapalniczkę pod kapsel i opierając na palcu wskazującym lewej ręki, utworzył dźwignię. Nacisnął – kapsel odskoczył z głośnym sykiem. Pociągnął długi łyk piwa i wyciągnął w moją stronę paczkę marlboro. Sięgnąłem po papierosa.

– Przepraszam, w GS-ie mieli tylko mocne.

– Tak, tu w ogóle niewiele mają. I ceny wyższe niż gdziekolwiek w okolicy. Żerują na tym, że ludzie nie mają czym wybrać się gdzie indziej na zakupy. PKS jeździ tylko dwa razy na dzień. Pomyśl pan, co za towarzystwo, próbować bogacić się na takiej biedzie.

– To może ktoś powinien otworzyć drugi sklep?

– Jest jeszcze jeden, jak to tutaj mówią, na blokach, w mieszkaniu. Tylko tam ludzie rzadziej chodzą, bo pobrali towaru na zeszyt i nie pooddawali.

– A w GS-ie nie biorą na zeszyt? Sam widziałem.

– Pewnie, że biorą, ale sklepowy dogadał się w gminie, ma tam jakieś chody i opieka zasiłki jemu przekazuje, a on wypłaca ludziom dopiero po potrąceniu tego, co mu są winni. Wszyscy się na to godzą.

Paliliśmy chwilę w milczeniu.

– W którym pan mieszkał? – Wskazał za siebie na drzwi czworaków.

Budynek postawiony był na kamiennym fundamencie przedwojennego rozległego domu ekonoma, jak sama nazwa wskazuje, mieścił cztery mieszkania, dla czterech rodzin. Teraz wydawał się pusty.

– W tym od jeziora.

– Teraz ja w nim mieszkam. – Wstał, przeciągając się. – Dobra, zatrzyma się pan u mnie, tu – ponownie machnął dłonią za siebie – przy kuchni. Nie będzie się pan tłukł po hotelach. Na długo?

– Dziękuję, wie pan... trudno powiedzieć... to zależy od wielu czynników... Ale jest pan pewien?

– Daj pan spokój, nie ma o czym gadać. – Podniósł się. – Tak tylko pytam, mnie to w zasadzie wszystko jedno, przynajmniej będę miał z kim normalnie porozmawiać. Teraz idź pan po samochód, a ja rozpalę ognisko.

*

Rozmowę przecinaliśmy coraz dłuższymi pauzami. Ogarniała mnie senność. Wiele godzin spędzonych w podróży, wypite piwo, trzaskający, hipnotyzujący ogień pochłaniający kolejne dorzucane szczapy, otaczająca nas głucha ciemność, wszystko to sprawiało, że powieki zaczęły ciążyć mi coraz mocniej, głowa opadała na pierś. Rozmowa, która z początku kręciła się wokół komentowania bieżących czynności – sposobu rozpalania ogniska, walorów grzewczych różnych rodzajów drzewa, metod nabijania kielbasy na kij, radzenia sobie ze spadającą temperaturą – powoli podryfowała w stronę osobistych zwierzeń Oskara, co na tym etapie znajomości bardzo mi odpowiadało. Gospodarz, jak na razie, nie interesował się głębiej powodami mojego przyjazdu, wystarczyła mu informacja, że próbuję wyjaśnić coś, co wydarzyło się tu przed laty, a ponieważ nie rozwijałem tematu, on nie zadawał dalszych pytań i, podłany kilkoma piwami, zaczął opowiadać mi swoją historię. Uznałem, że tak będzie najlepiej dla mnie, że w ten sposób uda mi się wyciągnąć nieco wiadomości na temat stosunków panujących dziś pomiędzy mieszkańcami wsi, a słuchając zwierzeń, łatwiej też zdobędę zaufanie Oskara.

Pił łąpczywie, tak jakby brakowało mu czasu, jakby obawiał się, że nie zdąży wysączyć całego piwa, jakie miał zamiar tego dnia wypić, a każdemu wlewanemu do gardła łykowi alkoholu towarzyszył kolejny fragment opowieści. Mówił, zawieszając wzrok gdzieś nad ogniem, a słowa płynęły w ciemność. Opowiadał o dzieciństwie spędzonym na warszawskim Mokotowie, o rodzicach prawnikach, którzy nie wyobrażali sobie dla jedynaka innej kariery niż kontynuowanie rodzinnych tradycji w palestrze, o domu, gdzie na wieszakach w szafie wisiały dostojne togi, a po pokojach w powietrzu żeglowały paragrafy, których ciężką, duszącą go niczym papierosowy dym atmosferą nasiąkał od małego, o studiach prawniczych, których serdecznie nie trawił, a które siłą rozpędu skończył, i to skończył z wynikiem bardzo dobrym. Mówił o wakacjach spędzanych co roku z rodzicami na Pomorzu Zachodnim, wśród gęstych lasów, jakich na pokrytym piaskiem Mazowszu, usianym rachitycznymi sosnami, nie spotykał, nad ukrytymi w tej zielonej gęstwinie jeziorami i na szerokich nadbałtyckich plażach, i o rodzącej się z roku na rok, coraz silniejszej, palącej potrzebie wyrwania się z miasta, przeżycia wśród przyrody klimatu umiarkowanego czterech pór roku. I o tym, jak mimo krzyczącej w nim chęci ucieczki pokornie po obronie pracy magisterskiej, której tematem była, a jakże, historia rodzimej adwokatury, ze zwieszoną głową złożył papiery na aplikację i zaczął przygotowywać się do egzaminu adwokackiego. I wtedy, kiedy już widział się ślęczącego na kolejnych nudnych wykładach, nad paragrafami i uzusami, które nic a nic go nie interesowały, wśród koleżanek i kolegów, przekonanych, że chwycili Pana Boga za nogi, wydarzył się cud. Cud, za który może nie dziękował niebiosom, bo babcię kochał szczerze, tak jak i staruszka, emerytowana sędzina, legenda warszawskiej jurysdykcji kochała jego, swojego jedyne go wnuka, ale z którego skorzystał skwapliwie. Testament ustanawiał go jedynym spadkobiercą

pozostawionego przez babkę majątku – okazałego, pozwalającego zacząć nowe życie, niezależne od wymagań i oczekiwań apodyktycznych rodziców prawników. Spieniężył co tylko się dało, znalazł chętnego na wynajęcie odziedziczonego mieszkania i z nadzieją zaczął spoglądać w kierunku wsi.

Podjął decyzję i nieczuły na hiobowe wizje roztaczane przez matkę i ojca konsekwentnie się jej trzymał. Wybór padł na Pomorze. W poszukiwaniach pomógł mieszkający w Koszalinie kuzyn, towarzysz wpierw dziecięcych, później młodzieńczych wakacyjnych zabaw. Po krótkim rekonesansie zadzwonił do Oskara z informacją, że jest szansa na przejęcie niewielkiego jak na pomorską skalę, upadłego przed rokiem, rozkradanego i niszczonego PGR-u. Chętnych, ewentualnie poza nim, do wzięcia udziału w przetargu nie było. W terenowym oddziale Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa w pobliskim Miasteczku wpłacił wadium i jako jedyny oferent po wygranej bez walki, komicznej licytacji wszedł w posiadanie tego, co pozostało po upadłym PGR-ze. Co się dało, kupił, resztę (głównie ziemię) przyjął w wieloletnią dzierżawę, czynsz roczny ustalając jako równowartość ceny określonej liczby kwintali pszenicy. Teraz, siedząc na schodkach przed wejściem do zżeranych przez grzyb czworaków, oddychał pełną piersią, a wszystko, co ogarniał wzrokiem, należało do niego.

– Trzeba było kupować aż cały PGR, żeby zamieszkać na wsi? – dziwiłem się, przerywając mu opowieść.

– Wie pan – zaciągnął się końcówką papierosa i strzelił niedopałkiem w ogień – żeby mieszkać na wsi, trzeba mieć jakiś do tego powód. A jaki może być bardziej naturalny niż uprawianie ziemi?

– Ale żeby od razu brać setki hektarów popegeerowskiej ziemi?

– Były tego dwa powody: po pierwsze, ja się na orce nie znałem, więc potrzebowałem ludzi, którzy będą za mnie w ziemi

grzebać. Na małym areale nie byłoby mnie na to stać. A po drugie, i to chyba ważniejsze, liczyła się odległość. Gdybym przeprowadził się gdzieś bliżej Warszawy, to w chwili słabości, a takich jest tu mnóstwo, mógłbym się w jeden wieczór spakować i wrócić. A przy czterystu kilometrach drogi nad takim kaprysem trzeba dłużej się zastanowić. Rozważyć. Dlatego chciałem, żeby ta moja wieś była właśnie tutaj, na Pomorzu, w odpowiedniej odległości od Warszawy. A tu można było mieć ten cały PGR, z pałacem, parkiem, zabudowaniami i ziemią za grosze.

– Mimo wszystko dziwię się panu.

– Teraz – ziewnął szeroko – kiedy poznałem już wszystkie niuanse, kiedy zderzyłem się z pegeerowską rzeczywistością, kiedy na co dzień borykam się z tą mentalnością, też się sobie dziwię.

Wieś przyjęła go z rezerwą, czego mógł się właściwie spodziewać, ale czym – przekonany, że dając pracę kilkorgu z jej mieszkańców, zyska akceptację całej społeczności – z początku specjalnie się nie przejął. Tłumaczył sobie, że był przecież obcy, a to mogło wzbudzać niechęć. Tymczasem szybko ze zdumieniem zorientował się, że powodem, dla którego wieś na dzień dobry patrzyła na niego krzywo, nie była jego obcość; w końcu do PGR-u stale ktoś przyjeżdżał i w kółko ktoś stąd odjeżdżał, czego sam byłem przykładem. Tym, co trzymało mieszkańców Wrześniowa na dystans do Oskara, było jego przywiązanie do własności, to, że uważał za swoje coś, co jeszcze do niedawna należało do wszystkich i do nikogo jednocześnie; na ponadstuletnie buki porastające park nie patrzył jak na ewentualne źródło rozchodzącego się z pieca ciepła; rdzewiejących w budynkach gospodarczych instalacji nie przeliczał na kilogramy złomu, który można było oddać do skupu; zżymał się na wybite w kuźni szyby, a przecież wiadomo, że dzieciaki muszą czymś zająć świerzbujące ręce; liczył skrupulatnie wlewane do ciągników paliwo i olej, nie rozumiejąc, że spuszczone z silnika i sprzedane

na lewo okolicznym chłopom kilka litrów płynów stanowiło zwyczajową premię, którą od zawsze traktorzyści uzupełniali skromną pensję; denerwowało go kilka śrubek lądujących w kieszeni pracownika, wyniesiony śrubokręt, młotek czy inne żelastwo, ot taki niezyciowy gość. Poza tym tę małą społeczność rozdzierały jakieś koterie, których początkowo nie potrafił rozwikłać; zatrudniając jednych, stawał się natychmiast wrogiem innych. Wieś była podzielona, a on przez pewien czas nie umiał się rozeznać w liniach podziału. Ale był jeszcze jeden powód, dla którego mieszkańcy wsi okazywali Oskarowi powściągliwość: to niewielkie zbiorowisko ludzkie skrywało jakąś tajemnicę, coś, co przez lata przyschło i do czego nikt nie chciał wracać, a tym bardziej się tym dzielić, ale co jednocześnie tliło się gdzieś pod powierzchnią codziennego życia. Nie drażył, uznając, że być może przyjdzie kiedyś taki dzień, w którym sami podzielą się tym sekretem, a mimo to szczelina pomiędzy nim a resztą wsi kurczyła się bardzo powoli.

Nadstawiłem czujnie ucha. Oskar zaczynał mówić o sprawach, które mnie szczególnie interesowały. Byłem ciekaw, jak po moim wyjeździe ułożyły się we wsi relacje między ludźmi, kto, podobnie jak ja, opuścił PGR, a kto został. Ale mój gospodarz nie miał już siły na dalszą posiadę. Milczał, a ja nie chciałem natrętnie ciągnąć go za język. Zresztą sam również poczułem się już znużony. Przez grzbiet przechodził mi raz za razem dreszcz. Wyciągnąłem marznące dłonie do ognia. Sądziłem, że rozejdziemy się do łóżek, kiedy zza moich pleców doleciał do mnie męski głos:

– Panie Oskar, można? – Zakradł się niepostrzeżenie, jak kot, i jak kot musiał się doskonale orientować w ciemnościach; w trakcie rozmowy z gospodarzem kilka razy oddalałem się od ogniska za potrzebą, w krzaki, i za każdym razem, gdy tylko wychodziłem z kręgu światła rzucanego przez płomień, traciłem orientację. Tymczasem mężczyzna, który stał za moimi

plecami, musiał tu dotrzeć ze wsi, co najmniej kilkaset metrów, w bezksiężycową noc, drózkami, przy których nie paliła się żadna latarnia, których nie oświetlał najmniejszy błysk. Mógł oczywiście trzymać latarkę w ręku, ale snop rzucanego przez nią światła bez wątpienia już z daleka przykułby uwagę Oskara, a nic takiego nie miało miejsca. Wychowani w otaczającej ich dzikiej naturze, zżyci z nią, ale i bezwzględni wobec niej mieszkańcy Wrześniowa potrafili się poruszać po okolicy niczym zwierzęta – zwinnie, pewnie, bezszelestnie.

– Co tam, panie Stefanie? – zapytał bez entuzjazmu, zmęczonym głosem Oskar.

– Bo mam taki pomysł i chciałem o nim z panem porozmawiać.

– Teraz? Widzi pan, że mam gościa. To nie może poczekać?

– No niby może. Ale tak wykombinowałem coś i pomyślałem, że się tym z panem podzielę. Od razu. – Facet wkroczył w krąg światła. Nieśmiało. W ręku ścisnął, nie bardzo wiedząc, co z nią zrobić, butelkę z etykietą, na której pędził rozwścieczony byk. Postąpił jeszcze krok, refleksy rzucone przez ogień prześlizgnęły się po wąsach i zagrały na jego pełnej twarzy. Spojrzał na mnie. Krótką chwilę przyglądał się skupiony, jakby szukając czegoś w zakamarkach pamięci...

– To pan?! – Otworzył szeroko oczy. Flaszka wysunęła mu się z ręki, miękko lądując na trawniku koło stopy.

Pamiętałem go doskonale. Należał do frakcji Bydgoszczan. Podczas mojego pobytu tutaj miał dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata, był początkującym traktorzystą. Wołali na niego Czółko, ponieważ czoło przecinała mu potężna blizna. W jednym z pierwszych kursów, w jakie wysłano go na traktorze, miał na dwóch przyczepach przewieźć do obory zakopcowaną w polu kiszonkę. Niedoświadczony nie zorientował się, że stare wygi obsługujące ładowacz napakowały na przyczepy znacznie więcej ciężkiej paszy, niż zakładały to przyjęte standardy. Trudno powiedzieć, czy zrobili to przez nieuwagę, czy bezmyślność, bo

chcieli sobie skrócić robotę, licząc na to, że traktorzysta jakoś sobie poradzi, czy wreszcie dlatego, że postanowili dać w kość żółtodziobowi. Silnik jęknął i ciągnik z mozołem potoczył się przez pola, radząc sobie jakoś z nadprogramowym ciężarem, ale kiedy przyszło przedrzeć się przez jeden ze stromych pagórków moreny, jakie upiększały tę malowniczą okolicę, zaczęły się problemy. Drogę w górę przy stękającym z wysiłku motorze udało się Stefanowi pokonać, w dół nie poszło już tak prosto – hamulce nie były w stanie utrzymać przeciążonego traktora, przyczepy bezlitośnie pchały nabierającą prędkości maszynę wprost w stronę znajdującego się u podnóża pagórka rowu melioracyjnego. Przyjętym przez miejscowych traktorzystów zwyczajem drzwi w ciągniku były otwarte, w trakcie wywrotki, kiedy wraz z lecącym na bok traktorem leciał i Stefan, te uchylone drzwi rozhuśtały się, gwałtownie uderzając wypadającego bezwładnie z kabiny Stefana prosto w czoło. Trysnęła krew. Stracił przytomność i następnych kilka dni przeleżał w szpitalu z silnym wstrząśnieniem mózgu. Po powrocie do domu i zdjęciu podtrzymywanych bandażami opatrunków rodzinie ukazała się czerwieniejąca od nasady nosa po krótką grzywkę szeroka blizna. Kiedy pracowałem w PGR-ze, wstydził się jej, zasłaniał spadającymi na czoło kosmykami włosów. Teraz fryzurę miał znacznie krótszą. Mimo to blizny i tak nie widziałem – ginęła wśród cieni i bruzd, które znaczyły jego twarz, a powstały na skutek gry światła wywołanej przez ognisko.

Bydgoszczanie, do których należał, nie byli liczni – ot, raptem rodzice i trzech synalków młodziaków (Czółko był z nich najstarszy) – ale siedzieli tu od początku, przyjechali jeszcze przed zakończeniem wojny, przed Poznaniakami i na długo przed Ukraińcami i dlatego we wsi ich głos się liczył. Wyważonych opinii głowy tej rodziny słuchano zawsze z uwagą; Bogdanowi Żytce rzadko ktokolwiek się przeciwstawiał, za to

chętnie przyłączali się do niego członkowie mniejszych rodzin, co dawało Bydgoszczanom siłę; byli niczym najmniejsza partia w koalicyjnym parlamencie, jak jęczyczek u wagi, po czyjej stronie się opowiedzieli, ten zyskiwał przewagę. Tak było, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy. Wtedy to, na fali autorytetu, jakim cieszył się wśród małych rodzin, zrobiono Bogdana brygadzystą, z czym pogodzili się zarówno Poznaniacy, jak i Ukraińcy, akceptując ten wybór jako rozsądny kompromis, co nie przeszkadzało jednemu z nich, tracącym gwałtownie na znaczeniu, intrygować przy rozbawionej bierności dyrektora zakładu.

Tak, obserwowałem, jak Stefan stawiał pierwsze kroki w roli traktorzysty, do czego przejawiał smykałkę. Widziałem też, że brakowało mu charyzmy ojca. W jego charakterze wyraźnie było widać naznaczenie PGR-em, w którym przecież, podobnie jak młodszy bracia, przyszedł na świat. Średni, Antek, już wtedy, za moich czasów – jako nastolatek – był utrapieniem rodziców. Szczupły, znacznie delikatniej zbudowany od potężnego Czółki, migał się od wszelkich obowiązków – zarówno domowych, jak i szkolnych. Dusza towarzystwa, dobrał sobie bandę podobnych, zapatrzonych w niego obiboków, z którymi trawił czas najpierw na wagarach, włócząc się po kuszących przestrzeniach pól i lasach dzielących Wrześniowo od usytuowanej w Trójczynie szkoły, a potem, kiedy już po kilkakrotnym repetowaniu każdej z klas przestał ich prześladować obowiązek szkolny – a PGR przygarnął, dając do wykonania najprostsze prace w gospodarstwie – skupił się na wymyślaniu najprzeróżniejszych sposobów unikania wysiłku i nieprzepracowywaniu się w nudnej, jak wszystko, co wymagało napinania mięśni, robocie. Aby znaleźć Antka i jego kompanów w godzinach pracy – o co zresztą nikt specjalnie się nie starał – wystarczyło przetrząsnąć porastające brzegi pól krzaki, gdzie zazwyczaj wypoczywali, tocząc gorące dyskusje o niczym, pociągając – jeśli tylko udało im

się wysupłać parę groszy – z gwinta alpagi i zaciągając się wymiętoszonymi sportami. Za to wieczorami, kiedy już przed nikim nie musieli się kryć, ich głośne zapijaczone śpiewy niosły się po jeziorze albo spod sklepu, a gdy w kieszeniach mieli pusto, co zdarzało się znacznie częściej, przesiadywali na boisku, wałęsali się bez celu po wsi, zaczepiając młodsze dzieciaki i dziewczyny, albo zakradali się do strzeżonego jedynie pro forma gospodarstwa, żeby wynieść coś, co mogliby opędzlować szybko i bez zbędnych targów kmiotkom z sąsiedniej wsi.

Najmłodszy z Żytków, Robcio, sprawiał wrażenie tępawego. Przysadzisty osiłek, ciągle zgarbiony, spoglądał osowiale spode łba, rzadko się odzywał, a jeśli już coś mówił, to zazwyczaj półsłówkami, jakby wypowiedanie pełnych zdań było dla niego fizycznym wysiłkiem, którego nie potrafił udźwignąć. Klasy w szkole pokonywał z trudem, jednak rok po roku piął się po kolejnych szczeblach edukacji. Był ślamazarny, ale skrupulatny, dlatego kiedy opuszczałem Wrześniowo, a on miał szesnaście lat, ojciec, widząc u najmłodszego syna kompletny brak zdolności do obsługi jakichkolwiek maszyn, szykował go do pracy w oborze przy krowach. Czy tam trafił, nie zdążyłem się przekonać.

Mimo że synowie reprezentowali tak różne typy, kiedy zachodziła konieczność, cała rodzina skupiona przy Bogdanie potrafiła stanąć razem jak jeden mąż. Byli zvarci i silni. Dlatego nie zdarzało się, żeby ktoś ich zaczepiał, wdawał się z nimi w bójkę czy podkładał świnię w robocie. Bydgoszczanie odpowiadali na szacunek, którym cieszyli się jako rodzina, obojętnością na wszystkie spory i intrygi, które od lat targały wsią. Na co dzień zachowywali powściągliwą neutralność i dopiero postawieni pod murem, kiedy nie mogli z jakichś powodów dłużej pozostawać z boku, zajmowali określone stanowisko.

Czółko stał, wpatrując się we mnie i nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć.

– No, jak widzisz, to ja – odpowiedziałem głupio, również zaskoczony tą niespodziewaną wizytą.

Zamilkliśmy, badając się wzrokiem. Cisza, podczas której Oskar spoglądał na nas z rozbawieniem, przedłużała się. Powietrze przeciął dobywający się od strony lasu i niosący po jeziorze tubalny odgłos jeleni stających do rykowiska. Gospodarz potrząsnął głową, jakby ocknął się ze snu, i zmęczonym głosem zwrócił się do Czółki:

– To co pan tam wykombinował, panie Stefanie?

Czółko, niczym w letargu, powoli obrócił się w jego stronę i pokazując na mnie ręką, powiedział, cedząc słowa:

– Panie Oskar, on... on tu mieszkał... kiedyś... dawno temu... Jeszcze przed... No dawno!

– Wiem, panie Stefanie. – Oskar machnął ręką. – I chyba nie on, tylko pan Roman, co? – dodał, już wyraźnie rozweselony.

– No tak... oczywiście. – Czółko zmieszał się do końca.

– Pan siada z nami – gospodarz podsunął Stefanowi brzożową kłodę, taką, na jakich sami siedzieliśmy, i wskazując na leżącą w trawie flaszkę, dodał: – i przyniesie to wino.

Piliśmy ze szklanki, którą podał Oskar, napełniając ją po brzegi różowym płynem i wychylając jednym haustem smakujący landrynkami alkohol.

– Kopę lat, Czółko...

– Będzie, panie Roman.

– Wąs ci się puścił.

– A co miał mi się nie puścić? – Stefan odzyskiwał wigor. – U nas wszystkie wąsy noszą. Ojciec i Antek też, tylko Robcio nie nosi. Próbował nawet, ale jakoś tak krzywo mu się układały, więc zgolił. Pan na długo?

– Zobaczymy. To zależy od kilku spraw. Dobrze, że cię spotykam, bo musimy pogadać.

– Jak musimy, to pogadamy, czemu nie. Niech pan wpadnie na kawę. Jutro. Po robocie albo lepiej w czasie przerwy obiadowej.

- Wpadnę. A gdzie mieszkasz?
- Obok Bulery. Pamięta pan? Tam, gdzie dawniej mieszkali Pudły.
- Pamiętam. Oczywiście, że pamiętam.
- To skoro panowie już się umówili – Oskar wszedł nam w słowo – to może teraz niech pan powie wreszcie o swoim pomysle, panie Stefanie, bo już chyba pora kłaść się spać. Jutro od rana orzemy, a potem, jak obeschnie, rąbiemy grykę.
- A bo widzi pan, mnie to się zdaje, że na samych polach to my... to znaczy pan... daleko nie pociągniemy.
- I...?
- I ja dzisiaj pochodziłem sobie po tej dawnej stodole. – Czółko kiwnął głową za siebie. – Tam, zanim zlikwidowali PGR, ostatni kierownik, ten Rudziński, przygotował chlewnie, eleganckie, betonowe. Pewnie pan widział.
- Owszem, widziałem – przytaknął Oskar. – I co, świnie chcesz pan hodować?
- Nie ja, my! Tam wszystko jest gotowe. Ze dwieście świń byśmy zmieścili.
- Panie Stefanie, a kto przy tym będzie robił?
- Jak to kto? Ja, Staśka, Kulewiczową jeszcze można wziąć, ona w PGR-ze przy krowach robiła, ale obok domu w podwórku miała chlewik, to się na świniach wyznaje. Mało to ludzi jest do roboty?
- Ale świnie to smród.
- Za to jaki pieniądz! A poza tym to daleko. Ze dwieście metrów będzie, jak nie zawieje, to smrodu nie będzie czuć.
- A jak zawieje? Dobrze. – Oskar podniósł się, strzepując ze szklanki do dogasającego ogniska ostatnie krople. – Przemyślę.
- Pan się zastanowi, panie Oskar. Mówię panu, z samych pól nie da rady. Ja to widzę.
- Czółko wstał i zaczął się żegnać.
- To do jutra, panie Roman.

Pokiwałem głową. Poczułem się piekielnie zmęczony.

*

Siedzieliśmy w milczeniu drugą godzinę, wpatrzeni w unoszące się leniwie na wodzie spławiki. Ryba jakoś specjalnie nie brała, mieliśmy w wiaderku zaledwie kilka leszczy i dwa okonki, ale za bardzo się tym nie przejmowaliśmy, w końcu nie sam połów był w tym milczącym męskim siedzeniu najważniejszy. Siąpiący deszcz wyrysowywał rozrastające się kręgi na gładkiej tafli jeziora, a my nie mieliśmy ochoty przerywać zalegającej wokół ciszy, mąconej jedynie szumem drobnych kropel uderzających o tracące świeżość z każdym dniem wczesnej jesieni liście na smukłych olszynach, porastających gęsto niedaleką wyspę. Co pewien czas jeden ze spławików zaczynał tańczyć nieśmiało na nieporuszonej nawet najmniejszym podmuchem wiatru powierzchni wody, po czym dawał gwałtownego nura. Podrywaliśmy się wówczas obaj, a łódka, w której siedzieliśmy, kołysała się łagodnie na boki. Wyciągnięty szybkimi miarowymi ruchami kręconego kołowrotka haczyk przeważnie był pusty. Nadziewaliśmy na niego wówczas kolejnego tłustego robaka wydłubanego ze słoika, zarzucaliśmy spławik i siadając na zimnych ławkach unoszącego się swobodnie na wodzie bączka, ponownie mierzyliśmy się ze swoimi myślami.

Nie poszedłem na kawę do Czółki. Uznałem, że potrzebuję jeszcze jednego, dwóch dni na ułożenie sobie wszystkiego w głowie, na porozglądanie się po wsi, przyjrzenie się twarzom, może na jakąś krótką rozmowę z kimś spotkanym podczas spaceru, a i Żytkom, kombinowałem, dobrze zrobi, jak chwilę na mnie zaczekają.

Następnego dnia po moim przyjeździe Czółko do pracy przyszedł punktualnie, o siódmej. Nie sam. Przez niewielkie

okienko mojego pokoju obserwowałem dwie postaci schodzące z góry, od przewróconej bramy, brukowaną drogą. Szczuplejsza wyglądała jak starsza, zniszczona alkoholem, wąsata wersja Antka Żytki, jakiego pamiętałem. Podeszli do traktorów, przy których coś majstrowali w towarzystwie Oskara, potem ciągniki potoczyły się bezgłośnie w dół pochyłą dróżką, szarpnęły i wreszcie zagrały dieslowskie silniki, unosząc w górę kłęby sinego dymu ze stojących na sztorc rur wydechowych. Zapalały „na pych”? Dziwne. Po chwili potężny, rozłożysty Zetor 16245 na bliźniaczych kołach wielkości wysokiego mężczyzny, a za nim wąziutki, smukły MTZ 82 – oba z przytroczonymi do zadów jak jaszczurcze ogony pługami – niczym ojciec i syn przedefilowały pod moim oknem. Na schodkach, w otwartych drzwiach mniejszego traktora stał Oskar, trzymając się ramy kabiny.

Kilka godzin później wałęsałem się nad jeziorem, przemierzając brukowaną drogą zaniedbany bukowy angielski park i kierując się w stronę pól. Przyglądałem się brzegowi, z którego kiedyś w taflę jeziora wbijały się klinem dwa pomosty, zawsze pełne wędkujących mieszkańców wsi; dzisiaj wspomnieniem po nich były jedynie sterczące z wody równymi rzędami porośnięte mchem spękane bale. Oskar pojechał do Miasteczka załatwiać jakieś urzędowe sprawy, pozostawiając pracujące w polu traktory. Ich miarowy, ciężki terkot dobiegał zza ściany drzew. Wcześniejsza wizyta we wsi nie zaowocowała żadnym ciekawym spotkaniem, żadną rozmową, wieś wydawała się wyludniona, natykałem się jedynie na szczekające zza parkanów zabiedzone psiaki uwiązane na ciężkich łańcuchach. Czyżby wszyscy wychodzili z rana do pracy? – główkowałem. Wszyscy, bez wyjątku, małe dzieci również? Starsze były pewnie w szkole, ale maluchy? Spodziewałem się raczej zastać tutaj wysokoprocentowe bezrobocie, siedzących przed chałupami zrezygnowanych, pozbawionych pracy ludzi, snujących się bez celu po wsi postaci, a tymczasem szedłem od domu do domu, nie

widząc żywego ducha. Nie mogłem zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Zagadka wyjaśniła się wczesnym popołudniem, kiedy mieszkańcy ze wszystkich stron, wyłaniając się niczym zjawy z lasów, zagajników, ciągnąc od polnych, porośniętych drzewami drózek zmierzali do wsi jak na zbiórkę obładowani ciężkimi workami. Szli w małych grupkach, rodzinami, po czym gromadnie ustawili się przy przystanku PKS-u, spoglądając w jednym kierunku, z którego niebawem nadjechał żuk, popierdując wysłużonym silnikiem. Kierowca wysiadł, opuścił klapę tylnej platformy, po czym zanurzał w każdym z worków potężną łapę, którą wyciągał z wnętrza garście... żołądzi. Chwilę im się przyglądał, a następnie gestem nakazywał stawianie worków na wadze, którą woził ze sobą pod plandeką. Skup. Płacili cztery, pięć tysięcy za kilogram. Niewiele, ale na przeżycie kolejnego dnia starczało. Kto już zważył swój worek i wrzucił go na pakę furgonetki, ze zmiętymi banknotami w garści pędził do sklepu uregulować zaległości, a to, co pozostało, wymienić na procenty.

W Wolnej Polsce, w środku Europy, w tym zapomnianym przez Boga zakątku kraju wracały czasy zbieractwa. Ci pozostawieni sami sobie, niepotrafiący odnaleźć się w nowej rzeczywistości ludzie wegetowali niemal wyłącznie dzięki darom lasu. W lecie, wiadomo, zbierali jagody i oczywiście grzyby, które skup brał jak leci, nie patrząc, robaczywe czy nie, bo cóż to miało za znaczenie, skoro zmielone i wysuszone i tak szły na zupki w proszku; targali również skupowane przez zielarzy dziurawiec i korę wierzbową – podczas spaceru co chwilę trafiałem na oskórowane do wysokości dwóch metrów drzewa. Jesienią szły właśnie żołądzie, które lasy państwowe brały do hodowli sadzonek, ale i rodząca raz na trzy, cztery lata buczyna. Później nieraz widziałem gromady ludzi rozkładające na ściółce wielkie brezentowe płachty, a następnie tłukące kijami w srebrzyste buki. Opadłe na brezent orzeszki odsiewali, łapiąc za rogi płachty

i podzucając zbiór w górę – puste, pozbawione nasion owoce jak w wialni unosiły się dłużej w powietrzu i spadały na wierzch, więc łatwiej było je później oddzielić od pełnych. Co kilka lat przychodziły żniwa na winniczki; wieś urządzała im prawdziwy holokaust, ładując setkami do worów, aby potem, po wywiezieniu za granicę, całymi stadami w charakterze rarytasu – czego nikt ze zbieraczy nie potrafił zrozumieć – zapłacić francuskie wykwintne stoły. Najcięższa była zima. Śniegu nikt skupować nie chciał, kamieni też nie. Jednak również zimą las potrafił sprawić miłą niespodziankę. Wiedząc o tym, wrześniowianie krążyli, brodząc w białym puchu pomiędzy drzewami i licząc na łut szczęścia, a tym było wygrzebane ze śniegu poroże. Za rogi można było trafić milion złotych, za większe nawet dwa. Nowe czasy w kilka lat zredukowały tych biednych ludzi – cofając ich wstecz o dziesiątki wieków – do funkcji zbieraczy-łowców. I to niekiedy w sensie dosłownym, bo niektórych mieszkańców wsi las żywił – zupełnie nielegalnie – w pełnym tego słowa znaczeniu, zapewniając im nie tylko jarską dietę, o czym miałem dowiedzieć się kilka dni później w znacznie dramatyczniejszych okolicznościach.

Wyszedłem na pofałdowane pole, nad którym wisiały ciężkie chmury. Lada chwila mogło zacząć padać. Z daleka widziałem oddalającą się sylwetkę zetora odcinającego i przewracającego sześcioma skibami pług szerokie pasma tłustej, gliniastej ziemi. Nad polem unosił się szorstki zapach świeżo przewróconej gleby. Mniejszego traktora, który – na ile się orientowałem – według sztuki powinien posuwać się o kilkanaście metrów z tyłu, w ślad za większym, nigdzie nie mogłem zauważyć. Pole miało około kilometra długości, ale jego dalsza część niknęła za pagórkami już po stu metrach. Puściłem się na przełaj.

Pokonywałem, stąpając po ściernisku, kolejne pagórki. Po drodze obserwowałem podrywające się z wrzaskiem znad mokrych, ostrych skib ptaszyska i omijałem zabagnione dołki

powstałe na skutek przerwania i zapchania się starych poniemieckich drenów. Ten problem dotyczył okoliczne pola i za czasów PGR-u, bo już wówczas nikt nie przejmował się szwankującym drenażem, pozostawiając studzienki i kamionkowe rury same sobie. Oskarowi, jak przypuszczałem, na naprawy brakło pieniędzy.

Kiedy zbliżałem się już do końca pola, wspinając się na ostatni pagórek, pojedynczy miarowy dotychczas terkot pracującego kilkadziesiąt metrów przede mną traktora zabrzmiał jakby stereo. Im wyżej wchodziłem, tym bardziej to dziwne wrażenie się pogłębiało. Stałem na szczycie i w oddali, w dole spostrzegłem czerwoną sylwetkę drugiego ciągnika; stał na skraju niewielkiego bagienka w poprzek do kierunku orki zagrzebany po tylne osie w błocie, z rury wydechowej strzelał miarowo w niebo ciemny dym, a traktorzysta siedział spokojnie w kabinie, niczym się nie przejmując – w jego ustach dostrzegłem żarzący się ognek papierosa; tylną półkę kabiny okupowała banda dzieciaków. Szedłem jeszcze ze trzy minuty, nim stanąłem przed maszyną, ale oparty o kierownicę i zaciągający się popularnym traktorzysta ani drgnął. Oczywiście Antek.

– Co jest? – zacząłem ostro, bez żadnych wstępów, przez otwarte jak zwykle drzwi ciągnika.

– A, to pan! – Odwrócił się wolno w moją stronę i uśmiechnął niepełnym uzębieniem. – Stefan mi mówił, że pan przyjechał.

– Przyjechałem i pytam, co się dzieje?

– Widzi pan – rozłożył bezradnie ręce – ugrzęzłem i chuj, nic nie mogę poradzić.

– Widzę! Nie może cię Stefan wyciągnąć?

– Nie może, bo nie mamy dobrej liny. Ta, co jest, cała się porwała. Jeszcze strzeli i komu krzywde zrobi.

– Ale czemu tak siedzisz beczynn timer, pomoc trzeba zorganizować.

– Przecie nie zostawie ciągnika, nie? – Znów uśmiechnął się i sięgnął do wymiętolonej paczki po kolejnego papierosa.

– Możesz posłać któregoś z dzieciaków. – Wskazałem na przysłuchującą się z rozdziawionymi gębami gromadkę wypełniającą kabinę.

– Yhy... – Strzeliła zapalka, Antek chwilę przypalał papierosa, wreszcie wypuścił z ust kłęb dymu. – A co oni pomogą? Oskar w Miasteczku, we wiosce nie ma żadnego traktora, a do Trójczyna nie będę ich gonił. Nie ma chuja, czekać trzeba.

– Na co?

– Aż ktoś coś zaradzi.

– Jezu! – Złapałem się za głowę. – To chociaż silnik zgaś.

– Ni chuja, nie można. – Wzruszył ramionami.

Machnąłem ręką i poszedłem organizować pomoc. Trzeba było wrócić na podwórze, wziąć samochód i jechać do Trójczyna pożyczyć od kogoś stalową linę, potem z powrotem na pole, ściągnąć Stefana, szczepić traktory i wyszarpnąć mniejszy z błota. Sprawa zajęła prawie dwie godziny, a Antek w tym czasie siedział sobie spokojnie w ciepłym ciągniku i palił papieroski.

Po południu opowiedziałem całą historię Oskarowi. Pokiwał głową.

– Zawsze znajdą wymówkę.

– Ale niech pan sobie wyobrazi, że silnik cały czas pracował i on nie chciał go zgasić. Tyle paliwa i pieniędzy poszło w chmury.

– Mówił prawdę, nie mógł.

– Ale jak to nie mógł?

– Wyjaśnię to panu... Albo wie pan co? Mieliśmy rąbać grykę, ale się rozpadało, nic już dziś z tego nie będzie. Może popłyniemy sobie na ryby, mam kilka wędek i nakopanych robaków, to sobie spokojnie pogadamy na jeziorze?

Ale na jeziorze jakoś nie mogliśmy sobie pogadać, ani spokojnie, ani niespokojnie. Wypłynęliśmy na środek, w okolice

wyspy, i zapadliśmy się w milczenie, którego żaden z nas nie potrafił albo nie chciał przerwać.

Trwało to, jak już mówiłem, dwie godziny. Zaczęło robić się szaro. Oddalony o kilkaset metrów jasny kikut pałacowej wieży odcinał się coraz mniej wyraźnie od granatowiejącego nieba. Oskar wstał i, mimo że spławik dostojnie unosił się na wodzie, zaczął kręcić kołowrotkiem.

– Zwijajmy się – przerwał ciszę, widząc moje zdziwione spojrzenie – zaraz zrobi się ciemno.

Nawinęliśmy żyłki. Gospodarz siadł do wiosła, tyłem do dziobu. Siedziałem naprzeciwko niego. Nie wytrzymałem:

– To powie mi pan w końcu, dlaczego Antek nie mógł zgasić silnika?

– Oczywiście. To żadna wielka sprawa – odpowiedział nieco znużonym tonem, nie przestając miarowo poruszać wiosłami. – Kiedy kupiłem oba traktory, wszystko w nich działało jak należy. Zresztą białorus był nowiutki, więc musiało wszystko działać. Pierwszą rzeczą, jaka się popsowała, i to, uważa pan, w obu ciągnikach niemal jednocześnie, był licznik motogodzin. Przypadek?

– Chyba nie...

– No jasne, że nie. Wymieniłem liczniki na nowe i wyobraź pan sobie, jakieś fatum czy insze kurestwo, bo po kilku dniach znowu obydwie nie działały. Potem zmajstrowali rozruszniki. Teraz ciągniki palą tylko na zaciąg albo puszczone z górki. Widział pan, jak je zostawiamy na noc. Na pochyłości. Tak że gdyby Antek zgasił silnik, to w życiu byście go z tego bagna nie wyciągnęli. Musiał sobie spokojnie pyrkać.

– Ale po co to robią? Żeby podbierać paliwo?

– A jak! Nie ma licznika, nie ma kontroli. Ja mogę teraz jedynie codziennie rano tankować ciągniki do pełna i sprawdzać, ile spaliły poprzedniego dnia, i jakoś to sobie liczyć.

– To jak pana kantuja?

– Wie pan, ja jestem pewien, że on specjalnie w to bagno wjechał. Albo z lenistwa, żeby się nie napracować, albo, i to bardziej prawdopodobne, żeby postać sobie na spokojnie pracującym silniku. Ja przecież nie wiem, jak długo on tkwił. Powiedziałyby mi, że tylko chwilę, a resztę czasu traktor ciężko pracował w polu, spalając mnóstwo paliwa. Bo inne jest spalanie podczas ciężkiej orki, a inne, gdy silnik tak sobie pyrka. Różnicę spuściłby po cichu, gdzieś pod lasem do kanistra. Miał pecha, że go pan nakrył.

– Po Antku wszystkiego można się spodziewać, ale tam był też Czółko, on chyba jest lojalny.

Oskar przestał wiosłować i spojrzał na mnie, przebijając się wzrokiem przez zapadający mrok, a po chwili wybuchnął śmiechem.

– Jaki? Lojalny? Ha, ha, ha! – Nie mógł się uspokoić. – Coś pan? W słowniku ludzi popegeerowskich nie ma takiego przymiotnika. Lojalny! Ha, ha, ha.

– Ale ta wczorajsza nocna wizyta. Te pomysły. – Nie dawałem za wygraną.

– Niby tak – otarł rękawem łzy, jakie od śmiechu zebrały mu się w kącikach oczu, i poprawił kaptur – to jednak nic nie znaczy. Sprzedałby mnie za garść srebrników, gdyby tylko miał komu.

– Nie przesadza pan? Znam tych ludzi albo lepiej byłoby powiedzieć: znałem. Bydgoszczanie, może z wyjątkiem Antka, to byli porządni ludzie.

– Opowiem panu historię, to zrozumie pan, co to znaczy dla tutejszych pojęcie lojalności. To się wydarzyło rok temu. Nawet więcej, bo w lipcu. Zbliżał się czas koszenia rzepaku, a rzepak nierówno schnie. Wie pan przecież.

– A skąd niby mam wiedzieć?

– Pracował pan w PGR-ze.

– Tylko że ja tutaj robiłem w biurze. Zajmowałem się organizowaniem kolumny transportowej, a nie technologią

produkcji.

– Przepraszam, zapomniałem, że PGR miał takie stanowiska, o jakich dzisiaj nikomu nawet się nie śni... Sądziłem, że skoro...

– Dobrze, już dobrze, nie musi pan kończyć. Zresztą myśmy wtedy, o ile pamiętam, nie siali rzepaku. Kukurydzę owszem, inne zboża, pastewne też, ale rzepaku za cholereę. Nie było chyba takiej mody.

– A teraz, jak pan widzi, jest. Żółto... wszędzie. W każdym razie rzepak ma to do siebie, że nierówno wysycha. Jedne strąki są już dojrzałe i suche, zaczynają pękać, inne jeszcze zupełnie zielone, a nasiona w środku mokre. Jedyłą radą jest opryskać to całe towarzystwo Roundupem czy innym środkiem chwastobójczym. Tydzień, dwa – wszystko wyschnie i można wjeżdżać kombajnem w pole. W zeszłym roku zasialiśmy ze sto hektarów rzepaku. Czekałem z opryskiem do ostatniej chwili i kiedy dłużej już się nie dało, mieliśmy ruszyć w pole. Czasu było mało, bo prognozy pogody były złe. Zostały dwa dni na spryskanie całości, potem miały przyjść deszcze, a wtedy żadnych oprysków nie da się już robić. To pan chyba wiesz?

Potaknąłem głową.

– Wszystko przygotowane. Sam miałem siadać na białorusa, bo Antka po raz kolejny, i pewnie nie ostatni, wywaliłem z roboty za pijaństwo. Czekam na tego pańskiego lojalnego Stefana i nic. Zazwyczaj punktualny, spóźniał się. Godzinę, półtorej. Wreszcie posłałem do wsi jakiegoś łebka, który miał nam pomagać. Wraca i mówi, że Stefan pijany śpi. Sam poszedłem. Rzeczywiście. Leżał na tapczanie i był tak nawalony, że nie mogłem za cholereę go dobudzić. Musiałem na gwałt szukać innego traktorzysty. Zanim kogoś znalazłem, minął dzień. W kolejny udało się jakieś dwie trzecie tego rzepaku opryskać, a potem przyszedł deszcz i lało przez tydzień. Ta niespalona część oczywiście w większości się osypała przy zbieraniu. Straciłem na tym kilkaset milionów. Przez nygusa, który się nachlał i nie przyszedł do pracy. Stefana

oczywiście wywaliłem z roboty. I co? Okazało się, że jemu właśnie o to chodziło. Wyobrażasz pan to sobie: ktoś tu przyjechał i zaproponował mu pracę, gdzieś w Bieszczadach. Miał zarabiać ze dwa razy więcej niż u mnie. I zamiast przyjść i mi to powiedzieć, wykombinował sobie, że zmusi mnie do tego, żebym go wylał. Taka to ta jego lojalność.

Złapał ponownie za wiosła i zaczął ciąć nimi równą powierzchnię wody.

– To czemu on dalej u pana pracuje? Nie rozumiem.

– Bo nie ma nikogo lepszego. Po prostu inni wcale nie są lepsi, a on może coś zrozumiał. Chociaż wątpię.

– Nie pojechał w te Bieszczady?

– A pojechał, owszem. Nawet Antka ze sobą zabrał. Tylko że wrócili jeszcze szybciej, niż wyjechali. Jak zobaczyli, jakie tam na miejscu są warunki do mieszkania i do pracy, i że te obiecane pieniądze to będą wprawdzie większe niż tu, ale tylko jeśliby pracowali na okrągło, całą dobę, a do tego z pensji będą im potrącać za kwatere, to się zawinęli z powrotem raz-dwa. Tamten gość nawet na bilet im nie dał. Musieli kupić kredytowy, a z Miasteczka nocą na piechotę tu drałowali. Dwadzieścia pięć kilometrów. Chodził potem, prosił, żebym go przyjął z powrotem. Kilka miesięcy byłem twardy. Zmieniłem w międzyczasie chyba ze czterech traktorzystów. Jeden gorszy od drugiego, wreszcie na wiosnę zmiękłem. Tylko od tamtej pory nie mam złudzeń.

Dobiliśmy do brzegu. Oskar wyskoczył na ląd i wciągnął dziób łódki w trawę. Podałem mu wiosła. Szliśmy w stronę czworaków, niosąc nasz skromny połów.

– Jakoś nie widać specjalnie nad jeziorem wędkarzy? Kiedyś, za moich czasów, było inaczej. Każdy mężczyzna we wsi miał wędkę...

– Teraz też łowią – przerwał mi – tylko nie tutaj. Łażą nad inne jeziora po wiele kilometrów. Nie mam pojęcia dlaczego, bo do zeszłego roku ryby było tu w bród.

– Czemu do zeszłego roku?

– Przyducha była. Zima nie chciała odpuścić. Lód na jeziorze trzymał do maja. Nikt przereźbli nie kuł i ryba się wydusiła. Jak woda zaczęła te martwe ryby wyrzucać na brzeg, to tylko z tej mojej plaży przyczepę sandaczy łopatomi żeśmy zebrali.

– Tak, pamiętam, że to było sandaczowe jezioro.

– Racja... Było. Teraz ryba powoli się odradza, ale sandaczy nie ma. Głównie leszczy się namnożyło, tego rybiego chwastu.

– Ale tu ludzie nie łowią?

– No nie. Dziwne. Oni w ogóle to jezioro omijają. Cholera wie, dlaczego? W lecie nawet nikt się nie kąpie. Jeżdżą gdzie indziej, a woda tutaj czysta, chociaż fakt, nie jest klarowna, ale to od azotu. Nie wiem, czemu tak się dzieje? Nie chcą o tym mówić.

Zamilkłem również, nie chcąc kontynuować tej rozmowy. Od Oskara niczego się nie dowiem, pomyślałem, i szybko zmieniłem temat.

– Może mówmy sobie na ty – zaproponowałem.

– Nie śmiałem proponować. Pan dużo starszy ode mnie – odpowiedział z uśmiechem.

– A ja czekałem, aż gospodarz wyjdzie z inicjatywą.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Zaraz przy ognisku chlapniemy brudzia. – Oskar ruszył szybkim krokiem w stronę domu przez wydeptaną wśród wysokich chwastów ścieżkę.

*

Lało już trzeci dzień. Traktory nawet nie wychodziły w pole. Oskar postanowił dokonać w maszynach niezbędnych, czekających od dawna napraw w zamienionej na warsztat starej kuźni. Z dawnych, znajdujących się za oborą pegeerowskich warsztatów od lat już nie korzystał, były zbyt oddalone od domu,

aby udało się je ustrzec przed tubylczym żywiołem buszującym nocą po gospodarskich budynkach w poszukiwaniu czegokolwiek, co dałoby się wynieść i spieniężyć. Stróż, którego Oskar najął, nie był w stanie powstrzymać tego tornado, zresztą chyba nie bardzo nawet chciał, sam przecież mieszkał we wsi, a poza tym mógł oberwać po łbie, lepiej było się nie mieszać. Krążył więc nocą, robiąc co godzinę obchód pomiędzy zabudowaniami, i udawał, że nie słyszy niczego, co dzieje się w środku. A działo się, i to sporo. Z początku wynoszono rzeczy drobne – części do maszyn, jakieś pozostawione narzędzia, ale z czasem zabrano się i do towaru pokaźniejszego. Wyrywano metalowe urządzenia dawnej obory, zawiasy, drzwi i okiennice, nawet koła od pozostawionych we wnętrzach przyczep. Wszystko, co mogło powędrować na złom albo posłużyć do palenia w piecu czy przydać się we własnym obejściu. Raz na jakiś czas Oskarowi udawało się kogoś schwytać na gorącym uczynku lub podczas wizyty we wsi trafić przez przypadek na swoją własność. Wówczas taki przyłapany delikwent, postraszony policją i chyba zawstydzony własnym gapiostwem, bo przecież innym się udawało, oddawał zrabowane mienie, naprawiał szkody, jakie poczynił, a nawet – no cóż, za przegraną w tej swoistej grze należało zapłacić – wykonywał za karę jakieś drobne prace gospodarcze na rzecz Oskara: naciął drzewa albo zamiótł podwórko. Po czym, po odbytej pokucie, oczyszczony z grzechów spokojnie wracał do złodziejskiego procederu.

Ale kuźnia była na widoku. Z solidnymi kratami w oknach, potężnymi drzwiami ryglowanymi wielką kłódą, posiadała nawet nocne oświetlenie w postaci wielkiej pięćsetwatowej lampy umocowanej na dachu. Te zabezpieczenia dawały poczucie bezpieczeństwa, przynajmniej zewnętrznego, bo od wewnątrz, przed lepkiemi dłońmi Antka, Stefana czy stadnie odwiedzających ich przy pracy dzieciaków już tak łatwo nie można było się uchronić. Zawsze przecież coś z części

zamiennych czy narzędzi spoczywających na półkach warsztatu mogło akurat przydać się w domu. Taki rodzaj pożyczki: gdyby Oskar się zorientował, wyniesione dobro natychmiast – jak to pożyczka – wróciłoby na swoje miejsce, a jeśli nic by nie zauważył, to prawem zasiedzenia zyskałoby sobie nowy dom i nowego właściciela. Normalna rzecz.

Wprowadzano zatem sprzęt do wyłożonego kocimi łbami, słodkawo śmierdzącego olejem pomieszczenia i metodycznie usuwano usterki. Na wielkim kowadle klepano i ostrzono wymontowane z pługów lemieszce oraz piersi, rozgrzewając je wcześniej na napędzanym elektrycznym miechem palenisku wysypanym koksem; uzupełniano zęby w długiej kosie, ściągniętej z potężnego sześciometrowego kombajnowego hederu; regulowano silniki ciągników, uszczelniano wycieki, dokręcano węże, zmieniano łożyska... Od samego rana Czółko, Antek i najmowany na okres żniw – które w tym rejonie kraju potrafiły zapędzić się głęboko we wrzesień – kombajnista doprowadzali do ładu należący do Oskara park maszynowy, a od kuźni niósł się szcęk narzędzi głuszony jedynie miarowym szumem deszczu. Zaglądałem tam czasami, w milczeniu przyglądając się pracującym z mozołem, umazanym smarem, kanciastym, umięśnionym męskim dłoniom, które mimo że często trzęsły się po przepiciu z dnia poprzedniego, wykazywały zdumiewającą precyzję.

Czółko sprawiał wrażenie obrażonego moim nieskorzystaniem z zaproszenia na kawę. Mętne przeprosiny, które wygłosiłem, przyjął milczącym skinieniem głowy. Ponownej propozycji już nie złożył. Postanowiłem wprosić się sam. Kombinowałem, jak? Wizyta w ciągu dnia, w trakcie przerwy obiadowej, nie wchodziła w grę. Noce były teraz ciepłe i lniane worki w dłoniach mieszkańców wsi, które załadowywano żołądkami, zastąpiły plastikowe siateczki i dziesięciolitrowe kubelki po farbie, do których zbierano wysypujące się po lasach

prawdziwki. Kalkulacja była prosta: żołędzie, a było ich w bród, mogły kilka dni poczekać na zbiór, grzyby natomiast, mimo że również rosły na potęgę, niezebrane trafiały do torby lub wiaderka sąsiada albo, co gorsza, jakiegoś zabląkanego w tę okolicę grzybiarza z Miasteczka. Prawdziwki zdecydowanie były towarem gorącym i dlatego odkąd zaczęło padać, codziennie, na długo przed świtem z domów i bloków we wszystkich kierunkach – gdzie kto miał swoje upatrzone miejsce – rozpełzali się zaspani wrześniowianie, by po kilku godzinach przytaszczyć na przystanek PKS-u liczone w kilogramach zbiory. Na łowy ruszała również rodzina Czółki, dlatego w ciągu dnia dom stał pusty, a na kawę, według miejscowego zwyczaju, przynajmniej pierwszy raz wypadało wstąpić podczas obecności w mieszkaniu kompletu domowników.

Postanowiłem nie czekać na ponowne zaproszenie, tylko wybrać się do Stefana po pracy, którą kończył teraz, gdy nie było warunków do wyjeżdżania w pole, zdecydowanie wcześniej, na długo przed zmierzchem. Nie miałem co zwlekać, siedziałem we Wrześniowie, korzystając z gościny Oskara, już cztery dni, a nie posunąłem się ani o krok naprzód. Obudziłem wspomnienia, zobaczyłem stare miejsca, prezentujące się znacznie bardziej ponuro niż przed laty, spojrzałem w kilka znajomych i w parę zupełnie nowych twarzy i to w zasadzie wszystko. Nie wiedziałem nawet, kto tu dalej mieszka, a kto wyjechał. Był już najwyższy czas, żeby ruszyć z miejsca.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, ścigany ciekawskimi spojrzzeniami, śledzącymi nieznaną we wsi zakapturzoną postać, z bombonierką pod pachą, z siatą wyładowaną słodyczami i kilkoma butelkami piwa, pchnąłem odrapaną, pomalowaną seledynową olejną farbą furtkę, która jęknęła przeciągle, i wszedłem na podwórze należące do lewej części ceglanego domu bliźniaka. Stał przy przebiegającej przez wieś asfaltowej szosie, dokładnie w samym jej środku. Można by powiedzieć,

w centralnym, najbardziej eksponowanym miejscu wioski, ale jednocześnie – patrząc z innej perspektywy – również w miejscu doskonale widocznym z każdej strony, jakby pilnowanym po bokach. Tu mieszkali kiedyś Pudłowie, ci najstarsi. Ukraińcy. Zanim zdążyłem zadać sobie pytanie, co też się z nimi – tymi, co pozostali – stało, z budy wyskoczył niewielki psiak i biegnąc z ujadaniem w moją stronę, wystraszył kilka przechadzających się po wydeptanym klepisku tłustych gęsi, które machając kikutami skrzydeł, rozbiegły się z głośnym gęgotem we wszystkich kierunkach. Wrzask ptaków zaniepokoił rogaciznę zza parkanu, która zaczęła głośno ryczeć. W jednej chwili z cichego, pustego na pozór podwórka zrobiła się rozkrzyczana menażeria. Cofnąłem się o krok – atak psiaka wystraszył również mnie, do momentu kiedy zorientowałem się, że jest on uwiązany na ciężkim krowim łańcuchu, który po kilku susach małego krzykacza naprężył się, szarpnął i przewrócił głupola, urywając skowyt w pół tonu. Oszołomiona psina podniosła się szybko i kaszląc, powlekła do skromnej budy, ciągnąc za sobą łańcuch. Droga była wolna. Musiałem szybko obieć dom – wejście znajdowało się na jego tyłach – i w kilka chwil, podczas gdy mały cerber dochodził do siebie, przemknąć się i dopaść pokruszonych betonowych schodków prowadzących do sieni.

Byłem przekonany, że hałasy zaalarmowały domowników, ale przez otwarte na oścież drzwi nikt się nie wychylił. Wszedłem do ciemnego pomieszczenia, gdzie w jednej sekundzie owionął mnie mdlący, słodko-zjełczały zapach stęchlizny dobywający się ze ścian i dywanów, spomiędzy desek podłogi i spękanego sufitu, z każdego pora tej wiekowej zapuszczonej budowli. Wcisnąłem przełącznik, pstryknęło, ale za tym głuchym dźwiękiem nie popłynął żaden promień światła. Stałem chwilę, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Pamiętałem doskonale rozkład pomieszczeń, który zresztą we wszystkich domach we wsi był dokładnie taki sam, mogłem iść w ciemno, jednak mimo

wszystko chciałem czuć się pewnie, wolałem momencik zaczekać. Powoli zacząłem dostrzegać zarys drzwi, które, jak sobie przypominałem, powinny prowadzić do głównego pokoju, kuchnia znajdowała się naprzeciwko, obok schodów na piętro. Zapukałem. Poza dochodzącym z wnętrza dudnieniem telewizora nie usłyszałem żadnego dźwięku. Zapukałem ponownie, tym razem natarczywiej. Drzwi uchyliły się delikatnie i w szparze, nieco powyżej klamki, ukazała się blond główka z rozwianymi włosami, które bezskutecznie próbowano okiełznać, wiążąc w gruby warkocz dyndający pomiędzy łopatkami.

– Rodzice w domu? – zapytałem półgłosem.

Dziewczynka potaknęła, a niesforne kosmyki opadły jej na twarz. Odgarnęła je szybkim gestem i cofnęła się do wnętrza pokoju, otwierając szeroko drzwi. Zrobiłem dwa kroki i znalazłem się w rozgrzanym pomieszczeniu. Żytkowie siedzieli w głębokich fotelach wpatrzeni w telewizor. Magda Masny zakręciła Kołem Fortuny, a pięć par oczu zawirowało w takt tykającej miarowo gumowej wskazówki. Obracająca się tarcza zwalniała bieg, rodzina jak zahipnotyzowana nie spuszczała z niej ani na sekundę wzroku i wreszcie koło, turkocząc coraz wolniej i wolniej, zatrzymało się, a gumowy palec wskazał na jasnozielone pole z liczbą trzysta pięćdziesiąt.

– To ile to będzie? – spytała lekko schrypniętym głosem, nie odwracając głowy od ekranu, siedząca w fotelu kobieta. W pokoju zapadła cisza. Kloss zagadywał graczy, co zdawało się w ogóle nie interesować śledzącej ich zmagania rodziny Żytków, która sama zmagiała się ze znikającymi w niezrozumiałym procesie denominacji zerami.

– Jakoś tak ze trzy i pół miliona – odpowiedział wreszcie Czółko i odetchnął.

– O ja cie smole! – Na kobiecie suma zrobiła piorunujące wrażenie.

Zupełnie jak kiedyś, za PGR-u, pomyślałem, wtedy też mieszkańcy Wrześniowa zasiadali w co drugą sobotę przed telewizorami, wpatrzeni bezmyślnie w Wielką Grę, z której interesowały ich jedynie stawki i wygrane, bo przecież nie wiedza sącząca się z ekranu. Panie Henryku, na który zestaw pan się decyduje? – pytała Stanisława Ryster, a dla nich nieistotne były zaklęcia ukryte w zapieczętowanych kopertach, tylko tysiące złotych wyrysowane na przesuwającym się wraz z zestawami kole; zegar odmierzał dwie minuty, a oni czekali nie na odpowiedź, bo ta była im w zasadzie obojętna, podobnie jak i pytanie, tylko na okrzyk prowadzącej: TAK! BRAWO! potwierdzający, że już za dwa tygodnie portfel gracza spuchnie o pięćdziesiąt tysięcy złotych. Później już spokojnie mogli oddawać się rozmyślaniom o tym, na co przeznaczyliby wygraną, gdyby ta jakimś cudem trafiła do ich rąk, i niemal zawsze jakoś tak wychodziło, że byłoby z tego sporo picia, bez zmartwień, wysiłku i bez pracy. Przecież w PGR-ze niczego im nie brakowało, wszystko, co było niezbędne do życia, wszystko, czego tylko potrzebowali, dostawali od zakładu, zatem jeśli mieliby mieć pieniądze, to trzeba by było je przepić, bez względu na sumę. Teraz nikt niczego już im nie dawał, ale namiętność do obserwowania spadających z nieba banknotów pozostała. Tylko siermiężne koło Wielkiej Gry zastąpiła lunaparkowa, święcąca tarcza, która kusiała fortuną sypiącą się z niej za każdym obrotem jak z rogu obfitości. Niestety nic z tych darów nawet rykoszetem nie trafiało do domu wpatrzonych w telewizor Żytków; w pokoju bieda piszczała z każdego kąta tak, że aż bolały uszy – całe umeblowanie, ściany, podłoga, firanki i ciężkie zasłony były stare, poniszczone i szare, jedynym kolorowym elementem w tym zbutwiałym pomieszczeniu, w którym unosiła się stęchła woń rozkładu, był ekran telewizora stojącego w środku wyblakłej meblościanki.

– Ładny telewizor – odezwałem się od drzwi, walcząc

z teleturniejem o uwagę domowników. Odwrócili się w moją stronę niechętnie, powoli, jakby ciągnęci na siłę.

– Ach, to pan! – Czólko, dopiero kiedy mnie spostrzegł, poderwał się na nogi. Idąc za jego przykładem, jak za przewodnikiem stada, uczyniła to cała rodzina. – Niech no pan siada! – Zapraszającym gestem pokierował mnie w stronę stołu przykrytego nadżartą przez mole dzierganą serwetą. – Telewizor, tak właśnie. Od pana Oskara. To znaczy on kupił, ale ja mu spłacam z pensji. Na raty. Co miesiąc potrąca mi dwieście tysięcy. – Skąd ja to znam, pomyślałem. – Ale odbiera jak złoto. O, pan patrzy! I ma tego, no jak mu tam? O... pilota! – Zademonstrował działanie nowej zabawki, zmieniając kanał na Polsat. – Trochę śnieguje, ale nic to, niedługo kupi się nową antenę, specjalnie na Polsat. Wtedy sobie pooglądamy, co, Staśka? – Kiwnął z uśmiechem głową w stronę kobiety uprzątającej jakieś przedmioty z blatu, by zrobić przede mną miejsce na stole.

– A tak, oczywiście... – potwierdziła z przekąsem. – A pan to pewnie jest pan Roman? – zapytała schrypniętym głosem i pokazała w uśmiechu wybrakowane, niemiłosiernie pożółkłe uzębienie. Potaknąłem. – A ja jestem Staśka, żona tego łązęgi. – Wskazała kościstą, pomarszczoną dłońią, w której palcach ćmił się papieros, na Czólkę, na co ten wybuchnął krótkim rubasznym śmiechem, który bardzo szybko przeszedł w pokasływanie. – Kawy podać?

– Poproszę.

Obróciła się i przedelfilowała przez pokój, kołysząc wąskimi biodrami; z rozbawieniem obserwowałem ten pokaz, a jednocześnie ze zdumieniem stwierdziłem, że ma szczupłą, młodzieńczą wręcz sylwetkę nieprzyjemnie kontrastującą ze zniszczoną, pooraną zmarszczkami twarzą, w której żarzyły się jasnoniebieskie, wesołe, młode oczy. Ile mogła mieć lat? Zapewne nie więcej od Czólki, a on według moich obliczeń miał około czterdziestki. Wyglądała na znacznie starszą, chociaż

wiedziałem, że tutaj, w tym świecie ciężkiej fizycznej pracy, wystawione na ostre promienie słońca, mroźny, wiejący od morza wiatr, który czasem na chwilę cichł, uderzając w morenę – pierwszą napotkaną od wybrzeża przeszkodę – by po pokonaniu jej rozpędzić się i runąć na mieszkańców Wrześniowa ze zdwojoną siłą, wilgotne zimy, zacinający deszcz, przed którym nie było schronienia, i dodatkowo podlane spożytym hektolitrami tanim alkoholem, a teraz w Wolnej Polsce zmuszone jeszcze dodatkowo do codziennej, heroicznej w zasadzie walki o przetrwanie swoje i swoich rodzin, wrześniowieckie kobiety szybko i bezpowrotnie traciły młodość i urodę.

W coraz gęściejszych oparach papierosowego dymu gawędziliśmy o tym i owym przy podanej w szklance, na spodeczku, piekielnie mocnej kawie. Kiedy Staśka przyniosła mi parujące naczynie, w którym wirowały fusy, nie pamiętałem o miejscowym zwyczaju przestrzegającym przy serwowaniu gościom kawy, szczególnie tym ważnym; pierwszy łyk napoju szatana przypomniawszy mi o tym, stawiając niemal na baczność. Chcąc uhonorować gościa, sypano do szklanki całą furę zmielonego proszku, co najmniej kilka łyżek, niemal do połowy wysokości naczynia, mleka oczywiście nie uznawano, cukier natomiast jak najbardziej, i to również w okazałych ilościach. Szybkie wychylenie takiej dawki kofeiny holowało ciśnienie w najwyższe możliwe rejestry, a serce waliło jak oszalałe. Z kolei niewypicie zaserwowanego płynu było poważnym dyshonorem uczynionym gospodarzom. Gość znajdował się, jak ja teraz, w kropce, balansując pomiędzy dwugodzinnymi palpacyjnymi – i w konsekwencji perspektywą nieprzespanej nocy – a wyjściem na francuskiego pieska, w dodatku nieuprzejmego wobec podejmujących go szczerze, szerokim gestem domowników. Chcąc poprawić swoją pozycję startową, postawiłem na stole przyniesione piwo, co gospodarze przyjęli pomrukiem uznania, ale mimo to, mocząc co kilka minut delikatnie usta w czarnym

jak smoła płynie, zerkąłem jednocześnie na Żytków, sprawdzając, czy przypadkiem nie przekraczam już granicy tutejszego savoir-vivre'u, pozwalając stygnąć niedopitej kawie. (W przyszłości miałem się dowiedzieć, że w ramach oszczędności fusy, nim wylądowały w koszu, zalewano wrzątkiem jeszcze kilka razy).

Czółko pochwalił się rodziną, prezentując mi trójkę z czworga swoich dzieci: Adriana, Ariela i Kamillę, przez dwa l, co podkreślił bardzo dobitnie. Najstarszy syn, już niemal pełnoletni, hasał gdzieś poza domem. Wrócił po godzinie. Wpadł do pomieszczenia bardzo mocno utykając, a w zasadzie to już nawet nie było utykanie, tylko wołtyżerka w każdym kroku; kiedy stąpał, jego ciało przechylało się na prawą stronę i wydawało się, że grozi wywrotką, jednak w ostatniej chwili chłopak wykonywał silny wygibas, przenosząc środek ciężkości w ekwilibrystyczny sposób w bezpieczny punkt i łapiąc równowagę. Wydawało mi się, że jego prawa noga jest znacznie krótsza od lewej. Nastolatek, wbiegając albo, właściwiej byłoby powiedzieć, whuśtowując się do pokoju, chciał przekazać od progu rodzinie jakiś komunikat, ale kiedy mnie zauważył, zatrzymał się i zamknął usta.

– To najstarszy, Daniel. – Czółko spojrział na syna z dezaprobatą. – A ty się ukłoń, głąbie, panu Romanowi.

Chłopak ukłonił się, a potem, przełamując nieśmiałość, zwrócił się do Czółki:

– Ojciec, ja na zabawę do Trójczyna idę.

– Tam jeszcze cie nie było? – Z głosu Czółki biło politowanie.

– A co?! Ja to gorszy? Czemu miałby nie iść?

– A idź, idź. Tańców mu się zachciewa! Idź, nie będziesz musiał się wysilać, wystarczy, że wejdiesz na parkiet i zrobisz kilka kroków. He, he, he! – rżał Czółko i klepał się otwartą dłonią w kolano.

– Co ty pieprzysz, stary durniu? – włączyła się Staśka, broniąc syna.

– He, he, he, a co, źle mówię? Brekdensa może tańczyć, i to bez muzyki. He, he, he! – Nie mógł opanować śmiechu.

– Stary a głupi. Tyle ci powiem. – Żytkowa niby obruszona, również uśmiechała się pod nosem z „żartów” męża. – No już dobrze, idź, Daniel, na zabawę.

– No tak, ale pieniędzy mi potrzeba. – Dowcipy ojca zdawały się na synu nie robić żadnego wrażenia.

– Postaw kapelusz, to ktoś ci co wrzuci. He, he, he. – Czółko nie odpuszczał.

– Oj, byś przestał nareszcie. – Staśka też już śmiała się jawnie. Nagle jakby zawstydzona, spojrzała na mnie, po czym sięgnęła do kieszeni, wysupłała garść drobniaków i wcisnęła je w dłoń synowi. – Leć już, leć.

Chłopak obrócił się na pięcie i wykuśtykał z pokoju.

– A ty skąd pieniądze miałaś? – Czółko nagle stracił humor.

– Z grzybów mi zostało. – Staśka spojrzała na mnie, jakby dając mężowi znak. Podążył za jej wzrokiem i zamilkł. Postanowiłem szybko zmienić temat i powoli zbliżyć się do spraw, które mnie najbardziej interesowały:

– A jak wam z Bulerami się układa? – zapytałem niewinnie. – To teraz wasi sąsiedzi, z drugiej części domu.

– A jak ma się układać? Jak to z sąsiadami, raz lepiej, raz gorzej – Staśka wyrwała się z odpowiedzią.

– Stary Bulera to dziwny jakiś jest – przejął pałeczkę Czółko. – Niby taki zaradny. Jak PGR zniszczyli, to zaraz jakieś krowy wziął, kozy, króle też ma. O, nawet trochę ziemi. Ale jak pan tam do niego wejdiesz, to taki brud, taki syf, że ja pierdolę. I ta dzieciarnia zawsze taka wyświniona biega. Kocmołuchy! – Dyskretnie rozejrzałem się jeszcze raz po niezbyt czystym pomieszczeniu. No, skoro tu jest elegancko, to co musi się dziać za ścianą? – Jak idą na grzyby, to całą rodziną, z wanienką dziecięcą. Do niej zbierają. Takie miejsca mają! Czasem to i więcej jak dziesięć kilo natargają. Ale co oni z pieniędzami

robią, to ja nie mam pojęcia, bo tam bidno, jak u całej reszty, albo jeszcze bidniej. Poza tym tam co chwilę u nich jakieś awantury wybuchają. Ten najstarszy, Sebastian, z ojcem się czasem bijają. A jak stary się upije, to potem dziewczyny z domu z piskiem wybiegają, a on za nimi i rży, jak koń rży, tak dziwnie. Ja tam nie wiem, co się w środku dzieje, ale to nie jest normalne. I do tego to kłusowanie. Chodzą nocą, potem wracają – to sarna, to dzik. Co oni myślą, że ja ich nie widzę? Wszyscy wiedzą. Cała wioska. Wreszcie ich złapią. Już raz nawet ktoś ich podkablował, ale jak milicja przyjechała, to akurat nic nie znalazła, bo wszystko mieli już poprzerabiane. Następnym razem mogą mieć mniej szczęścia. Zresztą, co ja tak gadam, na pewno już usłyszeli, że mamy gościa, więc stary Bulera pewnie zara tu przyjdzie. Sam go pan zapytasz, panie Roman.

– Oczywiście, że zapytam, czemu nie. Też z nim nie rozmawiałem tyle lat. Jak ze wszystkimi. – Postanowiłem zaryzykować. – A co się stało z Pudłami? Wyjechali? To był przecież ich dom?

Żytkowie spojrzeli na siebie i jakby stęzeli. Czólko popatrzył mi w oczy i długo nie odpowiadał.

– A co się miało stać? – po pewnym czasie zaczął ostrożnie. – Mieszkali, a teraz nie mieszkają. Ich sprawa, nie?

– No tak, ale... – bąknąłem nieśmiało.

– Panie Roman, po tym wszystkim, wie pan, to tutaj tylko stara została. Reszta albo... no wiadomo... albo pojechali za tą Heleną do miasta. Stara siedziała sama, ale kontaktu z nią nie było. Zamknęła się w sobie. Nikt jej nie odwiedzał, aż wreszcie przyjechali po nią. Jakoś tak po trzech latach. Autem. Taką starą warszawą. Pojawili się wieczorem, z nikim we wsi nie rozmawiali, a rano już jej nie było. Gdzie pojechała, nie mam pojęcia. Pewnie do miasta. Albo na tę swoją Ukrainę. Kto ich tam wie? Dom stał pusty. Mnie akurat pierwszy dzieciak się urodził, ten kulawy, więc mi PGR dał to mieszkanie.

– Nie bałeś się?

– A co się miałem bać? Niektórzy to rzeczywiście pukali się w głowę, dziwili. A ja się pytam: co ma do tego dom? I rację miałem ja, dobrze się tu mieszka, dzieciaki się porodziły. Zdrowe. Teraz mam pracę, a nie jak inni!

– Czyli nie interesowałeś się więcej Pudłami?

– No mówię, że nie! – Zaczął się irytować.

– Ale przecież Pudłowa nie mogła wyjechać tak sobie, nie rozliczając się z PGR-em? Mówisz o niej „stara”, a ona przecież nie była nawet na emeryturze, wciąż pracowała – usiłowałem coś z niego wydusić.

– Panie Roman, wszyscy na nią mówili „stara”, nie pamięta pan? Stara Pudłowa, bo była z nich najstarsza.

– Może i tak, to nieistotne. Ale musiała przecież złożyć rezygnację z pracy, zdać rzeczy, tak jak mówię, rozliczyć się z zakładem... – brnąłem dalej, mimo zniecierpliwienia Czółki.

– Ja tam nic nie wiem! Może ojciec coś więcej będzie wiedział, on był brygadystą, to być może ktoś coś w biurze mu powiedział.

– Właśnie! Ojciec! Co z nim, zdrowy?

– Zdrowy, na emeryturze już. Grosz co miesiąc dostaje, to sobie żyje.

– Tam gdzie dawniej?

– A skąd, do Trójczyna poszedł. Jeszcze za PGR-u, jak kombinat zrobili, to go przenieśli. Dostał mieszkanie na blokach. Teraz...

Drzwi od pokoju otworzyły się gwałtownie, bez pukania. Nie było tu takiego zwyczaju, żeby anonsować swoje odwiedziny pukaniem czy jakimkolwiek innym sposobem. Drzwi do mieszkań we Wrześniowie nie zamykało się na zamek, a kto miał jakąś sprawę, chciał pogadać z gospodarzami – naciskał klamkę i wchodził śmiało do środka. Tym razem w progu stanął niewysoki mężczyzna w kaszkiecie, o szarej, pooranej bruzdami twarzy. Skrzyły się w niej maleńkie, głęboko osadzone, rozbiegane świńskie oczka, które sprawiały nieprzyjemne

wrażenie, potęgowane dodatkowo bezustannym mrużeniem, jakim bronił się przed napierającym na ślepia papierosowym dymem kopącym z trzymanej w zębach lufki. Omiótł wzrokiem pokój, a kiedy mnie spostrzegł, wykrzywił w uśmiechu wąskie usta, rozchylając delikatnie blade wargi i nieznacznie wywijając je w dół. Pokiwałem głową. Andrzej Bulera. Przyjechał do wsi niedługo przed moim pojawieniem się tutaj. Gdzieś z centralnej Polski, skąd pochodził. Co zwabiło go na Pomorze, trudno powiedzieć. Tak jak i nie miałem pojęcia, cóż takiego wyгнаło go z rodzinnych stron. W PGR-ze, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić, ponieważ fachu w ręku żadnego nie posiadał, powierzono mu niezbyt liczne stadko owiec, którymi nikt nie chciał się zajmować, a które należało trzymać, bo takie były wytyczne centrali – najwyraźniej w okolicznych pagórkach ktoś z decydentów dopatrzył się podobieństwa do górskich hal, a skoro tak, skojarzono, to i owce w takich warunkach powinny hodować się wyśmienicie. Zwierzęta umieszczono w starym poniemieckim kościele, do czego ten przybytek absolutnie się nie nadawał, i efekt był taki, że biedne baranki i owieczki zamiast „hodować się wyśmienicie”, padały jedne po drugich, czym w gospodarstwie nikt specjalnie się nie przejmował, a już najmniej sam Bulera. Później, przy okazji jakiejś kontroli, obawiając się srogich pomruków inspektorów, stado – a wraz z nim Andrzeja – przeniesiono do starej pruskiej owczarni, gdzie wcześniej w ramach pomysłów racjonalizatorskich umieszczono setki gęsi, które także jakoś się nie przyjęły. Ku zdumieniu dyrekcji, w nowym miejscu pomór, dotąd dziesiątkujący owce, nagle ustał.

Bulera mieszkał z wyjątkowo paskudną żoną, która jednak, o dziwo, cieszyła się zaskakującym powodzeniem wśród szukającej erotycznych przygód wrześniowieckiej młodzieży, znajdującej niezawodnie w ramionach Bulerowej ukojenie dla swoich nieokiełznanych, tuczonych buzującymi hormonami

żądź. Mówiąc krótko i bez zbędnych słownych fajerwerków: rznął ją każdy, kto miał na to ochotę i alpage na zbyciu. Ku mojemu zdumieniu, ochotę miało wielu, bardzo wielu. Andrzej i tym zdawał się nie przejmować, a w trójce dzieci, które wówczas mieli, nie doszukiwał się przesadnie podobieństwa do siebie, w końcu do przeglądania się miał lustro, a nie pociechy pełzające po podłodze świeżo zdobytego domu.

Dla Andrzeja Bulery priorytetem było ustawić się w nowej rzeczywistości, zdobyć zaufanie przełożonych, a jedynym sposobem na osiągnięcie tego celu, jaki przychodził mu do głowy, było pochlebstwo. Fałsz bił z tego człowieka na odległość, ale, czego nie mogłem zrozumieć, taka postawa podobała się w pegeerowskiej administracji. Bulera budził zaufanie dyrekcji i kierownictwa; nie sprawiał kłopotów, szedł zawsze z prądem, potakiwał, kiedy należało, milczkiem wycofywał się, gdy była taka potrzeba, kradł z umiarem, siedział cicho, gdy kradli inni, doskonale wpisywał się w panujące w pracy stosunki. Swoje relacje z mieszkańcami wsi starał się ułożyć według podobnego schematu. Po przyjeździe chwilę krążył pomiędzy frakcjami, szukając tej silniejszej. I tu popełnił błąd, zbliżając się do Poznaniaków, którzy z początku wydali mu się mocniejsi, a kiedy zorientował się, że się omylił, zaczął adorować Ukraińców, ci jednak odrzucali jego umizgi. Ostatecznie zbratał się z Bydgoszczanami, słusznie oceniając, że to oni, choć nie najsilniejsi, decydują, na którą stronę przechyli się szala w zmaganiach dwóch najpotężniejszych pegeerowskich rodów.

– Wrócił pan? – zapytał, nie wypuszczając z zębów lufki, za to z każdym słowem wydmuchując z ust kłęb sinego dymu.

– Nie, panie Andrzeju, przyjechałem w odwiedziny. Zobaczyć stare kąty.

– Rzeczywiście stare, he, he. Co tu jest do oglądania?

– Z wiekiem nachodzi człowieka ochota na powspominanie.

– Ja tam do tyłu nie patrzę. Trzeba sobie w życiu radzić na co

dzień, nie, Stefan?

Wszedł do środka i usiadł przy stole. Podsunął do siebie popielniczkę, wyciągnął z ust lufkę i wsadził jej koniec pomiędzy palce lewej dłoni, którą zacisnął w pięść, a następnie szybkim, krótkim, mocnym ruchem uderzył w nią prawą ręką. Pod wpływem ciśnienia żarzący się ogarek papierosa wystrzelił z lufki wprost do popielniczki.

– Można? – Bulera sięgnął po położone przeze mnie na stole mocne. Wysupłał papierosa z miękkiej paczki, oderwał filtr i nabił lufkę. Trzasnęła zapalka. – O czym sobie gadacie? – zapytał Andrzej bez ceregieli, wydmuchując kolejny obłok dymu. Najwyraźniej wraz z upadkiem PGR-u Bulera nabrał tupetu. A może była tego jakaś inna przyczyna, w każdym razie takiego – pewnego siebie, bezpośredniego, zadającego pytania, a nie czekającego, aż ktoś zrobi to pierwszy – go nie znałem.

– Zastanawiamy się, co też mogło się stać z Pudłową – odpowiedziałem szybko, zanim Stefan zdążył otworzyć usta.

– Nie mam pojęcia. – Bulera wzruszył ramionami.

– Byliście w końcu sąsiadami. – Nie dawałem za wygraną.

– No byliśmy i co z tego? – Temat wyraźnie go irytował. – Ze wszystkimi nimi byłem. Ukraińcami. A teraz ich nie ma, sam pan wiesz, co im się stało. Wczoraj mieszkali tu oni, dziś Stefan. Tak to już jest. Mówię: nie ma się co oglądać za siebie. Trzeba patrzeć, jak to Ruscy mówią, *wpieryd*. Ja mam, panie Roman, rodzinę na utrzymaniu. Piątka dzieci. I jeszcze synowa i wnusio. O nich muszę myśleć, a nie o Pudłowej. Wyżywić całe to stado.

– Z tym wyżywianiem to ty lepiej, Andrzej, uważaj – wtrącił się Żytko.

– A co ty, Czółko, mnie straszysz?

– Nie straszę, tylko ostrzegam.

– No, no. Nie bądź taki chojrak, bo zawołam Zbycha i inaczej sobie, kurwa, pogadamy.

Stefan poderwał się na równe nogi.

– Uspokójcie się – wtrąciła się Staśka – pan Roman nie musi słuchać waszego głupiego gadania.

– Racja! – Bulera ponownie wystrzelił ogarkiem do popielniczki i nie pytając o zgodę, sięgnął po kolejnego mocnego. – Krowę mam, kozę, to mleka dla dzieciaków nie brakuje, króle, gęsi, a w tym roku dwie rójki zebrałem, więc i miodu nakręciłem. Jak pan chcesz, to słoiczek odstąpię. – Uśmiechnął się przymilnie. – Tu we wiosce to jeszcze tylko nauczyciel pszczoły miał, ale mu się zmarło. Teraz jedynie ja. Dobrze, że ten Oskar pola obrabia, to jest trochę pożytku.

– Zaradny z pana gość się zrobił.

– A co? Mam, jak ta cała reszta, gapić się w ziemię i wspominać, jak kiedyś było dobrze? No było, nie da się ukryć. Złote czasy były, a teraz ciężko, ale przecież z głodu zdechnąć sobie i rodzinie nie pozwolę. Tolek mi pomaga, reszcie też nie daję się lenić.

Miałem przed sobą dwóch mieszkańców Wrześniowa, którzy na swój sposób potrafili zaadaptować się do nowej rzeczywistości. Nie powiem, żeby ją akceptowali, żeby byli z niej zadowoleni, również w nich tliła się tęsknota za PGR-em, ale obaj potrafili – każdy inaczej – odnaleźć się w nowych czasach, zadbać o siebie i rodziny. Ogromna większość z pozostałych tego nie umiała i trudno nawet było ich za to winić. Bezrobocie we wsi sięgało dziewięćdziesięciu pięciu procent, czasem komuś na lewo udało się znaleźć jakąś dorywczą robotę na kilka dni, a to w sezonie u Oskara, a to w lesie, a to przy jakimś załadunku lub rozładunku, ale okolica dotąd żyła z PGR-u. Miasteczko również utrzymywało się z tego, co urodziła ziemia, dzisiaj, gdy gospodarstwo upadło, ani w pozbawionym przemyśle Miasteczku, ani w całej okolicy pracy nie było, a ci biedni ludzie uzależnieni od PGR-u jak sługa od pana w jednej chwili zostali pozbawieni opieki, oparcia, pomysłu na życie, byli właśnie jak niewolnicy, którym zmarł właściciel i powiedziano im: jesteście

wolni, a oni ani wolni być nie chcieli, ani z tej wolności nie potrafili skorzystać, a tym bardziej się nią cieszyć, przeciwnie, traktowali ją jak dopust boży. Ile jeszcze czasu będzie musiało upłynąć, ile nowych pokoleń wzrosnąć, aby ci postpegeerowscy ludzie stali się pełnoprawnymi mieszkańcami naszego kraju, zastanawiałem się, aby wreszcie przestali się czuć, i rzeczywiście nie byli, wykluczeni, aby ich życie nie sprowadzało się do prostej wegetacji, w której chodzi jedynie o zaspokojenie najbardziej podstawowych potrzeb?

Gawędziliśmy jeszcze godzinę. Czółko zorganizował skądś alpage, którą wysączyliśmy ze szklanek. Języki nam się rozwiązały, szczególnie Bulerze. Przy pożegnaniu postanowiłem jeszcze raz spróbować:

– To co, panie Bulera, naprawdę nie wie pan, gdzie podziewa się Pudłowa? Nie zostawiła jakiegoś adresu?

– Ależ pan uparty, panie Roman.

– Po prostu bardzo mi zależy, żeby ją odnaleźć.

– A co ja biuro meldunkowe jestem? Nie wiem, nic nie poradzę. W urzędzie pan sprawdź albo spytaj starego dyrektora. Mieszka podobno w Miasteczku. O, jest jeszcze Żytko, Bogdan, ten też może coś wiedzieć. Ale najpewniej to stara już umarła. Po tym wszystkim jej się klepki we łbie poprzekręcały, a tacy ludzie nigdy długo nie pociągną.

Podaliśmy sobie ręce i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Potrząsnąłem latarką, która z początku nie chciała się zapalić, wreszcie zamrugła i rozbłysła niemrawym żółtawym światłem. Odetchnąłem z ulgą.

*

Należało rozmówić się z Bogdanem Żytką. Ale wcześniej chciałem jeszcze zajrzeć do prokuratury w Miasteczku, może

w dokumentach znajdę coś, co pomoże mi w tej rozmowie, kombinowałem.

Renówka miękko weszła w łuk. Porastające pobocze stare klony, tworzące nad jezdnią rodzaj zielonego tunelu, z charakterystycznym szumem migają w bocznych szybach samochodu. Wiedziałem, że zaraz zza zakrętu wyłoni się Miasteczko. Byłem ciekaw, jak zaprezentuje się po tych wszystkich latach. Nie spodziewałem się cudów. Wręcz przeciwnie. Pięć lat temu wyczytałem w notatce prasowej, że w momencie gdy każdy fragment naszego kraju, który mógł zaoferować jakąkolwiek atrakcję turystyczną, ustawiał się w blokach startowych, aby w nowych warunkach gospodarczych rozpocząć wyścig po nowego turystę uzbrojonego w nowe wymagania i nowe oczekiwania, dyrektor jedyne w Miasteczku zakładu przemysłowego, który właśnie, jak wiele podobnych w kraju, chylił się ku upadłości, podjął decyzję o wypuszczeniu – w ramach cięcia kosztów – zużytego mazutu do jeziora, głównego wabika mającego przyciągnąć do tego byłego niemieckiego uzdrowiska rzesze wczasowiczów. Nastąpiła gigantyczna katastrofa ekologiczna, życie w jeziorze wymarło, woda z akwenu wypadła poza jakąkolwiek klasę czystości, a gdyby utworzono kiedyś jakąś klasę nieczystości, znalazłaby się zdecydowanie na jej szczycie, kąpieliska zamknięto, nad brzegiem pojawiły się tabliczki okraszone trupimi czachami, a do Miasteczka pies z kulawą nogą przestał zaglądać. W górach, nad jeziorami, nad morzem, w miastach, miasteczkach i we wsiach powstawały nowe ośrodki wczasowe, remontowano i tuningowano stare, pączkowały pensjonaty, w modę wchodziła właśnie agroturystyka, a Miasteczko borykało się ze śmierdzącą wodą, wymarłymi ulicami, brakiem inwestycji i perspektyw. Jednak ogromna jest siła przyrody, jezioro z wolna się regenerowało i wreszcie w tym roku, po pięciu latach przerwy, na kilka tygodni warunkowo otwarto kąpieliska. Można było

zacząć nadrabiać stracony czas. Niestety, do tej chwili peleton odskoczył Miasteczku bardzo daleko.

Wjechałem na wiadukt przerzucony nad torami kolejowymi i po prawej zobaczyłem osiedle z wielkiej płyty, którego nie znałem – wcześniej były tu zaniedbane chaszczce, z których sterczały jedynie porośnięte mchem żelbetowe kłocę bunkrów, pozostałości po umocnieniach Wału Pomorskiego – widać mimo kryzysu drążącego kraj od schyłku gierkowskiej dekady coś się jednak tu i ówdzie budowało. Dalej zauważyłem dobrze już mi znane, konkurujące ze sobą od ponad wieku neogotyckie wieże kościoła i ratusza. Sąd, a obok niego prokuratura znajdowały się w samym centrum po sąsiedzku z pocztą, zbudowane, a jakże, również w neogotyku, tak ukochanym przez pruską pomorską architekturę przełomu wieku. Ale zanim udałem się do celu mojej wyprawy, postanowiłem zrobić jeszcze małą rundkę samochodem przez uliczki Miasteczka. Chciałem, zbierając myśli, przypomnieć sobie znajome kąty. Skręciłem w prawo w wąską ulicę ciągnącą się wzdłuż jeziora. Mijałem wpatrzone w wodę poniemieckie fantazyjne wille, które do wojny gościły kuracjuszy odwiedzających to popularne uzdrowisko, a później, już w Polsce Ludowej, stały się siedzibami różnych państwowych instytucji, takich jak przedszkola, przychodnie lekarskie czy poradnie przeciwgruźlicze. Teraz w większości ziały pustką; zdewastowane, z łuszczącą się farbą, odpadającym tynkiem, walącymi się dachami, oknami zabitymi dechami, z ogródkami porośniętymi chwastami. W dawnych, zweryfikowanych przez fantazję dyrektora zakładu przemysłowego planach miały wypełnić się wczasowiczami albo zostać kupione przez biznesmenów, którzy mogliby z takiego domu, rzucając grube miliony, stworzyć sobie wakacyjną architektoniczną perełkę; dziś były nikomu niepotrzebne, chyba że zaskoczonym deszczem pijaczkom raczącym się nad jeziorem winkiem. Nikt nie miał na nie pomysłu. Ale czy na pewno nikt?

Krążąc po Miasteczku, szukając różnic pomiędzy jego dzisiejszym a dawnym wyglądem, pierwsze, co rzucało mi się w oczy, to – jak w całym kraju – krzyżące, kolorowe, wybijające się z szarości ulic billboardy, nachalnie reklamujące dobra w większości będące poza zasięgiem mieszkańców Miasteczka i okolicznych wsi, przyjeżdżających załatwić tu swoje sprawy. Po co to? – zastanawiałem się. Jaki jest sens inwestować w reklamy produktów, których i tak nikt nie kupi, a jeśli nawet, to w niewielkich ilościach. Walka o te grosze ściubione w rachitycznych portfelach miejscowych była zaprawdę imponująca. A może nie chodzi o to, żeby wcisnąć teraz coś komuś, lecz o to, żeby wychować sobie konsumenta? Przecież ta bieda nie będzie tu trwać wiecznie. Kiedyś ci ludzie wreszcie będą mieli pracę, jakieś pieniądze. Może w końcu zjadą do Miasteczka turyści? Kto odpowiednio wcześniej porozpycha się łokciami, kto dotrze do umysłów, marzeń o lepszym jutrze, ten, kiedy to jutro wreszcie nadejdzie, będzie miał już zdobyte i umocnione przyczółki, będzie daleko przed krótkowzroczną konkurencją. W tym zalewie bezczelnego konsumpcjonizmu uwagę przykuwała część tablic różniąca się przekazem od pozostałych; spoglądał z niej w oczy mieszkańcom Miasteczka przystojny mężczyzna o szerokim, szczerym uśmiechu. Obiecywał, że jeśli tylko elektorat mu zaufa, on sprawi, że to wyczekiwane jutro nadejdzie szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa. Miasteczko pełne było plakatów z jego podobizną i programem wyborczym, który na pierwszy rzut oka wydawał się mieć sens. Zbliżyły się wybory lokalne, a Tadeusz Żurawiecki był najpoważniejszym kandydatem na burmistrza. Znacznie później dowiedziałem się, że po wygranej, chcąc rozpropagować walory turystyczne budzącego się z ekologicznej śmierci klinicznej Miasteczka, nowy burmistrz ufundował na koszt urzędu kolonie i obozy dla dzieci z całej Polski. Pomysł chwycił, w kolejnym roku zaczęli nad jezioro napływać pierwsi, na razie

niezbyt wymagający i zasobni wczasowicze, ale z każdym kolejnym sezonem liczba turystów rosła. Miasteczko z wolna zaczęło stawać na nogi.

Na razie Tadeusz Żurawiecki walczył o fotel burmistrza, a ulice i uliczki uzdrowiska straszyły pustką i zaniedbaniem. Straszył też stary poniemiecki park, zdewastowany już w czasie wojny przez zwycięską Armię Czerwoną, a teraz zarastający chwastami, z drażnionymi przez choroby i szkodniki wiekowymi okazami drzew, na ratowanie których nikt nie miał pieniędzy, i zamkniętą od dawna, spleśniętą muszlą koncertową. Wystarczy już oglądania tej nędzy, pomyślałem. W złym humorze zawróciłem i już miałem pojechać wprost do siedziby sądu, kiedy w oczy rzucił mi się prostokątny klocek pokrytego szarym tynkiem prostego budynku, do którego przytwierdzono tabliczkę z niebieskim napisem wersalikami: POLICJA. Wahalem się chwilę, ale cóż miałem do stracenia poza kilkoma minutami czasu, który i tak mnie nie gonił. I rzeczywiście, przeczucia mnie nie myliły. Kiedy po owych straconych kilku minutach wychodziłem z komendy, wiedziałem tylko tyle, że nikt z pracujących tam teraz nie tylko nie pamięta lat siedemdziesiątych, ale nawet nie zna nikogo, kto by je pamiętał i słyszał o wydarzeniach z Wrześniowa. Pozostawała prokuratura, ostatnie miejsce, w którym mogłem znaleźć ślad jakichś dokumentów dotyczących sprawy.

Podjechałem pod zbudowaną z ciemno palonej cegły strzelistą fasadę ze schodkowym szczytem. Do wciśniętych w głęboką archiwoltę masywnych drzwi prowadziło kilka kamiennych stopni. Zatrzymałem się. Petent, stając oko w oko z tą wzniesioną przez państwo potężną budowlą, nabierał już na starcie, zanim jeszcze przekroczył próg sali sądowej, odpowiedniej skali. W pochodzącej z tego samego okresu warszawskiej architekturze *parlante*, którą doskonale znałem, a która przyniosła wysyp różnych neo, formę i styl budowli dostosowywano do jej funkcji,

uznając, że dla budynków użyteczności publicznej najwłaściwszy będzie monumentalny petersburski klasycyzm, uczelniom przystoi renesans, sztuka winna zamieszkać w baroku, cerkwie – oszalać bizantyjskim przepychem, a kościołom katolickim do twarzy będzie w gotyku. W tym samym czasie na niemieckim Pomorzu budowniczym neogotykiem pasował do wszystkiego. W samym tylko Miasteczku kościół, ratusz, poczta, sąd właśnie, a nawet odwołujące się do hanzeatyckich wzorów kamieniczki w rynku pobudowane były w tym stylu. Także gigantyczny pałac we Wrześniowie, który Oskar, jak na razie bezskutecznie, starał się podnieść z ruiny, wzniesiony był w formie ciężkiego neogotyckiego zamczyska. Wszystkie te solidne budowle przetrwały wojenną zawieruchę, a później próby komunistycznych liftingów, i do dziś, zachowując swoje funkcje, służą władzom i nowym właścicielom, wciąż ustawiając swoim groźnym wyglądem relacje państwo–obywatel.

Otrząsnąłem się z przytłaczającego wrażenia, jakie zrobił na mnie budynek, i wszedłem do wnętrza. Wspiąłem się po trzeszczących drewnianych stopniach klatki schodowej, mijając kilka zafrasowanych twarzy, odnalazłem odpowiednie drzwi z odpowiednią tabliczką i nacisnąłem mosiężną klamkę. Kilkadziesiąt minut później, schodząc po tych samych trzeszczących schodach, nie byłem wiele mądrzejszy, niż kiedy wchodziłem do sekretariatu prokuratury. Siedząca za kontuarem pięćdziesięcioletnia platynowa blondynka o pełnych ustach przyjęła mnie z wyraźną rezerwą, a moje pytania zbywała, tłumacząc się „brakiem właściwości”, jednak ostrzelana komplementami, zupełnie nie potrafiąc się przed nimi bronić, z czasem zaczęła kruszeć. Każde kolejne miłe słowo nadwątlało mur, którym odgrodziła się od interesantów, i wreszcie, przyklejając do twarzy szeroki uśmiech i strzelając mocno umalowanym okiem, wstała, odsunawszy z głośnym szurnięciem krzesło. Podeszła do wysokiej, pamiętającej czasy Gomułki szafy,

w której wnętrzu stały jedne przy drugich opasłe, oprawione w szare płótno tomiska z wypisanymi na brzegach czarnym flamastrem datami.

– To kiedy dokładnie to było? Grudzień siedemdziesiątego siódmego? – zapytała, jadąc palcem wzdłuż ksiąg.

– Tak, grudzień! Wie pani, musi być „r” w nazwie miesiąca.

– Oczywiście, znam te przesady. Wątpię, żeby coś tu było – powiedziała, wyciągając z wysiłkiem z półki odpowiedni tom i rzucając go na kontuar. – Pamiętam, jak to się wydarzyło. Wszyscy tu o tym mówili. Nawet w gazecie napisali. Taka tragedia. Tyle... – Pokręciła ze smutkiem głową.

– Właśnie, taka głośna sprawa to musiało być wyzwanie dla prokuratora.

– Niby tak, ale nie na długo. Nasi jedynie zabezpieczyli teren, a potem sprawę przejęła prokuratura wojewódzka i tyle. – Przerzucała, wodząc po nich palcem, pożółkłe kartki zapisane granatowym atramentem, kolumna po kolumnie, równym kancelaryjnym pismem. – A potem już, wie pan, jak to jest, ludzie zaczęli interesować się czymś innym. Każdy musiał zadbać o siebie i sprawa przyschła. Ja nawet nie wiem, jak to się skończyło. O, mam! – Zatrzymała się na wpisie pod datą 26 grudnia 1977 roku.

Pochyliłem się nad repertorium, próbując wyczytać coś w zaszyfrowanych w nim cyfrach i znakach.

– Tak jak myślałam: u nas żadnych akt nie ma, powędrowały do wojewódzkiej i już do nas nie wróciły. Musi pan pojechać do Koszalina. Zapiszę panu numer sprawy. – Sięgnęła po karteczkę. – Miejmy nadzieję, że akta nie poszły do brakowania, bo wtedy to już nie dowie się pan niczego.

– A często, jak to pani powiedziała, brakuje się takie akta?

– To zależy. Przede wszystkim od tego, jak się sprawa zakończyła: czy i jakim wyrokiem. I jaką akta dostały kategorię, A czy B? Jeśli A, to albo leżą w archiwum zakładu, albo

powędrowały do archiwum akt dawnych, a jeśli B, to różnie może być. Poszły w komin, a może nie poszły. Trudno powiedzieć. Dowie się pan na miejscu.

Czekała mnie wyprawa do miasta wojewódzkiego, ale najpierw należało pogadać z Bogdanem Żytką. Przekręciłem kluczyk i zanim wrzuciłem bieg, docisnąłem pedał gazu; strzałka obrotomierza powędrowała w górę.

*

Ja to sie dziwie, panie Roman, po cóś pan tu w ogóle przyjeżdżał? No wtedy, ile to już będzie lat? Dwadzieścia? Prawie? No właśnie. Ale po jaką cholere? Ja rozumiem, że pan siedział. Pełno tu jest takich, co po wyjściu z więzienia nie mieli co ze sobą zrobić, to jechali do PGR-u. Bo tu, wiadomo, i mieszkanie zaraz dostali, i praca była dla wszystkich. Potrzebna była każda para rąk. Ja sam do brygady mogłem wziąć tylu ludzi, ilu chciałem. A teraz, patrz pan, ten Oskar dwóch tylko zatrudnia, w sezonie jeszcze kilku na lewo dobierze i wszystkie pola uprawia. A reszta co, głodna siedzi. W każdym razie niejeden, co tu mieszka albo kiedyś mieszkał, spędził przeszłość w kryminale, ale to były tłuki, a pan jesteś łebski facet. Długo pan siedział? Rok nie wyrok, jak to mówią. Za co, jeśli wolno zapytać? Przestępstwo gospodarcze? Ja to sie tam na tym nie wyznaje. Ale widzi pan różnice, tamci inni to były zwykłe oprychy: bandyci, złodzieje, przekrętasy. Jak taki posiedział za kradzież, to potem tutaj mógł sie czuć jak u siebie. Pamięta pan, jak to sie z PGR-u rzeczy wyносиło? Nie powiem, sam brałem, bo to wszystko było nasze, tak nam mówili. Teraz patrze na to troche inaczej, ale wtedy brali wszyscy, to ja też. Nie było sie nad czym zastanawiać. Mydło z łazienki, śrubki, narzędzia, paliwo, marchewke z magazynu, nawóz, zboże na zasiew, co kto mógł, wszystko co przydatne w domu albo co

kmiotom dało się obżenić. Kiedyś, jak jeszcze na kombajnie robiłem, to ci z Kaczkowa mieli zapotrzebowanie na pszenice, którą właśnie rąbaliśmy. A tu akurat jakaś kontrol się zbliżała, czy coś, i dyrekcja jakby szaleju się nażarła. Wzięli ludzi z biura, dali im lornetki i na rogach pola ustawili, żeby nas pilnowali. No rzeczywiście, żaden kmiot z traktorem nie mógł podjechać, żeby mu sypnąć tej pszenicy na przyczepie. Ale wie pan, jaki to u nas jest teren? Same pagórki. Dogadałem się z chłopakami, bo w trzy kombajny akurat szliśmy, i zatrzymaliśmy się w dołku. Tak że żaden nas przez te lornetki nie widział. Tam na pole zrzuciliśmy zboże. Biurowi nawet trochę się dziwili, co tak długo nie było nas widać. Powiedziałem, że złapałem kamień hederem. Nikomu oczywiście nie chciało się tego sprawdzać. A wieczorem kmiotek podjechał z szuflą po te pszenice i sprawa była załatwiona.

Nie było na nas mocnych. Tylko trzeba było uważać, z kim się kombinowało, bo pamięta pan, jakie to były u nas podziały? Jedni na drugich krzywo patrzyli. Później, jak mnie zrobili brygadzystą, myślałem, że będzie inaczej. Ale gdzie tam! Przeciwnie – miałem jeszcze więcej możliwości. Każdy chciał ze mną dobrze żyć, bo to ja od tej chwili robote przydzielałem. Do mnie kierownictwo zwracało się o to czy tamto. Ja dbałem na przykład o paliwo. W naszym CPN-ie zapisywałem, ile kto nabrał napędu, a potem obliczałem, ile spalił. I ludziom krzywdy nie dałem zrobić, każdy coś tam mógł zakombinować, byle mi nie wchodził w parade. I byle nie przesadził. Jak kto po słód do gorzelnii jechał, to nie więcej jak litr ściągał, odlewał sobie i zbierał, dzień po dniu, a potem po kilku dniach, jak już nazbierał, kmiotowi opchnął. Kiedyś przyszedł taki nowy. Ja mu powiedziałem, jakie są zasady, ale on był pazerny i od razu pierwszego dnia zachachmęcił chyba z pięć litrów napędu. Więc go zawołałem i ostrzegłem, ale on za chwile to samo. Nie mogłem ryzykować, poszedłem do kierownika. Ten wlepił mu nagane i dał jeszcze jedną szansę. Przez tydzień chyba był spokój,

a później miglanc znowu swoje. Nieuleczalny przypadek. Musiał sobie innej roboty poszukać. Co się z nim stało, nie wiem. Do nas się nie nadawał. Ale inni owszem. Zgrani byliśmy. W mojej brygadzie robili Ukraińcy i Czyżyk, i Szeptycki, i Szczerbowski, nawet Kulewicza wziąłem, ale tylko na chwile, bo on był taki tępy, że nie nadawał się do maszyn. Silny chłop, nie powiem. Że pisać i liczyć nie potrafił, to jeszcze pół biedy, ale on kompletnie nie rozumiał, jak działają maszyny, a bez tego się nie da, choćby się miało nie wiem ile pary w rękach. Wrócił do koni. Miał ich dwanaście pod opieką. Dumny ciągle to powtarzał. A jak mu trzy konie sprzedali i poszły do jatki, to liczył i liczył, aż wreszcie mu wyszło, że zostało czternaście. Taki to łebski typek. Wszyscy wtedy z niego darli łacha. Tylko ostrożnie, tak żeby się nie zorientował, bo jak pan wiesz, krzepe to on miał i potrafił przypierdolić, więc lepiej było uważać.

Fajną miałem brygadę, nie powiem. Tylko Poznaniaków do siebie nie brałem. Nie żebym coś do nich miał – chociaż szczerze mówiąc, za nimi nie przepadałem – ale nie chciałem kłopotów w brygadzie. A pamięta pan, jakie to były stosunki między nimi a Ukraińcami? No właśnie. Po co mi to, myślałem, jakieś podkładanie sobie świń, brak pomocy w razie potrzeby, może nawet donosy, o nie, tego właśnie za wszelką cenę usiłowałem uniknąć. Potem mówili, że ja tych Poznaniaków, czyli Gruszczyńskich, nie znosiłem i przeszedłem do obozu Ukraińców. A to nieprawda. Ja tu ze wszystkimi pragnąłem dobrze żyć, bo mnie się tu podobało. Nie tylko zresztą mnie.

Pamięta pan, jak tu życie wyglądało? Ludzie byli zadowoleni. Wiadomo, ten i ów na coś tam narzekał, tak jest zawsze, ale ogólnie to wszystkim się podobało. Naród chodził uśmiechnięty, nikomu niczego nie brakowało. Każdy miał zapewnioną pracę, dach nad głową, ubranie, jedzenie, rozrywki. O, na przykład organizowano wycieczki. Nad morze, do Gdańska, Warszawy... Ja to byłem nawet w Budapeszcie! Tak, pojechała nas cała gromada.

W nagrode. Co myśmy tam za cuda oglądali. W hotelu była taka przezroczysta winda i klatka schodowa z fikuśnymi poręczami. W zoo byliśmy. Dasz pan wiare, że słonie mają tam zagrode w kształcie pałacu, jak z bajki, a na środku jest sztuczna góra z wielkimi ptaszydłami? Miasto piękne. Rzeka ogromna, jak jej tam? Zapomniałem... O właśnie: Dunaj. Na kolacje nas zabrali niedaleko takiego śmiesznego mostu z łańcuchami i lwami z kamienia. Wnieśli rosół, my złapaliśmy za łychy, chcemy wiosłować, a tu piekło w gębie. Wszystkim oczy na wierzch powyłazili, tyle tam papryki sypią do jedzenia. Ale ogólnie żarcie w porządku, wina w bród, tylko gorzkie jakieś, i kelnerzy elegancko poubierani, i kelnereczki. A... czekaj pan, zamkne drzwi do pokoju... a babeczki jakie! Węgierki – palce lizać. Ciemne, kształtne. Ech! Nawet jedna taka wpadła mi w oko, i coś mi się zdaje, że ja jej też, ale nie było jak się dogadać, ten ichni język to do niczego niepodobny. Szkoda.

Tak, nie brakowało rozrywek w naszym PGR-ze. W maju to co roku jechaliśmy na pochód do Miasteczka. Pan też chyba raz był? Przygotowania trwały kilka tygodni. Wystrojeni, z ciągnikami, maszynami, transparentami, jak my się prezentowaliśmy! Duma, mówie panu! Szły też inne zakłady, inne gospodarstwa, jednak my nie mieliśmy się czego wstydzić, już dyrekcja o to dbała! A po żniwach rok w rok były dożynki. Cała wioska się bawiła. Czasem i pół nocy. Sam pan wie. Teraz jakie czasy, takie święto. W zeszłym roku Oskar zrobił dożynki. Postarał się chłopak, nie można powiedzieć, było ognisko, piekli barana, był prosiak przywieziony z restauracji, wódeczka – Stefek mi wszystko opowiedział – ale to nie to samo. Było ich tam pewnie z piętnaście osób, nawet ktoś z Warszawy dojechał, jakiś kolega Oskara. Sympatycznie, jednak nie ma porównania. U nas to i orkiestra grała, podest do tańczenia się budowało, i konkursy organizowano, można było wygrać nagrody, a na centralnych dożynkach w Miasteczku to nawet odznaczenia wręczano. To

wszystko miało swoją rangę. Rozmach, można powiedzieć.

Albo jak przyjeżdżało wojsko pomagać w akcji żniwnej czy wykopkach. Rozkładali się z takimi wielkimi namiotami. Niby skoszarowani w obozie, ale wiadomo, nikt ich za bardzo nie pilnował. Po robocie wymykali się za ogrodzenie. Dziewczyny to aż piszczwały. Puszczwały się na potęgę. Młodziaki z początku nie byli specjalnie zadowolone, ale te wojaki to zazwyczaj były fajne chłopaki, dlatego szybko się dogadywaliśmy. Mieli pieniądze z żołdu albo rodziny im przysyłały, więc do sklepu biegali i nas zapraszali do wspólnego spożywania. Wódkę lubili pić, nie to co tutaj, alpagi. Jak ktoś się z groszem nie liczy, to wiadomo, sięga po wódkę. Atrakcja na całe lato. Jeden to nawet się zakochał i jak wyszedł do cywila, to zaraz do tej swojej Jolki tu przyjechał. Dzieciaka mieli, a po paru latach wyjechali gdzieś w Polskę i już więcej nikt o nich nie słyszał. Później już niestety wojsko przestało przyjeżdżać, jakoś to nie pasowało do tego całego naukowego rolnictwa. My jednak i bez tego się nie nudziliśmy.

Tak, panie Roman, to był inny świat. Może nie dla takich facetów jak pan, ale dla nas, prostych wiejskich ludzi tu było jak w raju. Nie to co ta ruina w tej chwili. Żal patrzeć! Jak pan mówi? Generował straty? To już nie moja sprawa. Ja byłem od tyrania w polu, a nie od tej, jak ją teraz nazywają, ekonomii. W telewizji to się ciągle słyszy – ekonomia to, ekonomia tamto, a ja panu powiem, że jakoś przez czterdzieści pięć lat PGR-y się trzymały, więc z tą ekonomią chyba nie było aż tak źle. I wiem jedno: ludziom niczego tu nie brakowało.

Wolność? A na co komu ta cała wolność, jak nie można być pewnym jutra? Powiem panu, co jest najważniejsze dla każdego człowieka: żeby wstając rano, wiedział, że ma robotę, że będzie miał co dzieciakom na talerz nałożyć. Dopiero jak ma się taką pewność, to można o innych rzeczach pomyśleć. I kiedyś tak właśnie było. Bez dwóch zdań.

Potem, kiedy już pana tu nie było, przyjechały do nas te

miglance z Solidarności. Pierdolili coś o związkach zawodowych, o zmianach. Tu nikt za tym nie był. Jakie zmiany? Po co, na co? – każdy pytał. I wiesz pan, co myśmy zrobili? Za wsiaż ich, kopa w dupe i za brame. Później jak Jaruzelski zrobił z nimi porządek, to tu każdy sie z tego cieszył. Ale chuje nie dały za wygraną. I patrz pan, co narobili. Naród głodny chodzi. Bez perspektyw. Bez szans na lepsze jutro. To czy można sie dziwić, że tu każdy tęskni za PGR-em?

Ja to jeszcze mam najmniej powodów do narzekania. Dostaje emeryture, co miesiąc leguralnie. Skromną, ale wystarcza. Nie musze sie martwić o pusty brzuch. Był tu Oskar, na kombajn chciał mnie sadzać. Ale to już nie dla mnie. Nie te lata. Grosz by sie przydał, owszem. Zawsze sie przydaje. Ale jak mówiłem, mnie emerytury wystarcza, a za stary jestem, żeby jeszcze dla paru groszy na kombajnie sie tłuc. Wziął tego młodego z Kaczkowa, zobaczymy, jak mu pójdzie, bo to ciężka robota. Cholernie ciężka, a ludzie tu nie lubią sie przemęczać. A już szczególnie takie miglance jak mój Antek. Pamięta go pan? To dopiero jest nygus. He, he, kiedyś, jak tylko zaczynał robote w PGR-ze, a to były czasy, gdy zapanowała moda na nowoczesne rolnictwo, takie, można powiedzieć, więcej naukowe, to ktoś wymyślił sobie, że trzeba zbadać naszą ziemie, sprawdzić, co tam w niej siedzi, jakie pierwiostki, a czego brakuje. Wzięli tego mojego Antka z jeszcze jednym miglancem, którego nazywali Kolombo, bo miał kaprawe oko, i wysłali obu w pole do pobrania próbek. Dostali takie pasy skórzane z pojemnikami, do których mieli wsypywać ziemie i zapisywać, z którego miejsca ją wydłubali, dano im też specjalne metalowe pałaki puste w środku do pobierania próbek. Wbijało sie taką tyke w glebe, obracało, a kiedy wyciągało do góry, ziemia siedziała wewnątrz, wystarczyło ją zsypać do pojemnika. Chłopcy poszli w żyto, a było wielkie, o takie, nawet tu i ówdzie rzetelnie nabrali próbek, ale kiedy zbliżyli sie do bagienka, w środku pola wyskoczyła na nich locha. Dali noge,

siedli w rowie i zaczęli dumać, co dalej robić, w zboże leżć sie bali – z takim dzikiem, jak opiekuje sie młodymi, to nie ma żartów – wracać do PGR-u nie chcieli, bo kto to widział, nie wykonać takiej prostej roboty. Wreszcie wymyślili: nabiorą próbek z rowu – szybko, przyjemnie, bezpiecznie, a zaoszczędzony czas można spędzić w krzakach, popijając to i owo. Panie, jak te próbki poszli do analizy, jak te naukowce sie za nie wzięli, to nie mogli uwierzyć, że ta nasza ziemia jeszcze w ogóle coś rodzi. Potem takie ilości nawozu sypano w te nasze pola, że zboże rosło jak dzikie, tylko zanim dojrzało, to już sie wykladało, takie było wybujałe. I myśli pan, że ktokolwiek zorientował sie, że te próbki były lewe? A skąd. Jeszcze kierownik miglanców pochwalił.

Biuro to była insza para kaloszy. Tam rzeczywiście niektórzy to jakby za kare siedzieli. Pan zresztą najlepiej o tym wie, bo tam z nimi pracował. O, patrz pan, teraz jak PGR zamknęli, kto z nich, inteligencji, został? Jeden księgowy. I to też wrócił po dwóch latach, bo wcześniej szukał szczęścia w mieście, ale coś mu tam sie nie udało. Ma emeryture, to mieszkanie na blokach wykupił i siedzi w nim, nie wiem po co. Reszta sie rozjechała. Dyrektor do Miasteczka wrócił, kierownicy rozproszyli sie po całej Polsce. Zresztą już wcześniej, jak zrobili Kombinat, to część biura ewakuowała sie do centrali, do Grzędzisk. Ale nie martw sie pan, i w biurach na naszym PGR-ze towarzystwo nieźle sie obłowiło. Krzywdy nie mieli. Ustawili sie i żyją teraz sobie spokojnie gdzieś w miastach. Takiemu wykształconemu, od biurowej roboty, to łatwiej. Zawsze do jakiejś pracy sie nada, jak nie tu to tam.

Pan też dobrze zrobił, że stąd wyjechał. To nie było miejsce dla pana. Zresztą wtedy, po tym, co sie stało, wszyscy chcieli stąd uciekać, tylko nie każdy miał dokąd. Wie pan, tu w okolicy jest sporo Ukraińców. I oni zarazili część ludzi swoimi wierzeniami. To normalne, jak jest taka zbieranina narodu ze wszystkich stron, jak ten naród żyje w jednym miejscu bez wspólnych

korzeni i tradycji, to szuka jakichś wierzeń, które by te zbieranine połączyły. A Ukraińcy mieli swoje, przywiezione z tych ichnich Bieszczadów, czy skąd tam oni byli. Na przykład wierzyli, że jak narozrabiają i przyjdzie Zły, to może im zabrać cień. Naprawdę w to wierzyli, do dzisiaj niektórzy wierzą. Albo że w Gąbniku, gdzie są ruiny zamku, straszy. Dwóch z nich, z Kaczkowa, kiedyś poszło tam w nocy popić w krzakach i na węgorkie się zacząć – to było ze czterdzieści lat temu. Do tych ruin prowadzi kasztanowa aleja, biegnąca przez groble pomiędzy stawami. Ci dwaj nagle usłyszeli tętent galopującego konia i zobaczyli jeźdźca w pelerynie. Zarzekali się, że nie miał głowy. Potem niby rozplynął się we mgle. U Ukraińców to znowu coś tam znaczy. Tyle czasu minęło i nikt z okolicy do tej pory do ruin nie chodzi, a w nocy to nawet nad stawy nikt się nie zapuszcza. Zarazili resztkę. Przyznam się panu, że ja też nigdy tam nie polazłem. Niby nie wierze w te strachy, ale po co ryzykować? I to właśnie Ukraińcy z okolicy po tamtym uznali, że Wrześniowo jest miejscem przeklętym. Ludziom się to udzieliło. Nie chcieli tam mieszkać. Z czasem ten strach przysechł, ale niech pan sobie wyobrazi, że odkąd rodzina zabrała starą Pudłową, we wsi nie ma ani jednego Ukraińca. A kiedyś byli najważniejsi. Pan jeszcze to pamięta, co? No właśnie!

O nie, nic z tego, już pan się z nią nie spotka. Ona to teraz ze świętym Piotrem ma widzenia. Skąd wiem? A jakie to ma znaczenie? Wiem i już. Czemu pan tak koniecznie chce się z nimi zobaczyć? Zapewniam pana, że żadne z nich nie ma ochoty wracać do czasów, kiedy tutaj mieszkali, a już na pewno rozmawiać o tym, co się tu wydarzyło. Zresztą szczerze mówiąc, ja też nie mam na to najmniejszej chęci. No dobrze, ale szybko! Co by pan chciał wiedzieć? Co się tak naprawdę stało? Przecież pan tu był i wszystko widział. Dziewięć trupów. Wielka tragedia. Była milicja, prokuratura, śledztwo. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek. Co tu jeszcze dodawać? Może trzeba przyjąć jak

Ukraińcy, że Wrześniowo jest przeklęte, i omijać je z daleka? Po co się grzebać w starych historiach?

Co to byli za ludzie? Znał ich pan przecież. W zasadzie wtedy to była najważniejsza rodzina we wsi. Po serii nieszczęść, jaka spotkała Poznaniaków, Gruszczyńscy już prawie się nie liczyli. Konflikt? Skąd się wziął? A kto to pamięta? No dobrze, niech będzie, ma pan racje; ja tu byłem prawie od samego początku. Widziałem. Zgoda, opowiem panu. Ale na tym skończymy. Umowa stoi?

Najpierw pojawili się Poznaniacy, byli tu przed Ukraińcami. Przyjechali w czterdziestym szóstym. A Pudłowie w jakiś rok po nich.

*

Głosy dobiegały od skraju wsi, od rzeki. Męskie. Pokrzykiwania, nawoływania się, rozkazy. Mieszały się ze szczękiem żelastwa i tupotem buciorów stukających podkutymi podeszwami o kamienie. Lucyna wystawiła głowę spod pierzyny i nasłuchiwała w napięciu, wpatrując się w ciemne okno. Co za ulga, odetchnęła, mężczyźni mówili po polsku. Z westchnieniem opadła na wielką poduchę. Od miesięcy, a w zasadzie od lat, żyli w ciągłym strachu – przyjdą czy nie przyjdą, i kto, nasi czy Ukraińcy? Co noc niebo na południu rozświetlały łuny, a oni starali się odwracać od nich głowy, udając, że ich to nie dotyczy, że do nich ta pożoga nie dotrze. A płonęło wszystko dookoła, cały świat, jaki ich otaczał, już czwarty rok. Najpierw na wschodzie, skąd docierały z początku jedynie plotki, potem opowieści tych, którzy rozmawiali z tymi, którzy widzieli, przeżyli, i były to opowieści tak straszliwe, że nikt im nie chciał dać wiary. Aż wreszcie dwa lata temu do wsi dotarły dwie rodziny z transportu do Rzeszowa, wysiedlone stamtąd, i potwierdziły wszystko, co

wcześniej opowiadano, dodając długą litanie makabrycznych szczegółów. Cała wieś słuchała o ludziach spalonych w stodołach, kościołach i we własnych chałupach, o mordowanych siekierami, kołkami, pikami i widłami, o kobietach, starcach i dzieciach zarżniętych nożami jak barany. Siedząc z szeroko otwartymi z przerażenia oczami, w zupełnej ciszy, dowiedzieli się, jak w wigilijny śnieżny wieczór OUN-owcy otoczyli wieś, z której pochodzili wysiedleńcy, strzelali do każdego, kto chciał uciec, a potem systematycznie chałupa po chałupie mordowali ludzi siedzących przy świątecznie nakrytych stołach, a białe obrusy barwiły się na czerwono krwią tryskającą z roztrzaskanych obuchami siekier czaszek.

Słuchała tych opowieści i Lucyna, zasłaniając dłonią otwarte ze strachu usta; słuchała ze zgrozą, obrzydzeniem i dziwną fascynacją tym całym złem; słuchała, nie dowierzając, ale i pragnąc słyszeć więcej, domagając się wręcz kolejnych koszmarnych detali. Aż wreszcie jeden z mężczyzn beznamiętnym, cichym głosem opowiedział, jak po tym, kiedy z resztą ocalałych z pogromu ludzi skryli się w osadzie chronionej przez samoobronę, razem z leśnymi poszli do kolejnej polskiej wioski rozniesionej w pył przez OUN-owców, i kiedy chodzili tam od domu do domu, zbierając zmasakrowane trupy i szukając tych, co uszli z jatki z życiem, w jednym z pomieszczeń zobaczyli przybite bratnalami do ściany dziecko, kilkuletniego chłopca z rozprutym brzuchem, z którego wyjęto jelita, rozciągając je po całej izbie, a nad głową nieszczęsnej ofiary jej własną krwią napisano: Polska od morza do morza. Tego Lucynie było za wiele, wybiegła na zewnątrz i długo rzygała zgięta w pół, a jej plecy drgały od bezgłośnego łkania.

Po wschodzie zapłonęła północ. Hen daleko, za Rzeszowem. Pojawiły się kolejne plotki i już nie było wiadomo, kto kogo i dlaczego pali i morduje. Aż w końcu pożoga dotarła zupełnie blisko, w ich okolicę. Zaczęli się bać. Bać nieznanego, które może

nadejść nie wiadomo skąd, ale i sąsiadów z okolicznych wiosek, ukraińskich. I gdy wydawało się, że znikąd nie ma ratunku, nagle – było to w lipcu – pojawiła się nadzieja, że być może wreszcie nastanie spokój. Wtedy najpierw w powietrzu zadudniło, ziemia zadrżała, a później na wzgórzach otaczających wieś pojawiło się wojsko. Szli na zachód długimi, niekończącymi się kolumnami w zniszczonych mundurach, rozlatujących się butach, z karabinami zawieszonymi na parcianych sznurkach, ale rozśpiewani, uśmiechnięci, z pożądliwymi, skośnymi oczami – bolszewicy. Maszerowali, przy zgrzycie gąsienic towarzyszących im tanków i warkocie silników wielkich ciężarówek, przez całe trzy dni, a gdy na zachodzie opadł wzniecony przez nich kurz, łuny ponownie rozświetliły horyzont. Z lękiem budzili się i z lękiem kładli się spać; z bijącym ze strachu sercem chodzili pomagać sąsiadom w polu i zasiadali do stołu; wybierając się do lasu po drzewo, trwożliwie rozglądali się i nasłuchiwali każdego podejrzanego dźwięku; pojawiająca się na skraju wsi nieznana postać natychmiast wzbudzała panikę. Nastaly długie dni trwogi. Zdani jedynie na wątłe siły samoobrony, wyposażonej raptem w trzy wyniesione z dworu stare myśliwskie strzelby, czekali na spełnienie się losu, nie spodziewając się, że jakikolwiek ratunek nadejdzie na czas. Niby gdzieś tam, niedaleko, stacjonowało polskie wojsko, ale i tak niemal każdej nocy niebo barwiło się na czerwono.

I kiedy tak oczekiwali najgorszego, zimą do wsi wmaszerował leśny oddział, a stojący na jego czele oficer z orłem w koronie na czapce uroczyście oświadczył, że teraz już nikt nie musi się niczego obawiać, bo on, porucznik Waclaw, dowódca kompanii Armii Krajowej i jego żołnierze biorą wioskę wraz z całą okolicą pod swoją opiekę i od tej chwili każdy Polak może czuć się w swoim domu bezpiecznie. Na odpowiedź nie musieli długo czekać: kilka dni później do niedalekiej Pawłokomy, wioski, w której mieszkali i Ukraińcy, i Polacy, a stosunki pomiędzy

obydwoma nacjami od dawna były wrogie, wmaszerował oddział kilkudziesięciu zbrojnych i uprowadził dziewięciu Polaków, po których wszelki słuch zaginął. Podejrzenie padło oczywiście na bandy, chociaż od pojawienia się oddziału porucznika Wacława żadnej większej ukraińskiej jednostki nikt w okolicy nie widział. Na próżno Polacy apelowali o uwolnienie uprowadzonych, a kiedy stracili nadzieję na ujście ich żywych – o wydanie ciał lub chociaż wskazanie miejsca pochówku. Apela pozostały bez odzewu. Naciskano coraz gwałtowniej; w lutym leśni zabili ukraińskiego sołtysa wioski wraz z całą rodziną, ale i to nic nie dało. Wreszcie w Dynowie odbyła się narada, na którą poszło również kilku mężczyzn z wioski Lucyny, członków samoobrony. Co tam uradzono, Lucyna dokładnie nie wiedziała, ale mogła się domyślić, bo już po kilku dniach od zachodu do jej chałupy zaczęły dolatywać głuchoe odgłosy wystrzałów. Trwało to trzy dni. A potem dowiedziała się, że leśni wraz z samoobroną na cmentarzu rozstrzelali wszystkich mieszkających w Pawłokomie Ukraińców, mężczyzn. Trzystu! Albo coś koło tego. Czy kobiety też? Słyszała, że nie, ale nawet jeśli to była prawda, to każdego Ukraińca, który nie został z podniesionymi w górę rękoma wywleczony na cmentarz, każdą kobietę, dziecko i starca pognano do Birczy, a wioska opustoszała. Potem NKWD aresztowała zamieszanych w tę zbrodnię Polaków, a bandy bezwzględnie mordowały każdego, kto próbował się w Pawłokomie osiedlić. I tak bez końca. Na okolicę padł błądy strach.

Aż zaczęto Ukraińców wysiedlać na wschód. Początkowo dobrowolnie, jechał ten, kto miał na to ochotę, ochotę jednak miało niewielu. Za mało jak na apetyty nowych władz, które szykanami próbowały opornych zmusić do wyjazdu. Kiedy parcelowano dworskie majątki, ziemię dostali wszyscy, tylko nie Ukraińcy, pozamykano ukraińskie szkoły, bezwzględnie ściągano kontyngenty, na próżno – opór przed repatriacją rósł. Wreszcie

w ich rejonie pojawiło się wojsko. Ludowe. Zaczęły się deportacje przymusowe. Lucyna, wędrując po okolicy – podczas wypraw do miasta, odwiedzin rodziny w sąsiedniej wsi – mijala opustoszałe, jeszcze niedawno zamieszkane gospodarstwa, ludzie znikali z dnia na dzień. Wywieziono tysiące, ale nie wszystkich. A później, kiedy wojsko już sobie poszło, wróciły bandy. Palily osierocone chałupy, tak, aby żaden Polak nie mógł w nich zamieszkać, ale i po dawnemu napadały na wioski.

Zmęczona Lucyna zaczęła wierzyć w zaklęcie powtarzane od dawna przez męża, Michała, ale i coraz częściej wypowiedane przez ludzi we wsi: dopóki mieszka tu choć jeden Ukrainiec, to się nie skończy! Ludzie byli przekonani, że jeśli bandy stracą oparcie w miejscowej ludności, jeżeli nie będą miały skąd brać zaopatrzenia i kim uzupełniać stanów osobowych, wyschną jak pozbawione korzeni drzewo, a w okolicę powróci tak dawno niewidziany tu spokój. Rok trwało, zanim walczące bezskutecznie z UPA władze doszły do podobnych wniosków. Jeszcze raz pojawiło się wojsko i jeszcze raz kolumny ludzi powędrowały w nieznane. Tylko tym razem, o dziwo, transporty nie wyruszały, tak jak się spodziewano, na wschód (Sowieci o przyjmowaniu żadnych nowych repatriantów nie chcieli już słyszeć, zamknęli i uszczelnili granicę), ale w przeciwnym kierunku. Sposób działania wojska, o czym wszyscy w okolicy doskonale wiedzieli, był zawsze taki sam i zaczynał się od otoczenia o świcie szczelnym kordonem wybranej wioski.

Uspokojona tylko na chwilę, zagrzebana w pierzynę Lucyna, gładząc się czule po okrągłym brzuchu, zastanawiała się, czego też polskie wojsko może szukać w ich wsi? Przecież mieszkali tu jedynie Polacy – zaledwie dwie rodziny były mieszane – mówiło się wyłącznie po polsku, band szczerze nienawidziło, każdemu polskiemu oddziałowi lojalnie pomagało, akcję wysiedlania Ukraińców popierano we wsi całym sercem. Czyżby żołnierze zapędzili się tu w pogoni za jakąś czmychającą jednostką UPA?

A może wracając z nocnej akcji, postanowili w przyjaznym sobie miejscu odsapnąć chwilę, zregenerować siły, posilić się, napić kieliszeczek czegoś mocniejszego? Ale przecież tym razem nie obudziły jej żadne wystrzały, więc bitwa w okolicy raczej się nie rozegrała, chyba że wojenne odgłosy tak przez te wszystkie lata jej spowszedniały, że toczące się w pobliżu batalie mogły się odbywać, nie przerywając snu. Przez sekundę Lucyna z trwogą pomyślała, że być może to jednak nie polskie wojsko, a Ukraińcy, którzy tylko udają Polaków, ale szybko sama siebie uspokoiła: bandy od dawna były za słabe na to, żeby pozwalać sobie na takie maskarady. Przesunęła się na opuszczoną przez męża część łóżka, na której spali Adaśko z Helą. Michał, odkąd pożoga niebezpiecznie zbliżyła się do ich chałupy, spał w drewnutni w zmyślnie skonstruowanej kryjówce pod podłogą. To była ich wspólna decyzja, w razie napadu i tak nie byłby w stanie w pojedynkę pomóc ciężarnej żonie i dzieciom, którzy mimo wszystko mieli większą szansę przeżycia niż on, mężczyzna. W drewnutni mógł się ukryć, obserwując przez sprytnie zamaskowany wizjer, co dzieje się na podwórzu i wykorzystując okazję, próbować uciec do lasu. Uznali, że tak będzie najbezpieczniej. Dla wszystkich.

Gwałtowne łomotanie do drzwi poderwało Lucynę na równe nogi. Poczula, jak w jej wnętrzu wystraszone małe ciało zaczęło wykonywać szybkie nieskoordynowane ruchy. Zaspane dzieci siadły na łóżku i rozglądały się zdezorientowane po izbie. Idąc do wejścia, usłyszała miarowe chrapanie, spojrzała w stronę umoszczonego bezpośrednio na polepie posłania ze skór, na którym z każdym regularnym oddechem przygłuchej matki Michała unosiła się pasiasta pierzyna. Zdjęła skobel i pociągnęła do siebie piszczące niemilosiernie przy otwieraniu drzwi. W progu stał polski oficer. Odetchnęła.

– Nazwisko? – zapytał bez wstępu, patrząc w trzymane w ręku dokumenty.

– Pudło. Lucyna Pudło – odpowiedziała zdziwiona.

– Zgadza się – potwierdził żołnierz, nie podnosząc na nią wzroku. – Mąż Michaił Pudło, tak?

– Tak. Michał. – Lucyna, wychylając się, spostrzegła kilku mężczyzn w mundurach kręcących się po podwórzu.

– Michaił, Michaił. Dwoje dzieci... zaraz... a tak, Adam i Helena, i matka męża?

– Ta joj. A o co się rozchodzi szanownemu panu oficerowi? – spytała nieśmiało.

Złożył dokumenty i po raz pierwszy spojrzął na nią, a następnie, nic nie odpowiadając, pochylił głowę, by zmieścić się w niskich drzwiach, minął Lucynę i wszedł do izby.

– Mąż gdzie? – zapytał ostro.

– A do rodziny pojechał, do Przemyśla – wypowiedziała formułę, którą przygotowali z Michałem na wypadek, gdyby w wiosce pojawiła się UPA.

– Ha, ha, ha! Do rodziny? Ha, ha, ha. Wszyscy tak mówią. – Żołnierz wydawał się rzeczywiście rozbawiony, ale nagle w jednej chwili jego twarz stężała w zaciętym gniewie, po czym wrzasnął. – Do band poszedł, skurwysyn jeden! Już my go...

Na krzyk oficera do izby wpadło dwóch żołnierzy z karabinami w rękach. Lucyna bezradnie rozglądała się dookoła, nic z tego nie rozumiejąc.

– Ta joj, panie oficerze, do jakich band? Michał? Przecie my Paliaki.

– Paliaki-sraki! – Ponownie wyciągnął z kieszeni papiery i zamachał nimi przed nosem Lucyny. – A ja mam tutaj napisane wyraźnie, że Ukraińcy!

– Boże uchwaj, panie oficerze. Ta joj, toć to pomyłka jaka. My Paliaki, w imię Ojca i Syna...

– W imię Ojca i Syna? W imię Ojca i Syna? A modlić się to gdzie chodzicie?

– No ja do kościoła.

– A Michaił?

– Michał do cerkwi.

– Ano właśnie! – Żołnierz triumfował. – Polak do cerkwi nie chodzi! Dzieci gdzie chrzczone?

– No zwyczajnie, jak to u nas, ta joj, dziewczyna tam gdzie matka, znaczyt się w kościele, a Adaśko, za ojcem w cerkwi.

– Tak jest! Tak jest! Władza ludowa się nie pomyliła, bo władza ludowa w ogóle się nie myli. Skoro w cerkwi, znaczy się Ukraińcy i koniec dyskusji. A wy żona Ukraińca.

– Panie oficerze, w chałupie mówi się tylko po polsku, my Paliaki, pan mi uwierzy. Ta joj. Popytajcie sąsiadów, one wszystkie zaświadczą.

– Dość! Jest decyzja! Macie dwie godziny na spakowanie się! Lucyna padła na kolana, dzieci zaczęły zawodzić.

– Ale panie...

– Dość, powiedziałem! – Zamachnął się odzianą w skórzaną rękawiczkę dłonią, ale kiedy wlepił wściekły wzrok w Lucynę i spostrzegł jej brzuch, gotowa do ciosu ręka zawisała w powietrzu. Zrobił krok w tył i, nieco zawstydzony, ponownie spróbował nadać swojemu głosowi ostry ton. – Dwie godziny. I jak do tego czasu ten wasz Michaił się nie znajdzie, to my wcześniej czy później znajdziemy jego. A wtedy cackania się nie będzie! – Skinął na żołnierzy i wśród lamentów Lucyny, zawodzących z łóżka dzieci i spokojnego chrapania Zenobii Pudło trójka mundurowych opuściła chałupę.

Co robić? Spanikowana Lucyna chodziła szybko po pomieszczeniu i rozważała dramatyczną sytuację, w jakiej się znalazła: oficer wydawał się nieprzejednany, wpatrzony jedynie w swoją karteczkę, na której omyłkowo przecież znalazło się nazwisko jej rodziny; pozostałych żołnierzy nie było nawet co prosić o pomoc, nie mieli zapewne nic do gadania; przywoływać sąsiadów na świadków, była tego pewna, nie pozwoli; na litość w tym piekle, które od kilku lat ich otaczało, nie miała co liczyć;

teoretycznie można było się spakować i ruszyć w drogę, licząc na to, że kiedy dotrą do jakiegoś punktu zbornego, spotkają się z nadzorującym formowanie transportów urzędnikiem czy oficerem wyższej rangi, uda się bez trudu wyjaśnić całe to nieporozumienie – taka ważna persona na pewno bez zbędnych ceregieli szybkim ruchem wykreśliłaby ich nazwisko z listy osób przeznaczonych do wywozu, przecież władzy bez wątplenia również zależy na tym, żeby właśnie tu, pod Przemysłem mieszkało jak najwięcej Polaków, żeby okolica zupełnie nie opustoszała – tylko, zastanawiała się, czy w chaosie, jaki w takich miejscach panuje, udałoby się jej przebić przez ciżbę ludzką i dopchać się do odpowiedniej osoby? I co z Michałem? Wołać go, czy przeciwnie, trzymać się ustalonej wersji, pomóc pozostać w ukryciu? Gdyby żołnierze go nie odnaleźli, mógłby uniknąć wywózki i w odpowiednim urzędzie wyjaśnić omyłkę, rozpocząć starania o ściągnięcie rodziny z powrotem do domu. A jeśli nie? Jeżeli jej nie udałoby się wyjaśnić nieporozumienia, a jemu odkręcić sprawy na miejscu? W takiej sytuacji pogubiliby się na lata, może nawet na zawsze. Ech, już lepiej przez to wszystko przejść razem... Tylko czy na pewno? Co robić, co robić?

Przyznany przez oficera czas kurczył się, a Lucyna wciąż nie potrafiła podjąć decyzji. Od tego w domu był Michał, to on w końcu nosił spodnie. Odkąd się poznali – wówczas kiedy niemiecka nawałnica, prąc na wschód (choć, będąc skrupulatnym, w tym akurat wypadku należałoby powiedzieć: na południe), przeląła się przez graniczny San i część rodzin do tej pory rozdzielona rzeką, na której dwóch wąsatych satrapów, jeżdżąc palcami po mapie, wytyczyło kolorowymi ołówkami nową granicę, po prawie dwóch latach rozłąki mogła wreszcie odwiedzić swoich bliskich, a do ciężko dotąd dyszącej pod sowiecką okupacją wsi, w której mieszkała Lucyna, na hucznie obchodzone chrzciny jednego z kuzynów przyjechał nie wiedzieć skąd, ciągnąc za sobą matkę starowinkę, przystojny chłopak

o uwodzicielskim uśmiechu i zabawnej szparze pomiędzy przednimi zębami, w którą wciąż wciskał koniuszek języka, chłopak, dla którego Lucyna w jednej sekundzie straciła głowę – to właśnie on decydował o niemal każdym aspekcie ich życia. Zdarzało się oczywiście – nawet często – że naradzali się wspólnie nad tym czy owym, ale i tak głos decydujący należał zawsze do niego. Jak wtedy, gdy ich uczucie skonfrontowane z tradycyjnymi wartościami i zwyczajami, jakim hołdowano w rodzinnym domu Lucyny, nie zyskało akceptacji ojca dziewczyny, którego zaniepokoiła wiadomość o greckokatolickim obrządku wyznawanym przez Michała, zirytował swobodny, ignorujący swatów sposób starania się o rękę córki i, co najważniejsze, do furii doprowadziła informacja, że przyszły zięć poza silną parą rąk nie posiada żadnego majątku; Michał niezrażony, pewien swoich i jej uczuć, po szybkiej, pełnej łez i wyznań rozmowie z narzeczoną postanowił, że jeszcze tego samego dnia, z błogosławieństwem rodziców lub bez niego, przeprawią się przez San i w pobliskich Babicach wezmą w cerkwi ślub, a potem wspólnie poszukają pracy, którą niebawem rzeczywiście znaleźli. W folwarku szukano ludzi. Silny i pracowity Michał nadawał się doskonale. Nadała się i Lucyna. Dostali nawet od dziedzica własną, krytą strzechą – jak większość domów w okolicy – drobną kurną chatę z niewielkim podwórkiem i kilkoma zabudowaniami gospodarczymi. Po kim, nie dopytywali. Gdzieś daleko na wschodzie ważyły się losy świata, dwie gigantyczne, uzbrojone po zęby masy ludzkie przepychały się w śmiertelnych zapasach niczym opaśli zawodnicy sumo, a oni wiedli skromne życie, utrzymując się z pracy własnych rąk, kładąc się po ciężkim dniu obok siebie w czarnej izbie i ciesząc własnymi młodymi ciałami niekrępowani przez przygłuchą matkę Michała. Po dwóch latach przyszedł na świat Adaśko, po kolejnych dwóch – kiedy świat dookoła nich spłynął krwią, a w powietrzu unosił się swąd

spalenizny – Hela. Minęły następne dwa lata, a oni czekali na trzecie dziecko. Teraz, gdy rodzinie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, Michała koło niej nie było, siedział schowany zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, a żonie wydawało się, że dzieli ich nieprzebyte morze.

Obudzić babkę, przemknęło jej przez myśl. Przykucnęła nad posłaniem i potrząsnęła drobnym, kościstym ramieniem.

– Obudźcie się. Wojsko przyszło! – krzyknęła staruszce do ucha.

Babina odrzuciła pierzynę i siadła na skórach.

– Wojsko? Jakie? Nasze? – dopytywała, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po izbie, do której wpadały pierwsze promienie wschodzącego słońca.

– No, niby nasze! Ale chco nas zabrać! Mamy, ta joj, dwie godziny!

– Po co, na co?

– Mówią, ta joj, że my niby są Ukraińce!

– Że kto?

– Ukraińce!

– Ukraińce?! Gdzie?!

– Nigdzie! Wojsko mówi, że Michał to Ukrainiec, bo do cerkwi chodzi!

– Gdzie Michał chodzi? Nie widać go! Gdzie łon?

Lucyna położyła palec na ustach i głową wskazała na dREWUTNIĘ.

– Leć po niego, dziewczyna, bez tego ani rusz! – Staruszka zamachała rękoma. – Leć! Prędko!

To wystarczyło. Podtrzymując brzuch, Lucyna wyprostowała się ciężko i postępując z wysiłku, wyszła na podwórze. Znudzeni, zajęci przypalaniem kolejnych papierosów żołnierze, zaalarmowani skrzypnięciem drzwi, obejrzelili się w jej stronę. Oficera pomiędzy nimi nie było. Przyglądali jej się przez chwilę, zatrzymując wzrok na bosych stopach, a potem wrócili do

przerwanej rozmowy. Lucyna przez moment wahała się w progu, nie mogąc się zdecydować: biec najpierw do żołnierzy czy od razu do Michała, wreszcie, machnąwszy ręką, ruszyła najszybciej, jak jej stan na to pozwalał, w stronę drewnutni. W środku padła na klepisko i waląc rękoma w wielką drewnianą skrzynię, krzyczała do szpar w deskach:

– Michał, wychódź, nie bojsa, to nasi! Michał, pomóż! Na Boga! Ratuj nas, bo pójdziem na poniewierkę! Ta joj! Za-bio-rą! Wychódź!

Zaalarmowani krzykiem żołnierze zbliżyli się do drewnutni, ściągając z pleców i odbezpieczając broń. W skrzyni coś zachrobotowało, a potem powoli uniosło się wieko. Trzymające karabiny trzy pary dłoni zacisnęły się na kolbach, a palce powędrowały do cyngli. Przerażona Lucyna zasłoniła skrzynię:

– Nie strzelać! To mój chłop! On bezbronny.

Najwyższy z żołnierzy z trzema belkami na pagonach pochylił się do ucha konusa stojącego po jego lewej stronie:

– Młodziak, zaiwaniaj po porucznika. Mamy cwaniaczka.

– Co? – Mały nie zrozumiał.

– Lećże, piorunem! – Trzeci z żołnierzy nie bawił się w szepty.

– No, na co czekasz, pędem po porucznika, niechże tu przyjdzie.

Mikrus wyrwał z kopyta, a tymczasem ze skrzyni wychyliła się głowa z potarganą blond czupryną. Michał mrużył oczy, przyzwyczajając je do dziennego światła; mrużyli też żołnierze, starając się lepiej przypatrzeć wychodzącej spod ziemi postaci; mrużyła wreszcie i Lucyna, ze strachu, bojąc się, że któryś z odzianych w mundury mężczyzn nie wytrzyma i pociągnie za spust.

Michał powoli wygramolił się ze skrzyni, a wyższy z żołnierzy dał mu znak karabinem, żeby ustawił się pod ścianą po przeciwnej stronie drewnutni, sam zaś podszedł i zajrzał do drewnianego wnętrza.

– Fiu, fiu – gwizdnął przez zęby – co my tu mamy?

– Co takiego? – dopytywał się drugi z żołnierzy, nie spuszcżając wzroku z Michała.

– A chodź, sam przyfiluj. Tylko weź latarkie.

– Ho, ho, rzeczywiście – potwierdził niższy, wsadzając głowę do skrzyni i świecąc sobie kolejową latarką. – Skrytka jakaś. Myślisz, że tam ktoś jeszcze może być?

– A cholera wie.

– To może bym sprawdził? Wszedł do sirodka?

– Nie bądź taki kozak. Nie wychylaj się. – A widząc zaciekawioną minę towarzysza, dodał: – Ale jak ci pilno ze świętym Piotrem śniadanko wtroić, to proszę uprzejmie! Ja, uważasz, nigdzie się nie wybieram. Nie ma głupich! I tobie radzę! Poczekamy na porucznika, on zadecyduje: walimy z granata czy będziemy się tam tarabanić?

Lucyna z Michałem przysłuchiwali się tej dyskusji, z szeroko otwartymi oczami.

– Ale panowie żołdaci... – zaczął Michał.

– Cisza – przerwał mu wysoki – bo mogie wyjść z nerw. Stój tam jak trusia i do przyjścia porucznika gęba na kłódki.

Na podwórzu rozległy się szybkie kroki i po chwili do drewnutni wbiegł oficer, a za nim przydreptał wychylający się zza jego szerokich pleców i rozglądający ciekawie na boki mikrus.

– Proszę, proszę, znalazła się zguba! – Porucznik triumfował. – Widzę, że rodzinka z Przemyśla mieszka w skrzyni, w komórce. Ładnie, ładnie.

– Obywatelu poruczniku, pan zobaczy, jaki schowek tu sobie uskutecznił. – Wysoki wskazał wnętrze skrzyni. – Cały loch wydłubali, końca nie widać.

Porucznik zerknął do wnętrza.

– Ilu was tam jeszcze siedzi? – zapytał ostro.

– Nikt, to tylko dla mnie, szto by przed bandami się ukryć – odpowiedział zdeorientowany Michał.

– A mnie się zdaje, że wprost przeciwnie. Wy Ukraińcy przed

żadnymi bandami kryć się nie musicie, za to swoich kamratów przed nami i owszem tak. Ale my tu zaraz zrobimy porządek!

– Granatem?! – Wysoki zatarł ręce.

– Nie, nie. Puścić serię, a potem niech Mały wskakuje do środka i wszystko sprawdzi. Tylko ostrożnie, to może być pułapka. Ci bandyci do wszystkiego są zdolni.

– Panie oficerze... Przecie pan słyszy – Michał zrobił krok do przodu, ale osadzony ostrym spojrzeniem żołnierza zatrzymał się – mówimy po polsku. Nas wszyscy tu znajo. Pracowali my w majątku. Teraz tyle co sąsiadom pomagamy...

– No właśnie! No właśnie! – Zadowolony oficer wycelował w Michała palec. – A ziemie z reformy dostaliście?

– Nie przyznali.

– O to, to! Nie należało się, bo Ukraińcy naszej polskiej ziemi nie dostają. I nie będą dostawać! Nie ma mowy! Władza ludowa od dawna ma was na oku i teraz wreszcie przyszedł czas wyrównać rachunki. A tak na mój nos, to wy się z bandami zwąchaliście. Tam na dole jest pewnie jakiś upowski magazyn.

Michał otworzył usta...

– Milcz! – syknął przez zęby oficer. Przywołał gestem średniego z żołnierzy. – Ty idź na zewnątrz i pilnuj, żeby chłopaki przypadkiem nie roznieśli chałupy, jak usłyszą strzały. To teraz państwowe. A ty – pokazał na wysokiego – wal serię. Mały, szykuj się, sprawdzisz to gównu w dole!

*

Wozu nigdy nie mieli, byli na to zbyt ubodzy, dlatego dobytku nieśli zaledwie tyle, ile Michał był w stanie zarzucić sobie na barki. Niewiele. Do tego Lucyna z przewieszoną przez plecy lnianą torbą ciągnęła, czując przy każdym kroku klucie w podbrzuszu, mały piszczący drewniany wózek, na którym

okrakiem na niewielkim tobołku siedziała Hela. Adaśka marsz zmęczył już po kilkuset metrach początkowej wspinaczki i dzieciak, chlapiąc, domagał się wzięcia na ręce. Na szczęście jeden z sąsiadów, towarzyszy niedoli, jadący na rozklekotanym, wypełnionym po brzegi drabiniastym wozie zaprzężonym w rachitycznego wałacha, zgodził się umieścić na nim chłopca, w przeciwnym razie Michał musiałby pozostawić w rowie to skromne mienie, które udało im się zabrać ze sobą. Po tym, jak się spakowali, oficer – kiedy Mały spenetrował już wnętrze skrytki w drewni i oznajmił, że w dole poza lichym posłaniem, oliwną lampką i resztkami jedzenia przeznaczonego dla jednej osoby w wydrążonej w ziemi norze nic więcej nie znalazł – zaganiając ich do skąpej kolumny, składającej się, poza Pudłami, z trzech jeszcze wysiedlanych z wioski mieszanych rodzin, uspokajał, że wszystkie ruchomości pozostawione w domach zostaną spisane, zabezpieczone i umieszczone w centralnym magazynie, z którego w późniejszym terminie, gdy wszyscy dotrą już do miejsc przeznaczenia, będą rozdysponowane pomiędzy przesiedleńców, natomiast porzucanych kurnych chat nie mają co żałować, przekonywał, bo na Ziemiach Odzyskanych zostaną umieszczeni w takich luksusach, o jakich w ich ukraińskich, durnych łbach nawet się nie śniło. Na razie za cały majątek mieli tych kilka garnków, parę glinianych skorup, nóż, trochę ubrań i obrusów zawiniętych w dwa toboły dźwigane przez Michała, pościel, która swoim ciężarem dociskała maszerujące drobnymi kroczkami kościste ciało babki do kurzącej się drogi oraz nieco jedzenia na wózku i w torbie niesionej przez Lucynę. Z tym mieli rozpocząć nowe życie. Jeszcze raz.

Po zebraniu się na dziedzińcu przed dworem, gdy wyruszali w daleką drogę, do świata, którego nie znali, a oparty o strzelistą kolumnę klasycystycznego portyku oficer dał ręką znak do wymarszu, po czym leniwie stukając podkutymi podszewkami, zszedł z pięciu kamiennych stopni wysokiego ganku na

podwórze, musieli przedefilować przez własną – do dzisiejszego poranka – wieś, obok chałup sąsiadów, pod ich oknami. Pięli się pod niewielkie wzniesienie, na którym rozlokowana była ciągnąca się dobre trzy kilometry wzdłuż szosy wioska, a dookoła nich nie było żywego ducha. Mieszkańcy pochowali się we własnych domach, jakby zawstydzeni tym, co się wokół nich działo; tym, że ludzie, których do tej chwili uważali za swoich, w jednej sekundzie, decyzją powziętą gdzieś na górze, stali się obcymi, być może nawet wrogami; tym, że wcześniej tak łatwo rzucali oskarżenia i ferowali wyroki, potrafili oceniać, ten jest nasz, a ten ich, a przecież mieszkali w świecie, który mimo że ktoś chciał koniecznie uczynić go czarno-białym, był od wieków wypełniany różnokolorową mozaiką etniczną, która sprawiała, że nic w nim nie było oczywiste i proste. Nikt nie stał przy płotach, podwórza, droga, pola, łąki, wszystko dookoła świeciło pustką, wieś wydawała się wymarła, tylko poruszona gdzieś nieostrożną ręką zasłonka w oknie dawała znak, że w osadzie znajdują się ukryci ludzie.

Dalej było już inaczej: mijali spalone chałupy, opuszczone domostwa, wymordowane lub wysiedlone – teraz bezludne – całe wsie, przechodzili również przez osady, których mieszkańcy ustawiali się w szpaler, przyglądając się konwojowi; niektórzy wygrażali im rękoma, inni złorzeczyli, pluli nawet, ale zdarzało się też, że w patrzących na nich oczach dostrzegali współczucie. Rozumieli te targające ich rodakami z okolicznych wsi sprzeczne uczucia, bo jeszcze do dziś rana sami je odczuwali. Nadzieja na spokój mieszała się z naturalną w takich sytuacjach litością nad, mówiąc górnolotnie, tragicznym losem zwykłych ludzi. Losem, który na skutek koszarnej pomyłki – w co świecie wierzyli – był teraz również ich udziałem.

Składająca się początkowo z czterech rodzin, eskortowana przez żołnierzy kolumna wysiedleńców kierująca się na północ bardzo szybko zaczęła pęcznić; już w Hucisku, przy kościele

czekało na nich kolejne pięć rodzin pilnowane przez mundurowych; w Łopuszce Wielkiej, po ponad sześciu godzinach marszu, to oni z kolei czekali przeszło godzinę na następnych kilkudziesięciu poszturchiwanych przez wojsko pędzonych zakurzoną drogą wygnańców. Żołnierze byli wściekli z powodu tego niespodziewanego postoju, ponieważ kolumna posuwała się naprzód dużo wolniej, niż to sobie zakładali, i wszystko wskazywało na to, że zajdzie potrzeba zaimprovizowania noclegu gdzieś po drodze, na co niespecjalnie byli przygotowani. Później, zanim z prawie całodziennym opóźnieniem dotarli na miejsce przeznaczenia, do punktu załadunkowego, jeszcze trzy razy – pod Pantalowicami, w Kańczudze i Urzejowicach – jak dopływy rzekę zasilają ich grupę strumienie ludzi gnanych na poniewierkę.

Obóz rozbili w Łopuszce Małej w opróżnionym z przedwojennych właścicieli majątku ziemskim, którego budynki gospodarcze zamieniono na tuczarnie trzody chlewnej. W powietrzu wisiał dławiący, słodkawy smród. Lucyna wykończona forsownym marszem, podczas którego na przemian to wspinali się pod strome wzniesienia w kurzu wzbijanym przez końskie kopyta i ciągnięte przez zwierzęta wozy, to spuszczała ostro w dół, a jej obciążone okazałym już brzuchem kolana odmawiały posłuszeństwa, co wzbudzało niechętnie, zniecierpliwione pomruki żołnierzy niezadowolonych z opóźniania marszu, usiadła pod rozłożystym posadzonym na pałacowym dziedzińcu platanem, opierając plecy o drzewo i spod pulsujących powiek obserwowała, jak w zachodzącym słońcu wysiedleńcy prowadzą napoić wyprzęgnięte z wozów konie do rozlanego szeroko w parku stawu. Do parkanu okalającego majątek zwabiona niecodziennym zgiełkiem zbliżyła się wataha kilku wyliniałych, pokrytych liszajami psów i wciskając nosy pomiędzy żerdzie ogrodzenia, łowiła dziwne obce zapachy, oblizując brudne pyski. Lucyna, patrząc na wpół

zdziczałe zwierzęta, pomyślała o pozostawionym na opuszczonym przez Pudłów podwórzu, przywiązany grubym powrozem do rozsypującej się budy kudłatym Bysiu, którego nie mogli zabrać ze sobą, a któremu darowali życie, kiedy wysoki żołnierz zaproponował, że chętnie pozbawi ich kłopotu i zastrzeli pozostawianą własnemu losowi psinę. Nie zgodzili się, licząc na to, że któryś z sąsiadów przygarnie wiernego zwierzaka. Teraz, patrząc na wynędzniałą watahę, pomyślała, że być może to jednak żołnierz, który podczas wykonywania swoich parszywych obowiązków zapewne nieraz widział bandy zdziczałych, zabiedzonych, wałęsających się psów, miał rację, i łzy napłynęły jej do oczu. Siedzący na trawie bez butów jeden z żołnierzy, widząc ten zabiedzony psi wyrzut sumienia, pozostawiony na pastwę losu wbrew zamiarom niedawnych właścicieli – wymordowanych lub wywiezionych – biegający po okolicy jedynie w woli przetrwania, przerwał rozmasowywanie obolałych stóp i leniwie sięgnął po karabin. Zarepetował broń. Bez złości, bez refleksji, kierowany wyłącznie jakimś beznamiętnym instynktem ni to łowcy, ni to mściciela wypalił w sam środek skłębionych ciał. Czy chciał trafić, trudno powiedzieć. Nawet jeśli chciał, to na szczęście dla psów chybił. Pod parkanem zakotłowało się i zwierzęta ze skowytem rozbiegły się po okolicy.

Trzask wystrzału poderwał wszystkich na nogi. Sam w sobie przerażający, odgłos ten od kilku lat w okolicy zwiastował jedynie zbliżające się straszliwe cierpienia. Wypoczywający po forsownym marszu przesiedleńcy rozglądali się dookoła, jakby wyczekując najgorszego, konie zarżały, dzieci uderzyły w płacz, część kobiet w lament. Oficer spojrział na podwładnego z dezaprobatą, przez chwilę mierzył go złym spojrzeniem, jak gdyby zastanawiał się, czy powinien zareagować na taką samowolę, ukarać niesubordynację, w końcu jednak machnął lekceważąco ręką i zwrócił się do stojącego obok niziutkiego

szeregowca:

– Młodziak, zbierz mi zaraz to całe tałatajstwo przed pałacem. Od strony parku.

Wspiął się na szczyt reprezentacyjnych lustrzanych schodów zbiegających w kierunku ogrodu i czekając na zebranie się eskortowanych przez wojsko wysiedleńców, oparł się o wypełnioną gęsto fantazyjnymi tralkami balustradę.

– Będę mówił po polsku – rozpoczął, kiedy wszyscy stłoczyli się pod schodami – a komu, kurwa jego ukraińska mać, się nie podoba, kto nie zrozumie, co mam tu do powiedzenia, ten będzie miał problem, ale zapewniam każdego: to na pewno nie będzie mój problem. Nie planowaliśmy tego noclegu, ale tak bardzo się wlekliście, że nie zdołaliśmy dotrzeć na miejsce, jak zakładaliśmy, jeszcze dziś. Dlatego spędzicie noc pod gołym niebem. Rozłokujcie się, gdzie komu się uda. Ostrzegam jednak, że każdy, kto spróbuje oddalić się od obozu, będzie uznany za uciekiniera. Wydałem dyspozycję, żeby do takich zbiegów, bez względu na to, kto to będzie, strzelano bez ostrzeżenia. Obóz jest może i zaimprovizowany, ale zapewniam, będzie szczelny. Żeby było wszystko jasne: nikt stąd nie ucieknie! Jakies pytania?

Starszy mężczyzna w połatanej marynarce w za dużym kapeluszu podniósł rękę, a widząc aprobujące skinienie dowódcy, wychrypiął:

– Oficer, de my idemo?

– Na razie to tajemnica. Dowiecie się na miejscu. A teraz już mi tu dłużej nie dyskutować, tylko kłaść się i wypoczywać, żeby jutro nie było takiego guzdrania w drodze jak dzisiaj. – Odwrócił się, pchnął przeszkłone drzwi balkonowe i pewnym krokiem wszedł do wnętrza opuszczonego, rozgrabionego pałacu.

Michał szykował dla najbliższych posłanie pod drzewem. Z zazdrością spoglądał na posiadające wozy rodziny moszczące się teraz do snu, wysoko, daleko od ziemi, która – był tego pewien – nad ranem, mimo letniej pory, zacznie bezlitośnie ciągnąć

przejmującym chłodem. Rozłożył pierzynę, zrobił miejsce dla matki, utulił dzieci i na koniec, sam opierając się o pień drzewa, wziął głowę żony na kolana. Czułe gesty, od jakich stronił przez te kilka lat wspólnego pożycia, gesty, jakie do tej pory wydawały mu się niemęskie, nie na miejscu w otaczającym ich brutalnym świecie, teraz – wobec dotykającej ich niezrozumiałej tragedii, tragedii, dla której nie potrafił znaleźć żadnych słów wytłumaczenia ani pocieszenia, w obliczu tej bezsilności kłującej pierś niczym zawał – stawały się jedynym możliwym ukojeniem, jakie mógł zaoferować rodzinie. I pał lichy, myślał, jak to wygląda. Chciał dać im oparcie i nieistotne było, że to męskie ramię, które ofiarowywał teraz żonie, mogło być w każdej chwili skruszone jednym uderzeniem karabinowej kolby, ważne, że otaczało teraz jej głowę i dawało choć namiastkę złudnego poczucia bezpieczeństwa i bliskości.

Przestrogi oficera poskutkowały. Nikomu w nocy nie przyszło do głowy próbować oddalać się od obozu. Zresztą wszyscy przesiedleńcy zdawali się jeszcze w szoku. Tkwić w zbiorowym stuporze. Przecież w jednej chwili zostali wyrwani z gleby, w którą wrosli korzeniami od wieków, od nastu pokoleń, i wrzuceni w bezwzględne żarna historii oraz wielkiej polityki, które po przemienieniu miały wypluć ich sproszkowane ciała po to, by użyźnić nimi inne, wykarczowane właśnie i ogołoczone z dotychczasowych mieszkańców, obce grunty.

Rano ponownie sformowano kolumnę, którą pognano na północ. Zaraz za wsią idący tuż za żołnierzami na czele wielobarwnego węża staruszek przystanął przed przydrożnym krzyżem, przez chwilę mamrotał pacierze, po czym padł na kolana, za jego przykładem poszli pozostali wysiedleńcy. Zdenerwowany dowódca nie wiedział, jak zareagować. Z domu wyniósł szacunek dla religii, modlących się ludzi, sam w dzieciństwie biegał do kościoła, nad drzwiami rodzinnego domu i w gabinecie, gdzie ojciec – administrator w niewielkim

majątku ziemskim – przyjmował petentów, wisiał krzyż. Z drugiej strony, akurat jemu, oficerowi Ludowego Wojska Polskiego nie wolno było tolerować tych zabobonów, godzić się na to, aby również kilku z jego podwładnych ukradkiem, z tyłu, starając się ukryć przed jego wzrokiem, także ugięło kolana i bezgłośnie klepało zaklęcia. W końcu był komunistą – tak przynajmniej to sobie tłumaczył – nie tylko z chęci robienia wojskowej kariery w nowych politycznych realiach, ale i z przekonania, z niezgody na wszystkie nierówności społeczne, jakie obserwował w zarządzanym przez ojca majątku i w małej podwarszawskiej mieścinie, do której wysłali go rodzice, aby pobierał nauki gimnazjalne. Po wkroczeniu do Polski Wehrmachtu, przed którym razem z rodziną uciekali na wschód, gdzie z kolei ich inteligenckie pochodzenie wzbudziło nieufność sowieckich władz zajmujących tę część Polski, co poskutkowało dalszą – tym razem już niedobrowolną – wycieczką na dalekie kresy radzieckiego imperium, nie rozumiał jeszcze tych polityczno-społecznych niuansów. Pojął je dopiero w Kraju Rad. Najpierw w szkole w Bijsku, a po zmobilizowaniu – w armii. I teraz ze złością myślał, że nie po to uczęszczał na zajęcia polityczne w Szkole Oficerskiej 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w Riazaniu, gdzie wytłumaczono mu, w jakim celu panowie wymyślili religię i co ona czyni z ludzkimi umysłami, nie po to wstąpił do tworzonych pod Sielcami polskiego wojska niosącego ojczyźnie na sztandarach wolność i socjalizm, nie po to przeszedł u boku Armii Czerwonej szlak bojowy od Lenino do Berlina (a właściwie to od Lublina do Łaby), nie po to został oficerem zwiadu, nie po to po wojnie nie zrzucił munduru, odmówił skierowaniu do Wyższej Szkoły Oficerskiej w Rembertowie i dalej robił porządki w odrodzonej Ojczyźnie, czyszcząc Hrubieszów z ukraińskich band, a potem okolice Piotrkowa Trybunalskiego ze zbrojnych kup reakcyjnego podziemia, żeby teraz nie reagować na gusła, które ciemny, nieświadomy lud

odprawiał pod jego okiem. Jednak nie bardzo wiedział, co miałby zrobić. Rozwiązań siłowych nie chciał stosować, nasyłać żołnierzy, często też tkwiących jeszcze w oparach ciemnoty, na modlących się ludzi. Byłoby to ryzykowne. Kolumna w marszu, mimo że osowiale, nie tak szybko, jak by tego sobie życzył, jednak posuwała się do przodu bez oporu ze strony wygnanych z domów przesiedleńców, bez komplikacji. Po raz kolejny machnął ręką i stanął z boku. W końcu się wymodlą i ruszą dalej, pomyślał. Edukować i uświadamiać, uświadamiać i edukować, dodał w duchu.

Od Kańczugi teren się wypłaszczył i wędrówka stałaby się łatwiejsza, gdyby nie parna duchota już od rana dająca się we znaki maszerującym. Wczesnym popołudniem zagrzmiało po raz pierwszy. Powietrze najpierw stanęło w miejscu, by po chwili uderzyć w kolumnę gwałtownym gorącym podmuchem. Niebo zsiniało, a gdy akurat dotarli do Urzejowic, na wysokość dawnego pałacu Turnauów, przed którym wały się poprzewracane klasycyzujące rzeźby, po tym, jak błyskawice kilkakrotnie rozświetliły ciemniejący horyzont, spadły na nich pierwsze grube krople deszczu. Gwałtowność burzy zaskoczyła wszystkich; po chwili z nieba lały się strugi wody; w kilka minut wieziony na wozach dobytek przemókł do cna, przemokli też ludzie. Kulący się żołnierze zaczęli łomotać do zamkniętych drzwi kościoła, w których po chwili stanął wystraszony proboszcz. Oficer władczy gestem odsunął duchownego i nakazał całej kolumnie skryć się we wnętrzu świątyni. Siekące z ukosa ciężkie krople rozbijały się o rozetę znajdującą się nad wejściem, bębniły, uderzając pod kątem prostym w dach transeptu.

Schowani przed burzą, przemoczeni przesiedleńcy dygotali w chłodzie bijącym od grubych murów. Nikt się nie odzywał. Ktoś zakaszłał i ten pojedynczy odgłos, odbijając się od sklepień świątyni, pognał przez nawę, aż po koniec prezbiterium, by po

okrężeniu absydy wrócić słabym echem do mokrego stada ludzkiego siedzącego w milczeniu. Z nasiąkniętych ubrań kropla po kropli kapą na kamienną posadzkę, tworząc rozrastające się szybko kałuże. Jeszcze niedawno zmagający się z upałem i duchotą ludzie marzli teraz niemiłosiernie. Lucyna starała się rozcierać pokryte gęsią skórą członki, rozmasowywać zziębnięte karki, swój i dzieci, ale nic to nie dawało, mokre ubranie chłodziło niczym wylany na gołe ciało kubek wyciągniętej ze studni lodowatej wody. Stojący przy jednej z bocznych kaplic żołnierze, nie przejmując się obecnością kobiet i dzieci i nie zważając na powagę miejsca, ściągali przemoczone mundury i je wyzymali. Od zakrystii dały się słyszeć kroki. Do nawy wszedł ksiądz w towarzystwie kościelnego, nieśli dymiące naczynia, a w nich wrzącą gorzką herbatę. Starczyło po niewielkim łyku dla każdego. Michał odmówił swojej porcji, pozwalając trzęsącej się matce pociągnąć z parzącego usta metalowego kubka dwa razy. Przyłożyła naczynie do zsiniałych warg...

– Słuchaj, Kazek...

– Nie kazkuj mi tu do cholery!

– Bo co?

– Bo tyle razy ci mówiłem: Kazik, nie Kazek!

– A ja to może Józik, a nie Józek, co?

– Józiek, po naszymu Józiek!

Zastanawiając się, czy powinna prosić o pozwolenie na rozmowę, Lucyna przysłuchiwała się dialogowi dwóch żołnierzy, którzy niecałe dwa tygodnie wcześniej zapędzili ją, Michała, dzieci i całą kolumnę wleczoną przez niemal czterdzieści kilometrów od Niewolna do obozu przejściowego zaimprovizowanego w cukrowni w Przeworsku. Teraz wojacy eskortowali kolejną grupę wysiedleńców, którzy podobnie jak Lucyna, jej bliscy oraz kilkadziesiąt innych rodzin musieli czekać – nie wiadomo, jak długo – na podstawienie transportu

kolejowego mającego wywieźć ich na Ziemię Odzyskane. Nadzieje Pudłów na wyjaśnienie nieporozumienia, którego, w ich mniemaniu, padli ofiarą, okazały się płonne. Ani wysokiej rangi oficerowie wojska, ani odwiedzający obóz cywilni notable różnego szczebla, do których Lucynie i Michałowi udało się dotrzeć, nie chcieli słuchać wyjaśnień, a jeśli nawet zdarzyło się, że ktoś nadstawił ucha, robił to ze znudzoną miną oraz nieskrywaną niecierpliwością, i za każdym razem wysłuchaną tyradę, wszystkie te argumenty, wydawałoby się, nie do zbiccia, kwitował jednym stwierdzeniem: Nie ma mowy o pomyłce, listy wywozowe są sporządzane bardzo skrupulatnie, władza ludowa się nie myli, a jeśli macie odmienne zdanie, podważacie tę oczywistą prawdę, to my tę waszą pomyłkę raz-dwa naprawimy w obozie w Jaworznie, tam możecie przejść przyspieszony kurs uświadczenia politycznego. A o jaworzyńskim obozie wśród czekających na transport przesiedleńców krążyły legendy. Skąd się wzięły owe plotki, nikt nie wiedział. Jednak już sama nazwa tej stworzonej i zarządzanej przez UB „placówki resocjalizacyjnej” dla ukraińskiego elementu niepewnego politycznie i podejrzanego o jeśli nie przynależność, to przynajmniej czynne sprzyjanie UPA, wzbudzała wśród koczujących w Przeworsku ludzi trwogę. Wypowiadana przez funkcjonariuszy przestroga sprawiała, że Lucyna z Michałem na kilka dni milkli, chowali się w najdalszy kąt cukrowni, starali się nie rzucać w oczy. Ale później, nie mogąc pogodzić się z losem, próbowali ponownie. Po kilku takich bezowocnych staraniach wreszcie dali spokój.

Podczas cichych narad prowadzonych w najciemniejszych zakamarkach prowizorycznego obozu (przez który już w czasie okupacji przewinęło się około dwudziestu tysięcy jeńców więzionych przez hitlerowców – władza ludowa potrafiła korzystać z najlepszych wzorców) doszli do wniosku, że nie będą trwonić energii i ryzykować utracenia wolności, usiłując

przekonać miejscowe władze do zmiany decyzji, co i tak najwyraźniej było z góry skazane na porażkę. Mieli na pozór pogodzić się z losem, po to jedynie, by swoją sytuację rozwikłać po dotarciu na miejsce przeznaczenia, licząc na to, że trafią tam na urzędników czulszych na argumenty, które w razie potrzeby byli gotowi sporządzić na piśmie ręką jednego z towarzyszy niedoli, przed wojną pracującego przez trzy lata w Ameryce wśród polskich emigrantów, którzy nauczyli go pisać po polsku, a który teraz zaoferował Pudłom pomoc. Na razie postanowili zająć się przede wszystkim sobą. Dziećmi i babką, z którą było coraz gorzej.

Lucyna minęła dyskutujących żołnierzy, nie pytając ich o nic. Zajęci sporem, jaki toczyli, nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. Zbliżyła się do zbitej w trwożliwą gromadę grupy nowo przybyłych wysiedleńców.

– Didus, szukaju znachara. U was je taki? – spytała kulawym ukraińskim stojącego z brzegu starca z wielką siwą brodą i małymi, głęboko osadzonymi, patrzącymi w dal oczami. Wyrwany na chwilę z zadumy pokiwał przecząco głową, po czym ponownie skierował wzrok ku błękitnemu niebu, na którym odcinała się górująca nad miasteczkiem wieża ratusza stojącego na wzniesieniu, zwieńczona figurą kobiety z mieczem w dłoni, symbolem kary śmierci, jakże adekwatnym do dramatu rozgrywającego się w życiu Lucyny.

– Znachara szukaju. Ludzie, pomóżcie! – Wbiegła pomiędzy nowo przybyłych, szarpiąc ich za ramiona, zaglądając w wystraszone twarze, ale napotykała jedynie obce, odwracające się od niej oczy przepełnione trwogą, wreszcie jedna z kobiet odpowiedziała:

– Tam ne maje szarlatan. Zalyszte nas u spokoji!

Potrzebowała pomocy. Pilnie. Wychłodzony podczas burzy, wymęczony uciążliwym marszem organizm matki Michała zbuntował się. Od pierwszej nocy w obozie babkę trawiła

gorączka, twarz zalewały poty, drobnym ciałem wstrząsały głośnie, niekończące się napady kaszlu. Z początku jeszcze Zenobia walczyła z chorobą, nawet po kilku dniach przyszło polepszenie, gorączka spadła, wydobywający się głęboko z płuc kaszel stał się jakby rzadszy, wydawało się, że wszystko idzie ku dobremu, i wtedy pojawiło się nagle, gwałtowne załamanie. Obawiające się epidemii władze obozowe przysłały do chorej lekarza. Ten opukał zwiotczące plecy i smutno pokiwał głową – zapalenie płuc. Niewiele mógł zrobić. Nie miał odpowiednich zastrzyków, specjalistyczne leki były potrzebne w odradzającej się ojczyźnie gdzie indziej. Babkę przeniesiono do izolatki, gdzie dzień po dniu traciła resztki sił, chudła. Odmawiała jedzenia oraz picia i wydawała się kompletnie zdezorientowana.

Lucyna postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Lekarzom nie ufała, jak chyba zresztą nikt w jej rodzinie, wiosce, okolicy, w której się wychowała. W szpitalu, w Przemyślu, była tylko raz, jako siedmiolatka, kiedy cap, który zimą mieszkał z nimi w chacie, wziął ją na rogi, aplikując w brzuch dwie brzydkie symetryczne dziury. (Zwierzę szarżę tę przypłaciło życiem, w akcie zemsty zaszlachtowane przez ojca dziewczyny). Rany były głębokie i nawet znachor rozłożył bezradnie ręce, każąc wieźć dziecko do lekarza. To była sytuacja wyjątkowa, ale na co dzień to właśnie znachorzy znający się na ziołach i zaklęciach nieśli mieszkańcom przedbieszczadzkich wiosek ulgę w chorobach, obietnicę wyleczenia. I o dziwo, tak właśnie często się działo, jak choćby wówczas, gdy na udzie nastoletniej Lucyny wykwitł brzydki wrzód, który ani nie chciał pęknąć, ani się wchłonąć. Rósł, a wraz z nim rósł koszmarny ból. Wreszcie po kilku dniach dziewczyna nie była już w stanie wyprostować nogi w kolanie. Pojawił się przykurcz. Wezwany znachor wrzód obejrzał. Nagotował naparu z ziół, do którego dodał, szepcząc coś pod nosem, jakiegoś proszku, od czego wywar stał się gesty. Mazidło wtarł we wrzód, wymierzył nogę nitką, na której

powiązał węzełki, każąc ją po swoim odejściu spalić w ognisku. Po godzinie czyrak pękł, sącząc cuchnącą ropę, a Lucyna natychmiast poczuła ulgę. Tak, babka zdecydowanie potrzebowała znachora, on wiedziałby, jak jej pomóc, ale akurat w obozie nie było żadnego! W nowo przybyłej grupie również.

– Ludzie, ta joj, teściowa mi umiera! Czy nikt nie może pomóc?! – krzyczała coraz głośniej.

– Starczy! Nie widzisz, kobieto, że tu nie znajdziesz ratunku? – Żołnierz wziął ją za rękę i delikatnie, ale stanowczo odciągnął od grupy. – Idźże do lekarza.

– Doktor ni pomaga. Znachora trza, un poradzi.

– Chuja tam poradzi! – wtrącił się do rozmowy drugi z żołnierzy. – Ciemnota i zabobon! Dziecino, jak lekarz nie może pomóc, to ty księdza szukaj, a nie znachora.

*

Dzień później babka wyzionęła ducha. Spokojnie, bez walki. Po prostu w jednej chwili świszczący, płytki oddech przestał unosić okrywający wychudzone ciało koc. Tyle. Michał zamknął Zenobii oczy. Martwili się, gdzie ją pochować, bo w miasteczku nie było prawosławnego cmentarza. Problem rozwiązał się sam: rodzina nie pogrzebała Zenobii Pudło, musiała zostawić ciało księdzu, który obiecał sprawę załatwić i dokonać pochówku na katolickim cmentarzu, ponieważ podstawiono pociąg i wszyscy, nie wyłączając Lucyny i jej pogrążonego w żałobie męża, musieli szybko zajmować miejsca w wagonach. Michał pocałował zimne usta matki, wziął Helę na ręce i razem z żoną i synem ruszyli, wraz z długą kolumną obładowanych bambetłami wysiedleńców, w stronę oddalanej o siedemset metrów stacji kolejowej.

Przed rampą zostali zatrzymani przez kordon wojska. Za żołnierzami przy pobielonym wapnem stoliku siedziało trzech

mężczyzn po cywilnemu. Na blacie obok odłożonych kapeluszy piętrzyły się przyciśnięte kamieniami papiery. Wzywano po kolei, rodzinami, które po przecięciu się pomiędzy ciasno ustawionymi mundurowymi stawały przed obliczami urzędników. Robiono szybki wywiad, wypełniano rubryki, nadawano każdej z rodzin odpowiednią, wstępną na razie kategorię określoną literą i kierowano w stronę posapującego przy peronie składu. Dokumenty podawane z rąk do rąk trafiały do stojącego z tyłu ze znudzoną miną dowódcy konwoju, który chował je do okazałej skórzanej teczki. Prowadzących żywy inwentarz kierowano na lewo, na początek składu, gdzie ludzie mieli być umieszczeni razem ze zwierzętami. Ci, którzy zwierząt nie posiadali, zajmowali środkowe i tylne wagony. Przed zajęciem miejsca w wagonie wojsko przeszukiwało jeszcze dobytek, szukając niebezpiecznych przedmiotów, których jakoś nie znajdowało. Ot, kolejna szykana. Zbyteczna, ale przewidziana regulaminem.

Kiedy przyszła kolej Michała, ten, stając dumnie wyprostowany i chowając za plecami kryjącą się załęczoną rodzinę, na wszystkie pytania zawarte w kwestionariuszu odpowiedział po polsku (co bardzo zdziwiło urzędników), rubryki pod jego nazwiskiem wypełniły się literkami pisanymi równym kancelaryjnym pismem. I wtedy bardziej dla uspokojenia sumienia niż w nadziei na osiągnięcie jakiegoś pozytywnego rezultatu po raz ostatni spróbował przekonać komisję do swojej polskości, zapewnić o lojalności wobec nowej Ludowej Polski.

– A dlaczegoż to nie macie tam, w tych papiórkach, pytania o narodowość, a? – zaczął.

– Co? – Zaskoczony urzędnik podniósł wzrok znad dokumentów.

– Czemu nie pytacie mnie i moich – pokazał na stojącą za nim rodzinę, którą przygarnął do siebie – o narodowość? Ja by wam

wtedy odpowiedział: Paliaki. – Pudłowie zrobili krok w stronę stolika.

Siedzący w środku urzędnik – właściciel okazałego brzuszyska – cofnął się gwałtownie, plecy trafiły w próżnię, taboret, na którym siedział, zachwiało się niebezpiecznie. Machał bezradnie rękoma, jak wielkie ptaszysko, nogi oderwały się od ziemi, jeszcze moment i runąłby w tył, gdyby w sukurs nie przyszedł mu siedzący po prawej tłumacz, który chwycił kolegę za łokieć. Jednak kilkadziesiąt kilogramów różnicy pomiędzy panami zrobiło swoje i tłumacz sam zaczął kołysać się niebezpiecznie na stołeczku. Chwilę obaj się chwiali, aż wreszcie do akcji wkroczył trzeci z urzędników, łapiąc grubasa za drugą, wolną rękę – powoli panowie w czarnych garniturach odzyskiwali równowagę. Michał zamarł zaskoczony tą groteskową – jeśli wydarzyłaby się w innych okolicznościach – sytuacją. Nie wiedział: śmiać się, a może przeproszać? Tymczasem urzędnicy umościli się ponownie na taboretach, wygodnie i – co ważne – stabilnie.

– Słuchajcie no – powiedział ostro tłumacz, poprawiając wskazującym palcem zsuwające się z nosa okrągłe okulary – to my jesteśmy tu od zadawania pytań, a wy od odpowiadania. Nie odwrotnie.

– Właśnie! Nie będziemy z wami dyskutować! – Siedzący w środku urzędnik odzyskiwał wigor. – Rubryk jest akurat tyle, ile być powinno. I mam tu jeszcze jedną do wypełnienia.

Michał już otwierał usta, żeby przedstawić przygotowane wcześniej argumenty, gdy spostrzegł, że uzbrojona w wieczne pióro dłoń urzędnika zawisała nad miejscem przeznaczonym do wpisania kategorii zaszeregowania. Pudło stał z otwartą buzią, a urzędnik wykonał trzy wolne obroty piórem nad pustym miejscem, po czym gwałtownym ruchem wpisał wielką literę A. Złapał dokumenty i szybko, nie oglądając się, podał za siebie.

– O, widzicie! Jeszcze jakieś pytania? – Pochylił się, opierając

łokcie na blacie i uśmiechnął pod nosem. Michał stał milczący. – Nie? To do zobaczenia na Ziemiach Odzyskanych. – Machnął zniecierpliwiony ręką, dając tym samym Pudłom sygnał do odejścia i jednocześnie żołnierzom do przywołania kolejnej czekającej rodziny.

Jak bydłęta, pomyślała Lucyna, widząc otwarte, wyściełane słomą wagony towarowe. Na szczęście miejsca wewnątrz było pod dostatkiem. Nie musieli się tłoczyć. W przydzielonym wagonie rozlokowane były już dwie inne rodziny. Umościli się w jednym z kątów, rozkładając skromny dobytek, i czekali. Godzinę, dwie... Wydawało się, że trwa to bez końca. Wreszcie, kiedy słońce minęło już zenit, parowóz gwizdnął, szarpnięte zniecka wagony szczęknęły, obijając się o siebie odbojami, pasażerami zakołysało i wypełniony ludźmi wiezionymi w nieznane skład potoczył się na zachód. Wlekli się koło za kołem przez pięć, może sześć kilometrów, i gdy spodziewali się, że pociąg nareszcie przyspieszy biegu, raptem po kilkunastu zaledwie minutach drogi zapisały hamulce. Zatrzymali się w szczerym polu. Po raz pierwszy. Przez chwilę słyszeli jakieś nawoływania, stuki, a potem doleciało do nich sapanie parowozu, głośnie z początku i powoli cichnące, tak jakby lokomotywa oddalała się od osieroconych wagonów. Dźwięk był coraz słabszy, w końcu skład ogarnęła nieruchoma cisza.

*

Chochla krążyła po wierzchu parującej zupy. Napełniła się wodnistą, rzadką potrawą i powędrowała w stronę menażki, która zamiast połknąć zaoferowane jedzenie, cofnęła się przed nim. Kucharz podniósł wzrok znad ogromnego gara.

– A, to ty! – powiedział i pokręcił głową z uśmiechem. Zanurzył ponownie chochlę w cieczy, pogmerał i z samego dna nabrał

pełną łychę gęstego jedzenia. Wypełnił nim trzy podstawione przez Michała menażki. Pudło ruszył w stronę baraków, a jego miejsce zajął kolejny przesiedleńiec, ustawiony w długim ogonku czekających na posiłek.

Michał szedł przez położony w pobliżu stacji kolejowej udeptany, otoczony drutem kolczastym plac, na którym w równych odstępach, jak ogromne stemple, odcisnięte były w ziemi prostokątne ślady po stojących tutaj do niedawna barakach. Rozebrano je po likwidacji obozu jenieckiego znajdującego się na tym terenie, w którym podobno w czasie wojny przetrzymywano siedem tysięcy wziętych do niewoli alianckich żołnierzy. Potem, kiedy Sowieci runęli na zachód w stronę Berlina, za drutami upchnęli dwadzieścia tysięcy pojmanych wehrmachtowców i volkssturmistów, których następnie, uformowanych w niekończące się kolumny, pognali, niczym jasyr, na wschód. Przed rokiem obóz opustoszał i władze rozpoczęły jego niespieszną rozbiórkę. Jak się niespodziewanie okazało, opłacało się zóźnie tempo likwidacji obozowych zabudowań i infrastruktury; pozostałe w kącie baraki mogły dziś przygarnąć kilkuset kolejnych niedobrowolnych mieszkańców. Przyjeżdżali pociągami, z południa; wyładowywano ich na rampach i ustawiano w równych szeregach. Dowódcy konwoju sprawdzali stan osobowy, przekazywali dokumenty kierownikowi stacji rozładowania wraz z krótką ustną charakterystyką eskortowanych przesiedleńców, spostrzeżeniami z paru tygodni wspólnej ciężkiej podróży – kto sprawia problemy, a kto jest potulny, z kim można się dogadać, a na kogo lepiej mieć oko – po czym, salutując i robiąc przepisowe w tył zwrot, pozbywali się kłopotu. Następnie władze terenowe w osobie wójta wygłaszały powitalne przemówienie, które nie napawało optymizmem; pełno w nim było różnych „dołożymy starań”, „najszybciej, jak to będzie możliwe”, „władze nad tym już pracują”, jednak z całej mowy obraz wyłaniał się

nieciekawym. Nikt w okolicy nie był przygotowany na przyjęcie tak dużej liczby przesiedleńców, Centralny Plan Ewakuacji był wprawdzie gotowy od dawna, ale szczegóły dopiero dopinano, a na ich tworzenie brakowało kompetentnych kadr. Pobyt w obozie mógł się przeciągnąć nawet do dwóch tygodni. Domy przeznaczone do zasiedlenia były rozszabrowane, ziemia zaniedbana, maszyn niewiele, a lokalne społeczności, tworzące się głównie z repatriantów zza nowej wschodniej granicy i niewielkiej liczby przybyszów z centralnej Polski – nastawione wrogo do przesiedleńców. Po tej dawce „dobrych wiadomości” przybysze byli kierowani do magazynów, z których pobierali koce i menażki, a następnie wędrowali do wskazanych baraków.

Pudłowie nie byli pierwsi w obozie, nie przyjechali też jako ostatni. Przed nimi i po nich przybyło po kilka transportów.

Niosąc menażki do baraku, Michał wspominał słowa komendanta wypowiedziane tydzień wcześniej na kolejowej rampie, przypomniał sobie też swoją gwałtowną na nie reakcję, która niestety nie uszła uwagi przemawiającego i potwierdziła opinię na jego temat wyszeptaną wcześniej przez kierownika transportu w komendanckie ucho. Ale jak mógł się nie zżymać, skoro znów mieli przed sobą kilkutygodniowe oczekiwanie na dopełnienie losu? Kolejne jałowe dni i być może kolejną osobistą tragedię? Ile jeszcze? Wszedł do wnętrza baraku i postawił menażki na stoliku obok pryczy, na której leżała Lucyna. Pogładził żonę po płaskim brzuchu. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się z wysiłkiem, siadła wolno na pryczy. Z drugiej strony podpełzły dzieci i aluminiowymi, krzywymi łyżkami zaczęły chłeptać zupę.

Obserwując jedzącą rodzinę, Michał zamyślił się ponownie. W obozie w Przeworsku przedłużające się oczekiwanie na transport przyjmował z apatią, zaabsorbowany chorobą matki, trawiący szok związany z przymusowym wysiedleniem i być może podświadomie liczący na to, że z każdym dniem

opóźnienia rosła ich szansa na wyjaśnienie omyłki. Ale kiedy załadowani do bydłych wagonów podróżowali w nieznane, kiedy pokonywanie kilkuset kilometrów zajmowało im nie godziny, a dni przechodzące w tygodnie, kiedy pociąg kolejny raz zatrzymał się w szczerym polu, coś w nim pękło. Co miał do stracenia, skoro gdy siedział cicho i tylko nieśmiało próbował upomnieć się o swoje, wlepiono mu kategorię A, najgorszą z możliwych – wicherzyciela, sprzyjającego bandom, takiego, od którego należy trzymać się z daleka?

Pociąg zawsze stawał w bezludnej okolicy, z daleka od lasów i zabudowań. Siedzieli trzeci dzień w unieruchomionym wagonie, wystawionym na promienie słoneczne i rozgrzanym niczym hutniczy piec, maczając jedynie usta w racjonowanej szczupło wodzie. Nikt nie zadbał o dostarczenie im jedzenia, a pobrane na poprzedniej stacji racje powoli się kończyły. Dobrze chociaż, że jedna z kobiet z przodu składu przynosiła dla dzieci raz dziennie kubek tłustego koziego mleka. Na wszystkie prośby eskortujący transport żołnierze wzruszali jedynie ramionami, twierdząc, że oni cierpią podobny niedostatek, nawet większy, bo nie mogli wylegiwać się całymi dniami i nocami na sianie tak jak przesiedleńcy; ich obowiązywała żmudna, wyczerpująca służba wartownicza. Nienapojone zwierzęta zawodziły żałością. W ludziach z wolna narastał wewnętrzny bunt, ale nikt nie miał odwagi głośno go wyrazić. Michał, jak pozostali, siedział cicho w wagonie, ale w środku gotowało się w nim. Lucyna dyszała ciężko ułożona na wygniecionej słomie, niedającej już od dawna najmniejszej wygody. Według prowizorycznych wyliczeń, które przeprowadzili, do rozwiązania pozostały dwa miesiące, może trochę mniej. Tymczasem w spartańskich warunkach podróży z dnia na dzień czuła się coraz gorzej. Nawet dzieci nie miały siły dokazywać. Michał czuł, że musi coś zrobić, w przeciwnym razie zwariuje, rzuci się z gołymi rękoma na strażnika albo zabije siebie i rodzinę.

Podniósł się ciężko i stanął w drzwiach wagonu. Chwilę się wahał, wreszcie zeskoczył na kamienie nasypu.

– Michał, ta joj, a ty gdzie?! – krzyknęła za nim słabym głosem Lucyna.

– Nigdzie! Siedź i czekaj! – rzucił za siebie i zbiegł z nasypu.

– Stój! Gdzie leziesz?! – doleciał do niego twardy męski głos. Nie zareagował. Szedł przed siebie. – Stój! Stój, bo będę strzelał! – Michał w dalszym ciągu maszerował, nie oglądając się. Usłyszał jeszcze odgłos repetowanej broni, a potem w powietrze wystrzeliła seria z pepeszy, której dźwięk, nie napotykając żadnej naturalnej przeszkody, rozlał się po polach. Michał zatrzymał się i powoli odwrócił. Zobaczył wycelowaną w siebie lufę karabinu.

– Co, ubijesz mnie, bo chcę przynieść dzieciom coś do jedzenia i do picia?

Ze wszystkich stron nadbiegali żołnierze. Pojawili się też nieliczni transportowani mężczyźni, na koniec podszedł kierownik.

– Co się tu dzieje?

– Obywatelu poruczniku, chciał zdezerterować. To znaczy uciec. Powstrzymałem próbę ucieczki!

– Nigdzie ja nie uciekał! Rodzina przecie została. Żona, dziatwa. Jedzenia ja chciał poszukać, picia.

– Bez pytania? Bez zgody? Wiecie, co za to grozi? – Oficer poprawił pas. – Czapa albo jeszcze lepiej, Jaworzno. Nie wiem, co gorsze.

– Ale tak dłużej nie da się! Wyzdychamy tak czy tak.

Kierownik coś ważył w myślach, wreszcie wyłowił z grupki mężczyzn dwóch, którzy, jak pamiętał, mieli najliczniejsze rodziny.

– Ty i ty pójdziecie z nim, a za wami Kowalski i Majka. – Pokazał na żołnierzy. – Zabierzcie baniaki na wodę i worki. I pamiętajcie, jeden krok w bok bez pozwolenia i walimy w plecy

bez ostrzeżenia.

Ruszyli.

Trzask karabinowych wystrzałów przeraził Lucynę. Michał, krzyknęła w duchu spanikowana i chciała poderwać się na równe nogi. Szarpnęła ciałem i nagle poczuła głęboko w środku ukłucie, które powaliło ją z powrotem na posłanie. Po udach pociekło coś ciepłego. Zesikałam się? – pomyślała zaskoczona, ale jednocześnie dziwnie uspokojona.

Michał spojrział na żonę jedzącą w milczeniu zupę. Potem na dzieci, które w obozie odzyskiwały wigor. Zastanawiał się, czy był przygotowany na to wszystko, co się z nimi działo, czy potrafił zadbać o rodzinę? Bo czym innym jest utrzymać najbliższych ciężką pracą własnych rąk, czym innym zginąć, osłaniając ich przed ciosami siekier podczas bandyckiej pacyfikacji wsi przez UPA, a czymś zupełnie przeciwnym dostać się w tryby ferującego wyroki historii Państwa. Państwa, dla którego los pojedynczego człowieka, czy nawet rodziny, jest całkowicie bez znaczenia, bez wartości, Państwa, które z jednostką może zrobić wszystko, nie tylko pozbawić życia, ale również tym życiem zarządzić w dowolny sposób: uwięzić, zesłać na roboty, obciążyć pracą, zakazać lub nakazać – jak im – zamieszkać w określonym miejscu. Państwa reprezentowanego przez bezdusznych urzędników wyposażonych we władzę, ale i podlegających tym samym prawidłom strachu przed karzącą ręką kogoś, kto stoi wyżej w hierarchii. Urzędników, którym wykonanie jakiegoś ludzkiego odruchu grozi utratą równowagi i upadkiem na łeb na szyję na sam dół... Michał wiedział, że z tą machiną nie zwycięży, ale wiedział też, że bezrefleksyjnie poddać się jej nie potrafi. Jednak próby przeciwstawienia się groziły tym, że przez państwową maszynkę do mielenia ludzkiego losu przepuszczą nie tylko jego, lecz także mu najbliższych.

Wracali w stronę wagonów po prawie czterech godzinach

z trzema workami świeżo nakopanych, drobnych ziemniaków i bańkami pełnymi wody. Zbliżając się do stojącego pociągu, Michał spodziewał się zobaczyć uradowane twarze, usłyszeć pytania o to, jak im się powiodło, tymczasem wszyscy milczeli, a gdy ktoś napotkał jego wzrok, spuszczał wstydliwie oczy. Czyżby aż tak się bali? – zastanawiał się w duchu. Niemożliwe. Tu działo się coś więcej. Ludzie schodzili mu z drogi. Cofali się, jakby zawstydzeni. Nagle zatrzymał się, a serce ścisnęła mu trwoga.

– Lucynka! – krzyknął i rzuciwszy worek na ziemię, pognął w stronę wagonu. Jednym susem wskoczył na platformę. Drewniana podłoga i rozciągnięta na niej słoma uwalane były krzepnącą krwią. Lucyna leżała w kącie zwinięta w kłębek i przyciskała do siebie zawiniątko. Michał, czując, jak mu wali serce, wolno zbliżył się do żony. Podniosła oczy i odwróciła głowę w jego stronę. Odetchnął.

– Dziewuszka – wyszeptała przez spierzchnięte wargi. – Śliczna. – Odchyliła rąbek chusty, w którą zawinięte było niemowlę. Zobaczył siną, martwą twarzyczkę.

Michał pogładził po plecach żonę, która ponownie położyła się na pryczy, zebrał ze stołu puste menażki i ruszył w stronę hydrantu usytuowanego obok latryn. Jego kroki śledziło kilkadziesiąt par oczu, ale wśród nich nie było już nikogo z transportu, którym przyjechali. Wszystkich rozlokowano, oni wciąż czekali na przyznanie miejsca osiedlenia.

Od momentu wyprawy po jedzenie autorytet Michała wśród transportowanych przesiedleńców rósł. Doceniano jego nieustępliwy charakter, podziwiano siłę mięśni, korzystano ze znajomości języka polskiego; kobiety otaczały rodzinę współczuciem z powodu podwójnej tragedii, jaka dotknęła Pudłów. Z wolna wyrastał na przywódcę. Tak również traktował go dowódca konwoju. To do Michała przychodzono z prośbą o pośredniczenie w załatwianiu drobnych spraw, to on upominał

się o uzupełnianie braków i łagodzenie dolegliwości, jakie gniotły współtowarzyszy. Ludzie zaczęli mu ufać, a on starał się tego zaufania nie zawodzić. To była dla Michała nowa, nieznana dotąd rola. Do tej pory pozostawał zawsze raczej na uboczu. W wiosce, w której się wychował, dominowali Ukraińcy, którzy krzywo patrzyli na jego polskość. Pudłowie, tak jak inni Polacy we wsi, choć trzymali się razem, nie uczestniczyli w życiu wioskowej społeczności – na zabawy nie chadzali, w cerkwi stali w swoim małym getcie w najciemniejszym kącie, większe zebrania omijali szerokim łukiem. Kto dorósł, jak jego znacznie starszy brat, uciekał do innych polskich wsi. W trzydziestym dziewiątym roku sąsiedzi gniewnymi pomrukami przyjęli postawę Jana, ojca Michała, który lojalnie poszedł bić się za ojczyznę (syna zmobilizować nie zdążono) i z nieukrywaną radością wieść, że wzięty przez bolszewików do niewoli powędrował do obozu, gdzieś hen nad Morze Białe. Satysfakcja z klęski Jaśniepańskiej Polski była ogromna. Michał nie czekał, aż do wioski wkroczą czerwoni, zabrał matkę i jak wielu innych przeprowił się przez graniczny San. Tułali się przez półtora roku, aż znów zagrzmiały armaty. Próbowali wrócić, ale w wiosce już panowało nowe, skromna chałupina była zajęta przez obcych, móg pól obsiany cudzą ręką. Od ojca nie było żadnych wieści. Michał zwiesił głowę. Odszedł. Tułał się, aż trafił do kuzyna na chrzciny. Także później w majątku, w którym dostali z Lucyną pracę, siedział cicho. Społeczność była zżyta od wieków, teraz dodatkowo skonsolidowana czyhającym w lasach śmiertelnym niebezpieczeństwem, a Michał, szczęśliwy, że przyjęła go do siebie, starał się jedynie dbać o rodzinę, ciężko pracować, pomagać sąsiadom i skromnie przyjmować ich pomoc. Więcej nie potrzebował. Teraz, widząc rezygnację wypędzonych z domostw ludzi, ich niemą zgodę na wszystko, co się z nimi działo, zrozumiał, że troska o ich sprawy jest również troską o najbliższych. Jeśli im pomoże, pomoże także bliskim.

Wypchnięty naprzód stanął na czele tych ludzi, mimo że nie do końca czuł się jednym z nich. Wiedział, że połączył ich jedynie wspólny los. Nic więcej.

Po rozładunku w Miasteczku, po zainstalowaniu się w obozie, czekając na skierowanie do miejsca osiedlenia, przesiedleńcy wciąż traktowali Michała jak swojego przywódcę. Twarze wokół niego zmieniały się, jedni odjeżdżali, na ich miejsce przybywali kolejni, mimo to nie zmieniała się jego pozycja w obozie. To do niego przychodzono ze wszystkimi bolączkami dnia codziennego, a on przyjmował tę rolę. Może w ten sposób łatwiej mu było zapomnieć o zagrzebanym gdzieś w śląskim polu drobnym, nieochrzczonym nawet ciałku, może też zrozumiał, że wcale nie musi starać się wracać, że czy tu, czy w rodzinnych stronach, tak czy tak będzie musiał układać sobie życie od początku, a najważniejsze, co udało się uratować z tej całej trwającej już tyle lat zawieruchy, to to, że rodzina – pomimo że śmierć zabrała najstarsze i najmłodsze z nich – wciąż była obok siebie, że nie pogubili się i dalej przechodzili przez wszystko razem.

Wchodząc w swoją rolę, Michał obawiał się tylko jednego: czy aby teraz władze nie będą miały go na oku, czy przez to, że stara się pomagać, reprezentować, nie stał się podejrzany, a co za tym idzie, czy podczas osiedlania nie zostanie w jakiś szczególny sposób potraktowany? Już teraz zastanawiał się, czy to, że ich rodzina do tej pory nie została skierowana do miejsca przeznaczenia, nie wynikało z jego zaangażowania w sprawy innych? Niby nic złego nie robił, można powiedzieć, że nawet czasami wyręczał obozowe władze, ale wiadomo, najlepiej robi, kto nic nie robi, kto siedzi cicho.

– Pudło, zostaw te manele – ostry męski głos przerwał mu rozmyślenia. – Szoruj do kierownika punktu rozładowania, przyjechał wójt. Chyba wyślą was w końcu na miejsce. Ale z kategorią A na zbyt wiele nie licz.

*

Zeskoczył z paki ciężarówki na polne kamienie, którymi wybrukowana była droga, i wyciągnął ręce w kierunku dzieci. Brał je po kolei i stawiał obok siebie, na koniec pomógł zsiąść Lucynie. Stanęli na wprost wielkiego ceglanego domu z płaskim dachem. Z czterech poziomych okien na parterze dwa lewe straszyły pustymi oczodołami, brakowało im szyb i framug. Chwasty za resztkami ogrodzenia sięgały wysokich parapetów.

Z szoferki ciężarówki, która ich przywiozła, wyskoczył niziutki człowieczek w za dużym kapeluszu i stanął obok Pudłów.

– I jak, podoba się? – zaskrzeczał schrypniętym głosem. Nie odpowiedzieli. – Tylko nie myślcie sobie, że całość należy do was. To są domy dwurodzinne. Wasza jest lewa strona. Za domem jest miejsce na szopę i przydomowy ogródek, do dyspozycji. Tutaj macie – poszperał w teczce, którą do tej pory trzymał pod pachą – dokumenty. O proszę! Zaraz, moment. Za godzinę zgłosicie się po ich odbiór do kierownika Widryńskiego, o tam – pokazał ręką za siebie. – W dole przy pałacu jest biuro. On da wam pracę i w ogóle powie, co macie robić. Już jest poinformowany o waszym przybyciu, ja mu zaraz przekażę te dokumenty i jeszcze list od wójta. A teraz proszę, możecie się rozgościć. – Wykonał drobną dłonią szeroki zapraszający gest.

Przecucia Michała nie myliły. Władzom – do czego głośno nie mogły się przyznać – odpowiadała nieformalna rola, jaką pełnił w obozie, bo chociaż domagał się różnych rzeczy, wciąż dyskutował i na wszystko zwracał uwagę, to z drugiej strony był przewidywalny, do okiełznania, nie podburzał ludzi, tylko wszystko brał na siebie. Jeśli czegoś nie udało mu się załatwić, wina najczęściej spadała na niego, a nie na kierownika obozu czy wójta. To było wygodne. Jednak trzeba było w końcu gdzieś go umieścić. Instrukcje były jasne, rodziny z kategoriami A i B miały być rozlokowane po jednej we wsi. Po jednej ukraińskiej rodzinie na osadę. Gdzie taką niezasiedloną Ukraińcami wieś znaleźć? – główkowano. Akcja trwała już od jakiegoś czasu i w niemal

każdej wsi były osadzone ukraińskie rodziny. Oczywiście z braku miejsc wójt przymykał do tej pory oko na ten przepis, ale w przypadku Pudłów nie mogło być o tym mowy. Taki wichrzyciel musiał być odseparowany od swoich. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł umieszczenia ich we Wrześniowie. Wcześniej nie brano tej miejscowości pod uwagę, ponieważ nie było tam żadnej ziemi do nadania. Przed wojną znajdował się w niej folwark i decyzją z góry miał on pozostać niepodzielony, planowano urządzić w nim jakiś rodzaj sowchozu. Pomysł wójtowi bardzo się spodobał. Pudłowie zostaną pozbawieni prywatnej bazy ekonomicznej, dom nie będzie należał do nich, ziemi nie dostaną, żywego inwentarza nie posiadają, w pałacu na skraju wsi wciąż stacjonował oddział Armii Czerwonej i już na pewno radzieccy towarzysze będą mieli oko na tego niepokornego osiedleńca. Udano się na rekonesans. Wypadł pomyślnie. We wsi pozostawało jeszcze kilka niezamieszkanych domów. Wybrano ten umiejscowiony centralnie w samym środku wioski, przy drodze, tak aby każdy, kto przychodząc z zewnątrz, chciał odwiedzić Michała, musiał przedelfilować przez pół wioski. Do tego domu nie można było zakraść się niepostrzeżenie. Zadowolony wójt szybko wypełnił niezbędne dokumenty i służbowym motocyklem wysłał sekretarza gminy z odpowiednimi informacjami do kierownika folwarku i lejtnanta dowodzącego radziecką jednostką. Szczęśliwy z rozwiązania problemu opadł na wielki fotel i nalał sobie kieliszeczek spirytusu. Jeszcze tego samego dnia po obiedzie kazał się wieźć do obozu i po krótkiej naradzie wspólnie z kierownikiem stacji rozładunkowej nakazali wezwać do siebie Michała Pudłę.

– Co ja, cholercia, mam z wami zrobić? – Kierownik folwarku przekładał papiery z jednego końca biurka na drugi i co chwilę pocierał sumiastego wąsa. – My tu się dopiero organizujemy. W pałacu ciągle siedzą Ruskie, i diabli wiedzą, cholercia, ile

jeszcze posiadzą. Ale to nic, pałac nie jest niezbędny. Czekam, cholercia, na decyzję z góry, bo chciałbym tu założyć wzorcową stację hodowli roślin. Nie dysponujemy co prawda jakimś okazałym arealem – poderwał się od biurka i zaplątawszy dłonie na plecach, zaczął wielkimi krokami chodzić po pomieszczeniu, obcasy oficerek wystukiwały rytm na drewnianej podłodze – ale podzielimy go na niewielkie poletka, równe. Elegancko, przed każdym odpowiednia tabliczka. Na razie dla władz priorytetem są kontyngenty, ale wiadomo przecież, że zboże należy uszlachetniać. Mamy obory. Wprawdzie Ruscy wywieźli zwierzęta, jednak stada da się odbudować, więc moglibyśmy na miejscu sprawdzać... – Zatrzymał się i spojrzał na Pudłów. – Ale wy pewnie nie wiecie, o czym mówię? – Michał pokręcił przecząco głową. – No tak, cholercia. – Kierownik wrócił do biurka. – Roboty wprawdzie u nas nie brakuje, ale załoga jest dopiero w fazie organizacji. To różni ludzie. Przyjechali z całej Polski. Również repatrianci ze wschodu. Trudno z nich będzie sklecić jeden sprawnie działający organizm. A wy, cholercia, jesteście Ukraińcy, element obcy. Mogą was nie zaakceptować, mogą pojawić się konflikty. Tego mi tu, cholercia, nie potrzeba.

To akurat Michał rozumiał doskonale. Już kiedy stanęli przed swoim nowym domem, z innych podwórek, domów, z krzaków porastających przydrożny rów zaczęły się wychylać zaciekawione głowy. Głównie dzieci, kilku kobiet i starców. W ich świdrujących oczach Michał dostrzegał mieszaninę zainteresowania i niechęci. Nikt jednak nie zdecydował się podejść bliżej, zagaić. Obserwowali, milcząc lub szepcząc między sobą. A kiedy Pudłowie godzinę później wędrowali całą rodziną w stronę biura, mijani mieszkańcy Wrześniowa przerywali pracę, podchodzili do płotów i z groźnie zaciśniętymi ustami odprowadzali ich wzrokiem. To samo powtórzyło się na folwarcznym dziedzińcu, na którym kilku zajętych naprawianiem budynków mężczyzn obróciło się w ich stronę

i ocierając pot z czoła, posyłało nienawistne spojrzenia. Gdy od drzwi biura dzieliło nowo przybyłych zaledwie kilkanaście metrów, do ich uszu doleciał dziecięcy krzyk:

– Ukraina!!!

Michał odwrócił się gwałtownie. Pomiedzy jabłoniemi porastającymi wzniesienie za budynkiem, w którym urządzono biuro, stał umorusany chłopczyk z kamieniem w drobnej dłoni. Chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie dzieciak wypuścił kamień z ręki, wykonał w tył zwrot i uciekł pomiędzy chwasty. Michał spojrzał na podwórze, wciąż przyglądający mu się mężczyźni szczerzyli z satysfakcją zęby.

– Tak, ciężko będzie, cholercia, nad tym żywiołem zapanować. Ale nie ma wyjścia, jest decyzja – kierownik postukał palcem w papiery – i musimy was przyjąć. Mówicie chociaż po polsku?

– Panie, my przecie Paliaki!

– Wszyscy? Żona też?

– Ta joj, panie – Lucyna złożyła dłonie jak do modlitwy – toż nas przez pomyłkę jaką wzięli. My starali się wyjaśnić, ale nikt, ta joj, nas nie słucha.

Przez chwilę kierownik siedział zaskoczony, kręcąc wąsem, wreszcie uderzył otwartą dłonią w papiery.

– Pomyłka, nie pomyłka, cholercia, jest decyzja i nikt jej teraz nie cofnie. A dla ludzi tu będziecie Ukraińcy, chcecie tego czy nie.

– Ponownie wstał od biurka, podszedł do okna i kładąc jedną dłoń na plecach, drugą wskazał przed siebie. – W stronę pałacu nie wolno wam chodzić. Tam siedzą Ruscy. Ten ich lejtnant to bardzo porządny chłop, nie można powiedzieć, trzyma tę całą bandę krótko, twardą ręką, a przekonacie się, być może, że na tym terenie, cholercia, to ewenement. Sołdaci go uwielbiają i się go boją. Jednak towarzysze radzieccy nie lubią, jak im ktoś tam w ich sprawy nos wtyka, dlatego najlepiej do pałacu się nie zbliżać. Jak chcecie nad jezioro czy do lasu, to za wsią jest ścieżka, omija folwark, pałac i park. No dobrze, cholercia,

przecież nie będziemy teraz rozmawiać o rekreacji. – Wrócił na krzesło. – Panią wezmę na razie tu do biura, do sprzątanania, a potem się zobaczy, może, cholercia, do kuchni, jak już ją uruchomimy. A was, Michale, zaprosimy w pole, krzepę macie, trochę doświadczenia, chyba, cholercia, się nadacie. Na razie tutaj mam dla was dokumenty na pobyt i talony na jedzenie, do zrealizowania w sklepie. Miejscowym. Żadnym innym. Spotkamy się w tym samym miejscu, w biurze za dwa dni. Na razie daję wam czas na zagospodarowanie się, bo dom zniszczony, stoi, cholercia, pusty od trzech lat. Pobierzecie z magazynu deski na sklecie jakichś mebli, narzędzia wypożyczymy, jutro wstawimy wam okna i drzwi. W domu możecie mieszkać, ale jest on własnością państwa, nie zapominajcie o tym.

Mieszkanie rzeczywiście było straszliwie zdewastowane. Pomieszczenie, do którego weszli, ziało chłodną, nieprzyjazną pustką, było ogołoczone ze wszystkich sprzętów, z wyjątkiem stojącego samotnie w kącie brązowego pieca, który Pudłom wydawał się zrobiony z grubego szkła. Michał widział takie piece, jeszcze bardziej zdobne i kolorowe, jedynie w pałacu w Niewolnie, podczas urządzanych przez pana sesji, podczas których uczył się posługiwać bronią. Poza tym jedynym, onieśmielającym luksusem pokój wyglądał jak rudera. Patrzyli z mieszaniną odrazy i zdziwienia na ściany, z których zwisały oderwane płachty grubego papieru pokrytego wyblakłymi wzorami; nad głowami, w miejscu gdzie zdaniem Lucyny w każdej normalnej chałupie powinna znajdować się powała, wisiała biała niegdyś, pokryta pozaciekanym tynkiem ściana, na której wyprysnęły jak wątrobiane plamy dwa duże, ciemne, wilgotne koła, pod nimi na deskach podłogi odbijały się symetrycznie, jak w lustrze, identyczne mokre, gnijące placki. Reszta domu nie wyglądała lepiej. W pomieszczeniu, które Pudłowie zidentyfikowali jako kuchnię, ściany pokrywała gruba warstwa sadzy. Otynkowany mur i podłoga innego dziwnego

pomieszczenia z małym okienkiem, pełnego rurek i pokręteł, którego przeznaczenia nie potrafili rozszyfrować, zaatakowane były przez grzyb układający się w mozaikę różnobarwnych wielkich naleśników. Z każdego kąta cuchnęło stęchlizną. Należało zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

– Chata jak dwór. – Michał próbował tchnąć w żonę dawkę optymizmu. – Murowana, przestronna, z wielkimi oknami. Odnowi się, wysprząta się i będziemy tu żyć jak jaśnie państwo.

– Michał, a gdzież tu palenisko zrobić? Na tych deskach? Ta joj, a dziurę w dachu, żeby dym uchodził? Gdzie?

– Oj, babo – Michał starał się objąć żonę, ale ona wymknęła mu się – nie widzisz tego tu pieca? To nowoczesność.

– Nowoczesność? Ta joj! – Lucyna była autentycznie przerażona. – Toż robale nas zjedzą, jak chałupy nie będzie się odkazać. A choróbska? Jezusie Nazareński, jak tu żyć?

– Niemce tu jakoś żyli.

– Żyli, żyli, i co im z tego przyszło? Wojnę przegrali i już nie żyją.

– Ty się módl, żeby nazad nie wrócili.

– Tatku, a gdzie będziem spali? – Adaśko pociągnął ojca za rękaw.

– O widzisz, ta joj, dzieciak ma raję.

Michał pochylił się nad synem i pogłaskał go po głowie.

– Siana trzeba nanieść. Kierownika poproszę. Da. Pierzynę rozłożyć. A jutro zbiję łóżko.

– Michał, a obiecaj mi, że palenisko sklecisz!

– Oj, babo, babo!

– Babo... Ty wszystkim zadowolony. A gdzie chleb upieczesz? W tym to-to? – Pokazała na stojący w kącie kafłowy piec.

– W tym to chyba nie – odpowiedział niepewnie Michał.

– To gdzie?

– Nie wiem. Może centralnie gdzie pieką? Jak w mieście. O, mamy tu przecie taluny do magazynu, może tam dają?

– Daj, pójdę!

Lucyna, ściskając talony w dłoni, wyszła przed dom, na drogę. Schowała pod chustę wysuwając się czarne kosmyki gęstych włosów. W którą stronę iść? – rozglądała się bezradnie. Z kierunku przeciwnego niż ten, z którego przywieziono ich z Miasteczka, szła szosą kobieta, ciągnąc za sobą płaczącego dzieciaka.

– Przepraszam, pani, gdzie nachodzi się magazyn? – spytała Lucyna.

Kobieta rzuciła jej krótkie spojrzenie, po czym błyskawicznie odwróciła wzrok i nic nie odpowiadając, przyspieszyła kroku. O co im rozchodzi się? – zastanawiała się Lucyna. Co my im zrobili? Pchali się tu czy jak? Nie wiedząc, co robić, ruszyła w ślad za kobietą z dzieckiem. Po kilkudziesięciu metrach idąca przodem skręciła w prawo, obok trzech strzelistych starych buków w węższą, ale również wybrukowaną dróżkę. Uszła jeszcze dalszych kilkanaście metrów i zatrzymała się przed małym, pokrytym spadzistym dachem budyneczkiem. Spojrzała na Lucynę i ciągnąc dziecko za rękę, wspięła się na sześć stopni prowadzących do drzwi. Lucyna przyglądała się wejściu. Chyba magazyn, pomyślała, badając wzrokiem kolorowy szyld z literami, których niepiśmienna nie rozumiała.

Kiedy weszła do środka, szepczące do tej pory między sobą gruba sklepowa w jasnym czepku i kobieta z dzieckiem zamilkły, obróciły się i wwierciły w nią przenikliwe spojrzenia, które piekły Lucynę, jakby wypalały piętno. Nieśmiało zbliżyła się do kontuaru.

– Czego? – rzuciła niskim głosem sklepowa.

– Jedzenia by chciała.

– A ma pieniądze?

– Nie, taluny. Kierownik dał.

– Niech pokaże. – Zlustrowała podane przez Lucynę papierki. – Chleba mogę dać i jakieś smarowanie. Kielbasy i ogórków. Więcej

nie ma.

– A, pani, ten chleb to skąd?

Miejscowe kobiety wymieniły się spojrzeniami i uśmiechnęły lekceważąco.

– Na drzewie rośnie.

– Ta joj! Że jak?

– Z piekarni. A niby skąd miałyby być? – Sklepowa zniecierpliwiała się. – Bierze czy nie, bo nie mam czasu.

– Biorę. Tak, tak, biorę.

– A w co zawinie zakupy?

– No jak w co? O! – Lucyna podwinęła jedną z trzech spódnic, które miała włożone jedną na drugą i zaczęła pakować w nią podawane przez sklepową jedzenie.

Przed wejściem, przy schodkach czekała już na Lucynę zgraja dzieciaków, które idąc kilka kroków z tyłu, odprowadziły ją aż pod sam dom. W trakcie marszu wykrzykiwane najpierw pojedynczo, to przez jednego, to przez drugiego smarkacza słowo „Ukraina”, zamieniło się na szosie w gromkie skandowanie: U-kra-i-na!!! U-kra-i-na!!! Przed dom wyskoczył Michał, a widząc go, wrzeszczące dzieciaki rozbiegły się, spłoszone jak wystraszone klaśnięciem stado gołębi.

Zapadał zmrok. W pustym, pogrążającym się w ciemnościach mieszkaniu nie mieli czym świecić. – Ani oliwnej lampki, ani nawet łuczywa – narzekała Lucyna – nie pomyślała, mogła w magazynie dopytać. – Dzieci, zmęczone wydarzeniami całego dnia, spały umoszczone na sianie w kącie, a rodzice siedzieli w milczeniu na podłodze, oparci plecami o ścianę, rozmyślając. Gorszego przyjęcia chyba nie mogli się spodziewać. Ale czy mogli liczyć na lepsze? Sami przecież jeszcze do niedawna byli przekonani, że dopóki choć jeden Ukrainiec będzie mieszkał w ich rodzinnych stronach, dotąd band nie uda się unicestwić. Wszyscy chcieli spokoju, a za niepokoje obwiniano właśnie Ukraińców. Cóż winni ci ludzie, myślał Michał, myślała też

Lucyna, że nienawidzą? A że właśnie ich? Skąd mają wiedzieć, że Pudłowie oberwali w tej bijatyce jedynie rykoszetem, że głowy, przynajmniej po tej stronie, po której się niespodziewanie znaleźli, nie nadstawiali. Tylko ciężko tak zostać samemu przeciw wszystkim. W świecie, z którego przybywali, mimo że niebezpieczeństwo mogło nadejść w każdej chwili i z każdej strony, przynajmniej było wiadomo, kto swój, a kto wróg. Dla tutejszych wrogiem byli oni. Może już nie tak groźnym, ale na pewno znienawidzonym.

Usłyszeli kroki, najpierw na podwórzu, a po chwili w sieni. Ich przyzwyczajony już do mroku wzrok dostrzegł zarys ludzkiej sylwetki w otworze po drzwiach. Michał stęzał, spodziewając się najgorszego. Zacisnął dłonie w pięści gotowy do skoku.

– Ało, jest' tutaj kto? – Mężczyzna niepewnie rozglądał się po pokoju, nie mogąc w ciemności rozróżnić kształtów. Lucyna poruszyła się. Obcy obrócił głowę w stronę, z której doleciał do niego dźwięk: – A, tu jesteście! Zdrastwujcie tawariszy, spiryt u was jest' albo samogończyk? – zapytał bez wstępów.

– Nie ma – szorstko odpowiedział Michał.

– Nu kak, ze wschodu... wschoduju prijechali i nie priwiezli z sobą... z saboj... saboj samogończyka? Nic a nic? Niczewo?

– No nie przywieźli. A pan tu czego?

– Ty nie bój... nie boj... bojsa. Ja padrug. I u mienia jest butelkaja. Samogończyk pierwaja klasaja. Napiju się... sa? – Postąpił krok w głąb pokoju.

– Przepraszam, pan po jakimu do nas gada? Bo ja nie bardzo rozumim.

– Nu kak? Pa ruskim! Wasz ukraiński podobnyj do ruskiego, nie?

– Tylko że my gadamy po polsku.

– Tak? To świetnie, bo ja po rusku to tak nie bardzo. Cieszę się! Mówili Ukraińce, a tu proszę, po polsku gadają.

Zrobił kolejny krok i znalazł się przed siedzącymi w dalszym

ciągu na podłodze Pudłami.

– Czyżyk jestem. – Zagwizdał. – Maciek Czyżyk. Spod Sochaczewa. Też w miarę nowy, czwarty miesiąc mija, jak się tu osiedliłem. Napijmy się, poznajmy.

– Z czego? Nawet stakańczyków u nas nie ma.

– Spokojna głowa, tak myślałem, wziąłem ze sobą szklaneczkę.

– Czyżyk uśmiechnął się, błyskając białymi, zdrowymi zębami, i usiadł naprzeciwko Pudłów. – Siądziemy sobie na podłodze i wypijemy. Tylko jakieś światło byście zapalili.

– Kiedy właśnie, że nie ma.

– Nie macie lampki? Elektryka też nie działa?

– W imię Ojca i Syna, jaka elektryka? – Lucyna się złękła.

– Normalna, z prądu.

– To tu we wiosce jest elektryka? Prawdziwa? – Michał był szczerze zdumiony.

– A jest! Prawdziwa! Tylko u was w chałupie jeszcze widać nienaprawiona. Spokojna głowa, naprawimy. Trudno, po ciemaku posiedzimy.

Wyciągnął zza pazuchy litrową butelkę. Odkorkował. Po pokoju rozszedł się ostry, słodkawo-mdłący zapach alkoholu. Czyżyk nalał pełną szklanekę i ostrożnie podał Michałowi.

– To jak familia, jeśli łaska?

– Pudło Michał, a to żona moja, Lucyna. – Michał wypił i oddał szklanekę Czyżykowi. – Lucynka, daj chlebka. Dla mnie i dla gościa.

– Nie nada się. Pszenicznyj. Nie poniuchasz. Dam lepiej ogórców.

Wstała i na pół po omacku poszła w kąt pokoju, gdzie wcześniej odłożyła przyniesione zakupy. Czyżyk nalał kolejną pełną szklanekę bimbrowa i sam wypił duszkiem. Zakąsił podanym przez Lucynę kiszonym ogórkiem.

– Po coście tu przyjechali, Macieju? Za pracą?

– Widzicie, mnie wszystkich Niemce wybili podczas

pacyfikacji. Nawet nie wiem za co. Faszysty! Z całej rodziny tylko mnie udało się uciec do lasu. Chałupy popalili. Nie było dokąd wracać. Potem, po wyzwoleniu, już za demokracji, ziemię z reformy mi dawali, ale nie wziąłem. Bo i po co? A może później trzeba będzie oddawać? Zresztą, na co mi ta ziemia, jak ja sam na świecie jak ten palec. I za młody jestem, żeby się dać do pługa zaprząć. Osiemnaście wiosen jeno. Przygód mi się chce. Świata trochę zobaczyć. Jak usłyszałem, że na Ziemi Odzyskane ludzi do pracy szukają, że i mieszkanie dostanę, i robotę, to długo się nie zastanawiałem. Hajda do pociągu i jestem. Do miasta chciałem, ale skierowali mnie tutaj. Ano zobaczymy!

Kolejny raz wypili, kolejny zakąsili.

– Nie boicie się tak do nas przychodzić i z nami gadać? – zapytał Michał i zamlaskał, gryząc kwaśnego ogórka.

– Kogo? Tych czubków tutaj? A dajcie spokój.

– Ale ludzie do nas nastawieni są źle. – Michał pokiwał głową.

– Bo was nie znają. Boją się.

– A ci tutejsi to kto?

– Wszystko przyjezdni. Niemców, tych, co sami nie uciekli, Ruskie niedawno wygonili. Z tych, co przed wojną we wsi żyli, została tylko jedna stara Niemka, mieszka w folwarku, naprzeciwko biura. Dla Rusków pracuje. Poza tym jest jeszcze jedna niemiecka rodzina, ale oni nietutejsi. Podobno przed frontem skądys uciekali, któreś zachorowało i tak tu zostali i siedzą do dziś. I księżulo jeszcze jest Niemiec, ale mówią, że on też niedługo wyjedzie do swoich.

– A reszta?

– Zbieranina. Jedni spod Poznania, inni spod Bydgoszczy, jeszcze inni, jak ja, z centralnej Polski. Są też zabugowi, spod Grodna. Ciągnie tu każdy, kto nie ma co ze sobą począć.

Na zewnątrz rozszczękały się psy. Szklanka znów się napełniła.

– Teraz wy opowiadajcie, skąd przybywacie i jak się tu

znaleźliście? – zaproponował Czyżyk, wyciągając w stronę Michała rękę, w której trzymał alkohol. Pudło wypił i spojrzał w pusty prostokąt po oknie, na rozgwieżdżone niebo. Wciągnął w nozdrza zapach dojrzałego, późnego lata i zaczął opowiadać. Mówił długo, jakby chciał wyrzucić z siebie wszystkie wydarzenia ostatnich tygodni, mówił w ciemność, jakby sam do siebie, jakby metr od niego nikt nie siedział i go nie słuchał, mówił, jakby sam przed sobą się spowiadał, sam sobie starał się wszystko wyjaśnić, jakby wreszcie, docierając do kresu tułaczki, przyszedł czas na refleksję. Nie było Czyżyka, nie było kierownika Widryńskiego, nie było tego domu, był tylko on i Lucyna, i dzieci, i umierająca matka, i martwa dziewczynka, i szpadel, którym stukał w twardą wyschniętą ziemię, kopiąc grób, i wykrzywiona bólem twarz żony, i nierozumiejące, co się wokół dzieje, spojrzenia Adaśka i Heli, i bezsilność. Przede wszystkim dławiąca bezsilność.

Skończył. Zapadła cisza przerywana jedynie pohukiwaniem puszczyka. Czyżyk wlał do szklanki resztkę alkoholu.

– Ludzie szybko się do was przyzwyczajają, zobaczycie. A jak was już lepiej poznają, to zorganizujemy ekipę i wyremontujemy to wasze gniazdko. Elektrykę się przywróci. Będziecie tu dobrze żyć.

*

Mijały tygodnie. Początkowa nienawiść do Pudłów stopniowo stygła. Pracowitość Michała, prostolinijność Lucyny, ich unikanie angażowania się w konflikty sprawiały, że mieszkańcy Wrześniowa z wolna zaczęli wybaczać im rzekome ukraińskie pochodzenie. Jeszcze niekiedy jakiś dzieciak za plecami krzyknął: Ukraina!, od czasu do czasu naśmiewano się z ich zabawnego sposobu mówienia, przedrzeźniano, ale robiono to raczej dla

sportu niż z autentycznej niechęci do Pudłów. Czyżyk miał rację: rodząca się społeczność, pstrokata mozaika sklecona z ludzi wywodzących się z różnych kultur, tradycji wchłonęła przesiedleńców jak kolejny element skomplikowanych, dopasowywanych na siłę puzzli.

W tych pierwszych, najtrudniejszych dniach bardzo pomógł Pudłom Czyżyk. Ten pogodny chłopak, często zaglądnący do kieliszka i nic nierobiący sobie z uprzedzeń innych, pośredniczył w znalezieniu wspólnego języka pomiędzy przesiedleńcami a resztą mieszkańców wsi; pomagała mu w tym butelka, pomagały wesoły charakter i sympatia, jaką darzyli go pozostali. Przykład dał Bogdan Żytko, który pewnego dnia, zamiast jak co dzień uczestniczyć w szykanach, jakim bezustannie był poddawany w pracy Michał, podszedł do stojącego z Czyżykiem Pudły i przyłączył się do rozmowy. Młody, wąsaty Żytko cieszył się we wsi dużym autorytetem, ponieważ był tu najdłużej ze wszystkich Polaków, zaplątał się jeszcze w czasie, kiedy zagony czerwonoarmistów zbliżały się do bunkra Kancelarii Rzeszy – wywieziony z rodzinnej wsi, pracował gdzieś tu w pobliżu przy koniach, po wyzwoleniu wędrował w rodzinne strony pod Bydgoszcz. Nie dotarł. Coś go tutaj zatrzymało, ale co, nikt dokładnie nie wiedział. Plotkowano o uczuciu do jakiejś miejscowej Niemki, która podobno pewnego dnia wyszła z chałupy i już nie wróciła, jednak nic konkretnego nie wiadomo, a Bogdan nikomu nigdy o tym nie opowiedział. W każdym razie jego staż, znajomość niemieckiego i twardy, uczciwy charakter zjednywały mu sympatię sąsiadów. Więc kiedy podszedł i beztrąsko zaczął gawędzić z Michałem, za jego przykładem poszła reszta.

Dłużej aklimatyzacja trwała wśród kobiet. Były bardziej zawzięte, a prym wiodła zawsze skwaszona sklepowa. Przy każdej próbie wymiany talonów na jedzenie natrzęsała się z ubranej niezmiennie w trzy nałożone na siebie spódnice,

zabobonnej Lucyny, szydziła, dogryzała, a w ślad za nią szły inne. Z czasem jednak kobiety zorientowały się, że ciemnowłosa Ukrainka, jak ją nazywały, bardziej niż niechęć wzbudzała w nich wesołość i to uczucie przykryło początkową nienawiść, po tym pojawiła się sympatia i wkrótce także one przyjęły Lucynę do swojego grona.

Tak jak obiecywał Maciej, pewnego dnia po pracy w domu Pudłów pojawiła się ekipa, która pomogła doprowadzić mieszkanie do porządku i, co szczególnie przeraziło Lucynę, podłączyła elektryczność, a niedawno jedna z zabugowych rodzin zaprosiła nawet Pudłów do siebie, na chrzciny. Kiedy zaszumiało w głowach, uczestnicy libacji podzielili się na Polaków i tych ze wschodu, pięści poszły w ruch, a gospodarz, wyrwawszy framugę z drzwi, kręcił nią na podwórzu młynka nad głową, krzycząc: Ubiju całe Wrześniowo! Ale rano, kiedy bimber wywietrzył z głów, wszyscy zgodnie powędrowali do roboty, raczej naśmiewając się z sińców, niż je sobie wypominając. Tak, większość zaakceptowała Pudłów, jednak nie wszyscy. Dziwną nienawiścią do Michała pałał miejscowy kowal, Piotr Gruszczyński, czterdziestoletni mężczyzna nazywany we wsi Poznaniakiem. Michał nie potrafił pojąć, skąd brała się ta złość, nie dawał do niej żadnego powodu. Nawet kilkakrotnie, kiedy już poczuł, że nadeszła pora, że reszta wsi patrzy na jego rodzinę przychylniejszym okiem, sam wyciągał do Gruszczyńskiego rękę, którą ten za każdym razem ze wstrętem odtrącał, plując przez zęby pod nogi i cedząc przekleństwa. Poznaniak miał kilku naśladowców, którzy podobnie jak on, nie potrafili przekonać się do Ukraińców. Michał starał się tym nie przejmować. W końcu nie wszyscy muszą mnie kochać, myślał nieraz w duchu, idąc do pracy.

Robota w polu była ciężka. Ziemia zaniedbana, a budynki wymagały napraw, na które brakowało materiałów, czasu i przychylnego spojrzenia terenowych władz. Kierownik

Widryński, dawny zarządca podlubelskiego majątku, władał folwarkiem twardą ręką. Najważniejsze dla niego były ład i porządek, no i estetyka. Nie tolerował śmiecenia, porzucania narzędzi, brudu. Co piątek przez pół dnia cała załoga, bez względu na pogodę i inne obowiązki, musiała miotłami zrobionymi własnoręcznie z brzozowych witek zamiatać cały folwark: puste zabudowania, podwórze, nawet brukowane drogi, na skraju których kierownik nakazał wkopać wykonane z ociosanych kamieni krawężniki, pobielone następnie wapnem. Przekopaną szpadlami morgę ziemi na dziedzińcu zamieniano na warzywniak. W październiku, kiedy wydawało się, że po oczyszczeniu rowów melioracyjnych i skoszeniu chwastów ziemia pozostanie w ugorze do wiosny, w folwarku odbyła się niecodzienna uroczystość; zjechały na nią nawet powiatowe władze. Za poniemieckimi limuzynami, którymi przybyli notable, przed szeregiem odświętnie ubranych wrześniowian przejechała, podskakując na kamieniach, wielka ciężarówka, a na jej pace rozparł się przypominający małą lokomotywkę zielony ciągnik na stalowych kołach. Były przemówienia, życzenia i kwiaty, a na koniec odpalono traktor, który z hukiem wzbił w powietrze kłęb czarnego dymu i stoczył się po zbudowanej z desek pochylni, pyrkając czterdziestokonnym silnikiem. Wraz z maszyną wieś zyskała nowego mieszkańca: traktorzystę, mechanika i instruktora w jednej osobie. Traktor, do którego podczepiono pług, ruszył w pole, odcinając równe skiby ciemnej ziemi. Za nim ruszyli ludzie z pełnymi garściami ziarna. Sen kierownika zaczynał się spełniać.

Uroczystości przekazania ciągnika z za prowizorycznie postawionego płotu przyglądało się kilku czerwonoarmistów. Chętnie zarekwirowaliby takie cudo techniki i wysłali do spragnionej dóbr ojczyzny, ale niestety skończyły się już dobre czasy, w których brali wszystko, co tylko nawinęło im się pod rękę. Co się dało, zdemontowali, z czego tylko było można,

ogłocili podbity kraj, każdy wartościowy przedmiot wywieźli i kiedy nie pozostało już nic do wzięcia, przyszedł rozkaz: od teraz niczego nie wolno brać. Ziemię tę to już nie Niemcy, należą do sojuszniczej Polski Ludowej, która od tej chwili będzie je na nowo zagospodarowywać. Ciężko było się z tym pogodzić, ale cóż można było zrobić; zwycięscy żołnierze z zazdrością patrzyli więc, jak okolica ponownie się zapełnia – najpierw z wolna, a później coraz szybciej – kuszącymi dobrami, jak pole po wypaleniu okrywa się kiełkującą zrazu nieśmiało, a po chwili bujnie roślinnością.

Stosunki pomiędzy wsią a radziecką jednostką zajmującą pałac były żadne. Żołnierze ogłocili folwark i domy w wiosce ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, i wywieźli do magazynów w Miasteczku, po czym odgradzili się od wrześniowian płotem. Po parku i leśnych drózkach spacerowały rzadkie, znudzone patrole, które nie wdawały się w pogawędki z mieszkańcami, co kilka dni przez folwark przejeżdżała ciężarówka, dowożąc żołnierzom zaopatrzenie. Jeszcze rzadziej lejtnant korzystał ze stojącego na podjeździe willysa. Czasem tylko nad okolicą rozbłyskała łuna z ogniska rozpalonego przez Sowietów na plaży, a po jeziorze niosła się rzewna pieśń. Do pałacu, poza starą Niemką, z którą nikt i tak nie rozmawiał, żaden z mieszkańców wsi nie zaglądał. Plotka głosiła, że lejtnant, grożąc drakońskimi karami, zdecydowanie zakazał swoim żołdatom dewastowania pałacu, dzięki czemu żołnierze mieszkali sobie po pańsku, korzystając z niemal wszystkich luksusów, w jakie wyposażona była przed wojną ta junkierska rezydencja. Luksusy luksusami, ale trzeba było też jeść, i to najlepiej coś więcej niż tylko mdłe konserwy z wojskowej aprowizacji, dlatego lejtnant niechętnie wyraził zgodę, aby wyciągnięte z przydomowych chlewików w wiosce świnię (folwark nie posiadał chlewni) umieścić w ogromnym salonie, w którym – dokąd nad Europą nie zadudniły artyleryjskie

kanonady – rodzina von Exil oddawała się wspólnemu muzykowaniu, o czym przypominały rozmieszczone w supraportach stiukowe motywy przedstawiające putta z instrumentami muzycznymi. Teraz pod plafonem wymalowanym pastelowymi barwami w romantyczne sceny rozlokowała się trzoda chlewna, co lejtnant lubił kwitować powiedzonkiem: jedne świnie zastąpiły drugie.

*

Kończyła się jesień. Pozbawione liści drzewa gięły się nagimi konarami ku mokrej ziemi targane przez lodowaty, wilgotny, północno-zachodni wiatr. Oczekiwano pierwszego śniegu. Przed domami ustawiano w wysokie sterty porąbane szczapy drewna. Wymęczony traktor zjechał z pól. Wrześniowo szykowało się do zimy. Każdy bardziej niż folwarkiem przejmował się teraz własnymi sprawami, zabezpieczeniem domu i rodziny przed nadchodzącymi mrozami. Bo, po prawdzie, co można było robić zimą w pozbawionym zwierząt folwarku? Nawet kierownik Widryński – choć nie przestał kłaść nacisku na czystość i porządek i po staremu gonił pracowników do copiątkowego sprzątnięcia – postanowił wykorzystać czas, w którym zamarzy prace w polu, na popchnięcie do przodu sprawy wydania decyzji przekształcającej folwark w stację hodowli roślin. Jeździł do powiatu, przekonywał, prezentował, prosił, raz nawet wybrał się do samego województwa. Jeśli będzie trzeba, to i do Warszawy pojedę! – powtarzał. Jak dotąd słyszał za każdym razem: To ciekawe, kto wie, może, towarzyszu, macie rację, ale to wszystko nie takie proste, rozważymy, podyskutujemy z górą, czekajcie cierpliwie, decyzja zapadnie niebawem. I oczywiście nie zapadała.

Do zimowego snu szykowali się również krasnoarmiejcy.

Częściej niż zazwyczaj przyjeżdżała do nich ciężarówka z garnizonu w Miasteczku, a przed tygodniem pojawiła się cała kolumna wojskowych pojazdów, z których wysiedli oficerowie w butach z wysokimi cholewami i w eleganckich mundurach ze spodniami z lampasami. Przyjezdni pokręcili się chwilę po parku, obeszlili fontannę, a wreszcie, wspinając się na szerokie schody wielkiego tarasu, zniknęli w pałacu. Wizyta trwała trzy godziny. Inspekcja? Nikt we wsi nie wiedział. Ale trzy dni później willys zniknął spod pałacowego podjazdu i do tej chwili się nie pojawił, za to coraz częściej znad jeziora niosły się pieśni, nie tylko nocą, ale również – co wcześniej nie miało miejsca – w ciągu dnia, już od rana. Zdarzyło się nawet, że jeden z pijanych żołdatów zaczepiał zza parkanu kobiety idące nad jezioro. Najwyraźniej groźny lejtnant przebywał daleko stąd.

Michał stał na podwórku, oceniając pryzmę drewna schowaną pod skleconą naprędce wiatą. Jeszcze jeden kurs, myślał, i wystarczy. Czekał na Czyżyka, który lada chwila miał się pojawić z ręcznym wózkiem i piłą. Umówili się, że pojedą do lasu skończyć ciąć buk, na który dostali od kierownika asygnatę podpisaną przez leśniczego i którym sprawiedliwie się podzielili. Najpierw obrobioną gałęziówką, a teraz kłocami wyciętymi z pnia. Wczoraj ostatnim kursem zwieźli cztery potężne okrągłaki do Macieja, dziś mieli zwieźć resztę do Pudłów. Michał pomachał Adaškowi ciągnącemu w stronę folwarku piszczący drewniany wózek, w którym siedziała Hela. Przyklęknął i pobawił się z uwiązany na sznurku szczeniakiem, targając go za wielkie uszy i pozwalając wbijać sobie w kciuk ostre jak szpileczki zęby. Usłyszał gwizd. Na drodze przed furtką stał Czyżyk z wózkiem. Michał wstał i otrzepał kolana. Przed drzwiami domu wyszła Lucyna.

– Dzieci przywołaj na obiad, jak będziecie wracali nazad – rzuciła w stronę męża.

– Ja tam mam czas dziećmi się zajmować – odpowiedział

opryskliwie. Żona, którą kochał i do której był przywiązany, martwiła i złościła go jednocześnie. Od czasu kiedy pępowina zacisnęła się na szyi ich córeczki, a Lucyna powiła martwe dziecko, żona nie pozwalała Michałowi zbliżyć się do siebie, owszem, mógł ją przytulić, objąć, niewinnie pocałować, ale gdy jego ręka lub usta próbowały powędrować dalej, odsuwała się od niego, czasem nawet odpychała. Z początku Michał rozumiał tę rezerwę żony, jednak mijały najpierw tygodnie, później miesiące i nic się nie zmieniało, Lucyna nie potrafiła się przełamać. W Michale po każdej nieudanej próbie narastała złość, którą starał się rozładowywać na różne sposoby, najczęściej pracą, stawał się też na jakiś czas nieprzyjemny dla żony – po godzinie, dwóch zazwyczaj mu przechodziło. Mógł oczywiście wziąć Lucynę siłą, kto by mu zabronił, w końcu była jego żoną i do czegoś ją to zobowiązywało, ale nie chciał, jakoś zawsze do tej pory było tak, że oboje tego pragnęli, nikt nikogo do niczego nie musiał namawiać czy zmuszać. Życzył sobie, aby tak pozostało.

Wyszedł na drogę i przywitał się z Czyżykiem.

– Po co ci siekiera? – zapytał, zaglądając do wózka.

– Bydgoszczak prosił, żebyśmy pomogli mu obrobić gałęziówkę, obiecał postawić butelkę.

Ruszyli w stronę lasu, po lewej minęli drogę prowadzącą do folwarku. Po wsi kręciło się kilka osób. Nad drzewami leciała znad jeziora pieśń. Na skraju wsi, przy szosie przed ostatnim domem spostrzegli sylwetkę czekającego na nich Bogdana Żytki. Palił, leniwie obserwując okolice.

– Bawią się chłopcy – powiedział Bydgoszczak, strzelając niedopałkiem.

– Co chcesz, pewnie niedługo ich stąd zabiorą, więc korzystają, dokąd jeszcze mogą – odpowiedział spokojnie Czyżyk. – To jak, będzie butelka?

– Przecież obiecałem. Będzie, ale najpierw robota.

– Wiadomo, tylko moglibyśmy tak przed nią troszeczkę się

rozgrzać.

– Czyżyk, rozgrzejesz się, machając siekierą. Potem na ochłodę się napijesz.

– Ech ty, Bogdan, serca nie masz. Do butelki zawsze moż...

Od strony pałacu zaterkotała seria z automatu. Nad głowami Michała, Czyżyka i Żytki świsnęły kule i wbiły się w ścianę domu, rozpryskując kawałki cegły. Padli na bruk, kryjąc się za wózkiem i wymieniając między sobą spojrzenia, w których zdziwienie mieszało się z przerażeniem. Po chwili strzały rozległy się ponownie. Tym razem kule poleciały w środek wsi.

– Co się dzieje? Wehrwolf? – wyszeptał Żytko, przyciskając się do koła pojazdu.

– Tu pod ruskim nosem? – Czyżyk pokręcił przecząco głową.

Michał ostrożnie wystawił głowę ponad krawędź wózka. Uważnie lustrował okolicę. Ponownie rozległy się strzały. Kule uderzyły w kamienie i zatańczyły na bruku.

– Ruski! – zawołał Michał, padając na ziemię. – Siedzi na wieży, wymachuje łapą, coś krzyczy i wali! Pewnikiem pijany.

– Wystrzela się i przestanie.

Kolejna seria poszła w zabudowania folwarczne.

– Wystrzela, wystrzela, a my tu ile będziemy siedzieć? A jak kogo trafi? – Czyżyk się denerwował.

Nagle Michał chwycił Bogdana za ramię.

– Jezus Maria, dzieci! – krzyknął i pokazał ręką w stronę folwarku. – Tam są moje dzieci.

– Do domu! – zakomenderował Żytko.

Biegli gęsiego, zakosami, a w ślad za nimi leciały kule, dziurawiąc mur i wybijając szyby. Dopadli drzwi. Stali, dysząc, w sieni, a na zewnątrz co pewien czas rozlegały się strzały.

– Boże, co robić? – Michał miotał się po pomieszczeniu jak nutria w klatce.

– Uspokój się, jeszcze jedna, dwie serie i skończy mu się amunicja.

Ale poleciała jedna seria, po niej kolejna, i jeszcze jedna, i następna... Na podwórku dał się słyszeć, ścigany świszczącymi kulami, tupot nóg. Do sieni wbiegł Mietek, traktorzysta.

– Kurwa mać! – krzyczał od drzwi, łapiąc oddech. – Wystrzela nas skurwysyn! Ma tam ze sobą cały arsenał, a reszta pijana albo śpi, albo zaśmiewa się, jakby było z czego! A w folwarku pełno dzieciaków. Pochowały się, ale tylko patrzeć, jak któryś łeb wychyli.

– Tyle czasu był spokój. – Kręcił głową Bogdan. – To na koniec im się zachciało poszaleć.

– Musimy coś zrobić, bo mi dzieci ubije. Musi być jakiś sposób.

– Może sposób i by się znalazł – powiedział wolno, jakby nad czymś się zastanawiając, Bogdan. – Albo lepiej nie...

– Mów, co! – Michał chwycił go za kłapy marynarki.

– Nic, ja tak tylko.

Powietrze rozdarł terkot kolejnej serii.

– Bogdan, ja cię błagam, na kolanach błagam, jeśli wiesz jak, pomóż. Jeśli nie, to z gołymi rękoma pójdę i go zrzucę z tej wieży.

– Chodź... – Żytko jakby na coś się zdecydował, pociągnął Michała do pokoju. Podczołgali się do łóżka, które Bogdan przesunął jednym szarpnięciem i po odrzuceniu małego dywanika podważył deskę w podłodze. W dziurze od spodem spoczywał zawinięty w szmatę podłużny pakunek. – Poniemiecki. Jak Ruscy szli, w stadninie... Zresztą nieważne. Umiesz strzelać?

– Umiem.

– Co, w UPA nauczyli? – wyrwało się Bogdanowi. – Przepraszam! – szybko się poprawił, widząc minę Michała. – Bierz, będzie co będzie, trzeba dzieci ratować. Nabity.

Wrócili do sieni.

– O kurwa mać! Co wy chcecie zrobić? – Traktorzysta się przestraszył, widząc zawinięty w szmatę sztucer w ręku Michała. – Spacyfikują całą wieś. Pozabijają, na Sybir wyślą.

– Masz dzieci?! – krzyknął na niego Czyżyk. – Nie? To siedź

cicho. Możesz tu zostać albo iść z nami.

Wybiegli od tyłu na podwórze, przedostając się skokami na pole, gdzie dopadli do głębokiego rowu melioracyjnego. Brodząc po kolana w wodzie, chronieni wysokim nasypem pognali w kierunku parku. Na jego skraju zatrzymali się i pod osłoną wysokich pożółkłych chwastów podczołgali w stronę oddalonej o sto metrów od pałacu kuźni.

Na szczycie wysokiej na dwadzieścia pięć metrów pałacowej wieży przechadzał się, wykrzykując coś i gestykulując, czerwonoarmista. Sługa co pewien czas zatrzymywał się, przykładał do barku pepeszę i strzelał, grożąc później pięścią w stronę, w którą posłał serię, po czym znów ruszał w marsz, wypatrując celu.

Nie można było zwlekać. Albo dzieci, albo on, pomyślał Michał, odwinął szmatę i sprawdził zawartość komory naboju. Posługiwać się bronią nauczył się we dworze w Niewolnie, gdzie pan, zdając Niemcom swój myśliwski arsenał, ukrył kilka sztuk karabinów. Zapraszał Pudłę do siebie, zasłaniał ciężkimi storami – zgodnie z instrukcją zaciemnienia – okna i prezentując karabiny, tłumaczył: – Widzicie, Michale, w dzisiejszych ciężkich czasach mężczyzna musi umieć posługiwać się bronią. Każdy. Czy to kmięć z gminu, czy herbowy, a nawet i mieszczanin. Jak nas napadną, to wspólnie tu z okien będziemy się ostrzeliwać. Nie pierwsza to rzecz, nieraz państwo razem z czeladzią ataki odpierało. A jak nie napadną, jak tu Anders na białym koniu przyjedzie, a nie czerwoni, to będziesz za mną broń na polowaniach nosił, a nawet jak na niedźwiedzia się zasadzimy, to i ubezpieczał mnie będziesz. Tak więc widzicie, Michale, tutaj mamy... – I cierpliwie objaśniał Michałowi działanie broni palnej, pokazywał, jak celować i kiedy ciągnąć za spust tak, aby ręka nie zadrżała.

Czym innym jest ćwiczyć na sucho, a czym innym celować do żywego człowieka, myślał Michał, kładąc broń na kolbie

sztucera i przymykając lewe oko. Zsynchronizował muszkę ze szczerbinką, w której zamajaczył beżowy mundur. Przecież on – Michała dalej dręczyły wątpliwości – być może, tak jak ja, ma rodzinę, upił się, prawda, ale czy muszę zabijać, tylko z drugiej strony, czy on daje mi wybór? Zamknął drugie oko i kurczowo zacisnął dłoń na lufie karabinu, po skroni pociekły mu strużki potu. W tym momencie od strony folwarku rozległ się przeciągły dziecięcy pisk. Michał otworzył prawe oko, w szczerbince zobaczył składającego się do strzału czerwonoarmistę. Boże, wybacz mi, pomyślał i już nie czekał. Pociągnął za spust.

*

Siedzieliśmy na schodkach, spełniając popołudniowy rytuał picia kawy – w kubkach, rozpuszczalnej, z mlekiem i cukrem – a z góry od strony wsi rozpoczęły się pielgrzymki. Pierwsza na szczycie brukowanej drogi pojawiła się czarnowłosa dziesięcioletnia dziewczynka.

– Uwaga, otwieramy kasę zapomogowo-pożyczkową – powiedział Oskar, pociągając łyk kawy. – Patrz, co się będzie działo. To mała od Antka.

Idąca z początku dziarskim krokiem dziewczynka, zbliżając się do nas, zwalniała, stąpała jakby rozważniej, z ociąganiem, wreszcie gdy dzieliło ją od schodków nie więcej niż dwadzieścia metrów, zatrzymała się, spoglądając na mnie niepewnie.

– Krępuje się twoją obecnością – szepnął w moją stronę Oskar, a w stronę dziewczynki zawołał: – Chodź, Iwonka, nie wstydź się!

Podeszła i spuszczając oczy, wymamrotała:

– Proszę pana, bo mama przysłała karteczkę. – Wyciągnęła przed siebie umorusaną dłoń. – Prosi, żeby pan przeczytał.

Oskar wziął do ręki podany strzęp kratkowanego papieru i przekazał mi, nie czytając. Na zatłuszczonym kawałeczku

wydartej z zeszytu karteluszeki napisane było pochyłymi koślawymi, ale starannie wykaligrafowanymi literami:

Mam do pana prośbę o pożyczenie sto tysięcy bo nie mam nic na chleb i jakieś smarowanie. Proszę dać przez Iwonkę oddam razem z tym dwieście tysięcy jak tylko przyślom zapomogę z opieki we wtorek pewnie.

– Ile?

– Sto tysięcy. Na stare.

– Tylko? Skromnie. Trzy mózgojeby. Widać bardzo suszy i pewnie jeszcze trochę butelek zostało po wczorajszym.

– Ale napisała, że na chleb i smarowanie...

– Panie Roman. – Spojrzał na mnie z politowaniem. – Jadłaś coś, Iwonka?

– Ziemniaki ze ślepym sosem.

– Wiesz, co to jest ślepy sos? – Zwrócił się w moją stronę. Pokręciłem przecząco głową. – Iwonka, powiedz panu.

– Ślepy sos to jest woda z mąką, proszę pana.

– Który dzień z rzędu jesz to na obiad?

– Nie pamiętam. Chyba piąty.

Oskar popatrzył na mnie, kręcąc głową.

– I co, sądzisz, że te pieniądze pójdą na jedzenie dla dzieci? – zapytał, wyciągając z kieszeni dziesięć złotych i wręczając je dziewczynce. – Chodź, Iwonka, do kuchni, zrobię ci kanapki. – Podniósł się, głaszcząc dziecko po tłustych włosach, i pokierował je w stronę znajdujących się za moimi plecami drzwi. – Tylko umyj ręce – dodał, kiedy znaleźli się w środku.

Wystawiłem twarz do słońca. Od trzech dni mieliśmy niespotykane o tej porze roku upały. Odchodzące lato, nie bacząc na kalendarz, który wyraźnie mówił, że jego pora już minęła, siłowało się z jesienią o miejsce w przyrodzie i, mimo że wynik

tych zapasów był przesądzony, na razie brało górę. Z ostatnich gorących i słonecznych dni korzystaliśmy wszyscy. Oskar przy pomocy Czólki i innych najętych sezonowo pracowników, pracujących w polu i spichlerzu bez rzuconych na bok koszul, kończył ciąć grykę i przygotowywał areał pod jesienne zasiewy. Ja chwytalem niespodziewane promienie słońca, wygrzewając stare kości, zbierając i magazynując witaminę D na nadchodzącą zimę. Dzieciaki, nie czekając na szkolny autobus, wymykały się po lekcjach ze szkoły w Trójczynie i biegly pięć kilometrów do domu, aby rzucić w ką t tornistry i korzystać z kąpieli w dwóch położonych w środku pól oczkach wodnych (nad jezioro konsekwentnie nikt nie przychodził), albo pędziły na położone na tyłach sklepu koślawe boisko, gdzie rozgrywały kończące się zazwyczaj bijatykami mecze niemiłosiernie zgraną piłką, którą kupił im w wakacje Oskar. Dorośli na świeżym powietrzu – pod sklepem, przy boisku, głośno kibicując i wydając werdykty w spornych sytuacjach, w ogródkach przed domami, w pałacowym parku i nad oczkami wodnymi – raczyli się owocowymi winami, wystawiając ogorzałe pyski w stronę słońca. Bo przecież każdy wiedział, że w takim upale nie dość, że słodkie wino doskonale gasi pragnienie, to dodatkowo jeszcze wzmocnione grzejącym słońkiem działa szybciej i skuteczniej, głowa robiła się ekonomiczna, a to oznaczało wymierne oszczędności.

Iwonka wyszła z kuchni, gryząc poczerniałymi zębami tabliczkę czekolady.

– Leć już do domu, bo będą na ciebie krzyczeć – poradził Oskar.

Na szczycie drogi ukazała się kolejna, ubrana w długą do ziemi spódnicę postać, biegnąca szybko w dół. W połowie drogi minęła się z maszerującą w przeciwnym kierunku Iwonką.

– Ewka. Od Bulerów. – Oskar mrużył oczy, rozpoznając sylwetkę kłusującą od strony kierującego się ku zachodowi

słońca. – Żona Tolka. Ciekawe, czego chce? Chyba coś się stało.

Młoda kobieta pędziła najszybciej, jak pozwalała jej na to wąska spódnica. Nagle zatrzymała się i zawróciła po zgubiony kłapek. Wsunęła bosą stopę w plastikową japonkę i znów pognęła w dół.

– Pane Ofkar – krzyczała z daleka, sepleniąc – latuj pan, dzieciak! Dzieciak! Do chpytala tfeba! Fybko! Pomuch pan. Tfeba chamochoodem.

– Ale co się stało?

– Bfuch! Choc pan!

– Gdzie dzieciak?

– F domu!

– Jedziemy do Miasteczka? – zapytał, wstając i sięgając ręką do kieszeni džinsów po kluczyki.

– Nie, do Połcynu! Ja nie tu, ja tam meldofana, u matki, w Dołofie! – sepleniła dziewczyna, podciągając ciasną spódnicę i gramoląc się na siedzenie pasażera.

Zaklekotały zawory w wysłużonym silniku leciwego Volvo 240, zgrzytnął oporny bieg. Oskar wykręcił i rzuciwszy mi przez otwartą szybę: będę za godzinę, pojechał pod górę w stronę wsi. Auto kołysało się, pojękując na nierównym bruku.

Wrócił, wściekły, po trzech godzinach.

– Nie uwierzysz, co za matoly! – powiedział bez wstępów, wrzucając ze złością brzożową szczapę do ogniska, które tymczasem rozpałiłem. – To nie do wiary! Ta Ewka ma synka, dzieciak nie skończył jeszcze roku. Drobne to takie, jak zresztą większość dzieci urodzonych w tej biedzie. Pierwszy i jak na razie jedyny wnuczek Bulery. I wyobraź sobie, że dobry dziadek chciał dogodzić wnusiowi i dać do żarcia to, co ma najlepszego. A co najlepszego może mieć stary, pierdolony kłusownik. Diczyszne! Dał dzieciakowi mięcho z dzika! I jeszcze się cieszył, że z takim apetytem zajada! Do żony krzyczał, aż na drodze było słyhać: Patrz, stara, jak wpierdala, jak dziki! Moja krew! Zuch!

I jeszcze więcej mu na talerz ładował i dawaj do dzioba paluchami pakować.

– O Boże! – Złapałem się za głowę. – Co się dzieciakowi stało?

– Pochorował się, to jasne. Oczywiście czekali do ostatniej chwili, wreszcie, jak się już porządnie odwodnił, to wysłali Ewkę do mnie. W szpitalu zaraz zrobili małemu płukanie żołądka, dali kroplówki i zatrzymali na oddziale. Nic mu nie będzie, ale wydaje mi się, że niewiele brakowało, żeby zrobili dziecku poważną krzywdę.

Głód i – jak by to określić – skrajna głupota, ale wynikająca ze szczyrych intencji. W jedno popołudnie zobaczyłem dwie odmienne postawy, jakie mieszkańcy Wrześniowa przybierali wobec żywienia dzieci, i obie równie szkodliwe. U progu XXI wieku, w wolnym, przez nikogo nieciemienionym kraju mieszkały – zapomniane przez resztę zatraconego w pędzie do bogacenia się społeczeństwa – dzieci, które chodziły głodne. Dzieci żywione kartoflami i mąką, tym, co same zbierały w lesie i co ukradły z pól i warzywniaków, dzieci, dla których talerz ciepłej zupy był rarytasem, a słodczyce nieosiągalnym luksusem widzianym jedynie w reklamach na śnieżącym ekranie telewizora. O taki stan rzeczy trudno było winić wyłącznie pogrążonych w biedzie rodziców, przepijających każdy, z rzadka pojawiający się w domu grosz, bo żywieniem dzieci nikt do tej pory we wsi się nie przejmował, od tego była dotowana przez PGR stołówka szkolna, tym zajmowała się również pegeerowska kuchnia. Dietę uzupełniały zakładowe deputaty i to, co udało się wynieść z terenu PGR-u. Przez kilkadziesiąt lat, do czasu upadku gospodarstwa, nikt we wsi nie chodził głodny, ba, nikt sobie nawet głowy nie zawracał martwieniem się o to, co do garnka włożyć. Dlatego z takim zdumieniem i bezradnością przyjęto wyschnięcie obficie dotąd tryskającego wodopoju. Niewielu było takich, którzy potrafiliby z dnia na dzień zmienić owe zwyczaje i przystosować się do nowych czasów, w których o pełen brzuch,

swój i rodziny, musiał troszczyć się każdy z osobna. Cierpiały, jak zazwyczaj to bywa, dzieci.

Z drugiej strony, jeżeli komuś udało się wyrwać z biedy trzymającej wieś w stalowym uścisku, jeśli z zarobionych pieniędzy po tradycyjnej wypitce coś jeszcze pozostało, jeżeli skromne podwórko zapełniły gospodarskie zwierzęta, futrował dzieci wszystkim, co tylko znalazło się na stole, nie bacząc na konsekwencje, których oczywiście nie znał, nie przewidywał i nie rozumiał. Tak było z Bulerami, tak z kilkoma jeszcze. Wlewali w dzieci litrami tłuste, nieprzeżegotowane mleko prosto od krowy, pakowali w gardła łyżkami odwirowany świeżo miód, w którym pływał jeszcze nierozpuszczony czerw, rzucali na talerze nieprzebadane mięso z własnego uboju. Ale nikt do tej pory nie wcisnął w niespełna roczne dziecko dziczyzny. Bulera był na tym polu pionierem. Eksperyment się nie powiódł, trudno, jednak on nie miał sobie nic do zarzucenia – widać dzieciak jakiś taki słabowaty, ale nic to, do mięska trzeba przyzwyczajać od małego, nie po to do lasu się chodzi, żeby smyk grymasił, podrośnie, znowu się spróbuje.

Siedzieliśmy przy ognisku do późna, racząc się wyciągniętym przez Oskara reńskim winem i milcząc. On trawił przywiezioną z Połczyna złość, a ja myślałem o tutejszych dzieciach – od urodzenia niedożywionych, odciętych od kultury, nowoczesności, kastrowanych ze wszystkich pragnień, poza tymi dotyczącymi najprymitywniejszych sfer życia, a w zasadzie wegetowania – już na starcie zatrzymanych w blokach, pozbawionych większości atutów w nabierającym rozpędu w całym kraju wyścigu szczurów. Dzieciaki mizerne, wychudzone, niziutkie, niszczące swoje drobne ciała alkoholem i nikotyną, bo wyłącznym dostępnym wzorcem osobowym, w który mogły się zapatrzyć, byli rodzice – własni i koleżanek, kolegów – sąsiedzi, starsi bracia i siostry, wszyscy tacy sami, unurzani w oparach papierosowego dymu, wiecznie pijani,

brudni i bez perspektyw na lepsze życie, więc i one, naśladowując dorosłych, sięgały wcześniej po flaszki i papierosy – te jedyne koloranty bezbarwnej popegeerowskiej egzystencji. Ile pokoleń musi przejść, aby szanse tych dzieci choć trochę się wyrównały? – myślałem. Na razie z każdym rokiem przepaść pomiędzy nimi a ich rówieśnikami w innych rejonach Polski dramatycznie wzrastała.

*

Niedziela. Postanowiłem wybrać się do kościoła. Liczyłem na to, że w wypełnionej po brzegi świątyni będę miał okazję przyjrzeć się skupionym twarzom, rozpoznać znajome sylwetki, zobaczyć, kto obok kogo staje, poobserwować wrześnieńwiecką społeczność w masie. Wspiąłem się wąską, wysadzaną starodrzewem ścieżką przypominającą wąwóz, minąłem resztki drewnianego płotu, koło którego stała zaparkowana niebieska toyota, i stanąłem przed drzwiami starego – wybudowanego przez przedwojennych właścicieli majątku – ceglanego, nawiązującego bryłą do neogotyku, strzelistego kościoła ze spiczastą wieżą, od którego biła luterańska surowość. W czasach, kiedy tu mieszkałem, budowla ta skutecznie opierała się eksperymentom, jakim poddawała ją niemogąca znaleźć pomysłu na jej wykorzystanie dyrekcja PGR-u, lokując w jej wnętrzu magazyny części zamiennych, co z góry skazane było na porażkę ze względu na usytuowanie na uboczu, a więc w zasadzie poza jakąkolwiek kontrolą; następnie owczarnię, co również nie miało większego sensu – umieszczone w zimnym, ciemnym wnętrzu delikatne zwierzęta padały całymi stadami (konstrukcja kościoła przystosowana była do przyjmowania zupełnie innych „owieczek”); wreszcie składowisko materiałów chemicznych, co wprawdzie z uwagi na niedogodność podjazdu było uciążliwe dla

ciągników, ale z powodu oddalenia od zabudowań mieszkalnych miało rację bytu. Przez lata toksyczne substancje wżerały się drapieżnie w sędziwe ciężkie cegły, jednak szacowne mury dawały odpór tym atakom. Po zmianie ustroju budynek przeszedł na własność Kościoła katolickiego i podlegał parafii w Trójczynie. W każdą niedzielę i w każde kościelne święto proboszcz objeżdżał okoliczne świątynie, odprawiając nabożeństwa, a wrześniowiecki kościółek znajdował się w samym środku jego marszruty. W pozostałe dni wysmukła budowla stała zaryglowana na głucho.

Wszedłem do wnętrza. Odgłos kroków przeleciał po pustawym pomieszczeniu, odbijając się od krzyżowo-żebrowego sklepienia. Chciałem niezauważony wtopić się w tłum i poobserwować? No to się nie udało. W kościelnych ławkach siedziało zaledwie kilkanaście osób, których głowy – wszystkie bez wyjątku – obróciły się w moją stronę. Napiętnowany ich wzrokiem stanąłem skromnie w kącie, a wierni wrócili do słuchania wygłaszanego przez księdza kazania. Tylko czy słuchali? Czy rozumieli padające spod ołtarza słowa? Ksiądz mówił – a w zasadzie czytał z kartki – kwieciste, używał okrągłych zdań, jednak jego ton był znudzony i płaski, widać było, że nic a nic nie obchodzi go wypowiedziane kwestie, podobnie jak i tępo patrzących przed siebie słuchaczy niespecjalnie interesowały płynące w ich stronę frazy. Duchowny oddalony był od problemów swoich owieczek, a one spoglądały na pasterza, tak jakby mówił w obcym języku. Widać było, że obie strony pragną jedynie, aby cotygodniowy nudnawy spektakl jak najszybciej się zakończył.

Zawiedziony wyszedłem, zastanawiając się, czy ten rozbrat, który zobaczyłem, był pokłosiem wieloletniego ateizowania mieszkańców PGR-u przez komunistyczne władze, czy też jakiejś niemocy Kościoła, który na tej wyjałowionej z nadziei glebie miał wspaniałe pole do niesienia misji, a jednak nie potrafił jej

podolać. Ksiądz, jak plotkowano we wsi, przeniesiony został tu z dużego miasta za karę, i rzeczywiście, nie rozumiejąc problemów tutejszych mieszkańców, zachowywał się jak na zesłaniu, a wrześniowianie odpłacali mu całkowitym brakiem zaufania. I on, i oni męczyli się ze sobą okrutnie, wyczekując jakiejś odmiany, która nie nadchodziła, bo nadejść nie mogła.

W piekącym słońcu ruszyłem w stronę wsi. Minąłem zamknięty sklep, który w niedzielę otwierał się jedynie na krótko po mszy, dając spragnionym – a tych nie brakowało – możliwość uzupełnienia płynów. Kilku chętnych kręciło się już koło wejścia. Zglądałem w ich twarze, szukając znajomych rysów. Chciałem spotkać Czyżyka. Wiedziałem już, że żyje i wciąż mieszka we wsi. Pragnąłem się z nim rozmówić, mając nadzieję, że wyciągnę z niego więcej, niż udało mi się dowiedzieć od Bogdana Żytki. Dwie wąsate gęby spośród zerkających tęsknie to na drzwi sklepu, to na drogę prowadzącą z kościoła łudząco przypominały Macieja Czyżyka, ale oni nim nie byli, za młodzi, za krzepcy. Czyżby synowie? Zrobiłem krok w ich stronę, widząc jednak zacięte, wrogie spojrzenia, zrezygnowałem. Może gdyby sklep był otwarty, zaryzykowałbym, postawił piwo, zagadał, tak na sucho nie miałem odpowiednich argumentów do przełamywania lodów. Powłokłem się szosą w kierunku środka wsi.

Mijałem kolejne bliźniacze domy. Przy jednym z nich, na trawie przed furką wmontowaną w siatkowy płot, siedział Antek. Twarz schował w dłoniach, w gęste tłuste włosy wplótł palce, spomiędzy kosmyków wystawały grube, twarde, pożółkłe paznokcie z półkolami czarnej żałoby. Wyglądał albo na kompletnie spitego, albo straszliwie zmartwionego. A może jedno i drugie?

- Co jest, Antek, nie kosicie? – zagadałem.
- Dziś już nie. – Podniósł na mnie smutne spojrzenie.
- Wydawało mi się, że słyszę kombajn – nie ustępowałem.
- To Niemca. Za lasem koszą. My dziś wieczorem bedziem

szuflować grykę. Tera mamy wolne.

– To czym się martwisz?

– A bo kłopot mam.

– Z babą? – próbowałem zażartować.

– Nie, z Tomkiem.

Był to – podobno – kuzyn brzydkiej żony Antka, który na wiosnę pojawił się w jego domu nie wiadomo skąd i rozgościł na długie miesiące. Z początku wydawał się wspaniałym kompanem do picia – miał nawet jakieś pieniądze, które jednak szybko się skończyły – z czasem stał się utrapieniem; nigdzie oczywiście nie pracował, chodził od czasu do czasu do lasu, a pieniądze za to, co uzbierał i sprzedał, konsekwentnie razem z Antkiem i jego żoną przepijał, do utrzymania, rzecz jasna, się nie dokładał. Plotkowano też, że Tomka z Antkową łączą stosunki dalekie od kuzynowskich. Antek miał jednak do niego słabość i zamiast, jak mu radzili kumple spod sklepu, pogonić darmozjada, trzymał go pod dachem, poił ze skromnej pensji i zabierał wszędzie w wolnym czasie.

– Co z nim?

– A bo bylim nad tym oczkiem, gdzie łapie się karaski. Wykąpać się. Tam jest taka skocznia z desek. My z niej skakalim.

– Antek gestykułował gwałtownie brudnymi dłońmi. – A on zamiast skoczyć do wody przed siebie jak każdy, skoczył w bok, a tam jest płycizna. No i wbił się w dno. Łbem.

– Jezu, i gdzie jest?

– Na górze – Pokazał za siebie, na dom.

– Przynieśliście go?

– Nie, sam przyszedł, tylko rękami ruszać nie mógł. Szedł prosto jak mumia. Tera leży, tylko że spuchł i ciężko mu dychać.

– Antek, trzeba...

Nie dokończyłem, bo drogą, sadząc wielkie susy, biegła Bulerowa, drąc się z daleka:

– Pomogło? Gadaj, Antek, pomogło?!

– Ni chuja, nic nie pomogło – odpowiedział markotnie – dalej boli i już ledwo dycha.

– Panie – zwróciła się do mnie – musi, że coś poważniejszego, bo już dwa gardany dostał i nic nie pomaga.

– Lecę wezwać pogotowie! – zdecydowałem i odwróciłem się, chcąc biec w stronę pałacu.

– Stój pan! – Antek poderwał się na równe nogi. – Jeszcze przez dwie godziny nie można!

– Co ty gadasz, przecież on przez ten czas może się udusić! – Byłem naprawdę przestraszony.

– Nie mogę wezwać doktora, bo my pilim. Za dwie godziny wytrzeźwiejem i wtedy będzie można.

– Antek, nie ma o czym dyskutować, biegnę wezwać pogotowie!

– Pan Roman ma rację – poparła mnie Bulerowa – jak już gardan nie pomaga, to trza doktora.

– Ale co my powiemy doktorowi, przecie my pilim? Zauważy! – Antek był szczerze zrozpaczony.

– To powiedz, że piliście.

– Wstyd!

– Powiedz, że jest niedziela, żniwa skończone, że świętowaliście.

– Ale wstyd! – Ciągle się wahał. – Dobra – podjął nagłą decyzję – leć pan! Iwonka – obrócił się w stronę domu – zamiataj chałupę, doktor przyjeżdża!

Biegłem na dół tak szybko, jak tylko pozwalały mi na to zastę, przez lata pozbawione ćwiczeń fizycznych mięśnie. W małym odświeżonym pokoiku w pałacu, który Oskar przerobił na biuro, znajdował się jedyny telefon we wsi. Podniosłem słuchawkę. Był sygnał. Odetchnąłem. Linię do gabinetu przeciągnął własnym sumptem i na własny koszt Oskar, z Trójczyna, prawie pięć kilometrów. Linię naziemną, na słupach, więc jeśli zawiał silniejszy wiatr, a z drzew posypały się

suche gałęzie, przewody się rwały; do tego po każdym większym deszczu zalewało studzienki w starej, pochodzącej jeszcze z lat pięćdziesiątych centrali telefonicznej w Trójczynie, więc dokąd przemoknięte kable nie wyschły, telefon nie działał. Tym razem od kilku dni pogoda była piękna, nie wiało i nie padało, ze słuchawki dobywał się metaliczny sygnał i mogłem na tarczy nakręcić numer 999. Usłyszałem miły kobiecy głos, wyjaśniłem szybko, co się stało.

– Gdzie on leży? Nad jeziorem? – zapytała pani.

– Nie, wrócił do domu, sam, na nogach.

– Jezus Maria, nie ruszajcie go! – Przeraziła się. – Zaraz wysyłam karetkę. Nie ruszajcie, błagam, bo go zabijecie.

Przed domem Antka zebrało się kilkanaście osób. Pojawił się też Oskar, a chwilę po nim od strony Trójczyna dała się słyszeć syrena i zaraz po tym do wsi wjechała, świecąc kogutem, karetka pogotowia. Zahamowała pośród gapiów, sanitariusze chwycili nosze i pognali w stronę domu, za nimi z rozsuniętych bocznych drzwi wyskoczył, dźwigając ciężką torbę, lekarz. Tuż przed furtką drogę zastąpił mu Antek.

– Doktorze, my pilim! – zakrzyknął bohatersko, a ktoś w tłumie zachichotał.

– Dziękuję, że pan mi to mówi – odpowiedział szybko lekarz. – To ważna informacja. Dużo?

– Nie, zwyczajnie...

– Dziękuję. – Lekarz usiłował wyminąć Antka, który tym razem chwycił go za łokieć.

– Doktorze, niedziela... – Żytko zrobił niewinną minkę.

– Tak, tak, oczywiście. – Lekarz wyswobodził się z uścisku i ruszył pędem w kierunku drzwi. Antek rzucił się za nim i złapał za rękaw.

– Doktorze, żniwa, świętowałim... – Antek przekrzywił głowę i rozłożył ręce.

Tym razem lekarz nic nie odpowiedział, wbiegł na schody.

Antek rozejrzał się dookoła, jakby spojrzeniem pytał zebranych przed domem, czy wyjaśnienia były wystarczające, a nie znajdując w milczącym tłumie potwierdzenia, obrócił się i pognął w ślad za lekarzem.

Ktoś poklepał mnie po barku. Obejrzałem się. Za moimi plecami stał Oskar.

– Chodź, nic tu po nas. Co mogłeś, to zrobiłeś. Kto wie, może nawet uratowałeś temu matołowi życie?

Wracaliśmy, paląc papierosy i przyglądając się sunącym przed nami po bruku długim cieniom naszych sylwetek.

– Wiesz, chciałbym pogadać z Czyżykiem – zdradziłem swoje plany.

– To czemu nie pogadasz? – Zdziwił się. – Idź do niego i porozmawiaj.

– Nie chcę nachodzić go w domu. Wolałbym gdzieś go spotkać, nie wiesz przypadkiem, gdzie?

– Przepadkiem wiem, pod sklepem. – Zatrzymał się, strzelił przed siebie niedopałkiem i popatrzył na mnie przeciągle. – Co ty masz za opory? I to z Czyżykiem? Przecież nie pogoni cię z domu. Mówię ci, idź do niego i normalnie pogadaj, jeśli masz potrzebę. Tylko nie przez najbliższe dwa dni, bo właśnie wziął rentę, więc specjalnie gadatliwy raczej nie będzie, szybciej senny albo nieprzytomny.

*

Radio nagle pociemniało i zamilkło. Raz i drugi uderzyłem w nie otwartą dłoń, bez rezultatu. Znów coś się rozłączyło, pomyślałem. Dałem sobie spokój z naprawą sprzętu, ścisnąłem kierownicę i skupiłem się na drodze. Minąłem Mostowo, przejeżdżając obok zdewastowanego ośrodka wczasowego z rozpadającymi się, ziejącymi dziurami po oknach i drzwiach

domkami kempingowymi z tektury, kruszącą się betonową wieżą do skoków, postawioną nad zarastającym zielskim rozlewiskiem, rdzewiejącymi rowerami wodnymi i resztkami drewnianych pomostów. Ruina, która kiedyś tętniła życiem, pluskiem wody, niosącym się po niej śmiechem wczasowiczów. Pokonałem ostry zakręt w lewo i wyjechałem na ośmiokilometrowy odcinek prostej, równej przedwojennej szosy, przecinającej sosnowy las. Jak to jest, zastanawiałem się w ciszy wypełnionej jedynie miarową pracą silnika mojej renówki, że Niemcy przed wojną mogli sobie pozwolić na budowanie takich prostych dróg, że o ile szosa nie prowadzi przez góry, pozwalają sobie na to wszyscy na całym świecie, tymczasem u nas, gdziekolwiek się jedzie, trzeba pokonywać zakręt za zakrętem? Kiedyś nie zwracałem uwagi na owo meandrowanie polskich dróg, aż pewnego dnia uzmysłowił mi je znajomy Białorusin. I rzeczywiście, jak się zastanowiłem, to gdziekolwiek się wybierałem, w jakikolwiek zakątek świata, drogi były tam proste – kolokwialnie mówiąc – jak w mordę strzelił. Nawet tutaj pod Koszalinem, gdzie przed laty wytyczali je Niemcy, jechało się na azymut. Tylko w naszej Polsce trzeba było kluczyć po szosach jak w labiryncie. Białorusin śmiał się, że to dlatego, że w Rzeczypospolitej kiedyś drogi prowadziły „od pana do pana” i tak pewnie już pozostało. Kto wie, może miał rację?

Myśli uciekały mi coraz dalej... Krążyły nad ciągnącym się za oknami lasem, oplotły rezerwat Kamienne Kręgi, do którego drogowskaz śmignął mi po prawej kilka minut wcześniej, aż wreszcie osiadły na polskich nazwach mijanych miejscowości. Takie dziwaczne. Skąd się brały? Kłanino, Grzybница czy moja faworyta, Przydargiń? To zdumiewające nagromadzenie trudnych do wymówienia – a dla obcokrajowców w zasadzie zupełnie nie do wymówienia – dźwięków. Nawet nasze Wrześniowo czy Trójczyn. Niemiec, próbując powtórzyć te nazwy, szybciej język sobie połamie na zbitkach twardych,

szeleszczących głosek, niż wyduka, dokąd zmierza. Czy to mógł być przypadek? Jedna taka nazwa, być może, ale nie wszystkie. Kto je wymyślił i po co? Nie były tłumaczeniem z niemieckiego przedwojennych nazw, bo na przykład nasze Wrześniowo przed wojną nazywało się *Eichenwald*, czyli Dębowy Las, teraz ta knieja miała szumieć po słowiańsku. Wyglądało to na zaplanowane działanie. Naciąganie na siłę powłoki polskości na mapy, a jednocześnie sprawienie, aby każdy powracający tu Niemiec, szukający w okolicy znajomych dźwięków, słyszał w nazwach jedynie obco świszczące szy, czy, dży... W jednej chwili, jedną urzędniczą decyzją kraj ten, dla wszystkich tu urodzonych, z bliskiego, swojsko rozbrzmiewającego Heimatu stawał się niezrozumiałą szaradą.

Samochód jadący z naprzeciwka mrugnął światłami. Zwolniłem. Minąłem rozległe obredlone pola należące do Instytutu Ziemiaka w Boninie i wjechałem od strony cmentarza do Koszalina. Naprzeciwko muru ujrzałem wychylającą się zza płotu, przyczajoną głowę w niebieskiej czapie z białym otokiem, na poboczu stał rozstawiony na trzech wąskich nóżkach radar. Z satysfakcją i, co nieczęsto mi się zdarzało, przepisową prędkością przejechałem obok radiowozu ukrytego za płotem w wąskiej bocznej drodze i stojącego przy nim policjanta z zawiedzioną, niezadowoloną miną sprawdzającego odczyt urządzenia.

Zatrzymałem się przed ratuszem, nad którego iglicę od strony morza napływały ciężkie, ciemne chmury, ciągnąc za sobą chłodne powietrze i zapowiadając definitywny koniec lata. Zawsze zdumiewała mnie ta paskudna budowla, jakby teleportowana tu z jakiegoś enerdowskiego rynku. Jak głęboko trzeba zakopać poczucie jakiegokolwiek estetyki, aby wpaść na pomysł wystawienia takiego szkaradztwa, jak bezwzględnie zarznąć swoje zawodowe architektoniczne ambicje, projektując coś podobnego, i jak bezczelne mieć zaufanie do własnego

prostackiego gustu, żeby podpisać zgodę na budowę takiej ohydy i zeszpecić na dziesiątki lat powierzone swojej opiece miasto? Odwróciłem się plecami od brudnych szyb ratusza, od których w latach świetności Koszalina odbijały się promienie słoneczne, a dziś grzęzły w grubej warstwie kurzu.

Miasto – podobnie jak jego ratusz – sprawiało wrażenie pokrytego nalotem beznadziei, bezruchu, bezrobocia... całe było jakieś takie „bez”. Czerpiący dotąd życiodajne soki z wczasowiczów – przybywających pociągami, wysypujących się z niebieskich ogórków PKS-u, wysiadających z samolotów, stąpających po trapie na pobliskim lotnisku w Rosnowie, nadciągających fiacikami, syrenkami i wartburgami – ściskających w garści skierowanie FWP i wypełniających po ostatni wolny pokój domy wypoczynkowe Mielnia; przetwarzający płody rolne dostarczane przez okoliczne nierentowne PGR-y; wyczarowujący w dymiących fabrykach prząsne meble z drewna wyrąbywanego w znajdujących się w pobliżu miasta lasach; lśniący się przywożonymi przez marynarzy kwitnącej dotąd, a dziś boleśnie kulejącej PŻM, luksusowymi dobrami Koszalin cierpiał bóle transformacji. Wczasowicze już tu nie zaglądali, mogąc odnaleźć wszystko, czego tylko ich kiczowate gusta zapragnęły, na pstrych straganach oblepiających deptaki nadmorskich kurortów. PGR-y padły jedne po drugich niczym muchy potraktowane DDT, drewno z wycinanych bez litości lasów sprzedawane było wszędzie, tylko nie do koszalińskich fabryk mebli – mebli, których i tak nikt nie chciał kupować – a przywożone przez marynarzy dewizy, targana z Zachodu kontrabanda i cuda z Baltony na nikim nie robiły już wrażenia. Miasto popadło w marazm, z którego nie potrafiło się wykaraskać. Ale był jeden wyjątek. Na tle niszczących kamienic, obracających się w ruinę zakładów przemysłowych i budynków użyteczności publicznej wypucowane stalowe kominy kupionego niedawno przez

niemiecki koncern browaru Brok łechtają wzrok, lśnią nowością i czystością. Jak rodzynek w zakalcu, pomyślałem, dopijając sambora – ich flagowy produkt – w kawiarni Ratuszowa na rynku; albo jak promyk nadziei, dodałem górnolotnie, rozgniatając niedopałek w popielnicze.

Wyszedłem ponownie na plac, na którego kamienną posadzkę spadły pierwsze krople deszczu. „Byliśmy, jesteście, będziemy”, przeczytałem inskrypcję na pomniku w kształcie trzech szpic wycelowanych w niebo niby uniesione palce wskazujące. Jak kraj długi i szeroki, ta sama symbolika, pomyślałem, przypominając sobie pomnik grunwaldzki, wrocławską iglicę czy gdańskie krzyże.

– Przepraszam, czy orientuje się pani, gdzie tutaj znajduje się prokuratura wojewódzka? – zagadnąłem starszą kobietę mocującą się z zatrzaskiem parasola. Podniosła głowę i zaczęła się rozglądać na wszystkie strony, jakby starała się wyczuć fluidy wysyłane przez budynek poszukiwanego przeze mnie urzędu.

– Zaraz, zaraz... to będzie... – Już unosiła rękę, żeby wskazać kierunek, i ponownie ją opuszczała. – Pamiętałam...

– Czego szuka? – Zatrzymał się koło nas potężny mężczyzna z gęstą brodą.

– Prokuratora... – Kobieta z wdzięcznością wbiła wzrok w brodacza.

– Wojewódzkiego – dorzuciłem.

– To co, nie wie? – Facet wzruszył ramionami. – Na Andersa.

– Gdzie? – Staruszka szeroko otworzyła oczy.

– No, na Lampego!

– Aaa, na Lampego. – Ucieszyła się. – Tak właśnie, na Lampego. Tak myślałam. – Popatrzyła na mnie dumna.

– Andersa. Dzisiaj Andersa – poprawił ją mężczyzna.

– A kto ich tam wie, jak teraz się nazywa. Ciągłe zmieniają ulice, jakby komuś to przeszkadzało. Była Armii Czerwonej, już nie ma, była Lampego, też zmienili. A ty weź tu człowieku i się

połap. – Machnęła ręką i ponownie zajęła się walką z zatraskiem parasola.

– Co pani chcesz? Sprawiedliwość dziejowa musi być. – Wyjął jej parasolkę z ręki i jednym ruchem kciuka uwolnił mechanizm. Kolorowa czasza rozwinęła się z szumem.

– Sprawiedliwość sprawiedliwością, ale niech dadzą ludziom żyć. – Staruszka nie poddawała się. – Nie dość, że człowiek ledwo wiąże koniec z końcem, emerytury na nic nie starcza, to jeszcze przez to całe kombinowanie z nazwami można się pogubić we własnym mieście.

– A bo to pierwszy raz, babciu?

– Nie pierwszy, nie pierwszy i pewnie nie ostatni. Tylko czekać, aż Niemce tu wrócą, a nam znowu poniewierka... – Machnęła ręką i poszła w swoją stronę.

Brodacz wziął mnie pod łokieć i obrócił w prawo.

– Do prokuratury...

– Wojewódzkiej...

– Tak, wojewódzkiej. Pójdiesz pan tu na wprost, Zwycięstwa, aż dojdiesz pan...

– Ale ja jestem samochodem. – Pokazałem na moją renówkę zaparkowaną pod ratuszem.

– Aaa – przyjrzał się warszawskiej rejestracji i pokiwał głową – to i lepiej. Wyjedziesz pan w prawo na Młyńską, potem tu na światłach w lewo w Zwycięstwa. Dojedziesz pan do takiego małego placyku, w tle będzie widać wielki budynek z cegły. To Poczta Główna. Podjeżdżasz pan pod nią i to już będzie Andersa. Później w lewo i jeszcze dalej na wprost ze sto, może dwieście metrów i tam już, po prawej, będzie prokuratura.

– Dziękuję panu.

– Ech, warszawiaki... – Uniósł prawą brew, nad którą czerwieniła się krótka blizna, pokiwał jeszcze raz głową i odwracając się, rzucił przez ramię – powodzenia życzę, nie daj im się pan!

I znów będzie to samo, pomyślałem, przebijanie się przez urzędniczy mur niechęci. Tym razem siedząca za kontuarem dziewczyna była młodziutka, ładna i niemiłosiernie znudzona. Przyjęła mnie opryskliwie, patrząc przed siebie i nakręcając na palec kosmyk kasztanowych włosów. Odburknęła coś na moje powitanie, wykrzywiając pełne wargi, nawet nie zwracając wzroku w moją stronę, jednak kiedy usłyszała wypowiedzianą przeze mnie prośbę, popartą rekomendacją redakcji z samej Warszawy, zmieniła ton.

– To pan będzie pisał artykuł? – Przyjrzała mi się spod długich rzęs, gryząc końcówkę długopisu.

– Zobaczymy, na razie zbieram materiały.

– Ale że chce się panu grzebać w takich starych historiach?

– Bo ta akurat historia wydaje mi się ciekawa...

– E tam! Kogo to interesuje? Po co komu takie starocie? Mało to się teraz dzieje? Chociażby u nas na osiedlu. W zeszłym miesiącu likwidowano stary sad, jeszcze poniemiecki, i pod wykarczowaną jabłonką natrafiono na szkielet. Dziecka. A ja tam całe dzieciństwo biegałam. Czuje pan? Po tych kościach.

– Już na pewno któryś z kolegów zajął się tą sprawą.

– Chyba tak. Teraz to takie czasy, że jak tylko ktoś od nas jedzie na czynności, to zaraz pojawia się ktoś inny z prasy. Skąd się dowiadują, to ja nie wiem. Czasem są nawet wcześniej od naszych. Ale żeby tutaj do archiwum, to raczej nie. Nikt się w starociach nie grzebie.

– To będę pierwszy. Gdyby mi pani pomogła...

– Zaraz, zaraz, mam dla pana temat! – Otworzyła szeroko duże oczy i oblizując co chwilę czerwone wargi, zaczęła z zapalem opowiadać. – Niech pan napisze o tym przekręcie, który Czarni szykują na Górze Chełmskiej. – Ściszyła głos, przechylając się w moją stronę. – Pod jakimś wydumanym pretekstem próbują doprowadzić tereny miastu. Wiem to, bo koleżanka z urzędu miejskiego mi opowiadała. Mówię panu, gruba afera. Usiłują to

przeprowadzić po cichu, ale gdyby tak artykuł w gazecie. Ogólnopolskiej...

– Wie pani co, mam kolegę w „Polityce”, podrzucę mu ten temat, może się nim zainteresuje?

– A pan by nie chciał?

– Ja niestety nie zajmuję się takimi sprawami.

– Szkoda. – Odwróciła się do okna. Przez chwilę wyglądała na ulicę, bębniąc długopisem o blat, nagle obróciła się w moją stronę. – Jak kolega przyjedzie zbierać materiały, niech koniecznie przyjdzie tu do mnie! Jestem Magda. Łatwo mnie znajdzie. Ja go wszędzie pokieruję. Zaopiekuję się nim. Mówię panu, jest o czym pisać.

Zobaczmy, kto kim się zaopiekuje, pomyślałem, lustrując jej ładną buzię, szperając wzrokiem w zakamarkach wypełnionego pełnym biustem dekoltu i szukając pod biurkiem końca długich nóg. Przypomniałem sobie redaktora Rajcowskiego z „Polityki”, jeżdżącego w teren zawsze z torbą wypełnioną po brzegi prezerwatywami, a wracającego z takich wypraw za każdym razem z notesem pękającym od zapisków, głową od kaca i z kolejnym damskim skalpem u pasa – trzema nieodłącznymi trofeami przywożonymi przez niego z każdej delegacji. Rajcowski ze wszystkich kłopotów, w które notorycznie się pakował – kiedyś podobno uwiódł nawet dziewczynę jednego z bossów mafii – wyslizgiwał się bez szwanku, a jego legendarne podboje, mocna głowa i znakomite pióro były obiektami zazdrości wszystkich kolegów po fachu. Tutaj, gdyby rzeczywiście wybrał się do Koszalina, zanosilo się na kolejny potrójny triumf.

– To zrobmy tak – zaproponowałem dziewczynie – ja namówię kolegę do zajęcia się sprawą tej góry i przyślę go tu do pani, a pani za to pomoże mi w mojej sprawie.

Spojrzała na mnie tak, że ciarki przeszły mi po kręgosłupie. Była śliczna. Może trochę za mocno umalowana, ale to tylko

dodawalo jej naiwnego uroku. A gdyby tak samemu spróbowac, przebieglo mi przez mysł. Ale gdzie tam, miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Mogłaby być moją córką. Rajcowski jest przed trzydziestką, zawyrokowałem, niech lepiej on się nią zajmie.

– Dobra, umowa stoi. – Podobał mi się nawet jej głos. Stanowczo musiałem stąd jak najszybciej wyjść. – Tylko niech mnie pan nie wykiwa. Proszę napisać na karteczce, o jaką sprawę chodzi, a postaram się coś wyszperać. Pan przyjdzie jutro. Albo – rozejrzała się na boki, wychyliła w moją stronę i szepnęła, mrużąc oczy (doskonale zdawała sobie sprawę, jakie robi na mnie wrażenie) – spotkajmy się wieczorem, będę już coś wiedziała.

Zrobiło mi się gorąco.

– A nie da się wcześniej? – wydukałem. – Jeszcze dziś muszę wracać do Warszawy – skłamałem.

– Jak pan musi, to trudno. Mus to mus. – Opadła z westchnieniem na oparcie krzesła. – W takim razie proszę przyjść... powiedzmy za godzinę... coś dla pana ustale.

Siedziałem nad wystygłą kawą w BWA, wpatrując się nic niewidzącym wzrokiem w okno. Czy mógłbym spodobać się takiej dziewczynie? Zainteresować ją? I czym, a raczej kim, sobą? Facet pod pięćdziesiątkę z głęboko wrzynającymi się zakolami, jeszcze w miarę przystojny, ale już z destrukcyjnymi efektami na twarzy i ciele wrytymi przez upływający czas, wypity alkohol i trudy, jakie niosło przez lata życie. Do tego permanentnie bez kasy, rozwiedziony, cyniczny, pozbawiony krzty romantyzmu i wiary w miłość, czy tego mogłaby szukać piękność u progu dorosłego życia? Zgoda, wykonywałem zawód ciesząc się jeszcze wówczas resztkami prestiżu i przyjechałem z Warszawy... No tak, oczywiście, wykrzyknąłem w duchu, uderzając się otwartą dłonią w czoło, Warszawa... to był chyba najsilniejszy wabik, który sprawiał, że się do mnie tak wdzięczyła. Jak nic przypuszczała, że mógłbym pomóc jej

wyrwać się z tego, jak sama pewnie sądziła, grajdoła. Pomóc urządzić się w stolicy, pomóc zbliżyć do „wielkiego świata”. Byłem jej szansą. Ale czy rzeczywiście mogłem? Może. Pytanie, czy chciałem? Czy odpowiadała mi rola ogrodnika, który obejmie dziewczynę, wyrwie z gleby, której soki nie dawały jej szans na bujny rozkwit, i posadzi w nowym miejscu? Nie bardzo. I czy miałem ochotę pakować się w romans z ponad dwadzieścia lat młodszą kobietą? Otwierając szeroko oczy, uświadomiłem sobie, że tak. Musiałem szybko wyjść się przewietrzyć. Odsunąłem niedopitą kawę, bez proszenia o rachunek rzuciłem na blat zmięty banknot i wybiegłem na zewnątrz.

Mżawka schłodziła rozpalone policzki. Spojrzałem na okrągłą tarczę zegara Poczty Głównej – zostało mniej więcej dziesięć minut. Dla zabicia czasu ruszyłem na spacer chodnikiem wzdłuż ulicy Zwycięstwa, odganiając spod powiek obraz piękności siedzącej za barierką w prokuraturze. Prześledziłem wywieszony na zewnątrz jednego z budynków repertuar kina Kryterium. *Głupi i głupszy*, *Skazani na Shawshank*, przeczytałem na afiszach. Przez szybę drzwi wejściowych zajrzałem do środka. Niewiele się zmieniło. Byłem tam raz. W nagrodę. Nasz PGR każdego miesiąca organizował wyjazd do kina, do Miasteczka. Ci, którzy sobie na to zasłużyli, ładowani byli w bonanżę podczepianą do traktora i dobrą godzinę tłukli się, popijając po cichu tanie wino, do Miasteczka. A potem na ekranie mogli obejrzeć zwietrzałe obrazy, na kopiach, które obleciały już sale kinowe stolicy, potem miast wojewódzkich, aby wreszcie zakręcić się na szpulach projektora w miasteczkowym kinoteatrze – kilka lat po polskiej premierze, która i tak zazwyczaj była solidnie spóźniona w stosunku do światowej. Mimo odsiadki i czasu, jaki upłynął, odkąd mnie wypuścili, zdarzało się, że puszczane w Miasteczku filmy widziałem w Warszawie, jeszcze zanim mnie zapuszkowali. Ale jeden raz, na jesieni, zorganizowano wyprawę do kina w Koszalinie. Autokarem podstawionym przez radę

narodową. Pięćdziesiątka szczęśliwców, w której i ja się znalazłem. Zaledwie dwa miesiące po warszawskiej premierze mogliśmy obejrzeć wyprawę Kargula i Pawlaka do Ameryki i trząść się ze śmiechu wraz z resztą kraju. Cała sala rżała tak, że niewiele dało się usłyszeć z ekranu, ale nikomu to nie przeszkadzało. Wracaliśmy do Wrześniowa, trzymając w pamięci amerykańskie obrazki, a w uszach dźwięczał nam jeszcze wileński zaśpiew strzępów dialogów, które doleciały do nas z ekranu, wbrew pozorom nie aż tak obcy na terenie zachodniego Pomorza.

Minęła godzina...

– Ma pan szczęście i pecha – powiedziała, uśmiechając się szeroko na widok mojej głowy wetkniętej w szparę uchylonych drzwi. – Szczęście, bo akta nie poszły do brakowania. Mimo że sprawa już wtedy, siedemnaście lat temu, została umorzona. Chyba za duży kaliber, żeby ktoś, ot tak, władował papiery do pieca.

– A pecha? – zapytałem, wchodząc do pokoju.

– Pecha, ponieważ jest tego tyle, że na przestudiowanie potrzebowałyby pan kilkunastu albo i kilkudziesięciu godzin. A pan musi wracać dzisiaj do Warszawy. – Spojrzała na mnie znacząco.

– No... niby tak... ale... – zacząłem bąkać głupio.

– I tak nie mogłabym pana tutaj trzymać aż tyle czasu – przerwała mi. – Jest wprawdzie specjalne pomieszczenie dla adwokatów, ale tu każdego z nich, miejscowego, wszyscy znają. A obcy potrzebują zgody szefa. Pan nawet nie jest adwokatem. Bez szans.

– Może chociaż tutaj u pani rzucę okiem na te akta?

– To bez sensu. – Pokręciła głową. – To szukanie na chybił trafił. Niczego w ten sposób pan nie osiągnie. To są setki albo i tysiące stron; zeznania, wizje, opinie biegłych, materiały z sekcji. Nie połapie się pan w tym. Ale... – Wychyliła się w moją

stronę. Poczułem woń nieznanych mi perfum wymieszaną z zapachem młodego ciała. Zakręciło mi się w głowie. – Mogę coś dla pana zrobić – wyszeptała teatralnie, rozglądając się na boki.

– Cóż takiego? – zapytałem, bez ceregieli zaglądając jej w dekolt, czym, jak mi się zdawało, nie była specjalnie obruszona.

– Mam tu, na dole, dostęp do ksero. Jest jeszcze wcześnie, więc do końca dnia sporo mogłabym nastukać. A ponieważ znam się na aktach, więc wiem, co wybierać, czego i gdzie szukać.

– Mogłaby pani to zrobić?

– To absolutnie nielegalne i nie powinnam. Ale dla pana – zmierzyła mnie od stóp do głów figlarnym spojrzeniem – mogę zaryzykować. Tylko że niestety to mi trochę zajmie. Co najmniej do wieczora. Nie wróci pan na noc do Warszawy.

– Jakoś to przeżyję. – Spojrzałem jej w oczy. – Jak się pani odwdzięczę?

Wytrzymując mój wzrok, odpowiedziała:

– Zaprosi mnie pan na kolację. Do Młyna. Tam wszystko – figlarnie podkreśliła to słowo – pan dostanie.

– Dobrze. Umowa stoi.

Wciąż patrząc mi prosto w źrenice, powoli opadła z powrotem na krzesło.

Kilkanaście godzin później mrużyłem oczy oślepiany światłami jadącego z naprzeciwka auta. Kolejny mądrała zasuwający na długich i zupełnie nieprzejmujący się mijanymi kierowcami. Pociągnąłem do siebie dwa razy wajchę zmiany świateł. Nie zareagował. Spróbowałem ponownie. Znów bez rezultatu. Wściekły pchnąłem manetkę do przodu, zmieniając światła na długie. Oko za oko. Zirytowany byłem na głaba jadącego z naprzeciwka, ale przede wszystkim zły byłem na siebie. Przybył mi kolejny siwy włos na skroni. Tak mawiał jeden z moich kolegów w redakcji: każda zmarnowana szansa na seks to kolejny siwy włos na skroni mężczyzny. Miałem ich już kilka,

a dzisiaj bez dwóch zdań pojawił się nowy. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Czemu nie wyciągnąłem? Co mnie powstrzymało? Jakies banalne uprzedzenia dotyczące różnicy wieku?

Przyszła sporo spóźniona. Z rozpuszczonymi długimi włosami, w za ostrym makijażu wkroczyła do ceglanego wnętrza starego browaru przerobionego na restaurację, niosąc przed sobą okazały plik skserowanych kartek. Była niższa, niż mi się wydawało, kiedy widziałem ją siedzącą za biurkiem. Małeńka, wręcz kieszonkowa. Dzielilo nas nie tylko dwadzieścia kilka lat, ale i kilkadziesiąt centymetrów wzrostu. Próbując jakiejś staromodnej „szarmantczyzny”, poderwałem się od stołu, szurając krzesłem niemiłosiernie i wyciągając ręce do powitania, co raczej ją rozbawiło, niż zauroczyło. Rzuciła z hukiem papiery na blat stolika, opadła na siedzenie naprzeciw mnie i wskazując palcem na przytarganą makulaturę, powiedziała:

– Spisałam się, co? Cały dzień ślęczenia przy kopiarce, pod koniec tusz zaczął się rozmazywać, ale wszystko da się odcyfrować.

Sięgnąłem po pierwszą kartkę. Położyła dłoń na mojej dłoni.

– Zostaw, przeczytasz później. – Przeszła na ty. – Teraz pozabawiaj mnie rozmową. Chyba zasłużyłam?

I zabawiałem. Godzinę... drugą. Mówiłem niemal wyłącznie sam. Odzywała się rzadko, krótkimi wtrąceniami, jakby prowokując mnie do dalszego monologu. Wydawało się, że doskonale rozumie, że wcale nie musi mnie oczarowywać, po prostu jeśli chce osiągnąć cel, wystarczy jej siedzieć i słuchać. Kręcił się wokół nas kelner, którego wyglądu nie jestem w stanie nawet odtworzyć – przyjął zamówienie, nalał do kieliszków wino (trzymając nóżkę w dłoni kręciłem naczyniem i obserwowałem osiadające na ściankach garbniki, nie zauważając ich, ponieważ w szkłe widziałem tylko jej uśmiechniętą, zasłuchaną twarz), postawił przed nami dymiące dania, które cierpliwie znosząc

moją gadaninę, nieruszone traciły temperaturę i kiedy wreszcie zanurzyliśmy w nie widelce, były chłodne i niesmaczne, co niespecjalnie mi przeszkadzało. Wszystko działo się jakby w jakimś półśnie. Byłem zapatrzony w dziewczynę i zasłuchany w swoje słowa. Mówiłem o tym, jak spędziłem resztę dnia, o wyprawie do wyludnionego Mielna, lodach zjedzonych we Florynie, gdzie na przeszklonej werandzie poczułem się niczym Marcel w Balbec. Pomądrzyłem się chwilę na temat książek. Potem od literatury przeszedłem zgrabnie do opowiadania o swojej pracy, a wreszcie zacząłem opisywać, jak wygląda życie w Warszawie; mówiłem o swoim mieście, o tym, jak je kocham, nienawidząc go jednocześnie, o irytującej, panującej w stolicy modzie na narzekanie na Warszawę, o pędzie, jaki w niej panuje, a równocześnie dzieliłem się swoją fascynacją rodzinnym miastem. Opisywałem zaułki, które dla przyjezdnych były w praktyce niemożliwe do odkrycia, rozwodziłem się nad tragiczną historią miasta, która tchnęła z każdego niemal kamienia odbudowanej po wojnie stolicy, opowiadałem o warszawskich paradoksach. Sam złapałem się na tym, że obrazami stolicy, jakie przed nią malowałem, próbowałem zachęcić Magdę do przyjazdu do Warszawy. A czy ktoś lepiej ode mnie potrafiłby wprowadzić ją, gdyby zdecydowała się na ten skok, do życia w stolicy? Oczywiście, że nie. Przerwałem i spojrzałem na wiszący na stylizowanej ceglanej ścianie szklany zegar – było późno, należało natychmiast podjąć decyzję. Poczulem uderzające falami zdenerwowanie. Przywołałem kelnera, który zbierając talerze z niedojedzonymi daniami, zapytał z unizonym uśmiechem: smakowało państwu? – czym mnie jedynie dodatkowo zirytował.

Zapłaciłem szybko i ruszyłem ku wyjściu, zapominając o skserowanych papierach.

– Zapomniałeś, po co tu przyszedłeś? – zapytała, chwytając mnie za wilgotną dłoń i przytrzymując dłużej, niż należało.

Mżyło. Staliśmy chwilę pod daszkiem przed wejściem do restauracji. Co powinienem powiedzieć? Co zaproponować? Po raz pierwszy tego wieczoru niczego mi nie ułatwiała, nie prowokowała, patrząc jedynie przed siebie w milczeniu.

– Chodź, odwiozę cię do domu. – Wskazałem samochód, próbując zyskać nieco na czasie.

– Nie, dziękuję, przejdę się, mieszkam niedaleko – odpowiedziała szybko, ruszając ze mną w stronę auta. Nie potrafiłem wyczuć z jej tonu, czy była zawiedziona.

Otworzyłem drzwi od strony pasażera i rzuciłem papiery na siedzenie. Odwróciłem się, stała tuż przy mnie. Dużo niższa, wspięła się na palce i wyciągnęła twarz w stronę mojej, jakby do pożegnania.

– Nie odważysz się... – powiedziała cicho, kiedy nachyliłem się, aby cmoknąć ją w policzek.

Ja się nie odważę? Sprowokowany zbliżyłem się do jej ust.

Nagle, wrzeszcząc w myśli: oż kurwa mać, dość już tych żalonych harlequinów! – podjąłem decyzję. Cofnąłem głowę, na policzku wycisnąłem jej głośnego, bezpiecznego buziaka, okrążyłem szybkim krokiem samochód i wsiadłem do wnętrza.

Teraz, oślepiany rozmazującymi się na mokrej szybie światłami jadących z naprzeciwka samochodów, zamiast trzymać się raz powziętego postanowienia, żalowałem, kombinując, czy mimo wszystko nie zadzwonić do dziewczyny. Może z budki telefonicznej na dworcu autobusowym w Bobolicach? Bez sensu. Taką okazję trzeba chwycić natychmiast, potem nigdy nic z tego już nie wychodzi. Rzuciłem okiem na stertę zabazgranych brudzącym tuszem papierów. Laską niech lepiej zajmie się Rajcowski, pomyślałem, ja mam tu coś ważniejszego do roboty.

Obudziłem się wcześniej. Spojrzałem na porozrzucane na podłodze kartki. Zgarnąłem je z powrotem na jedną stertę. W pracy jestem straszliwym bałaganiarzem. Moje biurko zawsze tonie w porozwalanych papierach. Stare notatki, niepotrzebne wydruki, nieaktualne zdjęcia i kopie, dyskietki, na których nie wiadomo co się znajduje, wszystko to zaściela blat, wypełniając każde puste miejsce. Tak było, odkąd pamiętam. Odkąd po ucieczce z Wrześniowa trafiłem na staż do redakcji i dostałem biurko w najodleglejszym kącie pokoju w dziale krajowym, kiedy dopiero startowałem w zawodzie, przygotowując materiały dla panów dziennikarzy, już wówczas zakopywałem się w papierzyskach. Kiedyś nawet, wychodząc z redakcji, poprosiłem sprzątaczkę, aby nie porządkowała mi biurka i spytałem ją, czy wie, które to, a ona odpała: no jasne, to, na którym jest największy pierdolnik. Ugryzła się w język, ale ja już zdążyłem się roześmiać. Tak, w takim totalnym bezładzie zawsze czułem się doskonale, podświadomie chyba zapamiętując, co gdzie wtryniłem i wszystko znajdując bez trudu, ale niech tylko ktoś spróbował uporządkować ten bajzel, natychmiast stawałem się zagubiony, niczego nie potrafiąc odszukać.

Tym razem jednak z samego rana, stając ze skserowanymi dokumentami w rękach na środku zajmowanego przeze mnie w czworakach pokoju, postanowiłem wprowadzić jakiś ład i systematyczność do lektury prokuratorskich akt. Poprzedniego dnia po powrocie, jeszcze w nocy, rzuciłem się łapczywie na papiery w poszukiwaniu jakichś informacji zbliżających mnie do rozwiązania zagadki. Wertowałem je na chybił trafił, rozrzucając wokół siebie kartki pokryte czarnym tuszem. Oczywiście nie trafiłem na nic. O świcie pozbierałem z powrotem wszystko do kupy i przebierając nogami, w samych gaciach w chłodnym pokoju, zastanawiałem się, czy do selekcji lepsza będzie pokryta szarą wykładziną podłoga, czy może przykryty narzutą w pasy, nieużywany przeze mnie tapczan stojący pod oknem.

Zdecydowałem się na tapczan. Rzuciłem na niego papiery, a sam przysiadłem obok, na podłodze.

Wykombinowałem, że podzielę całą tę makulaturę na trzy stosiki: pierwsza kupka z dokumentami, które niewiele mówią o sprawie, druga zawierająca takie, które owszem mówią, ale jednak powielają wiedzę, jaką już posiadam, i wreszcie trzecia najważniejsza, na którą powędrują kopie dokumentów poszerzających mój ogląd całości. Brałem do ręki kartkę po kartce i uważnie studiowałem zapisy: protokoły z przesłuchań – świadków, pracowników naszego PGR-u, mieszkańców Wrześniowa i Trójczyna, bliższych i dalszych rodzin ofiar, gości weselnych, dyrekcji, nauczycieli, nawet księdza – z oględzin miejsca zdarzenia, opinie biegłych, protokół z przebiegu wizji lokalnej, z adnotacją o sporządzonym zapisie na taśmie filmowej. I nic. Zbliżałem się do końca, a trzecia kupka, na której miałem nadzieję położyć choć kilka kartek, pozostawała pusta. Żadnej nowej informacji. Dziewięć trupów i końcowy wniosek, mówiący, że mamy tu do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem, że osoby, którym można by postawić zarzut narażenia życia ludzkiego i rażącego niedbalstwa – a więc czynów wypełniających artykuł 145 § 2 i 3, w powiązaniu z artykułem 160 § 1 i artykułem 7 § 2 kodeksu karnego – nie żyją, czyli istnieje przesłanka do umorzenia sprawy prowadzonej przeciw osobom na zasadzie artykułu 11 punkt 5 kodeksu postępowania karnego. Postępowanie w sprawie również postanowiono umorzyć z możliwością ponownego wszczęcia, gdyby pojawiły się nowe okoliczności. Stemple, pieczęcie, podpisy. Odłożyłem na środkową kupkę ostatnią kartkę. Potrzebny był mi kodeks. Chciałem dowiedzieć się, co to za artykuły, co stanowiły. Oskar, pomyślałem, w końcu skończył prawo, może przywiózł tu ze sobą jakieś prawnicze księgi albo będzie wiedział, o co w wymienionych artykułach chodzi?

Wstałem i roztarłem zmarznięte, gołe uda. W ciągu jednego

dnia po gwałtownym wietrze naciągnęły chmury, lunął deszcz, a po nim temperatura ostro zapikowała w dół; w jednej chwili z pięknego późnego słonecznego lata zrobiła się szara, przejmująca wilgotnym chłodem jesień. Sięgnąłem dłonią za siebie i dotknąłem pieca. Kafle były zimne. Wczoraj w nocy po powrocie do domu zastałem w swoim pokoju nagrzaną piec i mimo że szparami w starych wypaczonych oknach do wnętrza sączyło się chłodne powietrze, w pomieszczeniu panował przyjemny gorący zaduch. Teraz, kiedy kafle wystygły, nieszczelne okna zrobiły swoje i w pokoju dotkliwie się wychłodziło – trzeba było ponownie napalić w piecu. Rozejrzałem się, nigdzie nie było drewna. Pod piecem leżało jedynie kilka wsuniętych razem ze starą gazetą smolnych szczapek do rozpalki. Należało zorganizować opał. Po grzbiecie przeszedł mi dreszcz przyjemności. Zawsze lubiłem te obowiązki przypominające o naszym miejscu w przyrodzie. Tu na wsi ciepło nie przychodziło samo, tak jak w mieście, gdzie rozchodziło się od gorących kaloryferów, wypełniających się podgrzaną gdzieś tam wodą, kiedy tylko temperatura w nocy spadała poniżej pewnej krytycznej wartości. Nie, tu na wsi o ciepło należało zatroszczyć się samemu. Znaleźć drzewo, ściąć je po wykupieniu wcześniej asygnaty, następnie ściągnąć z lasu, zeszkładować, pociąć piłą, narąbać, a na koniec przytargać do domu. Uważać, żeby nie było zbyt mokre, żeby solidnie się paliło, a nie skwierczało, wypuszczając dym zamiast płomieni niezbędnych do nagrzania szamotowej cegły we wnętrzu pieca. To wszystko sprawiało, że gorąco, które na koniec buchało od kafli, ogrzewające pomieszczenie od góry i stopniowo powoli schodzące w dół (choć zawsze zostawała spora różnica temperatury pomiędzy górnymi a dolnymi poziomami pokoju) przynosiło autentyczną rozkosz; przestawało być niedostrzegalną oczywistością, a stawało się rarytasem, na który należało sobie ciężko zapracować.

Wyszedłem przed dom. Oskara nie było sensu szukać, słyszałem dwie godziny wcześniej, jak wyprawiał kombajn w pole do „rąbania gryki”, korzystając z przerwy w deszczu, i o ile teraz sam nie był razem z nim, to pewnie siedział w spichlerzu, który przygotowywał na przyjęcie zebranych orzeszków. Nie miałem zamiaru mu przeszkadzać, postanowiłem najpierw napalić w piecu, a dopiero później pójść mu pomóc i dowiedzieć się o prawnicze książki. Pięć wielkich bukowych pni leżało przed pałacem. Z jednego odcięto dwa pulchne, okrągłe kłocę – nie słyszałem wcześniej, aby piła pracowała, najwyraźniej zrobiono to, kiedy byłem w Koszalinie – o jeden z nich stała oparta siekiera, obok niej taczki. Pochyliłem się i stękając z wysiłku, uniosłem jeden kłocę. Położyłem go na drugim. Splunąłem w dłonie, bardziej dla żartu niż efektu, chwyciłem siekierę i uniosłem wysoko nad głowę, stając na szeroko rozstawionych nogach. Uderzyłem, celując blisko brzegu. Nie robiłem tego od kilkunastu lat, ale z satysfakcją stwierdziłem, że tych technik się nie zapomina. Obuch siekiery wbił się płytko w kłocę, nie rozbijając go; na gładkiej do niedawna powierzchni powstało pęknięcie. Otwartą dłonią uderzyłem w trzonek, wybijając siekierę z drewna. Była taka jak należy – ciężka, ale niezbyt ostra, w zasadzie można powiedzieć – tępa, dzięki czemu nie zanurzała się głęboko w rąbane drewno, a jedynie łupała je na szczapy. Kolejne uderzenie odrąbało spory kawałek kłocka, który położyłem na dwóch większych, i bez trudu połupałem na mniejsze szczapki, które z hukiem wylądowały na taczkach.

Pracowałem systematycznie, czując, jak przychodzi przyjemne zmęczenie, a ciało powoli zalewa pot. Taczki wypełniały się drewnem, a moje myśli jeszcze raz podryfowały w kierunku dziewczyny z prokuratury. Pogodzony z myślą, że nic już z tego nie będzie – mimo że w kieszeni niemal czułem pulsowanie karteczki z numerem telefonu, którą od niej dostałem – zacząłem roztaczać wizję, co by to było, gdybym jednak zachował się na

koniec inaczej, być może w sposób, jakiego dziewczyna ode mnie oczekiwała. Wykazał trochę odwagi. Zabrał ją do hotelu. Poczułem swędzenie w podbrzuszu. Fantazjowanie przy rąbaniu drzewa.

Siekiera zgrzytnęła na sęku i ześlizgnęła się po pieńku. Z impetem przecięła powietrze. Szlag! Szybko wróciłem do rzeczywistości. Dobrze, że nic mi się nie stało, obuch ze świstem przeleciał centymetr od piszczeli.

– Ciesz się pan, że noga cała – usłyszałem za sobą męski schrypnięty głos.

Obróciłem się. Przede mną stał niziutki, chudy starszy facet w szarej marynarce zapiętej na jeden guzik, za dużych spodniach – za szerokich i za długich – spiętych wąskim wytartym paskiem i za wielkich buciorach. Istny Chaplin. Spod naciągniętej na gęste brwi czapki spoglądały wesole czarne oczy. W rękę trzymał plastikowe pięciolitrowe wiaderko po farbie pełne podgrzybków. Zajrzałem pod daszek czapki...

– Czyżyk? – Ucieszyłem się.

– A któż by inny? – Wyciągnął w moją stronę umorusaną dłoń.
– Słyszałem, że pan przyjechał.

– Co pan tu robisz? – Pokazałem na podwórko bądź co bądź prywatnego terenu.

– Nie widzi pan? Na grzybki przyszedłem.

– Ładny zbiór. – Pokazałem na wiaderko.

– A chuja tam! Tych nikt nie skupuje. Ale prawdziwków nie było, to chociaż ich nazbierałem, na górce przy starym cmentarzu pełno tego. Nic niewarte. Tyle że Maryśka na kolację zrobi.

Rzeczywiście, jak mogłem zapomnieć, że wszystko to, co nie było przeliczalne na pieniądze, a w dalszej kolejności na wypełnione płynem z drogocennymi procentami butelki, dla miejscowych nie stanowiło żadnej wartości. Podgrzybki, kozaki, kanie, maślaki, a nawet rydze w przeciwieństwie do cieszących

się uznaniem w skupie kurek i prawdziwków były dla mieszkańców Wrześniowa jak wata, jak suche liście, a najcelniej byłoby powiedzieć, jak chrust: niby to da się nim w piecu napalić, ale szkoda fatygi, skoro tyle dorodnych drzew stoi w lesie. To samo było z grzybami, których skup „nie brał” – nikt się po nie nawet nie schylał, chyba że wracał z wyprawy do lasu z pustą torbą czy wiaderkiem, wtedy od biedy zapełniał nimi naczynie, wiedząc z góry, że taki „zbiór” zamiast zwyczajowej radości wywoła w domownikach w najlepszym razie zawiedzione sarkanie. Swoje faux pas próbowałem zagłuszyć, wrzucając ostatnie szczapy na taczkę.

– Chce się tak panu siekierą machać? – Czyżyk pokręcił głową.

– Napalić trzeba.

– A co to, u Oskara ni ma ludzi?

– Pewnie są, ale wolę sam.

– Jak pan wolisz, to co zrobić, trzeba rąbać. – Przypatrywał się, jak się zabieram do pełnych taczek. – Że też chciało się panu na stare śmieci przyjeżdżać? Dziwię się.

– A co, Czyżyk, nie podoba się panu tutaj? – odpowiedziałem, dźwigając z wysiłkiem taczki i ruszając w stronę domu.

– Co tu jest do podobania? Wiocha jak wiocha. A teraz jak PGR-y upadli, to już w ogóle zadupie jakich mało. O chociażby to – pokazał dłonią na pchane przeze mnie taczki – sam pan widzisz, panie Roman, ile trzeba się namęczyć, żeby ciepło było w chałupie. Żle panu w tej Warszawie? Po co się tu pchać? W tę biedę, między tych durnych ludzi, siedzących tu jeszcze jak ja?

Popatrzyłem na Czyżyka ze smutkiem. Na tę przygarbioną sylwetkę. Gdzie wyparował jego optymizm, gdzie podział się dobry humor, którym zawsze epatował i którym potrafił zarażać wszystkich dookoła? Zgorzkniały, narzekający, starszy facet. To opis, który zupełnie nie pasował do Czyżyka, jakiego pamiętałem. Zawsze uśmiechniętego, pełnego energii, skorego do żartów. Jakie wydarzenia tak go zmieniły? A może po prostu źle trafiłem,

może akurat miał zły dzień, zły humor, a pod spodem dalej siedział ten sam wesoły facet? Mogły o tym świadczyć śmiejące się po dawnemu czarne oczy osadzone w zaciętej ogorzałej twarzy, pooranej zmarszczkami.

– Słuchaj, Czyżyk, to dobrze, że pana spotykam. – Nie odpowiedziałem na zadawane przez niego pytania. – Chciałem z panem pogadać. Już od jakiegoś czasu się wybierałem, ale jakoś nie mogłem dotrzeć. Może wejdziemy do środka? – Pokazałem na drzwi czworaków.

Postawił wiaderko pod nogami, sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyciągnął wymiętoszoną paczkę mocnych.

– Może zapali pan takiego? – Wyciągnąłem w jego stronę marlboro.

– Nie, dziękuję, wolę swoje. – Przypalił, patrząc to na mnie, to na drzwi. Zaciągał się zachłannie, trzymając papierosa wargami i wypuszczając dym kącikiem ust. Wydawało mi się, że się waha. Wreszcie zdecydował: – Teraz nie mogę. Muszę już iść. Ale niech pan wpadnie do nas, panie Roman. Wieczorem. Maryśka robi to badziewie. – Gestem głowy wskazał na wiaderko z grzybami. – Napijemy się, pogadamy. Zrzucisz pan, co mu leży na wątrobie.

– Niech będzie.

– Mieszkam tam, gdzie dawniej. W bunkrze, na końcu wioski. Pamiętasz pan?

Przytaknąłem. Wyjął z ust wypalonego do połowy papierosa, dwoma palcami, szybkim ruchem oderwał tłący się ognek, a niedopałek schował do górnej kieszonki marynarki. Podał mi niezbyt czystą, krzepką rękę.

– To do wieczora, panie Roman.

– Do wieczora, Czyżyk.

Smolne szczapy zajęły się od razu, od pierwszej zapalki. Poczekalem, aż się wypaliły, tworząc żar, i dorzuciłem narąbanych drew. Buchnął ogień, wypełniając kanały pieca. Przymknąłem drzwiczki i zerknąłem jeszcze raz na dwie kupki

skserowanych papierów. Przez chwilę walczyłem z pokusą wepchnięcia ich do paleniska. Tyle trudu, wyprawa, czekanie, setki skserowanych stron i żadnej nowej informacji. Nieszczęśliwy wypadek. Wprawdzie opinie biegłych były niejednoznaczne, wskazywały na splot mnóstwa okoliczności, które nie powinny były się wydarzyć, ale w konkluzji stwierdzały, że jednak, choć z pozoru wydaje się to nieprawdopodobne, to do takiego zbiegu nieszczęśliwych zdarzeń mogło dojść. Z dzisiejszej perspektywy zdumiewające wydało mi się, że nikt z rodzin, bliskich ofiar nie został otoczony opieką psychologiczną. Tak jakby takie tragedie na psychice pracowników PGR-u – twardych, zaprawionych w bojach z przyrodą, oswojonych ze śmiercią, zdaniem władz łączących najlepsze cechy chłopca i robotnika – nie miały prawa powodować żadnych rys. Pamiętałem dokładnie to targające wtedy wszystkimi mieszkańcami wsi poczucie osamotnienia, nieufności, lęku, ten zbiorowy szok i chęć ucieczki, ucieczki jak najdalej. I kto mógł, kto miał dość odwagi zaczynać wszystko od nowa w obcym świecie, kto miał dokąd, uciekał. Byle dalej od tego przeklętego miejsca, jak mówiono. Uciekłem i ja.

Dorzuciłem drewna do paleniska, zakręciłem żeliwne drzwiczki i wyszedłem przed dom. Od spichlerza doleciały mnie przytłumione hałasy. Ruszyłem w tamtą stronę, najpierw na skos przez brukowaną drogę, a później na przełaj pomiędzy pustoszejącymi z każdym dniem grządkami warzywniaka.

– Masz ochotę pomóc? – Oskar pokazał grykę rozsypaną na betonowej posadzce. Przytaknąłem, wchodząc do wnętrza magazynu, w którym unosił się gorzki, gryzący zapach świeżo zebranych nasion. Wręczył mi swoją łopatę, a sam sięgnął po kolejną, opartą o drewniany filar. – Trzeba przesuflować to gówno, żeby nie stęchło. Jesteśmy dopiero w połowie koszenia, a mam tylko cztery, pięć dni na sprzedanie całości, potem gryka, jak to gryka, zacznie łapać zapaszek i będę mógł wszystko

wywalić do jeziora. Ale co ja ci tu opowiadam, sam pewnie wiesz...

– Nie bardzo – odpowiedziałem, podrzucając krótkim, szybkim ruchem orzeszki z łopaty, co spotkało się z pełnym uznaniem kiwnięciem głowy pracującego obok Kulewicza. – O ile pamiętam, to za moich czasów w PGR-ze gryki nie siali.

– No tak, bo kto sieje grykę i proso, ten chodzi bosy.

– To po co ty posiałeś? I to, jak widziałem, całkiem sporo.

– Bo lubię miód, a gryczany najlepszy.

– Ale aż tyle?

– Żartuję. – Roześmiał się, widząc moją poważną minę. – Tak naprawdę to z chciwości. W zeszłym sezonie płacili tysiąc dwieście za tonę. Majątek. Jak baran, jak cała reszta dookoła dałem się skusić, obsiałem pięćdziesiąt hektarów, a teraz kiedy zbieramy, wszystkie okoliczne kaszarnie zmówiły się i nie chcą skupować za więcej niż czterysta. Poniżej kosztów. Gryki nie przetrzymasz, kilka dni po zbiorach musisz ją wypalić, ponieważ, jak mówiłem, łapie stęchły zapaszek i mimo że nie jest zepsuta, tak naprawdę do niczego się nie nadaje. Kupiłbyś waniającą kaszę? Na pewno nie. A ci jebani się nie ugną.

– A nie można wywieźć jej gdzieś dalej? Do centralnej Polski? I tam sprzedać?

– Oczywiście, że można, ale transport również kosztuje, a ceny skupu są niewiele wyższe. Też się nie kalkuluje. Tak czy siak, znów dostanę po dupie.

– Jakby pan miał świniów, toby se je tom grykom skarmił. A tak... – wtrącił Kulewicz.

– Ty Kulewicz, nie bądź taki mądry. Następny amator świń.

– No co, dobrze gadam.

– A ile taka świnia zeżre takiej gryki, co?

– A bo ja wiem?

– Ja też nie wiem, ale tego cholerstwa będzie z pięćdziesiąt ton

– Oskar trzonkiem łopaty wskazał na stertę orzeszków –

składować za długo nie można, a samą gryką świnia żywić się nie będzie.

– Cóż tam zawsze by zejzały – mruknął pod nosem Kulewicz i poszedł ze swoją szuflą w przeciwległy kąt magazynu.

– Taka to teraz dochodowość w tym rolnictwie. Na wszystkim w dupę się dostaje. – Machnął ręką Oskar.

– To nic się nie opłaca?

– A owszem! Narkotyki! – rzucił ze złością.

– Bez żartów, pytam o rolnictwo.

– Więc odpowiadam. Konopie indyjskie, czyli marihuana, to dopiero jest dochodowy interes. Badałem to kiedyś, z ciekawości. Wyprodukowanie jednej dziesięciogramowej porcji kwiatu to koszt dziesięciu, no maksymalnie piętnastu groszy. A w hurcie w Warszawie kosztuje dwadzieścia złotych. Widzisz, jakie przebicie? Z hektara można zebrać tego tony.

– Tak, tylko jakie ryzyko. Mogą cię zamknąć na lata.

– E, coś ty! Tutaj nikt, nawet policja, nie ma pojęcia, jak wygląda krzak marihuany. Zero szans, że kogoś złapią.

– Więc co cię powstrzymuje? – zapytałem bardziej żartem niż z przekonaniem.

– Bo chcę żyć! – odpowiedział poważnie. – Gdybym tu posiał konopie, to najdalej za trzy dni mafia odstrzeliłaby mi łeb.

– A skąd by się dowiedziała?

– A skąd ja mam to wiedzieć, ale już oni mają swoje sposoby. Bez obaw, po trzech dniach wiedzieliby wszystko. To dla nich stracone pieniądze. A w interesy z tymi panami to ja się wdawać nie będę. Nie ma o czym gadać. Trzeba szuflować to gie. – Wskazał ręką grykę. – Za darmo. Gratis.

Przerzucaliśmy grykę jakiś czas w milczeniu. Oskar ze złością pracował łopatą. Wreszcie po kilku minutach metal zajęczał, trafiając na coś twardego. Dokopaliśmy się do pociemniałego, ciągnącego wilgoć z nasion betonu.

– Słuchaj, Oskar, czy ty nie masz tu przypadkiem ze sobą

kodeksu karnego? – zapytałem, opierając się o trzonek i łapiąc oddech.

– Przypadkiem nie mam – odpowiedział mało uprzejmie, zasłuchany we własne, niewesołe zapewne myśli.

– To może chociaż jakieś książki prawnicze?

– Coś ty, nie po to zostawiłem całe to prawo za sobą, żeby taszczyć tu prawniczą makulaturę. – Przerwał szuflowanie i sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął czerwono-białą paczkę papierosów. – A do czego ci to potrzebne?

– Muszę sprawdzić treść kilku artykułów.

Potarł zapalną, przypalił papierosa i podał mi wymiętoszoną paczkę.

– Których? – zapytał, wypuszczając kłęb dymu w stronę drewnianego, ponadstuletniego stropu, w którym ziała równo wycięta dziura dwa na dwa metry, jak mi opowiadał kiedyś Oskar, efekt nocnej, zimowej wizyty nieproszonych gości, którzy uznali, że takim wiekowym drewnem można doskonale palić w piecu.

– Sto czterdzieści pięć i sto sześćdziesiąt, może pamiętasz? – odpowiedziałem, zaciągając się papierosem.

– Prawo karne to ja miałem na drugim roku. Lata temu. – Pokręcił głową – Ale sto czterdzieści pięć to będzie coś z bezpieczeństwem w ruchu, a sto sześćdziesiąt to może z życiem i zdrowiem, ale nie powiem ci dokładnie, musisz sprawdzić w bibliotece w Miasteczku, tam powinni mieć kodeks.

– Tyle mniej więcej to sam wiem.

– A po co ci to? Jakiś wypadek?

Machnąłem wymijająco ręką i pokręciłem przecząco głową.

– Nieraz to sam się zastanawiam, czy mnie z tych albo podobnych artykułów nie ściągają. – Odstawił szufłę i usiadł na odwróconym do góry dnem wiadrze. – Widziałeś moje traktory pracujące w polu? Zawsze są oblepione dzieciakami jak winogronami. Nie pozwalam, zabraniam, grożę i nic nie pomaga.

Jak jestem w pobliżu, to jeszcze się jakoś mitygują, ale kiedy tylko się oddalę, od razu dzieciarnia obsiada od nowa maszyny jak muchy gówno. Boję się, że dojdzie do wypadku i wiesz co, w zeszłym roku rzeczywiście doszło. – Oskar rzucił niedopałek pod nogi, przydepnął i splunął. – Prowadziliśmy jesienne orki, w pole wyjechał Czółko, tym największym Zetorem, który ma tylne koła większe ode mnie, a mały przecież nie jestem. Za ciągnikiem szedł sześćskibowy pług. – Kulewicz przerwał pracę i zaczął przysłuchiwać się opowieści. – Oczywiście, kiedy tylko traktor wyjechał za bramę, obsiadły go dzieciaki. Na polu ciągnik szedł dwoma kołami w bruździe, przechylony, a Czółko był odwrócony, kontrolując pług. Wiesz przecież, jak się orze? – Przytaknąłem. – I wtedy od strony tego zaoranego już pola do traktora podbiegł dziesięcioletni łepok, syn kuzynki Czółki. Chciał wskoczyć do wujka do kabiny. Tylko wcześniej do butów przylepiło mu się błoto z tych świeżo zaoranych skib. Stopnie są metalowe, ciągnikiem trzęsie. No i gówniarz się poślizgnął. Może i by się utrzymał na rękach, ale nogi wsunęły mu się pod koła. Potężny bieżnik je zagarnął i dzieciaka wciągnął. To gigantyczne koło dosłownie go przemielilo, jak młyn. Miał szczęście, że był od tej miękkiej zaoranej strony, bo z drugiej to nie byłoby co zbierać. Wystrzelił spod koła niby kamyk na szutrze. I znów miał szczęście, że go Czółko zauważył, gdyby wpadł pod lemiesz, toby go pokroiły na plastry. – Oskar przerwał. Podniósł się ciężko, a ja w napięciu czekałem na finał. – Zanieśli chłopaka do domu i z mojego telefonu wezwali pogotowie. Chcieli przede mną zataić całą tę historię. W karetce dzieciak wymamrotał, że spadł z drzewa i tej wersji konsekwentnie się trzymał.

– Ale co mu się stało?

– A płuco się jemu zawinęło. Pamiętam – wtrącił się Kulewicz.

– Tak, wyobraź sobie, że nic wielkiego chłopakowi się nie stało. Żadnego złamania, nawet pęknięcia. Żadnych poważniejszych

uszkodzeń wewnętrznych. Drobna kontuzja płuca, Kulewicz ma rację. I to wszystko. – Oskar ponownie złapał za szufłę i zaczął przerzucać grykę. – Po dziesięciu dniach wyszedł ze szpitala zdrów jak ryba.

– I nawet to nie pomogło? – Ustawiłem się obok niego. – Ciągłe widzę na polu w traktorach pełno dzieciaków.

– Dasz wiarę, że nie? Była jakaś komisja. Przesłuchała chłopaka w szpitalu, potem coś węszyli tu na miejscu, ale ponieważ sprawa dotyczyła Czółki, to nikt się nie wychylił i wszyscy milczeli. Wreszcie przyjęto wersję z upadkiem z drzewa, przyznano chłopakowi odszkodowanie, co wzbudziło nawet zazdrość niektórych. Przez pewien czas traktorzyści gonili dzieciaki z pola, ale powoli wszystko wróciło do niechlubnej normy, i dalej nie potrafię sobie z tym poradzić.

Pracowaliśmy tyłem do otwartych na oścież wielkich dwuskrzydłowych drewnianych drzwi. Nagle, z podwórka, odbijając się od ściany drzew i murów zdewastowanych budynków, skacząc po nierównym bruku, do wnętrza spichlerza wdarł się odległy, ale narastający z każdą chwilą terkot traktora. Oskar wyprostował się i zdziwiony zastanawiał, co to może zwiastować.

– Już? Tak szybko? Przecież niedawno zrzucili dwie przyczepy. Czy to możliwe, żeby nagle zaczęło tak ładnie sypać?

– Nie, to deszcz – wyjaśnił wpatrzony w otwór wejściowy Kulewicz. Obróciliśmy się z Oskarem jednocześnie. Rzeczywiście, zasłuchani w szum przesypywanych ziaren szuflowanej gryki nie usłyszeliśmy bębnienia deszczu, który, pchany wiatrem, drobnymi, gęstymi kroplami pod ostrym kątem przecinał podwórze.

– To tyle będzie koszenia na dziś. – Oskar wbił na sztorc łopatę w stertę przerzuconej gryki i ruszył w stronę wyjścia. Razem z Kulewiczem poszliśmy za jego przykładem.

Uderzył w nas chłodny podmuch wiatru, osadzając na

twarzach krople deszczu. Poczułem lekki dygot. Ale nie był to dygot wywołany zimnem, tylko zmęczeniem stygnących mięśni. Najpierw rąbanie drewna, teraz przerzucanie kilku ton gryki – zafundowałem sobie przedpołudnie na siłowni. Mięśnie ramion drgały drobnymi skurczami. Zawsze podziwiałem naturalną siłę, jaką praca w gospodarstwie wyrabiała u miejscowych. Ich mięśnie, osadzone w drobnym czasem ciałach, wyćwiczone od najmłodszych lat dźwiganiem worków z nawozami albo ziarnem, machaniem łopatą czy szpadlem, noszeniem nieraz na wielkie odległości wypełnionych po brzegi wiader, targaniem na plecach ogromnych ciężarów, posiadały potężną moc płynącą z natury. To nie były napompowane sterydami, pocące się na siłowniach „karki” z mięśniami jak u ludzika Michelina. Niepozorni, żyłaści, już kiedy ściskali ci dłoń na powitanie, czuleś, że pod tą skromną powłoką czai się gigantyczna, krzepka siła, powstała w zmaganiu z surowym życiem i przyrodą. Siła, która budziła respekt. Kiedy patrzyłem na przerzucającego grykę Kulewicza, gdy widziałem lekkość, z jaką nabierał na potężną szufłę kolejne partie nasion, i swobodę, z jaką podrzucał je w górę, czułem, że gdyby zaszła taka potrzeba, z równą swobodą mógłby podnieść i podrzucić konia z jeźdźcem, a jeśliby z jakichś powodów musiał stanąć w zapasy z warszawskim, wyćwiczonym na siłce mięśniakiem, to w uścisku spuściłby z jego nadmuchanych mięśni powietrze niczym z plażowej piłki.

Pyrkanie traktora, a wraz z nim metaliczny huk podskakujących na wertepach pustych przyczep stawały się coraz wyraźniejsze i wreszcie w otwartej bramie ukazał się czerwony pysk ciągnika. Zaskoczony Oskar z niepokojem nasłuchiwał dolatujących do nas dźwięków. Wreszcie traktor podjechał pod drzwi spichlerza. Oskar wspiął się na łącznik przyczepy i zajrzał pod plandekę. Wściekły odrzucił brezent i podszedł do siedzącego w kabinie Antka.

– Pusta?! – wrzasnął, pokazując na przyczepę. – Gdzie gryka?!

– Kosilim, kosilim, a potem zaczęło padać. Ale my dalej próbowaliśmy kosić.

– Co?! Kosić?! – W Oskarze narastała coraz większa irytacja. – Sto razy powtarzałem, że jak tylko zaczyna kropić, to macie wracać z pola!

– No wiem, ale my pomyśleliśmy, że to może tylko tak przejściowo popada i przestanie. Sam mówiłeś, że już mamy duże spóźnienie.

– Ale gryka... – Wściekły Oskar machnął ręką, po czym jeszcze raz pokazał na przyczepę. – Dlaczego nie zsypaniście ziarna pod plandekę?

– No właśnie, próbowaliśmy, ale chuj, coś tam się w kombajnie zacięło. Kurc ci to wszystko wytłumaczy, o właśnie jedzie. – Antek machnął głową w kierunku bramy, w którą usiłował wpasować się z animuszem, bez zbytecznego zwalniania, potężny sześciometrowy heder; za nim majaczyła w deszczu zielona sylwetka ogromnego kombajnu z żółtym skaczącym jeleniem wymalowanym na płacie blachy pod kabiną. Maszyna zaparkowała pod spichlerzem, drzwiczki kabiny otworzyły się i niewysoki kędzierzawy mężczyzna zszedł po mokrych metalowych stopniach, a na koniec zeskoczył na wilgotną ziemię, stając obok zarytego w grząski grunt masywnego koła kombajnu.

Miał około trzydziestki i wołali na niego Młody Kurc. Nie znałem go, z rysów twarzy nie przypominał kogokolwiek, kogo pamiętałbym z tej okolicy. Wiedziałem tylko tyle, że mieszkał w sąsiadującym z Wrześniowem Kaczkowie, gdzie za moich czasów mieścił się kołchoz, jak nazywano Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną gospodarującą na otaczających Kaczkowo polach, przyległych do pegeerowskich gruntów. Wówczas kooperacja pomiędzy naszym gospodarstwem a niedofinansowanym kołchozem na poziomie dyrekcji i biur układała się kulawo, natomiast na poziomie mas pracujących obu wsi mogłaby służyć za wzór zapisanego w peerelowskiej konstytucji robotniczo-

chłopskiego sojuszu, będącego podstawą ustroju socjalistycznej Polski Ludowej. Zrzeszeni w Spółdzielni chłopci dogadywali się z wrześniowieckimi robotnikami znakomicie i wspólnie wynosili z PGR-u nawozy, ziarno na zasiew, środki ochrony roślin, paszę, narzędzia... słowem wszystko, co tylko mogło się przydać do produkcji rolnej i co później lądowało na uprawianych przez kolchoz polach i w zadbanych, poniemieckich chałupach oraz stodołach należących do jego pracowników. W zamian kolchoźnicy – nazywani przez PGR-owców pieśczośliwie Dużymi Kmiotami, w odróżnieniu od Małych Kmiotków, jak wołano na właścicieli prywatnych gospodarstw rolnych – dofinansowywali (płacąc, rzecz jasna, jedynie ułamek wartości pozyskanych dóbr) skromne portfele kooperantów, które ci z ochotą opróżniali we wrześniowieckim GS-ie, zaopatrując się, w cóż by innego, jak nie tani alkohol. Towar i pieniądz krążyły, wszyscy byli zadowoleni. Mieszkańcy obu wsi znali się doskonale, zatem i Kurca, który, jak mi powiedział Oskar, miał pięciu braci, gdyby tu mieszkał w tym samym czasie co ja, powinienem kojarzyć. Tymczasem jego rysy były dla mnie zupełnie obce, stąd wnioskowałam, że jego rodzina pojawiła się w okolicy już po moim wyprowadzeniu się.

– Dupa, panie Oskar! – zawołał Kurc, wycierając o spodnie dłoń, którą zapaćkał sobie błotem przy wysiadaniu z kombajnu. – Wszystko się pozapychało.

– Ale co konkretnie? – Oskar zaglądał do wnętrza hederu, w którym leżały poskręcane, grube gryczane łądygi.

– Konkretnie to jeszcze nie wiem, trzeba posprawdzać – odpowiedział niedbale nosowym głosem.

– Żmijka chodzi?

– Nie.

– A dużo żeś pan nakosił?

– Mniej jak pół zbiornika.

– Kurwa mać! Jedziemy natychmiast do kuźni sprawdzić, co się stało.

Kombajn potoczył się w dół i ustawił przed drewnianą wiatą starej kuźni. Kurc z Antkiem odczepili heder, a następnie odkręcili śruby mocujące metalowe płyty, osłaniające wnętrze skomplikowanego mechanizmu. Oskar gwałtownym gestem odsunął pracowników od maszyny i niczym treser dzikich zwierząt wsadził głowę do wnętrza, przez chwilę coś tam obserwował, wreszcie wyskoczył, obiegnął pojazd i kucając pod rozdrabniaczem słomy, zajrzał do wnętrza mechanizmu od tyłu. Po chwili usłyszeliśmy jego wrzask, który rezonował o blachy korpusu kombajnu.

– Co to, do kurwy nędzy, ma znaczyć?! – pieklił się, kiedy skończył oględziny. – Wszystko pozapychane! Podajnik, przenośnik, bębny, wytrząsacze, sita! – Pokazywał trzęsącą się ze złości dłonią na poszczególne elementy mechanizmu – Wszystko! Czy wy oczu nie macie?!

– A czy to moja wina, że ciągle leje? – bronił się, mówiąc przez nos, Kurc.

– Tyle razy powtarzałem, że jak tylko zaczyna padać, macie zjeżdżać z pola. Patrz pan – sięgnął ręką do sit i podetknął pod nos kombajnisty różowo-czerwoną mazię, upstrzoną brązowymi orzeszkami gryki – coście narobili!

– O co panu chodzi? Jak było ładnie, to kazałeś pan cały dzień czekać, żeby lepiej obeszło, to teraz nie możemy się wyrobić. Chciałem dobrze, zdjęć z pola jak najwięcej. Nie udało się. Jak się panu nie podoba, to możesz pan poszukać sobie innego kombajnisty. Proszę bardzo. – Kurc sięgnął do górnej kieszeni kurtki, wysupłał popularnego i zapalił. – Ci z Gęśli już dwa razy po mnie przychodzili, ale ja uczciwie powiedziałem, że nie mogę, bo muszę być do pana lolajny. Ale jak pan niezadowolony, to dobrze. Nie, to nie. Idę sobie. – Odwrócił się na pięcie i zrobił kilka kroków w stronę pałacu.

– Czekał pan. – Oskar uspokajał się. – A kto to wszystko posprząta. On? – Pokazał na Antka oglądającego swoje brudne

paznokcie obok stojącego smętnie kombajnu. – Do popsucia pierwsi, ale żeby naprawić, to już nie.

– Czółkę trzeba by ściągnąć do pomocy. Będzie cały dzień czyszczenia – ocenił Kurc, mrużąc oczy w kapuśniaku, w który zamienił się padający deszcz.

– Dobrze, dobrze, tylko przykryjcie zbiornik brezentem, niech się nie leje do środka, może coś tam uda się z tego ziarna uratować, jak już uruchomimy żmijkę.

– Już się robi. – Szczęśliwy, że znów im się upiekło, Antek pognął w stronę ciągnika schowanego w spichlerzu.

*

– Jutro jeszcze doczyścimy bęben i wytrząsacze, wszystko się pomontuje i będzie można ruszać w pole. I o co było tyle hałasu?

– Stojący obok zaparkowanego niedaleko domu kombajnu Kurc składał raport Oskarowi siedzącemu razem ze mną na schodkach przed wejściem do kuchni.

– Czyżby? A gryka? – Zrezygnowany Oskar zdawał się być pogodzony z kolejnymi stratami.

– Nie ma co gdybać. Jutro się zobaczy.

Zadziwiająca była ta beztroska, z jaką traktowano tutaj wszelkie zniszczenia, usterki, awarie, marnotrawstwo. Mogłem to jeszcze zrozumieć u pracowników wychowanych w PGR-ze, gdzie wszystko było „nasze”, czyli niczyje. Ale Kurc przyjechał tutaj z zewnątrz, jak przypuszczałem, w gospodarstwie nigdy nie pracował, skąd zatem u niego ta sama lekkość w traktowaniu swoich obowiązków i łatwość narażania pracodawcy na straty? Najwyraźniej wirus PGR-u infekował skutecznie nawet po latach i nie tylko mieszkańców Wrześniowa, potrafił zakazić całą okolicę.

– Do jutra to... – zaczął Oskar.

– Nic pan nie poradzi – przerwał mu Kurc. – Przyjdę rano, to się zobaczy. A na razie uciekam. Robi się późno. Przemknę się ścieżką nad jeziorem, to zdążę do domu przed ciemkiem. Do widzenia. – Podał nam na pożegnanie spracowaną dłoń.

Spojrzałem w niebo. Rzeczywiście, zachodzące słońce nie miało szans przebić się przez ciężkie ciemne chmury, z których na szczęście przez dwoma godzinami przestało padać, i okolice spowiła szaruga. Powoli zaczynało się zmierzchać.

– Dlaczego go nie wyrzuciłeś? – zapytałem, przyglądając się oddalającemu się w stronę jeziora Kurcowi.

– Dlaczego, dlaczego? – Oskar przypalił papierosa. – Dlatego, że kombajniści to gatunek jeszcze bardziej deficytowy niż traktorzyści. Na wymarciu, można powiedzieć. To ciężka robota. Ci, co pracowali w PGR-ze, albo nie mają już siły siadać na kombajn, albo wyjechali, albo zostali gdzieś już poumawiani na robotę. A młodych nie ma. U Starejki, w Grabiąży jest młody chłopak, ale jego można nająć jedynie z kombajnem jego ojca, a poza tym niedoświadczony. Kurce przyjechali tu całą rodziną jakoś tak z pięć lat temu. Młody nauczył się robić na kombajnie gdzieś w centralnej Polsce. Nie pije w robocie. Mam nadzieję, że nie kradnie. Tyle że bezmyślny, jak wielu tutaj. Ale wie, że nie ma nikogo na jego miejsce i mnie szantażuje, widziałeś dzisiaj.

– A nie boisz się, że ci jakiegoś nieszczęścia narobi?

– Oczywiście, że się boję. Mimo to nie mam wyjścia. – Strzelił niedopałkiem, wstał i się przeciągnął. – Nie będziemy się nad tym rozwodzić, zbieraj się, jedziemy do Koszalina.

– Do Koszalina? Po co? – Przestraszyłem się. – Oskar, wczoraj tam byłem, jak miałeś coś do załatwienia, to trzeba było mnie poprosić...

– Wczoraj byłeś prywatnie, a dzisiaj pojedziesz służbowo – przerwał mi.

– Służbowo? O czym ty mówisz?!

– Służbowo jako ambasador. – Wyraźnie bawił się moim

kosztem.

– Co? – Zrobiłem wielkie oczy.

– Ambasador miasta Warszawa. Nie wiesz, jaka to okazja?

– Jakoś nie kojarzę.

– Środa. Dwudziesty dziewiąty. Dalej nic?

– No nic.

– Oj, Roman, Roman. – Oskar uśmiechnął się. – Parę dni na wsi i już zdziczałeś? Dzisiaj Legia gra w Lidze Mistrzów!

– To dzisiaj?

– Dzisiaj, dzisiaj! Zbieraj się, mówię.

– Ale gdzie ty chcesz ten mecz oglądać? Nie boisz się? Tu immunitetu takiego ambasadora nikt nie uszanuje. Jeszcze po łbie oberwiemy.

– Spokojna głowa o nasze łby. Pojedziemy do mojego kuzyna, tam nam raczej nic nie grozi.

– Oskar, ale ja nie mogę.

– A to niby dlaczego?

– Bo umówiłem się z Czyżykiem. Obiecałem, że do niego wpadnę dziś wieczorem.

– Daj spokój, Czyżyk ci nie ucieknie, a skąd wiesz, kiedy Legia następnym razem zagra w Lidze Mistrzów?

Oskar podniósł się i już miał zamiar ruszyć w kierunku swojego mieszkania po kluczyki od volvo, kiedy od strony jeziora doleciał do nas odgłos kroków. Głośnych. Szybkich. Miało się wrażenie, jakby nerwowych. Po chwili w ciemności, pomiędzy wiekowymi drzewami gęsto rosnącymi w pałacowym parku zamajaczył żarzący się, huśtający pomarańczowy punkcik. Zbliżał się wraz z dźwiękiem kroków w naszą stronę. Wyteżyliśmy wzrok i w zapadającym zmroku zobaczyliśmy kontury krępej postaci sadzącej wielkimi susami pomiędzy konarami. Sylwetka rosła, papieros rozświetlał jej okolice ust. Gdyby ktoś o tej porze chciał odwiedzić Oskara, szedłby z góry, od strony wsi, od bramy. Na pewno nie od jeziora. Wstałem,

zrobiłem dwa kroki i stanąłem obok Oskara. Wyczułem w nim – zawsze takim spokojnym – dziwne napięcie. Na próżno próbowaliśmy wzrokiem przesyć zapadające ciemności. Postać, widząc nas na tle zachodniego szarzejącego nieba, zamiast zatrzymać się, przynajmniej zwolnić, przyspieszyła kroku, jakby spodziewała się nas zastać w tym miejscu. Ognik oderwał się od ust i szerokim łukiem poleciał w stronę pałacu, rozpryskując się o zebrany w stertę stos brukowanych kamieni przygotowanych do remontu podjazdu. Czyżby intruz szykował się do skoku, walki? Zacisnąłem pięści. Dwóch warszawskich inteligentów, jakie mieliśmy szanse z tubylcem zaprawionym od młodu w bijatykach na wiejskich zabawach? Tubylcem, dla którego z nudów i dla rozrywki młócka na pięści, szarpanina zakończona zgłanowaniem delikwenta, pojedynki na sztachety, walka bez reguł i wcale nie do pierwszej krwi były od gówniarza chlebem powszednim. Byliśmy stanowczo na straconej pozycji. Mógł nas ochronić jedynie autorytet, jakim w okolicy cieszył się Oskar, ale moc tego glejtu słabła wprost proporcjonalnie do stężenia alkoholu we krwi napastnika.

– Pierdolę! Nie idę tamtędy! Jezu!!! – doleciał do nas charakterystyczny nosowy, ale tym razem bardzo zdenerwowany głos Kurca.

Odetchnęliśmy z Oskarem i patrząc na siebie, wybuchliśmy śmiechem. Nie potrafiliśmy opanować wesołości, kiedy Kurc do nas doskoczył.

– Co was tak śmieszy?! – Nasze rozbawienie kontrastowało z jego zdenerwowaniem. – To wcale nie jest śmieszne!

– Ale co się stało? – zapytał Oskar, zasłaniając usta.

– Nie idę tam więcej. Nie ma głupich, wolę kilometrów nadłożyć, niż tam jeszcze raz wejść. – Kurc pokazał w stronę jeziora.

– Co pana tak wystraszyło?

– A bo ja wiem, co to było? – Kurc trzęsącymi się rękoma

sięgnął po kolejnego papierosa. – Na pewno nic dobrego. Może duchy jakieś?

Oskar położył Kurcowi dłoń na ramieniu.

– Dorosły facet i takie bzdety gada.

Pokiwałem głową.

– Łatwo wam tak mówić – Kurc pocierał kolejnymi zapałkami o draskę, ale ze denerwowania nie mógł wykrzesać ognia; podsunąłem mu pod nos zapalniczkę – bo was tam nie było.

– Tam, czyli gdzie?

– Nad jeziorem. Szłem sobie zwyczajnie, wzrok przyzwyczajając się do ciemności, nawet chyba sobie pogwizdywałem, bo czułem się lekko nieswojo. Aż tu nagle słyszę jakieś dziwne odgłosy. Zwolniłem kroku. Patrzę, po lewej stroma skarpa. Aha, myślę, jestem na wysokości poniemieckiego cmentarza. Wiecie, gdzie? – Potwierdziliśmy kiwnięciem głowami. – I wtedy usłyszałem już wyraźnie... skrzypienie łańcucha. Głośne. Tak jakby ktoś nim potrząsał. Matko!

– Było słyhać od strony jeziora? – zapytałem i oblizałem wyschnięte wargi.

– Właśnie że nie. Bardziej jakby z góry od tych zdewastowanych grobów. Dałem w długą, a to skrzypienie leciało za mną, jakby mnie gonilo.

– Brednie! – Oskar spoważniał. – Pewnie drzewa skrzypiały albo, jak to po deszczu, krople spadały na mokre liście.

– A co ja nie znam odgłosów lasu? Co pan myśli? Ja wiem, że to nie był zwykły dźwięk, taki z natury.

– Akurat! Może zdążył pan już coś sobie chlapnąć po drodze? – Oskar nie dawał się przekonać.

– Ani kropli! – Kurc uderzył się w pierś.

– Duchy to możesz pan zobaczyć o północy, a nie o tej porze – zaczął szydzić Oskar. Nagle stuknął się w czoło. – O rany! Zaraz się spóźnimy, która to jest godzina? – I nie czekając na odpowiedź, pognął po kluczyki od samochodu. – Czekaj pan,

podwieziemy, jedziemy w pańskim kierunku, po drodze pogadamy – rzucił przez ramię, biegnąc.

– Co to jest za okolica? – wyrzekął Kurc, ładując się na tylne siedzenie volvo. Oskar przekręcił kluczyk w stacyjce. – Strach się po zmroku gdzieś ruszyć. Na groblę nie chodź, do ruin w Gąbniku ani się waż, jezioro omijaj. Ja to się tak jak pan, panie Oskar, z tego wszystkiego śmiałem. Z początku, jak tu zamieszkałem. Ale dzisiaj to mi nie było do śmiechu. I to nie jest pierwszy raz, jak mnie coś straszy. A skąd to, czemu? Tam, gdzie my mieszkali pod Liwem, nic nie straszyło, a ruiny też były, i to starego zamku. A tu? Może to te Ukraińce czegoś natargały? Tam od siebie, z tej dziczy. Kto wie? Ja to się na tym nie wyznaję. Ale strach jest.

Reflektory samochodowe rozświetliły wilgotny bruk. Długie światła, drgając razem z autem toczącym się po nierównych kamieniach, prześlizgiwały się po groźnych ceglanych murach starych pruskich zabudowań folwarcznych, by na koniec zalać falą jasności zdezelowaną bramę. W tabliczce ostrzegającej przed niemile widzianym zanurzeniem się w teren prywatny chyba znów przybyła jedna dziura.

*

Miały być kolejne punkty, łatwa wygrana – wprawdzie Ruscy w poprzedniej kolejce pokonali mistrza Anglii, Blackburn, ale kto by się tym przejmował – w końcu w tym sezonie szliśmy przez Ligę Mistrzów na samych zwycięstwach. Nie to co w zeszłym roku, kiedy zebraliśmy bolesne baty od Chorwatów ze Splitu. Byłem wtedy na stadionie z Rajcowskim, gdzie rozczarowanie wynikiem i grą mieszało się z szokiem i rozbawieniem, jakie pozostawił w nas widok ośmiuset chorwackich gołych dup wypiętych przed meczem z sektora gości w naszym kierunku w odpowiedzi na bojowe, przeplatane serbskimi przekleństwami pieśni legijnych kiboli. Opowiadałem teraz Oskarowi – którego na stadionie nie było, a żadna telewizja niestety tego niezapomnianego widoku nie zaprezentowała – o naszym z Rajcowskim podziwieniu dla skuteczności tak banalnego w swej prostocie pomysłu na ucieszenie rywali i perfekcji jego wykonania, próbując nieco osłodzić mu tą historyjką gorzkiej porażki. Tak, ten sezon był inny, wygrane z Göteborgiem – szczególnie efektowna ta u nich – wygrana z Rosenborgiem na inaugurację fazy grupowej, a teraz miała być kolejna: w Moskwie ze Spartakiem. Tymczasem dostaliśmy wciry 1:2, budząc się do gry dopiero w ostatnim kwadransie. No cóż, nie da się wygrywać wszystkiego, myślałem smutny i rozczarowany, ale nie załamany. Inaczej było z Oskarem.

Dla niego, który nie mógł pamiętać Złotej Drużyny z Deyną, Gadochą czy Żmijewskim w składzie, drużyny, która dochodziła do półfinału Pucharu Europy, a jej piłkarze byli gwiazdami światowego formatu, tegoroczne sukcesy ukochanego zespołu były największymi, jakie widział na żywo, dlatego dzisiejsza porażka musiała go boleć szczególnie i dlatego trudno było mu się z nią pogodzić.

– Sprzedane! Drukarz! – krzyczał, kiedy sędzia podyktował ewidentnie niesłuszną jedenastkę za faul sprzed linii pola karnego. Skakał w fotelu i pokazywał na ustawiony na wąskiej

komodzie opasły telewizor, szukając zrozumienia i potwierdzenia w twarzach swojego kuzyna i jego młodej żony, zupełnie niezaangażowanych w mecz. Śledząc wydarzenia na boisku, widząc miotającego się i wrzeszczącego Oskara, zerkałem jednocześnie na gospodarzy i zastanawiałem się, czy mogą ją znać? On niewysoki, krótko ostrzyżony szatyn, z tatuażem na wewnętrznej stronie nadgarstka, o przenikliwym spojrzeniu, lekko zacinający się i wyciągający samogłoski, oszczędny w gestykulacji, był w wieku Oskara, może nieznacznie starszy. Za to ona, piękna, wysoka – zdecydowanie od niego wyższa – długowłosa i długonoga blondynka, o rozkwitającej, bujnej urodzie, z głębokim głosem, wypowiadającym powolnie, ale stanowczo równie głębokie myśli doprawione pokazną dawką inteligentnego humoru, była wyraźnie młodsza. Mogły być rówieśniczkami. Koszalin to niewielkie miasto. Istniała duża szansa na to, że na którymś etapie edukacji, na jakimś podwórku, imprezie, u wspólnych znajomych trafiły na siebie, poznały się, może nawet zaprzyjaźniły. A może znali się ich rodzice? Podczas kolacji, którą gospodyni zaserwowała w trakcie piętnastominutowej przerwy w meczu, walczyłem z palącą w środku pokusą zapytania o pracującą w prokuraturze Magdę. A nawet gdyby się znały, przekonywałem sam siebie, łykając faszerowane jajka, które podała nam blondynka, to cóż z tego, co by to zmieniło? Przegrałem swoją szansę wczoraj, teraz wyszedłbym na durnia, dopytując tych młodych pogodnych ludzi o jakąś małolatę.

– Sędzia przewalił! – wrzasnął nagle milczący dotąd Oskar, puścił jedną ręką kierownicę i zredukował bieg. Silnik zawył na wysokich obrotach. Nie zdejmując nogi z gazu, mimo że jechaliśmy przez teren zabudowany, gwałtownie wszedł w ostry zakręt. Miał, jak to się mówi, ciężką nogę, jeździł szybko, wręcz brawurowo, choć bardzo pewnie, nie licząc się z innymi użytkownikami drogi i nie oszczędzając silnika swojego

niemłodego już volvo; nieraz w czasie naszej krótkiej jazdy strzałka obrotomierza macała zabarwioną ostrzegawczo na czerwono końcówkę skali. Auto pędziło z zawrotną prędkością, z jaką, nie potrafiłem określić. Prędkościomierz za każdym razem, dobijając do siedemdziesiątki piątki (licznik był w milach), pod którą zapisana była drobnymi cyframi inna wartość: sto dwadzieścia (tym razem w kilometrach), zatrzymywał się i mimo że samochód rozpędzał się dalej, strzałka stała w miejscu. Jeszcze w czasie drogi w poprzednią stronę Oskar wytłumaczył mi, że ten model auta, zaprojektowany na rynek kanadyjski, poza tym, że w trakcie jazdy nie dało się w nim zgasić świateł i kilkoma innymi drobiazgami odróżniającymi go od wersji europejskiej, miał również wbudowany ogranicznik licznika, który jakoby powodował, że kierowca instynktownie zdejmuje nogę z gazu. Ale nie ze mną takie numery, śmiał się Oskar, dociskając prawy pedał i wskazując na tarczę obrotomierza. Po tym się orientuję, ile jadę. Po obrotach. Kiedyś policja mnie capnęła. Zmierzyli na radarze sto pięćdziesiąt dwa. A ja zapamiętałem, że to było trzy tysiące osiemset obrotów. Teraz mniej więcej potrafię obliczyć sobie prędkość.

– Przewalił, nie przewalił – powiedziałem spokojnie – i tak byli słabsi.

– Co słabsi? – pieklił się Oskar. – Przy takim sędzim nie mogli rozwinąć skrzydeł. Każdy by się załamał. Widziałeś, jak grali, kiedy już się otrząsnęli? Ostatnie piętnaście minut? Jak z nut. Nafutrowali go kawiozem, futerko z szynszyli obstalowali, panienki do pokoju podstawili, to drukował.

Wjechaliśmy do Trójczyna. Oskar, zajęty tłumaczeniem specyfiki korupcji na Wschodzie, nawet nie zawracał sobie głowy zmianą świateł z długich na mijania i redukcją prędkości. Minęliśmy szachulcowy kościół z wysoką wieżą dzwonną, sklep i w ostatniej chwili, tuż przed skrętem w prawo, Oskar wcisnął

hamulec. Auto ostro zwolniło, po czym skręciło w boczną, nieoświetloną drogę prowadzącą do Wrześniowa. Kierowca wrzucił dwójkę i już zaczynał rozpędzać samochód, kiedy przed maską zamajaczyła nam świecąca na czerwono latarka, szybko poruszająca się w górę i w dół. Policja.

– A ci tu czego? – zdziwił się Oskar, stając dwoma kołami na trawie i odkręcając szybę.

– Dobry wieczór, panie kierowco, dokumenty poproszę. – Policjant świecił latarką do wnętrza samochodu.

Oskar nie zareagował, przez chwilę przyglądał się uważnie mundurowemu, wreszcie spytał opryskliwie:

– O co chodzi?!

– Dlaczego w terenie zabudowanym jedzie pan z włączonymi światłami drogowymi?

– Bo jest ciemno jak w dupie.

– Przepisy nakazują...

– Proszę pana – przerwał arogancko Oskar – z powodu waszych durnych przepisów mam rozjechać kogoś idącego poboczem? Mowy nie ma. Rozumiem, kiedy są latarnie...

– Panie kierowco, proszę nie dyskutować, tylko okazać dokumenty – zaczynał niecierpliwić się policjant.

– Dobrze, to ja zapytam. Kto dowodzi tym patrolem?

– Słucham? – Policjant był wyraźnie zdezorientowany pytaniem.

– Pytam chyba jasno: kto siedzi w radiowozie? – Oskar, nie zmieniając ostrego tonu, wskazał na ukryty w ciemności pomiędzy drzewami samochód policyjny.

– To nie pańska sprawa. – Pan władza odzyskiwał animusz.

– Tym razem to ja radzę panu, drogi panie, nie dyskutować, tylko odpowiedzieć na pytanie.

– Sierżant Tadeusz Lis. Ale...

– A, Lisek! – ucieszył się Oskar. – Zaczekaj, zaraz wrócę. – Rzucił w moim kierunku, wysiadł z samochodu i ignorując

zaskoczonego policjanta, poszedł w stronę radiowozu. Wrócił po kilku minutach w doskonałym nastroju. Siadając na fotelu, oznajmił: – Załatwione. Cwaniaczki – śmiał się, kręcąc głową – ustawili się w tej ciemnicy. Spróbuj tu jechać na krótkich, zaraz kogoś skosisz. Szczególnie że większość pijana lizie prawym poboczem. Oczywiście bez odblasków. Każdy tu na długich jedzie. A ci się zamaskowali i kasują myto.

– Zapłaciłeś?

– Skąd! Lisu to mój kolega. Był bramkarzem w naszej drużynie. Teraz przeniósł się do Bobolic i pracuje w policji. Tak naprawdę to nie powinno go tu być, bo Trójczyn jest już poza ich rewirem, podlega pod Miasteczko, ale kto by się tym przejmował. Ja tu znam większość policjantów, jestem u siebie, więc mi nic nie grozi. Kolegi nie będą łupić, nie? Oni zasadzają się na obcych.

Prowadził powoli, jak na niego, to nawet bardzo wolno. Wjechaliśmy pomiędzy posadzone na poboczu stare klony, których konary, splatając się nad drogą, tworzyły gęsty tunel. Pomiędzy drzewami co jakiś czas błyskały w silnych światłach zielone, wąskie ślipia. Patrzyłem zauroczony.

– Jak w *Hobbicie*. – Pokazałem przed siebie. Oskar milczał. – No jak u Tolkienu, nie czytałeś?

– Słuchaj – zwrócił się do mnie, nie zważając na moje słowa – czy ty wiesz, o co chodzi z tym jeziorem? Czego oni się tak boją?

Myślałem szybko. Czy mu powiedzieć i co? Skoro nikt we wsi mu nie powiedział, dlaczego miałbym to zrobić akurat ja. Przecież ja się jeziora nie bałem. Powiem mu wszystko, postanowiłem w duchu, ale jeszcze nie teraz. Najpierw pogadam z Czyżykiem. Może jeszcze z kimś.

– A bo ja wiem? Za moich czasów nikt się nie bał. Przynajmniej nie jeziora. Chodzili się kąpać, łowić ryby, normalnie, jak wszędzie.

– Właśnie! Może jakiś dzieciak utonął? Ale z drugiej strony wszędzie toną i nie ma z tego takiego cyrku. Dziwni ludzie. –

Oskar wcisnął pedał gazu.

*

Miałeś pan przyjść wczoraj. Czekał na pana. Trzeźwy jak rzadko. Pan Roman przyjdzie, mówił, pogadamy sobie, o starych dobrych czasach. Cieszył się strasznie. On pana jakoś tak bardzo szanuje. Zawsze powtarzał, że pan to jesteś inny niż ta cała banda złodziei w biurze. Czekał, czekał i się nie doczekał. Rozczarowałeś go pan. Tylko czy wy byście sobie pogadali, to ja nie wiem. On ostatnio w ogóle jakiś taki małomówny się zrobił. Nie to co kiedyś. Gęba mu się nie zamykała. Ciągłe kłapał dziobem, aż czasem mnie to złościło. No mówię panu, nieraz z nerw wychodziłam, jak słyszałam to jego gładzenie. Ale ludzie to lubili, jak on tak pieprzył. A teraz. Ledwo co wypije, zara mu się język zaczyna plątać. Bełkocze toto i tylko patrzy, jak tu w kimono uderzyć. No, patrzaj pan na niego. Nie powiem, jak pan przyszłeś, to był już trochę wcięty. Nie spodziewał się dzisiaj. A potem co mu wystarczyło? Szklanka wina na powitanie i już ululany śpi jak dziecko.

Tak, to już nie ten Maciek. Nie ten Czyżyk, któregoś pan znał. Tamten odpłynął razem z wypitą wódką. Żał tylko po nim pozostał. I ta czereda dzieciarni, którą narobił. Ile? A kto by tam zliczył? No, żartuję przecie. Własnych dzieciów bym nie znała? Siódemka się uchowała. Najstarszy, Rysiek, to na wózku jeździ. Robił u prywaciarza w Koszalinie. Przy nagrobkach. O tak, właśnie, u kamieniarza. Ciągłe na klęczkach, na tych zimnych kamieniach. I coś mu się w kolana wdało. Robota jak to robota, bez rejestracji, boby zasiłek stracił. Potem, jak już zasiłek się skończył, to ten prywaciarz dalej nie chciał mu papierka dać. Więc jak się pochorował, to lekarz się nie należał. Tera te nóżyny ma coraz cieńsze. Wozi go na wózku ta od Kijowskich, Justynka.

A z kolei Mareczek to już ma trójkę... nie, czekaj pan, czwórkę przecie... własnych. Z taką młodą siksą. Nawet szkoły nie skończyła, jak pierwsze mu urodziła. Żyją na blokach, opieka mieszkanie dała. Tyle że bez ślubu. Na kocie łape. Bida u nich nielicha. A tu co rok to prorok. Dziewucha to nawet z bogatego domu, ojciec kmiot z Włochów – wiesz pan, tam zaraz obok Trójczyna – ale ją z domu pogonili, kiedy tylko brzuch się zaokrąglił. Mareczek dobry chłopak, to ją przygarnął i tak sobie żyją tera w bidzie; on co jaką robotę znajdzie, a to u Oskara przy żniwach, a to w lesie, ona z dziećmi w domu.

Córki – trzy one – wszystkie w Miasteczku siedzą. Dobrze im się żyje, jakaś praca jest, mieszkania, dwie już mężate, tylko trzecia poszukująca. Trochę jej trudniej, bo zyzowata na jedno oko, ale tyż znajdzie amatora. A bo to nie? Okulary noś, mówię, to nie będzie tak widać. Ale nie chce. Uparta.

Najmłodszy z nami jeszcze mieszka. Spokojny i nawet uczy się dobrze. Może będzie z niego pociecha, bo z tym przed nim, Arturem, to skaranie boskie. Mówię panu, cała wioska ma z nim krzyż pański. Stalon na niego wołają. To niby przez żart. No wie pan, że jak ten aktor, taki silny, a tymczasem on chudzina straszna, mówię panu, prawdziwy Oświęcim. A już szczególnie teraz, kiedy nic nie je. Dom dostał, tu zaraz przy przystanku, po babci. To znaczy po mojej matce. Nie wiem, czego ona jego tak sobie upatrzyła, że taki mikry? Żal jej było czy jak? To teraz pewnie babina w grobie się przewraca. Zapisala mu, łobuzowi, chałupę, którą wykupiła z renty. Jej była, to mogła zrobić, co chciała, a chciała właśnie tak, żeby on w niej mieszkał. To mieszka, a z nim cała banda pijusów. Chlają od rana do wieczora, dzień w dzień. Przychodzą wszystkie, i stare, i młode. Dziewuchy jeszcze ściągają. Smród w środku. Nikt tam nie sprząta. Apokalipsa. A jak się napiją i mają siłę, to chodzą do wioski rozrabiać. Już nawet i milicja przyjeżdżała, tylko co ona może? Popatrzyli, palcem pogrozili, podobno nawet któremuś po buzi

nakładli i tyle. Pojechali, a oni dalej swoje. Ostatnio to najczęściej ten kmiot z kolonii, Malinowski, do niego zagląda. Mówią, że dziewczki obraca, a mnie to się zdaje, tylko nie mów pan nikomu, chodź pan, to na ucho powiem, bo głośno nie wypada... No więc mnie to się zdaje, że on tam dla młodych chłopaków przyjeżdża. No zobacz pan, żony nigdy nie miał, tę jedną, co z nią żył na kocie łapie, to zara po paru miesiącach pogonił. Kasę ma. Stawia im, tym gówniarzom, a potem jak spije, to nie wiadomo co robi. Czasem wiezie ich gdzieś pijany tym swoim autem. Na moje oko pederasta i tyle. No ciota. Płaci im i rucha. Powiedz pan, że nie. A Stalon... o, widzisz pan, sama go tak nazywam... zmarnuje się do reszty, to pewne. Już nawet nic nie je, tylko chła te jabole. Jeno patrzeć, jak któryś z jego koleżków albo i on sam zaśnie z petem w gębie i spalą się do szcztetu. Czy mi żal? Wiadomo, zawsze to dzieciak. Ale co ja mogę? Jego życie, jego wybór. Ja mam swoje. Teraz to taki czas, że każdy musi sam o siebie zadbać. Chcesz iść na zatracenie, proszę bardzo, twoja sprawa. Zdychaj z głodu, nikt ręki nie wyciągnie. Nie to co kiedyś. Za PGR-u nikt by się na coś takiego nie zgodził, wzięliby za wsiarz i zagonili do roboty. Patrz pan, przecie nawet tego pijusa, darmozjada Antka jakoś zmusili do pracy, z oporami bo z oporami, ale udało im się. Dziś człowiek nikogo nie interesuje. Temu czy tamtemu kuroniówka przysługuje, ale tylko przez rok, a potem choć płacz, choć zdechnij, niczego nikt nie da. Chyba że las.

Ale nawet i on nie zawsze. Raz coś znajdziesz i skup weźmie, a znowuż innym razem nie i co wtedy? Widziałeś pan wczoraj, czego Maciek nazbierał? Same podgrzybki i to przeważnie zające! Kto to kupi? Wiadomo, nikt. Sama musiałam zrobić. Że co? Panie, a kogo to stać tutaj na śmietanę? Zwyczajnie z cebulą jedynie uduszone. Proszę, częstuj się pan. Czym chata bogata, he, he, he. Takie to bogactwo, że tylko się rozkoszować. Cebulka z warzywniaka, mamy tu taki niewielki za bunkrem. To znaczy za domem, pamięta pan, że ten nasz czterorodzinny bunkrem

nazywali. No właśnie, więc tu zaraz mamy kilka grządek, to się jarzynki sieje. Większość, szczególnie te z bloków, to porobiły sobie warzywniaki za sklepem, tam jak to bajorko, już prawie za wioską. Podobno to ziemia Oskara, ale kto tam o tym może wiedzieć. Oskar, jak się wkurwi, jak mu ktoś w szkodę wejdzie albo co wyniesie czy poniszczy, to zara wrzeszczy, że każe zaorać te ogródki. Za karę. Tylko jakoś tego nie robi. Różnie mówią, jedni, że dlatego, że to tak naprawdę nie jego ziemia, inni, że się boi, boby go ludzie po czymś takim spalili, a jeszcze inni znowuż gadają, że on po prostu jest dobry człowiek i tylko tak się wścieka, ale nikomu krzywdy nie robi. Mnie to się zda, że to to ostatnie. On taki ludzki człowiek i dobrze mu z oczu patrzy. I mądry, chyba niżynier czy jakoś tak. Nie powiem, stara się chłopina, pomaga, komu się tylko da, ale, prosta sprawa, całe wioski nie uratuje. Choćby nie wiem ile miał pieniędzy, PGR-u nam nie wróci.

Trudno, trzeba się z tym pogodzić, takiego życia, jak tu mieliśmy, już nigdy nie będzie. Poniszczyli PGR-y, komuś na tym zależało, a ludziom jedynie zdechnąć pozostało. Czasem tylko tak człowieka najdzie i zaczyna wspominać, tęsknić. Przypominają się różne rzeczy. A wiesz pan, jakie ja mam najmiłsze wspomnienie? Nie zgadniesz pan. Jak kiedyś przyjechało wesołe miasteczko. Nie, no gdzie tutaj, na tę wiochę? Do Miasteczka. Ile to było radochy. Pojechaliśmy... co? A nie, nie z całym PGR-em, tylko prywatnie, PKS-em. Autokarem, prawie całą załogą, to nas innym razem zabrali do cyrku. Nie powiem, wspaniałe to było, te zwierzęta i atleci, i artystki w tych świecących kostiumach, wszystko jak z bajki, ale ja wolałam wesołe miasteczko, bo w cyrku to się tylko siedzi i podziwia te wszystkie cuda, a w wesołym miasteczku można też coś samemu porobić, jak to teraz w telewizji mówią, aktywnie. Pojechaliśmy z dziećmiakami, po robocie. Ja przecież przy cielakach robiłam, nie pamiętasz pan? No przecież, że na cielętnikach, więc jak miałam na

pierwszą zmianę, to wcześniej kończyłam. Rozstawili się na takim placu przy jeziorze. To było jakieś mieszane miasteczko, nasze i czeskie. Jak oni śmiesznie szwargotali ci Czesi. Niby można było zrozumieć, ale ichni język taki więcej zabawny od naszego. Słowa i w ogóle... Wchodziło się tam przez taką podświetloną bramę, migoczącą na kolorowo. A w środku było wszystko. Same wspaniałości: karuzel, a nawet dwa, dla maluchów i dla starszych, gabinet z takimi fikuśnymi poskręcanyimi lustrami i beczka śmiechu. Z niej to aż nie chciałam wyjść. Kręciłam się i kręciłam, musiał mnie Maciek za spódnicę wyciągać. Wszystkiego spróbowaliśmy, nawet takich zderzających się samochodzików obitych gumą. Trochę się ich z początku bojałam, bo one są podłączone do prądu, jeszcze by mnie popieściło – tak myślałam. Ale potem dałam się przekonać i nie żałowałam. Ile to było frajdy, ile śmiechu. Maciek prowadził, a ja piszczałam jak dziewczuszka. Tylko w jedno miejsce Maciek nie chciał za cholere iść, na strzelnicę. Była kiedyś taka historia... naprawdę słyszałeś pan? Tak? No więc, Maciek mówił, że od tamtego wypadku z Ruskiem to on ma dość broni i ani mu się śni strzelać, karabinu, nawet takiego dziecięcego, na śrut, nie weźmie do ręki. Za nic nie dał się namówić, szkoda, bo podobno kiedyś miał oko, a tam można było wystrzelać tyle zabawek dla maluchów, takich jakich ani w domu, ani w naszym przedszkolu nie miały. Prosiłam ja, prosiły dzieci, a on nie i nie. Nawet trochę się zdenerwował, więc odpuściliśmy, żal by było zepsuć sobie taki cudny dzień. Wracaliśmy do domu tacy szczęśliwi. W ogóle to ludzie tutaj kiedyś więcej się uśmiechali, nie to co teraz, wszystko takie skwaszone łązi. Z drugiej strony czemu się dziwić, czasy były wtedy sielskie. Dobrze, że chociaż wspomnienia pozostały, ich przynajmniej nikt nie może nam zabrać. Zabrali pracę, stołówki, świetlicę, zabrali godne życie, ale wspomnień zabrać nie mogą, więc mogą wypić i powspominać. A co? Kto mi zabroni?

No chodź, napij się pan. Ja też się napiję. Stare kości trza oliwić, bo pordzewieją. Pan też już nie taki młodziak jak kiedyś. Ile pan tu mieszkał? Rok? No tak, półtorej... Pamiętam, jak pan przyjechał, było lato, a wyjechał zaraz po tym tam na jeziorze. Byłeś pan taki młodziutki, śliczniutki, z samej Warszawy. Dziewuchy to za panem piszczwały. Każda. Niejedna by się z panem puściła. A co, dobrze mówię. One wtedy się gziły na potęgę, najchętniej z wojakami, co to przyjeżdżali w akcji żniwnej pomagać. W stodole na sianie, nad jeziorem po krzakach, gdzie popadnie. Ale myśli pan, że tera to inaczej? To samo. Pieprzą się, że aż się po polu niesie. Potem łązi jedna z drugą z brzuchem. Dzieci rodzą dzieci. Ręce opadają, ile tego. Ta mała od Kwietniaków jedna, od Rosolskich druga, od Możejków kolejna, długo tak można wymieniać... Co? A daj pan spokój, co rodzice? Co oni mogą? Każden zajęty, żeby jakoś przetrwać, coś do gara skombinować, to i na dzieciaki nie patrzą, a te dokazują, ile wlezie. Jeszcze jak się chłopak przyzna, to przynajmniej próbuje się taki gówniarz dziewczyną i dzieckiem zaopiekować, sama z bachorem nie zostaje, ale bywa i tak, że jedna z drugą nie wie, kóten jest ojcem, bo dupy dawały każdemu, więc i żaden małolat się nie kwapi, żeby taką przygarnąć. Nikt nie chce cudzego karmić. Mało to ma się własnych problemów?

Za to wtedy pan mogłeś poużywać, tylko chyba nie chciałeś, co? Nie wnikam, pańska sprawa. Nie powiem, nawet mnie się pan podobałeś. Ale co tam, ja już byłam wtedy w latach, grubo po trzydziestce, mężata, dzieciata. Nawet byś pan uwagi nie zwrócił. A wcześniej, ho, ho... nie oparłbyś się pan. Mogłam mieć każdego, którego tylko bym sobie zachciała. Na zabawach kolejka się ustawiała. I bijali się o mnie. Mówię panu, biegało za mną pół wioski, a i synowie kmiotów w konkury przyłazili. Każdego goniłam. To zwieszali łby i odchodzili, ale latał też za mną taki jeden Poznaniak, brat tego naszego Gruszczyńskiego, co to

przyjechał z miasta w odwiedzin, w wakacje. Ten był uparty, nie odpuszczał. Obiecywał, prosił, błagał. Do miasta, do siebie chciał mnie ciągnąć. Ale mnie w PGR-ze było dobrze, nie było mi spieszno nigdzie wyjeżdżać. Na co? Tu miałam wszystko, czego potrzebowałam. Pracę, rodzinę, mieszkanie, jedzenie, wesołe życie, wszystko. Jak mu to powiedziałam, to zaczął mówić, że rzuci miasto i ze mną tu zostanie. Gotów był dla mnie zrobić każdą rzecz. Tylko gdzie mu tam było do Czyżyka. Bo ja sobie jego upatrzyłam. Chociaż przecie Poznaniaki to tu u nas też była firma. Nie ma to tamto. Ja jednak wolałam Maćka. Starszy był ode mnie o kilka lat, jednak mi to nie przeszkadzało. Matka odradzała, mówiła, że to lekkoduch i za często do kieliszka zagląda. A kto tu nie zagląda? Sam pan powiedz. Nie dałam się odwieść, ale i matka nie dawała za wygraną. Namawiała na tego Poznaniaka. Przekonywała, że pół wsi będę miała za sobą, poważanie. Mnie na szczęście tylko Czyżyk był w głowie i jak postanowiłam, tak zrobiłam. Zaciągnęłam go do ołtarza. Ładnie bym wyglądała z tymi Poznaniakami, gdybym matki posłuchała. Nie ma co, Bóg mnie strzegł.

Z Czyżykiem życie jakie było, takie było, ale nie miałam źle. Ręki na mnie nie podnosił, nawet jak był wypity. Zawsze szanował. Dzieci my się dochowali. A i teraz, mimo że ciężko, to jednak renta co miesiąc wpływa dla niego. Co przepije, to przepije, ale zawsze coś udaje mi się wyszarpnąć i daje się przeżyć. Czasem córki pomogą, parę groszy dadzą, przywiozą jakiś ciuch czy buty. Nie ma co narzekać.

A z Poznaniakami nie dość, że nie wiem, jak by mnie traktował ten cały miastowy, to jeszcze sam pan widziałeś, co się z nimi stało. Co? Aha, owszem, mieszka tu wciąż jeszcze jeden. Ten Wojtuś, oferma. Porozmawiać, z nim? Nie wydaje mi się, żeby panu się udało. On od tamtego czasu siedzi zamknięty, słowem się nie odezwie, zdziwaczał do reszty. Nikogo nie przyjmuje, rzadko co kogo wpuści do domu. Ten mój konkurent z miasta,

jego wuj, jak przyjechał na pogrzeb, to chciał go zabrać do siebie, ale Wojtek się nie zgodził, a że był już pełnoletni, to nikt nie mógł mu nic nakazać. Został i jak mówiłam, siedzi do dziś. Robił przy koniach, razem z Kulewiczem, do nikogo nic nie mówił przez całe lata, czasem tylko coś mamrotał do siebie i tak spode łba się patrzył, jakby wszystkich oskarżał albo – bo ja wiem – szukał winnego. Teraz jak już roboty nie ma, to siedzi w chałupie całymi dniami i nosa nie wychyla, skąd jedzenie bierze, z czego żyje, nikt nic nie wie. Listonosza wpuszcza do środka. Też nie wiadomo, co mu przynosi. Ludzie nawet pytali, ale ten odburknął jedynie, że tajemnica zawodowa i nawet pary z gęby nie puścił. Tak mówiąc między nami, to ludzie o tym Wojtusiu zapomnieli, nikt sobie nim głowy nie zawraca, bo i po co?

A pan co się tak nim interesujesz? Że Poznaniakami bardziej? Panie Roman, czym się tu interesować, zobacz pan, co z nich pozostało? Ten jeden Wojtuś. Po Lesiu wszelki ślad zaginął, jak wyszedł z cmentarza, tak nikt później już go nigdzie nie widział. Ci, co w mieście, też się nie pojawiają, a reszta... wiadomo przecież. Taka rodzina. Tacy byli... potężni. Bo ich to specjalnie nikt nie lubił, ale bali się ich, i dlatego mieli poważanie. Wiesz pan, jak to się mówi: jak nie będą się ciebie bali, to nie będą cię szanować. I tacy właśnie byli Gruszczyńscy. Szczególnie stary. Ten to miał mir we wsi. Nawet ci, co byli za Ukraińcami, to się go obawiali, bo on był zdolny do wszystkiego, a i synkom, twardą ręką chowanym, lepiej było w drogę nie włązić.

*

Piotr Gruszczyński nienawidził dokonywać wyborów, nie znosił tych chwil, kiedy życie stawiało go na rozstaju i oczekiwało, że podejmie decyzję, w którą stronę podąży, w prawo czy w lewo, wolał jasne, oczywiste sytuacje, prostą, niknącą gdzieś w oddali

za horyzontem drogę życia, którą można było śmiało wędrować, nie oglądając się za siebie, był nawet przygotowany na to, by pokonywać na niej ostre zakręty czy forsować przeszkody, gdyby los zdecydował się je przed nim postawić, ale wybierać nie cierpiał. Lubił mieć klarownie wytyczone cele i skrupulatnie je realizować, zadania, przy których nie było miejsca na wahania i wątpliwości. W takich chwilach działał sprawnie i konsekwentnie, a nawet potrafił pociągnąć za sobą innych, stanąć na ich czele, zarazić entuzjazmem, a czasem zmusić do uległości. Ludzie, szczególnie ci, którym imponowała siła, i to nie tylko fizyczna, ale również siła prostolinijnego, zdecydowanego charakteru, lgnęli do niego. Nie znaczy to, że Piotr Gruszczyński nie miał czasem refleksji i wątpliwości, wolał jednak, kiedy to życie za niego je rozwiewało i podejmowało decyzje, jemu pozostawiając – godząc się z nimi – śmiało kroczyć do przodu, zapewniając dobrobyt sobie i swojej rodzinie.

Doświadczenie uczyło Gruszczyńskiego, że każdy wybór, nawet czasem ten z pozoru najoczywistszy, w przyszłości może okazać się koszmarnym błędem, za który trzeba będzie zapłacić wysoką cenę. Prosta prawda mówiąca, że los bywa przewrotny, zbyt wiele razy objawiała mu się w całym swoim okrucieństwie, dlatego teraz ukryty za ceglana ścianą starej kuźni, zamiast cieszyć się z nadarzającej się okazji do rozprawienia się z Ukraińcem, którą zesłała mu opatrność, zgrzytał ze złości zębami, zmuszony po raz kolejny do podjęcia decyzji, która być może zaważy na jego życiu, a jeśli nie na jego, to z całą pewnością na życiu Pudły. Obserwując okolicę, którą w ułamku sekundy spowiała cisza, zastanawiał się, jaką pułapkę tym razem zastawił na niego los. Kalkulował, choć wiedział, że proste obliczanie zysków i strat w dłuższej perspektywie może okazać się złudne.

Jak wtedy, gdy do drzwi w jego chałupie w podpoznańskiej wsi zastukał listonosz i wręczył list z urzędowym nadrukiem z gapą

w rogu koperty, a on po rozerwaniu jej brzegu wysupłał ze środka drżącymi palcami ankietę. Półtora roku wcześniej z podobnej koperty – tyle że zamiast gapy nadrukowanego miała orła – wyciągnął kartę mobilizacyjną. Wówczas wszystko było proste, trzeba było iść bić się za ojczyznę, dźgnąć z całych sił bagnietem brudną łapę najeźdźcy, być silnym, zwartym, gotowym i w tydzień przepędzić barbarzyńskie hordy z powrotem, tam, skąd przylazły. Piotr za stary był, by wierzyć we wszystko, co zapowiadała sanacyjna propaganda, ale wiary w ostateczne zwycięstwo nie tracił. Pamiętał doskonale, jak jako niespełna dwunastolatek obserwował starszych kolegów, sąsiadów, ojców, wujków i braci jego rówieśników dających tęgiego łupnia Niemcom, goniących ich z jego rodzinnych stron, a potem, jak wiwatował trzeciego maja na Ławicy, kiedy defilowały oddziały Armii Wielkopolskiej. Z tych czasów wyniósł przekonanie, że Niemców da się pobić i przekonanie to żywił jeszcze wtedy, gdy z kartą mobilizacyjną w kieszeni ruszył w kierunku punktu zbornego. Kiedy jednak zetknął się z chaosem na szosach, trupami zalegającymi przydrożne rowy, rozbitymi i porzuconymi wozami, gdy zobaczył nurkujące sztukasy, gdy poczuł, jak uderza stalowa pięść blitzkriegu, jego wiara najpierw solidnie się zachwiała, a następnie runęła z hukiem. Do swojej jednostki nigdy nie dotarł.

Wrócił do domu i czekał. A potem ci sami Niemcy, których miał bić, dali mu do wypełnienia ankietę, a kiedy to zrobił, dokładnie ją przeanalizowali, a następnie, nie pytając Piotra o zdanie, wraz z rodziną w urzędzie starosty wpisali go do czwartej grupy DVL – od tej chwili stał się Rückgedeutsche. Niewiele poprawiło to sytuację rodziny Gruszczyńskich: mieli wprawdzie realne szanse na uniknięcie deportacji, wolno im było dalej mieszkać w swoich rodzinnych stronach, jednak musieli się liczyć z tym, że w każdej chwili mogą zostać pozbawieni majątku, wyrzuceni z domu, jeśli tylko jakimś

obywatelowi Rzeszy by się on spodobał, że nie przysługują im żadne prawa i przywileje, jakimi cieszyli się ci, w których żyłach płynęła czysta aryjska krew. I tak było przez kilka miesięcy, aż do dnia, kiedy zupełnie niespodziewanie został wezwany do urzędu starosty, gdzie podsunęto mu pod nos do podpisu odwołanie od decyzji urzędnika starostwa powiatowego; Piotr miał się ubiegać o przypisanie do trzeciej kategorii DVL, a w następstwie o warunkowe obywatelstwo III Rzeszy. Niemiecki urzędnik postawił sprawę jasno, dawał Gruszczyńskiemu wybór: czy chce zostać jednym z nich, czy może ma ochotę, mówiąc „nie”, zhańbić rasę i powędrować wraz z rodziną do obozu koncentracyjnego, tam gdzie ich miejsce? Oferta była hojna: jeden podpis i razem z bliskimi zostawali Eingedeutsche, przystępowali do wspólnoty nazywającej siebie rasą panów i zamierzającej rządzić światem. Głowa ciągnęła rękę do podpisu, serce się przeciwstawiało. Piotr ważył argumenty. Od kilkunastu miesięcy obserwował, co działo się dookoła: widział wypędzanych z domów ludzi, na miejsce których przyjeżdżali w ramach akcji Heim ins Reich mówiący z dziwnym akcentem Niemcy ze wschodu, widział, jak zabrano dwóch z jego sąsiadów, zwykłych, w nic niezamieszanych rolników, i załadowano na ciężarówkę, na której już siedział hrabia P., wielki pan z pobliskiego majątku, a następnie solidarnie, nie bacząc na różnice klasowe, stojących razem ramię w ramię z kilkunastoma innymi rozstrzelano na rynku w niedalekim miasteczku, widział zamykane kościoły, szkoły, słyszał doniesienia z frontu, które nie pozostawiały wątpliwości, że rozpędzonej niemieckiej maszyny wojennej nic nie zatrzyma, czuł w brzuchu, a przede wszystkim w oczach głodnych dzieci, uszczuplane z miesiąca na miesiąc racje żywnościowe, które, jak go informowano, jako elementowi rasowo obcemu, w ogóle nie powinny mu przysługiwać. To wszystko wraz z jednym podpisem mogło go już nie dotyczyć. Jakie miał argumenty przeciw? Nienawiść do Niemców, którą

wyniósł z domu? Niewiele teraz znaczyła. Obawa, że wraz z nabytymi prawami jako na nowym obywatelu Rzeszy spoczna na nim również obowiązki wobec nowej ojczyzny, że gdyby w jakiś niewytłumaczalny sposób rozpychające się po Europie niemieckie zagony pancerne zostały zatrzymane, że gdyby III Rzesza musiała podwoić wysiłki wojenne, również on mógłby zostać powołany pod broń? Ta perspektywa wydała mu się jednak mało prawdopodobna. Co zatem go powstrzymywało? Wszystko, co przemawiało przeciw podpisaniu odwołania podsunętego pod nos przez urzędnika, wydawało się piszczeć cienkim nieprzekonującym głosikiem, a mimo to Piotr się wahał. I kiedy już miał powiedzieć, ryzykując wiele, ale bohaterstwo biorąc to ryzyko na barki, że zastanowi się, porozmawia w domu z żoną i wróci następnego dnia dać odpowiedź, jeden z siedzących naprzeciwko urzędników nachylił się do drugiego i pokazując na coś w aktach, zaczął szeptać tamtemu do ucha.

– Tak, masz rację, śliczne blond aniołki – rzucił półgłosem w stronę swojego kolegi siedzący nad aktami Niemiec – trzeba by je jeszcze pokazać doktorowi Landau z Gesundheitsamt, ale już na pierwszy rzut oka wyglądają na stuprocentowych aryjczyków, wartościowy materiał rasowy.

Piotr stężał. Z przerażeniem spoglądał na urzędników. Słyszał już wcześniej niewiarygodne plotki o odbieraniu dzieci, które przejawiały odpowiednie cechy rasowe, polskim rodzicom, nawet tym z czwartą kategorią DVL, i wywożeniu ich w głąb Rzeszy, gdzie miały być umieszczane w niemieckich rodzinach w celu zgermanizowania, ale dotąd sądził, że są to jedynie legendy, opowieści będące kolejnym elementem polityki wzbudzania lęku, zastraszania tubylczej ludności Wielkopolski. Tymczasem słowa siedzącego naprzeciw drobnego człowieka z wpiętą w klapę odznaką NSDAP, rzucone mimochodem nazwisko lekarza, zdawały się potwierdzać te przerażające podawane z ust do ust opowieści. Gruszczyński zdał sobie

sprawę, że ten patrzący na niego jasnymi wodnistymi oczami mikry człeczyna, którego – gdyby stanęli naprzeciw siebie w walce – mógłby zmiażdżyć jednym ściśnięciem ramienia, ma nad nim i jego rodziną przyznaną przez potężne siły władzę nieograniczoną i może nie tylko wysłać ich wszystkich do obozu, ale również odebrać mu trójkę dzieci, zmienić im tożsamość, wymazać z pamięci dotychczasowe życie i sprawić, że nigdy już się nie zobaczą.

– Słuchaj no, Gruszczynsky – urzędnik zwrócił się do Piotra niecierpliwym głosem, stukając piórem w akta – ważne urzędy Tysiącletniej Rzeszy uznały cię za element wartościowy rasowo, stwierdziły, że w zasadzie można waszą rodzinę zakwalifikować jako germańską krew, która jedynie nieszczęśliwym zrządzeniem losu uległa polonizacji. Ten kaprys historii da się jeszcze naprawić, ale do tego potrzebna jest twoja wola. Ktoś przez pomyłkę przypisał was do czwartej kategorii, dajemy wam okazję do ubiegania się o trójkę i stania się pełnoprawnym – na razie na próbę – obywatelem naszego społeczeństwa. Ale my tu w Kraju Warty nikogo do niczego nie będziemy zmuszać. Zapewniam cię jednak, że za kilka lat zniknie stąd bezpowrotnie wszelki element niepożądany rasowo. Już samo twoje wahanie nie świadczy najlepiej o twojej świadomości rasowej. Jednak pamiętaj: wysokie urzędy Rzeszy się nie mylą, nawet jeśli ty nie skorzystasz z szansy współtworzenia u boku Führera nowego świata, my możemy się postarać o to, żeby taką szansę otrzymały twoje dzieci, jeśli tylko zostaną odpowiednio zakwalifikowane podczas selekcji wartościującej, a mają na to warunki. – Niemiec położył obie dłonie na biurku, uniósł się, opierając rękoma o blat, i nachylił nad Piotrem, a następnie wysyczał, cedząc słowa: – Decyduj się, Peter Gruszczynsky, bo nie mam więcej dla ciebie czasu: chcesz być z nami czy przeciwko nam?

Piotr złapał za pióro i kręcąc nim niby czarodziejską różdżką, która miała odmienić los rodziny Gruszczynskich, złożył na

odwołaniu zamaszty podpis. I rzeczywiście, niemal z dnia na dzień życie stało się łatwiejsze. Oddalony od aren działań wojennych Kraj Warty cieszył się względnym spokojem i dobrobytem, przydziały żywności starczały na zaspokojenie apetytów całej rodziny, Franek i Józio poszli do szkoły, gdzie jedynie z początku inne dzieci patrzyły krzywo na posługujące się łamaną niemczyzną *polnische Schweine* – w końcu większość z nich również nie urodziła się w Rzeszy, przyjechały tu z Łotwy, Estonii, Galicji, Rumunii, Besarabii czy Jugosławii – mała Irenka siedziała w domu z matką, a Piotr mógł spokojnie wymachiwać w kuźni młotem, gdzie jako pomocnik kowala pomagał wyczarowywać ze stali narzędzia rolnicze, kłódki, zamki, części do wozów, a czasem nawet wspólnie z pryncypałem kuli konie. Było skromnie, ale dostatnio.

Wydawało się, że Piotr podjął właściwą, acz trudną decyzję. Tak było do tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, gdy sytuacja zaczęła się szybko zmieniać. Gwałtowne, celne i bezwzględnie wyprowadzone ciosy zadawane przez Armię Czerwoną, a później imponujące skalą i precyzją przygotowania przeprowadzone przez aliantów lądowanie na plażach Normandii sprawiły, że faszystowski kolos począł słaniać się na nogach, chwiał się i widać było, że nie odzyska już równowagi. Ciężko dyszącemu Wehrmachtowi zaczęło brakować rekrutów, sięgano po najgłębsze rezerwy, powoływano pod broń kolejne roczniki. Do wojska szli nawet renegaci z czwartej grupy volkslisty, nie mówiąc o trójkach takich jak Gruszczyński. Pewnego dnia zrezygnowany i pogodzony z losem Peter również stanął przed komisją poborową, spodziewając się najgorszego, czyli przydziału do jednostki bojowej i rychłej podróży na jeden z frontów toczącej się wojny. Tymczasem ku swojemu zdumieniu, mimo krzepy i końskiego zdrowia, jakimi się odznaczał, zamiast skierowania w rejon walk, został przydzielony do tyłowej służby pomocniczej. Nie potrafił

wytłumaczyć sobie tego uśmiechu losu, nie wiedział, czy decydujący o przydziale oficer, po miesiącach spędzonych w okopach, obserwując masowo dezercerujących z pierwszej linii Ślązaków, Kaszubów i Mazurów, nabrał, delikatnie mówiąc, rezerwy do wartości bojowej Eingedeutsche i Rückgedeutsche, czy przeciwnie, z powodu jakichś koneksji rodzinnych, żywił sympatię do wielkopolskich autochtonów, a może w obliczu nieudanego zamachu na Hitlera stracił wiarę w ostateczne zwycięstwo i było mu po prostu wszystko jedno? Jakkolwiek było, rezerwista Gruszczyński, zamiast powędrować na jedną z linii ostatecznej obrony, gdzie – wbrew rozsądkowi i przekonaniom – mógłby oddać życie, broniąc przybranej ojczyzny, miał od tej chwili, uzbrojony w przestarzały karabin, pilnować ulokowanych w okolicy dworca kolejowego magazynów załadowanych po same dachy przywiezionymi z Francji skrzyniami wypełnionymi dobrami skonfiskowanymi w ramach M-Aktion.

Służbę pełnili we dwóch, razem z Mykołą, młodym Ukraińcem pozbawionym jednej nogi. Było spokojnie, wojna, choć zbliżała się z każdym dniem, toczyła się jeszcze dość daleko, dotarły do nich wprawdzie słuchy o alianckim bombardowaniu Stettina, które zamieniło miasto w kupę wypalonych, cuchnących trupami gruzów, ale niszczyielskie naloty ich szczęśliwie omijały, do magazynu, tak jak gdyby wszyscy o nim zapomnieli, nikt nie zaglądał, nikt nie niepokoił dwóch wartowników pilnujących spoczywającego wewnątrz zagrabionego na zachodzie żydowskiego mienia. A Piotr z Mykołą, ciesząc się tym spokojem, spędzali przyjemnie noce, tnąc w karcioszki i popijając z niskich szklaneczek organizowany przez Ukraińca alkohol.

Mykoła z początku był nieufny, odzywał się z rzadka, półsłówkami i jedynie komentując bieżące wydarzenia, patrzył spod jasnej, sięgającej brwi grzywki i wolał słuchać, niż mówić, z czasem jednak zaczął nabierać do kompana zaufania i podlany

mocnym alkoholem zrazu nieśmiało, a wreszcie z pełną emfazą opowiadał swoje wojenne losy Gruszczyńskiemu; od tej chwili dotychczasowe, miłe, wręcz sielskie wieczory zamieniły się dla Piotra w nocne koszmary, których słuchał z rosnącym z każdym dniem przerażeniem.

Zaczął się delikatnie: ot, któregoś dnia Mykoła oparł swoją drewnianą nogę o stół, na którym rozsypane były karty, wychylił szklaneczkę spirytusu, chuchnął i rozcierając kikut powyżej kolana, opowiedział o tym, w jaki sposób stracił kończynę. Mówił z przymkniętymi powiekami, przenosząc się i zabierając ze sobą słuchacza w błotniste okopy pod Zbaraż, gdzie marcowego dżdżystego dnia wraz z kolegami z batalionu z 4 Galicyjskiego Ochotniczego Pułku Policji SS oczekiwali na atak czerwonych, z którymi potykali się tu już od ponad tygodnia. Wróg miał znaczną przewagę w ludziach i sprzęcie, pozycje były nie do utrzymania, dlatego w tym dniu Mykoła z kilkudziesięcioma innymi osłaniali odwrót batalionu w kierunku na Tarnopol, gdzie oddziały miały się przegrupować i przygotować do dalszej obrony. Walka była krótka. Po dosłownie kilku rozbryzgujących błocko wybuchach artyleryjskich po lesie poniosło się gromkie: Uraaaaa!, a wraz z nim ryk silników i po chwili, łamiąc drzewa, z gęstwiny zaczęły wyłaniać się stalowe potwory. Atak był tak gwałtowny, że zagrzebani w okopach ukraińscy SS-mani po wypuszczeniu zaledwie kilku serii z broni maszynowej rzucili się do ucieczki. Paru, którzy nie zdążyli wspiąć się na skraj umocnień, Sowietci skosili z pepesz, poddających się i rannych dobili strzałami w głowę, za uciekającymi rzucili się w pogoń. Mykołę i kilku innych ścigał rozwścieczony tank, który w morderczym bitewnym szale zamiast strzelać, postanowił rozjechać uciekinierów gąsienicami. Przez kilka minut trwała zabawa w berka, Ukraińcom udawało się, klucząc pomiędzy drzewami, unikać spotkania ze stalowym pancernem, aż wreszcie pędzący ile sił w nogach Mykoła, zerkając za siebie

przez ramię, nie spostrzegł zwisającego na jego drodze konaru. Uderzenie w głowę było tak silne, że SS-man zwałił się bez przytomności na poszycie. Czołg jakby tylko na to czekał, wykonał gwałtowny zwrot i ruszył w jego kierunku. Na ułamek sekundy Mykołę do przytomności przywrócił potworny ból, potem znów zagarnęła go ciemność.

Dalsze wypadki poznał dzięki opowieści kilku ocalałych z pogromu towarzyszy broni, którzy odwiedzili go w szpitalu. Po uderzeniu w konar upadł na wznak z szeroko rozrzuconymi nogami. Atakujący tank, zanim go dopadł, wjechał wpierw na gruby pniak (czołgista najwyraźniej był kompletnie pijany), co spowodowało niewielkie odchylenie kierunku jazdy czołgu i uratowało chłopakowi życie – gąsienica trafiła Mykołę w łydkę. Pojazd próbował zawrócić. Pancerniacy nie zauważyli jednak, że podczas pogoni za uciekającymi zapędzili się daleko za linię wroga, gdzie teraz nadziali się na przygotowujących kontratak SS-manów. Celnie rzucona wiązka granatów unieruchomiła czołg, kolejna ciśnięta przez właz do wnętrza rozprawiła się z załogą. Ukraińcy mieli chwilę wytchnienia, zanim dotarła do nich kolejna fala atakujących czerwonoarmistów. Ktoś wziął na plecy bezwładnego Mykołę z krwawiącym, zwisającym strzępem nogi i zaciągnął na własne pozycje, gdzie na resztkach zmiażdżonej kończyny założono mu opaskę uciskową i odesłano do szpitala. Obudził się po kilku dniach. Spokojny i bardzo słaby.

– Była noc, a ja zastanawiałem się, co mi się stało – opowiadał Piotrowi. – Dookoła jęki, wrzaski, cierpienie, a ja nie czułem wielkiego bólu. Trochę łupała mnie głowa i poboлеваła noga. Ta urżnięta i to, wyobraź sobie, nie kikut, który pozostał, tylko tam w dole, poniżej kolana. Dziwne, co? Chciałem się podnieść i zobaczyć, co mi jest, ale nie miałem siły nawet ruszyć ręką. I nic a nic nie pamiętałem. Leżałem i dumiałem. Gdybym był ranny, to bolałoby mnie bardziej, kombinowałem. Z rozbitą głową czy lekką raną nogi nie trafiłbym do szpitala. I tak szukałem

przyczyny do rana, aż przyszedł lekarz i mi powiedział, co się stało. Nie uwierzyłem! Przecież czułem tę nogę. I dopiero jak odrzucił koc i mi pokazał, to uwierzyłem.

– I co? Załamałeś się? – dopytywał się Gruszczyński.

– A czego miałem się załamywać? Normalna rzecz, jak to na wojnie, raz ty jesteś górą, raz ciebie dopadną. Miałem szczęście, że przeżyłem, i tak to potraktowałem. Przygoda się skończyła i teraz siedzę tu z tobą, zobaczymy, jak długo jeszcze.

– Noga ci nie odrośnie.

– Ano nie, ale co przeżyłem, to moje. Robiło się porządek w naszej Ukrainie. A co dalej, zobaczymy, z jednym kulasem też da się żyć.

Potem stopniowo, z dnia na dzień dorzucając coraz więcej szczegółów, Mykoła zaczął opowiadać o owych robionych na Ukrainie „porządkach”, każda opowieść cofała go w czasie dalej i dalej, i bywało tak, że struchlały Piotr bał się otwierać usta, obawiając się, że sprowokuje kompana do wyjawiania kolejnych makabrycznych detali, w których Mykoła zdawał się z każdą chwilą bardziej rozsmakowywać, a jednocześnie Gruszczyński, mimo że nie chciał więcej słuchać, nie potrafił mu przerwać, okazać, że brzydzi się byłym SS-manem, jego czynami, że z każdym dniem nienawidzi go coraz bardziej.

Początkowo opowiadania dotyczyły wyczynów Mykoły i jego towarzyszy broni dokonanych w SS-mańskim mundurze. Mówił o akcjach pacyfikacyjnych, bojach z czerwoną partyzantką, ot, zwyczajne kombatanckie wspominki, aż do momentu kiedy opowiadający przeniósł się do jednej z galicyjskich wiosek:

– To była jakaś Huta, ale nie pamiętam jaka. Tylko wiesz, nie huta, w której wytapia się stal, a taka nazwa wioski. Myśmy tam poszli na patrol, a w środku był oddział polskiej samoobrony, który nas bez powodu zaatakował. Zginęło dwóch chłopaków. Wybiliby wszystkich, ale na szczęście z lasu nadciągnęli nasi, to znaczy sotnia UPA. Wycofaliśmy się. Niemcy zdecydowali, że

trzeba Polaczkom dać nauczkę. Nie powiem, ludzie się cieszyli. Poszły nas dwa bataliony, a po drodze przyłączyła się jeszcze sotnia „Jastruba” i pełno ludzi z Żarkowa i innych wiosek. Prowadził nas niemiecki Hauptsturmführer. Otoczyliśmy wiochę, było jeszcze ciemno, wystrzeliliśmy rakiety i zaatakowaliśmy. Nawet się specjalnie nie bronili, nie wiem, gdzie podziąła się ta ichnia samoobrona. Może się bali? A potem pohulaliśmy w środku.

Otwierający coraz szerzej oczy z przerażenia Piotr dowiedział się o tym, jak ukraińscy SS-mani spędzali ludzi do kościoła, skąd wyprowadzano ich grupami i rozstrzeliwano na cmentarzu, jednak bardzo szybko taki „cywilizowany” sposób rozprawienia się z niepokorną wsią przestał kogokolwiek z napastników satysfakcjonować, w związku z tym kolejne grupy mieszkańców zapędzono do stodół, których drzwi wiązano drutem kolczastym, polewano benzyną i podpalano. Płonęły stodoły, rozpalał się w opowieści i Mykoła, dokładał kolejne przerażające szczegóły, o tym, jak niemowlęta wrzucano żywcem do ognia, o koledze SS-manie pochodzącym z sąsiedniej wsi, który zastrzelił swojego kuzyna, jego dziecko zaszlachtował jak barana, a wbijając matce nóż w pierś, powiedział: Teraz wojna – nie ma krewnych; o tym, jak odkryto chałupę, w której mieszkał dowódca samoobrony, gdzie znaleziono kilkoro Żydów:

– Z gudłajami się nie patyczkowaliśmy – mówił z dumą w głosie – z żoną i córką też nie, ale jemu należało się specjalne traktowanie. Zaciągnęliśmy gada pod kościół, tak żeby ci, co byli jeszcze w środku, wszystko dobrze widzieli, oblaliśmy benzyną i podpaliliśmy. Jak on skwierczał i jak się wił. Nawet nie wrzeszczał. Nie wiem dlaczego, bo reszta, która się smażyła, darła mordy, że aż echo niosło. Z wiochy wycofaliśmy się, kiedy zaczęło się ściemniać. Mówię ci, nic po niej nie pozostało, tylko smród spalenizny.

Kolejne noce przynosiły coraz więcej opowieści, coraz więcej

spalonych i wymordowanych wiosek. Lecz pomimo że opowiadania Mykoły były czymś najbardziej przerażającym, co Piotr w życiu usłyszał (tak przerażającym, że z początku starał się traktować je jak krwawą baśń, która nie ma nic wspólnego z narratorem, i dopiero później dopuścił do siebie myśl, że ten siedzący i bajający młody kaleka dopuścił się tych wszystkich okrutnych czynów, o których opowiadał), czuł, że Ukrainiec jeszcze nie powiedział mu najważniejszego, że wciąż skrywa jakiś sekret, do wyjawienia którego dopiero dojrzewa.

Pewnego wieczora Mykoła postawił na stole dwie puszki konserw, nalał do szklanek spirytusu, który wychylił duszkiem, wachając na zakąską kromkę ciemnego chleba i rozcierając, jak miał w zwyczaju, kikut, rozpoczął kolejną noc zwierzeń:

– Ty myślisz, że ja do Hałyczyny to zgłosiłem się, żeby wioski palić? – zwrócił się z pytaniem do Piotra.

– Skąd ja mam wiedzieć, po coś ty do nich polazł? – odpowiedział pytaniem wściekły Gruszczyński, który wiedział, że za chwilę Mykoła upichci mu kolejną krwawą porcję opowieści.

– Powojować chciałem. Zakosztować żołnierskiego życia, bić się z czerwonymi. Tymczasem na komisji stwierdzili, że jestem za mały na grenadiera. Odesłać chcieli, ale uprosiłem i przydzielili mnie do policji. I się zaczęło, na zmianę walki z partyzantami i pacyfikacje wiosek. Potrzebne mi to było... My tam u nas lepiej radziłyśmy sobie z porządkami, mogłem to robić dalej, bo jak naszą sotnię rozbili sowieccy partyzanci, to miałem wybór: wracać do lasu albo iść do Niemców. Pomyślałem sobie, że najpierw trzeba czerwonych pobić i dopiero potem swoje porządki wprowadzać. Lachów zdążymy wyrznać, myślałem, nie uciekną, a jeśli nawet, to i lepiej. I co? I nic! – Rozłożył ręce. – To samo, tylko że u Niemców, jak to u nich, te całe pacyfikacje były takie czyściutkie, pańskie, w białych rękawiczkach. Ogień i karabin. Bez emocji. Nie podobało mi się to. Nawet zastanawiałem się, czy nie prysnąć do naszych. Sporo chłopaków

uciekało. Z Piątego Pułku Policji tak wielu, że aż pułk rozwiązano. Ale zostałem.

Palić, nie powiem, przyjemnie, ale dopiero jak leje się krew – Mykoła zdobył się na refleksję – kiedy wycieka ta gorąca, zimną to nawet dymiąca posoka, kiedy widzisz, jak z człowieka uchodzi życie, to dopiero wtedy czujesz, że ty żyjesz. A jak jeszcze tego drugiego nienawidzisz, tak nienawidzisz całym sercem, całym sobą, kiedy to jest cholerny, kurewski Lach i możesz unurzać ręce w jego wnętrznościach po łokcie i widzieć, jak zdycha, to w środku czujesz takie coś... Takie... Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Powiem ci tylko tyle, że z niczym tego uczucia nie da się porównać. Jesteś ważniejszy niż Bóg, ważniejszy niż diabeł, ważniejszy niż wszystko, co znasz.

Piotr milczał, a Mykoła wyjął z za cholewy wysokiego buta bagnet i położył go obok konserw. Podparł głowę rękoma i zapatrzył się w dal, coś wspominał, o czymś marzył, wreszcie zaczął ponownie mówić, najpierw wolno, jakby ważył każde słowo, rozpędzając się z każdym zdaniem.

– Ja to nie jestem z Galicji, tak jak większość chłopaków w Hałyczynie. Ja z Wołynia. Zanim zgłosiłem się do Niemców, u siebie robiliśmy porządki. Też się paliło, ale zazwyczaj już po akcji, bo to nawet jak obstawisz taką paloną chałupę czy stodołę, często komuś udaje się wydostać i trzeba do takiego strzelać, a my staraliśmy się nie używać broni palnej. Dookoła pełno było leśnych, i Lachów, i Sowietów, dlatego nie strzelało się, żeby ich nie zwabić. Różniło się po cichu, czym kto miał i czym lubił. – Podniósł do góry bagnet. – Nożami rzeźnickimi, widłami, cepami, siekierami, a nawet zwyczajnie kijami. Ja to umyśliłem sobie młot. I nim się posługiwałem. Taki duży, kowalski. Ty sam kował, to wiesz. Ciężki, ale poręczny i jaki skuteczny. Bach i już! – Uderzył bagnetem w wieczko puszek, przebijając je. – Jak dobrze trafisz takim młotem w głowę, to rozłupywana czaszka wydaje taki fajny dźwięk, że aż ciarki przechodzą. Zaraz potem

rozpryskuje się mózg i jest trochę krwi. Tylko trzeba przycelować z tyłu albo z boku, byle nie z przodu, bo wtedy czaszka się wgniecie, a nie rozwali. Mózg niby służy do myślenia, a to jest taka śmieszna galareta. Dziwne, co? – Drżącymi z podniecenia rękoma Mykoła zaczął otwierać bagnetem konserwę. – Lubilem też patrzeć na tych, co robili nożami. Szczególnie jeśli któryś rozcinał brzuch. Kiedy cięli gardło, to taki zarzynany otwierał przerażone oczy, jak baran, czasem zarzęził, ale rzadko, i zaraz padał. Za to brzuch... Żebyś ty widział, jak oni próbowali ładować z powrotem te wylewające się flaki, jak nie dowierzali. Nie powiem, śmierdziało, ale mnie akurat odpowiadał ten smród. – Nabrał na ostrze bagnetu kawałek mięsa i podetknął Piotrowi pod nos. Gruszczyński poczuł wzbierające mdłości. Pokręcił przecząco głową. Mykoła wzruszył ramionami i wetknął kęs do ust. – I długo umierali. Czasem błagali, żeby ich dobić, ale nie chcieliśmy, mieli czuć, że zdychają. Jak patrzyłeś, to niemal widziałeś, jak z nich dusza ulatuje.

Piotr walczył z podchodzącymi pod gardło torsjami. Nie chciał, może nawet bał się okazać przed Ukraińcem słabość, obawiał się też ujawnić z nienawiścią, która wzrastała w nim z każdym dniem, z każdą usłyszaną historią, z każdą kolejną rozniesioną przez Mykołę i jego kompanów wsią.

– Nie boisz się? – zapytał zmienionym głosem.

– Czego? – Zdziwiony Ukrainiec spojrział na Piotra, żując zimne tłuste mięso.

– Że kiedyś odpowiesz, że cię ukarzą?

– A za co? Naszym największym wrogiem zawsze byli i są Lachy, to się z nimi biło. Ty wiesz, jak nam było za Polski? Co z nami robiono? Dla mnie Polska to wróg, śmiertelny. Wroga trzeba zabijać. Teraz jest wojna, każdy walczy o swoją ojczyznę, jak potrafi. To jest nasza ziemia, wszyscy to wiedzą, tylko nie Lachy. Teraz zobaczyli, jak Ukraina walczy o swoje. Za to, że bronisz swojej ziemi, nikt, nawet Bóg, nie karze. Ja nikogo nie

zdradziłem, byłem Ukraińcem i dalej nim jestem, folkslisty nie podpisałem, za to ty... Byłeś Polakiem, teraz jesteś Niemcem, wiesz, co z tobą zrobią czerwoni, jak przyjdą. Ja pójdę do niewoli, jak żołnierz, za to ty, jak zdrajca, w najlepszym razie pod sąd i na Sybir. Czekać, już niedługo.

Rzeczywiście od kilku dni od wschodu dawało się słyszeć coraz wyraźniej nadciągający front. Piotr spodziewał się, że lada chwila ktoś po nich przyjdzie i nie bacząc na pilnowany przez nich magazyn, nie przejmując się przyznaną na komisji kategorią, wyśle go w okopy bronić przegranej sprawy. Jeśliby jakimś cudem przeżył, perspektywa trafienia do sowieckiej niewoli przedwojennego obywatela polskiego w niemieckim mundurze, z dokumentami folksdojczy w kieszeni, nie rysowała się kusząco. Chciał uciec, las był niedaleko, skryć się, przeczekać najgorsze, a na sam koniec podkraść do domu, przebrać w cywilne ciuchy, spalić mundur i czekać wejścia czerwonych. Tylko że na drodze stał Mykoła, znienawidzony Ukrainiec. A może pozbyć się tego potwora w ludzkiej skórze, myślał Gruszczyński, Bóg wybaczy, ludzie rozgrzeszą. Wściekle zwierzęta się zabija, a w czym on lepszy? Albo wilki, strzelasz do nich za to tylko, że są wilkami, tak samo z tymi Ukraińcami, należy im się kulka już za samo to, kim są, rozważał dalej.

Mykoła nalał spirytusu do szklanek i spojrzał Piotrowi prosto w oczy.

– Tak, Peter, na wojnie nie ma sentymentów. Gdybyś ty był Lach, gdybyś nie przeszedł na niemiecką stronę, to ja sam osobiście, tymi rękoma – wyciągnął przed siebie dłonie – bym ciebie zaszlachtował. W czas pokoju trzeba żyć obok siebie, ale po to właśnie jest czas wojenny, żeby robić porządki. Każdy to zrozumie.

Ukraińiec podniósł szklanke i przytknął ją do ust. Pił powoli, odchyliwszy do tyłu głowę. Piotr widział poruszającą się miarowo na odsłoniętej szyi grdykę. Kipiała w nim nienawiść,

oplatał strach przed tym, co przyniesie przyszłość, znów nadchodziła nienawistna chwila podjęcia decyzji. Wpatrywał się w jasną szyję Mykoły jak urzeczony, a patrząc na nią, miał przed oczyma wszystkie bestialstwa, jakie opowiedział mu wydobywający się z tego gardła głos, i nagle poderwał się od stołu, chwycił bagnet i wbił go z całej siły w białą, napiętą skórę, tak mocno, że ostrze, przeszywając tchawicę, wyszło na zewnątrz z drugiej strony szyi. Z przeciętej aorty chlusnęła krew. Zaskoczony Mykoła nie zdążył nawet odwrócić głowy. Kilka razy wierzgnął zdrową nogą, a potem nastąpiła cisza. Powietrze, rozgrzane stojącą w kącie kozą, wypełnił słodko-mdłący zapach krwi.

*

Patrząc zza węgła w zlaną potem twarz Michała Pudły, niewidziany przez nikogo wściekły Gruszczyński wiedział, że ma niewiele czasu na podjęcie decyzji, wiedział też, że dokonanie wyboru niemal zawsze wiąże się z ciągłym wymawianiem sobie, co stałoby się, gdyby zdecydował się podążyć alternatywną drogą, gdyby na rozstaju skręcił nie w lewo, a w prawo. Często zadawał sobie pytanie, gdzie byłby teraz, gdyby nie uległ szantażowi, potrafił przewidzieć dalekosiężne konsekwencje i odmówił podpisania odwołania? Czy żyłby dalej w swojej wiosce, czy uniknąłby wszelkich szykan, jakie dotknęły jego rodzinę po wojnie, a może prosto z urzędu trafiłby do obozu, a dzieci zgodnie z zapowiedziami małego człowieczka o wodnistych oczach powędrowałyby do niemieckiej rodziny w sercu Rzeszy, gdzie bardzo szybko zostałyby zgermanizowane? Nie mógł ocenić, starał się o tym nie myśleć, strząsać z siebie, jakby krople wody, wszystkie te wątpliwości, ale one powracały, czepiały się niczym chwast i nie pozwalały o sobie zapomnieć.

Spojrzał jeszcze raz na zniechęconą twarz Pudły. Jednego Ukraińca zlikwidował, teraz nadarzała się sposobność uporania się z kolejnym. Świat od tego nie zubożeje, myślał Gruszczyński. A co będzie, jeśli zamiast spodziewanych korzyści, kalkulował, pozbycia się wroga, oczyszczenia wsi z niepożądanego elementu, znów wpakuje się w kłopoty? Przecież znalezienie się w trzeciej kategorii DVL też z pozoru miało niemal wyłącznie dobre strony, a czym się skończyło? Samo wkroczenie krasnoarmiejców do Kraju Warty usiłował wymazać z pamięci, wówczas żadne listy, obywatelstwa, narodowość, krew, klasa społeczna nie miały znaczenia, płacili wszyscy, bo zdobywcy za nic mieli fakt, że tu przed wojną była Polska, teraz był to fragment Rzeszy, dla której nadchodził czas wyrównania rachunków. Gruszczyńscy przetrwali, z uszczerbkiem na zdrowiu i honorze, ograbieni, ale żywi. Jednak za frontem przywędrowały nowe władze, wprowadzające nowe porządki, wertowały dokumenty, przesłuchiwały świadków, każdemu wystawiały kwit za czas wojny. Nie miały znaczenia pobudki, nieważne było, czy ktoś miał wybór, czy był go pozbawiony, wszyscy, którzy znaleźli się na folklsłście, bez względu na kategorię wędrowali do obozu, a ich majątek był konfiskowany. Powędrował też Piotr Gruszczyński z rodziną.

Traktowany w nazistowskich Niemczech z rezerwą, obywatel drugiej kategorii, cenny jedynie jako uzupełnienie stanów osobowych wyszczerbionego Wehrmachtu, Piotr nagle w jednej chwili stał się wrogim elementem, faszystą, hitlerowcem, renegatem, zdrajcą, dla którego sama kula w łeb byłaby niezasłużonym dobrodziejstwem. Trzeba było go izolować. Bez względu na dokonane wybory wcześniej czy później w tej wojnie swoje za drutami musiał odsiedzieć. Piotra razem z niemieckimi jeńcami, cywilami i innymi folksojczami prowadzono codziennie do pracy przy odgruzowywaniu zniszczonego centrum Poznania, a wieczorami wzywano na

przesłuchania, które prowadził porucznik Morzejko, młody chłopak o tępym wyrazie twarzy i silnym kresowym akcencie.

Z początku Gruszczyński przypuszczał, że ma asa w rękawie, że pochwalenie się likwidacją ukraińskiego nacjonalisty, zbrodniarza przywdziewającego mundur SS będzie jego kartą przetargową, biletem do wolności, jednak spotkanie z porucznikiem ostudziło jego nadzieje. A jak nie uwierzy, przecież nie mam żadnych dowodów, zastanawiał się, cholera wie, co to za jeden, nabierał coraz większych wątpliwości, może kolejna ukraińska wesz? Postanowił czekać. I się doczekał, po dwóch miesiącach, w maju wezwał go do siebie po raz kolejny porucznik i z wyraźną niechęcią oznajmił:

– Władza ludowa się nad wami ulitowała. Nie wiem zupełnie dlaczego, bo wy dla innych nie mieliście litości. Jest amnestia dla was, folksdojczów. Oczywiście nie dla tych pierwszej kategorii, tylko takich małych gnid jak wy, Gruszczyński. Możecie wyjść, wracać do siebie i próbować się rehabilitować przed sądem grodzkim. Ja prześlę tam odpowiednie dokumenty. Chociaż gdyby to tylko ode mnie zależało, odesłałbym was do nowej przybranej ojczyzny. A co, zamiast cierpieć jak reszta narodu, wy sobie żyliście dostatnio, to teraz poczulibyście, co to znaczy okupacja. A jak się nie podoba, to w Sybir. No ale cóż, władza ludowa jest nie tylko surowa jak ojciec, ale i miłosierna jak matka. Chce wam wybaczyć i dać kolejną szansę. Postarajcie się jej nie spierdolić. A teraz złażcie mi z oczu i módlcie się, żebym was w jakim ciemnym zaułku nie spotkał oko w oko. Wynocha.

Ale „u siebie” już nie było; dom Gruszczyńskich został zajęty przez inną rodzinę, przybyłą z centralnej Polski, która niechętnie zgodziła się, żeby dotychczasowi właściciele, do momentu aż nie znajdą innego lokum, zajęli jeden z pokoi. Sprawa w sądzie potoczyła się wprawdzie sprawnie, Piotr z żoną podpisali deklarację wierności, po czym w myśl przepisów prawa zostali zrehabilitowani, stali się pełnoprawnymi obywatelami rodzącego

się nowego socjalistycznego społeczeństwa, jednak rozgrzeszenie udzielone przez wymiar sprawiedliwości nie oznaczało jeszcze ludzkiego wybaczenia. Dla sąsiadów – tych, co przeżyli i wrócili po wojnie do swoich domów, i tych nowych, którzy ścignęli do wsi z całej Polski – Gruszczyńscy wciąż pozostawali zaprzedańcami, którzy podpisali folkslistę (skąd brało się to przekonanie o podpisywaniu jakiegokolwiek listy, Piotr nie miał pojęcia, przecież DVL nikt nie podpisywał, było się na nią wciągany wbrew woli i jakimkolwiek deklaracjom, podpisywać można było ewentualne wnioski i odwołania), wysługiwali się okupantowi, byli odpowiedzialni, jeśli nie w większym stopniu, to przynajmniej na równi z nazistami za całą pożogę, jaka przez ostatnie sześć lat szalała dookoła. Gdyby nie tacy jak oni, może hitlerowcom nie byłoby tak łatwo, dowodzą. Zaczęły się szykany spadające na Gruszczyńskich dzień w dzień. Cierpiał Piotr, cierpiała Matylda, cierpiały przede wszystkim dzieci. Zewsząd towarzyszyły im nienawistne spojrzenia, groźne pomruki, wykrzykiwane za plecami wyzwiska, czasami poleciał w ich kierunku kamień. Życie stało się nieznośne.

Mietek, młodszy brat Piotra, zaczął namawiać go do przenosin do miasta, do Poznania. Piotr wiedział, że musi zmienić otoczenie, że dłużej wśród tych ludzi, którzy nie chcieli zrozumieć, nie potrafili wybaczyć – wybaczyć grzechu, którego w swoim przekonaniu Gruszczyński nie popełnił, czuł, że sumienie ma czyste – którzy traumę wojennych lat odreagowywali, mszcząc się na tych, którzy byli pod ręką, nie wytrzyma. A ponieważ Niemcy czmychnęli przed zbliżającym się frontem, jedynymi, jacy pozostali, była rodzina Gruszczyńskich, zdrajców, folksdojczów, sprzedawczyków, hitlerowskich sługusów. Jednak Piotr uważał, że Poznań jest za blisko, ktoś z jego wioski mógłby wybrać się do urzędu, na targ, mógłby odwiedzić rodzinę i spotkać któreś z nich, wykrzyczeć na ulicy wyzwisko i wszystko zaczęłoby się od nowa. Poza tym do miasta

iść nie chciał. On pragnął być kowalem, do tego zawodu się przyuczał, to zajęcie mu się podobało. Marzył o pracy w kuźni. Miasto nie dawało takiej możliwości. Któregoś dnia, popijając zbożową kawę w metalowym kubku, zerknął na zaplamioną starą gazetę rozłożoną na stole pod naczyniem i przeczytał wydrukowane tłustą czcionką hasło wzywające do wyjazdu na Ziemię Odzyskane, gdzie bezcenna jest każda para rąk. Piotr spojrzął na swoje silne, pokryte zrogowaceniami dłonie i w jednej chwili zrobił to, czego z całego serca nie znosił, podjął decyzję: wyjadą na Pomorze.

Złożył w odpowiednim urzędzie odpowiednie dokumenty i już po kilku dniach otrzymał pozwolenie na wyjazd.

Niewiele mieli do zabrania: trochę ubrań, jedną pościel, kilka naczyń. Cała reszta przepadła wraz z domem. Piotr się tym nie przejmował, najważniejsze, że byli wyposażeni w coś, czego brakowało im od dawna: w nadzieję, nadzieję na lepsze jutro, na rozpoczęcie wszystkiego od nowa, na pracę, mieszkanie, szkołę dla dzieci, czystą kartę u sąsiadów i władz, po prostu, po raz pierwszy od siedmiu lat, na normalność. Podróżowali na dachu zapchanego do granic możliwości pociągu wlokącego się niemiłosiernie, otoczeni przez tak jak oni niepewnie rozglądających się dookoła ludzi, jadących w nieznane. Jedyne na przystankach z przedziałów wysypywali się na peron różnej maści cwaniacy, podążający na szaber czy ubijając podejrzanym interesy, pewni siebie, głośni, obeznani z ciężkimi realiami drogi, próbujący w każdym miejscu dokonać kolejnej szemranej transakcji.

Po całym dniu jazdy pociąg wtoczył się pomiędzy ruiny miasta. Piotr nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego: wszędzie dookoła piętrzył się gruz, w zasięgu wzroku nie mógł spostrzec ani jednego nienaruszonego budynku, z każdej ocalałej ściany straszyły dziury po pociskach, wyrwy pozostałe po eksplozjach artyleryjskich, pomiędzy szkieletami domów przemykały się

pojedyncze, skulone postacie, jakby wciąż obawiające się ostrzału. Nawet teraz, ponad rok po ustaniu działań wojennych, kiedy zawiął wiatr, w powietrzu czuć było jeszcze delikatny swąd spalenizny. Wjechali na to, co pozostało z dworca kolejowego. Na ścianie głównej budynku spod świeżej białej farby przebijał wymalowany gotykiem napis Schneidemühl, nie była w stanie przysłonić go koślavo nabazgrana, nowa polska nazwa miasta PIŁA.

Na moment Piotrem owładnęło zwątpienie. To tak ma wyglądać ten raj, z którym postanowił związać swoje życie? Zdeprawowany działaniami wojennymi, zrujnowany, wyjałowiony, niebezpieczny? W takich warunkach mieli zaczynać wszystko od nowa? Na czym oprzeć przyszły dobrobyt rodziny? Na tych zgliszczach? Jednak dalsza droga bardzo szybko rozwiała te czarne myśli. Wjechali w okolice, która nawet na tle zamożnej – w porównaniu z resztą przedwojennej Rzeczypospolitej – Wielkopolski raziła niewidzianym wcześniej przez Gruszczyńskich bogactwem. Mijali wioski, w których stały wyłącznie murowane, często tynkowane chałupy, kryte dachówką lub łupkiem, gospodarstwa otaczały solidne płoty ze zdobionymi bramami, na tyłach domów kwitły w sadach drzewa owocowe, wszystkie drogi kryte były asfaltem, betonem, a w najgorszym razie brukowane kamieniami polnymi, miasteczka przyciągały czystością, kamieniczki – dużymi oknami z szyldami poruszającymi się na wietrze, na każdej, nawet najmniejszej stacji kolejowej był ceglany budynek dworcowy i betonowy peron. Jedyne, czego brakowało mijanym miejscowościom, to mieszkańcy, zewsząd wiało pustką, miejscową ludność wygnano, nowa jeszcze nie nadjechała. Ale tym akurat Piotr przejmował się najmniej, bo taka sytuacja stwarzała możliwość wygodnego urządzenia się w nowym miejscu.

Nie mylił się. Po przyjeździe do stacji docelowej, do

Miasteczka, urzędnik w miejscowym urzędzie repatriacyjnym wprawdzie nie miał dla Gruszczyńskiego wiele czasu i wielu rad, jednak powiedział coś, na co tak naprawdę Piotr czekał.

– Jak ja wam mogę pomóc? – Rozłożył ręce. – Nie mam ludzi, nie mam możliwości, sprzętu. O, nawet ta jedyna, jaką posiadam, maszyna do pisania ciągle się zacina. Ruscy zabrali wszystko, brakuje prądu i nawet wody. Chcecie zostać w mieście, to proszę bardzo, ale szczerze mówiąc, nie polecam. Nie posiadam jakichś eleganckich lokacji.

– Wolałbym na wieś.

– Na wieś? Doskonale. – Urzędnik szczerze się ucieszył. – Transportem wprawdzie nie służę, ale mogę polecić drogę na północ, tam jest mnóstwo niezagospodarowanych wiosek. Albo czekajcie... – Zaczął szperać w papierach. – Tak, właśnie... Za godzinę podobno będzie jakiś pociąg w tamtym kierunku. Możecie podjechać dwie stacje, do Jaglina, tam w okolicy jest jeszcze zupełnie pusto. Wybierzcie sobie jakąś chałupę, wedle uznania, zainstalujcie się, a potem przyjedźcie tu do mnie, zarejestrujemy was. Tu macie przepustkę – podał Piotrowi ręcznie wypisaną karteczkę, na której przybił stempel – żeby was kto za szabrowników nie wziął, i powodzenia.

Skorzystali z rady urzędnika i upchali się do kilkuwagonowego składu, zaprzęzonego w kichającą iskrami lokomotywę wypuszczającą gigantyczne kłęby pary spowijające cały pociąg, który dudniąc ślizgającymi się po torach kołami, ruszył dostojnie na północ. Wysiedli, tak jak sugerował urzędnik, na drugiej stacji. Później szli kilka kilometrów wybrukowaną kocimi łbami drogą, obsadzoną na poboczach sędziwymi klonami. Minęli dwie wsie, które Piotrowi nie odpowiadały, aż dotarli do trzeciej, w której przy szosie stały równo ustawione masywne ceglane domy, otoczone niskimi płotkami, z płaskimi dachami i wielkimi oknami od frontu. Nad szczytami drzew po prawej górowała wieża jakiejś potężnej budowli, sprawiającej wrażenie warowni.

Piotr ruszył w jej kierunku i po przejściu stu metrów, po wkroczeniu na teren folwarku, jego oczom ukazał się neogotycki pałac wznoszący się nad jeziorem niby średniowieczne zamczysko. Gruszczyński rozejrzał się po zabudowaniach folwarcznych i w oddali spostrzegł spadzisty, wysunięty przed front budynku dach, oparty na kolumnach. Kuźnia. Murowana, duża. Poszukiwania były zakończone. Piotr Gruszczyński już wiedział, że w tej wsi, której nazwy jeszcze nie znał, spędzi resztę życia.

*

Ponurą, zalegającą nad folwarkiem ciszę zmąciły zdenerwowane głosy dobiegające z jeziora. Wściekły Piotr oparł rozgrzany policzek o zimną ceglana ścianę kuźni. Na co czekał? Czy miał jakieś wyrzuty sumienia? Przecież w jednej chwili wszystko mogło wrócić do stanu sprzed przyjazdu Ukraińców do wsi. Znow mogło być jak kiedyś. Gruszczyński z czułością pogładził mur. Przypomniawszy sobie szczęśliwe pierwsze miesiące, jakie spędzili we Wrześniowie. Kiedy najpierw, chodząc od domu do domu, szukali dla siebie odpowiedniego mieszkania – mogli grymasić, ponieważ wieś była niemal bezludna; poza jedną starą Niemką, jedyną, jaka pozostała z przedwojennych mieszkańców wioski, opustoszałe zabudowania zajmowały tylko dwie polskie rodziny. Zaglądali do kolejnych rozszabrowanych chałup, z których buszujący tu wcześniej czerwonoarmiści wynieśli niemal wszystko, co w ich oczach przedstawiało jakąkolwiek wartość, ale żadna z nich nie przypadła im do gustu. Rozkład pomieszczeń we wszystkich domach był identyczny, a każdy z nich miał dwa usytuowane na tyłach wejścia, do dwóch oddzielnych mieszkań. Piotr, korzystając z prawa pierwszeństwa, nie chciał dzielić chałupy z kimś innym, kimś, kto dopiero miał

do wsi nadciągnąć, kimś, o kim jeszcze nic nie wiedział, kimś, kto mógł w przyszłości okazać się uciążliwym sąsiadem; chciał domu tylko dla swojej rodziny. Wreszcie, zbliżając się do skraju wsi, spostrzegł – przysuniętą odrobinę bliżej w stronę szosy niż pozostałe – nieco mniejszą chałupę z ostrym spadzistym dachem, drzwi miała usytuowane inaczej niż reszta, na bocznej ścianie. To było to, czego szukali. Duży, przestronny, murowany dom, z piecami w każdym z czterech pomieszczeń, węglową kuchnią, z ogrodem i podwórzem oraz luksusem, jaki wcześniej widzieli jedynie w mieście, własną łazienką z klozetem. Ale najważniejsze, że dom był przeznaczony tylko dla jednej rodziny. Dla Gruszczyńskich.

Okucia do drzwi i okien, zamki, klucze, kłódki, metalowe części do narzędzi rolniczych, piasty – brakowało wszystkiego, pracy dla kowala było we wsi pod dostatkiem. Podczas gdy Matylda z dziećmi trzebiła przydomowy ogródek z sięgających pasa chwastów, Piotr zajął się przygotowywaniem swojego przyszłego stanowiska pracy. W ogołoconej kuźni znalazł niewiele poza paleniskiem i elementami czegoś – skomplikowanego narzędzia – czego nie potrafił zidentyfikować. W kuźni, w której do tej pory pracował, podobnego ustrojstwa nie widział. Kiedy, zaglądając pod palenisko, usiłował dojść, cóż to takiego może być, za jego plecami odezwał się twardy męski głos:

– To miech elektryczny. Brakuje silnika, który zabrali towarzysze radzieccy, i prądu oczywiście, ale poza tym jest kompletny.

Piotr odwrócił się gwałtownie. W świetle wpadającym przez otwór, jaki pozostał po zdemontowanych drzwiach, dostrzegł zarys sylwetki rosłego, barczystego mężczyzny. Gruszczyński, nie spuszczając wzroku z intruza, przejechał dłonią po palenisku w poszukiwaniu jakiegoś twardego przedmiotu, za pomocą którego mógłby się obronić – wprawdzie głos faceta miał łagodny

tembr, w słowach nie było groźby, ale na tym pustkowiu, na tym Dzikim Zachodzie nigdy nie wiadomo, z jakimi intencjami zbliża się do ciebie nieznajomy. Tymczasem mężczyzna zrobił dwa kroki w kierunku Piotra, który mógł teraz przyjrzeć się rysom jego wąsatej, młodej twarzy.

– Nie bój się pan. Ja nie na szaber – powiedział przybyły i uśmiechnął się do Gruszczyńskiego. – Mieszkam tu, widziałem, jak wczoraj przywędrowaliście całą rodziną. Bogdan Żytko... – Wyciągnął w stronę Piotra silną dłoń.

– Ukrainiec? – Gruszczyński czujnie i z rezerwą przyglądał się Bogdanowi.

– Nie, czemu niby?

– Bo ja wiem? Nazwisko jakieś takie...

– Nazwisko jak nazwisko. A czy ja mówię jak Ukrainiec? Powiedz pan. Oczywiście, że nie. Spod Bydgoszczy jestem. Byłem tu pierwszy. Zatrzymałem się, wracając z robót. Trochę Niemców jeszcze we wiosce siedziało. Potem poleźli w cholerę. Nie żeby chcieli, ale nie mieli chyba wyboru. Ruscy kazali zostać tylko jednej starej, która im usługuje. A mnie się tu spodobało, więc też zostałem. No daj pan grabę, nie ma się co dąsać, skoro mamy być sąsiadami.

Uścisnęli sobie ręce.

– Piotr Gruszczyński, z Wielkopolski.

Żytko usiadł pod paleniskiem na kowadle typu niemieckiego z obtłuczonym okrągłym rogiem, z kieszeni przyciasnej marynarki wyciągnął metalową puszkę, z której wyjął najpierw kawałek gazety, a następnie zaczął pakować w nią machorkę wydłubowaną dwoma palcami z puszki.

– Zakurzysz pan? Twarda cholera – narzekał, rozcierając tytoń w dłoniach. – Dostałem od Ruskich. Za jajka. Ale to wyjątkowo, bo najlepszą walutą tutaj jest spirytus. – Podał Gruszczyńskiemu skręta. – Rzeczy nie przywieźliście ze sobą zbyt wiele, co? Dojadą jeszcze?

- Nie, to wszystko, co mamy.
- Mało tego jak na dorobek życia.
- Co zrobić, wojna, wszystko przepadło.
- Nie martw się pan, odbijemy sobie tutaj. Kraj bogaty, sam pan przecie widzisz. Roboty nie zabraknie. Jutro ma się podobno pojawić jakaś komisja i zdecydować, co dalej zrobić z tym folwarkiem. Rozparcelują albo wymyślą coś inszego. Bo to przed wojną był junkierski, szkopski majątek. Widzisz pan, w jakim domiszczu sobie mieszkali.
- To teraz już się nie panoszą, czerwoni popędzili im kota, he, he. – Piotr odzyskiwał dobry humor.
- Wyobraź pan sobie, że podobno właśnie wcale nie czerwoni.
- Tylko kto? Nasi?
- Nie! – Żytko przypalił papierosa i ściszył głos. – Chodzą słuchy, że sami Niemcy, gestapo. Tu ostatnią właścicielką rzekomo była baba, i jej syn czy mąż, nie wiem dokładnie, w każdym razie oficer, był zamieszany w zamach na samego Hitlera. Chłopa, mówią, na strunie powiesili, babę wygnali, a majątek zabrali.
- Pan wierzysz w takie opowieści? – Piotr z powątpiewaniem pokręcił głową i wypuścił kłęb aromatycznego dymu.
- Wierzę, nie wierzę, ale prawdą jest, że jak tu Armia Czerwona wkroczyła, to zastała całą piwnicę napchaną sowieckimi jeńcami, a w pałacu siedziało gestapo. To znaczy już nie siedziało, bo dało nogę, ale byli tu prawie do samego końca.
- Skąd pan masz takie informacje?
- No tego... Mówiła mi taka jedna. – Bogdan był wyraźnie zmieszany. – Niemka. Na samym początku, jak tu przyjechałem, zanim ich wszystkich wygonili.
- Pusto tu teraz.
- Do niedawna nie było. W pałacu siedzą czerwoni. Jeszcze na jesieni do folwarku spędzali całe stada bydła. Potrzebowali Niemców do pracy, a potem przyjechało kilku na koniach

i pognali zwierzęta na wschód, a zaraz potem ludzi, zupełnie tak samo jak to bydło, tylko że na zachód. Zima przeszła i teraz zadecyduje się nasz los.

Następnego dnia na brukowanej szosie zadudniły koła i do wsi wjechały dwa samochody – wojskowy wiozący pułkownika w polskim mundurze oraz trzyosobową eskortę i czarna limuzyna, z której pod pałacem wysiadło trzech mężczyzn w beżowych prochowcach; na głowach mieli kapelusze z szerokimi rondami, a pod pachami skórzane teczki. Towarzyszył im czwarty, ubrany w oficerki z wysokimi cholewami, bryczesy i kurtkę od munduru pozbawioną dystynkcji i naszywek. Przywitał ich radziecki oficer, który podczas wizytacji pełnił rolę gospodarza.

Komisja ruszyła na obchód folwarku. Bardzo wnikliwie badała każdy budynek gospodarczy, sprawdzała resztki wyposażenia, które pozostały po czerwonym tajfunie, jaki przetoczył się przez zabudowania w ostatnich miesiącach. Wyniki oględzin zapisywano skrupulatnie w dużych zeszytach wyciągniętych z teczek. Zwiedzono przedwojenne stajnie, w których (zanim Wehrmacht ich nie zarekwirował) hodowane były dawniej konie robocze, ziejącą pustką oborę na osiemdziesiąt krów, po której pozostały jedynie gołe ściany, długą owczarnię, czteropiętrowy spichlerz, stojącą na środku podwórza krochmalnię, kuźnię, kurniki, rybakówkę, kościół, policzono nawet dziczejące w zarośniętym sadzie drzewa owocowe, na koniec po zbadaniu dawnego domu ekonomy udano się do przedwojennego trzypokojowego kantoru buchaltera, usytuowanego na niewielkim wzniesieniu tuż przy wjeździe do folwarku. Tam komisja i towarzyszący jej oficerowie zatrzymali się na dłużej. Toczyła się ożywiona dyskusja. Przez otwory po zdemontowanych oknach na zewnątrz wypływały zdenerwowane podniesione głosy, najpierw w języku polskim, a kiedy wypowiedane słowa stawały się coraz donośniejsze,

ucięło je jedno wykrzyczane po rosyjsku przekleństwo. Na moment zapadła cisza, a po chwili mówił już tylko Rosjanin, reszta pokornie słuchała. Z początku wypowiadał się stanowczo, dobitnie, z czasem rozpalając się w przemowie, stopniowo jego podniesiony głos przerodził się w krzyk, a na końcu we wrzask, któremu towarzyszyły zdecydowane, miarowe uderzenia otwartej dłoni w blat połamanego biurka. Wszystkie żale i pretensje, nawet jeśli członkowie komisji jeszcze przed chwilą je żywili, w jednej chwili zostały zapomniane.

Po kilku minutach, kiedy wszyscy wyszli na zewnątrz, jedno spojrzenie na twarze wystarczyło, aby nie mieć najmniejszej wątpliwości, kto został zwycięzcą w tej słownej potyczce.

Pozostało zwizytować wieś. Ruszyli gęsiego: na przedzie stąpający lekko sowiecki oficer, którego awantura wprowadziła w szampański nastrój, a za nim ze zwieszonymi głowami członkowie komisji; pochód zamykał polski pułkownik, coraz bardziej znudzony całą tą wyprawą – wyjeżdżając z rana z Miasteczka, spodziewał się wesołych odwiedzin u towarzyszy radzieckich, tymczasem przyszło mu zdzierać buty, łażąc przez kilka godzin i oglądając nieciekawe poniemieckie rudery; od dawna miał ochotę czmychnąć stąd, zdrzemnąć się nad jeziorem, wystawiając twarz do wiosennego słońca, pociągnąć z piersióweczki schowanej w kieszeni munduru, ale rozkazy z samej góry, z województwa, były wyraźne: komisji nie odstępować na krok, nie spuszczać z oka ani na chwilę, więc włókł się znużony i wściekły na końcu.

We wsi wszystko zaczęło się od nowa: liczenie i inwentaryzowanie pustych chałup, a wreszcie rozmowa z tymi, którzy zdążyli się tu już osiedlić: Gruszczyńskimi, Bogdanem Żytką i cichą, skromną rodziną Sierpeckich zajmujących dom w środku wioski, po przeciwnej stronie szosy do tej, po której stał dom Piotra. Gruszczyński szczerze i chętnie odpowiadał na pytania komisji, mówił o tym, jak widzi przyszłość swoją i swojej

rodziny na Pomorzu, zachwalał poziom opanowania przez siebie kowalskiego rzemiosła, zręcznie wymigał się od opowiadania o tym, co robił podczas wojny, wplótł nawet kilka słów o entuzjazmie, a nawet zachwycie, jaki żywi wobec „demokratycznych” przemian zachodzących w Ludowej Ojczyźnie. Patrząc za komisją oddalającą się w stronę pałacu – gdzie niebawem przy zastawionych stołach towarzysze radzieccy ramię w ramię z towarzyszami polskimi szklankami spirytusu w zgodzie opili decyzję pieczętującą los, jaki przeznaczono folwarkowi – Piotr był bardzo z siebie zadowolony, dlatego z nadzieją wędrował następnego dnia na zebranie, jakie panowie w prochowcach skoro świt wyznaczili mieszkańcom wsi w kantorku buchaltera.

Zebrali się wszyscy, włącznie z dziećmi czepiającymi się matczynych spódnic. Stali, przestępując niepewnie z nogi na nogę i podpierając ściany, nawet epatujący podczas pierwszej rozmowy z Gruszczyńskim pewnością siebie Bogdan Żytko zdenerwowany miedlił w dłoniach czapkę i rzucał zagubione spojrzenia. Jedynie Piotr spoglądał przed siebie hardo, pewien dobrego wrażenia, jakie zrobił dzień wcześniej na członkach komisji, przekonany, że poszukiwany fach, który posiada w silnych rękach, gwarantuje mu świetlaną przyszłość na wydrenowanym przez Armię Czerwoną Pomorzu Zachodnim.

W otworze po drzwiach stanął mężczyzna w bryczesach, omiół szybkim spojrzeniem zebranych i pewnym krokiem kawalerzysty wszedł do środka; rzucił maciejówkę na blat tego, co pozostało z biurka, a następnie oparł się o parapet.

– Witam państwa serdecznie, nazywam się Feliks Widryński, i władze powiatowe postawiły mnie do kierowania tym folwarkiem, który od dzisiaj będziemy nazywać gospodarstwem. Udowodnionym jest, cholercia, że kolektywne, zarządzane centralnie rolnictwo – mężczyzna klepał formułki znudzonym głosem, jakby czytał je z kartki – w którym wspólna praca służy

wspólnemu celowi, daje, cholercia, dużo lepsze rezultaty niż to rozdrobnione, oparte na własności prywatnej i feudalnych jeszcze stosunkach społecznych, takie jakie funkcjonowało w sanacyjnej, przedwojennej Polsce. Życzeniem nowych władz zatem jest, aby poniemieckie junkierskie majątki na tym terenie pozostały niepodzielone i zamieniły się we wzorowo funkcjonujące gospodarstwa będące własnością Państwa Ludowego, czyli nas wszystkich. I takie właśnie, cholercia, dostałem zadanie: przeobrazić ten kapitalistyczny dwór – potoczył ręką dookoła – w sprawnie działające gospodarstwo rolne, przynoszące jego pracownikom dobrobyt. Wy obywatele, jako pionierzy, którzy przybyliście tu pierwsi, cholercia, będziecie mieli przywilej uczestniczenia w tym dziele od samego początku. Oczywiście nie zostaniecie sami, wkrótce wieś zostanie zasiedlona kolejnymi osadnikami i repatriantami. Wspólnie zadbamy o to, żeby jak najszybciej powstał tutaj mlekiem i miodem płynący, cholercia, sowchoz. Jakies pytania?

W pomieszczeniu zaległa cisza, słychać było jedynie nieśmiało, wywoływane przestępowaniem z nogi na nogę skrzypienie desek podłogowych. Zebrani usiłowali zrozumieć to, co przed chwilą usłyszeli. Docierały już wprawdzie do nich słuchy, że u komunistów wszystko ma być wspólne, obilo im się o uszy tyleż groźne, co mało zrozumiałe hasło „nacionalizacja”, ale z drugiej strony do tej pory ziemię raczej w myśl reformy rolnej parcelowano i rozdawano chłopom, niż scalano. Byli zdeorientowani i wystraszeni. Mogli jeszcze pojąć, że istnieją należące do państwa fabryki, koleje, kopalnie, stocznie, ale państwowa ziemia? Ba, całe gospodarstwa? To żadnemu z nich nie mieściło się w głowie. Chcieli o coś zapytać, ale nie bardzo wiedzieli o co. Wreszcie krok naprzód zrobił Piotr Gruszczyński.

– Ja chciałbym się dowiedzieć...

– O, jest, cholercia, pytanie z sali. Słucham.

– Bo skoro cała ziemia ma być państwowa, tak?

– Tak.

– To i budynki też?

– Też.

– A co w takim razie będzie z kuźnią?

– Ooo, dobrze, że o to pytacie, towarzyszu kowalu. – Widryński powiedział to z przekąsem, a nawet nutą irytacji w głosie. – Wy, cholercia, jako uświadomiony klasowo piewca i miłośnik komunizmu, czym zaskarbiliście sobie wczoraj sympatię przysłanej z powiatu komisji, najlepiej wiecie, że w rozwiniętym społeczeństwie środki produkcji należą do ludu pracującego miast i wsi, a te reprezentuje socjalistyczna ojczyzna. Zatem i kuźnia, i warsztaty, które tutaj stworzymy, każde narzędzie i każda maszyna, biura, domy, szkoła, las, park, jezioro i, cholercia, ryby w jeziorze, zwierzęta gospodarcze i te wolno żyjące, wszystko będzie państwowe.

– A kto będzie pracował i za co?

– Wy wszyscy. Ty, kowalu, i pozostali zostaniecie zatrudnieni w gospodarstwie. Dostaniecie pensje. To będzie uczciwa płaca za uczciwą pracę. Nie będzie czekania i modlenia się, cholercia, żeby pola obrodziły, a potem zdychania z głodu, jak przyjdzie nieurodzaj. Nie będzie spekulowania, cholercia, cenami zboża. Pracujecie rzetelnie, to równie rzetelnie wam się zapłaci, a resztą zajmie się już państwo. Jasne?

Teraz krok naprzód zrobił Żytko i nie przestając międląc czapki, spytał więznącym w gardle, łamiącym się głosem:

– To nie będzie... nic własnego?

– Będą, cholercia, żony i dzieci! – Widryński nie krył irytacji. – I koszula na grzbiecie.

– A domy? – Sierpecka stanęła obok Bogdana.

– Z domów nikt was, cholercia, nie wyrzuca. Możecie w nich mieszkać tak długo, jak chcecie – odpowiedział wymijająco kierownik.

– Ale czy są nasze? – Kobieta nie dawała za wygraną.

– Nie wiem, jakie będą ostateczne decyzje, ale na razie nie są wasze. Należą do państwowego gospodarstwa, każdy, kto będzie tu pracował, dostanie dom. Zrezygnuje, cholercia, z pracy, dom będzie musiał oddać, zajmie go jego następca. To chyba uczciwe.

– Tak, uczciwe – sarknęła Sierpecka – że trzeba oddać.

– Przecież, cholercia, za niego nie płacicie, dostajecie za darmo. Może nawet na całe życie, przecież dokąd będziecie pracować w gospodarstwie, a i później na emeryturze, możecie w nim mieszkać. Dzieci zatrudnią się w gospodarstwie, chałupa przejdzie na nie. Nie ma, cholercia, co drążyć tematu.

Mąż złapał Sierpecką za rękaw i pociągnął w tył. Cofała się niechętnie, uciszana przez męża, mamrocząc pod nosem: własne to jednak własne.

Widryński zatarł ręce wyraźnie zadowolony, że tę część dyskusji ma wreszcie za sobą i może przejść do spraw, na których zna się najlepiej i którymi tak naprawdę miał ochotę zająć się od początku. A znał się przede wszystkim na zarządzaniu gospodarstwem rolnym, na planowaniu, wyznaczaniu ludziom pracy, egzekwowaniu jej wykonania i jakości, potrafił wycisnąć z ziemi wszystko, co tylko była ona w stanie dać, w hodowli osiągał zadziwiające rezultaty. Był ekonomem z krwi i kości. Chciałoby się powiedzieć, że czegokolwiek się tknął, zamieniał to w złoto. Chciałoby, ale nie można było. A wszystko zdaniem Feliksa Widryńskiego przez stosunki własnościowe panujące dotąd na polskiej wsi.

Właściciel podlubelskiego majątku, który przed wojną Widryński postawił na nogi i którym zarządzał, był mieszkającym na co dzień w stolicy utracjuszem i hazardzistą. Odziedziczona ziemia przedstawiała dla niego wartość tylko o tyle, o ile rodziła gotówkę, którą mógł z nonszalancją rzucać na zielone sukno karcianych stolików albo wymieniać u buków na dewaluujące się w kilkadziesiąt sekund kupony podczas cotygodniowych wizyt na wyścigach konnych. Budynki, pola

i pracujący na nich ludzie nie obchodzili go ani trochę. Z Widryńskim, którego traktował z nieuważną pobłażliwością, spotykał się jedynie po to, aby odebrać pieniądze. Machnięciem ręki zbywał wszelkie jego raporty, a sugestie dotyczące ewentualnych inwestycji w gospodarstwo kwitował zawsze pogardliwym wyęcieniem ust. Dlatego zarządzany majątek, nieodporny na kryzysy targające przedwojenną gospodarką, co chwila przechodził wstrząsy, z których za każdym razem podnosił się z coraz większym trudem jedynie dzięki ekonomicznemu geniuszowi zarządcy. Widryński, czując się odpowiedzialny nie tylko za majątek, ale również za losy pracujących w nim ludzi pogardzanych przez właściciela, harując co siłą, wewnątrz buntował się przeciwko panującym na polskiej wsi stosunkom własnościowym. Teraz, chociaż komunistów – co starał się skutecznie ukryć – szczerze i z całego serca nienawidził, w nowych warunkach zwietrzył szansę na stworzenie pod swoim zarządem kwitnącego przedsiębiorstwa rolnego. Obserwując przed wojną biedne, zacofane chłopskie gospodarstwa osadzone w najlepszym razie na kilku morgach ziemi, doszedł do przekonania, że oparte na tej nędzy rolnictwo nigdy nie przyniesie mieszkańcom wsi zamożności, że reforma rolna, polegająca na parcelacji dużych majątków, to droga wiodąca w ślepy zaułek. Kilkusethektarowe, dobrze zarządzane gospodarstwa, których właściciel – pozbawiony zachcianek, butnych emocji i wad rozkapryszonej warstwy ziemian – będzie miał nieograniczone możliwości inwestowania w sprzęt i ziemię, wydawały mu się najwłaściwszym rozwiązaniem. Dlatego, chociaż w duszy nie popierał zachodzących w kraju przemian politycznych, to całym sercem zaangażował się w tworzenie państwowego gospodarstwa rolnego we Wrześniowie, szczęśliwy tak naprawdę, że komunistyczne władze, pomimo budzącego wątpliwości pochodzenia klasowego, dały mu taką możliwość.

– Zatem już jutro, cholercia – kierownik z podnieceniem

przeszedł do spraw organizacyjnych – przyjedzie do nas pan Chrobak, który zostanie kadrowym i księgowym w jednej osobie. Podpisze z wami umowy. Wówczas, cholercia, zostaniecie pełnoprawnymi pracownikami gospodarstwa. Jednak zanim się to stanie, chciałbym z każdym z was porozmawiać indywidualnie. Poznać wasze mocne strony, oczekiwania i, cholercia, nastawienie, a potem zaproponować stanowisko i wyznaczyć obowiązki. Oczywiście przymusu nie ma, kto nie chce z nami pracować, może opuścić chałupę i iść, gdzie go oczy poniosą. Czy ktoś się rozmyślił? – Potoczył groźnym spojrzeniem po twarzach zebranych. – Nikt? To, cholercia, znakomicie. Zanim nadejdą sprzęt i ludzie – kontynuował rozemocjonowany Widryński – które powiat obiecał jak najszybciej przysłać, zajmiemy się tym, co możemy zrobić bez narzędzi, czyli porządkiem. Musicie państwo wiedzieć, że nie toleruję, cholercia, niechlujstwa, bałaganiarstwa i brudactwa. Bo wiadomo, gdzie w obejściu brud i nieporządek, tam bałagan w głowie i w robocie. Dlatego na początek weźmiemy się za sprzątanie. A kiedy już się z tym uporamy, priorytetem będzie, cholercia, ten ład i porządek utrzymać, w tym celu, w każdy piątek, wszyscy pracownicy, bez względu na piastowane stanowisko, czy kto kował – wycelował palec w Gruszczyńskiego – czy dojarka, czy pracownik z pola, będzie uczestniczył, cholercia, w kolektywnym sprzątaniu. Będziemy zamiatać podwórze, wrywać chwasty, zbierać śmieci. U mnie nic nie będzie się, cholercia, walać. Pierwsze zadanie dla wszystkich państwa, na już: sporządzić sobie z witek brzozowych miotły. – Popatrzyli na siebie zdezorientowani. – Ja mówię poważnie, cholercia. Proszę tak nie stać. Do roboty. – Widryński zaczął machać rękoma, wyganiając ludzi z pomieszczenia, jakby zaganiał kury. – Aha – krzyknął za wychodzącymi, stając w progu i zakładając na głowę maciejówkę – byłbym zapomniak: nasze gospodarstwo, nasza wieś będzie od teraz nazywała się Wrześniowo!

Zgodnie z zapowiedziami Widryński wziął się do organizowania gospodarstwa z ogromną energią: nie było tygodnia, żeby nie zasypywał powiatu zamówieniami na sprzęt i fachowców. Ponieważ brakowało we Wrześniowie wszelkich narzędzi, a wieś była niemal bezludna, wypełniane przez kierownika kancelaryjnym pismem listy potrzeb piętrzyły się w niekończące kolumny, co z początku zdumiewało, potem śmieszyło, a w końcu irytowało powiatowych urzędników. Mimo to wysyłali do organizującego się gospodarstwa kolejne wchłaniane przez wieś niczym gąbka transporty. Jechało to, co wciąż zapomniane zalegało w dworcowych magazynach, a czego Armia Czerwona nie zdążyła jeszcze wysłać na wschód: jechały produkty odradzającego się po zniszczeniach wojennych przemysłu, jechały sprzęty zarekwirowane w ziemiańskich i magnackich rezydencjach i majątkach, a wraz z ruchomościami jechali ludzie, coraz więcej wrześniowieckich chałup zyskiwało nowych lokatorów, a gospodarstwo – następne gotowe do pracy pary rąk. Zwieńczeniem wysiłków Widryńskiego był dzień, w którym na wielkiej ciężarówce przy asyście powiatowych władz do wsi przybył zielony ciągnik rolniczy. Można było ruszać w ugorowane do tej pory pole i stawić czoło zadaniom wytyczonym gospodarstwu w ramach ogólnonarodowego planu trzyletniego.

Słowa wypowiedziane przez kierownika podczas pierwszego zebrania wprawiły Piotra Gruszczyńskiego – podobnie jak wszystkich obecnych – w zdumienie, a potem poczuł rozczarowanie – przecież miał mieć wreszcie własną kuźnię, o której marzył, a tymczasem okazało się, że znów będzie pracował u kogoś – jednak kiedy w drodze powrotnej do domu głębiej nad nimi się zastanowił, odczuł ulgę. Bo cóż tak naprawdę dla niego oznaczały? Będzie miał solidny dach nad głową, będzie miał pracę, a że nie na własnym? Tym lepiej. Po pierwsze, od dawna wszyscy powtarzali, że nie ma to jak praca na

państwowym, perspektywa pewnych poborów, jak w urzędzie, a pracodawca na pewno nie ogłosi plajty, po drugie wreszcie, uwolni się od wyborów, wreszcie ktoś będzie za niego podejmował decyzje, co, gdzie i jak ma robić; przyjdzie zamówienie, odrobi swoje, osiem godzin i do domu, a jak nie pojawią się zamówienia, to posiedzi na kowadle, podłubie w nosie i też po ośmiu godzinach wróci sobie do chałupy, a pierwszego odbierze pensję i niczym nie będzie musiał się przejmować. Tak, zanim Piotr dotarł do domu, już czuł, że praca w państwowym gospodarstwie przyniesie dużo więcej korzyści i świętego spokoju, którego wraz z rodziną tak bardzo potrzebowali, niż niepewna harówka na swoim.

I rzeczywiście od tej pory wszystko zaczęło dla Gruszczyńskiego układać się znakomicie. Jego entuzjazm sprawiał, że nowo przybyli lgnęli do niego, widząc w kowalu naturalnego przywódcę, wszyscy liczyli się z jego zdaniem, zasięgali rady, doszło do tego, że niekiedy pytali go o zgodę na zrobienie tego czy owego, a on zazwyczaj tej zgody chętnie udzielał, nawet podchodzący z początku do Piotra z rezerwą kierownik Widryński z czasem docenił jego zaangażowanie i motywujący wpływ na resztę załogi. Także władze powiatowe nie zapomniały uwagi, z jaką wypowiadał się podczas pierwszej inspekcji o zmianach zachodzących w kraju. Podczas dwóch kolejnych wizytacji członkowie powiatowego aktywu chętnie zamienili z kowalem kilka słów, wysłuchali jego uwag na temat funkcjonowania gospodarstwa, opinii o kierowniku i innych pracownikach biura, zdania o nastrojach panujących wśród załogi, wszystko skrzętnie notując. Podczas ostatniej wizyty zaczęli nawet namawiać Gruszczyńskiego do zapisania się do partii ludowej, oczywiście tej właściwej, i jeszcze intensywniejszego włączenia w nurt przemian w kraju. Wahał się. Wolałby, żeby zrobił to ktoś za niego, żeby członkostwo w organizacji było obowiązkowe, a nie wiązało się ze składaniem

deklaracji, podpisów. Zwlekał. Ale i bez tego rola Gruszczyńskiego we wsi, wśród sąsiadów rosła z tygodnia na tydzień. Nie miał wrogów. Nawet usunięty przez niego w cień Bogdan Żytka, będący tu w końcu najdłużej, bez protestu przyjął rolę „drugiego we wsi”, chętnie przestając z kowalem i tocząc z nim długie męskie rozmowy o wszystkim i o niczym. Połączyło ich coś na kształt, może nie aż przyjaźni, ale na pewno szorstkiego koleżeństwa. W domu nareszcie wszyscy byli zadowoleni; odkąd zamieszkali we Wrześniowie, i Matylda, i dzieci poczuli ulgę, w końcu nikt nie zaglądał im w metryki. Chłopaki rośli na schwał, Franek kończył już czternasty rok, a kiedy tylko wracał z zajęć z organizowanej w Trójczynie szkoły, chętnie przychodził pomagać ojcu w kuźni. Józio w wolnym czasie wolał z innymi dziećmi biegać po lesie i chodzić nad jezioro i, podobnie jak ojciec, wyrastał na herszta grupy. Ale oczkiem w głowie Gruszczyńskiego była sześciolatnia Irenka, którą, tak surowy na co dzień dla chłopców, rozpuszczał bez umiaru, a słodki trzpiot wykorzystywał tę słabość rodzica, dosłownie i w przenośni wchodząc mu na głowę. Każdego dnia Matylda zabierała ze sobą dziecko i szła do gospodarstwa przygotowywać oborę na przyjęcie krów, które miały zostać przysłane do Wrześniowa lada dzień, a Irenka urywała się spod matczynego oka i ruszała w codzienny obchód wsi, zaglądając po kolei do wszystkich chałup, gdzie mieszkańcy, pamiętający, z czym dzieckiem mają do czynienia, ale i ujęci urokiem dziewczynki, przyjmowali ją z uśmiechem, częstując pajdą chleba z cukrem, pozwalając psocić i dokazywać. Rodzina była zadowolona. A on, Piotr? A on był szczęśliwy z tego, jak jest i pragnął, aby tak pozostało jak najdłużej.

*

Piotr spojrział na ściągniętą lękami, zniechęconą twarz Michała Pudły; tak, wszystko układało się znakomicie, dokąd we wsi nie pojawiła się ta ukraińska gnida. Pamiętał doskonale ten dzień, kiedy do kuźni wpadł zdyszany Franek i od progu zawołał: Tata, Ukraińce przyjechali do wsi! W Piotra jakby piorun trafił, obrócił się w stronę syna, a młot wypadł mu z ręki, uderzając z hukiem w kowadło, i spadł na ziemię.

– Coś ty powiedział? – Zrobił krok w stronę chłopaka, złapał go za ramiona i potrząsnął. – Czy ty wiesz, co ty mówisz?!

– Niech tata zostawi, ja tylko mówię, com usłyszał.

– Co takiego?!

– No że nowi przyjechali, i we wsi mówio, że ony to Ukraińce.

– Wielu?

– Nie, chłop, baba i dzieci...

– Jedna rodzina?

– Tak.

– To zobaczymy, jak długo zagrzeją tu miejsce. – Gruszczyński odyskiwał rezon. Cofnął się w głąb pomieszczenia i usiadł na kowadle. – Synu, chodź tutaj i posłuchaj uważnie. Cokolwiek się stanie – ujął chłopaka ponownie za ramiona i mówił mu spokojnie, ale stanowczo prosto w twarz – ty masz całe to plemię nienawidzić, rozumiesz? Masz nienawidzić każdego Ukraińca z całego serca, ale najbardziej tych, którzy chcą zostać twoimi sąsiadami. Pamiętaj i nie zapomnij tego nigdy: od nich nic dobrego cię nie spotka, zrobią ci krzywdę, kiedy tylko nadarzy się okazja. Masz ich unikać i uprzykrzać im życie, jak tylko się da, aż wreszcie się stąd zabiorą i wrócą na tę swoją przeklętą Ukrainę. Zrozumiałeś?

– Tak, tato, zrozumiałem.

– Na pewno?

– Niech się tata nie martwi, na pewno. – Franek spojrział ze strachem na ojca. – Mam nienawidzić plemienia z całego serca, i wie tata, jak ja tak sobie pomyślę, to już ich nienawidzę.

– Zuch chłopak! – Gruszczyński poklepał syna po policzku, aż skóra zrobiła się czerwona.

Franek wybiegł z kuźni, a siedzący na kowadle Piotr zaczął rozmyślać. Dotąd sądził, że „problem ukraiński” ma już za sobą, że wyjazd na Pomorze odsunie go od tego narodu na tyle daleko, że nie będzie musiał mierzyć się z nienawiścią, jaką zrodziły w nim opowieści Mykoły, który broczący krwią, charczący i wierzgający zdrową nogą, stawał mu od czasu do czasu przed oczami, a niekiedy nawiedzał we śnie. Piotr nie odczuwał wyrzutów sumienia, potrafił sobie wytłumaczyć, że pchnięcie bagnetem, jakie zadał, choć w rzeczywistości wyprowadzone jego dłonią, tak naprawdę pochodziło od dusz wszystkich tych, których krew Mykoła nosił na rękach. Gruszczyński, niczym mściciel, wystąpił w ich imieniu, a kto wie, może również w imieniu tych wszystkich, których młody kaleka skrzywdziłby jeszcze w przyszłości. Potwierdzały to zasłyszane z radia, a także z opowieści krążących w biurze i podawanych potem we wsi z ust do ust historie o zbrodniach popełnianych przez UPA w Bieszczadach, o walkach, jakie toczyło z bandami wojsko, wreszcie o krwawym zamachu na generała Waltera. To wszystko sprawiało, że Gruszczyński utwierdzał się w przekonaniu, że pozbywając się Mykoły, postąpił słusznie, nie czuł z tego powodu rozterek, wiedział również, że nikt nie powiązał z nim tej śmierci, a chwalić się przed kimkolwiek nie miał zamiaru, mimo to obrazy powracały i nic nie mógł na to poradzić. Na szczęście zamordowany Ukraińiec ostatnio odwiedzał go jakby rzadziej.

Ufny w siły armii, która lada chwila miała zgnieść siły ukraińskiej reakcji, ogniem wypłenić z kraju zbrodnicze nacjonalistyczne bandy, Piotr był przekonany, że wraz z tym, jak kłopot zostanie rozwiązany w skali kraju, tak również dla niego przestanie on istnieć. Z radością powitał plotkę, jakoby na najwyższych szczeblach władzy postanowiono poradzić sobie z ukraińskim problemem w sposób najprostszy z możliwych, po

prostu wyganiając całą ich populację z domów w Bieszczadach, a tym samym odcinając bandy od naturalnego zaplecza, i w ten sposób pozbyć się kłopotu raz na zawsze. Jakież było jego rozczarowanie, kiedy dowiedział się, że transporty z wysiedleńcami zamiast podążać na wschód, za granicę, skierowały się w dokładnie przeciwnym kierunku i coraz więcej pomorskich osad, wiosek i miasteczek „obdarowywano” osiedlanymi tu rodzinami ukraińskimi. Tak było już niemal w każdej gromadzie, szczęśliwie dla Gruszczyńskiego do tej pory plan nowych zasiedleń omijał ich wieś. Miał nadzieję, że tak pozostanie. Do dziś.

Dlaczego kiedy wszystko doskonale się układa, zawsze coś musi się spieprzyć, filozofował Piotr. Po co przyjechali tutaj ci bandyci? Spokojnie, już ja sprawię, że odechce im się u nas mieszkać... Tylko z drugiej strony, czy oni przyjechali tu z własnej woli? Czy właśnie chcą u nas mieszkać? Chyba nie. Przecież podobno wysiedlono ich siłą. Już lepiej trzeba by sprawić, żeby to władze nie chciały ich tu dłużej trzymać. Przycząć się, czekać okazji, a na razie uprzykrzać życie, jak tylko to możliwe.

Ale najpierw należało przyjrzeć się nowym Ukraińcom z bliska. Z pozoru zwyczajna rodzina, młoda jeszcze, z małymi dziećmi. Jednak Piotr pozorom nie dawał się zmylić. O nie! On wiedział swoje. Doskonale zdawał sobie sprawę, że kiedy tylko nadarzy się okazja, kiedy tylko będzie taka możliwość, w tych ludziach obudzą się mordercze instynkty, że znowu będą „rizani Lachiw”, jak mawiał Mykoła. Pudłowie stanowili w wiosce problem i tego problemu należało jak najszybciej się pozbyć.

Kłopot polegał na tym, że nowi okazali się uroczymi młodymi ludźmi, pracowitymi, pomocnymi, pełnymi, mimo trudnej sytuacji, optymizmu. Szczególnie Michał wzbudzał sympatię. Krecią robotę zrobił Czyżyk, który do nowych jako pierwszy wyciągnął rękę. Część z podburzanych przez Piotra mieszkańców

wsi niestety poszła w jego ślady i mimo napomnień, przestróg, nieraz nawet grózb ze strony Gruszczyńskiego zaczynała wchodzić w normalne dobrosąsiedzkie stosunki z Pudłami. Jedność mieszkańców wioski zaczęła pękać, a bez tej jedności zastosowane przez Gruszczyńskiego i wciąż licznych jego wyznawców szykany wobec Ukraińców przestawały być skuteczne. Przysłowiowy nóż w plecy wbił Piotrowi Bogdan Żytko, który pewnego dnia podszedł do Michała i jak gdyby nigdy nic rozpoczął z nim pogawędkę. Piotr nie wiedział, czy wynikało to z zadawnionej zadry, jaką Bydgoszczak, odsunięty w wioskowej hierarchii przez kowala na drugi plan, nosił od pewnego czasu w sercu, czy miał być to jakiś sposób odegrania się na nim, montowania swojego obozu, czy po prostu prostolinijna natura pierwszego osadnika wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem i kazała mu szukać koleżeństwa tam, gdzie akurat pod żadnym pozorem nie powinien tego robić. Dość, że za nim poszli kolejni. Piotrowi zaczynał palić się grunt pod nogami. Do tej pory był najważniejszą postacią we wsi. Teraz grono jego wielbicieli niebezpiecznie się skurczyło. Wprawdzie ci, którzy pozostali mu wierni, byli mu również bezgranicznie oddani, jednak – kowal to czuł – oczekiwali od niego jakiegoś zdecydowanego działania, jakiegoś ruchu, który tę wierność by im wynagrodził, który by sprawił, że ci, którzy wybrali pojednawcze gesty wobec nowo przybyłych, zawstydzeni, z podkulonymi ogonami, czując, że dostali bolesną nauczkę, wróciliby do ich obozu. Bo Piotr zauważał, że wieś właśnie zaczyna dzielić się na dwa obozy i procesu tego nie potrafił powstrzymać. Byli ci skupieni wokół niego i grupa zadająca się z Ukraińcami, a pomiędzy tymi obozami krążył Bogdan Żytko, nic nierobiący sobie z podziałów i niesnasek. Piotr, choć zapałał teraz do niego niechęcią, wiedział, że przeciw Bogdanowi nie może jawnie wystąpić, przynajmniej na razie, jego pozycja we wsi, szacunek, jakim się cieszył, wciąż były zbyt silne, aby

ryzykować z nim otwarty konflikt. Dlatego Piotr starał się nie dostrzegać – jak u innych – zażyłych stosunków łączących Bydgoszczaka z Pudłami i dalej toczyć z nim dyskusje, w których zdarzało im się nie zgadzać, ale nigdy kłócić.

Dużo lepiej niż u dorosłych przedstawiały się sprawy – z Piotra perspektywy – pośród dzieci. Prym wiódł Józio (Franek powtarzał, że tak jak ojciec kazali, nienawidzi całego plemienia, jednak w sprawy pomiędzy gówniarzami nie będzie się mieszał, i zajmował się czubkiem własnego nosa), który skutecznie podburzał wioskową bandę dzieciaków przeciw Ukraińcom. Było wprawdzie kilkoro maluchów, które nie rozumiejąc, o co w całym tym konflikcie chodzi, od czasu do czasu próbowało się bawić z Adaśkiem i jego maleńką siostrą, ale tych Józiovi udawało się po prostu zastraszyć, czasem wystarczyło groźne słowo, a czasem trzeba było sprzedać kuksańca pod żebro albo wymierzyć karczycho lub blachę w czoło – Józio Gruszczyński dysponował dostatecznym arsenałem. Mały Pudło był wdzięcznym obiektem do prześladowań. Słabszy, młodszy, mówiący z jakimś dziwnym zaśpiewem, był nękany fizycznie i psychicznie. Gdziekolwiek pojawił się sam, był obiektem żartów ze strony innych dzieci, a na koniec zazwyczaj spotkanie z nimi kończyło się biciem. Adaśko wiedział już, że nie może sam zapuszczać się nad jezioro i do lasu, bo grozi to kolejnym laniem. Bawił się już tylko na podwórzu i w folwarku, w miejscach, gdzie gdyby znów stał się obiektem napaści ze strony dzieci, mógł liczyć na ewentualną interwencję i pomoc dorosłych.

*

Że też musieli zacząć się z tej strony, gorączkował się w myślach Gruszczyński. Że też akurat dzisiaj jestem sam w kuźni. Że nikogo tutaj ze mną nie ma. Byłoby prościej.

Dziś z rana jak co dzień ruszył do roboty. Nic nie wskazywało na to, że dzień miałby się różnić czymkolwiek od pozostałych. Uderzany lodowatymi podmuchami wiatru szedł przez wieś. Kątem oka zauważył kręcącego się po swoim podwórzu Pudłę. Starając się nie patrzeć w jego stronę, splunął pod nogi, po czym roztarł podeszwą płwocinę na brukowym kamieniu. Folwark był niemal zupełnie wyludniony, pracownicy zajęci przygotowaniami do zimy rozeszli się we wszystkie strony, a kierownik załatwiał jakieś sprawy w powiecie, Piotr spostrzegł jedynie traktorzystę Mietka uwijającego się koło swojego sprzętu; coś tam dokręcał wielkim kluczem pod maską ciągnika, zanurzony w nim górną połową ciała. Gruszczyński wyminął go, stąpając cicho i starając się nie zwracać na siebie uwagi. Już dawno temu powinien dorobić mu piastę do łożyska, był do tego nawet zobowiązany, kierownik dopominał się o to od kilku dni, ale Mietek trzymał się Ukraińców i ludzi z nimi związanych, w szczególności Czyżyka, w towarzystwie którego osuszył niejedną butelkę, dlatego Piotrowi niespieszno było z wykonaniem dla niego tego zlecenia. Poczeka, poniecierpliwi się troszkę, nic mu się nie stanie, myślał kowal, skruszeje, zobaczy, kto tu rządzi i co kierownik mi może. We włosy wplątał mu się niesiony wiatrem liść. Wysupłał go i przyglądał niesforny, powiewający kosmyk grzywki. Specjalnie nie wziął ze sobą czapki, na tym wietrze trudno byłoby ją utrzymać na głowie; a jeden kapelusz już stracił na wiosnę, kiedy szedł do kościoła, a nad wsią rozszalała się wichura. Poderwane podmuchem nakrycie głowy niczym latający talerz poszybowało w stronę pałacu, przesadziło płot i miękko wylądowało na podjeździe. Przed budynkiem nie było nikogo. Piotr nawet przez chwilę rozważał, czy nie przesadzić ogrodzenia, by odebrać zgubę, ale nie podjął tego ryzyka. Oddadzą, pomyślał. Nie oddali.

Stanął przy zamkniętych na ciężką kłódkę drzwiach kuźni i zaczął majstrować kluczem w zamku.

– E, Poznaniak! – Przebijając się przez świszczący wiatr i niosące się znad jeziora śpiewy, doleciał do niego męski głos. Odwrócił się, Mietek stał na kole traktora i machał w jego stronę. Piotr kiwnął do niego głową. – Co z moją piastą, kurwa?!

Gruszczyński machnął lekceważąco ręką i wszedł do wnętrza kuźni. Poczul tak bliski sercu swąd przepalonego koksu, pociągnął nosem, teraz nozdrza podrażnił mu wierzący zapach metalowych opiłków. Rzucił na palenisko kilka drewnianych smolnych szczap, na nie szufelkę koksu, przyłożył zapalkę, a następnie wdusił przycisk uruchamiający elektryczny miech. Rozgrzewało się palenisko, postanowił rozgrzać się też Piotr. Włożył rękawice, ujął młot i uderzył nim kilka razy w bitnię kowadła. Pomieszczenie wypełniło się ogłuszającym hukiem. Kowal uderzył jeszcze raz, i kolejny. Nagle pomiędzy wysokie dźwięki bijącego o metal metalu wdarł się do wnętrza inny szarpiący uszy odgłos, który następnie przetoczył się echem po jeziorze. Piotr zamarł i nasłuchiwał. W jednej chwili nad folwarkiem zapanowała cisza. Nagle od strony pałacu zaterkotała – Gruszczyński był teraz tego pewien – seria z automatu. Co jest, pomyślał, i ostrożnie zbliżył się do drzwi, wystawiając głowę. Z początku nic nie mógł spostrzec, aż wreszcie pomiędzy tracącymi poźółkłe liście gałęziami kasztanowców targanymi wiatrem zauważył w górze ognik, a wraz z jego pojawieniem się nad folwarkiem przeleciał trzask wystrzałów. Teraz widział wyraźnie pałacową wieżę, a na niej chwiejącego się, pijanego czerwonoarmistę wypatrującego celu.

Do kogo on tak praży, zastanawiał się Piotr, chowając głowę z powrotem do wnętrza kuźni; dywersantów, szabrowników, a może tak sobie dla zabawy? Żeby nie trafił tylko kogoś przez przypadek. Chociaż gdyby walnął w Pudłę, nie byłoby wielkiej straty, zatarł ręce. Usiadł, jak to miał w zwyczaju, na kowadle i zaczął zwijać tytoń w kawałek gazety, czując się, pomimo świszczących nad gospodarstwem kul, bezpiecznie za grubymi

ścianami swojego schronu. Minęło kilkanaście minut, a kanonada nie ustawała. Z początku zaciekawiony, jak cała rozróżba się zakończy, Piotr wreszcie znudził się i już miał ponownie chwycić za swój kowalski młot, gdy przez okno, na tyłach kuźni usłyszał jakieś szmery, delikatne szurania. Tym razem się wystraszył, czyżby Sowieci jednak szykowali się do pacyfikacji wsi albo może ten strzelec celował jednak do jakiegoś patrolu partyzanckiego? Któż to mógł być? Niemcy, amerykańscy dywersanci, a może leśni. Cicho, najciszej jak potrafił, podszedł na palcach do okna, po czym przesuwał się centymetr po centymetrze, zbliżył lewe oko do futryny. Zobaczył cztery leżące na brzuchu w krzakach postaci. Obcy? Raczej nie! Przyjrzał się dokładniej. Nie mógł się mylić. Najbliżej kuźni leżał Mietek, traktorzysta! A zaraz za nim... Pudło, ściskający w dłoni karabin! Dwóch kolejnych, zasłoniętych gałęziami postaci nie udało mu się rozpoznać. Co się tu działo? Czyżby? Piotr spojrział jeszcze raz. Tak, Michał mierzył do Ruskiego!

Gruszczyński przykucnął i ustawił się w taki sposób, aby widzieć jednocześnie leżących w krzakach i pałacową wieżę. Mijały sekundy, Piotr widział dokładnie zaciśnięte oczy Pudły, palec drgający obok spustu, a nawet stróżkę potu spływającą mu po skroni. Nagle w ciszy, która spowila folwark, rozległ się dziecięcy pisk, Michał otworzył prawe oko, powietrze przeciął trzask wystrzału. Jeden. Piotr przeniósł wzrok na wieżę. Sołdat stał dokładnie w tym samym miejscu co przed chwilą, upuścił pepeszę, powoli, wyciągając ręce przed siebie, zrobił dwa chwiejne kroki w stronę wieńczących wieżę krenelaży, przechylił się przez jeden z zębów i z szeroko rozłożonymi ramionami runął w dół. Leciał sekundę, dwie, przetoczył się przez spadzisty dach, znów spadał, uderzył w balustradę dolnego tarasu, przekoziółkował i wreszcie z głuchym plaśnięciem upadł na trawnik.

Zaległa cisza, jakiej Piotr Gruszczyński nigdy wcześniej nie

słyszał. Spojrzał na Michała Pudłę. Ukraińiec nie poruszał się, oparłszy czoło o kolbę karabinu, pozostała trójka również leżała nieruchomo. No toś się bratku, wpierdolił, pomyślał kowal, już Ruscy z tobą zatańczą. A może wpierdoliłeś nas wszystkich, rozejrzał się trwożliwie dookoła. No tak, poza nim nikt nie widział, kto strzelał, ciężar odpowiedzialności spadnie na całą wieś. Doświadczenie uczyło, że Sowietci w takich przypadkach nie patyczkowali się, Wrześniowu groziła bezwzględna pacyfikacja i dwa lata względnego spokoju, jakimi cieszyła się w ostatnim czasie okolica, nie miały tu nic do rzeczy, to Armia Czerwona była panem tego terenu i, Gruszczyński był tego pewien, nie pozwoli na bezkarne strzelanie do swoich żołnierzy. A może... Nadarzała się znakomita okazja do pozbycia się tej ukraińskiej świni. Wystarczy jedno słowo... Kolejny dobry uczynek: mógłby uratować wieś i jednocześnie usunąć z niej zakałę, która nie tylko psuła atmosferę, ale również była dla mieszkańców niebezpieczna. Z drugiej strony to jednak człowiek, nie zwierzę, jak Mykoła, tylko człowiek, którego jedyną do tej pory przewiną było to, że był Ukraińcem. To wiele, ale czy wystarczająco dużo, żeby wystawić go na pewną śmierć? Dylematy, wybory, jak Piotr tego nienawidził!

Wyglądał przez okno i starając się nie zdradzić swojej obecności, przyglądał się Michałowi, widział pot zalewający mu czoło, potem, gdy uniósł głowę, patrzące przed siebie przerażone oczy. Piotr szukał w sobie uczuć, które pchnęłyby go do działania albo przeciwnie, powstrzymały od niego, ale nie potrafił znaleźć ani tak silnej nienawiści, ani litości i zrozumienia. Od jeziora zaczęły dobiegać zdenerwowane głosy. Pudło podniósł się i teraz Gruszczyński mógł wreszcie dostrzec jego towarzyszy. Czyżyk i Żytko. Mógł się tego spodziewać.

– Ukryjcie broń – do uszu Piotra dotarł teatralny szept Bogdana – ja pobiegnę do folwarku zobaczyć, co z dziećmi.

Gruszczyński cofnął głowę i oparł rozgrzany policzek o zimną,

ceglaną ścianę. A gdyby jednak poszedł, powiedział, jak wieś to przyjmie? Czy posądzi go o donosicielstwo, czy mimo wszystko uzna, że uratował pozostałych od znacznie gorszych konsekwencji? Szlag, szlag, szlag, pieklił się w duchu, dlaczego ja, czemu mnie to spotyka, gdyby był chociaż czas poradzić się Matyldy. Ale tego czasu nie było. Znowu wyjrzał ostrożnie przez okno. Kilku czerwonooarmistów przyszło znad jeziora i pochyliło się nad trupem. Coś sprawdzali, o czymś z ożywieniem dyskutowali. Nagle jeden ukląkł nad zastrzelonym, po czym podniósł się i wyciągnął w stronę kolegów zakrwawione dłonie, coś krzyczał, obracając się po kolei do każdego ustawionego w kole żołnierza. Reszta kiwała ze zrozumieniem głowami. Teraz ten z czerwonymi rękoma, nie przestając gardłować, pokazywał palcem w stronę wsi. Piotr zamarł, tym razem nie miał chyba nad czym się zastanawiać, wyglądało na to, że niezbyt pewnie stojący na nogach krzykacz namawia kompanów do rozprawienia się z mieszkańcami wioski. Wybór stawał się prosty, albo Michał Pudło, albo cała reszta wsi, on albo my. Sam się skazał, naciskając spust, czy ktoś go o to prosił? Wystarczyło się schować, przeczekać spokojnie, Rusek postrzelałby, postrzelał i w końcu by mu się znudziło, przecież nie od dziś wiadomo było, kto został zwycięzcą w ostatniej wojnie, i komu jako zwycięzcy należą się specjalne prawa i traktowanie, reszta mogła co najwyżej poprzyglądać się, kiedy triumfujący żołdaci mieli ochotę się zabawić. Pudło, zamiast zwiesić łeb jak cała reszta, złamał zasady, teraz będzie musiał ponieść konsekwencje. Piotr uniósł młot wysoko nad głowę i z całych sił cisnął nim o kowadło. Poczul ulgę, poczul się rozgrzeszony. To nie jego wina, winien jest Michał Pudło. Nie czekał dłużej, wyszedł przed kuźnię i z podniesionymi wysoko rękoma ruszył w stronę ogrodzenia oddzielającego teren zajmowany przez czerwonooarmistów od folwarku.

– Czego? – rzucił w jego stronę pierwszy żołnierz, który go

zauważył.

– Wiem, kto strzelał – odpowiedział Gruszczyński, nie opuszczając rąk.

– Żdi zdies’ – odpowiedział żołdat i podszedł do swoich. Chwilę się naradzali, wreszcie, machając lufą pepeszy w stronę zamkniętej zazwyczaj furki, żołnierz krzyknął: – Podojdi!

Piotr podszedł i nacisnął klamkę. Zamek nie odpuścił. Spróbował jeszcze raz i znowu nic. Naparł barkiem. I tym razem bezskutecznie.

– Odsuń się! – krzyknął czerwonoarmista, który w międzyczasie podszedł z drugiej strony. Żołnierz wziął kilka kroków rozpędu, wyskoczył w górę i kopniakiem uderzył w furtkę, która ustąpiła i otworzyła się z żalosnym skrzypieniem zawiasów. Rozochocony mały żołdat chwycił kowala za kołnierz – aby to zrobić, musiał niemal wspiąć się na palce – pchnął go z zadziwiającą siłą w stronę pozostałych żołnierzy, po czym poprawił kopniakiem. Gruszczyński stracił równowagę i runął na zaniedbaną trawę.

– Wstawaj, bo cię ubiję. – Mały ściągnął pepeszę z pleców.

Piotr podniósł się natychmiast i truchtem zbliżył się do reszty żołnierzy.

– Czego chcesz? – Krok w jego stronę zrobił ten z umazanymi krwią rękoma.

– Wiem, kto zastrzelił waszego kolegę.

– No i co z tego?

– Jak to co? – Gruszczyński rozejrzał się zdezorientowany dookoła. Poczul silny zapach alkoholu unoszący się nad głowami czerwonych. – Możecie go dopaść.

– Dopadniemy was wszystkich. Nie będziemy się z wami patyczkować. Odpowie cała wieś.

– Spokojnie, Wiktor, tak nie można – odezwał się jeden z żołnierzy.

– Nie można? – Wiktor pokazał upačkaną ręką na

nieboszczyka. – Zastrzelili Waškę. Tak można, a nam nie można. Tak? A kto mi zabroni? Ty?

– Ja nie, ale dowódca.

– Dowódca? A gdzie on?

– Wiktor, uspokój się, przecież dobrze wiesz, że nie możemy spalić wsi bez zgody dowódcy – powiedział żołnierz o azjatyckich rysach.

– A na chuja mi potrzebny dowódca? Widzisz, co z Wašką zrobili? – Pokazał ręką na roztrzaskaną głowę trupa. – Polscy faszyści! Nie muszę mieć zgody dowódcy, żeby zrobić tu porządek.

– Dwa lata temu pewnie, że nie, ale teraz jest inaczej. Niech nam lepiej pokaże, który to, zabierzemy go po cichu i zrobimy z nim w lesie co trzeba. Nikt się nie zorientuje.

Gruszczyński z napięciem nasłuchiwał, jaki będzie finał kłótni między żołnierzami, tymczasem pomiędzy kolejnymi gwizdami szalejącego wiatru dało się usłyszeć daleki warkot motoru. Pochłonięci zapalczywą dyskusją czerwonoarmiści zdawali się tego nie słyszeć.

– Towarzysze, nie tak szybko – powiedział najstarszy z żołnierzy, któremu potężne wąsiska zasłaniały usta. – Waška sam był sobie winien. Po co pijany włąził na wieżę i strzelał?

– Co?! – wrzasnął Wiktor. – To już nawet postrzelać sobie nie można?! Kto, kurwa twoja mać, wygrał tę wojnę?! Wszyscy już zapomnieli? Kto krew oddał? My czy ta polska swołocz?

Pozostali z aprobatą pokiwali głowami.

– Ty, stary, lepiej się zamknij – odezwał się mały, który wpuścił Gruszczyńskiego na teren pałacowego parku – sam najgłośniej rżałeś, jak Wiktor zaczął walić. Wiesz dobrze, że każdy ma prawo się zabawić. A choćby nawet i postrzelać.

– Ale nie do ludzi...

– Trafił kogoś? Chyba nie. Więc mówię ci, siedź cicho, bo oberwiesz po gębie.

– Zrobimy tak – zakomenderował ten ze skośnymi oczami – pójdziemy do wsi po tego bandytę, który strzelał. Jak będzie siedział z kumplami, to też ich zabierzemy. Jego do lasu, a z resztą się zobaczy. Gdyby ktoś się opierał, to lejemy po gębach bez litości.

– Lepiej niech cała reszta wiochy siedzi w chałupach – zapowiedział Wiktor. – Ostrzegam, jak się który wychyli, to łeb odstrzełę.

– Dobra. Ustalone. Maksym, Dima i Kola, wy biegnijcie po pistolety i linę. Mocną. – Wydawał polecenia milczący dotąd blondyn o pełnych ustach. – Aha, i weźcie parę worków, żeby na łby zarzucić. Ty, stary, zostajesz.

– Nie, idę z wami.

– Zostajesz, powiedziałem. Rusz się, a inaczej pogadamy – zasyczał blondyn, sięgając po długi kozik, który miał przytroczony do pasa. – Nie jesteś nam tam potrzebny. – Obrócił się w stronę Gruszczyńskiego i wskazał go nożem. – Ty, Polaczek, poprowadzisz.

Trzech czerwonoarmistów pognało w podskokach w stronę pałacowego tarasu. Ryk silnika stawał się wyraźniejszy. Teraz żołnierze nie mogli już go nie usłyszeć. Wszyscy obrócili się w stronę folwarku i na ich twarzach odmalował się lęk. Z góry zjeżdżał willys, którym kierował lejtnant. Mały popędził otworzyć bramę. Auto z impetem wpadło za ogrodzenie i z piskiem zatrzymało się na podejździe. Dowódca wyskoczył, stukając oficerkami o bruk.

– Co tam, moje zuchy? – zawołał do żołnierzy, był w doskonałym nastroju. – Mam wspaniałe wieści, niedługo wracamy do ojczyzny. Zaraz zrobimy odprawę, to wszystko wam, towarzysze, opowiem.

Zamiast oczekiwanego przez oficera wybuchu entuzjazmu, żołnierze stali milczący i jakby czymś zawstydzeni.

– Co z wami, do diabła? Hej! – Lejtnant klasnął w dłoń.

Do przodu postąpił Wiktor.

– Ważkę zastrzelili.

– Co?! Kto, jak?! – Oficer podbiegł do żołnierzy.

– Tam leży. – Wiktor zakrwawioną ręką wskazał ciało.

Wszyscy poszli w tamtym kierunku.

– Kto to zrobił? Dywersanci? Wehrwolf? Kto?!

– Nie, jakiś łepiek ze wsi – powiedział nieśmiało skośnooki.

– W boju?

Pokręcili głowami.

– Czyli nie w walce?

– No nie...

– Wypadek? Piliście? Przyznawać się!

– Tak trochę. Jak tu nie pić, obywatelu dowódco, w taką pogodę?

– Gadać mi zaraz, jak to było!

– Jakiś bandyta zastrzelił naszego kolegę! – odkrzyknął hardo Wiktor. – O czym tu opowiadać? Trzeba z nim zrobić porządek i wsio.

– To nie do końca tak – wtrącił się stary, a cała reszta żołdatów spojrzała na niego z nienawiścią. – Ważka się ululał, wlażł na wieżę, zabrał ze sobą cały arsenał. A potem zaczął dla zabawy strzelać do wszystkiego, co się rusza. Trwało to dość długo. Wreszcie ktoś jednym strzałem go zdjął.

– Polak?

– No chyba Polak.

– Nie, Ukrainiec – sprostował Gruszczyński.

– A tyś co za jeden? – Oficer dopiero teraz spostrzegł cywila.

– Kowal z gospodarstwa. Widziałem całe zdarzenie. Widziałem, kto strzelał. To przesiedlony tu Ukrainiec. Mogę go pokazać.

Oficer ukrył twarz w dłoniach.

– Taki pasztet, na sam koniec... Potrzebne mi to, jak... – mamrotał pod nosem. – Co tu robić?

– Ja bym ich... – blondyn przejechał palcem po gardle – Polaczków. Każdy z nich to wywrotowiec i kontrrewolucjonista.

– Spokojnie, tylko bez gwałtownych ruchów – tonował oficer, przyglądając się martwemu żołnierzowi. – Ktoś we wsi oberwał?

– Chyba nie. Ale winnych trzeba ukarać. Nie można tak... – nastawał blondyn.

– Spokojnie, Lońka, powtarzam.

Lejtnant ważył coś w myślach, tymczasem od strony tarasu nadbiegło trzech żołnierzy, którzy najwyraźniej nie spostrzegli przełożonego.

– Mamy wszystko – wołali jeden przez drugiego – mocna lina, worki, pistolety, a nawet bańkę z benzyną, na wszelki wypadek, gdyby trzeba było coś, a raczej kogoś podpiec.

– Stop! – wrzasnął oficer. Cała trójka stanęła na baczność. Lejtnant z wściekłością spojrzał na cały swój oddział. – Co tu się dzieje?! Widzę, że towarzysze już ferowali wyrok. Nie tak szybko. Nie będzie żadnego palenia.

– Ale... – Wiktor postąpił naprzód.

– Milczeć! Teraz słuchajcie mnie uważnie, żeby nikomu z was nic się nie pokręciło. Nie było tu żadnej strzelaniny. Waśka upił się, wlażł na wieżę, zleciał i roztrzaskał sobie łeb. Głupi i tyle! Nieszczęśliwy wypadek. Czy to jasne?! – Nikt nie odpowiedział, żołdaci stali ze spuszczoneymi głowami wpatrzeni w czubki własnych butów. – Blin! Czy wszystko jasne, pytam!!!

– Tak jest, towarzyszu dowódco! – wykrzyknęli chórem.

– Doskonale! Polaków biorę na siebie, wy tymczasem zakopcie truchło. A ty – pokazał na Gruszczyńskiego – morda w kubel, bo będziesz leżał obok niego.

Piotr z niedowierzaniem przysłuchiwał się całej dyskusji. Czy to możliwe, żeby oficer nie chciał pomścić swojego podwładnego? Do innych standardów przyzwyczaiła do tej pory Armia Czerwona. Nie mógł pojąć, co się dzieje. Jak to mogło się stać? Co to za dowódca, który pozwala wybijać swoich żołnierzy?

Chyba że... No tak, to by wszystko wyjaśniało, Piotr w duchu uderzył się w czoło. Ukrainiec, taka jego mać, pomyślał, nie ma innego wytłumaczenia.

*

Opony zachrząściły na suchym żwirze. Volvo wykręciło i z gracją zatrzymało się na podjeździe.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Oskar, gasząc silnik, tak jakby tym oczywistym stwierdzeniem chciał przerwać ciszę, jaka towarzyszyła nam przez ostatnie kilkanaście minut drogi.

– Domyśliłem się – odpowiedziałem, wysiadając z samochodu.

Stanęliśmy przed wybudowanym na niewielkim wzniesieniu w szczerym polu parterowym pawilonem z niewielkimi okienkami, obok piął się wysoki komin, z którego ulatywał szary dym. Blaszane drzwi uchyliły się i w powstałej szparze ukazała się rozczochrana głowa niewysokiego mężczyzny.

– A, to pan – powiedział schrypniętym głosem w stronę Oskara i głośno pociągnął zakatarzonym nosem. – Wchodźcie szybko do środka – dodał konspiracyjnym tonem i rozejrzał się na boki.

Weszliśmy do ciemnego ciasnego korytarza, w którym unosił się zapach spalenizny. Mrugając, próbowałem przyzwyczaić wzrok do ciemności, z oczu, które zaatakował piekący dym, pociekły łzy.

– Zachodźcie do biura, na prawo, proszę. – Potargany człowieczek pokazał nam drogę.

Znaleźliśmy się w zadymionym pomieszczeniu, którego jedynym wyposażeniem były niewielkie biurko, trzy krzesła i zamknięta kancelaryjna szafa. Przez załzawione oczy przyjrzałem się ubranemu w niebieski kitel gospodarzowi. Twarz o ziemistej cerze przecinały głębokie bruzdy, skołtunionie włosy wyglądały niczym potargane wiatrem wypalone źdźbła długiej

trawy, ale najdziwniejsze były oczy, których tęczęwki straciły naturalną barwę, natomiast białka żarzyły się na jaskrawoczerwono. Nigdy nie widziałem tak czerwonych oczu – zdawały się świecić, pulsować niczym ślepią smoków z kreskówek. Patrzyłem w nie jak urzeczony, tymczasem człowieczek wskazał nam miejsca, a kiedy siadaliśmy, patrząc na Oskara, wskazał na mnie głową, unosząc brwi w pytającym geście.

– Spokojnie, to kolega, nie ma się czego obawiać – uspokoił go Oskar.

– Aaa, to w porządku – zaskrzeczał gospodarz. – Jestem kierownikiem tej wędzarni – zwrócił się do mnie, po czym zanurkował pod biurko. – To co, po maluchu? – Szperał chwilę, coś brzęknęło, coś zaszeleściło, wreszcie kierownik wychylił się, trzymając w jednym ręku trzy kieliszki i butelkę wódki, a w drugim zawiniątko zapakowane w zatłuszczony papier śniadaniowy. Nalał do kieliszków i rozwinął pergamin; w nozdrza uderzyła nas intensywna woń, na blacie biurka leżała napoczęta wędzona ryba z długim nosem.

– Nowość. Jesiotr. Palce lizać. Częstujcie się – zachęcał kierownik, siorbiąc nosem – rękami, nie ma co wybrzydzać.

Sięgnął po kawałek ryby niedomytymi paluchami z długimi pazurami. Zawahałem się, chęć skosztowania słynnej potrawy, której nigdy wcześniej nie jadłem, zderzyła się z obrzydzeniem, jakie wywołały we mnie brudne paluchy kierownika. Raz kozie śmierć, zawołałem w duchu, wódka zdezynfekuje. Wlałem alkohol do gardła, a potem oderwałem kawałek ryby i wsadziłem do ust. Rozkosz, jaką poczułem, pozwoliła mi w jednej sekundzie zapomnieć o higienie i dobrych manierach, szybko sięgnąłem po kolejny kęs. Kątem oka zauważyłem, że Oskar również nie miał żadnych skrupułów i pochłaniał jeden kawałek jesiotra za drugim, co chwila – podobnie jak ja – wierzchem dłoni ocierając tłuszcz spływający po brodzie.

– A co, nie mówiłem, dobra rybka – skrzeczał kierownik. Chwycił za butelkę. – Na drugą nóżkę?

– Nie, nie, dziękuję – zaprotestował Oskar, mówiąc z pełnymi ustami. – Prowadzę.

– A co to przeszkadza? – szczerze zdziwił się kierownik i wciągnął do nosa próbującą wydostać się z niego kropelkę.

– Wolę nie.

– Jak tam pan chcesz. Ale my się napijemy, prawda? – Gospodarz zwrócił się w moją stronę. Potaknąłem. Wypiliśmy, zakąsiliśmy.

– A jak tam... – zaczął Oskar.

– Wszystko przygotowane, tak jak się umawialiśmy – przerwał mu kierownik.

Oskar wstał, wytarł palce w chusteczkę i sięgnął do kieszeni.

– To ile? – zapytał, wysupłując garść banknotów.

– Tak jak zawsze. – Kierownik wzruszył ramionami i odwracając głowę, wyciągnął wyćwiczonym ruchem w stronę Oskara rękę, w której wylądowała odliczona suma pieniędzy. – Chodźcie za mną. – Poderwał się od biurka, chowając dyskretnym gestem banknoty do kieszeni fartucha.

Przeszliśmy korytarzem – w którym gospodarz, zupełnie się nami nie przejmując, wysmarkał nos w dwa palce – do kolejnego, jeszcze bardziej zadymionego pokoju, z którego metalowe drzwi prowadziły do następnych pomieszczeń. Kierownik uchylił je, a wtedy przez szczelinę do pokoju, gdzie staliśmy, wpełzły kłęby gryzącego białego dymu. W pomieszczeniu brakowało okien, jedynym źródłem światła były promienie słoneczne wdzierające się przez szpary, jakie zostawiał powolutku kręcący się wentylator zamontowany w ścianie pod samym sufitem. Snujące się po sali opary podświetlane słonecznymi smugami tworzyły fantazyjne wzory. Patrzyłem jak zaczarowany na ten spektakl światła i cienia.

Tymczasem kierownik wrzasnął przez uchylone drzwi:

– Pani Kryniu! Pani pozwoli mnie tu!

W drzwiach w oparach dymu stanęła tęga niewiasta w cuchnącym rybami, brudnym fartuchu i czepku przytroczonym do blond koafiury otaczającej pucołowatą twarz.

– Co jest, kierowniku? – zapytała, mrugając napuchniętymi powiekami.

– Pani Kryniu, panowie po te węgorze.

– Które? – rzuciła rzeczowo.

– No te świeże.

– A, dobra. – Odwróciła się i wyszła.

– Pani Krystyna już się wami zajmie, ja wracam do swoich obowiązków. – Podał nam ręce i wymknął się z pomieszczenia, w którym po chwili pojawiła się ponownie blond okeanida, rzucając na metalowy blat stołu zajmującego środek pomieszczenia świeże węgorze. Po rybach przesunął się snop słonecznego światła.

– Cztery miały być, tak? – upewniła się.

– Tak jest! – odpowiedział wesoło Oskar. I wskazując na węgorze, zapytał: – Oprawione?

– A co, miały być nieoprawione? – Zaskoczona pani Krystyna otworzyła oczy szeroko na tyle, na ile tylko pozwalały jej zapuchnięte powieki.

– Nie, skąd, miały być opravione – szybko zaprzeczył Oskar.

– To co pan gada? – zachnęła się.

– No pytam właśnie, czy opravione?

– Bo pan chciał nieoprawione? Tak?

– Nie, tłumaczę przecież, że opravione!

– To-co-pan-ga-da?! – Kobieta zaczynała się irytować.

– Proszę pani – Oskar starał się ją uspokoić – ja chciałem opravione węgorze. Pani przyniosła, więc się upewniam. Dlatego zapytałem, czy są opravione.

– No opravione, widać przecie.

– Właśnie.

– Więc o co panu chodzi?

Oskar spojrział w moją stronę i rozłożył zrezygnowany ręce. Patrzyłem na tę scenę z niedowierzaniem. W kłębach dymu, w snopach światła wirującego powoli w rytm obracającego się ślamazarnie wentylatora toczyła się nedorzeczna wymiana zdań. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, by się upewnić, czy przypadkiem gdzieś w kącie nie siedzą z notesami Mrozek z Gombrowiczem i nie zapisują sobie tego absurdalnego dialogu. A może, pomyślałem, ktoś czegoś dosypuje do węgli, z których unosi się dym. To by tłumaczyło rozgrywającą się farsę. Tymczasem blondi nie dawała za wygraną:

– Słuchaj mnie pan. Kierownik przekazał, że zamówiłeś pan cztery opravione świeże węgorze. Nie mnie się mieszać. Zrobiłam, co do mnie należało. Przynoszę, a pan mi mówisz, że miały być nieoprawione?!

– Ależ, nie! Mówię, że miały być opravione.

– Nie kłam pan, słyszałam!

– Ja tak powiedziałem? – Oskarowi opadły ręce.

– A kto, duch święty? „A te węgorze to opravione?”, dziwi się i pyta z pretensjami. – Podniosła rybę za ogon i zaczęła nią wywijać. – A jakie mają być, ja się z kolei pytam?

– Kolegę chyba ten dym otumanił – wtrąciłem się, widząc, że za chwilę żarty mogą się skończyć i Oskar oberwie węgorzem po łbie. – Ma pani całkowitą rację, pani Krysiu, miały być opravione i tyle. Proszę zapakować i już pójdziemy.

– Co za ludzie?! – gderала jeszcze, zawijając ryby w papier i ładując je do siatki. – Robię, jak chce, a ten mi, że mu się nie podoba. Że mają być nieoprawione. Skaranie z takimi. Następną razem niech się nimi kierownik sam zajmuje.

Wybiegliśmy na zewnątrz z siatką pełną ryb, krztusząc się od dymu i śmiechu.

Kiedy dwa dni wcześniej Oskar obiecał mi, że przygotuje w żeliwnym kociołku na ognisku zapiekankę z węgorza, według

tajemnego przepisu jego kuzyna z Koszalina, nie spodziewałem się, że będzie z tym tyle zachodu i zabawy przy okazji. Ot, pojedziemy, kupimy ryby, potem je opracujemy, a wieczorem upichcimy na ogniu. Tego oczekiwałem. Tymczasem okazało się, że zakup świeżej ryby w okolicy stał się poważnym problemem. Okoliczne jeziora, których było bez liku, po zmianie systemu stały się własnością należącej do gminy spółdzielni rybackiej, a ta prowadziła w akwenach rabunkową gospodarkę, wyciągając sieciami co się da, przez okrągły rok, bez oglądania się na okresy ochronne – o zarybianiu nikt od dawna nie słyszał – a co wyłowiono, na pniu sprzedawano za grosze, za to w ilościach hurtowych, do Niemiec (oczywiście poza tajfunem w postaci spółki pustoszącej jeziora grasowały na nich również bandy kłusowników, ale i od nich trudno było cokolwiek zakupić, ponieważ miały stałych odbiorców fatygujących się po towar z centralnej Polski, a poza tym Oskar nie chciał kupować z takiego źródła). Nędzne resztki, które nie wyemigrowały na stoły Berlina, Monachium i Kolonii, trafiały do wędzarni będącej również własnością spółki rybackiej. A stamtąd, po przyrządzeniu – do znajdującego się przy krajowej szosie numer taki a taki sklepu firmowego. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce na co dzień sklepowe półki, haki i chłodnicze lady świeciły pustkami. Trudno do końca stwierdzić, jaki był sens utrzymywania deficytowego zakładu, prawdopodobnie chodziło o to, żeby kierownictwo spółki, a także przedstawiciele lokalnych władz mogli się rozkoszować świeżo uwędzonymi rybami. Poza tym ładnie zapakowane, aromatyczne ryby były niezwykle przekonującym argumentem w różnorodnych biznesowo-urzędniczych negocjacjach, taki pakunek uchylał niejedne zamknięte zazwyczaj drzwi. Ponadto wędzarnia dawała w tym zainfekowanym kilkudziesięcioprocentowym bezrobociem rejonie ciepłe posadki kilkorgu „znajomym królika”. Wszystkim taki układ odpowiadał. Może poza tymi, którzy mieli ochotę

kupić ryby – świeże czy wędzone – ale kto by się nimi przejmował.

Oskar tłumaczył mi te zawiłości podczas drogi powrotnej, mimo to nie wszystko było dla mnie wciąż jasne.

– Słuchaj, ale czemu on ci te ryby tak po cichu sprzedawał? – dziwiłem się. – Jakby się bał.

– Bo, przynajmniej teoretycznie, nie powinien tego robić. Całość ma być wędzona i tyle. Chcesz kupić, idź do sklepu, ale tam oczywiście nie dostaniesz.

– Ale skoro on ci opylił towar bokiem, to wziął kasę do kieszeni i spółka, w której pracuje, ponosi straty, tak?

– A kogo to obchodzi? Kierownik jest na pensji, więc sprzedane na lewo ryby to dla niego czysty zysk. Zawsze może powiedzieć, że jakaś część śmierdziała i musiał ją zutylizować. Zresztą nikt tego nie sprawdza. Jak spółdzielnia przynosi straty, to manko pokrywa gmina.

– I gmina też tego nie skontroluje?

– Coś ty, już niemiecki odbiorca dba o to, żeby do interesu nikt się nie wtrącał. Przecież te świeże ryby jadą na Zachód, za przeproszeniem, za psi chuj, więc tamtych, którzy płacą za nie grosze, stać na to, aby poszczególne trybiki maszyny tutaj, na miejscu, odpowiednio smarować. Ręka rękę myje. Słuchaj, oni wszyscy, od kierownika wędzarni, przez władze spółki, po gminny aktyw to są ludzie ukształtowani przez PGR-y, to czego wymagasz? Nie pamiętasz, jak to wtedy było?

Oczywiście, że pamiętałem. Trudno byłoby o tym zapomnieć. Powiedzenie – w tym wypadku bardzo na miejscu – że ryba psuje się od głowy, w naszym gospodarstwie, gdy ja w nim pracowałem, było trafne jak mało gdzie. Przekonanie, któremu hołdował każdy mieszkaniec Wrześniowa, że wszystko w PGR-ze jest nasze, a więc niczyje, tak naprawdę nie rodziło się w głowach szeregowych, fizycznych pracowników, ono tam jedynie dojrzewało, pochodziło zaś od wykształconych

pracowników biurowych, od samego kierownictwa i dyrekcji, przez nie było rozsiewane i trafiało na podatny grunt. Wynoszenie z zakładu pod pazuchą mydełek, śrubokrętów, paszy, warzyw, naczyń, narzędzi, części do maszyn i innych niewielkich przedmiotów to tak naprawdę była drobnizna, na którą kierownictwo przymykało oczy, ponieważ samo zajęte było znacznie grubszymi interesami. W czasach kiedy gospodarka niedoboru wkraczała na ostatnią prostą, która doprowadziła ją do stacji z napisem KRYZYS, żywność stawała się jednym z najchodliwszych i najbardziej deficytowych towarów. Towarem, którego zdobycie – nawet kiedy pojawiał się w sklepach – było okupione wielogodzinnym wystawianiem w kolejkach, nerwami, kłótniami i bolesnym zderzeniem się z arogancją handlowców. Rodziny miasteczkowego aktywu partyjnego, dyrektorzy okolicznych zakładów przemysłowych, urzędnicy wysokiego szczebla na takie wysiłki i afronty nie mogli sobie pozwolić, dlatego w żywność zaopatrywali się bezpośrednio w PGR-ach i związanych z nimi przedsiębiorstwach przetwórczych, takich jak masarnie. Rzecz jasna, zaopatrzenie to odbywało się poza oficjalnym obiegiem. W proceder uwikłana była cała okolica. Pracujący na potrzeby gospodarstwa weterynarz wystawiał co pewien czas zaświadczenie o pomorze pogłowia wrześniowieckiego bydła czy trzody, które tymczasem spokojnie wędrowało do rzeźni znajdującej się przy masarni, by po przeróbce w postaci kiełbas, salcesonów, szynki, półtuszy i zwyczajnych puców świeżego, ciepłego jeszcze mięsa wypełniać lodówki i zamrażarki w willach notabli. Oczywiście kierownictwo PGR-u było za te przysługi odpowiednio wynagradzane, każdemu coś z tego kapnęło. Pamiętam, że nawet dwa razy mnie wciśnięto kopertę, kiedy zmuszony byłem do organizowania kolumny transportowej wiozącej bydło do rzeźni na nielegalny ubój. Przyjął pieniądze, nawet gdybym nie chciał, musiałem, ponieważ odmowa

natychmiast skierowałyby na mnie podejrzenia, że być może mam za długi język i chciałbym swoją wiedzę się z kimś podzielić. Ale z kim ja mógłbym się dzielić, skoro komendanci wszystkich okolicznych milicyjnych komisariatów, a także prokuratorzy każdego szczebla regularnie pobierali z masarni odpowiednio wypchane siaty z rarytasami?

Nielegalny obrót żywnością, głównie mięsem, rodził kolejne pokusy: kierownik masarni nawiązał kontakty z różnej maści bazarowymi prywaciarzami, którzy nocą zjeżdżali do niego niczym szmuglerzy w czasie wojny po rąbankę, oferowaną potem ukradkiem na miejskich straganach w cenach kilkakrotnie przebijających te sklepowe. Wiadomo, że masarz mięsa nie brał z nieba, musiał je skombinować, więc weterynarz obficie szacował pomór dziesiątkujący wrześniowieckie stada, dodatkowe sztuki zwierząt rzeźnych zajmowały miejsca w transporcie i interes się kręcił, może nie z rozmachem, ale na pewno w satysfakcjonującym wszystkich tempie.

Jednak zyskiem, jaki osiągnano, były nie tylko pieniądze zarabiane na mięsie czy nadwyżkach spirytusu wyrabianego w pobliskiej gorzelni, również powiązanej z PGR-em. Dysponowanie gorącym spożywczym towarem ułatwiało zdobywanie innych deficytowych wówczas dóbr. Żona kierownika w PGR-ze zamarzyła – wzorem towarzyszy z województwa, którzy inspirowali się aktywnością warszawską, a ten z kolei radzieckim – o własnej daczce pod lasem, gdzie można by odsapnąć od gospodarskiego zgiełku i wsiowego życia? Proszę bardzo, nadprogramowa wałówka pomagała w mig załatwić zakupy, pozwolenia, przydziały materiałów budowlanych, podłączenia do mediów... Z niczym nie było problemu. A jeszcze ekipa budowlana jakoś tak, zamiast do gospodarstwa, trafiała, wyposażona hojnie w coś do picia i jedzenia, na prywatną budowę. Rach-ciach i domek już stał. Synkowi znudziła się jazda przydziałowym maluchem, śnił

smarkacz o zagranicznym samochodzie? Jakiż to kłopot? Obrotny pegeerowski dygnitarz brał pod pachę odpowiednie zawiniątko, udawał się do właściwego urzędu i już po chwili w kieszeni jego marynarki spoczywał talon na nowiutką zastawę lub wartburga.

Zajmowanie eksponowanego, kierowniczego stanowiska w PGR-ze było funkcją, o jaką warto było się wystarać, dlatego chętnych zgłaszało się wielu i niełatwo było taką fuchę sobie załatwić. Przede wszystkim należało mieć odpowiednie plecy, kompetencje nie były priorytetem – wychodzono raczej z założenia, że każdego fachu można się nauczyć w boju, rolnictwo nie może być bardzo skomplikowaną profesją, udowodniano sobie, skoro przez całe wieki zajmowali się nim niewykształceni, ciemni chłopci. I przewinęło się przez Wrześniowo stado kierowników, z których jeden miał mniejsze pojęcie o przewracaniu ziemi i hodowli zwierząt od drugiego, za to każdy w powiatowych układach i układzikach poruszał się jak ryba w wodzie. Gospodarstwo sezon w sezon przynosiło straty, ale dokąd można było, pracując w nim, dorobić sobie na boku i zaopatrzyć spiżarnię, nikt się tym specjalnie nie przejmował.

Nie powinno mnie zatem, jak słusznie powiedział Oskar, dziwić, że po zmianie systemu, kiedy PGR-y upadły, a zarządzający zależnymi od nich przedsiębiorstwami rolnymi kierownicy i dyrektorzy bądź to się uwłaszczyli, bądź zostali razem z majątkiem nowych spółek i spółdzielni przejęci przez gminy, dalej działali w sposób, jakiego nauczyli się w czasach, kiedy królowały tu Państwowe Gospodarstwa Rolne i zainfekowane przez nie układy gospodarczo-społeczne. Kto myślał nowoczesnie, kto chciał wprowadzać nowe formy zarządzania przedsiębiorstwami, jechał do Warszawy albo innych dużych miast. Tu zostawali działający po dawnemu starzy satrapowie, dla których, jak dawniej, nie liczyło się dobro zakładu i którzy potrafili jedynie ciągnąć każdy we własną

stronę, tnąc gałąź, na jakiej siedzieli. Kiedyś wydawała się ona nie do złamania, dzisiaj była krucha jak zeschnięty badyl. Dlatego małe zakłady rolne przynosiły straty i padały jedne po drugich, co niestety starych zarządców nie uczyło niczego. Ich kieszenie były pełne.

*

Ze wstawionego w ognisko kociołka zakręconego szczelnie kłami wydobywała się z sykiem drobną szczeliną aromatyczna strużka dymu. Popijając piwo, które żadnemu z nas specjalnie nie smakowało, czekaliśmy, aż rosnące w naczyniu temperatura i ciśnienie zmienią umieszczone wewnątrz węgorki, cebule, ziemniaki i przyprawy w rozpływającą się w ustach zapiekankę. Żar z dogasającego ogniska rzucał na gigantyczną bryłę pałacu monotony pomarańczowy refleks. Szczyt strzelistej wieży gubił się w ciemności. Wydłubałem z ogniska tłący się patyk i przytknąłem jego końcówkę do papierosa.

– Słyszałeś, że z tej wieży zestrzelono ruskiego żołnierza? – spytałem, wskazując patykiem na pałac, a następnie wrzuciłem go z powrotem na żar. Zadymił i zajął się mikrymi płomieniami.

– Tak, coś tam słyszałem – odpowiedział wolno Oskar. – Podobno jakiś gość ze wsi go trafił, kiedy tamten pijany strzelał do ludzi. Tylko ten facet już nie żyje.

– Wiesz, jak zmarł?

– Nie. Tu we wsi ludzie niechętnie opowiadają o przeszłości. Czasem coś ktoś sypnie, a potem jakby się zorientował, że źle zrobił, natychmiast nabiera wody w usta i już nic nie powie. Ciężko czegokolwiek się dowiedzieć.

– Tego faceta, co zastrzelił Ruskiego, inny chciał zakapować. Ale on też już nie żyje.

– Możliwe. – Wzruszył ramionami Oskar.

– Nie interesuje cię historia własnego pałacu? – zdziwiłem się.

– Oczywiście, że interesuje. Ale mówiłem ci, od miejscowych niczego nie można się dowiedzieć. Już szybciej od Niemców, co odwiedzają Heimat. A najwięcej to naopowiadał mi jeden dziadek, który przyjechał tu w zeszłym roku. Były jeniec wojenny trzymany w pałacu, w piwnicy.

– Rusek?

– Nie, Polak.

– To Polaków też tutaj trzymano? Słyszałem o czerwonych.

– Czerwonych owszem, ale później. A ja mówię o trzydziestym dziewiątym i czterdziestym. Ten dziadek przyjechał wspominać, a pamięć mimo wieku miał wyśmienitą. Chodził ze mną po zabudowaniach i pałacu przez cały dzień i dokładnie pokazywał, co gdzie stało. Wzięli go do niewoli w kampanii wrześniowej. Trafił tu jakoś tak w październiku. Razem z grupą około pięćdziesięciu jeńców. Trzymano ich wszystkich w piwnicy, a obok, też w piwnicznym pomieszczeniu, siedziało dwóch strażników. Przywieziono ich do pracy do gospodarstwa. Mieli zastąpić Niemców, których powołano do wojska. Warunki były kiepskie – nie dość, że mieszkali w zimnej, wilgotnej piwnicy, w ścisku, to jeszcze żywiono ich niemal wyłącznie brukwią. Raz w tygodniu dostawali zupę mleczną, a od święta odrobinę mięsa. I przymieraliby głodem, gdyby nie kował. Chłopak z Warszawy, taki prawdziwy przedwojenny warszawski cwaniak. On wpadł na pomysł, żeby po kolei psuć zamki do różnych pomieszczeń, a potem w kuźni robił nowe na miejsce tych zepsutych, tylko że zawsze wykuwał do nich po dwa klucze. Drugi chował do kieszeni. To pozwalało im nocą po cichu buszować po magazynach, podkradać żywność. Pokazał mi, gdzie znajdował się magazyn z jabłkami, bo tu były spore jabłkowe sady, owoce układano za kratą, ale oni zrobili sobie drąg ze szpikulcem, który przekładali przez pręty i nadziewali na niego

jabłka. Kiedyś w jednym z budynków gospodarczych wybuchł pożar. Jeńców zagnano do gaszenia. W zamieszaniu, jakie powstało, kowal pociągnął mojego dziadka w kąt, dał mu nóż i powiedział: Masz, tnij pasy transmisyjne, nikt się nie zorientuje, a to doskonała guma, przyda się. I rzeczywiście się przydała, już niebawem. W maju, kiedy zrobiło się cieplej, popsuli zamek w kracie w jednym z okien piwnicy. Za pomocą dorobionego klucza nocą dziadek wydostał się na zewnątrz i uciekł w las. Powędrował w stronę Polski, której już oczywiście nie było. Szedł nocami. Z gumy zrobił sobie dodatkowe podeszwy. Wędrował tak trzy tygodnie, aż dotarł w okolice Zamościa. Czujesz, taki kawał drogi na piechotę? I pod tym Zamościem dowiedział się o amnestii. Ujawnił się i, wyobraź sobie, do dzisiaj tam mieszka.

– Brzmi nieprawdopodobnie. Może zmyślał?

– Być może. – Oskar rozgarniał żar spod kociołka. – Chyba jest już gotowe – powiedział i włożył azbestowe rękawice. – Tylko on wszystko wiedział. Na przykład opowiadał o właścicielce gospodarstwa, która podobno była twardą, ostrą babą. Jej mąż i synowie, czterech, byli oficerami i poszli na wojnę. To się zgadzało z moimi ustaleniami. Grzebałem trochę w archiwach... Uważaj, teraz buchnie para – przestrzegł, przerywając opowieść. Zdjął klamry z pokrywy naczynia i ostrożnie uniósł wieko, spod którego wydobyły się kłęby intensywnie pachnącego dymu. Po chwili Oskar wrócił do tematu. – Według tego, do czego się dokopałem, rodzina posiadająca pałac do zakończenia wojny stanowiła przykład typowego mariażu kasy z herbowym nazwiskiem. Ci, którzy wybudowali to domiszcze, przed pierwszą wojną byli bankierami z Berlina, z żydowskimi korzeniami, ale uszlachceni jeszcze za Prus. To była ich letnia rezydencja, do której zjeżdżali wiosną, a opuszczali ją jesienią. Siedem kilometrów stąd na stacji kolejowej mieli własną bocznice. Tam rozładowywali wagon, którym przywozili sprzęty, ładowali je na furmanki i wieźli do pałacu. Gruba kasa. Tyle tylko, że ich

nazwisko było mizerne. Nie liczyło się na berlińskich arystokratycznych salonach. Dlatego dla jedynej córki wyszukali odpowiedniego kandydata na męża. Kompletnego golasa, za to z herbem jak marzenie. I to jest powód, dla którego wszyscy Niemcy, jacy tu teraz przyjeżdżają, mówią o ostatniej właścicielce, a nie o właścicielu. To ona trzymała silną ręką wszystko za twarz. On nie miał nic poza poprzedzonym „von” nazwiskiem, pięknie prezentującym się na biletach wizytowych. Nie wiem, jak im się układało, ale, jak to czasem bywa przy takich małżeństwach z rozsądku, być może całkiem dobrze, bo dochowali się czterech synów.

Wiosną trzydziestego dziewiątego całe towarzystwo jak co roku zjechało na wieś. Ale nie całe z niej wyjechało. Najpierw panowie powędrowali na front. A potem pani podjęła decyzję, że wojnę spędzi na wsi, która wydawała jej się zdecydowanie bezpieczniejsza niż Berlin. I pozostała tu przez kolejnych pięć lat. Aż majątek skonfiskowała Rzesza i dziedziczkę pogoniła. Podobno po wojnie mieszkała w Hamburgu. Tak mi mówił jeden z facetów, Niemiec, który tu przyjechał pooglądać stare kąty. Dla mnie ten ich udział w zamachu na Hitlera to dar niebios.

– Jaki zamach? – Zrobiłem zdziwioną minę.

– Ten w Wilczym Szańcu. Nie opowiadałem ci? – Pokręciłem przecząco głową. – Mąż ostatniej właścicielki pałacu oraz jej czterech synowie służyli w Luftwaffe i, jak mówią słuchy, zaplątali się w zamach, ten w lipcu czterdziestego czwartego. A może uczestniczyli tylko w operacji Walkiria, nie wiem, takich szczegółów się nie dogrzebałem. Dość, że całą piątkę stracono. A kobita musiała mieć bardzo mocne plecy, bo jej nie zesłano do obozu koncentracyjnego jak inne rodziny konspiratorów. Ale majątek zabrano i teraz spadkobiercy mogą ewentualne pretensje o zwroty i odszkodowania wnosić do państwa niemieckiego, nie do mnie.

Ale powiem ci, że jak ci Niemcy przyjeżdżają i chcą wybrać się

na cmentarz, to mnie jest zwyczajnie wstyd. Mówię o tych, którzy mieszkali we wsi przed wojną, albo o ich rodzinach. Ja rozumiem, że groby, o które się nie dba, niszczej, tylko że ten nasz cmentarz jest po prostu zdewastowany i rozgrabiony. Wyobraź sobie, jak ja się czułem, kiedy poszedłem tam z jednym starym Niemcem. On wiercił się po tym zarośniętym cmentarzu, po tych rozbitych szczątkach grobów skrytych pod warstwą liści i w pewnym momencie stanął pod jakimś drzewem, w miejscu gdzie nic nie było, i mówi: O, tutaj leży mój ojciec. Niby nie ja zniszczyłem ten grób, nie moja wina, ale było mi głupio. Przecież my też mamy swoje mogiły na Wschodzie i na pewno nie chcielibyśmy ich oglądać w takim stanie. Poważnie się zrobiło, a tu jedzenie stygnie. – Zmienił temat, zamieszał drewnianą łyżką w kociołku i zaczął nakładać na talerze dymiące porcje ryby.

– Słuchaj, a ci Niemcy, którzy przyjeżdżają, nie szukają swoich pozostawionych, może zakopanych rzeczy? – zapytałem, odstawiając butelkę z niedopitym piwem i biorąc do ręki talerz. Danie pachniało wybornie. – Pamiętam, że w pałacu już za moich czasów w zasadzie nic nie było, ale we wsi jeszcze to i owo pozostało, w biurze stało sporo starych pałacowych mebli, nawet resztki zastawy. Wtedy Niemcy, szczególnie z Zachodu, nie mieli szans, żeby tu przyjechać, nie mówiąc już o szukaniu pozostawionego mienia, ale teraz...

– Wydaje mi się, że niczego nie szukają. Był tylko jeden taki, który chciał się dostać do średniowiecznych zbroi leżących podobno na dnie jeziora. – Zamarłem z otwartymi ustami, do których właśnie podnosiłem widelec. Na szczęście zajęty kociołkiem Oskar tego nie zauważył. – Przyjechał tutaj półtora roku temu. Twierdził, że przed wojną właściciele mieli w pałacu przepyszną kolekcję białej broni oraz właśnie oryginalnych czternasto- i piętnastowiecznych zbroi. Kiedy Ruscy się stąd wycofywali, zabrali ze sobą tylko tę białą broń. Resztę zostawili. Jak nasi przejęli pałac, to pierwszą decyzją dyrektora było

wypieprzenie całego żelastwa do jeziora. Bo niemieckie.

– Skąd niby ten Niemiec to wiedział? – spytałem i wsadziłem widelec do ust. Udawałem, że sprawa interesuje mnie nie bardziej niż każda inna ciekawa stara opowieść.

– Twierdził, że od ciotki, która tu pracowała do czterdziestego siódmego albo ósmego. Że na własne oczy to widziała, bo sama temu dyrektorowi zbroje pokazała. Ona jeszcze przed wojną była w pałacu służącą czy pokojówką.

– Ale Niemców wygoniono stąd wcześniej.

– No właśnie. Tę podobno Sowietci zostawili, a kiedy oni się wynieśli, ona też dostała kopa w tyłek. W każdym razie ten jej cioteczny wnuczek chciał razem ze mną, do spółki, tych zbroi szukać. Mówił, że sfinansuje całe przedsięwzięcie. Nurków, sprzęt.

– I co?! – Nie mogłem usiedzieć na miejscu.

– Ano nic. Znajomy nurek powiedział mi, że raczej nie ma szans. Woda jest mętna, dno jeziora zamulone i, jak to się mówi, podwójne. Igła w stogu siana. Mimo to Niemiec chciał ryzykować i ponosić koszty. Tylko kiedy ludzie we wsi się o tym dowiedzieli, to...

Nie dokończył. Z góry od strony bramy usłyszeliśmy jazgot samochodowego silnika pracującego na maksymalnych obrotach. Potem rozległ się potworny huk. Zamarliśmy. Dźwięk narastał, zbliżając się w naszym kierunku, a my bez ruchu, w milczeniu spoglądaliśmy w ciemność w stronę, z której nadlatywał. Nagle w krąg światła roztaczanego przez ognisko wtoczyła się majestatycznie przysadzista sylwetka dużego fiata z wyłączonymi reflektorami – piłowany niemiłosiernie na jedyne silnik wył ogłuszająco – i nie zwracając na nas najmniejszej uwagi, potoczyła się wolno w mrok, w stronę jeziora. Do wody nie dotarła. Na szczęście. W ciemności po raz kolejny gruchnęło, zajęczały gięte blachy, silnik wydał ostatnie tchnienie, po czym zaległa cisza. Podskoczyliśmy jednocześnie.

Przewrócona butelka potoczyła się po trawie, na której wyrósł kożuch z pieniacego się piwa. Chciałem biec, ale Oskar powstrzymał mnie spokojnym ruchem ręki. Poszedł do domu, z którego wrócił po chwili, trzymając w dłoni latarkę. W jej świetle naszym oczom ukazała się wysoka na trzy metry sterta kamieni brukowych, zrzuconych pod pałacem i czekających na ułożenie na remontowanym podjeździe, a z niej wystający kuper zarytego w głązy po przednią oś fiata.

Zbliżyliśmy się ostrożnie do miejsca wypadku. Oskar poświecił do wnętrza samochodu; na przednich siedzeniach oparci głowami o deskę rozdzielczą siedzieli dwaj faceci. Trudno było się zorientować, czy są cali. Delikatnie pociągnąłem za klamkę. Drzwi uchyliły się z jękiem, a w nasze nozdrza uderzył ostry zapach alkoholu. Położyłem rękę na barku kierowcy, z trudem podniosłem głowę – z rozbitego nosa sączyła się krew – i charcząc, zaczął rzucać w naszą stronę bełkotliwe przekleństwa, po chwili do wyzwisk przyłączył jego kompan, wtórując mu, a jednocześnie nie odrywając czoła od deski rozdzielczej. Nachyliłem się, ale Oskar złapał mnie za ramię i pociągnął w tył, a następnie ze złością trzasnął drzwiami, aż huk echem odbił się od ściany drzew po drugiej stronie jeziora.

– Zostaw – powiedział – nie będziemy się handryczyć. Znam ich. Pijaczyny z Trójczyna. Policja się nimi zajmie – rzucił na koniec, idąc już w stronę bocznego wejścia do pałacu, które prowadziło do biura z telefonem.

Czekaliśmy w milczeniu na przyjazd radiowozu, wpatrując się w sylwetkę rozbitego fiata majaczącą w ciemności. Ognisko dogasało. Nastrój do rozmowy prysł. Zastanawiałem się nad tym, o czym opowiadał mi Oskar, zanim przerwało nam wtargnięcie fiata. Nie miałem wątpliwości, jak skończyła się historia próby wydobycia zbroi z jeziora. Miejscowi zapewne zagrozili Oskarowi poważnymi konsekwencjami, jeśli ktokolwiek – a już w szczególności Niemiec – zbliży się do jeziora, on zaś, nie chcąc

psuć sobie poprawnych stosunków ze wsią, zrezygnował z poszukiwań. Nałożyły się tu na siebie dwa lęki, które trzymały wrześniowian od lat za gardło: lęk przed jeziorem i tym, co kryje się w jego głębinach, oraz lęk przed obcymi. Przypomniało mi się, jak latem siedemdziesiątego siódmego roku kilku pracujących w polu traktorzystów przyprowadziło, a raczej przywlekło do biura solidnie poturbowanego mężczyznę, oznajmiając triumfująco, że złapali – i tu opinie były podzielone, bo część twierdziła, że szpiega, inni z kolei obstawali, że dywersanta. Za pobitym człowiekiem na deskach podłogi wylądował sprzęt, którym szpieg dywersant miał się posługiwać – długi pałak zakończony talerzem i słuchawki. Przeprowadzono szybkie śledztwo. Rzeczywistość okazała się prozaiczna: mężczyzna był emerytowanym górnikiem spędzającym wakacje nad niedalekim jeziorem w sąsiedniej wsi, pasjonatem historii, który odkrył, że w okolicach Wrześniowa w okresie wojen napoleońskich miała miejsce prusko-francuska potyczka jakichś niewielkich oddziałów, być może zwiadów lub podjazdów. Wyposażony w amatorski sprzęt do wykrywania metalu górnik dreptał po polu w poszukiwaniu wojennych pamiątek zagrzebanych w ziemi. I w tym momencie spostrzegli go nasi dzielni traktorzyści. Zagadnięty Ślązak dziwacznie się tłumaczył, godał jakoś niezrozumiale, językiem, jakiego wcześniej we Wrześniowie nie słyszano, czym tylko pogłębił obawy czujnych pegeerowców. Ocenili, że mają do czynienia z Niemcem posługującym się kaleczoną polszczyzną. Od słowa do słowa, doszło do szarpaniny, która doprowadziła do „obywatelskiego zatrzymania” niebezpiecznego agenta i przyprowadzenia go obezwładnionego do biura. Rozbawiony z początku dyrektor usiłował wytłumaczyć swoim pracownikom, że doszło do bolesnego dla jednej ze stron nieporozumienia, że stojący z opuchniętą twarzą człowiek jest obywatelem polskim, na poparcie czego zamachał traktorzystom przed nosem dowodem

osobistym pobitego. Na próżno. Usłyszał jedynie, że TAKI szpieg to na pewno ma podrobione dokumenty i nikogo świstkiem papieru nie omami. Domagano się stanowczo wezwania milicji i wszczęcia profesjonalnego śledztwa, na co po nieudanych pertraktacjach zrezygnowany dyrektor wyraził zgodę. Przybyły na miejsce patrol sprawę błyskawicznie wyjaśnił i skupił się na załagodzeniu sporu. Górnik odstąpił od wniesienia skargi o pobicie, przy czym z początku zdecydowanie obstawał, w zamian milicjanci zrezygnowali z wręczenia mu mandatu za deptanie po państwowym polu i grzebanie w nim szpadlem. Obie strony rozeszły się nieusatysfakcjonowane.

Oj, nie lubiono w naszej wsi obcych. Ale czy tylko we wsi, czy tą niechęcią nie jesteśmy skażeni wszyscy? Po wojnie, rozgrzeszając imperialny apetyt Stalina i wyjaśniając społeczeństwu przyczyny przesunięcia naszych granic na zachód, komuniści tłumaczyli, że oto pierwszy raz w historii, bardziej nawet niż za czasów Mieszka czy Łokietka, jesteśmy panami we własnym domu, że w końcu będziemy żyli w najbardziej jednorodnym etnicznie państwie w Europie, że pozbawieni wielokulturowości, wielowyznaniowości, obecności obcych, kimkolwiek by byli (a nawet kontaktu z nimi, bo te były przecież za komuny ściśle reglamentowane) – rozkwitniemy społecznie, gospodarczo i – co najbardziej zdumiewające – kulturalnie, że miniona wojna, choć przyniosła nam miliony ofiar i niewyobrażalne cierpienia, to tak naprawdę dała nam też szansę pozbycia się garbu mniejszości narodowych, który przez wieki cisnął nas w dół i powodował jedynie konflikty, zadrażnienia i niepotrzebnie marnował naszą wspaniałą energię. Kłamstwa te – które, trzeba przyznać, trafiły na podatny grunt – powtarzano przez pięćdziesiąt lat z takim uporem i taką pewnością siebie, że w końcu sami w nie uwierzyliśmy. Nabawiliśmy się kompleksów i ksenofobii, a obcych traktujemy w najlepszym razie z czujną rezerwą i nieufnością. W zetknięciu

z innością cechuje nas dziwaczna mieszanina poczucia niższości, maskowanej butą, z pogardą, którą do niej czujemy. Im dalej na Zachód, tym niżej gniemy głowy w fałszywym pokłonie, im dalej na Wschód, tym wyżej tę głowę unosimy, sami oczekując hołdów.

Żabojad, makaroniarz, angol, rusek, mosiek, chinol, arabus, meksykaniec, żółtek, kozojeb, czarnuch, dzikus... Jak bogaty w pejoratywy jest nasz język, gdy mówimy o obcym i nieznanym. Jedno, dwa? Ilu jeszcze pokoleń potrzeba, aby to się zmieniło?

Rozważania te przerwało mi pojawienie się policyjnej nyski starego typu, z pojedynczymi otwieranymi na bok tylnymi drzwiami. Suka zatrzymała się przy fiacie. Mundurowi sprawnie doskoczyli do rozbitego samochodu i bez ceregieli zaczęli wyciągać z niego nieprzytomnego kierowcę. Ten, wyrwany z pijackiego snu, nie wiedząc, co się z nim dzieje, rzucił się z pięściami na napastników; machające jak cepy ręce kilkakrotnie przecięły powietrze, po czym wyższy z policjantów szybkim wyuczonym ruchem szarpnął tylnymi drzwiami nyski. Rozległ się metaliczny huk i pijak z potężnym guzem na czole wylądował na ziemi. Policjanci chwycili go za ręce i nogi, rozbujali i wrzucili na pakę radiowozu. Pasażer feralnego fiata przypatrywał się mętным wzrokiem całej tej scenie. Gdy mundurowi zbliżyli się do niego, bez protestu z rękoma w górze udał się niepewnym krokiem do suki. Trzasnęły drzwiczki.

Wyższy z policjantów podszedł do Oskara.

– Gotowe – zameldował. – Gównażeria. Samochód należy do ich starego. Napiszę, że zwinęliśmy obu awanturujących się we wsi, OK?

– Dobra. – Oskar skinął głową. – A co z bramą?

– Wywalona. – Policjant zamachał rękoma. – Zrobimy tak: posiedzą noc na dołku. Rano ich przycisnę i zobowiązę do naprawy szkód i jeszcze, że odrobiją u ciebie, powiedzmy przy sprzątnięciu, czterdzieści godzin. Pasuje ci?

– Pasuje. – Oskar podał policjantowi dłoń, ale nagle się

zawahał. – Słuchaj, a jak się nie zgodzą?

– A jak się nie zgodzą, to dostaną bęcki i się zgodzą. Moja w tym głowa i... ręka. – Poklepał się po pasku, do którego miał przytroczoną pałkę. – Po drodze podjadę do starego, powiem mu, co i jak. Rano ściągnie auto, teraz już nie będzie cię niepokoić.

– W porządku. Dzięki, że przyjechałeś.

Nyska, klekocząc na bruku, potoczyła się w stronę rozbitej bramy. Oskar podniósł pokrywę kociołka. Węgorze wystygły, oblepione tężejącym tłuszczem, rozgotowanymi ziemniakami i cebulą; choć wciąż pachniały uwodzicielsko, wyglądem nie zachęcały do konsumpcji.

– To nas urządzili! – Oskar ze złością opuścił pokrywę. – Odgrzejemy sobie jutro. Teraz chyba pora spać, co?

Przytaknąłem.

*

Rytm życia Wrześniowa wyznaczały godziny otwarcia sklepu. Ósma – trzynasta, dwie godziny przerwy i ponownie od piętnastej do dziewiętnastej. Inaczej było jedynie w niedzielę, kiedy tabliczka na drzwiach ze szklanymi szybkami przekręcana była na stronę z napisem OTWARTE po mszy, na kilkadziesiąt minut, a później od siedemnastej do dwudziestej. Realia egzystencji wrześniowian przez ostatnich kilka lat zmieniły się diametralnie, upadł PGR, pracy nie było, kto żyw, z rana pędził do lasu, skąd wracał spragniony wczesnym popołudniem, a mimo to sklepowa nie widziała powodu do rezygnacji z dawnych GS-owskich przyzwyczajień; do zmiany godzin otwarcia swojego przybytku, wypracowanych jeszcze w czasach prosperity gospodarstwa. Dlatego komu się udało, kto od świtu nie buszował po lesie, ten dreptał z rana z siateczką do sklepu, gdzie rzucał drobniaki na ladę lub, co zdarzało się zdecydowanie

częściej, brał towar na zeszyt, a należność była regulowana raz w miesiącu z zasiłku wpływającego bezpośrednio na konto sklepowej; inni, których suszyło po wieczornym pijaństwie, pakowali do torby puste butelki po alpagach i tak obładowani wyruszali dokonać wymiany kilkunastu szklanych opakowań na dwa, trzy wypełnione pijacką ambrozją; pozostali, którym z różnych względów nie powiodła się poranna wyprawa do sklepu, musieli czekać. Do piętnastej. Wówczas zakwitła życie towarzyskie Wrześniowa. Starzy i młodzi, dzieci i dziadkowie, kobiety i mężczyźni, trzeźwi, pijani, ci z pieniędzmi i spłukani, pracujący i przytłaczająca bezrobotna większość, ci z prawem do zasiłku i prawa tego pozbawieni, wszyscy spotykali się egalitarnie popołudniem pod sklepem. Wymieniano się doświadczeniami z leśnych połowów, sarkano na ceny, jakie oferował skup, kwitła giełda dorywczej pracy, dyskutowano, narzekano, wspomniano z rozrzewnieniem PGR-y, kto się nie wstydział, jak młodzi mężczyźni, spożywał bezpośrednio w sąsiedztwie sklepu na świeżym powietrzu, inni chowali zakupione flaszki do przestronnych siatek w pionowe kolorowe pasy i szybko dreptali do domu raczyć się płynnymi frykasami.

Byli tacy, którzy zasiadali na betonowych schodkach prowadzących do sklepu, ale większość lokowała się na tyłach, na dwumetrowym ziemnym wale otaczającym nierówne boisko porośnięte rachityczną trawą. Dzieciarnia uganiała się za zdezelowaną piłką, a starsi pomiędzy jednym a drugim wlewany w gardło łykiem komentowali zagrania, żartowali, a czasem wdawali się w gorące dyskusje, niejednokrotnie przeradzające się w kłótnie. Bywało i tak, że rozgrzani alkoholem kibice sami wbiegali na boisko, zganiając z niego dziatwę. Role się zmieniały. Teraz młodzież komentowała i żartowała, a starsi na chwiejnych nogach biegali za piłką, z każdą chwilą coraz bardziej zapalając się do walki. Śmiechy powoli zastępował duch rywalizacji, budząc krwiożercze instynkty, i zdarzało się, choć na

szczęście rzadko, że wynik uzyskany na murawie weryfikowany był dogrywką na pięści. Mecz trwał do czasu, aż piłka, kopnięta nogą otumanioną alkoholem, lądowała w bajorze znajdującym się w dole za boiskiem. Wydobyć jej należało już do zadań młodych graczy. Starsi wracali do pozostawionych na ziemi butelek, z których tymczasem odrobinę ubyło, gdy spuszczone z oka przez dorosłych pogrążonych w piłkarskim szale małolaty po cichu przyssały się do opuszczonych flaszek. Pamiętający czasy, kiedy sami byli dziećmi i podkradali starszym alkohol, dorośli udawali, że tego nie zauważali, w końcu ile taki szczył jest w stanie wypić, łyk, dwa... Niech mu będzie, niech ma coś z tego swojego zasranego dzieciństwa.

Moja obecność we wsi, która z początku budziła zaciekawienie, u niektórych wręcz niedowierzenie, z czasem spowszedniała, już nie witały mnie zdumione spojrzenia tych, którzy pamiętali mnie sprzed lat, nie śledził wścibski wzrok tych, którzy widzieli mnie pierwszy raz. Po prostu stawałem się kolejnym niegroźnym elementem krajobrazu, łączącym przeszłość z teraźniejszością. Tym przyjemniejszym, że mogącym wysupłać z kieszeni parę groszy i pomóc ugasić pragnienie palące gardło.

Tak było tym razem. Siedzieliśmy z Oskarem na stopniu prowadzącym do bocznych drzwi pawilonu sklepowego, za którym znajdowało się zaplecze z powierzchnią magazynową. Co chwilę ktoś do nas podchodził, zagadywał, zapalał papierosa, potem brał pieniądze, flaszki na wymianę i wracał po kilku minutach z ciepłymi butelkami broka. Gawędziliśmy o tym i owym, sącząc piwo. Na boisku toczył się zacięty mecz, który w częstych momentach zapadającej krępującej ciszy obserwowaliśmy kątem oka. Nagle kopnięta przez jednego z graczy piłka przeleciała nad rękoma stojącego w bramce mikrusa, a następnie poszybowała pomiędzy dwoma wbitymi w ziemię na sztorc kijami wyznaczającymi słupki. Strzelec

w triumfującym geście uniósł w górę ręce.

– Nie było! – pisnął bramkarz.

– Był! – wrzasnął napastnik.

– Nie-e, za wysoka, nie sięgłem – upierał się mały. Bramka, niczym na boisku do rugby, pozbawiona była poprzeczki.

– Chuj mnie obchodzi, czy sięgłeś, gnoju. Był!

– A właśnie, że nie.

– Tak!

– Nie-e.

– Zaraz ci udowodnię, posrańcu. – Starszy o kilka lat i wyższy o głowę strzelec zbliżył się z zaciśniętymi pięściami do małego, który wystraszony zrobił dwa kroki wstecz.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na Oskara.

– Zaraz się pobiją – powiedziałem, oczekując reakcji.

Wzruszył ramionami.

– Co zrobić, takie przepisy, jakoś trzeba rozsądzić spór. To najprostsza metoda. Stosowana od wieków. Takie współczesne ordalia.

– Mógłbyś im chociaż zrobić porządne bramki.

Oskar spojrzał znacząco na kucającego naprzeciwko nas krępego, krótko ostrzyżonego osiłka o okrągłej twarzy, którego nazywał Dziuńkiem. Widziałem go po raz pierwszy. Obaj uśmiechnęli się pod nosem.

– Ty myślisz, że nie robię? Owszem, każdej wiosny zbijam z badyli nowe bramy. A po miesiącu, najdalej dwóch już ich nie ma. Badyle przydają się do różnych ważniejszych spraw, nie? – zwrócił się w stronę osiłka.

– Czym się tu przejmować? Młode się grzały, grzejom i będą grzać. – Dziuniek starał się nie zauważać pytania. – Nie ma się co wtrancać. Morda nie szklanka. A tak to i krzepy nabierze jeden z drugim, i młócić się nauczy. Potem taka nauka przyda się w życiu. – Spojrzał na boisko, na którym mały bramkarz trzepnięty w ucho przez strzelca niechętnie, pociągając nosem,

uznał gola. – Albo nawet i na boisku, jak w Orle pójdą grać. Nie, Oskar? Jutro mecz, grasz?

– Gram – odpowiedział krótko.

– A pan przyjdzie? – Dziuniek zwrócił się do mnie. – Walczymy z Zawiszom, takie nasze małe derby. Będzie na co popatrzeć.

– Orzeł jeszcze istnieje? – zdziwiłem się.

– A pewnie! I Oskar w nim gra. I jeszcze paru łebków z Wrześniowa. Okręgówka – powiedział z dumą. – O, idzie największy kibic. – Pokazał w stronę wejścia do sklepu, skąd nadchodził Kulewicz. – Zbychu, chono tu do nas. – Zamachał ręką.

Kulewicz sprawiał wrażenie zakłopotanego, obrócił się, jakby chciał uciec, ale przywołany nie mógł się już wycofać. Podszedł do nas, odwracając w bok głowę, i stanął prawym profilem.

– Jak tam, kibic, na mecz jutro jedziesz? – zagadnął go Dziuniek, klepiąc po ramieniu. Kulewicz potaknął. – A nie mówiłem! To ile będzie?

– Pfy zelo – zabełkotał Kulewicz.

Zdumieni spojrzeliśmy na siebie. Pijany? Od Oskara wiedziałem, że Kulewicz należał do nielicznych we wsi wyjątków, które nie piły alkoholu, przynajmniej nie w ilościach powodujących zamroczenie czy niezrozumiały bełkot, jaki wydobył się teraz z jego ust. Nie chciało nam się wierzyć, że nagle złamał swoje zasady.

– Kulewicz, co ci jest? – Oskar uniósł się i obrócił go w naszą stronę. Lewa część jego twarzy wyglądała jak u Quasimodo, zapuchnięta tak, że oczodół wraz z powiekami nikał pod zwałami nabrzmiałej skóry, usta pulsowały nabiegłą krwią, policzek zdawał się być wypełniony od wewnątrz piłką tenisową.

– Ofa mie ujebała.

– Osa?! Chryste, ale tak? – Oskar patrzył w zdeformowaną twarz. – Wezwę pogotowie.

– Nie tfeba. Ofetu pfyłoze i bezie dobre.

– Udusisz się!

– Nie, nie, pfejdie famo.

– Dobrze. To idź szybko. – Oskar pchnął go lekko w stronę chałup. – A jakby ci się pogorszyło, to przyślij starą, zadzwonimy po lekarza.

Podszedł do nas Antek, który przysłuchiwał się zza węgła pawilonu rozmowie. Popatrzył za odchodzącym Kulewiczem, a kiedy ten oddalił się na odległość, z jakiej nie mógł słyszeć naszych głosów, powiedział rozbawiony:

– Ta, osa. He, he! Jabca ci kradł. Wlazł na tę starą jabłonkę za kuźnią. Podobno skup ma brać, nawet obite, bo na jable. Trząchał gałęzima, żeby pospadali. A tam w dziupli jest gniazdo szerszeniów. Wyleciał jeden i go pierdolnął w gębę. Durnia.

Cała trójka, włącznie z Oskarem, zarechotała, a potem przytknęła butelki do ust. Nagle Dziuniek podskoczył:

– Patrzcie, Stalon znowu świruje – zawołał, pokazując szutrową drogę, po której na wehikule, który zobaczyłem w tym samym miejscu w dniu swojego przyjazdu do Wrześniowa, siedział młody klon Czyżyka, trzymając w opartych o kierownicę dłoniach po trzy flaszki z etykietą pędzącego byka, siódmą butelkę chwycił zębami za szyjkę. – Stalon, czekaj, gdzie wieziesz te mózgojeby?! – Dziuniek pobiegł za oddalającym się chłopakiem.

– Muszę zamienić z nim parę słów. Potrzebuję ludzi do załadunku gryki – rzucił w moją stronę Oskar i poszedł za Dziunikiem.

Zostaliśmy sami z Antkiem. Wyciągnąłem w jego stronę paczkę marlboro. Wysupłał papierosa brudnymi palcami i wsadził pomiędzy szczecinę wąsów. Trzasnęła zapałka. Pociągnęliśmy po łyku piwa, aby zagłuszyć przedłużające się milczenie. Chciałem Antka o coś spytać, ale obawiałem się go spłoszyć. Mimo że był największym we wsi bumelantem, stawiającym na pierwszym miejscu wypitkę, mimo że nie skończył żadnej szkoły, nie

przeczytał w życiu żadnej książki, a wiedzę o świecie czerpał wyłącznie z mało wybrednie sortowanych programów telewizyjnych, to jednak od małego, odkąd go pamiętałem, odznaczał się żywą inteligencją, którą niemal w całości, i z różnym skutkiem, koncentrował na uczynieniu swojego życia lekkim i przyjemnym, pozbawionym trudu i wysiłku, pełnym uciech skrojonych, rzecz jasna, na miarę biedy, w jakiej egzystowała cała wieś. Antka trudno było wyprowadzić w pole. I teraz też czułem, że przygląda mi się spod przymkniętych na wpół powiek przenikliwym, świdrującym wzrokiem, wiedząc, że za chwilę spróbuję zadać mu ważne dla mnie pytanie, a on z jego treści będzie mógł wreszcie wywnioskować, po jaką cholerę po prawie osiemnastu latach przyjechałem do jego wioski. Przez chwilę zastanawiałem się, jak go podejść, wreszcie uznałem, że nie będę kluczył. Spytałem prosto z mostu. Tego na pewno się nie spodziewa, uznałem.

– Powiedz mi, Antek, czy został we wsi jeszcze ktoś z Poznaniaków?

Popatrzył na mnie przeciągle, a potem odparował pytaniem, powoli, jakby próbując zyskać na czasie i ważąc, czy należy udzielić mi odpowiedzi:

– A co się pan nimi tak interesujesz?

– Po prostu pytam, z ciekawości. Kiedyś było ich tu trochę. – Przybrałem nonszalancki ton, którego fałsz bez wątpienia wyczuł.

– Ano było, a tera ostał się tylko jeden. Ten durny Wojtuś.

– Syn Franka?

– Ten sam. Zawsze był pizdowaty, ale teraz to już w ogóle cipa taka się zrobił, że hej. Mieszka przy przystanku. Wyłazi rzadko. Nikogo do siebie nie wpuszcza. Chyba że listonosza. Ten często do niego zagląda, co mu tam nosi, nikt nie wie. Listy jakieś, pieniądze, a może paczki? Pytałim, ale się zasłania tajemnicą zawodową. Jak ksiódz. Też mi szycha. Tak czy siak, Wojtuś siedzi

po całych dniach w chałupie i z nikim ani słowa nie zamieni. Jak wylizie, to też przemyka się tylko jak zwierz. Spode łba zerka i nie odpowiada, jak go zaczepiać. Snuje się w stronę Chwaliszek, ale nigdy tam nie dociera. Pojeb taki. Nikt tu sobie od dawna nim głowy nie zawraca. Panu też nie radzę.

– To z czego żyje?

– A chuj go wie! Mówię panu, zostaw pan te sprawy w spokoju.

– Jakie sprawy? – Znów nieudolnie próbowałem udawać obojętność. – Po prostu pamiętam, jacy Poznaniacy byli kiedyś we wsi ważni i z ciekawości pytam, żeby wiedzieć, jak to dzisiaj wygląda.

Antek odstawił na trawę butelkę po piwie. Strzelił niedopałkiem, a potem strzyknął pod nogi wodnistą śliną. Chwilę miał słowa w ustach, jakby zbierając się na odwagę, żeby je wypowiedzieć. Wreszcie spojrzał mi w oczy i wysyczał:

– Ja to wiem, czego pan szukasz. I nie powiem, żeby mi się to podobało. Na co to komu? My tu żyjemy, nie pan. Po swojemu. W starych sprawach nie ma się co grzebać. U nas wszystkie tak myślą. Pan tu posiedzisz, pomącis i wyjedziesz, a my zostaniemy. Była milicja, wszystko przebadala. Sprawa zamknięta. Mamy to za sobą. Od lat.

– Nie wydaje mi się – zaoponowałem równie ostrym tonem.

– Tak pan myślisz? A to niby czemu?

– Temu, że... to ty mi powiedz, bo niby dlaczego nikt nie zbliża się do jeziora?

– Z tego samego powodu, dla którego mi się nie podoba, że pan się tu wiercisz: żeby licha nie budzić...

Obrócił się, nie czekając na moją odpowiedź, kopnął ze złością leżący pod nogami kamyk i powędrował w stronę szosy.

*

Poznałem go od razu: ta sama – albo właściwiej mówiąc, taka sama – brązowa maciejówka z czarnym, sztywnym daszkiem, te same wypływające spod niej blond loki zasłaniające szyję, te same sięgające połowy policzków wąsiska, za obszerna marynarka, buty w szpic. Nic się nie zmienił, wyglądał dokładnie tak jak przed laty. Oczywiście postarzał się, twarz poprzecinały grube bruzdy, zapadnięte oczy, jakie pamiętałem, wcisnęły się w oczodoły jeszcze głębiej, dłonie pokryły ciemnobrązowe plamy, jednak to był on, przyprószony kurzem lat, ale wciąż perorujący z zapalem niosącym się dookoła basem, kontrastującym z jego szczupłą figurą i niskim wzrostem.

Siedział w doborowym towarzystwie na zboczu niezbyt ostrej kilkumetrowej skarpy, porośniętej na szczycie młodym lasem, która łagodnie schodziła niemal do samej linii autowej – miejsca było tam akurat na tyle, żeby zmieścił się sędzia z chorągiewką – rozciągał się stamtąd wspaniały widok na boisko, a za nim rozlane szeroko jezioro odgrodzone rzędem rzadkich wysokich drzew. Ksiądz, kierownik wędzarni, właściciel gorzelni, masarz i on, były dyrektor PGR-u Piwocki popijali wódeczkę z małych kieliszków (na zmyślnie skonstruowanym z deski stoliczku spoczywały zakąski), wymieniając co chwilę uwagi na temat meczu i pokrzykując na zawodników i sędziów. Mieli, tak jak reszta rozstawionych dookoła boiska kibiców, powody do zadowolenia: Orzeł prowadził trzy zero. Doświadczony niewysoki pomocnik, na którego koledzy i widzowie wołali Szatan, raz po raz inicjował kolejne ataki gospodarzy, mijając po kilku przeciwników w każdej akcji. Rozgrywał, podawał, sam strzelił piękną bramkę po bombie z trzydziestu metrów. Facet wyraźnie przerastał poziomem resztę graczy, ale pomimo że – jak mi powiedział stojący obok Kulewicz – miał propozycje przejścia do wyższych lig, nie przystawał na nie, ponieważ wiązałoby się to z przeprowadzką, a jemu i rodzinie dobrze było tu, w Trójczynie. Na prawym skrzydle biegał Oskar, w ataku

szalał piekielnie szybki młodziutki chłopak, którego twarz mignęła mi we Wrześniowie. Pozostałych graczy nie kojarzyłem.

Sędzia zagwizdał na przerwę. Piłkarze obu drużyn podbiegli do ławek rezerwowych, sięgnęli po butelki z wodą i usiedli w kręgu wokół swoich trenerów. Kilku zapaliło papierosy. Zabawnie było obserwować odmienne nastroje i reakcje w obu obozach. Nasi rozluźnieni, żartujący, poklepujący się po plecach, z uśmiechniętym trenerem w środku i tamci, Zawisza, których trener wrzeszczał, machając rękoma, siedzący ze zwieszonymi głowami, czasem tylko w pretensjach pohukujący i warczący na siebie.

Drużynę sformowano pod auspicjami LZS-ów, na fali euforii po medalu zdobytym przez naszą reprezentację na Mistrzostwach Świata w Niemczech. Chłopcy garnęli się do piłki. Nie to, żeby wcześniej nie chcieli grać. Owszem, kopali szmaciankę na zaimprovizowanym za szkołą boisku, jednak czynili to wyłącznie dla własnej przyjemności, a w siedemdziesiątym czwartym doszła do tego chęć robienia kariery. Grać w wielkich klubach, być jak Deyna, Szarmach, Tomaszewski czy Lato. Do tego należało szkolić się od najmłodszych lat, pod okiem trenera, który nie tylko potrafiłby przekazywać wiedzę, ale również wyłowić perełki, jakie można by poddać dalszemu szkoleniu juniorskiemu w większych ośrodkach. Poszła oddolna inicjatywa, władze przyklasnęły i po załatwieniu formalności Orzeł (rozważano różne nazwy, jakie mógłby przyjąć klub, ostatecznie zdecydowano się na tę, która bezpośrednio nawiązywała do złotej jedenastki Górskiego) został zgłoszony do najniższej klasy rozgrywkowej. Jeszcze w czasie kiedy mieszkałem we Wrześniowie, trzy lata po założeniu drużyny i awansie o jeden szczebel w ligowej hierarchii, trener miał komfort selekcjonowania do drużyn – seniorskiej i juniorskiej – zawodników spośród niemal wszystkich mieszkańców Trójczyna i okolicznych wsi, bo o grze w Orle

marzył każdy, a na meczach obowiązkowo stawiała się w komplecie cała tubylcza ludność. Stawiałem się też ja.

Nieraz po wyjeździe do Warszawy zastanawiałem się, jak długo jeszcze trwał ten entuzjazm, a ponieważ nie miałem jak tego sprawdzić, przypuszczałem, że znikł wraz z kryzysem w polskiej piłce i wynikającym z niego brakiem sukcesów naszej reprezentacji. Dlatego z przyjemnym zaskoczeniem przyjąłem informację, że Orzeł wciąż istnieje i ma się dobrze, a nawet gra o ligę wyżej niż kiedyś, a już w prawdziwe zdumienie wprowadziła mnie efektowna gra drużyny i liczba widzów na meczu. Nie był to wprawdzie taki tłum, jaki pamiętałem z dawnych czasów, ale na pewno Orzeł nie rozgrywał meczów przy pustych trybunach, pamiętając, rzecz jasna, że trybuną w Trójczynie była porośnięta trawą i chwastami skarpa oraz kępy krzaków rosnące bujnie w okolicach boiska. Piłkarską gorączkę lat siedemdziesiątych, jaka opanowała Trójczyn, można by porównać do gwałtownego pożaru trawiącego wszystko bez litości, dziś był to statecznie płonący ogień, podsycany wynikami i widowiskową grą drużyny.

Sędzia gwizdnął, dając znak, że przerwa skończona. Piłkarze pogasili papierosy, odstawili do skrzynek puste butelki po wodzie i wybiegli na boisko, a do piątki raczącej się wódeczką na skarpie podszedł korpulentny mężczyzna w berecie, stawiając na stoliku kolejną pozbawioną etykiety flaszkę. To nasz sołtys, szepnął mi do ucha Kulewicz. Przedstawiciel społeczności lokalnej po wręczeniu wesołej piątce butelki splótł dłonie i przygiął nieco karku, przybierając wyczekującą, korną pozę. Gorzelniany podał mu pełny kieliszek, a masarz wcisnął do ręki kawałek kiełbasy. Sołtys wypił, zakąsił, ukłonił się i zbiegł ze skarpy. Odprowadzany pięcioma parami oczu wrócił na swoje miejsce za bramką, po drodze mijając grupkę, w której stałem. I wtedy Piwocki mnie dostrzegł. Zmrużył głęboko osadzone oczy, przyglądał mi się, chwilę czegoś poszukiwał w zakamarkach pamięci, a wreszcie, jakby dopasowywane puzzle wskoczyły na

swoje miejsce, twarz rozjaśniła mu się w szerokim uśmiechu.

– Kurczę, czy mnie piękne oczy nie mylą? – zagrział niskim głosem. – Panie Roman, to pan? Jak pragnę zdrowia! Chodź pan szybko do nas!

Wspiąłem się po zboczu. Uścisnęliśmy sobie ręce. Mocno, po męsku. Dyrektorem PGR-u został mniej więcej w tym czasie, kiedy ja stamtąd wyjechałem. Wcześniej był zastępcą. Po tragedii, kiedy zszokowany ówczesny dyrektor oddał się do dyspozycji władz, a one po krótkiej z nim rozmowie uznały, że nie jest w stanie dłużej pełnić swojej funkcji, poszukiwano nowego szefa. Pytano, badano, proponowano, jednak nikt nie chciał się zgodzić. Tak wcześniej pożądane stanowisko teraz paliło niczym gorące krzesło. Ludzie raczej uciekali z Wrześniowa, niż się do niego garnęli. Wioska nosiła na sobie piętno, zawisł nad nią trupi zaduch, nawet przez członków partii, materialistów, uważana była za miejsce przekłete, choć oczywiście żaden z nich nawet na torturach nie przyznałby się do wiary w takie wsiowe zabobony. I kiedy poszukiwania nowego dyrektora nie przynosiły rezultatu, nagle ktoś z decydentów przypomniał sobie o zastępcy, o Piwockim. Rozglądano się wszędzie, nie dostrzegając najbardziej oczywistego rozwiązania. Był jeszcze w miarę młody, energiczny, pozbawiony skrupułów, żądny władzy, z ciśnieniem na karierę, ale co było ważne dla dotychczasowych układów, niezapominający również o radosnych aspektach życia, o wygodach, na które potrzebował pieniędzy. Za rządów Piwockiego złodziejsko-spożywczemu procederowi, w który zamieszane było pół gminy, nic nie groziło. Przeciwnie, można się było spodziewać, że pod jego okiem rozkwitnie w najlepsze. Kandydat nie miał wprawdzie zbyt silnego poparcia w województwie, ale ponieważ ambitnie piał się w górę po szczeblach kariery, uznano, że takowe wydrepta sobie z czasem. A poza tym w trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się PGR we

Wrześniowie, nie należało wybrzydzać. Piwocki nie wierzył w żadne legendy o klątwie rzuconej na wieś, a nawet jeśli tak, to pęd ku władzy skutecznie głużył w nim tę wiarę. Decyzja zapadła. Stefan Piwocki objął stanowisko, którego nie oddał już do końca, do upadku gospodarstwa, do czego, jak przypuszczałem, walnie się przyczynił.

Wcześniej, jeszcze jako wice, był moim bezpośrednim przełożonym. Łączyły nas poprawne, choć szorstkie relacje. Drażniły mnie w nim całkowicie przetrącony kręgosłup moralny, zachłanność, intryganctwo, irytowało to, że muszę wysłuchiwać jego wygłaszanych z absolutną pewnością siebie tyrad, w których opisywał nam, pracownikom biura – choć nie tylko, bo zdarzało się, że i zwykłym robotnikom – wydumane przez siebie mechanizmy sterujące jakoby światem. Te popisy oratorskie, które, tak czułem, miały oczarować przede wszystkim mnie, przybysza z Warszawy, były tyleż naiwne co banalne. Na prostych ludziach, jakimi byli pracownicy PGR-u, robiły jednak kolosalne wrażenie. Z drugiej strony nie mogę powiedzieć, że nie czułem do niego sympatii. Podobała mi się jego bezpośredniość, pewność siebie i wieczny optymizm, przejawiający się nie tym, że postrzegał świat jako miejsce idealne – przeciwnie, raczej wszędzie wietrzył spiski i złą wolę – ale tym, że uważał, iż każdą kłode rzucaną przez los lub osobistych wrogów pod nogi da się przeskoczyć lub ominąć. On z kolei ze swojej strony nie był pewien, jak ma ze mną postępować. Znał moją przeszłość. Wiedział, że siedziałem w kryminale, i to wydawało mu się obiecującą płaszczyzną do porozumienia, do wplątania mnie w mechanizm nielegalnego handlu żywnością. Widząc jednak kwaśną minę, z jaką przyjmowałem jego podchody, odpuścił, tłumacząc sobie moją rezerwę na dwa sposoby: albo z ciężącym na barkach wyrokiem obawiałem się wpadki i wiążącej się z nią ponownej odsiadki, albo złamany w kiciu byłem kapusiem. Inaczej mojej obecności we wsi nie potrafił sobie wytłumaczyć,

jedno z dwojga: przed czymś się chowałem lub czegoś szukałem. To sprawiało, że nie miał do mnie zaufania. Ale tak jak mnie, pomimo śliskiej natury tego człowieka, coś w jego stronę ciągnęło, tak i on szukał mojego towarzystwa, które najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Może podskórnie czuł, że jednak z mojej strony nic mu nie zagraża. Jakkolwiek było, spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. W styczniu siedemdziesiątego ósmego nasze drogi się rozeszły, on powędrował w górę, wspinając się na kolejny szczebel kariery, ja, nie mogąc znieść grobowej atmosfery dotkniętego tragedią Wrześniowa, uznałem, że półtoraroczny pegeerowski czyściec, na jaki się skazałem, dobiegł końca, i ruszyłem z powrotem do stolicy. Rozstaliśmy się w zgodzie, ściskając sobie, jak teraz, mocno dłonie.

– Do licha! Kopę lat! – grzmiał. – Co pana, panie Roman, do nas sprowadza?

– Przyjechałem pooglądać dawne kąty. Chyba na starość robię się sentymentalny.

– Co pan opowiadasz? Jaką starość? Przecież pan jesteś z piętnaście lat ode mnie młodszy.

Wzruszyłem ramionami. Zaległa cisza. Tyle lat minęło, a tak niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia. Może w swobodnej rozmowie przeszkadzała nam obecność kompanów Piwockiego.

– Pan się za to w ogóle nie starzejesz – zaryzykowałem banałem.

– Się rozumie, trzeba organizm oliwić od środka – podchwycił. Podał mi kieliszek. Wypiłem i poczułem ogień w gardle, do oczu napłynęły mi łzy, tchawica nie chciała wpuścić powietrza.

– He, he... coś pan niezwykajny. – Piwocki się zaśmiał. – Spirytus od Mietka. Od tego roku ma kolbę do rafinacji. Czysty alkohol.

Łapałem powietrze niczym wyłowiony ze stawu karp. Ponownie zapadła cisza. Obserwowaliśmy wydarzenia na boisku. Piłka wpadła w nasze pole karne, zakotłowało się. Napastnik

gości wykoszony przez obrońcę padł jak kłoda na murawę. Gwizdek sędziego milczał. Przyjezdni rzucili się do arbitra. Kibice, trenerzy, zawodnicy obydwu drużyn, wszyscy naraz zaczęli krzyczeć. Piwocki i jego kompani całą sytuację przyjmowali ze spokojem.

– Ładnie chłopaki grają, co? Okręgówka! Nic by jednak z tego grania nie było, gdyby nie Mietek! – Były dyrektor PGR-u wskazał na właściciela gorzelni. – Łoży chłop na utrzymanie drużyny, bo gmina to już na nic nie daje. Tyle co autobus na wyjazdy i stroje raz na pół roku. Ale Mietek skromny chłop, nawet prezesem klubu nie chciał zostać, tylko mnie zaproponował. Nie, Mieciu? Zgodziłem się i patrz pan, jaką ekipę dobrałem: ja prezes, Mietek sponsor, Czesio – pokazał na masarza – skarbnik i Wiesiek – zwrócił głowę w stronę znanego mi kierownika wędzarni – sekretarz, od zadań specjalnych. A nad przychylnością samej najwyższej instancji – skierował palec ku niebu – dba nasz drogi księżulek. Przyznasz pan, że z takim składem działaczy to nikt z nami nie ma szans, szczególnie kiedy gramy u siebie. Nie ma obaw, karnego nie będzie.

I rzeczywiście sędzia pozostał niewzruszony. Gra została wznowiona.

– Z takim pomocnikiem – wskazałem na rozgrywającego pędzącego po raz kolejny na bramkę rywali, których mijiał niczym tyczki – można sporo zwojować.

– Prawda. Szatan slicznie gra. – Do rozmowy wtrącił się, mówiący ze wschodnim zaśpiewem, gorzelniany. – Ale Barański był jeszcze lepszy. Tylko Gwardia go wzięła. Tam teraz kopie. Nie powiem, zacnie zapłacili. Budżet nam się na dwa lata zepnie.

– To za co pan płaci, skoro autokar i stroje opłaca gmina? – spytałem, szczerze zainteresowany. Ciekaw byłem, jakim kosztem można stać się współwłaścicielem drużyny piłkarskiej.

– A boisko utrzymać, stroje wyprać, sędziów opłacić, piłki zakupić, licencje piłkarzom, do tego jeszcze diety wyjazdowe po

dwadzieścia sześć złotych. Ale ja grosza nie skąpię. Nawet płacę premię za wygrany mecz. Po dwie dychy, to znaczy dwieście tysięcy na stare, chłopakom wypłacam. Biegają jak wariaty.

Jakby na potwierdzenie słów sponsora, Szatan zagrał na prawo, Oskar huknął bez przyjęcia. Bramkarz wyciągnął się i końcami palców sparował piłkę na słupek. Dopadł do niej napastnik z Wrześniowa. Zawodnicy Zawiszy reklamowali spalonego, ale na nic się to zdało. Cztery zero!

Chwilę po wznowieniu gry kibice bez wyraźnego powodu zaczęli wiwatować. Spojrzałem pytająco na Piwockiego.

– Będą jaja! – Zatarł ręce. – Widzisz pan tego chłopaczka przygotowanego do zmiany? To Poldek, miejscowa oferma. Chłopak jest łamagą jakich mało, ale garnie się do gry. Sprząta pomieszczenia klubowe, kosi trawę, pierze stroje, wszystko za to, żeby móc włożyć koszulkę i posiedzieć na ławce rezerwowych. Zrobiliśmy mu kartę, a co, i zaraz zadebiutuje.

Przy owacjach widzów Poldek wbiegł na murawę, a po kilku minutach w zamieszaniu podbramkowym piłka trafiła go w piszczel i wtoczyła się do bramki. Chłopak zarzucił sobie koszulkę na głowę i ruszył pokracznie w rundę honorową wokół boiska. Publika szalała. Chwilę później sędzia gwizdnął po raz ostatni. Podąłem Piwockiemu rękę, którą ten uściśnął serdecznie.

– Długo pan zostanie? – zapytał, patrząc mi w oczy.

– Nie wiem jeszcze. Dwa, trzy tygodnie.

– To wpadnij pan do mnie któregoś dnia. Pogadamy o starych czasach. Mieszkam teraz w Miasteczku.

– Chętnie, tylko nie znam adresu.

– Czekać pan, zapiszę.

Szperał przez chwilę w kieszeniach marynarki, a nie znajdując tego, czego szukał, ruchem ręki przywołał do siebie sołtysa.

– Heniu, przynieś no mi kawałek kartki i ołówek – zarządził.

Idąc w stronę samochodu z zanotowanym adresem w dłoni, katem oka zauważyłem, że do siedzącej na skarpie doborowej

piątki podeszła witana serdecznie trójka sędziowska. Chwycono w dłonie małe kieliszki i wzniesiono toast za zwycięstwo. Było co świętować, bo przecież wszyscy – drużyna, działacze, sędziowie, kibice, a nawet Poldek – spisali się na medal.

*

Postawiłem kołnierz kurtki i wsadziłem ręce do kieszeni. Nadchodziły jesienne chłody. Wolnym krokiem maszerowałem szosą w stronę lasu. Spacerem chciałem zagłuszyć rozczarowanie, jakie mnie przed chwilą spotkało. Nie powinienem się spodziewać niczego innego, wiedziałem, że tak się ta próba skończy, jednak nie byłem w stanie otrząsnąć się z uczucia zawodu. Na co liczyłem, mimo ostrzeżeń Antka i Czyżykowej, usiłując porozmawiać z Wojtkiem Gruszczyńskim? Byłem pewien, że nie zareaguje na pukanie do drzwi, a jednak pukałem. Kilka razy i za każdym coraz natarczywiej. Bez skutku. Potem nacisnąłem klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Na koniec przeszedłem na zaniebane podwórko i bębniłem w brudną szybę. Miałem nadzieję, że kiedy zobaczy mnie w oknie, rozpozna, kiedy zorientuje się, że nie nagabuje go nikt ze wsi, wówczas podrepcze do drzwi i przekręci klucz w zamku, wpuszczając mnie do środka. Nic takiego się nie stało. Wewnątrz domu panowała głucha cisza. Żadnego dźwięku. Nikt się nie poruszył, nikt nie zaszurał kapciami, nie zafalowała poźółkła firanka. Stałem jeszcze kilka minut, nie mogąc pogodzić się z porażką i spodziewając się Bóg wie czego, a wreszcie jak niepyszny wróciłem na szosę. Obejrzałem się ostatni raz za siebie; w dalszym ciągu nie zauważając w chałupie żadnych oznak życia, poszedłem w stronę lasu.

Co mi dał do tej pory przyjazd tutaj? Niby wiedziałem coraz więcej. Poznałem wreszcie źródła konfliktu, który przez

trzydzieści lat targał Wrześniowem. Dowiedziałem się, skąd wzięli się w naszej wsi główni aktorzy tego sporu. Pojąłem namiętności, które nimi targały, i ogromny wysiłek, jaki w końcu podjęli, aby je wygasić. Odkryłem rzeczy, o jakich w trakcie półtorarocznego pobytu tutaj nie miałem pojęcia. Mimo to wciąż byłem daleki od rozwiązania zagadki. Zrozumienia, co tak naprawdę się wydarzyło w ten grudniowy wieczór. O tym, że Poznaniacy od lat wojowali z Ukraińcami, wiedziałem od początku. To nie był żaden sekret. Teraz dodatkowo dowiedziałem się, z jakiego powodu. Ale to niczego nie tłumaczyło. Przecież w wypadku zginęli i jedni, i drudzy. Sprawiedliwie.

Rozmowa z ostatnim pozostałym we wsi Poznaniakiem wydawała mi się kluczowa. Mógłbym się dowiedzieć, jak wyglądały ostatnie chwile w ich chałupie przed wyjazdem do kościoła. Wyjaśnić, jak to się stało, że Piotr siedział na pierwszym koźle w drodze w jedną stronę, a Michał w drugą. Być może Wojtek powiedziałby mi, co czuł jego dziadek, zamieniając się miejscami ze swoim do niedawna największym wrogiem? Wytłumaczył, dlaczego sam tego feralnego dnia nie pojechał z innymi? Może mógłby też wskazać, gdzie podziewa się ten zabijaka Lesio. Podobno słuch wszelki po nim zaginął, ale nie chciało mi się wierzyć, żeby Wojtek nic nie wiedział o młodszym kuzynie, którym był tak zafascynowany. Może siedzi gdzieś w kryminale? Miał ku temu wyraźne predyspozycje.

Kto mógłby wnieść jeszcze coś do sprawy? Poszerzyć moją wiedzę? Głównkowałem. Świadców tamtych wydarzeń albo ze wsi uciekli, albo nic nie wiedzieli, albo milczeli jak zakłęci. Oficjalne dokumenty, te z prokuratury, pozbawione były jakiegokolwiek ładunku emocjonalnego, same suche fakty, opinie, ekspertyzy, tam niczego nie mogłem wyczytać pomiędzy wierszami. Te dokumenty...

Przypomniałem sobie, jak położyła je na stoliku w restauracji.

Nagle moje myśli uciekły w inną stronę. Zobaczyłem ją jeszcze raz i mimo chłodnego, wiejącego w twarz wiatru poczułem palące policzki gorąco. W marzeniach, które na moment mną zawładnęły, ześlizgnąłem się wzrokiem z jej twarzy, do szyi i dalej, zagłębiłem w dekolt, przesunąłem po rowku, którym łączyły się młode twarde piersi, szukałem pępka. Przestałem panować nad myślami, przestałem też nad organizmem. Oddech przyspieszył, dłonie zwilgotniały, spodnie stały się za ciasne. Poczułem się głupio, idąc w takim stanie przez wieś. Nie potrafiłem jednak odegnać od siebie tych obrazów. Na szczęście zbliżałem się już do tabliczki z przekreślonym napisem WRZEŚNIOWO. Jeszcze kilka kroków i zacznie się las. Będę mógł skręcić z szosy. Wejść między drzewa. Poczekać, aż ciśnienie wróci do normy. Nie byłem miłośnikiem plenerowej masturbacji, chciałem po prostu wrócić do siebie i bez świadków odegnać spod powiek obraz dziewczyny, która jak wiedźma rzuciła na mnie urok, przychodziła nieproszona i wwiercała się w myśli, nie dając spokoju.

Nagle z za zakrętu wypadł pędzący z wielką prędkością czerwony polonez, minął mnie i zaczął gwałtownie hamować. Na pierwszym we wsi podjeździe pod chałupę rozpoczął manewr zawracania. Ochłonąłem w jednej chwili. Zaczęły docierać do mnie zewnętrzne bodźce i dopiero teraz usłyszałem, że na ryk motoru wykręcającego samochodu nakłada się inny dźwięk, dobiegający z przeciwnej strony. Był to również jazgot poruszającego się na wysokich obrotach silnika spalinowego. Unosił się ponad drzewami i świdrował okolicę. Nie był to odgłos pracującego w polu kombajnu, który zresztą znów się popsuł i zamiast, korzystając z dobrej pogody, kosić resztkę gryki, jaka jeszcze pozostała do zebrania, poddawany był przez Kurca i Czółkę zabiegom reanimacyjnym w kuźni. Dźwięk ten przypominał raczej terkot poruszającego się w trudnym terenie motocykla albo... No tak, po kilku krokach na skręcającej w las

piaszczystej drodze zobaczyłem mężczyznę pracującego piłą łańcuchową. Ciął na mniejsze kłocę przewrócone drzewo. Ta część lasu i pobliska łąka należały do Oskara. Ruszyłem w stronę pilarza, za mną podążył czerwony polonez.

Facet zdawał się nie przejmować naszą obecnością, pracował wolno, metodycznie, prowadnica zanurzała się w pień buka, rysując na gładkiej stalowoszarej korze równą jasną szramę; dookoła sypały się trociny. Polonez zatrzymał się za moimi plecami. Trzasnął zamek, zajęczały drzwi i na piasku obok samochodu stanął dryblas w policyjnym mundurze. Pilarz na sekundę jakby zamarł, zawahał się, po czym z butną, pewną siebie miną kontynuował pracę. Policjant próbował coś powiedzieć, ale ryk silnika zagłuszył jego słowa. To go wyraźnie zirytowało, podszedł i nacisnął na pile przycisk bezpieczeństwa. Łańcuch stanął. Ostatnie akordy odbiły się echem od ściany lasu, po czym w uszy uderzyła nas cisza.

– Co ty tutaj robisz? – ostro, bez wstępów huknął policjant.

– No widzi przecież pan dzielnicowy, drzewo wyrabiam – odpowiedział facet, poruszając nosem osadzonym w pociągłej ptasiej twarzy.

– Dla kogo? – kontynuował zaimprovizowane przesłuchanie mundurowy.

– Przecież, że dla siebie.

– Asygnata. – Dzielnicowy wyciągnął rękę.

– To prywatny las, pana Oskara, przecież nie muszę mieć – odpowiedział buńczucznie pilarz.

– Nazwisko? – Dzielnicowy wyciągnął notes, otworzył i zastukał długopisem w czystą kartkę.

– Kołecki Marek.

Policjant zanotował.

– A pan Oskar Bukowski wie, że mu drzewo podbierasz?

– Przecież, że wie.

Policjant spojrzał z niedowierzaniem na przesłuchiwanego.

– Nie przypuszczam – wtrąciłem się do rozmowy.

Chałupy we wsi ogrzewane były przez piece kaflowe, w których palono drewnem. Nawet w blokach, za czasów PGR-u wyposażonych w centralne ogrzewanie zasilane ze znajdującej się na wzgórzu kotłowni, nieczynnej od momentu upadku gospodarstwa, dziś kaloryfery nagrzewano indywidualnie za pomocą zmyślnie skonstruowanych, znajdujących się w piwnicach pieców połączonymi z mieszkaniami skomplikowanymi systemami rurek. Większość wrześniowieckich rodzin gotowało na węglowych kuchniach, w których paleniskach zamiast drogiego antracytu czy koksu łądowały drewniane szczapy. Przeciętne gospodarstwo zużywało przez sezon około siedmiu przyczep opału. Jego zdobycie dla mieszkańców wsi było poważnym wyzwaniem. Aby móc wyciąć drzewo w państwowym lesie, należało wykupić asygnatę; jej brak groził nieprzyjemnymi konsekwencjami, o czym przekonało się kilku śmiałków, którzy zaraz po upadku PGR-u, hołdując odchodzącej w przeszłość zasadzie: wszystko jest nasze, czyli niczyje, spuściło w lesie kilka dorodnych buków. Wpadli. Areszt, śledztwo, proces, surowe wyroki w zawieszeniu, jakie zapadły, i obowiązek odrobienia prac społecznych skutecznie powstrzymywały kolejnych amatorów darmowego ciepła. Jednak asygnata kosztowała. A pieniędzy wciąż brakowało. Był jeszcze las prywatny należący do Oskara. Tu panowały inne zasady. Wprawdzie i w nim nawet właściciel nie mógł swobodnie ciąć drzewa, mógł natomiast ściągać wiatrołomy, których w tej okolicy, nękanej często przez wichury pojawiające się od strony morza, nie brakowało. Po każdym silniejszym wietrze przechodzącym nad Wrześniowem następował swoisty wyścig: należało obalone drzewa wytropić, szybko pociąć i zwieźć. Tubylcy mieli zdecydowaną przewagę nad Oskarem: czasu, liczebności i wiedzy. Lepiej znali las, do którego gromadnie ruszali o świcie. Wiedzieli, gdzie stoją najsłabsze drzewa. On

górował nad nimi sprzętem, posiadał traktory i przyczepy. Ponadto miał za sobą prawo. To była ruletka: kto był szybszy, przechytrzył Oskara, zwoził do domu drzewo, komu się nie udało, kogo złapał, nim gracz zdążył zabrać pocięte kłocę, ten tracił wszystko, wkład pracy, czasu i paliwa do piły, bo właściciel lasu bez litości ładował wyrobione, pocięte drzewo na przyczepy i zabierał wszystko pod pałac. Tam, po pozostawieniu na własne potrzeby połowy, resztę rozdzielał pomiędzy swoich pracowników.

Kołecki miał wyjątkowego pecha. Nie dość, że niewłaściwie obstawił żetony, to dodatkowo podczas nieczystej gry został przez krupiera chwycony za rękę.

– Nie sądzę – powtórzyłem.

– Ja też nie! – zgodził się policjant.

– Może pan przecież spytać. – Pilarz usiłował zachować się jak przedwojenny dżentelmen, który przyłapany w łóżku z cudzą żoną podnosił w górę ręce i wołał: to nie mój kutas!

– Spytam, oczywiście, że spytam. Możesz być pewien. A teraz ładuj tutaj piłę – nakazał policjant, otwierając bagażnik poloneza.

– Zabieram dowód rzeczowy.

– Ale przecież...

– Bez żadnego ale! No już!

Trzasnęła kłapa zamykanego kufra. Policjant siadł za kierownicą i odkręcił szybę.

– Powiedz pan Oskarowi – zwrócił się w moją stronę – żeby do mnie zadzwonił. Nazywam się Bąk. On będzie wiedział. Wspólnie zastanowimy się, co zrobić z tym gagatkiem. A ty się módl, żeby pan Oskar miał dobry humor – pogroził palcem niefartownemu pilarzowi, który spuścił głowę – inaczej bekniesz za kradzież. I nie szum, bo pożegnasz się z piłą na zawsze. Czołem.

Ze zgrzytem skrzyni wrzucił wsteczny bieg i z fasonem wycofał auto na szosę.

– Toś mnie pan urządził. – Ptasia twarz ściągnęła się

w nienawistnym grymasie.

– Sam żeś się urządził. Trzeba było przyjść, poprosić, dogadać się. I słyszałeś, co powiedział dzielnicowy, nie szum, a może jeszcze z tej kabały wyjdiesz cało.

Ruszyłem w dalszą drogę, schodząc z wyjeżdżonej trasy, wszedłem pomiędzy strzeliste buki i puściłem się na przełaj przez las. Zastanawiałem się, czy powinno być mi żal Koleckiego. Rozumiałem biedę, która jego i jemu podobnych pchała do kradzieży drzewa. Z drugiej jednak strony widziałem bezwzględność i krótkowzroczność, z jaką miejscowi traktowali przyrodę; widziałem przypominające narzędzia do wyczesywania wełny maszynki do zbierania jagód, którymi się posługiwali i które pozwalały błyskawicznie zapełnić owocami wiadra, powodując jednocześnie, że przetrzebione krzaki wysychały, a w najlepszym razie przez kilka kolejnych sezonów nie rodziły, czym nikt za bardzo się nie przejmował, przecież znajdą się inne, las jest duży; widziałem odarte z kory wierzbowe drzewa; widziałem wypalane – dla żartów, ale i dla zaoszczędzenia sobie pracy i kosztów – łąki, na których mikrofauna odradzała się przez długie lata; widziałem sterty śmieci wyrzuconych do lasu, aby uniknąć płacenia za wywózkę; widziałem, a raczej czułem nosem, dziurawione specjalnie szamba, dzięki czemu kloaczne nieczystości, zamiast być wybierane i wywożone cysterną, co przecież również kosztowało, spływały sobie do ciekącego przez wieś rowu melioracyjnego, a nim do jeziora (fetoru unoszącego się nad tym rowem, będącym bombą ekologiczną, nie da się opisać); widziałem mordowane bez litości szczupaki, wpływające na tarło do strumieni w okresie ochronnym, którym drogę ucieczki zastawiano polnymi głazami; widziałem podpalone ludzką ręką po burzy drzewa, które niby to trafione piorunem miały się zwalić, a następnie zostać pocięte i rozszabrowane niczym ranny zwierz przez stado piranii; widziałem... widziałem jeszcze dużo,

dużo więcej. Gdyby nie przeciwstawić się temu żywiołowi, gdyby Oskar tknięty litością pozwolił miejscowym swobodnie korzystać ze swojego lasu, w kilka lat pozostałaby po nim pustynia. A tak, chroniona szczupłymi siłami gospodarza – wspieranego z rzadka przez autorytet organów państwa – przyroda miała szansę, zraniona, ale nie uśmiercona, obronić się przed tym szalejącym ludzkim żywiołem.

Jakby na potwierdzenie swoich niewesołych myśli, przedzierając się przez zarośla, zaplątałem się w jakieś żelastwo. Co to za cholerstwo, myślałem, odwijając z nóg stalowe zwoje. Przyjrzałem się dokładniej. Wnyki. Proste, najprostsze z możliwych – kawałek cienkiego drutu uformowanego w samozaciągającą się pętlę – za to piekielnie skuteczne; spłoszone zwierzę, które zaplątało się w tę śmiertelną pułapkę, w naturalny sposób szarpało się, usiłując wyplątać ciało i tym samym coraz silniej zaciskało pętlę. Umierało w męczarniach. Bracia mniejsi nie byli darzeni we Wrześniowie wielką estymą.

Owinałem drut wokół dłoni. Przynajmniej na tej jednej lince nie udusi się żadna sarna, pomyślałem. Marna była to pociecha. Wiedziałem, że na miejsce tej zlikwidowanej przeze mnie pułapki niczym lby hydry pojawią się trzy nowe. Ich konstrukcja nic nie kosztowała. Stosunek nakładów do zysków był dla zwierząt bezwzględny.

Wyszedłem na rozległą polanę. Na zboczu pagórka, w skośnych promieniach słońca zmierzającego ku zachodowi, zauważyłem odcinającą się od zieleni traw, poruszającą się rudą plamę. Ostrożnie podkradłem się bliżej. Trzy małe liski siedziały przed norą wpatrzone w jeden odległy punkt. Ich matce ze strony miejscowych nic nie grozi, ona musi strzec się przed kimś zupełnie innym, pomyślałem, spoglądając na ustawioną na skraju polany ambonę.

– Przeklęta wieś! – wołał Antek. – Stąd trzeba uciekać. W pizdu, jak najdalej. Inaczej wszystkich nas wybije.

– Ukraińska klątwa – dorzucił szeptem Czółko, tak jakby nie chciał, żeby usłyszał to ktoś poza nami, mimo że nikogo dookoła nie było.

Staliśmy we czterech z samego rana przy traktorach. Bracia Żytkowie, na przemian, jeden przez drugiego opowiadali Oskarowi i mnie o wczorajszym wypadku.

Leśniczy Szczypiński wracał z jakichś czynności służbowych. Prywatnym fiatem, ponieważ w należącym do nadleśnictwa UAZ-ie po raz nie wiadomo który nawalił gaźnik. Jechał wolno, bo przecież nigdzie nie musiał się spieszyć. Od strony Gęśli. A tam szosa wąska. Tak, że dwa samochody nie mogą się minąć, ktoś musi ustąpić drogi. Szczypiński zawsze kierowcą był ostrożnym, więc i tym razem jechał uważnie, z nogą gotową w każdej chwili wdusić hamulec. Za oknami śmigają mu drzewa z „jego” lasu. Pomyślał sobie, że musi interweniować w zarządzie dróg, aby wykoszono trawy na poboczach, bo zza zakrętów nic nie było widać. I ledwo zdążył to pomyśleć, wyjechali na niego, nie dając nawet szansy na przełożenie stopy z gazu na hamulec.

Na komarku siedzieli we troje albo we czworo, zależy jak na to patrzeć. Umówili się dzień wcześniej, że pojedą razem do Burzewa, gdzie Mrozowska była zarejestrowana w urzędzie. Przyjechał po nią kompletnie pijany, z Kaczkowa, w którym mieszkał. Niby nie powinna była wsiadać, ale z drugiej strony to był ostatni termin. Jeśli teraz by nie złożyła podpisu, to przepadłby zasiłek, i za co żyć. To tylko czternaście kilometrów, pomyślała. Wzięła jeszcze dzieciaka, którego nie miała z kim zostawić. Wszyscy się zastanawiali, jak oni się zmieścili na tym komarku. Pijany Wilewicz za kierownicą, dzieciak i ona z tym wielkim brzuchem. Ale jakoś się zmieścili, skoro pojechali.

Popędzili środkiem szosy. Przemknęli, nawet nie zwalniając, przez krzyżówkę i pognali na złamanie karku w stronę Gęśli.

Mrozowska odetchnęła, na tej wąskiej dróżce ruch był praktycznie żaden. Zamknęła oczy i pomyślała sobie, że to tylko kilkadziesiąt minut. Że jakoś to będzie.

Ale nie było. Za kolejnym zakrętem, w który weszli na pełnej prędkości środkiem szosy, wyjechał na nich duży fiat. Gdyby kobieta otworzyła oczy, może zdążyłaby zobaczyć jeszcze przerażoną twarz Szczypińskiego. Ale nie otworzyła i tak z jednej ciemności wpadła w drugą.

Uderzyli centralnie, w sam środek maski, wbijając głęboko przednie koło w chłodnicę. Pierwszy wystrzelił w powietrze Wilewicz, spadł na klapę silnika, przebił głową szybę i wylądował poskręcany na siedzeniu pasażera. Za nim leciał dzieciak, nad którym szybowała matka. Chłopiec z impetem uderzył nogami w kierownicę komarka i na niej zawisł. Mrozowska, którą poderwane tylne koło motoroweru wyrzuciło jak pocisk z katapulty, poleciała najwyżej. Może gdyby nie brzuch, który ciągnął ją w dół, miałaby jakieś szanse, przeleciałaby nad samochodem, spadła na dach. Ale fizyka była dla niej nieubłagana. W ułamek sekundy po zderzeniu, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, które wpadły do wnętrza samochodu przez dziurę po wybitej przez Wilewicza szybie, trafiła szyją w rant dachu.

Nie miała szans, zginęła na miejscu. Dziecko, które nosiła w sobie, zmarło w drodze do szpitala. Lekarze robili, co się dało. Tylko że dało się już niewiele, w zasadzie nic. Chłopiec z połamanymi udami wylądował na stole operacyjnym. A pijak, jak to pijak, wyszedł z kraksy bez szwanku. Poobijany trochę i to wszystko.

– A Szczypiński? – zapytał głuchym głosem Oskar.

– Niby nic mu nie jest – odpowiedział Antek. – Kilka zadrapań na gębie i tyle. Tylko...

– Tylko, pomyśl pan – wszedł mu w słowo Czólko. – Zabić babę w ciąży.

– Nie jego wina. – W Oskarze obudził się prawnik. – Jeśli był trzeźwy, to nic mu nie grozi.

– Ja wiem. – Czółko potarł bliznę. – Ale żyj tu człowieku z czymś takim.

– Przekłęta wieś. – Antek splunął i wszedł do traktora.

*

Położyłem pieniądze na kontuarze i wziąłem podaną przez kioskarza kartę telefoniczną. Rozejrzałem się. Żółta budka stała na rogu. Wszedłem do środka, ułamałem róg karty i wpatrując się w zapisany na zmiętej karteluszcze równym pismem rząd siedmiu cyfr, zawahałem się. Zapisała to bez numeru kierunkowego, tak jakby dla mnie, nie dla Rajcowskiego, jakby wiedziała, że będę dzwonił jeszcze stąd, a nie z Warszawy. Eee, przypadek, pomyślałem kwaśno, mimo to podniosłem słuchawkę, wsunąłem kartę w czytnik i wcisnąłem po kolei siedem przycisków, które miały otworzyć pomost łączący mnie z nią. Jeden sygnał, dwa, trzy... Nie odbierała. Nie wiedziałem, czy zapisany numer był jej domowym czy służbowym, na biurko w prokuraturze. Piąty sygnał, szósty... Może chociaż automatyczna sekretarka, łudziłem się. Bzzz, ósmy sygnał zabrzączał w słuchawce. Czekam do dziesiątego, postanowiłem. Nic się nie wydarzyło. Odwiesiłem słuchawkę i oparłem czoło o lodowatą stal aparatu. To mnie otrzeźwiło. Stary chłop, a zachowuje się jak licealista, zganiałem się w duchu. Nie to nie! Chwyciłem słuchawkę i wystukałem numer do Rajcowskiego. Jednak po pierwszym sygnale wystraszony przerwałem połączenie. Stałem niezdecydowany ze słuchawką w ręku.

Ktoś zapukał w szklane drzwi, wskazując ze zniecierpliwieniem na zegarek. W normalnej sytuacji nie przejąłbym się takim ponaglaniem i pewnie odparowałbym

jakimś nieprzyjaznym gestem, ale tym razem poczułem ulgę. Ten ktoś zdejmował ze mnie brzemię decyzji, przesunął ją w czasie. Wykonałem przeproszający ruch głową, uśmiechnąłem się i dziękując w duchu natrętowi, odwiesiłem słuchawkę. Spojrzałem w zaciągające się czarnymi chmurami niebo, po czym ruszyłem wyludnionym, głównym deptakiem Miasteczka w stronę rynku. Minąłem targ warzywny, nazywany w tych okolicach, nie wiedzieć czemu, Manhattanem, na którym obok straganów z płodami rolnymi wyrosły budki, turystyczne stoliki i łóżka polowe wypełnione najprzeróżniejszym badziewnym asortymentem: chińskimi klapkami, skajowymi mokasynami z frędzelkami, barchanowymi galotami i stanikami namiotami, rzędami kaset magnetofonowych, ubrań w burych kolorach, sprzętem elektronicznym podejrzanej proweniencji, którego trwałość wyczerpywała się po kilkurazowym użyciu, podróbkami markowych perfum, mydełkami, szamponami, byle jakimi zabawkami... Kiedyś, za komuny, w gospodarce niedoboru bazyry oferowały piekielnie drogie, kolorowe towary niedostępne na sklepowych półkach, pachniało na nich Zachodem; dziś w dobie drapieżnego kapitalizmu sytuacja się odwróciła, sklepy wypełniły się eleganckim asortymentem, natomiast bazyry cuchnęły taniochą i tandetą w złym guście, za to przyjazną dla chudego portfela wszystkich płacących rachunki za transformację gospodarczą. W tej okolicy wyjątkowo licznych.

Zagrzmiało. Przyspieszyłem kroku. Przechodziłem obok trzypiętrowych secesyjnych pruskich kamienic z łuszczącą się farbą, wałącymi balkonami, sypiącymi elementami elewacji. Każda z nich na próżno błagała o generalny remont. Przeciąłem na skos rynek, nad którym górowała krzykliwa reklama lokalnego radia, pod nią żółty zegar wskazywał na zmianę aktualny czas i temperaturę powietrza. Spojrzałem na szyld cukierni: Magdalenka. To imię mnie prześladuje, zaśmiałem się w duchu. Wewnątrz, w roju os, które tabunami obsiadały

lukrowane słodkości, uwijały się wystrojone w fartuchy i czepki sprzedawczynie. Wybrałem ciasto na chybił trafił i z pakunkiem przewiązanym sznureczkiem udałem się na osiedle Piast.

*

Ciasto? No, daj pan, czemu nie! Ale mam tu na taką okazję coś lepszego. Że samochodem? Nie żartuj pan. Kto tu panu co zrobi? Jakby chwycili, to dzwoń pan do mnie. Włos panu z głowy nie spadnie. Gwarantuję. Jesteśmy tu u siebie, nie? O, proszę, wiśnióweczka prima sort. Na pestkach. U hrabiów takiej nie pili. Spirytus od Mietka, a wiśnie własne, z osobistego sadu. Mam tu, w Osęku, taką, można powiedzieć, daczę. He, he. Poniemiecki dom remontuję. A obok jest stary sad. Jak te drzewa rodzą. Mówię panu, jak dzikie. Wiśnie, czereśnie to wiadrami. Stara to nawet na targ część oddaje, bo nie ma z tym co robić. Pomarnowałoby się, a tak jest dodatkowo parę groszy. A groszem gardzić nie wolno. Grzech. A czemu miałbym o grzechu nie mówić? No coś pan, jaki ze mnie komunista?! Do partii tak, bo to inaczej się nie dało, ale komunista, nigdy! Ojciec nieboszczyk w powstańczej mogile by się przewrócił. To pan nie wiedziałeś? Patrz pan, jak to całe życie można się o kimś czegoś nowego dowiedzieć. Tak, moja rodzina pochodzi z Warszawy. Sam się tam urodziłem. Ale w powstanie nas pogonili. Matkę i mnie, małego szkraba, bo ojciec walczył. To znaczy, walczył jak walczył, był kwatermistrzem w Baszcie. Zginął na Mokotowie. Podobno od krowy, takiej bomby. A my powędrowaliśmy najpierw do kościoła świętego Wojciecha, potem do obozu w Pruszkowie, a na koniec do kolejnego, gdzieś pod Berlinem. Po tym jak nas Ruscy wyzwolili i pozwolili wreszcie maszerować do domu, po drodze trafiliśmy tutaj. Matka wiedziała, że do Warszawy nie ma po co wracać, o ojcu też już wiedzieliśmy.

Tutaj jej się spodobało, więc zostaliśmy.

Ale co tam opowiadać o starożytnych dziejach. Chodź pan, napijemy się po kieliszeczku. I mów pan, co się z panem działo przez te wszystkie lata? Tak, wiem, widziałem, czytałem. Nie powiem, byłem bardzo zaskoczony. Ktoś mi pokazał pańskie nazwisko. Co to było? „Razem”? Tak pamiętam, „Razem”, zawsze z gołą kobitą na ostatniej stronie. Patrzą i widzą, podpisane: Roman Bohdal. Nawet się zastanawiałem, czy to pan, czy to ten Roman Bohdal? Ale ilu może być w Warszawie Romanów Bohdaliów? Rzadkie nazwisko. Dziennikarz. Piękny zawód. A nie boisz się pan, że go te Żydy w Warszawie zweryfikują? Podobno teraz wszystkich weryfikują, dziennikarzy też. Jak im nie pasujesz, to fora z roboty. A może już to zrobili i dlatego pan przyjechałeś?

Jak to jakie Żydy? Kuronie, Michniki, Balcerowicze... cała reszta. To żydostwo teraz rządzi. Pchali się, pchali, aż się dopchali do żłoba. I patrz pan, co zrobili z tym krajem? Ruina. Bo to taki naród, co potrafi tylko niszczyć. Doprowadzili gudłaje ojczyznę nam na skraj przepaści. Pracy dla nikogo, poza pejsatymi, nie ma. Wszystkie zakłady pozamykane. Fabryki, gospodarstwa, przetwórnice, huty, kopalnie, wszystko poniszczone. A po co? Po to, żeby sprowadzać ichnie towary. Z ich, żydowskich fabryk, gospodarstw, przetwórnicy, hut i kopalni. Co przejęli, to jeszcze jako tako działa, resztę zamknęli. Powtarzam, ten naród wszystko, co nie należy do nich, zniszczy, zrujnuje, bo tylko to potrafi. Ja to tak sobie myślę, że Hitler źle zrobił, że ludzi namordował. Prawda. Tak nie można. Ale gdyby zamiast zabijać, całe to żydostwo wsadził na statki i wywiózł, na przykład na Madagaskar, to do dzisiaj ludzie by mu dziękowali. W całej Europie pomniki mu stawiali. Sam bym pod nimi kwiatki kładł.

Wcale nie przesadzam. Jak nie zewrzemy szyków, jak nie zaczniemy się bronić, to wszyscy zostaniemy żydowskimi

parobasami. I to we własnym kraju. Wspomnisz pan moje słowa. Ludzie tego nie zauważają otumanieni żydowską propagandą. Ale mnie nie zmylą. Wiesz pan, co jest najważniejsze? Umieć rozpoznać Żyda. Powiem panu jak. Przede wszystkim widać to po oczach. Okrągłe, wylupiate, ale nie za duże. Z takimi szczególnymi powiekami, delikatnie opadającymi w kącikach. Przeważnie ciemne, ale niekoniecznie. Po drugie uszy. Lekko odstające i w szpic. O tu, na końcach. Nos to wiadomo. Tylko uwaga, wystarczy jedna taka cecha. Nie muszą występować wszystkie naraz. I już pan masz Żyda. Jak pan wreszcie wiesz, kto jest kto, to można się przed nimi bronić. Bo sięgają po coraz więcej. Teraz już chcą mieć nawet swojego prezydenta. I będą mieli, kurwa ich żydowska mać. Jak to kogo? Kwaśniewski to przecież Żyd. Czekał pan, gdzieś tu sobie wynotowałem nawet jego prawdziwe nazwisko. O mam! Stolzman. Żydokomuna, jak oni wszyscy.

Jak nie wiadomo? Zostanie, zostanie, posadzą go Żydy na tronie. Swojego króla. Wałęsa nie ma szans. Bo jedno trzeba przyznać, że kiepełe to oni mają. Wiesz pan, jak ludzi tutaj sobie Stolzman zdobył? Nie musiał robić żadnej kampanii. Wystarczyło, że posłał w teren umyślnych. Takich niby-agitatorów. Tylko że oni nie agituja. O nie! Jedzie taki PKS-em od wsi do wsi. Idzie do sklepu. Czeka, aż trochę ludzi się zbierze. Nawet nie za wielu. Słyszysz, jak narzekają. Bo wiadomo, jest taka ruina, że ludzie tylko narzekają. I mają na co. To ten przyłącza się do tego narzekania. Bo on nie jeździ w garniturze, wymuskany. Nic z tych rzeczy. Wygląda jak zwykły wieśniak. I w pewnym momencie taki rzuca jedno zdanie. Że jak Kwaśniewski zostanie prezydentem, to przywróci PGR-y. Nic więcej, ani słowa. Po czym sobie idzie i jedzie do następnej wsi. A ludzie już sobie przypominają, że ten cały Kwaśniewski to jest stąd, z Białogardu. Że zna problemy tutejszych. Że o nich zadba. A jak najlepiej zadbać o ludzi stąd? Przywrócić PGR-y. Koło się

zamyka. Rodzi się nadzieja. A Wałęsa pierdoli coś o wędce. Brawo! Stolzman zbierze tu sto procent głosów. Bez dwóch zdań. Naród tutejszy tęskni za PGR-ami. Nie tylko ci w postpegeerowskich wsiach, ale i cała reszta. Rolnicy indywidualni, miasta i miasteczka. Bo tu wszyscy z tych PGR-ów żyli. Więc go wybiorą. Ale zobaczysz pan, Stolzman, jak to Żyd, kiedy tylko dorwie się do władzy, to o tutejszych ludziach natychmiast zapomni. Będzie działał dla dobra swoich, czyli Żydów. Rozprzeda Polskę. Całą. Kamień na kamieniu nie pozostanie.

I mówię panu, nie po to niszczyli PGR-y, żeby je teraz przywracać. Stolzman czy inni. To jedna sitwa, jeden układ. Jeden dagawor. Weź pan na przykład nasz wrześniowiecki PGR. Upadł jako pierwszy. Nie wiem, czy pierwszy w Polsce, ale na pewno na tym terenie. Nie mam być z czego dumny? A właśnie że przeciwnie. Ja, dyrektor, mam powody do dumy. Skoro upadliśmy jako pierwsi, to oznacza, że naszego PGR-u Żydy obawiały się najbardziej, że był najlepszy, więc zniszczyli go od razu na początku, przed innymi. Pozbyli się najsilniejszego konkurenta. Jeszcze miałem wtedy na tyle stosunków, żeby zrobili mnie likwidatorem. Dzięki temu mogłem ocalić, co się dało. Sprawić, żeby jak najwięcej majątku trafiło w nasze, polskie ręce. Dzięki mnie i gorzelnia, i masarnia, i centrala nasienna pozostały u naszych. Żydy ich nie przechwyciły i z tego powodu one jeszcze działają. Mietek jakoś sobie radzi, ale gnębią go podatkami, koncesjami, cenami zbóż. Ile jeszcze wytrzyma? Już jakiś Polmos, gdzieś z Lublina, czy coś takiego, koło jego gorzelni szpera. Chcą odkupić. A domyślasz się pan, co to za kapitał? Pejsaty. Albo weźmy Cześka. Kręci te swoje kielbasy. Pyszne. Stare receptury. Ma znakomitego technologa. Cała okolica od niego wędliny i mięso bierze. Ale byłem w Poznaniu i widziałem, jak powstają te wielkie markety z żydowsko-niemieckim kapitałem. Ceny dampingują, podatków nie płacą, jak się przed

tym bronić? No powiedz pan. Dotrą i do nas. Wcześniej czy później. Raczej wcześniej. I załatwią wszystkie małe sklepiki i firmy. Tylko patrzeć, jak u Czeška zaczną się rytualny ubój. Wszystko będzie kosher.

Mają swoje metody, żeby nas wykończyć. Cła, podatki, dotacje, przepisy, ceny półproduktów, paliw... Jeszcze się jakoś tutaj trzymamy, na tym naszym pomorskim przyczółku, tylko jak długo damy radę? Przetwórnictwo owoców już straciliśmy, mieszalnia pasz padła, mleczarnia dyszy ostatkiem sił, tylko patrzeć, jak ją wykupią. Młyny: pół na pół. Atakują z każdej strony. Ale my łatwo się nie poddamy. O nie! Tylko że my wiecznie żyć nie będziemy, a następców nie widać. Młodzi są skażeni żydowską propagandą. Przyszłości tu nie widzą. Do miast uciekają. Nie dostrzegają, że tam za chwilę będzie jeszcze gorzej. Że tak naprawdę to wędrują na służbę do nowych panów, w domach których śmierdzi czosnkiem i cebulą.

A owszem, masz pan rację. Jest Oskar. Ale Oskar to wyjątek. Potwierdza regułę. Poza tym jego sprawa jest z góry przegrana. Bo weź pan na przykład tego Niemca, co ma gospodarstwo po sąsiedzku z Wrześniowem. Gospodarstwo? Dobre sobie. Pięć tysięcy hektarów. Pięć tysięcy. Jak spory PGR. A jak to usprzętowane?! Kiedy te ichnie maszyny w pola wyjechały, to nasze chłopcy myśleli, że UFO wylądowało. No, ale on dostał na to bezzwrotne kredyty w Bundesbanku. Takie ciche. Na zagospodarowanie terenów dawnej Rzeszy. Miliony marek. Wiem to od jego kierownika. Gmaj się nazywa. I weź tu pan konkuruj z takim. Pieniądze ma na wszystko. Łapówki może sobie płacić bez mrugnięcia okiem. Nawozów to tyle sypie, że w ziemi siedzi chyba cała tablica Mendelejewa. Zboże mu rośnie wielkie jak las. Oskar musi przegrać.

Tak, panie Roman, wracają Niemcy. Ten tu nie jest jedyny. Teraz do podboju nie potrzeba armii, wystarczy gospodarka. No, coś pan, jakie przepisy? Jakie ograniczenia w obrocie ziemią?

Oczywiście, im nie wolno legalnie nabywać gruntów. To prawda. Ale co z tego? Nie mogą sami, więc podpisują trzydziestoletnie dzierżawy, jako spółki. Właścicielem niby jest Polak. Ale to słup. Jakiś bidul, pijaczyna, któremu płacą, żeby siedział cicho. Podpisuje taki notarialnie plenipotencje, nieograniczone. I jeszcze weksle na miliony złotych. Nic nie wie, nic nie rozumie, do niczego się nie miesza, ale w zamian ma za co wypić. A Niemcy wierzą, że przez te trzydzieści lat prawo się zmieni i będą mogli tę ziemię wykupić. I niech tylko Żydy przejmą całą władzę, to prawo rzeczywiście się zmieni. Jeszcze Unia dołoży swoje. Wtedy tak ceny ziemi wywindują, że żadnego Polaka nie będzie stać na zakup gruntu. Pójdzie wszystko w obce ręce. Cały kraj.

Na razie przyjeżdżają na rekonesans. Kręcą się. Niby zwiedzają. Ale ja wiem, że oni tu już sobie mieszkań szukają. Turyści? Jacy turyści? Co tu jest do oglądania? Nic. A właśnie. Coś panu pokażę. Pan się na tym znasz, to może mi doradzisz. Czekał pan, przyniosę.

O, widzisz pan? Ładna rzecz. Co ja mówię ładna? Śliczna rzecz. Piękna książeczka. Jak oprawiona. Stara. Niemiecka. Skąd mam? A jest tu taki pałacyk. W Trzęsaczu. Niczyj. To znaczy chyba gminny. Nie wiem do końca. Zaniedbany. Niszczaje. Każdy wynosi z niego, co się da. Dobra, powiem panu. Schody tam sobie kiedyś upatrzyłem. Marmurowe. Cudo. Doskonale by mi się nadały do tej chałupy, co to ją remontuję. Nawet je tak liśćmi przysypałem, żeby ktoś się nie skusił. I wyobraź pan sobie, że jak pożyczyłem traktor od Cześka i po te schody pojechałem, to już ich tam nie było. Jakiś skurwysyn mi je ukradł. Wielkim ciągnikiem musiał je zabrać, bo jeszcze ślady były. Taaakie koleiny wyżłobił. Ależ się wściekłem. Co było robić? Zębami zgrzytnąłem i tyle. Łaziłem potem po tym pałacyku, szukając, co by tu innego wziąć, i wtedy znalazłem tę książeczkę. Co pan gadasz? Jak to niewiele warta? Dla Niemca? Prawie

niezniszczona. Gotykiem. Oryginał. O, tu jest nawet data. Założę się, że Niemiaszek spokojnie da za nią pięćdziesiąt mareczek. Jak nie lepiej. Złoty interes. Mogę się założyć!

Wiesz pan, jakby się tak dobrze po okolicy zakręcić, to można by niezły pieniądz skosić, bo tu po wsiach jest jeszcze pełno starych ponemieckich gratów. Mebli, bibelotów, książek właśnie... A oni strasznie łase są na te swoje rupiecie. Gdyby pojeździć, poszperać, to od wsioków wzięłoby się to barachło za grosze, a sprzedało za konkretne mareczki. Tylko trzeba by zainwestować w renowację, bo czasami te rzeczy są strasznie poniszczone. Nawet ostatnio widziałem u jednego chłopca starą piękną szafę, zgadnij pan, gdzie? W kurniku! Drzwi wyjął i na półkach grzędy porobił. Kiedyś niemiecka damulka w tej szafie suknie i halki trzymała, a dzisiaj kury srają i jajka niosą. Mają ludzie fantazję, nie ma co. To jak? Nie chciałbyś się pan tym zająć? Ja to za stary już jestem, żeby sam taki interes pociągnąć. Nie? No szkoda. Masz pan pewnie swoje zajęcia i sprawy w Warszawie.

Za to tutaj to są teraz inne problemy. Bo popatrz pan, jak ta Ukraina łby podnosi. Siedzieli przyczajeni tyle lat. A nagle okazało się, że wszystko u nich przetrwało. I język. I zwyczaje. I kultura. W Białym Borze to się domagają nawet własnej szkoły. Cerkwi. Nazwy ulic chcą po ukraińsku wypisywać. Pomniki stawiać. Może jeszcze Banderze skurwysynowi? Tylko patrzeć, jak zaczną żądać autonomii. A dlaczego nie? Należy się, co? Za Wołyń, Galicję i Bieszczady. Żydy, jak przejmą władzę, to im jej udziela, upowcom. Zobaczysz pan. Bo dla pejsatych wszystko, co osłabia Polskę, jest korzystne. Któregoś dnia obudzimy się w nie swoim kraju.

No miałem, miałem. A w której wiosce tutaj ich nie było? Nawieźli tego tałatajstwa w akcji Wisła. I po co, się pytam? Ja tam rasistą nie jestem. Nie można mnie podejrzewać o takie rzeczy. Uważam, że każdy naród ma prawo do życia. Tylko u siebie. Na

swoim. Po co to mieszać? I my Polacy też takie prawo mamy. Tylko że nikt go nie respektuje. Nikt! Polonia? A żebyś pan wiedział! Jeszcze jak kogoś wojna rzuciła w obce strony i nie miał jak wrócić czy granice przesunęli, to mogę zrozumieć. Ale cała reszta, co zrejterowała z kraju? Zdrajcy i tyle. Kiedyś było na to dobre słowo: folksdojcz. I łby golono. Tylko pomyśl pan: tutaj żyje nas czterdzieści milionów, a za granicą dodatkowo dwadzieścia. Gdyby oni byli w kraju, jaka to byłaby potęga! Pogonilibyśmy to żydostwo. I Niemców, i Ukrainę. Co pan gadasz, jakie bezrobocie? Bez Żydów, bez ich niszczenia nie byłoby bezrobocia. I rynek zbytu jak byłby się powiększył. Bądź pan logiczny. Kolejne dwadzieścia milionów konsumentów. Nie ma o czym gadać, nikt by nam nie podskoczył.

A wracając do tych naszych Ukraińców, pamiętasz ich pan, to ja myślę, że oni Ukraińcami jednak nie byli. Gadałem kiedyś długo z tym Michałem. On twierdził, że jest Polak i że zawsze był. W domu gadał po polsku. Tyle że do cerkwi chodził, to go zabrali. Takie wtedy były czasy, żydokomuna, że kto wie, mogli i Polaka zabrać. Sam nie jestem pewien. Ale teraz to i tak bez znaczenia. Sami się wybili. Żaden w wiosce nie pozostał. Trochę szkoda. Oni się strasznie żarli z tymi Poznaniakami. No właśnie! Dla każdego dyrektora PGR-u to wymarzona sytuacja, kiedy masz pan dwa rody, które sobie skaczą do gardeł. Wtedy mądry dyrektor może taką nienawiść wykorzystywać. Napuszczając jednych na drugich. Czasem brać stronę tych, czasem tamtych. Zależnie od okoliczności i wykazywanej lojalności. Taki stan ciągłego wrzenia. Idealnie. Obie strony szukają w dyrektorsze sojusznika, a on sobie wybiera raz tu, raz tam. I reszta ludzi, kiedy właśnie dwie rodziny walczą, zazwyczaj zajmuje jakieś stanowisko, opowiada się za kimś. I tu znów rodzi się pole manewru dla dyrektora. Tylko trzeba uważać, żeby jednej ze stron nie dać za bardzo urosnąć w siłę, bo się zacznie szarogęsić. Ten Wilusz to był farciarz. Kilkadziesiąt lat miał taką sytuację. Stan idealnej

równowagi. Mnie już to szczęście ominęło.

Nie, tu nie tylko o wypadek chodzi. Ja i przedtem jako wice mógłbym dużo więcej działać, ale ta równowaga została zachwiana znacznie wcześniej. Przecież jak pan był, to już Gruszczyńscy nie mieli takiej siły co poprzednio. A dlaczego? Wszystko przez tę niesamowitą czarną serię, jaka ich spotkała. Jak to pan nic nie wiesz? Niemożliwe. Mieszkałeś pan tu półtora roku i nic pan się nie interesowałeś losami ludzi z własnej wsi? Z pana to jednak zawsze dziwak był. Ja bym tak nie potrafił. Żeby dobrze się poruszać, wiedzieć co i jak, co można wygrać, a co przegrać, trzeba znać historię ludzi, pomiędzy którymi się żyje. Inaczej wydymają pana bez mydła. Zwalam to na karb pańskiego wieku. Młody wtedy byłeś, niedoświadczony, to mogłeś pan, panie Roman, popełniać takie błędy strategiczne. Mnie na taki luksus nie było stać.

Opowiem panu, bo to niebywałe, jak los potrafi sobie zakpić z ludzi i w ciągu kilku zaledwie lat wytrzebić niemal w całości dwie rodziny. Wcześniej, wydawałoby się, niezniszczalne. Swoją drogą to szkoda, że takie silne polskie geny, o ile u Pudłów one były polskie, poszły w cholerę. Ale widać taki to już nasz polski los. Ciągłe jesteśmy wystawiani przez opatrność na próbę. Kiedyś o Polsce mówiono „Chrystus narodów”, a mnie się zda, panie Roman, że my to bardziej jesteśmy Hiobem narodów niż Chrystusem.

*

Stukot podkutych butów zadudnił na marmurowej posadzce i odbijając się od ogołconych ścian, na których sterczały gołe haki – świadkowie lepszych czasów, kiedy wisiały na nich obrazy, gobeliny, biała broń – przetoczył się po neogotyckim sklepieniu. Za dyrektorem Wiluszem, ubranym z nonszalancką

elegancją czekisty, do pałacowego hallu wkroczyła świta, na której czele maszerowali księgowy z kadrowym, obaj ściskając w dłoniach notesy i ołówki, zapisujący polecenia nowego dyrektora, dalej ustawieni byli pozostali pracownicy biurowi, za nimi kilku wybranych robotników rolnych. U boku Wilusza dreptała drobna, przygarbiona kobiecina w zawiązanej na głowie chuście. Cały orszak w zderzeniu z bogactwem przestronnego wnętrza zatrzymał się onieśmielony, głowy kręciły się we wszystkie strony, a otwarte usta, z których wydobywały się westchnienia podziwu, za nic nie chciały się zamknąć. Nawet dyrektor na moment stracił tupet, z jakim przed chwilą jeszcze pchał dwuskrzydłowe, ważące setki kilogramów ogromne drzwi wejściowe udekorowane strzelistym witrażem i kutą kratą. Otrząsnął się jednak szybko z wrażenia, jakie zrobiło na nim wnętrze, i kierowany kościstą dłonią kobieciny skręcił w lewo. Wysokie na trzy metry drzwi obite mahoniowym fornirem wprowadziły go do kolejnego pomieszczenia, w którym pod wszystkimi ścianami stały regały wypełnione od podłogi do sufitu oprawionymi w skórę tomami. Przed kurzem i niepowołanymi rękoma księgi chronione były przeszkłonymi drzwiczkami zamykanymi na kluczyk.

Śledzony zaciekawionymi spojrzeniami dyrektor zrobił kilka okrążeń wokół biblioteki, stukał obcasem w mozaikową posadzkę, jakby sprawdzał jej wytrzymałość, szarpał to za jedne, to za drugie drzwiczki, które jednak nie chciały ustąpić. Wreszcie wyciągnął rękę w stronę staruszki i poprosił o klucz, a kiedy ta wzruszyła ramionami i pokręciła przecząco głową, chwycił stojący na biurku kałamarz z zaschniętym wewnątrz atramentem i cisnął nim w szybę najbliższego regału. Brzęk sprawił, że towarzysząca dyrektorowi świta zbiła się w wystraszoną gromadę. Wilusz zbliżył się do półek – pod butami zachrzęściło szkło – i na chybił trafił wyciągnął pierwszy z brzegu tom. Długo go studiował, przewracając powoli poźółkłe

karty, wreszcie ze złością odrzucił księgę na środek pokoju. Sięgnął po następną, potem po kolejną i jeszcze jedną. Coraz mniej czasu poświęcał na kartkowanie tomów. Zaglądał do środka i błyskawicznie rzucał jeden za drugim na szybko rosnącą stertę. Nobliwe stare księgi i te nowsze, wszystkie jednakowo oprawione, wszystkie opieczętowane rocaillowym ekslibrisem, leciały łukiem przez pokój i lądowały na sobie, staczały się, odkrywając wnętrza, przewracały kartki, pękała skóra grzbietów.

Wreszcie zmęczony dyrektor obrócił się w stronę swojego orszaku.

– Wszystko po niemiecku! – wykrzyknął, dysząc. – Szwabskie gównu. Weźmiecie cały ten szajs – potoczył ręką dookoła – na podwórze i spalicie. Cholera wie, co tam faszyści powypisywali, niepotrzebne nam hitlerowskie mądrości.

Księgowy z kadrowym szybko zanotowali polecenie w notesach. Wilusz kontynuował:

– Tu, widzicie – wyrysował dłonią linię łączącą amfiladowo ustawione drzwi do i z biblioteki – wymurujemy ścianę, a tutaj – wskazał resztę pomieszczenia – zrobimy gabinet lekarski. O! Każdy jeden dostanie fachową opiekę medyczną. Za darmo!

Dwa ołówki ponownie szybko przesunęły się po kartkach notesów.

Dyrektor pokiwał głową bardzo z siebie zadowolony. Podobało mu się to dyrektorowanie. Taka władza! Jan Wilusz był jedynym beneficjentem afery z zastrzelonym sowieckim żołnierzem, Feliks Widryński jej jedyną ofiarą. Wprawdzie radziecki lejtnant, tak jak zapowiedział, opisał w raporcie całe zdarzenie jako nieszczęśliwy wypadek, a tydzień później, pakując na ciężarówkę tyle pałacowych sprzętów, ile tylko zdołali upchnąć, żołdaci odjechali na wschód, Gruszczyński po nauczce otrzymanej od czerwonoarmistów wolał milczeć, cicho też siedzieli pozostali mieszkańcy wsi, wiedząc, że konsekwencje mielenia zbyt długimi

językami mogą rykoszetem uderzyć również w nich, to jednak powiatowe władze skądś nieoficjalnie dowiedziały się o śmierci żołnierza i postanowiły wykorzystać bałagan, jaki ich zdaniem panował w gospodarstwie, do zdjęcia niewygodnego kierownika. Już kilka tygodni wcześniej uznano, że postawienie niepewnego klasowo, wysługującego się za sanacji ziemiaństwu Widryńskiego na czele państwowego gospodarstwa było błędem. Kilka miesięcy wcześniej – energiczny, znający się na robocie, potrafiący jednym spojrzeniem zbudować sobie autorytet – wydawał się znakomitym kandydatem na to stanowisko; teraz, kiedy władza krzepła z tygodnia na tydzień, budził coraz więcej wątpliwości, ba, nawet obaw, bo kto mógł zagwarantować, że z taką przeszłością nie związał się w jakiś sposób z mikołajczykowską reakcją? Wprawdzie na prośbę starosty powiatowe UB Widryńskiego prześwietliło i niczego niepokojącego politycznie nie odkryło, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Poza tym kierownik wykazywał za wiele własnej inicjatywy. Miał jakieś swoje pomysły, mrzonki, którymi próbował zarazić ludzi, zainteresować władze, a to już zdecydowanie się nie podobało. Zaczęto szukać okazji do jego odwołania. I właśnie taka się nadarzyła. Niby nic takiego, wypadek, za który nikt nie ponosił odpowiedzialności, ale śmierć radzieckiego towarzysza na podległym sobie terenie – a nawet w jego sąsiedztwie – kładła się cieniem na rządach Widryńskiego. Kierownika wezwano do Miasteczka, skąd do Wrześniowa już nie powrócił.

Nastał czas Wilusza. To był kandydat, któremu cały powiat przyklasnął. Przed trzydziestką, z piękną komunistyczną kartą w życiorysie: punktami za pochodzenie, czerwoną partyzantką, szkoleniem w Moskwie; młody, ideowy, bojowy. A że bez matury? Kto by się takimi drobiazgami przejmował, najważniejsze, że dawał gwarancję zapanowania nad rodzącą się wrześniowiecką społecznością, poprowadzenia twardą ręką

gospodarstwa ku wyzwaniom, jakie niosły ze sobą nowe czasy. A nowe czasy potrzebowały nowych ludzi, tu konieczny był dowódca o twardym kręgosłupie politycznym, a nie ekonom z burżuazyjnymi ciągotami. Historia sama wypychała takich Widryńskich na margines, teraz nadchodziła era Wiluszów. Zrobiono z niego dyrektora, wykorzystując okazję i reorganizując struktury.

Nowego dyrektora pod wrześnie wieckie biuro przywiózł milicyjny gazik, z którego kierowcą Wilusz wyściskał się serdecznie na pożegnanie. Szef wparował do pomieszczeń stanowczym krokiem, stukając butami w deski podłogi. (Wkrótce pracownicy gospodarstwa mieli się przekonać, że ten mocno wybijający rytm każdego kroku chód, który zwiastował nadejście nowego dyrektora, był jego znakiem rozpoznawczym. Dyrektor nie obawiał się, że tym anonsem będzie ostrzegał przed swoim pojawieniem się różnej maści złodziei i oszustów, wiedział za to co innego: taki krok wcześniej czy później zacznie budzić lęk, a kto się boi, popełnia błędy, zdaniem Wilusza większe szanse na wykrycie ewentualnych przekrętów w gospodarstwie dawało budzące strach głośne pojawianie się niż ciche skradanie i podsłuchiwanie). Z całej postawy dyrektora biła taka partyzancka twardość, że struchlali w jednej chwili pracownicy biura nie byli pewni, czy przypadkiem pod połami gabardynowego płaszcza nie skrywa gotowego do strzału nagana.

Pojawienie się nowego dyrektora wzbudziło w pracownikach może nie tyle entuzjazm, co pełne zaciekawienia zadowolenie. Wilusz wydawał się równym chłopem, niby bezwzględny i wymagający, ale z drugiej strony był, w przeciwieństwie do Widryńskiego, bezpośredni, swojski, z każdym porozmawiał, poklepał po plecach, mówił zrozumiałym językiem, na wprost, bez zagmatwanych przenośni, nie nabijał sobie głowy mrzonkami, nie wydawał niezrozumiałych poleceń. Skończyło

się copiątkowe zamiatanie podwórka, malowanie krawężników, obsadzanie klombów – bo któż to widział mitrzyć czas i energię na takie głupstwa, kiedy tyle ważniejszych rzeczy było do roboty. Od pierwszych chwil Jan Wilusz zaczął wprowadzać we Wrześniowie własne porządki. Wieś szybko im przyklasnęła. A w tydzień po objęciu władzy nowy dyrektor dostał pozwolenie na przejęcie pałacu, który od tej chwili miał się stać własnością gospodarstwa.

W kolejnym urządzonym w empirowym stylu pomieszczeniu, ozdobionym dwiema marmurowymi kolumnami w porządku jońskim i wykonanym z podobnego materiału kominkiem, Wilusz studiował napisy cyrylicą wyskrobane kozikiem w kamieniu trzonu kolumny pozostawione przez rezydujących tu do niedawna czerwonoarmistów.

– Te tu filary się zamuruje, a pomiędzy nimi wstawi drzwi. – Dyrektor bawił się w architekta wewnątrz. – O! W ten sposób z jednego pomieszczenia zrobi się dwa. Racjonalniej? – Świta przytaknęła. – Racjonalniej! Koniec z pańskimi metrażami. Tu zrobimy... A to co?! – Jego wzrok padł na zbroje stojące w kącie pokoju obok wyjścia na taras, który prowadził do zejścia do jeziora.

– Chyba zbroi – powiedział niepewnie kadrowy.

– No przecież widzę, że nie czołg, ale co za zbroje?

Zapadło milczenie. Dyrektor podszedł do stalowych uniformów. Postukał w nie palcem, podniósł przyłbicę, potem kolejną, zajrzał do wnętrza.

– Was? – zwrócił się do staruszki w chuście, dźgając palcem jeden z napierśników.

– Das sind teutonische Rüstungen... – odpowiedziała kobieta. – Sehr alt. Wie alt? Das weiß ich nicht genau. Der Alte Herr hat sie gesammelt und geliebt. Er liebte sie und hat sie gereinigt. Saß...

– Co ona gada? – przerwał jej brutalnie dyrektor, zwracając się do swojej świty.

– Mówi – odezwała się cicho z tylnego rzędu Matylda Gruszczyńska – że to krzyżackie zbroi. Stare. Nie wie, jak stare, ale podobno bardzo...

– Krzyżackie? – Dyrektor, jak oparzony, cofnął palec. – Czyli niemieckie. To ja wam powiem, co z nimi zrobimy. Wywalimy do jeziora. Tam ich miejsce. Ja tu zaraz porobię porządki.

I porządkował Wilusz poniemiecki pałac: w ogołoconym ze zbroi pomieszczeniu kazał urządzić stołówkę z widokiem na jezioro; do wielkiej sali z rokokowymi stiukami i romantycznymi malowidłami na ścianach, gdzie pruscy właściciele oddawali się muzykowaniu, po przedzieleniu jej murem na pół kazał wstawić metalowe szafki i zapełnić je fartuchami i drelichami – teraz urządzono tu przebieralnię; przed empirowym kominkiem ustawił biurko, a odmalowany pokój zaadaptował na swój prywatny gabinet; pokrytą modrzewiową boazerią jadalnię poprzednich właścicieli zamienił na salę zebrań, gdzie przybyli z powiatu przeszkoleni agitatorzy prowadzili uświadamiające pogadanki polityczne; natomiast salon myśliwski, z którego usunięto wszystkie pozostawione przez Niemców trofea, zapełniono zbitymi z desek ławkami, na ścianie zawieszono czarną tablicę – od teraz pokój ten stał się frontem walki z analfabetyzmem, codziennie po godzinach pracy w ławkach zasiadali ci dorośli mieszkańcy Wrześniowa, którzy za sanacyjnej Polski nie mieli możliwości, albo ochoty, nauczania się szlachetnej sztuki pisania i czytania, i dukając rysowane przez nauczyciela na tablicy literki, uzupełniali luki w edukacji. Szybko jednak życie zweryfikowało racjonalizatorskie pomysły dyrektora. Stołówka okazała się zbyt oddalona od kuchni znajdującej się w piwnicy, w związku z czym lądujące na stolikach dania były zimne i niesmaczne, jadłodajnię trzeba było przenieść na niższą kondygnację, gdzie między nową stołówką a kuchnią wybito okienko; teraz podawane przez nie potrawy miały odpowiednią temperaturę. Dzieląc salon muzyczny na pół,

nie zorientowano się, że odtąd w jednym z nowych pomieszczeń przebieralni zabrakło ogrzewania, i pracownice marzły, zmieniając ubranie w lodowatym wnętrzu. Starano się temu zaradzić, zmieniając przeznaczenie pomieszczeń – odtąd dotychczasowa przebieralnia damska stała się męską i na odwrót – uważając, słusznie zresztą, że panowie lepiej poradzą sobie z niskimi temperaturami wewnątrz sali. Ale panowie narzekali na coś innego. Mężczyźni wracali zazwyczaj z pól i prac warsztatowych wybrudzeni, a pałacowe łaźnie, podobnie jak kuchnia, znajdowały się w piwnicach. Po namyśle zdecydowano się szafki z męskiej przebieralni przenieść do podziemi. Używana dotąd przez panów część salonu muzycznego szybko zamieniła się w składowisko rupieci. Empirowy gabinet dyrektora okazał się zbyt oddalony od pozostałych pomieszczeń biurowych, dlatego Wilusz dalej urzędował w dawnym gabinecie Widryńskiego, do sali z kominkiem zaglądając rzadko, z czasem coraz rzadziej, jedynie w chwilach kiedy chciał odetchnąć na poniemieckim szezlongu od zgiełku gospodarstwa. Agitatorzy odwiedzali położone na uboczu gospodarstwo z coraz mniejszą częstotliwością, aż w końcu zaniechali wizyt w ogóle, a Wilusz wolał przemawiać na otwartej przestrzeni podwórza, dlatego wstawione do jadalni mównica i krzesła pokrywały się coraz grubszą warstwą kurzu. Sala do nauki pisania i czytania też z czasem się wyludniła. Kto miał uzupełnić braki w edukacji, ten je uzupełnił, nowi mieszkańcy przybywający do Wrześniowa zazwyczaj pisać i czytać nauczyli się już gdzie indziej, a kolejne pokolenie odbierało wykształcenie w szkole w Trójczynie.

Ale wszystkimi tymi niepowodzeniami Jan Wilusz zdawał się w ogóle nie przejmować. On patrzył w przód, a nie za siebie. Życie korygowało jego pomysły? I cóż z tego? Najważniejsze, że było co poprawiać. Coś nie funkcjonuje? Trudno. Widać tak miało być. Nie ma się co zamartwiać, tylko trzeba stawiać czoło kolejnym wyzwaniom. A tych pojawiało się co niemiara.

Wrześniowo po pierwszych latach dzikiej kolonizacji weszło w etap dynamicznego, systematycznego rozwoju. Wraz z rozrostem gospodarstwa i zapotrzebowaniem na kolejnych pracowników, tych wykwalifikowanych i tych szczególnych umiejętności pozbawionych, rosła również liczba ludności Wrześniowa. Pojawił się głód mieszkaniowy. I na to też dyrektor znalazł rozwiązanie. Wielkie pomieszczenia na piętrach pałacu, w których wcześniej znajdowały się sypialnie i pokoje gościnne poprzednich właścicieli, podzielono na małe klitki, w których urządzono mieszkania. Stawiano kuchnie węglowe, w oknach pojawiły się kopcące na czarno rury. Na każdym z dwóch zaadaptowanych pięter i na strychu urządzono po jednej łazience i ubikacji. Ot, taka pałacowa komunałka. Nagle z trzydziestu pokoi w pałacu zrobiło się ich ponad dziewięćdziesiąt. Do czasu postawienia bloków, co zajęło ponad dwadzieścia lat, schronienie znalazło tu kilkadziesiąt rodzin.

Z czasem ogromna energia, z jaką Wilusz zabrał się do urządzania wrześniowieckiego gospodarstwa, ustąpiła miejsca rozważnej rutynie, codziennej żmudnej pracy. Na uprawie i hodowli wprowadził dyrektor w ogóle się nie znał, ale za to szybko się uczył. Poza tym bardzo starannie dobierał sobie zastępców, którzy brali na siebie sprawy technologii produkcji roślinnej i zwierzęcej. Mijały lata i Jan Wilusz na tyle okrzepł na swoim stanowisku, że kiedy w ponad osiem lat po jego przybyciu fala odwilży zmiatała w całym kraju podobnych jemu utrwalaczy Polski Ludowej, on schowany za podwójną gardą gospodarskiego życia na tym bocznym froncie walki o socjalizm uniknął ciosów, jakie spadały na inne bardziej wyeksponowane głowy. Z zamętu Października wyszedł nawet wzmocniony, bo nowa, przysłana z Warszawy gomułkowska ekipa tu na szczyblu powiatu, w lokalnych strukturach czuła się wyjątkowo niepewnie i poszukiwała sprawdzonych ludzi, na których mogłaby oprzeć swoje panowanie, nieskompromitowanego zbyt głębokim flirtem

ze stalinizmem aktywu, który popierając zmiany, sam nagrodzony za lojalność na tych zmianach mógłby skorzystać. Pozostawiony na stanowisku Wilusz, podkarmiony sowitymi dotacjami przyznanymi jego PGR-owi, był właśnie takim solidnym spoiwem fundamentu, na jakim oparła swoje rządy w powiecie nowa ekipa. Z podobnym skutkiem dyrektorowi udawało się przetrwać kolejne polityczne wstrząsy targające partią i krajem, nie powaliła go nawet reforma administracyjna.

*

Piotr Gruszczyński nie lubił Widryńskiego, drażniło go jego przenikliwe spojrzenie, nie podobały mu się wielkopańskie maniery kierownika, irytowało zamiłowanie do porządku, ale tak naprawdę najbardziej Poznaniaka wściekała sprawiedliwa sympatia, z jaką przełożony odnosił się do Michała Pudły. I nie miało znaczenia, że do pozostałych pracowników, w tym do niego, Widryński żywił równie wiele ciepłych uczuć. Gruszczyński od szefa nie oczekiwał uśmiechów, chciałby natomiast, aby przyłączył się on do jego krucjaty przeciw przedstawicielowi znienawidzonego narodu. Było przeciwnie. Dlatego Piotr z zadowoleniem nadstawił ucha na plotki mówiące o tym, że kierownik z wyjazdu do Miasteczka może już nie powrócić. Jednak kiedy do gospodarstwa przyjechał następca Widryńskiego, Gruszczyński zadrżał. Nowy miał w sobie coś z czekisty. W postawie, spojrzeniu, ubiorze. Gruszczyński znał ten typ, zetknął się z nim w obozie i z tego powodu teraz obawiał się, że nowy dyrektor zacznie rządy od szperania w życiorysach pracowników, że pozakłada im teczki, do których będzie zbierał materiały, i wreszcie, wcześniej czy później, dokopie się do wojennej przeszłości Gruszczyńskich, a wtedy wszystko, na co Piotr z takim zapalem pracował przez niemal rok pobytu we

Wrześniowie, rozleci się jak rozdeptany buciorem zamek z piasku.

W pierwszych dniach pobytu nowego Gruszczyński starał się nie wychylać. Pokonywał jedynie trasę dom–kuźnia, kuźnia–dom. Po wsi nie łąził, niczego nie komentował, co bardzo dziwiło pozostałych mieszkańców, ale o tym zabarykadowany w domu Piotr nie mógł wiedzieć. A kiedy dowiedział się, że dyrektor organizuje komisyjne wejście do pałacu, wysłał żonę na przeszpiegi. I to był błąd! Matylda miała się wmieszać w orszak i nie rzucać w oczy. Obserwować. Rozpoznać zamiary dyrektora. Tymczasem... Głupie babsko musiało się zdradzić ze znajomością niemieckiego, teraz na pewno czekista zechce sprawdzić, skąd ona tak po tym niemiecku szprecha, denerwował się Gruszczyński. Czekał na wezwanie do gabinetu dyrektora, i się doczekał.

Szedł jak na skazanie. Kombinował, jakich odpowiedzi udzielać w drażliwych kwestiach. Postanowił iść w zaparte. A niech sam odkryje prawdę, skoro mu tak zależy, zdecydował, jak się dogrzebie, to trudno, znów pójdziemy na poniewierkę. Sam nie zamierzał się do niczego przyznawać. Uniósł dumnie głowę i wszedł do biura. Pogawędka, jaką uciął sobie z nim dyrektor, wprowadziła Piotra w konsternację. Nie mógł wiedzieć, że Wilusz właściwie odrobił lekcję, że zdążył się dowiedzieć, kto we wsi ma najwięcej charyzmy, za kim ludzie podążają, kogo należy obłaskawić, a dopiero jeśli nie będzie chciał jeść z ręki, zastraszyć. Partyzanckie doświadczenie nauczyło go, że strachem, podniesionym głosem można łatwo sobie poradzić z inteligencikami, takimi jacy pracowali w biurze, wobec robotników należało przyjąć odmienną postawę. Szorstkość – tak, bezwzględność kiedy trzeba – tak, stanowczość – owszem, ale jednocześnie trzeba było grać równego chłopca, szczerego i bezpośredniego, skracającego dystans, zdobywającego się nawet na poufałość wobec wyselekcjonowanych przywódców

wioskowej społeczności. Na kimś tę władzę wypadło oprzeć. Dlatego Gruszczyński podjęty został herbatką, szef poczęstował gościa nawet bielomorem podsuniętym pod nos w papierośnicy. Kowal zaciągnął się ze smakiem aromatycznym dymem. Potem dyrektor zaczął pytać: o pracę, dom, rodzinę, o stosunki panujące we wsi – ten temat ciekawił go szczególnie. Chciał wiedzieć wszystko, ale interesował się jedynie terażniejszością, ewentualnie najbliższą przeszłością, tą sprzed kilku tygodni, zamierzchłe czasy pozostawił w spokoju. Czułny Gruszczyński z początku udzielał jedynie krótkich, rzeczowych odpowiedzi, nie zbacał z tematu, nie bawił się w dygresje, jednak z każdą minutą nabierał pewności siebie, zaufania do szefa, którego intencje wydawały się szczerze, zadawane pytania pozbawione podtekstów. Rozmowa powoli przybierała formę pogawędki starych przyjaciół. Wreszcie Wilusz, jakby nagle nasycił się otrzymywanymi odpowiedziami, wstał, obszedł biurko, przy którym obaj siedzieli, i wyciągnął w kierunku Gruszczyńskiego rękę, po czym ściskając serdecznie podaną przez Piotra dłoń, powiedział:

– No, obywatelu kowalu, wygląda mi na to, że macie szansę zostać tu moją prawą ręką. O!

Gruszczyński wracał do domu zdeorientowany. Zastanawiał się, co mogły oznaczać ostatnie słowa dyrektora. Prawa ręka? W jakim sensie? Na to, by zostać zastępcą szefa, nie miał ani kwalifikacji, ani ochoty. Zresztą Wilusz na pewno nie jego potrzebował do pomocy w prowadzeniu gospodarstwa. Bez wątplenia nie chciał też zrobić go brygadzystą, do tego nadawali się ludzie pracujący w polu, w warsztatach, ewentualnie przy zwierzętach, których przysyłania oczekiwano każdego dnia, a nie kowal. Co dla dyrektora znaczy prawa ręka i dlaczego w ogóle nie interesowała go przeszłość, zachodził w głowę Gruszczyński. Trzeba przyjąć to za dobrą monetę, ocenił, otwierając furtkę i wchodząc na własne podwórko.

Od dwóch tygodni, odkąd jak niepyszny mijał inną furtkę, tę prowadzącą z pałacu, Piotrowi potrzebne były pozytywne wiadomości. O jego nieudanej wizycie u radzieckich towarzyszy, którą starał się ukryć, wieść jakoś się dowiedziała. Nie miał pojęcia skąd. Prawdopodobnie ktoś podpatrzył, jak dyskutował z czerwonoarmistami nad trupem żołnierza na trawniku przed pałacem. A ponieważ nie mógł słyszeć tego, o czym rozmawiali, wyciągnął własne, mylne wnioski. Potem rozpuścił plotkę z odpowiednim komentarzem po wsi. To musiał być ktoś z otoczenia Ukraińca, wnioskował Gruszczyński, może nawet on sam? Konsekwencje były dla Piotra nieprzyjemne. Nie wszystkim z jego zwolenników spodobał się ten kontakt z czerwonymi. Ganiono wprawdzie brawurę Pudły, jednak doceniano również to, że swoim czynem pragnął ochronić dzieci, nie tylko własne. A skoro skończyło się bez przykrych następstw, to znaczyło, że zachował się ryzykownie, ale właściwie. Większość wrześniowian natomiast za właściwe nie uważało postępków Gruszczyńskiego i nie przyjmowało do wiadomości, że również nim kierowała chęć ocalenia wsi, tym razem przed odwetem żołdatów. Grono jego popleczników skurczyło się po raz kolejny. Teraz pozostała przy nim jedynie garstka. Michał Pudło wyrastał na pierwszoplanową postać we wsi, a tego Piotr nie mógł znieść. Sztama, jaką teraz oferował dyrektor – dyrektor, który już na wstępie wyrobił sobie wśród pracowników autorytet i zaskarbił sympatię – mogła odwrócić tę niekorzystną tendencję. Gruszczyński zdecydował się zaufać Wiluszowi, podążyc tam, gdzie on wskaże, zostać jego „prawą ręką”.

*

Po kolejnej nieudanej próbie zbliżenia się do żony Michał leżał wpatrzonego w sufit. Znów miał przed oczami obraz spadającego

z wieży czerwonoarmisty. Kim był, kogo osierocił, kto płakał po jego śmierci? Odganiał od siebie te pytania, a one natrętnie powracały, nie dając spokoju. Strzelał po to, żeby trafić, ale nie chciał zabijać. Może ranić. Działał instynktownie, szybko, nie licząc się z konsekwencjami. Ratował dzieci. A mimo wszystko miał nadzieję, że nie zabije. Stało się inaczej. Po oddanym strzale leżał w krzakach przygotowany na to, że zostanie schwytany przez żołnierzy. Osądzony. Być może nawet stracony. Chciał wstać, podnieść rękę, iść na spotkanie przeznaczenia, jednak przyjaciele nie pozwolili mu na to, chwycili za ramiona, pociągnęli w tył, do lasu. Sami nie mniej od Michała przerażeni tym, co się wydarzyło, przekonywali Pudłę, że nikt ich nie widział, że jeśli zakopią broń, nic im nie będzie groziło. Wrócili okrężną trasą do wsi, ukrywając po drodze karabin pod stertą liści, i rozstali się obok poszatowanego kulami domu Bogdana Żytki. Michał poszedł do chałupy i usiadł w oknie wpatrzony w drogę prowadzącą do folwarku. Czekał na ekspedycję karną. Mijały minuty, godziny, nic się nie działo. Nad wsią zaległa pełna wyczekiwania cisza. Wreszcie na szosie pojawił się Czyżyk. Biegł, potykając się co kilka kroków, aż dopadł furki. Wpadł do mieszkania.

- Skurwysyn nas wydał! Trzeba uciekać! – krzyczał od progu.
- Ale kto, co, jak? – Michał nie wiedział, o czym Maciej mówi.
- Poznaniak! Musiał nas widzieć, bo poszedł zakapować Ruskim – gorączkował się Czyżyk.
- Teraz? – rzeczowo zapytał Michał.
- No, nie. Zaraz po wszystkim. Dzieciaki widziały, jak poszedł do pałacu. A potem Pelcowa, jak stamtąd wychodził.
- To ty się uspokój! Jakby wydał nas, to sałaty by tu przyszli. A nie widzi mi się, żeby ony gdzieś tu byli. Musowo, że coś inszego do nich gadał.
- Ale co?
- Przekonamy się. Poczekamy.

Czekali więc. Dzień, drugi, trzeci... a po tygodniu pod pałac zajechała wojskowa ciężarówka, na którą żołnierze zaczęli ładować dobytek, po czym wynieśli się, a jedynym śladem ich pobytu tutaj pozostały świeża mogiła usypana nad jeziorem i kilka wyrytych w marmurze nazwisk na trzonie pałacowej kolumny. We wsi szeptano, we wsi plotkowano, nikt jednak nie wiedział do końca, co tak naprawdę się wydarzyło. Może Michał zastrzelił Ruskiego – było przecież słychać wyraźnie pojedynczy wystrzał, zupełnie odmienny od tych, które świstały z sowieckiej pepeszy – a może nie zastrzelił. Może Gruszczyński poszedł zakapować – bo to, że poszedł do czerwonoarmistów, nie ulegało wątpliwości – a może wcale nie zakapować. Cokolwiek się stało tego dnia i w cokolwiek ludzie wierzyli, efekt tego był taki, że sympatia do Pudły wzrosła, natomiast autorytet Poznaniaka zmalął.

A po jakimś czasie odwołano Widryńskiego ze stanowiska, przyjechał nowy dyrektor i mieszkańcy Wrześniowa zajęli się innymi, bliższymi sprawami, dając sobie spokój z plotkowaniem. O historii z czerwonoarmistą powoli zapominano. Nie mógł o niej zapomnieć jedynie Michał. Nękały go wyrzuty sumienia. Prześladował obraz spadającego głową w dół żołnierza.

Wilusz wezwał go do siebie, zaraz po tym, jak porozmawiał z Gruszczyńskim. Michał niczego szczególnego po wizycie w dyrektorskim gabinecie nie oczekiwał. Ot, standardowa procedura, przychodzi nowy szef, więc chce poznać swoją załogę, ocenić nastroje, sprawdzić kwalifikacje poszczególnych pracowników, dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Podobnie uczynił jeden z ekonomów w folwarku, w którym Michał pracował jeszcze przed wojną. Widryński zachowywał się inaczej. Dla niego liczył się cel, własne pomysły, załoga jako całość, a nie jej poszczególne ogniwa. Cóż, każdy ma swoją metodę zarządzania, myślał Pudło, idąc do biura w wirujących płatkach pierwszego tegorocznego śniegu, cholera wie, która jest

najskuteczniejsza. Nie jego w tym głowa. Tymczasem rozmowa zamieniła się szybko w szczerą pogawędkę, w trakcie której Michał nie wiedział nawet, jak to się stało, że zaczął opowiadać historię wywózki rodziny z Bieszczad. Mówił ze szczegółami, kładąc nacisk na tragiczną pomyłkę, jakiej padli ofiarą. Dyrektor kiwał głową z pozoru zainteresowany, ale kiedy Michał w swojej opowieści wraz z żoną i dziećmi dotarł do Wrześniowa, Wilusz ani słowem nie odnosząc się do tego, co usłyszał, zmienił temat i zaczął wypytywać o stosunki panujące pomiędzy poszczególnymi mieszkańcami wsi. A na koniec wstał, okrążył biurko, przy którym siedzieli, i wyciągnął do Michała rękę.

– No, obywatelu Pudło Michale, wygląda mi na to, że macie szansę zostać tu moją prawą ręką. O!

Cóż to mogło oznaczać, Michał nie miał najmniejszego pojęcia.

*

Lucyna poprawiła koc i położyła się na wznak, wystawiając ciało ku słońcu. Przejechała dłonią po nagim brzuchu, poczuła przyjemność – dotyku, gładkiej skóry pod palcami. Zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie wzbudzać w Michale pożądanie. I kiedy wreszcie sama je poczuje. A może nie tyle poczuje, bo ono się od czasu do czasu pojawiało, tylko kiedy weźmie górę nad lękiem i odrazą. I czy zdąży, zanim ciało jej zwiędnie, a w Michale wszystko wystygnie. Lucyna chciała dopuścić do siebie męża, ale nie mogła, nie potrafiła przemóc w sobie czegoś, czego nie umiała nazwać, a co kazało jej strącać go z siebie za każdym razem, kiedy usiłował się zbliżyć. Ile to już trwało? Pięć, sześć lat? Lucyna doceniała delikatność Michała, bo odtrącony złościł się, walił ręką w ścianę, czasem krzyczał i groził, że weźmie ją siłą, ale nigdy tego nie zrobił, chociaż mógłby, a ona nie miałaby nic do powiedzenia, w końcu była

żoną. Raz nawet, będzie ze trzy lata wcześniej, spróbowała się przemóc, położyła się na wznak jak teraz, zacisnęła oczy i zęby, rozchyliła uda i czekała, ale kiedy poczuła ciężar Michała na sobie, gdy dotknął jej sromu twardym gorącym członkiem, cofnęła gwałtownie biodra, zaparła się nogami i zaczęła uchylać. Usiłował wejść w nią kilka razy, aż poczuła na brzuchu gorącą lepkość. Zrzuciła go z siebie, odwróciła się na bok i zaszlochała. Michał upokorzony wybiegł z domu i powrócił dopiero nad ranem. Od tamtej pory próbował coraz rzadziej, aż wreszcie rok temu przestał w ogóle. Wiedziała, że jakoś musi sobie radzić. Na boki nie chodził, chociaż niejedna młódka chętnie by mu dupy dała. Ale wcześniej czy później Lucyna by się o tym dowiedziała, w wiosce czegoś takiego nie dało się ukryć. Co by wówczas zrobiła? Pewnie nic. W końcu to była jej wina, a nie Michała. A wiadomo, chłop swoje potrzeby ma. I to w dodatku taki chłop.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na męża, który stał na brzegu z wędką sto metrów od niej. Tak, Michał to był chłop, jakiego wszystkie baby we wsi mogły jej pozazdrościć. A ona nie potrafiła go zadowolić. Takiego mężczyzny. Przymioty Michała doceniali we Wrześniowie wszyscy. No, może prawie wszyscy, bo była przecież jeszcze banda Gruszczyńskiego. Ci ciągle jątrzyli, podkładali świnię, kiedyś nawet o mało nie doprowadzili do tragedii, gdy podpłiwali motokosę, na której Michał pracował w polu. Lucyna na mechanice się nie wyznawała, dowiedziała się tylko, że coś tam w maszynie pękło, urwało się i stalowe elementy przeleciały centymetry od głowy męża. Strach pomyśleć, co by to było, gdyby go trafiły w skroń albo w oko. Domagała się potem, aby dyrektor przeprowadził śledztwo, wykrył i ukarał winnych, ale on, który jeszcze poprzedniego dnia gościł Michała w swoim gabinecie, gawędził sobie z nim, a nawet można powiedzieć, radził w różnych sprawach, wzruszył tylko ramionami, spojrzał wymownie w stronę Gruszczyńskiego i powiedział: a co ja mogę, pani kochana, wypadki się zdarzają,

jak to w polu, zwyczajna rzecz. Z dyrektorem to w ogóle była dziwna sprawa – Lucyna, w przeciwieństwie do Michała, nigdy mu nie ufała – raz męża hołubił, zdawał się uważać go za najważniejszą po sobie postać w gospodarstwie, to znowu traktował jak powietrze. Nie zauważał, pomijał podczas narad, wyznaczał najniewdzięczniejszą robotę. Bywało, że, jak wtedy z tą motokosą, przymykał oczy na wysoki Gruszczyńskiego i jego bandy.

A Michał z początku też się temu dziwił, a teraz już nic sobie z tego nie robił. Z Poznaniakiem też umiał sobie poradzić. Raz, będzie tak ponad rok temu, szczepili się i gdyby nie nadbiegli Czyżyk z Mrozowskim, to polałaby się krew. Wszystko przez tego zakapiora Józia, który kolejny raz pobił Adaśka. Chłopak wpadł, chlapiąc, do chałupy, nos rozbity, cała koszula we krwi, oko zapuchnięte. Miał wtedy dziesięć lat, tamten prawie osiemnaście. Michał pierwszy raz nie wytrzymał, złapał pogrzebacz i wybiegł na szosę. Dopadł go niedaleko sklepu. Józio wyrósł na wielkiego chłopca, o głowę wyższego od Michała. Był na cyku, więc widząc nadciągającego Pudłę, buńczucznie przygotowywał się do walki, kiedy jednak zobaczył pogrzebacz w ręku Ukraińca, spostrzegł wściekły błysk w jego oku, w jednej chwili ulotniła się z niego cała odwaga. Odwrócił się i zaczął uciekać. Michał rzucił się w pogoń. Biegli przez chwilę w stronę folwarku, aż wreszcie na wysokości obory Józio się potknął, Michał doskoczył, uniósł pogrzebacz, świsnęło powietrze i stalowy pręt spadł na grzbiet młodego Gruszczyńskiego, który zawył. Michał zamachnął się kolejny raz i znów uderzył. Trzeci cios jednak nie dosięgnął już celu. Ktoś chwycił Michała za rękę. Obrócił się. Stał twarzą w twarz z Poznaniakiem.

– Ze mną spróbuj, ukraińskie ścierwo – wysyczał Gruszczyński.

Michał zrobił krok wstecz. Kątem oka spostrzegł zaciśnięte w pięści, wielkie jak bochny chleba dłonie kowala. Oceniał sytuację, ważył szanse. W końcu ścisnął silniej pogrzebacz

i ruszył do ataku. Machnął. Celował w brzuch. Poznaniak uskoczył. Michał ruszył ponownie. Wzbierała w nim wściekłość. Lata doznawanych od Gruszczyńskiego i jego popleczników upokorzeń, znoszonych na pozór ze spokojem, skumulowały się w tym ataku. Ale i tym razem Poznaniak wykazał się refleksem. Widać było, że czujny Piotr poluje na okazję do kontry. I wtedy z otwartych drzwi obory wyskoczyli Czyżyk z Mrozowskim, każdy złapał jednego z walczących w pole. Pewnie nie daliby rady ich utrzymać, gdyby nie kolejni, którzy nadbiegli za nimi. Przeciwnicy dyszeli, patrząc sobie śmiało w oczy. Zza firanki całemu zdarzeniu przyglądał się ze spokojną miną Wilusz.

Lucyna poprawiła stanik za małego kostiumu opinający ciasno jej obfite piersi i ponownie położyła się na plecach na kocu. Kto by pomyślał jeszcze kilka lat temu, że ona, młoda wystraszona kobiecina w chuście i trzech nałożonych na siebie spódnicach, dziś będzie opalała się nad brzegiem jeziora półnaga w dwuczęściowym kostiumie? Nie miała wprawdzie wciąż odwagi, żeby chodzić na plażę, tam gdzie reszta wsi, dlatego oni, Pudłowie, całą rodziną szli pół kilometra dalej, gdzie ukryci za wysokim tatarakiem porastającym pobliskie bagienko wypoczywali, ona z dziećmi na kocu, a Michał z wędką nad brzegiem jeziora. Lucynie podobała się tutejsza nowoczesność, chałupa, ten PGR, praca przy krowach, a nawet elektryka, której z początku tak się obawiała. W pewnym momencie młoda kobieta zorientowała się, że przestaje żałować przyjazdu, że nie tęskni już za Bieszczadami, bo w końcu co takiego tam zostawiła? Rodzinę, która się jej wyrzekła? Kurną, ciągle zadymioną chatę? Smród i ubóstwo. Nie było czego wspominać. A tu miała wszystko, czego do życia potrzeba. Tam w najlepszym razie klepaliby biedę, o ile tylko udało by się im przeżyć. Teraz żyli jak państwo, opływali w sprzęty i dostatki, a ostatnio chodziły słuchy, że wybrane, najlepiej pracujące rodziny mają w przyszłym roku otrzymać rowery. Mieć taki welocyped to

dopiero byłby szczyt luksusu.

– Mamuś, mogę iść do wody? – Helena połaskotała trawką ucho matki.

– A Adaśko gdzie?

– Był z tatą, ale teraz poszedł do lasu i buszuje. Jak zawsze. To co, mogę?

– Idź, ino uważaj.

Niedziele do późnego popołudnia, o ile Michał nie szedł do pilnej roboty w polu, mieli wolne. Rano ruszali do lasu, zbierali, co akurat się rodziło, jagody, grzyby, maliny, a potem po kościele, do którego musieli wędrować do Trójczyna cztery kilometry, wybierali się, jeśli tylko pogoda dopisywała, nad jezioro. Lucyna lubiła te chwile lenistwa, pozostawanie sam na sam z własnymi myślami. Leżała wtedy skąpana w słońcu, Helenka biegła do wody, Michał moczył wędkę w jeziorze, a Adaśko... Adaśko, kiedy tylko trochę podrosł, zaczął zapuszczać się do lasu. Nie chciał z ojcem łowić ryb, nie podobało mu się to, kiedyś nawet spłakał się, ściągając z haczyka – zrobionego z cienkiego gwoźdźca – okonka miotającego się w ostatnich konwulsjach, który zbyt żarłocznie rzucił się na przynętę. Michała bardzo rozbawiła ta dziecięca litość, ale chłopak postawił na swoim – od tej pory już nie towarzyszył ojcu podczas połowów. Owszem, szli razem, Adaśko pomagał nakopać robaków, a później wymykał się na swoje leśne ścieżki. Co tam robił? Lucyna była pewna, że nic strasznego. Zapewne poznawał na swój dziecięcy sposób przyrodę, może tropił zwierzęta, uczył się ich zwyczajów. Znosił z takich wypraw do domu pisklęta, które wypadły z gniazd, kontuzjowane ptaki i jeże, żaby, zaskrońce, poddawał potem tę menażerię zabiegom leczniczo-pielęgnacyjnym, z różnym skutkiem. Dokarmił, opatrywał, czyścił. Tym, które nie przetrwały kuracji, urządzał pogrzeby za chałupą. Na weteryniarza go posłemy, śmiał się Michał. A Lucyna nie widziała w tym niczego śmiesznego. Podobała jej się taka

przyszłość dla syna.

We wsi nie brakowało rozrywek, o których kiedyś Lucyna nawet nie śniła. Szczególnie latem. Dwa razy do roku, właśnie kiedy było ciepło, przyjeżdżało kino objazdowe. Filmy wyświetlano na świeżym powietrzu. Tylko jeden raz kiniarze pojawili się zimą. Projekcja miała się odbyć w sali zebrzeń w dawnej pałacowej jadalni. Rozciągnięto na ścianie ekran, wstawiono projektor, rozstawiono krzesła, ale chętnych zjawilo się tak wielu, że pomieszczenie nie było w stanie pomieścić nawet ich połowy. Szturmowano drzwi, wspinano się na wysokie okna. Ani dyrektor wspierany pracownikami biurowymi, ani kiniarze nie byli w stanie zapanować nad tumultem. Ublągano wreszcie obsługę projektora o dodatkowy seans, ale tu zrodził się kolejny problem, ponieważ nikt nie chciał czekać, obawiano się, że goście nie zechcą dotrzymać obietnicy. Ktoś na wszelki wypadek spuścił powietrze z kół samochodu, którym przyjechał projektor i jego obsługa. Wizyta objazdowego kina skończyła się gigantyczną awanturą. Dyrekcja więcej tego błędu nie powtórzyła i kolejnej projekcji zimą już nie zamówiła, a nawet gdyby chciała, i tak nikt nie miałby odwagi jeszcze raz przyjechać i ryzykować urządzania seansu w zamkniętej sali. Co innego na wolnym powietrzu.

Zimy za to się dłużyły. Chodzili poślizgać się na jezioro, dzieci zjeżdżały na workach z górki, ale wieczorami Lucyna się nudziła. Jeden raz spróbowała czytać książkę. Pożyczyła ją od księgowego. Dzwony skądś tam, nie mogła zapamiętać skąd. Nie szło jej. Zawzięła się, zaczynała kilka razy, w końcu nie po to ślęczała w pałacu w zbitej z desek ławce i uczyła się czytać, żeby teraz z tego nie skorzystać. Na próżno. W końcu zawstydzona odniosła książkę do biura, a na pytanie, jak jej się podobało, z uśmiechem odpowiedziała, że owszem, nawet bardzo. Za kolejną książkę już jednak podziękowała. To całe czytanie, tak Bogiem a prawdą, okazało się jej do niczego niepotrzebne. Strata

czasu.

Łagodny plusk dobiegający od jeziora zamienił się w gwałtowny chłupot. Lucyna podniosła głowę. Tuż nad taflą wody zobaczyła przerażone oczy córki. Dziecko rozpaczliwie machało rękoma. Jej główka zniknęła pod wodą, po chwili znów się wynurzyła. Dziewczynka chwyciła łapczywie powietrze, a potem ponownie nakryła ją zmacona woda. Helena tonęła! Lucyna poderwała się i kilkoma susami dopadła brzegu, zaczęła szybko wchodzić do wody. Robiło się coraz głębiej, woda sięgała jej szyi. Wyciągnęła rękę, do miejsca gdzie córka walczyła z żywiołem, brakowało jeszcze dwóch metrów. Lucyna nie potrafiła pływać.

Michał rzucił wędkę i nasłuchiwał. Wyglupy córki czy dzieje się coś poważnego? Dźwięki stawały się coraz bardziej niepokojące. Ruszył powoli w stronę, gdzie zostawił na kocu Lucynę, nagle doleciał do niego rozpaczliwy krzyk żony:

– Michał!!! Szybko! Ratunku!!! Helena!!!

Wpadł na polanę i ile sił w nogach pędził do wody. Minął Lucynę i zanurkował w miejscu, gdzie na tafli wody spod jej powierzchni wydobywały się bąble powietrza. Wyniósł bezwładne ciało Heleny i położył na trawie. Ociekający wodą na zmianę unosił do góry jej ręce i dociskał do piersi. Nie poskutkowało. Otworzył usta i wdmuchnął w nie powietrze. Znów nic. Jeszcze raz nacisnął drobną pierś. Nagle dziewczynka kaszlnęła, z jej ust trysnęła woda, jeszcze jedno kasznięcie, więcej wody, a wreszcie otworzyła oczy i zaczęła chwycić powietrze. Lucyna złapała głowę córki i przytuliła do piersi.

Michał niósł Helenę do domu na rękach. Położył w łóżku, a Lucyna okryła ją kocem. Dziecko zasnęło natychmiast.

Przywarli do siebie. Takiego wybuchu namiętności nie spodziewało się żadne z nich. Kochali się gwałtownie, szybko, tak jakby chcieli nadrobić minione, stracone lata. Nie zważali na zachodzące słońce wpadające do pokoju, nie przeszkadzało im

otwarte okno, nie uwierały deski podłogi. Lucyna oplotła nogami biodra męża i przyciskała je do siebie. Trwało to krótko, dla niej zdecydowanie za krótko, chciała jeszcze. Szepnęła mu to do ucha. Po chwili Michał znów był gotowy. Tej nocy nie zasnęli ani na minutę.

*

Płacz niemowlęcia wypełnił chałupę. Piotr podszedł do kołyski i nieporadnie wziął dziecko na ręce. Taka kruszynka w silnych kowalskich ramionach. Drugi wnuk! Gruszczyński po raz trzeci został dziadkiem. Pierwsza była dziewczynka, po niej dwa chłopaki. Zuchy, pomyślał o synach. Po Franku mógł się tego spodziewać, ale Józio? Starszy syn, spokojniejszy, kochliwy, ceniący sobie życie rodzinne, ledwo skończył szkołę, poszedł do pracy, a już szukał sobie kandydatki na żonę. Próbował to z jedną, to z drugą, ale ciągle coś nie wychodziło, tymczasem to młodszy, ten mąciwoda, który chwili nie usiedziało na miejscu, ten zabijaka, przed którym drżała cała wrześniowiecka młodzież, jako pierwszy przyprowadził do domu dziewczuchę i oznajmił, że będzie się żenił. Ale co, jak, złapała się za głowę Matylda, przecież trzeba kwiaty, butelkę, iść w konkury, prosić ojca o rękę. Ech, ci rodzice, zaśmiał się Józio, niby tacy nowocześni, a nienadążający za współczesnymi czasami. Kto by się dziś takimi formalizmami przejmował? Zresztą o rękę nie było kogo prosić, dziewczyna straciła rodziców w czasie wojny, wychowała się w sierocińcu, a tu przyjechała z hufcem pracy, pomagać przy żniwach. I z tego pomagania jakoś tak wyszło, że trzeba było ślub brać. Ale sprawa nie przedstawiała się tak prosto, jak się Józiovi wydawało, bo chłopak miał ledwie dwadzieścia lat. Potrzebna była zgoda sądu. Tę jednak udało się w miarę łatwo zdobyć, bo to wiadomo, rodzina w okolicy szanowana, za którą ręczył dyrektor

Wilusz, dziewczyna sierota, do tego robotna, w PGR-ze na pewno by się przydała, a poza tym niewiele już brakowało, aby wszyscy zobaczyli – o czym szepnięto sędziemu do ucha – że ze ślubem zwlekać nie można.

Dziecko urodziło się pół roku po ślubie. Wcześniak? Wcześniak, wcześniak, przekonywał Piotr Gruszczyński, i niech tylko ktoś spróbowałby wątpić.

Piotr doskonale pamiętał swoje rozczarowanie, kiedy ledwo trzymający się na nogach Józio wpadł z niedopitą flaszką w rękę do chałupy i padając na fotel, zdołał tylko wybełkotać: dziewczucha! Jak to dziewczucha? Nie mógł uwierzyć. Miał być wnuk! Wszyscy tak przepowiadali, synowa przez całą ciążę kwitła jak róża, brzuch ułożył się w taki sposób, że baby zgodnie zawyrokowały: będzie chłopak. A tu taka nieprzyjemna wiadomość. Tak, owszem, to prawda, że jego oczkiem w głowie zawsze była córka Irenka, a nie chłopaki. Bo synów należało chować twardo, tak, żeby wyrosli na prawdziwych mężczyzn, na Gruszczyńskich, a nie jakieś pipy, za to z wnukiem byłoby inaczej. Piotr pragnął, rzecz jasna, aby z chłopaka, jeśli już się urodzi, był w przyszłości chłop na schwał, ale to rolą ojca było do tego doprowadzić, dziadek mógł sobie pozwolić na rozpieszczanie wnuka. W wyobraźni Piotr chodził już ze smarkaczem na ryby, do lasu, dokazywał na podwórzu, uczył go pływać, robić kowalskim młotem, a przede wszystkim zaszczeniał w nim nienawiść do Ukraińców. Miał tyle pomysłów i planów, a tu tymczasem spotkała go taka przykra niespodzianka.

Rozczarowanie Gruszczyńskiego nie trwało jednak długo. Kiedy synowa z zawiniątkiem pod pachą wróciła do domu, kiedy wysupłała maleństwo z becika i podała je do potrzymania teściom, kiedy Piotr poczuł na rękach tę prawie nic nieważącą kruszynę, zajrzał jej w spokojną śpiącą twarz, ze zdumieniem zauważył, że wzruszenie chwytą go za gardło, że zawładnęło nim

coś, czego nie będzie ani potrafił, ani chciał się pozbyć do końca życia, coś, czego nigdy wcześniej nie przeżył. Szybko, niby to niezadowolony, oddał dziecko żonie Józia i prychając, poszedł w stronę kuźni. Maszerował, nie wiedząc do końca, co się z nim dzieje. Narodziny własnych dzieci przyjmował jako coś naturalnego, żyje z żoną, sypiają w jednym łóżku, to i dzieci przychodzą na świat, teraz są utrapieniem, ale kiedyś, w przyszłości wspomogą rodzinę, może będą podporą na stare lata, myślał wtedy. Pojawienie się wnuczki wywróciło mu świat do góry nogami i mimo że później urodziło się jeszcze dwóch chłopaków, to właśnie najstarsza Jadwinia pozostała, choć nigdy by się do tego głośno nie przyznał, jego ulubienicą.

W rok po Józiu wreszcie i Franek znalazł sobie odpowiednią kandydatkę na żonę. A właściwiej byłoby powiedzieć, że to ona jego sobie znalazła. Chodziła za nim od dawna, odkąd w pięćdziesiątym pierwszym jej rodzina osiedliła się we Wrześniowie, zauważali to wszyscy z wyjątkiem Franka. Cierpliwie znosiła, kiedy jej ukochany zwracał uwagę na wszystkie dziewczyny dookoła, tylko nie na nią. Na tamtą zabawę też poszedł z inną. Pił tego wieczora sporo, zdaniem tamtej dużo za dużo. Wyciągnęła go na zewnątrz, a jej wrzask przebijał się nawet przez głośne tony grającej szlagiery orkiestry. Nie wytrzymał, uderzył w twarz, oddała. Tak mocno, że rozbiła mu nos. Siedział na trawniku, zalany krwią, usmarkany, trzymał się za głowę, pluł i rzygał. Wtedy przyszedł jej moment. Przyniosła mu czapkę, którą zgubił, wychodząc. Otarła twarz, pogładziła po włosach. Oparł głowę na jej piersi, brudząc krwią sukienkę. A trudno, pomyślała, za szczęście trzeba zapłacić. To samo przyszło jej do głowy, kiedy zaczął ją całować, a w ustach poczuła kwaśny smak wymiocin. Zdobyczy nie wypuściła już z ręki. Wyprawiono kolejne w przeciągu roku weselisko w rodzinie Gruszczyńskich.

Nie kochał jej, ale czy o to tak naprawdę w życiu chodziło?

Żeby kochać żonę? Ona kochała, dbała o niego, troszczyła się o dom, to było dla Franka najważniejsze. A po roku urodziła mu Wojtusia. Pierwszy Gruszczyński, który przyszedł na świat we Wrześniowie.

Piotr zaczął kołysać płaczącego niemowlaka. Drugi chłopak, cieszył się, rodzina rośnie w siłę. Teraz był już spokojny, wiedział, że dadzą sobie radę. Cztery lata temu tego komfortu mu brakowało, wtedy urodził się Gienio, kolejny ukraiński pomiot. Osiem lat kruczaty na darmo, pomyślał wówczas. Robił wszystko, co mógł, żeby Pudłom uprzykrzyć życie we Wrześniowie, podburzał ludzi, prowokował, raz niewiele brakowało, aby Ukraińcowi porachował kości, niestety inni przeszkodzili. Z mozołem odbudowywał swoją pozycję we wsi, przeciągał sąsiadów na właściwą stronę. Pielęgnował każde ziarno zazdrości, jakie pojawiało się w ludziach w tych krótkich momentach, kiedy dyrektor w niezrozumiały sposób faworyzował Pudłę, był przy każdym, kto z jakichś, czasem nawet bardzo błahych powodów wdał się w kłótnię, czy choćby sprzeczkę z Michałem, popierał i zapracowywał na wdzięczność. Znów był silny, ponownie liczono się z jego zdaniem, szanowano, jeszcze raz wyrastał na wioskowego przywódcę. I wtedy jak na złość brzuch tej cholernej Lucyny zaczął się zaokrąglać, a potem przyszła wiadomość, po której otrzymaniu Piotr aż zgrzytnął zębami: Pudłowa urodziła syna. Siły się wyrównały, liczył Gruszczyński. Teraz, kiedy Franek i Józio spłodzili synów, dziękować Bogu, znów mieli przewagę, przetrwają ci, których będzie więcej, przyjmował proste założenie.

Leszek, Lesio, cóż to za dziwaczne imię, kto to wymyślił, zżymał się w duchu Piotr. Spróbował wepchnąć dziecku smoczek do buzi, ale chłopak pluł, krzycząc coraz donośniej. Poznaniak uniósł wnuka do góry.

– Mira! – zawołał synową. – Chodź szybko!

– Co się stało? – Do pokoju weszła drobna blondynka,

trzymając trzyletnią Jadwinę za rękę.

– Zesrał się.

Piotr wziął dziewczynkę na kolana i obserwował, jak kobieta mocuje się z zafajdaną pieluchą, usiłując przewinąć synka. Z zadowoleniem patrzył, jak Lesio wierzga drobnymi nóżkami, zaciska różowe piąstki. Charakterny, będzie z niego pociecha, cieszył się dziadek. Przyglądał się też Mirce. Podobała mu się ta dziewczyna. Miała odwagę, wiążąc się z takim ancymonkiem jak Józio i co najbardziej dziwiło, ale i bawiło Piotra, potrafiła go okiełznać. Trudno było w to uwierzyć, że ten największy we wsi zabijaka przy żonie i dzieciach spokorniał. Wyglądało na to, że naprawdę ją kochał i szanował. Udała mu się synowa. Przynajmniej jedna, bo o tej drugiej, Czeście od Franka, to nie warto było mówić. Oferma bez krzty ikry i własnego zdania, ciągle tylko powtarzająca, a Franek to, a Franek tamto, dmuchająca i chuchająca na swojego Wojtusia, jakby dziecko to był jakiś skarb. Brzydka, z opadającą powieką i tendencją do tycia, do tego głupia, że szkoda gadać.

– Dziadek, patataj! – poprosiła Jadwinia.

Zaczął unosić kolana, podrzucając śmiejące się dziecko. Zza wnuczki wpatrywał się w pochyloną nad Lesiem synową. Świetna baba, pomyślał, wpijając wzrok w jej krągłe wypięte pośladki odciskające się na spódnicy. Tylko czy będzie w stanie zastąpić mu Irenkę? Wątpił. Bo nadzieję, że Irenka wróci jeszcze na stałe do domu, stracił już jakiś czas temu. Była w drugim oddziale szkoły powszechnej, kiedy przyszedł do niego Siekielski, nauczyciel, ze znakomitą – jak się staremu profesorowi wydawało – wiadomością: córka Gruszczyńskich przejawiała ponadprzeciętne zdolności, wybijała się z całej grupy uczniów, których miał pod swoją opieką. Trudno było powiedzieć, w którą stronę rozwiną się talenty Irenki, ale już teraz, przekonywał Siekielski, warto zatroszczyć się o edukację córki. To się pan troszcz, wzruszył ramionami Piotr, to, o ile się nie mylę, pańskie

zadanie. Nie można powiedzieć, żeby wiadomość nie ucieszyła Gruszczyńskiego, przeciwnie, zwiastowała, że przynajmniej z Irenką nie będzie problemów w szkole, takich jakie przynosił bezustannie Józio, którego do nauki nie ciągnęło, a na dodatek sprawiał, jak to określał nauczyciel, stałe problemy wychowawcze, ale żeby zaprzętać sobie głowę kształceniem córki, to już byłaby przesada. Skończy dziewczucha szkołę, taki mus, uważał Piotr, a potem zwyczajnie, weźmie się do roboty. Nauczyciel wyszedł rozczarowany, ale z silnym postanowieniem, że troski o edukację Irenki nie zaniecha. Obudził się w nim przedwojenny pedagog, który zapadł w drzemkę przez ostatnie lata, strawione na handryczeniu się z nieskorymi do nauki, pozbawionymi motywacji z domu, skłonnyymi jedynie do wygłupów dziećmi robotników rolnych, zapełniającymi rok po roku ławki wiejskiej szkoły, do której po repatriacji z Wileńszczyzny sam się zgłosił. Już podczas nauki w pierwszym oddziale zwrócił na Irenkę uwagę; niby, jak cała reszta, nie stroniła od zabaw, uczestniczyła w ciągłych żartach z nauczyciela, wyśmiewając wspólnie z koleżankami i kolegami jego kresowy akcent, nabijając się ze starczej niedołążności, gasnącego słuchu, pogarszającego się wzroku, jednak szybkość, z jaką to dziecko chłonęło wiedzę, sprawność, jaką wykazywało w rozwiązywaniu zadań, zapał, z jakim się uczyło, sprawiły, że w uzbrojonych w grube okulary oczach starego profesora coś drgnęło, a potem poczuł, że budzi się w nim zapał, jakiego od lat już nie czuł. Oto życie zsyłało mu ostatnią zawodową szansę, aby przed emeryturą wypuścić w świat spod swoich pedagogicznych skrzydeł pięknego ptaka, który poszybuje w przestworza polskiej nauki. Tej szansie nie mógł pozwolić wymknąć się z rąk.

Opracował dla Irenki indywidualny plan nauczania, rozszerzający ten skromny, oficjalny, dostosowany do niezbyt wygórowanych potrzeb przyszłych pracowników PGR-u. W trakcie zajęć lekcyjnych dziewczynka jak dawniej

uczestniczyła w żartach, jakie jej rówieśnicy stroili sobie ze starego nauczyciela, ale po lekcjach zostawała z nim chętnie w klasie. Czytali wspólnie lektury, wertowali słowniki, rozwiązywali matematyczne szarady, ślęczeli całymi godzinami nad atlasami, przemierzając wspólnie krainy, o których oboje mieli tylko mgliste pojęcie, a kiedy nauka ich zmęczyła, grali w szachy, przy których z każdą kolejną rozegraną partią Siekielski musiał włożyć coraz więcej wysiłku w wygraną. Po ukończeniu z wyróżnieniem czwartego oddziału Irenka kontynuowała naukę w Trójczynie, gdzie kolejne stopnie edukacji pokonywała z najwyższymi ocenami. Nie zaprzestała jednak popołudniowych wizyt u starego profesora. Aż przyszło najtrudniejsze.

Stanęli przed Piotrem niepewni oboje, staruszek i córka, która właśnie ukończyła, oczywiście celująco, szkołę powszechną. Trzeba było podjąć decyzję co do dalszych losów Irenki. Gruszczyński nawet nie chciał słyszeć o pomysłe, z jakim do niego przyszli. Liceum w Miasteczku? Z internatem? Mowy nie ma, uciął krótko prośby. Dziewczyna była potrzebna tutaj, w domu, do pomocy matce, miała pójść do pracy, oczywiście w gospodarstwie, ulżyć rodzicom. Do tej pory to oni ją utrzymywali, teraz przyszedł czas odpłaty. Piotr używał ekonomicznych argumentów, bo nigdy by się nie przyznał do najważniejszego: bał się, że jeśli Irena raz opuści wioskę, nigdy już do niej nie wróci, obawiał się, że utraci ukochaną córkę. Na nic zdawały się rzeczowe kontrargumenty, na nic prośby i błagania, nawet łzy, ojciec pozostawał niewzruszony. I pewnie nic by z wyjazdu do liceum nie wyszło, gdyby nie niespodziewana interwencja Matyldy. Wyszła z kuchni i wycierając ręce w ścierkę, twardo oznajmiła, że Irena to też jej dziecko i ona również ma coś do powiedzenia. Nie stanie na drodze awansu społecznego, jaki otwierał się przed córką. Gruszczyński popatrzył na żonę zbaraniałym wzrokiem, ciosu

z tej strony zupełnie się nie spodziewał. Został sam. Przegrał. Dla pozorów jeszcze przez chwilę stawiał opór, wreszcie dał za wygraną.

A teraz Irena zbliżała się do matury i podczas rzadkich wizyt w domu przebąkiwała coś o studiach. Wszystkie obawy Piotra znalazły potwierdzenie w rzeczywistości, wiedział, że córka do Wrześniowa już nie wróci. Jeszcze moment i stanie się wykształconą, miastową obcą kobietą. Pozostały mu wnuki.

*

Gdyby wierzyć w znaki, jakie ktoś z góry, znający przyszłość, zsyła nam w formie ostrzeżenia na ziemię, to Eugeniusza Pudłę, który przyszedł na świat dokładnie co do dnia w dziewięć miesięcy po tym, jak Michał uratował tonącą Helenę, czekało w życiu wiele dramatycznych wypadków. Chłopak urodził się w trakcie pierwszej wiosennej burzy. Tak gwałtownej, że nawet ci co mieszkali tu najdłużej, prawie dziewięć lat, nie pamiętali szalejącego z podobną siłą żywiołu. Wichura łamała drzewa, rwała dachy, błyskawice raz za razem rozświetlały pociemniałe w jednej chwili niebo, grzmot gonił grzmot, pioruny uderzały w jezioro z taką intensywnością, że drżała ziemia, a Lucyna leżała z rozchylonymi nogami na własnym łóżku, prąc i klnąc na przemian. Rodziła sama, w domu, bo przy nawałnicy, jaka rozszalała się za oknami, nie było szans ani na przewiezienie jej do Miasteczka, ani na sprowadzenie pomocy. Michał próbował nawet pobiec do Trójczyna, do telefonu, ale zawrócił przemoczony do suchej nitki po kilku zaledwie minutach. (Zresztą, jak się później dowiedział, i tak biegłby na darmo, ponieważ zainstalowana zaledwie rok wcześniej centrala telefoniczna zalana potokami wody spadającymi z nieba zamilkła na długie tygodnie). Przy narodzinach pierwszej dwójki

pomogła stara Pudłowa, matka Michała, tym razem Lucyna musiała poradzić sobie bez niczyjej pomocy. I zrobiła to znakomicie. Nie minęły dwie godziny od pierwszych skurczy, a już mały Gienio darł się na matczynej piersi, usiłując przekrzyczeć dudniące w powietrzu grzmoty.

Może gdyby wciąż mieszkali w kurnej chacie na południu, Michał przejąłby się tym zesłanym przez opatrność burzliwym ostrzeżeniem, zadrzał nad losem syna, ale nie tutaj. Był dumny, że oboje z żoną mogliby posłużyć za przykład skuteczności, z jaką Państwo Ludowe podjęło walkę z zabobonem. Wiedział, że burza to tylko zjawisko atmosferyczne, a nie znaki dawane przez kogoś, kto kieruje naszym losem. I teraz, patrząc na goniącego gęsi na podwórku sześciolatniego Gienia, który zdrowy rósł na pociechę rodzicom, a nawet starszemu rodzeństwu, czuł, że właściwie uczynił, ignorując nieprzychylne znaki towarzyszące narodzinom syna. Od kilku lat wszystko układało się znakomicie. Po wybuchu namiętności tego dnia, kiedy uratował Helenę, przeżyli z Lucyną drugi miodowy miesiąc, przez kolejne tygodnie wyganając, kiedy tylko się dało, dzieci z chałupy i ciesząc się własnymi ciałami, na co, jak się okazało, oboje czekali od śmierci córki. Potem pojawił się Gienio, którego przyjście na świat na szczęście nie spowodowało w Lucynie wystygnięcia dopiero co rozpalonego żaru. Nie płonął może on już tak silnie jak jeszcze kilka miesięcy wcześniej, jednak na tyle intensywnie, że oboje małżonkowie nie mieli powodów do narzekania na swoje życie intymne. Stosunki we wsi również układały się dla Michała jakby lepiej. Po dawnemu przyjaźnił się z Czyżykiem, który zdążył założyć rodzinę i dzieciaki rodziły mu się rok po roku, co nie przeszkadzało im spotykać się jak przedtem, a robiliby to nawet częściej, gdyby nie to, że Maciek coraz chętniej zaglądał do kieliszka, co Michałowi niespecjalnie odpowiadało. Owszem, Pudło lubił się napić, jak każdy, ale Czyżyk jego zdaniem solidnie przesadzał, przepijał do ostatka te grosze, które na koniec

miesiąca dostawali w kasie PGR-u – nie on jeden zresztą – przez pozostałe dni miesiąca polując na okazję do sprzedania kmiotom czegoś, co wyniósł z gospodarstwa, a potem wlewając w gardło to, co kupił za otrzymane od gospodarzy pieniądze. Ta jego Maryśka nie była o wiele lepsza, tyle że jej okazji brakowało, a i tak Michał widział ją kilka razy zataczającą się na szosie mimo niesionego przed sobą pokaźnego brzucha. Z Bogdanem również po staremu utrzymywał serdeczne stosunki, choć Żytko, po tym jak urodzili mu się dwaj synowie, więcej czasu poświęcał rodzinie. Teraz Marta chodziła po raz trzeci z brzuchem i odgrażała się, że nóg nie rozchyli, jeśli to nie miałyby być dziewczynka. Ani z Bogdanem, ani z Czyżykiem Michał nigdy nie wrócił, w żadnej rozmowie, choćby jednym słowem do sprawy z radzieckim żołnierzem, nad tym wydarzeniem zapanowała we wsi zмова milczenia, której przestrzegał nawet Gruszczyński. Zresztą z Poznaniakiem stosunki jakby uległy nieznaczej poprawie. Oczywiście nie stały się nagle przyjazne, nic z tych rzeczy, Piotr po dawnemu prychał za każdym razem, gdy widział Michała lub kogokolwiek z jego rodziny, wciąż nazywał ich zasranymi Ukraińcami, dla których we Wrześniowie, a może i w całej Polsce nie powinno być miejsca, jego chłopaki dalej wrogo odnosili się do Adaśka, jednak odkąd Gruszczyńskiemu urodziły się wnuki, on sam jak gdyby złagodniał. Michał miał wrażenie, że teraz wszystkie te przejawy antypatii, jakie go spotykały, były czynione przez Poznaniaka raczej z przyzwyczajenia, ot tak, dla sportu, niż z autentycznej nienawiści. Kto wie, myślał, może jeszcze kiedyś podamy sobie rękę. Na razie sam nie był na to gotowy, nie mówiąc już o Gruszczyńskim. Pudło od dawna nie zamierzał nadstawić drugiego policzka. Szybciej dałby Piotrowi w pysk, niż uściśnął wyciągniętą w swoją stronę dłoń.

Nie ziściła się przepowiednia Michała dotycząca przyszłości Adaśka. Chłopak miał wprawdzie rękę do zwierząt, miał też dla

nich serce, chętnie podążyłby zawodową drogą, jaką w żartach wróżył mu ojciec, jednak do tego potrzebne były studia, a Adaśkowi nauka nie przychodziła łatwo. Do szkolnej ławki dawał się zapędzić w ostateczności, siedział w niej nieobecny duchem, wpatrując się w okno, na pytania nigdy nie potrafił odpowiedzieć, oceny zbierał w najlepszym razie dostateczne, z klasy do klasy przepychał się z największym trudem. O dalszym kształceniu nie było mowy, czego żałował nawet pan Waclawski, mający pod opieką trzy sąsiadujące ze sobą PGR-y weterynarz, który w żartach nazywał Adaśka swoim najlepszym pomocnikiem, bo nie było jego wizyty we Wrześniowie, aby mały Pudło nie szedł za nim krok w krok, nie obserwował każdego ruchu, nie przytrzymywał leczonych zwierząt, nie podawał aplikowanych leków, nie pomagał w robieniu zastrzyków. Chłopak nosił za Waclawskim jego lekarską torbę, wiedział jednak, że własnej nigdy nosić nie będzie.

– I dobrze – powiedział mu kiedyś w złości ojciec – szkołę żeś skończył, pójdiesz ty do roboty. Jak krowie gówna powyrzucasz z obory, to wywietrzejo ci ze łba te wszystkie fiu-bździu o zwierzętach.

Jednak Adaśko miał na siebie inny, konkretny pomysł. Któregoś dnia z jednej ze swoich wypraw do lasu, których wciąż nie poniechał, przyniósł do domu rannego w skrzydło jastrzębia. Trzymał ptaka w ciemnej komórce na podwórzu. Leczył. Łapał żaby, w całej chałupie porozstawiał pułapki na myszy, kijem tłukł żmije – potem rzucał te trofea do pożarcia jastrzębiowi. A kiedy Bolek – bo tak nazwał Adaśko ptaka – wyzdrowiał, rozpoczął się trening. Chłopak uczył zwierzę przylatywać na sygnał i siadać na ręku, polować na zabłąkane gołębie, łowić gryzonia, a zdobycz przynosić swojemu panu. Zabiegi te z zaciekawieniem obserwowała cała rodzina, sąsiedzi.

– Żeby mi tylko ptaszydło nie drapnęło dzieciaka – przestrzegał Michał – bo ubiję.

– Nie bój się, ojciec – uspokajał ze śmiechem Adaśko.

Informacja o tresowanym ptaku dotarła też do Józia, który próbował Bolka uśmiercić, wrzucając przez szparę w deskach do komórki garść trutki na szczury wykradzionej z piwnicy pałacu. Zbliżyć się do groźnego drapieżnika jednak obawiał. Bolek nieudolny zamach na swoje życie przetrwał, gardząc rozrzuconymi po klepisku okruchami.

Wreszcie podrażniony czymś Michał wezwał do siebie syna i zapytał:

– Czego ty, Adaśko, tracisz czas z tym ptaszysłem? Wypuściłbyś go do lasu i zajął się czym pożytecznym!

I wtedy chłopak zdradził ojcu, co sobie umyślił. Jakiś czas temu w jednej z gazet, nie pamiętał której, chyba w „Żołnierzu Wolności”, przeczytał artykuł o tym, jak niebezpieczne dla wojskowych samolotów odrzutowych są stada małych ptaków krążące nad lotniskami, i że w zasadzie jedynym sposobem na radzenie sobie z tym problemem jest hodowla w pobliżu pasów startowych tresowanych sokołów. Adaśko marzył o tym, aby zostać ich trenerem.

Michał wybuchnął śmiechem i pogłodził syna po głowie.

– Ech, ty mój marzyciel – powiedział, krztusząc się.

– No co? – Chłopak wyrwał się ojcu.

– Większej bzdury to ja w życiu nie słyszał. Tresowane sokoły na lotnisku... He, he, he. Wojskowym...

– A zobaczy ojciec, niech tylko wezmą mnie do wojska, a ja już wkręcę się, gdzie trzeba. Dopiero ojciec się zdziwią.

I teraz, patrząc na dokazującego pomiędzy gęsiami Gienia, Michał trzymał w ręku adresowaną do Adaśka kopertę z nadrukiem Wojskowej Komisji Uzupełnień i uderzał się nią o udo.

Brud zauważało się dopiero z perspektywy. Po dłuższej nieobecności. Nie to, żeby akurat akademik lśnił czystością. Wręcz przeciwnie, gnieździło się w nim robactwo, pod prysznicami w nigdy nieczyszczonych fugach kafli mnożyły się grzyby, które tylko wyczekiwały okazji wskoczenia pomiędzy palce u stóp wszystkich, którzy zapomnieli o klapkach, kibli nie sprzątało, korytarze zamiatano byle jak, szyby w oknach myto, rozmazując kurz, raz do roku, pościel prano od święta. Jednak brud brudowi nierówny. Tamten był jakiś inny, miejski. Tymczasem ten, który Irena zaczęła spostrzegać podczas swoich wakacyjnych odwiedzin w rodzinnym domu we Wrześniowie, miał w sobie coś z patyny, która warstwą po warstwie pokrywała z wolna ludzi i domy. Okopcone ściany, zakurzone meble i zasłony, dywany i chodniczki, których wzór nikał pod kożuchem z zaschniętego błota, sprzęty, które zatraciły swoje barwy, wyblakłe ciuchy i ten unoszący się z każdego kąta, przyprawiający o mdłości smród. Tu wszystko, nawet cieknąca rachitycznie z kranu woda, było nieświeże. Irena miała wrażenie, że choćby wzięła do ręki ścięgę, użyła najsilniejszych detergentów, to i tak spod oskrobanej warstwy brudu wyłoniłaby się kolejna, spod niej następna i tak w nieskończoność. Dopiero kiedy zamieszkała w Poznaniu, zaczęła dostrzegać, że PGR i przynależna do niego wioska, które w dzieciństwie wydawały jej się zamożną, nowoczesną krainą, tak naprawdę cuchnęły biedą i zaniedbaniem. W mentalności mieszkańców powoli, ale nieubłagane zacierało się pojęcie własności prywatnej, a skoro wszystko, nawet domy i to, co się w nich znajdowało, należało do każdego z osobna i wszystkich wspólnie, czyli tak naprawdę do nikogo, nie było sensu troszczyć się o cokolwiek. Budynki, zarówno gospodarcze, jak i wsiowe chałupy niszczały. Budowano nowe, jak postawione całkiem niedawno cielećniki, które również pozbawione właściwej opieki popadały w ruinę w szybkim tempie. A jednak PGR trwał i nawet się rozwijał pod

kroplówką dotacji płynących z budżetu państwa, bo chociaż widziany z zewnątrz przedstawiał raczej przykre wrażenie, to dla tych, którzy w nim tkwili – tak jak Irena, dokąd nie wyjechała do miasta – wydawał się rajem, gdzie niczym nie trzeba było się przejmować, o każdą potrzebę życia zadbało gospodarstwo, a ty w zamian musiałeś oddać mu jedynie pracę i to też niekoniecznie wydajną. Ludziom mieszkającym we Wrześniowie po prostu się tu podobało i nie widzieli żadnego powodu do zmian.

Mimo że Irena z roku na rok coraz wyraźniej dostrzegała wszystkie te mankamenty, to jednak zawsze, każdego lata chętnie przyjeżdżała na całe wakacje do rodziców. Zresztą gdzie miałyby się podziać, akademik po sesji zamykano, na wyjazd dokądkolwiek brakowało jej pieniędzy, włóczyć się po kraju autostopem, śpiąc gdzie popadnie, jak robiła część z jej kolegów z roku, nie miała ochoty, jedyną rozsądną decyzją było spędzanie czasu pomiędzy kolejnymi latami studiów w domu rodzinnym.

Adaptacja była zazwyczaj krótka, już po kilku dniach Irenie przestawał przeszkadzać swojski brud, znajomy smrodek wiszący w powietrzu, surowe wiejskie zwyczaje. Wypoczywała, korzystała z lasu i jeziora, pomagała matce w domu, odwiedzała Siekielskiego, dopóki żył, a przede wszystkim bawiła się z dziećmi braci. Spędzała z nimi całe dni, wymyślała gry, opowiadała o miejskim życiu, zabierała na spacer, chlapała się wspólnie w wodzie. Cała trójka uwielbiała ciocię z miasta, a ona najbardziej ukochała najmłodszego Lesia. Jadwinę hołubił dziadek, Wojtuś był oczkiem w głowie matki, a największy rozrabiaka Lesio, ciągle przez wszystkich ganiony i karcony, wypatrywał całymi miesiącami przyjazdu cioci Ireny, bo kiedy tylko ona się pojawiała, był najważniejszy, dzieciak czuł podświadomie, że jest faworytem ukochanej krewnej. Irena co roku spędzała we Wrześniowie trzy szczęśliwe miesiące, po których wracała do Poznania z większą ochotą, niż z niego wyjeżdżała, naładowana energią i chęcią do kontynuowania

nauki.

Godziny spędzone wspólnie ze starym Siekielskim nad atlasem zaowocowały: Irena, po zdanej na piątki maturze, wybrała studia na wydziale geografii. Ale niewiele brakowało, a z uczelni nic by nie wyszło. Wprawdzie za naukę nie trzeba było płacić, akademik – mającej mnóstwo punktów za pochodzenie – Irenie również należał się za darmo, jednak w mieście trzeba było się jakoś utrzymać, coś jeść, w coś się ubrać, kupić zeszyty, środki higieny, opłacić przejazdy; na to wszystko dziewczyna nie miała pieniędzy, a na pomoc rodziców, którzy jak to wszyscy w PGR-ze, groszem nie śmierzeli, nie mogła liczyć. Z początku obiecał pomóc stryjek Miras mieszkający w Poznaniu, ale później wycofał się, podburzony przez swoją żonę heterę, która wstydziała się wiejskiej rodziny męża. I wtedy jeszcze raz z pomocą przyszedł nieoceniony Siekielski. Stary profesor wybrał się na rozmowę do dyrektora Wilusza. Długo z nim dyskutował, namawiał, ale dyrektor wciąż pozostawał niezdecydowany, wreszcie przekonał go argument ambicjonalny: Irena miała szansę zostać pierwszą studentką z Wrześniowa, ile PGR-ów mogło pochwalić się taką wychowanką? A dziewczyna nie zamierzała się odżegnywać od swoich korzeni. Wilusz kiwnął głową, coś pokombinował i – Irena nie miała pojęcia, jak to załatwiono formalnie – zakład ufundował Gruszczyńskiej skromniutkie stypendium, które starczało akurat na podstawowe potrzeby. Irena mogła rozpocząć wymarzone studia, jako specjalizację wybrała kartografię.

Te wakacje, na rok przed magisterką, różniły się od pozostałych. Irena musiała odbyć we wrześniu miesięczny staż w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, w dziale map, lipiec spędziła, pracując jako kelnerka w kawiarni Marago, w zastępstwie koleżanki zmuszonej wyjechać na wieś do chorej matki, i zajmując na ten czas jej pokój odnajmowany od pary staruszków mieszkających na Edwardowie. Do Wrześniowa

przyjechała w sierpniu. Z Pawłem.

Przyszedł najwyższy czas przedstawić rodzicom narzeczonego. Znali się od roku, po jej magisterce chcieli wziąć ślub. Planowali wspólną przyszłość. Paweł starał się o mieszkanie służbowe z puli zakładu naukowego, w którym od października pracował. Myśleli o dzieciach, ale to dopiero kiedy już się urzędzą, wykonają kilka kroków na drodze kariery naukowej. Czy obawiała się, jak rodzina przyjmie narzeczonego? Nie, ani trochę. Mimo że Paweł był mężczyzną z zupełnie innej bajki, w okularach, elegancko ubranym, z wypielęgnowanymi dłońmi inteligenta, posługującym się wyszukaną polszczyzną, Irena nie miała wątpliwości, że rodzina zaakceptuje jej wybór. Bardziej niepokoiło ją to, jak on zareaguje na to, co zobaczy we Wrześniowie. Choć starała się go przygotować, nie wiedziała, jak zniesie brud, w który go zabierała, proste stosunki panujące w domu, surowość wiejskiego życia, brak form i manier.

Obawy okazały się płonne. Paweł, choć traktowany przez mężczyzn z delikatną pobłażliwością, czuł się we Wrześniowie znakomicie, a i rodzina, tak jak przypuszczała Irena, przyjęła młodego naukowca z otwartymi rękoma. Z początku trzymała pewien skrępowany dystans, ale Paweł chętnie wszedł w rolę miejskiego fajtlapy, co to nie ma pojęcia o wiejskim życiu, a z naturą spotykał się dotychczas jedynie w albumach fotograficznych; to z kolei ośmieliło Gruszczyńskich, pomiędzy nimi a przyszłym nowym członkiem rodziny tworzyła się ostrożna zażyłość, wzmocniona niemi rodzącej się sympatii.

Irenę bawiło obserwowanie, jak w pierwszych dniach ich pobytu cała rodzina siliła się na elegancję w zachowaniu. Siadano do stołu z przesadną galanterią, łokcie trzymano przy sobie, kawę matka podawała w szklankach na spodeczkach, nikt nie smarknął w dwa palce, nikomu nie zdarzyło się beknać, witano się grzecznie i ze skinieniem głową, z dnia na dzień jednak ta narzucona, sztywna etykieta – a raczej to, co

Gruszczyńscy za nią uważali – coraz mniej krępowała mieszkańców chałupy. Paweł okazał się równym chłopem, przy którym nie musiano się krygować. Z jednego jednak nie zrezygnowano. Pierwszego wieczora, kiedy po wypiciu przywiezionej przez narzeczonych butelki winiaku klubowego szykowano się do snu, matka posłała przyszłemu zięciowi na skromnym tapczanie w pokoju na dole, Irenę natomiast wysłała do pomieszczenia zajmowanego przez Józia z rodziną. Jadwinia poszła spać do łóżka rodziców, a pozostawione przez nią wolne miejsce obok Lesia zajęła Irena. Niby niczego innego się nie spodziewała, ale i tak poczuła zawód. W Poznaniu Paweł mieszkał z rodzicami i bratem, ciągle ktoś był w domu, akademik nie dawał nawet krzty intymności, przez długi czas chwile dla siebie musieli kraść w parkach, kinie, na ciemnej klatce schodowej, ograniczali się jedynie do pocałunków, ale od trzech miesięcy byli już ze sobą jak mąż z żoną, Irena coraz częściej, kiedy tylko Jarek, brat jej narzeczonego, wyjeżdżał, nocowała w mieszkaniu rodziców Pawła, a oni nie mieli wyjścia – w końcu syn był dorosły – i niechętnie wyrażali na to zgodę. Teraz zanosilo się na miesięczny celibat. Raz jeden Irena pod pozorem udania się do toalety wymknęła się z pokoju i wślizgnęła pod koc Pawła, jednak zbliżenie było zupełnie nieudane, oboje wciąż oglądali się na drzwi, w obawie, że ktoś może wejść i ich nakryć, Irena szeptem przestrzegała ukochanego przed pozostawieniem krępujących plam na pościeli. W efekcie nic z tego nie wyszło. Cóż mogło im grozić? Pewnie nic szczególnego. Ale przyjętych we wsi zasad należało przestrzegać: mimo że po stodołach, lasach, łąkach, nadjeziornych krzakach młodzi wrześniowianie gzili się, aż echo niosło, i co pewien czas trzeba było spieszyć się z kolejnym weselem, to jednak istniały trzy ograniczenia, do których każdy stosować się musiał: nie można było dać się złapać, robić tego pod boki rodziców i w chałupach. Irenie i Pawłowi groziło, że złamią wszystkie trzy zasady jednocześnie.

Był jednak ktoś, kogo nie ucieszył przyjazd Pawła do Wrześniowa. Mały Lesio nie potrafił ukryć zazdrości. Pięcioletni szkrab usiłował rywalizować z Pawłem o względy Ireny: przynosił jej nazrywane na łące kwiatki, obrażał się i znikał, kiedy, w jego mniemaniu, poświęcała mu za mało uwagi, nie odpowiadał na zadawane przez konkurenta pytania, traktował go jak powietrze, spał wtulony w ciotkę, a gdy spędzała czas z narzeczonym, biegł do wsi i wyładowywał złość, strzelając z procy do napotkanych ptaków; niestety nierzadko trafiał, a wówczas brał upolowane skrzydlate truchło i systematycznie pozbawiał je piór.

Irena, z początku rozweselona tymi oznakami chłopięcej zazdrości, uznała po pewnym czasie, że powinna wziąć w karby owe dziecięce uczucia. Postanowiła spędzać codziennie z bratankiem jedną popołudniową godzinę, poświęcać ją tylko jemu, pozostały czas dzieląc pomiędzy Pawła i resztę rodziny. Dlatego teraz, kiedy podszedł do niej i objął rękoma za udo, patrząc w oczy i szepcząc z prośbą w głosie, ciocia... pogładziła go po twardych, ostrzyżonych na jeża włosach i odpowiedziała:

– Dobrze, mój ty rycerzu, wezmę kostium, przebiorę się i pójdziemy nad jezioro.

– Hura! – zawołał dzieciak, podskakując na obu nogach.

Irena weszła do chałupy, a on wziął kamyk do ręki, rozejrzał się ostrożnie dookoła, a widząc, że nikt go nie obserwuje, cisnął nim w uwiązane na łańcuchu Łapsa. Psina zaskowytała i szybko schowała się do budy.

Szli szosą, trzymając się za ręce, w stronę pegeerowskich zabudowań. Nagle za plecami usłyszeli warkot silnika. Irena obróciła się. Od strony Trójczyna nadciągał PKS z Miasteczka. Spojrzała na zegarek. Ponad dwadzieścia minut spóźnienia. Autobus przejeżdżał przez wieś dwa razy dziennie; z samego rana, zbierając wcześniej pasażerów z okolicznych osad, kierował się na Trójczyn, a dalej Miasteczko; po południu

podążał w przeciwnym kierunku, rozwożąc tych, którzy zdążyli pozalać swoje sprawy w mieście powiatowym. Mimo że autokar jeździł tak rzadko – a może właśnie dlatego – nigdy nie pojawiał się we Wrześniowie o czasie, tak jakby wywieszony na słupie oznaczającym przystanek rozkład jazdy, zmyty dawno temu przez deszcze, nigdy go nie obowiązywał. Zresztą co to miało za znaczenie, skoro tylko nieliczni posiadali we wsi zegarek. Kto wybierał się do Miasteczka, musiał skoro świt ustawić się pod słupem i cierpliwie czekać. I lepiej było stanąć wcześniej, bo jeśli kierowca nie widział nikogo na przystanku, a żaden z pasażerów znajdujących się wewnątrz pojazdu nie życzył sobie akurat wysiąść we Wrześniowie, mijał wieś, nie zdejmując nogi z gazu. Tym razem, chociaż pod słupem nikt nie stał, do uszu Ireny doleciał pisk hamulców. Autobus zatrzymał się w momencie, w którym zmierzająca nad jezioro para znalazła się na wysokości przystanku, po przeciwnej stronie ulicy. Przystanęli i oni. Trzasnęły drzwi, zgrzytnął oporny bieg i w tumanach siniego dymu PKS potoczył się w dalszą drogę. Na przystanku stał mężczyzna w stalowym, żołnierskim mundurze. Spod daszka czapki patrzyły na Irenę ciemne, przenikliwe oczy. Poczowała fale gorąca uderzające jej do twarzy, jedna za drugą. Adaśko! W tym mundurze! To już nie był ten goniony i bity przez wszystkich dzieciak. Teraz patrzył hardo przed siebie, szeroki w barach, z żylastymi dłońmi, ogorzałą twarzą, mundur opinał zgrabną męską sylwetkę. Fala gorąca zaczęła spływać w dół, unosząc jej twardniejące sutki i łącząc się z dreszczem biegnącym wzdłuż kręgosłupa, zaatakowała podbrzusze. Dłonie zwilgotniały. Co się ze mną dzieje, do cholery, złościła się, nie mogąc powstrzymać tych dziwacznych objawów Bóg wie czego. Wpatrywali się w siebie przedzieleni szosą. Wreszcie Irena ścisnęła Lesia mocno za rękę. Dzieciak syknął.

– Przepraszam – wychrypiała przez zaschnięte gardło i odwróciwszy się, ruszyła szybko, ciągnąc Lesia za sobą

w kierunku bramy dawnego folwarku. Walczyła z chęcią odwrócenia się, spojrzenia na niego jeszcze jeden raz.

– Ciociu, a kto to był? – spytał truchtający obok niej Lesio. Nie pamiętał, a może nie poznał Adaśka w tym mundurze.

Słowa same wyskoczyły jej z ust, szybciej, niż zdołała się nad nimi zastanowić:

– A taki jeden, Ukrainiec! Skurwiel!

Lesio uśmiechnął się triumfalnie pod nosem.

*

Okolice Wrześniowa były rajem dla myśliwych. W lasach ciągnących się kilometrami w każdym kierunku gnieździła się zwierzyna, która pozbawiona naturalnych wrogów mnożyła się na potęgę. Jelenie, daniiele, sarny, dziki, borsuki, jenoty, zające, lisy, dziesiątki gatunków ptactwa – od dzikich gęsi, przez bażanty, po głuszce i cietrzewie, a nawet unoszące się majestatycznie na niebie bieliki – zamieszkiwały lasy, łąki i brzegi licznych jezior, ciesząc się względnym bezpieczeństwem i wypuszczając sezon po sezonie kolejne pokolenia młodych, które natura musiała wyżywić. Leśnicy byli przerażeni. Ingerencja człowieka w ekosystem posunęła się tak głęboko, że las nie potrafił obronić się sam przed sobą. Tymczasem działające w okolicy skromne koło łowieckie nie było w stanie zapewnić swoimi szczupłymi siłami odpowiedniego poziomu odstrzału sanitarnego, a naturalny, wydawałoby się, sprzymierzeniec w walce z rozrastającymi się stadami, PGR, nie interesował się sprawami lasu.

Na pozór tak liczne pogłowie dziko żyjącej zwierzyny mogłoby stanowić utrapienie dla gospodarstwa, realne zagrożenie dla upraw. Mogłoby i powinno, ale nie stanowiło, ponieważ w ziemię sypano takie ilości nawozu, a zasiewy zraszano takimi –

pozbawionymi ekonomicznego i ekologicznego sensu – dawkami herbicydów i pestycydów, że zwierzęta, co wiosnę wychodzące na pola, szybko z nich zawracały i wolały poszukiwać pożywienia głęboko w lesie, niż korzystać z łatwo dostępnych na pierwszy rzut oka, za to oferujących niezjadliwe potrawy pegeerowskich „stołówek”. Kłusownictwo, na które tym razem nadleśnictwo przymknęłoby oko, zanikło, ponieważ nikt z pracowników gospodarstwa korzystających z wyżywienia na terenie zakładu nie miał potrzeby zapewniania sobie dodatkowych porcji ciężkostrawnego, pochodzącego z dziczyzny białka zwierzęcego. Owszem, mieszkańcy Wrześniowa zaczęli się od czasu do czasu na zakradającego się do kurników lisa, za pomocą kijów pozbawiając go życia, a wywieszając truchło na skraju wsi, przestrzegali, na darmo, kolejnych rudych śmiałków przed zapuszczaniem się w ludzkie okolice, dzieciaki dla zabawy urządziły obławy na zające, łapały ptaki, ale takie marginalne przypadki nie były w stanie przywrócić zachwianej w przyrodzie równowagi.

I kiedy wydawało się, że dobijający do kresu wydajności, z coraz większym trudem podnoszący się po kolejnych dewastacjach czynionych przez maszerujące stada jeleni, zryty przez dziki las zostanie pożarty od wewnątrz, zupełnie niespodziewanie nadszedł z Warszawy ratunek. Pomogła, jak często bywa w takich sytuacjach, ekonomia. Zarządzając cierpiącą na chroniczny brak dewiz peerelowską gospodarką władze partyjne zorientowały się, że hasająca po polskich lasach zwierzyna, to poruszające się na czterech łapach marki, dolary, franki, guldeny, liry, funty, korony i szylingi. Na takie marnotrawienie źródła twardej waluty nie można było sobie pozwolić. Ograniczające się wcześniej do wąskiego areału łowieckiego polowania dla dewizowców objęły cały kraj, a ich organizatorem uczyniono Lasy Państwowe. W polskie knieje ruszyli przystrojeni w kapelusze z piórkiem, mówiący obcymi

językami panowie z wypchanymi portfelami i żądzą krwi w oku, płacący i wymagający. Odstrzał sanitarny? Bez żartów, cóż to za splendor w ustrzeleniu najsłabszego osobnika w stadzie! Prażono bez litości do najdorodniejszych, których okazałe trofea zaczęły zapełniać pokoje myśliwskie na zachód od Łaby.

Jednak na najeździe dewizowych myśliwych się nie skończyło. Bo skoro pasja łowiecka z taką siłą oplątywała zamożnych mieszkańców Zachodu, że bez mrugnięcia okiem płacili ciężkie dewizy, aby tylko móc oddawać się jej w polskich lasach, skoro przez wieki tej namiętności z zapalem ulegała arystokracja, skoro była to ulubiona rozrywka przedwojennych elit, dlaczego nie miałyby oddać się jej również komunistyczne władze? Szafy partyjnych bonzów, od szczebla powiatu przez wojewódzkie na centralnym kończąc, wypełniły się zielonymi strojami myśliwskimi, lornetkami, futerałami z bronią, pudełkami z pociskami, kordelasami i innymi niezliczonymi akcesoriami łowieckimi.

A władza – szczególnie ta pozbawiona kontroli – jeśli już ulegnie jakiejś pasji, ma to do siebie, że lubi sama ustalać reguły albo – co jeszcze przyjemniejsze – działać, nie oglądając się na jakiegokolwiek ograniczenia. Tak właśnie stało się z polowaniami. Nie liczone się z niczym, a jedyną zasadą, jakiej hołdowano, było jak najwięcej i jak najłatwiej. Puszczano nagonkę, a potem strzelano do wszystkiego, co się ruszało, nie zawracając sobie głowy takimi drobiazgami jak okresy ochronne, wiek zwierząt, zasobność łowiska, tropienie ranionej zwierzyny (po co, skoro tuż obok biegł kolejny wystraszony okaz do odstrzelenia), odpowiedni dobór broni i amunicji – liczył się rozłożony na łące przy ognisku pokot, który miał nie mieścić się w kadrze podczas pstrykania tradycyjnych pamiątkowych zdjęć, zapełniających następnie ściany partyjnych gabinetów.

Bardzo szybko, zamiast nadmiaru zwierzyny, z którym do niedawna jeszcze leśnicy nie bardzo potrafili sobie poradzić,

w lasach po corocznym holokauście, jaki partyjni dygnitarze urządzali zamieszkującym podwrześniowieckie knieje braciom mniejszym, mateczniki zaczęły świecić pustkami. Doszło do tego, że chcący zachować stan pogłowia choć na minimalnym poziomie pracownicy leśnictwa, dowiadując się o planowanym na ich terenie partyjnym polowaniu, przeganiali część zwierząt – tych najmniej licznych gatunków – do sąsiednich okręgów. Na niewiele się to zdało, aktyw wciąż z ochotą pociągał za cyngiel.

Dyrektor Wilusz od ponad tygodnia, odkąd dostał informację o zbliżającym się polowaniu, które planowano urządzić w otaczających jego PGR lasach, chodził podekscytowany. Jak zawsze stroną łowiecką przedsięwzięcia miały zająć się Lasy Państwowe, dyrektorowi gospodarstwa i jego pracownikom pozostawiając sprawy aprowizacji dostojnych gości, organizacji ogniska, poczęstunku, alkoholu (muzyka i ewentualne towarzystwo pań leżały w gestii władz powiatowych z Miasteczka). Do zadań dyrektora należało również dostarczenie ludzi do nagonki. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, takie polowania odbywały się w okolicy co najmniej raz w roku, gdyby nie to, że tym razem hojność wrześniowieckich lasów mieli sprawdzić przedstawiciele władz centralnych z samej Warszawy. I to nie towarzysze z jakiegoś drugiego szeregu, a sama wierchuszka, sam Komitet Centralny. Tu nie było miejsca na improwizację, jakieś wpadki, niedociągnięcia, wszystko musiało być zorganizowane, jak mówił dyrektor, na tip-top. Warszawscy towarzysze mieli wyjechać z Wrześniowa zachwyceni – pięknem okolicy, przygotowanymi specjałami, gościnnością i gospodarnością, ładem i porządkiem panującymi w gospodarstwie, a przede wszystkim oczarowani dyrektorem Wiluszem. Szef gospodarstwa nie liczył na to, że wizyta dostojnych gości oczyści ścieżkę jego kariery, będzie trampoliną awansu, do którego niespecjalnie aspirował, i przyniesie bezpośrednie korzyści. Na to czuł się i za stary, i za mały, zbyt

odległy od spraw i problemów, jakimi na co dzień zajmowały się takie ważne osobistości. Dyrektor wiedział natomiast co innego: gdyby udało mu się zaskarbić sobie przychylność warszawskich person, gdyby przeżyły one podczas polowania we Wrześniowie niezapomniane chwile i – Wilusz aż bał się wybiegać marzeniami tak daleko – zechciały wracać tutaj w przyszłości, wpisać na stałe łowy u niego do swoich wypełnionych po marginesy notesów, rola Wilusza w terenie urosłaby niepomniernie, byłby nie do ruszenia, a na tym zależało mu najbardziej: nie na łowieniu – nomen omen – wyższych stanowisk i splendorów, ale na pozostaniu tu, gdzie był, jednak na swoich warunkach, bez ciągłego strachu przed potknięciem, na które tylko czyhali chętni na zajęcie jego miejsca – chociażby ta gnida, nowy zastępca Piwocki – bez lęku przed odwołaniem.

Udane, wyjątkowe polowanie mogło być kluczem do drzwi z tabliczką „święty spokój”, na których otwarciu Wiluszowi zależało najbardziej, dlatego już od tygodnia cały PGR nastawiony był na jedno: jak najlepsze przygotowanie się do tego wiekopomnego wydarzenia. Na drugi plan zeszły pilne prace w polu, których akurat na jesieni nie brakowało, nieważne stały się informacje napływające z obory, owczarni czy stajni, transport zalegającego w spichlerzach zboża do silosów w Miasteczku przestał być priorytetem. Teraz wszyscy, ludzie i sprzęt, podporządkowani zostali wspólnemu celowi, jakim było stworzenie warszawskiemu aktywowi w ten jeden, szczególny dzień – i, jeśli będzie taka potrzeba, następującą po nim noc – raję na ziemi, który z rozrzewnieniem będzie wspominać po powrocie do stolicy, i za którego ponownym odwiedzeniem będzie tęsknił w krótkich chwilach wytchnienia w żmudnej pracy dla dobra kraju. Do masarni wysłano transport wyselekcjonowanych osobiście przez Wilusza dorodnych byków i świń, mających powrócić do gospodarstwa w postaci świeżutkich mięs i wędlin. Wybrano prosięta i barany, których

przeznaczeniem stało się w TEN dzień zostać nadzianymi na rozstawione na łące różna. Z gorzelni do poznańskiego Polmosu odjechała w celu rafinacji beczka wysokogatunkowego spirytusu. Dyrektor osobiście wystarał się w województwie – gdzie z pełnym zrozumieniem potraktowano prośbę Wilusza, w końcu tam również wszystkim zależało na tym, żeby łowy z udziałem przedstawicieli Komitetu Wojewódzkiego z Koszalina okazały się udane – o przydział baltonowskich bonów, za które w samym Szczecinie dokonano zakupu luksusowych alkoholi, jakie mieszkańcy Wrześniowa, a nawet sam szef gospodarstwa widzieli wcześniej jedynie lejące się do szklanek z grubego szkła w amerykańskich filmach. Przekuto najspokojniejsze konie, które zaprzężone w dwie znajdujące się na stanie PGR-u i teraz szybko odświeżone bryczki miały oczekiwać na spełnienie zachcianek gości, gdyby naszła ich ochota na przejażdżkę tym przestarzałym wprawdzie, ale znakomicie sprawdzającym się na polowaniach i podczas imprez środkiem transportu. Z Miasteczka z najlepszej restauracji ściągnięto szefa kuchni, który od dwóch dni szkolił pegeerowski personel kuchenny, by z jego pomocą wyczarować wykwintne dania odpowiednie dla wysmakowanych warszawskich podniebień. W pałacu wyremontowano naprędce cztery pokoje i wyposażono je w eleganckie meble wypożyczone z muzeum regionalnego w Miasteczku, na wypadek gdyby ktoś z szanownych imprezowiczów zaniemógł lub wyraził życzenie wypoczynku w starej junkierskiej rezydencji. Na koniec na polecenie Wilusza ścięto cztery okazałe brzozy, z których przygotowano pokaźne szczapy na ognisko. Wszystko zostało zapięte na przysłowiowy ostatni guzik.

Jednego tylko dyrektor Wilusz nie mógł zagwarantować – odpowiedniej pogody, a ta na dzień przed przyjazdem dostojnych gości gwałtownie się załamała: słońce, od kilkunastu dni rozświetlające okolicę, przysłoniły ciężkie chmury, z których

lunął deszcz, na szczęście pod wieczór opady zelżały i kiedy na kilka godzin przed świtem na podjazd pod pałacem zaczęły zajeżdżać czarne wołgi z szybami przysłoniętymi zasłonkami, a z nich, stukając butami z cholewami, wysypali się panowie, których twarze na co dzień można było oglądać w Dzienniku Telewizyjnym, z nieba siąpił już jedynie drobnymi kropelkami gęsty kapuśniaczek. Powietrze wypełniła przenikliwa wilgoć. Zdenerwowanego, biegającego w ukłonach dyrektora zapewniano, klepiąc jowialnie po plecach, że to najlepsza pogoda na polowanie, ale on wiedział swoje, przecież odpowiadał nie za to, czy zwierzyna wystawi się na strzał, tylko za bankiet pod gołym niebem, jaki miał zwieńczyć łowy, a temu siąpiący deszcz zdecydowanie nie pomagał. Na wszelki wypadek w krzakach dookoła łąki, gdzie miano imprezować, ukryto dyskretnie ciągniki z przyczepami, a w pałacu przygotowano nigdy nieużywaną salę balową, rozstawiając stoły i rozpalając ogień – po przeczyszczeniu z sadzy szybu – w gigantycznym dwumetrowym kominku. Gdyby goście wyrazili takie życzenie, bankiet można było przenieść w kilkadziesiąt minut pod dach, do ciepłych i suchych pomieszczeń pałacowych.

Na placu przed oborą wybrani do nagonki pracownicy PGR-u ładowali się na cztery podczepione do dwóch ciągników przyczepy, którymi mieli zostać wywiezieni do lasu na miejsce zbiórki, skąd według planu rozsypani w tyralierę, idąc na azymut, uzbrojeni w kije, gwizdki i kołatki utworzyliby linię frontu, przez którą nawet mysz nie miała prawa się prześlizgnąć. Stojący na górze Franek Gruszczyński wyciągnął rękę i silnym szarpnięciem ramienia pomógł Renacie znaleźć się na platformie. Młoda kobieta na sekundę przyłgnęła do niego, poczuł wpijające się w żebra twarde duże piersi. Wciągnął nosem powietrze, chwytając jej zapach, i z podniecenia zakreśliło mu się w głowie. Odsunęli się od siebie i usiedli na mokrej słomie po dwóch różnych stronach przyczepy pomiędzy pozostałymi

uczestnikami nagonki. Udział w polowaniu nie należał do ulubionych rozrywek mieszkańców Wrześniowa. Wybrani pracownicy musieli tego dnia wstać grubo przed świtem, potem bez względu na pogodę tarabanić się na niewygodnych trzęsących przyczepach głęboko w las, a wreszcie przedzierać się przez knieje, hałasując bez opamiętania. Na koniec należało zatrzymać się na wyznaczonej linii i czekać na hasło do powrotu. Nagrody za wysiłek nie było żadnej. Dlatego na dwa dni przed polowaniem, kto mógł, unikał wpadnięcia w oko dyrektorowi, który osobiście wyznaczał ludzi mających wziąć udział w nagonce.

W tym roku również wszyscy schodzili Wiluszowi z drogi, z wyjątkiem dwóch osób. Renata i Franek w przeciwieństwie do całej reszty pojawiali się wszędzie tam, gdzie dyrektor mógł ich zauważyć, zerkali na niego zachęcająco, kłaniali się ostentacyjnie – Franek zastanawiał się nawet, czy samemu się nie zgłosić, ale ponieważ szef doskonale zdawał sobie sprawę, że nikt w gospodarstwie nie wybiera się do nagonki dobrowolnie, uznał, że taka postawa może wzbudzić podejrzenia, a tego wolał uniknąć – wreszcie dopięli swego, najpierw on, a godzinę później ona zobaczyli wycelowany w siebie palec dyrektora, a następnie ich nazwiska zostały wpisane do zeszytu.

Nie było tajemnicą we wsi, że Frankowi z Cześką się nie układało. Chłopak przystojny, robotny, do tego jeszcze z takiej rodziny mógł mieć każdą dziewczynę z okolicy, a zdecydował się na taką brzydulę. Nikt nie potrafił zrozumieć dlaczego. Cześka już przed ślubem nosząca kilka nadprogramowych kilogramów po urodzeniu Wojtusia zaczęła gwałtownie rosnać wszerek. Spoglądający na nią mąż, który wcześniej wychodził z założenia, że jakoś to będzie, wiedział już, że nie będzie jakoś, tylko źle, nawet bardzo źle. Zaniedbana, pokryta zwałami tłuszczu żona budziła we Franku obrzydzenie. Z początku próbował jej unikać, znajdował wymówki, wymykał się z domu, wracał późno, kiedy

Czeńska już spała, a z jej tłustego gardła wydobywało się dudniące chrapanie. Kilka razy jednak po jego powrocie, kiedy usiłował bezszelestnie wślizgnąć się do łóżka, uniosła powiekę, a wówczas nie miał jak wywinąć się od małżeńskich obowiązków; spełniał je z mieszaniną odrazy i zwierzęcego podniecenia, myśląc podczas aktu o jędrnych pośladkach wiejskich dziewczyn, które widywał codziennie, idąc do pracy, i o których marzył podczas długich wizyt w toalecie, w trakcie których upuszczał nadmiar kipiącej w nim energii seksualnej. Wiedział, że wiecznie taka sytuacja nie może trwać, chodził po wsi nabuzowany z bolącymi jądrami, wreszcie w trakcie kolejnej awantury, którymi częstował żonę z coraz większą częstotliwością, wywrzeszczał, co myśli o nadmiarze jej kobiecych walorów, po czym zebrał pościel i poszedł spać na podłogę do pokoju Wojtusia. I tak czynił co noc, aż do dnia, kiedy to ruszył na przyczepie za ciągnikiem do lasu.

Małżeństwo to nie więzienie, myślał nieraz Franek, wodząc wzrokiem za kołyszącymi tyłkami kobietami, kręcącymi się po PGR-ze. Pośladki, twarde, zgrabne, bez grama tłuszczu, napięte do granic możliwości, były jego fetyszem, któremu nie potrafił się oprzeć. Dziewczyn chętnych do obdarowania go nim nie brakło. Jednak pozostawiona w sypialni samotnie Czeńska, w której chorobliwa zazdrość zrodziła się już w chwili, gdy przytulała do piersi w trakcie zabawy w remizie zasmarkanego przyszłego męża, nie dawała Frankowi chwili wytchnienia. Żona szpiegowała, śledziła, nie pozostawiała mu nawet odrobiny swobody, by mógł skorzystać z dających rozkosz jędrnych półkul, gotowych do wypięcia się w jego stronę.

Renata wpadła mu w oko już kilka tygodni wcześniej. Młodsza od niego o dziesięć lat, z górną wargą pokrytą delikatnym meshkiem, śmiałym spojrzeniem czarnych oczu, drobną figurą z potężnym biustem i przede wszystkim zgrabną pupą, której uwielbiał się przyglądać, kiedy schylona pracowała w oborze. To ona pojawiała się teraz w jego marzeniach, kiedy zaczepiał

haczyk w toalecie. Szybko zorientował się, że dziewczyna również czuje do niego miętę. Nie chciał walczyć ze swoimi pragnieniami, wolał się im poddać. Aby tak się stało, należało znaleźć okazję, wyrwać się spod czujnego oka domowego cerbera. Nagonka nadawała się po temu znakomicie. Franek wiedział, że dyrektor nie weźmie do lasu Cześki, choćby ta go błagała. Jej tusza nie dawała żadnej nadziei na to, że będzie w stanie przedzierać się przez zarośla w odpowiednim tempie, on sam natomiast wyznaczony przez Wilusza nie mógł się od owego przykrego obowiązku wymigać. Co więcej, Franek mógł być pewien, że przez wzgląd na wymogi bezpieczeństwa towarzyszące polowaniu Cześka, nawet gdyby próbowała, nie zostałaby dopuszczona w pobliże lasu. Wszystko układało się znakomicie, wystarczyło jedynie urwać się z nagonki i poszukać ustronnego miejsca wyłącznie dla siebie.

Zsiedli z przyczep i otoczyli kołem leśniczego. Objął zasady prowadzenia nagonki, po czym rozdał wszystkim pomarańczowe znaczniki, takie jakie nosili robotnicy remontujący drogi, a następnie kazał całemu towarzystwu ustawić się w długim szeregu, który po wejściu głębiej w las miał się jeszcze szerzej rozsypać, tworząc kilkusetmetrową tyralierę. Na skraju jej prawego skrzydła ustawili się Franek z Renatą. Na dany znak, stawiając ostrożnie krok za krokiem i czyniąc niesamowity hałas, nagonka ruszyła w gęstwinę. Pierwsze kilkanaście metrów pokonali równym tempem, po czym idący najdalej z prawej Franek powoli, stopniowo zaczął oddalać się w bok. Za każdym razem, kiedy tylko przysłoniły go gęściejsze krzaki, odskakiwał jeszcze dalej. Za nim z wolna podążała Renata.

Wkrótce stracili kontakt wzrokowy z resztą nagonki. Złapali się za ręce i biegli przed siebie, na przełaj w głąb lasu. Wreszcie zdyszani stanęli, ich usta przywarły do siebie, a języki splotły się w pocałunku. Dłonie powędrowały pod kurtki, szukając szczegółów ciał pokrywających się drobinkami potu. Franek

dotarł do wielkich piersi Renaty, wsunął palce pod stanik, odnalazł twarde sutki i wtedy poczuł, że już nie panuje nad sobą. Ściągnął z niej i z siebie znaczniki, a następnie gwałtownym ruchem obrócił dziewczynę tyłem. Podciągnął spódnicę i brutalnie szarpnął majtkami, które z trzaskiem dartego materiału zsunęły się po rozstawionych nogach, a ich strzępy zatrzymały się na górnej krawędzi gumiaków. Rozpinając spodnie, wpatrywał się w wypięte pośladki, o których tak długo marzył, a które udało mu się do tej pory jedynie kilka razy uszczypnąć, klepnąć, gdy przechodził obok, teraz miał je przed oczami w całej rozsiewającej woń seksu okazałości. Renata oparła się przedramionami o pień szerokiego buka, a on wszedł w nią bez wstępów, gwałtownie, chwytając białą skórę w twarde, pokryte zrogowaceniami dłonie. Poruszał się szybko, wsłuchany w jej cichy jęk. Twarz pokrywały mu drobinki mżawki. Łączyły się, ściekając po nosie, tworząc na jego czubku pękatą kroplę. Potrząsnął głową. Kropla oderwała się od nosa i pomknęła w stronę drgających pośladków. Jej rozprysnięcie się na gładkiej miękkiej skórze wprawilo Franka w ekstazę.

Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Bolesław Mikrut przetaił nerwowym ruchem zapocone szkła okularów i poprawił zwisający na plecach bezużyteczny sztucer. Znów stał z boku, znów nic nie ustrzeli, znów wróci do znienawidzonego gabinetu z pustymi rękoma. Kolejne polowanie, na którym wypchnięto go na skraj łowiska, z dala od centrum, bez kontaktu z najważniejszymi gośćmi, tymi, od których coś zależało. Pozycja, jaką przydzielono mu w szyku, przypominała tę, w jakiej tkwił od dawna w życiu politycznym. Niby brał udział w polowaniu, niby coś od niego zależało, miał swój rewir, ale był to nic nieznaczący boczny sektor, na który nigdy nie zapuszczała się żadna grubsza zwierzyna. Tu był panem, ale prawdziwe łowy odbywały się gdzie indziej. Ile czasu można jeszcze tkwić w tych cholernych strukturach wojewódzkich, zastanawiał się Mikrut.

Kolejne puszczane w ruch karuzele stanowisk, przetaczające się z siłą huraganu przez kraj po każdych wstrząsach społecznych, porywały nowe postacie, wynosząc je na szczyty władzy – Górny Śląsk, Dolny Śląsk, Łódzkie, Gdańskie, Wielkopolska, nawet Szczecińskie, wydawało się, że docierają wszędzie, jednak o Koszalińskie uparcie nie zahaczały, nawet mimochodem – a on tkwił wciąż w tym samym miejscu, na tym samym ostatnim piętrze siedziby Komitetu Wojewódzkiego, w tym samym wypełnionym poniemieckimi antykami, na które nie mógł już patrzeć, gabinecie. Jakie miał szanse na awans, na pokazanie się, wybicie?

Do dzisiejszego poranka mógł się jeszcze łudzić. Jednak kiedy zobaczył, jakie miejsce wyznaczył mu nadleśniczy, wszelkie nadzieje prysły. Niby była jeszcze okazja zbliżyć się do gości z Warszawy podczas bankietu, ale znów zamiast zabłysnąć, będzie musiał łykać gorzkie pigułki, wzruszając ramionami na pytania o to, co trafił. Już widział te wycelowane w siebie palce i ukradkowe uśmiešky. Mikrut zacisnął zęby i postanowił, że choćby nie wiedzieć jak silne plecy miał zarządca tutejszego lasu, on zrobi wszystko, żeby nie wysiadywał swojego stołka zbyt długo – miał na tyle znajomości, aby go utracić. Na każdego bat się znajdzie.

Obrócił się w prawo. Gdzieś tam, o kilkadziesiąt metrów dalej w krzakach siedział komendant wojewódzki milicji, pułkownik Zarzeczny. Też daleko, zaledwie o jeden stopień bliżej centrum, niewiele, ale jednak z minimalnie większymi szansami na trafienie któregoś z wystraszonych zwierząt. Mikrut jeszcze raz przetarł wierzchem dłoni zaparowane okulary. Niewiele to pomogło. Wszystko jedno, machnął zrezygnowany ręką. Gdzieś w oddali, daleko z prawej huknęła pierwsza kanonada, odbijane echem odgłosy wystrzałów przeleciały nad jego głową. Poczł najpierw ukłucie zazdrości, a następnie kolejne, dotkliwsze w okolicy pęcherza. Pomyślał o badaniach prostaty, którym

powinien poddać się już dawno temu, a które odsuwał, obawiając się wyroku, jaki może znaleźć w wynikach. Tych dwóch rzeczy lękał się najbardziej: zgnicia na wieczność w wojewódzkich strukturach partii i tego czegoś, co być może drażyło jego przerośniętą prostatę. Nie było sensu walczyć – musiał się wysikać, choć wiedział, że jak zwykle wycisnie z siebie zaledwie kilka kropli moczu.

Spojrzał jeszcze raz w prawo i mimo że nie dostrzegł Zarzecznego, postanowił oddalić się, aby milicjant nie był świadkiem jego daremnych wysiłków w walce z krnąbrnym gruczołem. Ruszył wolnym krokiem w lewo. Nie przejmował się tym, że opuszcza stanowisko, idąca tyralierą nagonka miała z każdym pokonanym metrem na skrzydłach zaginać marsz i tym sposobem spędzać zwierzynę w kocioł, do środka. W miejsce, gdzie stał Mikrut, nic nie miało szansy dotrzeć. Szedł wolno, zagłębiając się w gęstwinę, a kiedy uznał, że oddalił się wystarczająco i zaczął rozpinać rozporek, do jego uszu doleciały dziwne szelesty. Zamarł. Nasłuchiwał. Teraz nie miał już wątpliwości – w krzakach o sto metrów przed nim coś się poruszało. Ostrożnie zdjął z pleców sztucer. Odbezpieczył go i zrobił krok naprzód. Potem kolejny. Stąpał powoli, starając się nie wystraszyć zwierzyny. Przez zaparowane okulary niewiele widział. Ściągnął je ze złością. Teraz zmrużonymi oczami krótkowidza wpatrywał się w otulające strzelisty buk krzaki. Dostrzegał jedynie niewyraźne kontury. Zwierzę musiało być wielkich rozmiarów, co najmniej półtora metra wysokie, może nawet więcej. Dostrzegał rozmazane długą szyję i coś na kształt korpusu. Serce zaczęło walić mu jak młotem. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Czyżby jelen? Zatrzymał się. Nie chciał spłoszyć zwierzęcia, w biegu bez okularów na pewno by go nie trafił. Odległość była znaczna, on pozbawiony dioptrii, ale przy nieruchomym celu miał szansę. Złożył się do strzału, który mógł odmienić jego życie. Wycelował w sam środek ukrytego

w krzakach cielska. Trafie skurwysyna, pomyślał jeszcze i nacisnął spust. Suchy trzask wystrzału rozdarł ciszę. W krzakach się zakotłowało.

Franek spodziewał się, że za chwilę dojdzie, że jeszcze zaledwie kilka szybkich ruchów i przebiegnie go spazm rozkoszy. Zamiast tego poczuł krótkie ukłucie w okolicach krzyża, po którym w ułamku sekundy bolesny prąd przeszył całe ciało od pasa w dół, a potem nie czuł już nic, ze zdziwieniem tylko zobaczył, jak jego mięśnie nóg wiotczeją, podobnie jak naprężony jeszcze przed chwilą członek, i osunął się bezwładny na dywan z liści. Nad nim stała z zadartą spódnicą nierozumiejąca niczego Renata, usiłując wciągnąć na biodra strzępy majtek. Sparaliżowany od pasa w dół Franek wyciągnął w jej stronę w błagalnym geście bezradne ramiona.

*

Józio po raz kolejny rozpostarł złożoną na czworo ostemplowaną kartkę i ponownie przeczytał wpisaną długopisem datę: siedemnasty lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego, godzina jedenasta trzydzieści. Akurat dziś! W taki dzień! Wezwania nie można było zlekceważyć, niestawienie się w wyznaczonym terminie na komendzie milicji w Miasteczku mogło pociągnąć za sobą nieprzyjemne konsekwencje. Ale pięć dni temu, kiedy odbierał Lesia z milicyjnej izby dziecka, a miła pani z westchnieniem wręczyła mu do ręki zapisany druk wzywający oboje rodziców Leszka Piotra Gruszczyńskiego do stawienia się w określonym dniu w pokoju 203 w celu złożenia wyjaśnień na temat sytuacji domowej małoletniego oraz odbycia rozmowy z milicyjnym psychologiem, nie mógł nawet przypuszczać, że po trzydniowych, gwałtownych opadach śniegu droga z Wrześniowa do Trójczyna będzie całkowicie

nieprzejezdna. Od niedzielnego wieczora gęste i wielkie niczym pierze z rozdartej poduchy płatki sypały się z nieba, dmący od północnego zachodu wiatr nawiewał na szosę zwały białego puchu, tworząc niedające się pokonać zasy. Wilusz trzykrotnie wysyłał w trasę uzbrojone w pługi ciągniki, które wracały po paru godzinach po przebiciu zaledwie kilkuset metrów przejazdu, a wszystko, co udało im się odgarnąć na pobocza, wichura wdmuchiwała po kilkunastu minutach z powrotem na drogę. Wyglądało to tak, jakby Wrześniowo zostało odcięte od świata.

Było w pół do ósmej, ostatni moment na to, żeby próbować przedostać się w jakiś sposób do Trójczyna, stamtąd powinno być już łatwiej. Józio zastukał do gabinetu Wilusza, musiał prosić szefa o pomoc.

– Ale co ja wam mogę pomóc, Gruszczyński? – Dyrektor rozłożył bezradnie ręce nad biurkiem. – Widzicie, co się dzieje, szosą nikt się nie przedrze. Trzeba było lepiej synalka pilnować, ot co!

Takiego ciosu poniżej pasa Józio się nie spodziewał. Dyrektor miał rację, Lesio był jego utrapieniem, o którym wiedzieli wszyscy we wsi, bo takiego łobuzowania, jakiego dopuszczał się ten dzieciak, nie dało się nie dostrzec. Nawet jak na niewygórowane pegeerowskie standardy wychowawcze najmłodszy z Gruszczyńskich był chuliganem, którego każdy miał serdecznie dość. Nic nie pomagało, ani regularne tłuczenie pasem, ani zamykanie w ciemnej komórce, prośby i groźby, krzyki i awantury, wszystko trafiało w próżnię. Dzieciak zbierał cięgi z zaciśniętymi zębami, z oczu nie uronił ani kropli, a zaraz potem broił z podwójną energią – niszczył płoty, ogrodzenia, psuł zamki w furtkach, bramach i kłódkach, wybijał szyby, przecinał sznury, na których suszyła się bielizna, podpalał łąki, dręczył zwierzęta, a nawet młodsze dzieci. Już jako kilkuletni szkrab chwycił owady, którym wyrywał skrzydełka, a następnie

obserwował konwulsje, w jakich stworzenia umierały. Kiedy podrósł, zaczął znęcać się nad gryzoniami, wreszcie wziął się do większych ssaków. Schwytanego kota Żytków usiłował zakopać żywcem, a kiedy mu się to nie powiodło, bo biedne zwierzę szarpało się i drapało, walcząc o życie, oblał je rozpuszczalnikiem i podpalił. Doszło do straszliwej awantury z Bogdanem, sytuację musiał łagodzić sam dziadek Piotr. Nie żałował potem szczeniakowi razów sznurem od żelazka. Ale na nic się to zdało, kilka dni później Lesio powiesił na drzewie sukę Sierpeckich. Tym razem nikt go za rękę nie złapał, a łobuz bezczelnie wyparł się wszystkiego. Wpadł za to przy pierwszych kradzieżach. W Trójczynie usiłował podprowadzić papierosy z kiosku, innym razem piwo i skarpetki z GS-u. Znów pas poszedł w ruch, i po raz kolejny bez efektu.

Martwiło rodzinę takie rozpasanie najmłodszego z jej członków, którego w żaden sposób nie dawało się okiełznać, a ostatnio doszło kolejne zmartwienie. Lesio zaczął wywierać coraz większy, oczywiście fatalny, wpływ na Wojtusia. Starszy z kuzynów, hołubiony przez matkę, której nie szanował, miał miękki, łatwo poddający się podszeptom z zewnątrz charakter. Zapatrzony w ojca, boleśnie przeżył wypadek, jakiemu uległ na polowaniu Franek. Za mały był, aby zrozumieć wściekłość matki, kiedy dowiedziała się o szczegółach zdarzenia. Potem nie potrafił pojąć okrucieństwa, z jakim traktowała męża poruszającego się na podarowanym przez Komitet Wojewódzki Partii wózku inwalidzkim. Wojtuś nie przestał bezgranicznie kochać sparaliżowanego od pasa w dół taty, jednak od momentu, w którym kula ze sztucera Mikruta przeszła Frankowi kręgosłup, kaleki ojciec przestał być dla syna wzorem do naśladowania – w surowych warunkach wiejskiej egzystencji każdy, kto nie odznaczał się odpowiednią tężyzną fizyczną, automatycznie spychany był na margines życia – tego zagubiony chłopak zaczął poszukiwać gdzie indziej. I znalazł bardzo szybko:

najbliżej znajdował się towarzysz dziecięcych zabaw Lesio. Niemal od urodzenia to młodszy z kuzynów, o silnym, zaborczym i okrutnym charakterze, wiódł prym w relacjach z rodzeństwem. On wymyślał zasady gier, w jakie się bawili, system nagród i kar, które sam wymierzał. Wojtuś pokornie znosił swoją rolę, jednak tak długo, jak miał oparcie w ojcu, wpływ Lesia na niego był ograniczony, ale odkąd krótkowidztwo Mikruta przykuło Franka do wózka inwalidzkiego, wpływ ten zaczął rosnąć. Wojtuś był zapatrzonej w młodszego kuzyna jak w obrazek, a każde jego słowo wydawało mu się święte, za nic miał przestrogi, jakimi częstowała go rodzina, nauczyciele, inni mieszkańcy Wrześniowa, dla niego Lesio był największym autorytetem, a mały łobuz korzystał z tej fascynacji starszego kuzyna. Coraz częściej zabierał go na swoje łobuzerskie wyprawy, po których obaj byli karceni. Ale o ile Lesio kary przyjmował z krnąbrnym zacięciem, o tyle Wojtuś zanosił się płaczem, targający nim przez chwilę wyrzuty sumienia za to, co wspólnie zrobili. Potem jednak, słysząc ze swojego pokoju w mieszkaniu w blokach wzywający gwizd stojącego na podwórzu kuzyna, nie potrafił – choć wielokrotnie to sobie obiecywał – mu się oprzeć.

Tydzień temu Lesio zniknął z domu. Szukała go cała rodzina. Jeden dzień, potem kolejny. Nawet Wojtuś nie miał pojęcia, gdzie chłopak się podziewa. Wreszcie na trzeci dzień do biura w PGR-ze wszedł listonosz, trzymając w ręku pilny telegram adresowany do Józefa Gruszczyńskiego, w którym powiadamiano go, że mały Leszek Gruszczyński przebywa na terenie milicyjnej izby dziecka, skąd rodzice zobowiązani są go odebrać w możliwie jak najszybszym terminie. Józio wściekł się. Niech siedzi, wrzasnął, jednak Mira ubłagała go i oboje wsiedli do najbliższego PKS-u. Na miejscu dowiedzieli się, że chłopak dwa dni wałęsał się po Miasteczku, do którego dotarł piechotą. Usiłował dostać się do pociągu jadącego do Poznania, ale ponieważ wcześniej nie korzystał z tego środka lokomocji,

w ostatniej chwili złapała go trema i kiedy lokomotywa w kłębach pary wjeżdżała na stację, uciekł z peronu. Wpadł, kiedy usiłował z samu na głównej ulicy Miasteczka wynieść pod kurtką kradzione jedzenie. Rozmawiający z Józkiem i Mirą wychowawca przestrzegł, że tego sygnału nie wolno im zlekceważyć i bezwzględnie muszą stawić się na wezwanie, które za moment mieli otrzymać od jego koleżanki.

– Ja wiem, panie dyrektorze, z niego straszny łobuz, ale to nie jest zły chłopak. Niech dyrektor ratuje. – Józio miał w dłoniach futrzaną czapę. – Jak nie pojedę, to mi jeszcze gotowi dzieciaka do poprawczaka oddać czy coś podobnego.

– No choćbym na głowie stanął, nie da rady. – Wilusz zaczął się niecierpliwić. – Nawet ciągniki się nie przedarły.

– A gdyby tak z Kulewiczem koniem? Saniami?

– Też nie przejadą, zasy mają po dwa metry.

– Nie szoso, lasem, tam mniej śniegu. Może się udać. Dyrektorze, proszę! – Józio zrobił taki gest, jakby miał zamiar paść na kolana.

Wilusz przez chwilę ważył coś w myślach. Nagle poderwał się od biurka i zakrzyknął:

– Dobra, wołaj pan Kulewicza, niech zaprzęga!

Po godzinie ruszyli. Najpierw od stajni w dół do jeziora, a potem na przełaj po lodzie, na drugi brzeg. Podkute kopyta wrzynały się w gładką tafłę, płozy chrzęściły, wiatr świstał nad głowami, a w zawiniętych w grube kożuchy Mirę i Józka wstąpiła nadzieja. Może zdążą. Na przeciwległym brzegu musieli wysiąść z sań i pomóc koniowi wciągnąć je na wysokie urwisko. Dalej poszło zdumiewająco łatwo. Stawali wprawdzie co kilkaset metrów i odciągali leżące w poprzek drogi konary drzew zwalone pod ciężarem śniegu, ale poza tym ciągnące z mozołem sanie konisko, w puchu niemal po brzuch, człapało niespiesznie, pokonując konsekwentnie kolejne kilometry. Wreszcie dotarli do szosy krajowej. Na krzyżówce znajdował się przystanek PKS-u.

Tutaj rozstali się z Kulewiczem, który strzeliwszy z bata, pogonił konia w drogę powrotną.

Stali w mrozie, oczekując cudu. Wokół panowała idealna cisza. Śnieg przestał padać, wiatr ucichł. Starali się rozgrzać, tupiąc nogami i chuchając w zziębnięte dłonie. Patrzyli bezradni przed siebie w biel szosy. Nagle zza wzgórza oddzielającego Trójczyn od lasu doleciał do nich warkot motoru, a po chwili, strzelając i popierdując silnikiem, w kłębach sinego dymu na szczycie ukazała się żółta syrenka 104. Kierowca zwolnił, widząc przez oszronioną szybę dwie stojące na przystanku postaci. A kiedy rozpoznał w nich Gruszczyńskich, zatrzymał pojazd. Znali się tyle o ile, jak wszyscy w okolicy, Józio nawet nie pamiętał skąd, być może sprzedał mu coś, co wyniósł z gospodarstwa, a może pili wspólnie któregoś dnia pod sklepem – nazywał się Mielczarek, był jednym z kmiotów, jak mówili na rolników indywidualnych pracownicy PGR-u. Kierowca uchylił otwierające się do przodu drzwiczki i machnął zachęcająco.

– Do Miasteczka?

– Wiadomo, bo niby gdzie?

– No tak, wsiadajta, podwiozę.

Mira usadowiła się na tylnej kanapie, a Józio zajął miejsce obok kierowcy.

– Do Agromy jadę – zagaił chłop, mocując się z oporną wajchą skrzyni biegów, znajdującą się przy kierownicy. – Szpilków potrzebuję, bo chlewik poprawiam. Nawet byłem umówiony z Czyżykiem, że mi trochu przyniesie, ale tak was zasypało, że nie da rady, a czekać nie mogę. Co robić, trza kupić. A co u was? Jak brat?

– A jak ma być? Siedzi w domu. Prawie się nie rusza. Niby dostał ten superwózek, tylko co to daje, skoro mieszka na drugim piętrze. Kto go zniesie? Wzielim go raz z dziadkiem, to potem siedział u nas w chałupie będzie z tydzień. Utrapienie z nim tylko, nie Mira? – Kobieta potaknęła, a Mielczarek zerknął we

wsteczne lusterko, próbując zajrzeć jej w oczy. – Od pasa w dół nic mu nie działa. Niczego nie czuje. Nawet nie wie, kiedy się zesrywa. Potem trzeba sprzątać. Rozumiesz, po dorosłym, jak po niemowlaku.

– Pierz to potem, człowieku – dorzuciła Mira. – I ten smród!

– Utrapienie, nic, tylko utrapienie. – Machnął ręką Józio.

– A wy po co do Miasteczka w takie pogode? – zainteresował się Mielczarek.

– Urzędowe sprawy musimy pozałatwiać – odpowiedział wymijająco Józio.

Mielczarek przetarł wierzchem dłoni oszronioną szybę.

– Ale najebało, co? Na sam koniec zimy. – Pokazał na szosę.

Drogę krajową Poznań–Koszalin pługi oczyściły jedynie pobieżnie, zgarniając z wierzchu śnieg i rozsypując na białą, ubitą, twardą powierzchnię grudki wypalonego koksu wyciągniętego z pieców ciepłowniczych. Syrenka na śliskiej nawierzchni poruszała się niespiesznie, raz zatańczyła na zakręcie, ale kierowca szarpnięciem kierownicy szybko i pewnie wyrównał tor jazdy. Droga upływała na plotkach o wspólnych znajomych. Co chwilę cała trójka wybuchała śmiechem. Im bardziej pojazd zbliżał się do Miasteczka, tym częściej Mielczarek zerkał we wsteczne lusterko. Co za baba, myślał za każdym razem, taką zaciągnąć pod pierzynę. Mira podobała mu się od dawna, ale cóż z tego, skoro nie zwracała na niego uwagi. Teraz przynajmniej mógł się na nią napatrzeć. Do pokonania pozostał ostatni kilometr. Już widać było pierwsze budynki miasta. Jeszcze jeden łuk, a potem przerzucony nad torami kolejowymi wiadukt i wjadą do Miasteczka. W nagrzanym oddechami samochodzie robiło się coraz cieplej. Mira rozpięła kożuch. Mielczarek ustawił sobie prawą ręką lusterko tak, aby widzieć zarys wypychających sweter piersi. Syrenka z wysiłkiem, tracąc impet, wczłapała się na stromy podjazd wiaduktu. Na górze kierowca przez chwilę szarpał się z dźwignią, by zredukować

bieg. Wreszcie ze zgrzytem skrzyni mu się to udało. Jeszcze raz spojrział w lusterko i dodał gazu. Koła zabuksowały. Zapatrzony we wdzięki Miry Mielczarek nie zauważył, że asfalt na całej długości wiaduktu pokrywa przyprószony cienką warstwą śniegu lód. Przód samochodu zaczął uciekać w prawo, tyłem zarzuciło. Spanikowany kierowca szarpnął kierownicą. Na próżno. Wdusił z całej siły hamulec. I to na nic się zdało. Niereagujące na jego chaotyczne zabiegi auto zaczęło niebezpiecznie zbliżać się do barierek ograniczających wiadukt. Prędkość nie była wysoka, ale pozbawione tarcia auto nie zwalniało biegu. Uderzyło centralnie, przodem, rozrywając aluminiowe ogrodzenie. Zawisło na moment i bujało się, jakby niezdecydowane, co robić dalej. Trzy przerażone postaci siedzące wewnątrz wstrzymały oddech, jak gdyby najmniejsze dmuchnięcie mogło spowodować przechył. Daremne to były wysiłki, nastąpiło jeszcze jedno bujnięcie i syrena z metalicznym skrzypnięciem runęła w dół.

Ziemia zatrzęsała się pod stopami każdego z mieszkańców Miasteczka. Gigantyczna eksplozja, która wstrząsnęła okolicą, wybiła w promieniu kilkuset metrów wszystkie szyby z okien. Słup ognia, jaki wzbil się w powietrze, widać było nawet w najdalszych zakątkach miasta. Później niebo nad Miasteczkiem zakrył czarny jak smoła dym. Tego dnia już od rana ruch pociągów na miejscowym węźle był ograniczony, ponieważ mróz unieruchomił zwrotnice, które kolejarze usiłowali rozgrzać za pomocą płomieni. Jedną z przetaczanych cystern, wypełnioną po brzegi benzyną dla tutejszego CPN-u, przez nieuwagę pozostawiono pod wiaduktem. Nieszczęsna syrenka, spadając z kilkunastu metrów, wbiła się w jej najsłabszy punkt. W jednej sekundzie pochłonięty przez kulę ognia samochód wraz z trójką pasażerów wyparował bez śladu.

Powietrze spowiła wilgoć, której mikroskopijne drobinki gęstą zawiesiną wypełniły atmosferę, tworząc delikatne zamglenie. Idealna pogoda na zrobienie kilku zdjęć, pomyślałem, siadając na tapczanie, po czym rozerwałem zielone pudełko i wyciągnąłem z niego metalową rolkę kryjącą błonę fotograficzną. Naciągnąłem kliszę na ząbki i, z charakterystycznym pstryknięciem, zamknąłem wieko korpusu mojej wysłużonej Praktiki. Wyszedłem przed dom i przytknąłem oko do wizjera, bawiąc się automatycznym nastawianiem ostrości, regulowałem ustawienia przyrządów i ponownie zerkałem w celownik. Musiałem być oszczędny i precyzyjny – miałem zaledwie jeden film i wiedziałem, że na poprawki nie będzie już ani czasu, ani materiałów, poza tym w Miasteczku nie było nawet jednego zakładu, który gwarantowałby wywołanie kliszy i zrobienie odbitek satysfakcjonującej jakości. Obracałem się wokół własnej osi, szukając odpowiedniego kadru, kręciłem pierścieniem zoomu, to przybliżając, to oddalając obraz. Nagle, kiedy ogniskowa znajdowała się na najmniejszej wartości, w wizjerze pojawiła się jakaś dziwna małeńka postać, idąca z góry w moim kierunku. Miała szeroko rozłożone ręce, których nienaturalnie powiększone dłonie zakończone były czymś na kształt gigantycznych szponów, sięgających niemal ziemi i huśtających się przy każdym kroku. Wyglądała niczym Edward Nożycoreki. Odruchowo nacisnąłem spust migawki, a dopiero później przekręciłem zoom, przybliżając obraz. Postać szybko urosła, wypełniając kadr. Oskar. Szedł wolnym krokiem, ze wściekłą miną, trzymając w każdym ręku za łapy po trzy kury z rozpostartymi skrzydłami. Głowy martwych ptaków zwisały smętnie. Wyłączyłem aparat i zawiesiłem go na taśmie na szyi.

Podszedł do mnie i cisnął zwierzęta na trawę, prosto pod moje stopy.

– Pięknie zaczął mi się dzień, nie ma co! – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Cholerne kuny!

– Wlazły do kurnika? – spytałem, chociaż znałem odpowiedź, widząc rozorane szyje ptaków.

– Kolejny raz! Już nie wiem, jak się przed nimi bronić. Po pierwszej wizycie, jaką mi te panie złożyły, wybiłem cały kurnik siatką. Wszystko: ściany, drzwi, okna, nawet sufit. I co? Okazało się, że siatka ma za rzadkie oka. Sama, bładź, nie dała rady się precisnąć, to wpuściła młode. Sześć kur wydusiły, wypiły krew i uciekły.

– Duża strata?

– Nawet nie, te kury kupiłem na fermie za grosze. Zapłaciłem po złoty pięćdziesiąt za sztukę. Żadne pieniądze, ale sporo z tym zachodu. Trzeba się tłuc sto kilometrów w jedną stronę, samochodem z przyczepą. Potem adaptować te biedne stworzenia. Wyobraź sobie, że one na fermie siedzą stłoczone w klatkach po, o ile dobrze pamiętam, sześć sztuk, tak że nie mogą się ruszać, ze zgaszonym światłem i tylko mają jaja znosić. Po roku obniża im się nośność, więc idą albo do sprzedaży albo do utylizacji. Jak je przywiozłem, to bały się wyjść z kurnika, bo wcześniej naturalnego światła nie widziały, nie chodziły, nie grzebały pazurem w ziemi. Zresztą były łyse, bo w tych klatkach się dziobały i drapały nawzajem, pewnie z nudów. Na szczęście natura ma cudowną moc. Po miesiącu ganiały już jak normalne wiejskie kurczaki.

– Wszystkie wydusiły? – Pokazałem na truchło pod moimi nogami.

– Nie, jeszcze trzy zostały. Siedzą wystraszone, jakby ducha zobaczyły. Miałem piętnaście, jedna zdechła, pięć poległo przy pierwszym ataku, teraz ta szóstka. Ale i pozostałe trzy nie przetrwają zimy...

– To nie możesz lepiej zabezpieczyć kurnika? – Rozwiązanie wydawało mi się banalne.

– Pewnie, że mogę. I to zrobię. Nie o to chodzi. Ja każdej zimy jadę sobie na dwa, trzy tygodnie do Warszawy. No wiesz, łyknąć

trochę kultury. – Zaśmiał się, zataczając dłonią koło nad głową. – Jestem pewien, że jak wrócę, kur już nie będzie. Wylądują na czyimś stole.

– Nie będą się bali tak na wydrę ci podprowadzić zwierzaki?

– A czego? Przecież nikogo za rękę nie złapię. Zakradną się w nocy i po sprawie. Człowiek głodny jest zdolny do wszystkiego, a widziałeś, że tu w niektórych chałupach panuje głód. Choćby u Antka. W zeszłym roku zeżarli mi króliki. Miałem dwa. Tak dla ozdoby, puścić na trawę, pocieszyć się futrzakami. Po powrocie z Warszawy zastałem puste klatki. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Wyparowały.

– Oddaj je na ten czas komuś pod opiekę – podsunąłem kolejne proste rozwiązanie.

– Komu? Kulewiczowi? – Machnął zrezygnowany ręką. – Pierwszy by zjadł i powiedział, że padły z choroby. To samo reszta.

Miał rację, we Wrześniowie domowe zwierzęta od zawsze miały przynosić jedynie wymierne korzyści, żadne nie dostawało jeść za darmo. Zadaniem króli było się mnożyć i na koniec lądować w garnku, podobnie drobiu, pies, jak nie dość głośno ujadał, pilnując obejścia, kończył przywiązany do drzewa w lesie albo z roztrzaskanym kołkiem łbem, w wersji bardziej humanitarnej spławiony pod lodem rowu melioracyjnego, kot pracował na akord, a jeśli nie wyrobił normy złowionych myszy, drugiej szansy nie dostawał, lądował na dnie strumienia z szyją dociśniętą kijem do wygładzonych wodą kamieni. W twardym pegeerowskim świecie nikt nie pojmował fanaberii trzymania i żywienia stworzeń dla samej, czystej przyjemności posiadania czworonożnego przyjaciela. Liczył się jedynie bilans zysków i strat, tych drugich nie tolerowano.

– To nie koniec uroczych porannych wieści. Patrz tam – Oskar wskazał w kierunku pozostałego po rozebranej owczarni kamiennego fundamentu, przed którym na skłonie trawnika

wkopanych było kilkadziesiąt młodych drzew owocowych podpartych wysokimi kijami. – Dwa miesiące temu założyłem sad. Pofatygowałem się do szkółki, przywiozłem trzydzieści dwie sztuki sadzonek, szczepionych na podkładkach z ptasiej czereśni i pigwy, własnoręcznie wkopałem. Podsypywałem nawóz. Nie żałowałem wysiłków. I co? Dziś w nocy jakieś łajzy wykopały mi osiem drzew.

– Zniszczyli?

– Nie, ukradli. Czujesz? Podjechali rowerem, są ślady, wykopali i wywieźli.

– O tym jeszcze nie słyszałem, żeby kraść drzewa z sadu. – Byłem szczerze zdumiony.

– Widzisz, znowu niewielka strata finansowa, bo takie drzewka kosztują osiem–dwanaście złotych od sztuki, ale co się narobiłem, to moje... Mówię ci, ręce opadają i odechciewa się wszystkiego.

– Nie wiesz kto?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami i sięgnął do kieszeni spodni po papierosy. – Może z Trójczyna, może z Kaczkowa, nie sądzę, żeby ktoś od nas, bobym się zorientował.

– To przejedź się tu i tam.

Zrobił kwaśną minę:

– Tacy durni chyba nie są, żeby przed domem sadzić. – Potarł zapalką o draskę i przypalił wymiętolonego papierosa. – Wkopią gdzieś za chałupą. Pojadę pewnie, ale szanse, że zgubę odnajdę, są marne. Parszywy dzień. Może chociaż uda się skończyć zbierać grykę, byłoby po żniwach, urządzilibyśmy dożynki.

– Wilgoć... – wyraziłem wątpliwość.

– Widzę, ale sita w kombajnie oczyszczone i wysuszone, zostało zaledwie kilka hektarów, trzy, może cztery, nie więcej, powinno się udać. Zaraz ma się pojawić Kurc.

Ale zamiast Kurca brukiem prowadzącym od bramy przywędrował do nas amator darmowego opału, Marek Kołecki.

Stanął przed Oskarem ze zwieszoną głową, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak nie wykrztusił z siebie ani jednego słowa. Milczał też Oskar, przyglądając się Kołeckiemu z miną na pozór groźną, zmarszczonymi brwiami, zaciśniętymi ustami, ale w jego oczach tańczyły tak wesołe ogniki, że miałem wrażenie, iż za chwilę wybuchnie śmiechem, klepiąc wesoło stojącego przed nim jak zbity pies niefartownego pilarza po ramieniu. Kołecki spróbował jeszcze raz: nabrał powietrza w płuca, ale zamiast słów z jego krtani wydobyło się jedynie głośnie westchnienie. Oskar przetrzymał go jeszcze chwilę, wreszcie postanowił przyjść mu z pomocą:

– Co jest? – zapytał. – Masz mi coś do powiedzenia? – Gość przytaknął opuszczoną głową i dalej milczał. – Więc słucham.

Kołecki przełknął ślinę i wyburczał pod nosem:

– Miałem przyjść, to jestem...

– I to wszystko? – Oskar beształ dorosłego mężczyznę jak uczniaka.

– Przepraszam.

Z zafascynowaniem obserwowałem zmianę, jaka od wczoraj zaszła w postawie pilarza. Zaledwie kilkanaście godzin wcześniej stał przed policjantem butny, zdawało się, pewny siebie i swojej bezkarności, teraz przypominał dziecko ukarane odebraniem ukochanej zabawki, bliskie wybuchnięcia płaczem, gotowe niemal błagać o darowanie kary. Piła łańcuchowa dla tych mieszkańców Wrześniowa, którym udało się wejść w jej posiadanie, była największym, a nierzadko jedynym majątkiem, jakiego się dorobili. Jej wartość przewyższała wszystko inne, ponieważ piła nie tylko pozwalała na wyrobienie w lesie bezcennego opaku, ale również dawała możliwość świadczenia usług tym wszystkim, którzy piły nie mieli, bo nie było ich na nią stać albo nie umieli się nią posługiwać, a w zamian można było żądać zapłaty – rzadziej w gotówce, częściej w formie pomocy przy jakichś pracach, czy wymiany barterowej – rósł też prestiż

i znaczenie pilarza we wsi. Piła łańcuchowa miała jednak jedną, za to zasadniczą wadę: kosztowała furę pieniędzy. Nikogo we wsi nie było stać na poniesienie takiego jednorazowego wydatku. Na szczęście Agroma przed rokiem uruchomiła sprzedaż ratalną, wystarczył jeden żyrant, wpłata początkowa i już można było wracać do domu z wyśnionym skarbem pod pachą. Tylko tu pojawiał się kolejny problem: skąd wziąć żyranta? Nie mógł zostać nim żaden z mieszkańców Wrześniowa, ponieważ według regulaminu musiał to być ktoś ze stałym, legalnym zatrudnieniem, a takich we wsi nie notowano. Pracujący, jak to mawiano we Wrześniowie, „na pałacu” Czółko miał fart, jemu kredyt podżyrował Oskar; inni szukali pomocy u rodziny w mieście, jeśli tylko taką posiadali. Kilku z nich, w tym Kołeckiemu, się powiodło. Dlatego przed dzielnicowym z taką skazaną na porażkę butą starał się bronić owego obiektu westchnień zdobytego kosztem wielu wyrzeczeń, a teraz, kiedy groziło, że mu przepadnie, przybrał korną postawę i był gotów zrobić wszystko, byle tylko odzyskać swojego świętego Graala.

– Przeprosiny przyjęte. – Najwyraźniej Oskar dobrze się bawił całą sytuacją. – Coś jeszcze?

– A co z piłą? – spytał z rozpaczą w głosie Kołecki i po raz pierwszy spojrział na Bukowskiego.

– A, tu cię mam. Przepadła.

– Co?!

– A coś ty myślał, Kołecki, że możecie mi tu wszyscy bezkarnie drzewo kraść?! – Oskar wciąż robił groźną minę, nadawał swojemu głosowi surowy tembr, ale pod spodem czuć było czającą się wesołość. – Stracisz piłę, będzie dobry przykład dla całej reszty.

– Ale tak nie można! – zawołał Kołecki desperacko.

– Tak? Jesteś pewien? Chcesz się przekonać?

Kołecki pokręcił ptasią głową, którą ponownie pokornie spuścił. Po chwili spytał:

– Panie Oskar, a jakoś inaczej się nie da?

– Da, da. – Oskar się roześmiał. – Rozmawiałem z dzielnicowym. Uradziliśmy, że odpracujesz u mnie trzy dni, a potem, jak nie nawalisz, odzyskasz piłę i zapomnimy o sprawie. Do następnego razu, a wtedy nie będzie już litości, pójdziesz pod sąd. Pasuje ci? – Kołecki pokiwał niemrawo głową. – Jeśli mi nie wierzysz, możemy zadzwonić do aspiranta Bąka, sam z nim pogadasz.

– Nie, nie – zaprzeczył szybko pilarz. – Aż trzy dni?

– Powiedz mi, masz coś lepszego do roboty? Chyba nie? Trzy dni i nie zapomnij pochwalić się we wsi. Może będzie to jakaś przestroga dla pozostałych, chociaż szczerze w to wątpię.

– To co miałbym robić? – spytał pogodzony z losem Kołecki.

– Pójdziesz do lasu i natniesz sobie brzoźowych witek, z których zrobisz miotły, a potem zamieciesz całą drogę dojazdową.

– Tą? – Kołecki spojrzał na bruk pod nogami.

– Nie, tę nad jeziorem.

– Tamtą? – Kołecki z niepokojem pokazał na biegnącą wzdłuż brzegu jeziora betonową drogę. – Przecież jej nikt nie używa!

– I co z tego? To, że jej nikt nie używa, nie znaczy, że ma zarosnąć i zniszczyć. Zresztą, co cię to obchodzi?

– Może mógłbym odpracować jakoś inaczej? – spróbował ostatniej szansy Kołecki.

– Powiedziałem – odpowiedział twardo Oskar – chcesz odzyskać piłę, musisz zamieść drogę. Decyduj!

Kołecki stał niezdecydowany, zerkając to na budzącą w nim lęk drogę, to na bramę, jakby chciał przez nią uciec do swojej znajdującej się po drugiej stronie chałupy. Wreszcie splunął i zawołał z desperacją w głosie:

– Raz kozie śmierć, a co mi tam! Zrobię to. Najwyżej...

Po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Wrześniowa, przed trzema tygodniami, zza ściany, z pokoiów zajmowanych przez Oskara doleciała do mnie muzyka. Wcześniej gospodarz skupiał się wieczorami na głosach przyrody, gardząc wszelkimi dźwiękami będącymi wytworem człowieka. Gawędząc przy ognisku, wsłuchiwalismy się w trzaskający ogień, szum wiatru, wywoływany jego podmuchami chlupot obijających się o burzę łodzi fal na jeziorze, pohukiwania nocnych ptaków, delikatny trzepot skrzydeł zapóźnionych nietoperzy szykujących się już do zapadnięcia w stan zimowej hibernacji, dudniący bas wychodzących na rykowiska jeleni, bębnienie o dachy, parapety, okna, bruk i liście kropel zimnego jesienno deszczu... Tym razem cały ten wywoływany przez naturę zgiełk zagłuszał ostry gitarowy riff. Wydał mi się znajomy. Nadstawiłem uszu. Dźwięk był niewyraźny, z trudem przebijał się przez barierę ze szachulcowej ściany, akordy zlewały się w jeden wysoki jazgot, ale kiedy doleciał do mnie ten charakterystyczny, niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek śpiew:

*As they pulled you out of the oxygen tent
You asked for the latest party*^[1]

zdałem już sobie sprawę, że Oskar puścił moją ukochaną płytę. Skąd wiedział? Przecież nigdy nie rozmawialiśmy o muzyce. Nie było okazji, a może potrzeby?

Usłyszałem o nim na studiach. Był siedemdziesiąty drugi, a może już siedemdziesiąty trzeci rok. Jak wszystkich młodych ludzi w tym czasie fascynował mnie rock'n'roll, słuchałem trzeszczących, rwących się audycji Radia Luksemburg, w których pojawiali się artyści, o jakich w oficjalnych kanałach nigdy nawet nie wspomniano, dlatego poza tymi najbardziej znanymi, jak Stonesi, Beatlesi czy The Who, żadnego nie potrafiłem skojarzyć

z jego wizerunkiem, a trudnych do wymówienia tytułów, nazw zespołów i nazwisk wykonawców – w żaden sposób zapamiętać. Za ostatnie grosze kupowałem single z dziurką, pocztówki dźwiękowe często na chybił trafił, ot, jedynie po to, aby zaspokoić głód słuchania niepokornej muzyki.

Chaos, jaki panował w moich muzycznych gustach, nie przeszkadzał mi w najmniejszym stopniu, wydawało mi się, jak zresztą i reszcie moich kumpli, że choć odcięci od nowinek z Zachodu, potrafimy oszukać system i słuchać dokładnie tej samej muzyki, która pochłania naszych rówieśników po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Nie wiedzieliśmy, że tak naprawdę dociera do nas dokładnie tyle, ile komunistyczne władze uznały za słuszne, aby tym wentylem bezpieczeństwa upuścić nieco powietrza z rozsadanego ciśnieniem wewnętrznym siermiężnego balonu, w jakim trzymano młodzież. I żyłem w takim przekonaniu aż do czasu, kiedy z Londynu po rocznej nieobecności wrócił Michał Szponder.

Przyjaźniliśmy się od dziecka, odkąd pamiętałem, wspólnie przeszliśmy wszystkie etapy edukacji. Kiedy po zdanych z trudem egzaminach mieliśmy rozpocząć studenckie życie, Michał, korzystając z okazji, że jego ojciec, światowej sławy rzeźbiarz, został zaproszony do poprowadzenia rocznych wykładów na londyńskiej Saint Martin's School of Art – mimo namów kolegów, aby cieszyć się nieobecnością rodziców w pustym mieszkaniu i zakosztować swobody, o której wszyscy marzyliśmy – wybrał poznawanie smaku innego rodzaju wolności, smaku, jakiego nikt z nas jak dotąd nigdy wcześniej nie doświadczył. Jego ojciec biegał na Charing Cross pokazywać przyszłemu Henrym Moore'om, jak od bryły marmuru oddzielać to, co niepotrzebne, a Michał włóczył się po uliczkach Londynu, tego niezwykłego miasta, chłonąc jego specyficzną atmosferę i oddychając powietrzem, w którym unosiło się coś, o co trudno było w Warszawie, nabierającej wprawdzie barw w początkach

epoki gierkowskiej; jednak kolory te nie były w stanie pokryć brudu i syfu, który wyłaził z każdego kąta, bez względu na to, jak grubą warstwą farby usiłowano by go wypacykować.

Po roku Szponder wrócił odmieniony. Pewniejszy siebie, wystrojony w ciuchy, które dla pozostałych w kraju kolegów były jedynie nieosiągalnym marzeniem, i bogatszy o całą kolekcję płyt. Z ich okładek patrzyła na mnie galeria przebranych w świecące kiczowate kostiumy, z twarzami upstrzonymi mieniącymi się makijażami zwariowanych postaci, przy których Mick Jagger i John Lennon wyglądali jak wykładowcy szkółki niedzielnej. Stałem w pokoju Szpondera, wyciągałem krążki na chybił trafił i przyglądałem się okładkom, niewiele z nich rozumiejąc, aż wreszcie Michał sięgnął po jedną z nich i mówiąc: posłuchaj tego, umieścił winyl na kole adapteru. Trzymałem w ręku obwolutę: blondyn z nastroszonymi włosami, w jaskrawoniebieskim kombinezonie i fioletowych wysokich butach na koturnach stał na oświetlonej latarnią ulicy z jedną nogą opartą o schody prowadzące do tajemniczych zielonych drzwi, nad jego głową jarzył się neon, a przed nim piętrzyły śmieci. Przez ramię miał przewieszoną gitarę. Zanim zdążyłem przeczytać, z kim mam przyjemność, usłyszałem dźwięki, które na zawsze odmieniły moje postrzeganie muzyki. Jakby ciągnąc z odległej galaktyki, z każdym taktem coraz głośniejszy nadpływał wybijany przez perkusję pointowany werblem rytm, po kilku sekundach kostka przesunęła się po strunach gitary akustycznej, a palce uderzyły w klawisze fortepianu. Popłynął śpiew tak smutny, że sprawiał wrażenie, jakby stojącemu przy mikrofonie facetowi zbierało się na łzy:

*Pushing through the market square
so many mothers sighing
News had just come over,
we had five years left to cry in*

Chociaż nie rozumiałem ani jednego słowa, poczułem gdzieś w głębi szczerą tego śpiewu. Przebiegły mi ciary po plecach. A kiedy doszedłem do siebie, spróbowałem złożyć do kupy żółte litery na okładce płyty: na górze „David Bowie”, poniżej oddzielone jakimiś napisami po angielsku, które były dla mnie jak czarna magia, „Ziggy Stardust”. Nie miałem pojęcia, które z nich było nazwiskiem artysty, a które tytułem płyty. Spojrzałem bezradnie na Michała. Uśmiechnął się i powiedział tylko jedno słowo: wiedziałem. W ten sposób narodziła się miłość na całe życie.

Gdy wybrzmiała ostatnia nuta, poprosiłem, żeby przełożył ramię adapteru ponownie na początek, a sam zacząłem szperać w stosie płyt, szukając innych krążków tego artysty. Jeszcze raz wyręczył mnie Michał, podając obwolutę. Tym razem facet miał zamknięte oczy, rude włosy o zdumiewającej fryzurze przypominającej wystrzyżoną końską grzywę i czerwono-niebieski zygzak przecinający twarz od góry czoła po kraniec prawego policzka; w zagłębieniu nagiego obojczyka zebrała się odrobina wody, a może łez. Przeczytałem: „David Bowie, Aladdin Sane”. Wyjaśniło się imię zagadkowego muzyka.

Obie płyty przegrałem na taśmę swojego dwuścieżkowego szpulowego magnetofonu, po czym zacząłem osobiste poszukiwania. Pragnąłem zdobyć inne płyty świeżo poznanego artysty, zasięgnąć o nim informacji. Jednak Bowie nie mieścił się w ciasnych standardach, na jakie z niechętną koniecznością godziły się władze w Polsce – jego muzyka była zbyt ostentacyjnie erotyczna, image absurdalny, przesłanie pesymistyczne – dlatego nigdzie nic nie mogłem znaleźć. Wszystko, co o nim wiedziałem, pochodziło od Michała, z którym jednak drogi szybko nam się rozeszły (bezsensowna kłótnia przy alkoholu, którego Szponder po powrocie z Anglii zaczął zdecydowanie nadużywać, obróciła się w dramatyczny spór, druzgoczący lata przyjaźni). Wycieczki na bazy i pchle targi nie

przynosiły rezultatu, Bowie do Polski nie docierał. Nikt o nim nie słyszał, nikt go nie znał. Usiłowałem to zmienić, puszczając, komu tylko się dało, z coraz bardziej zajechanych taśm nagranych dwie płyty, kilka osób się zainteresowało, zdecydowana większość nie.

Wreszcie dowiedziałem się, że ojciec jednej z moich koleżanek z roku jest kierowcą TIR-a. Zebrałem oszczędności, za które pod Peweksem kupiłem dziesięć marek – kwotę naprawdę pokaźną – i schludnie ubrany i uczesany, poszedłem prosić o przysługę. Pan Rysio nie bardzo chciał się zgodzić, kręcił nosem, grymasił, wymawiał brakiem czasu podczas kursu, wreszcie, siorbiąc herbatę, dał się uprosić córce zerkającej na mnie zalotnie spod przyklejonych rzęs. Tydzień później odebrałem, jak się zgrabnie wyraził pan Rysio, „najnowszy badziew tego pańskiego pajaca”. W drodze powrotnej do domu, w tramwaju, wpatrywałem się w okładkę płyty; w leżącego, opierającego się na łokciach ze złożonymi dłońmi, jak u wypoczywającego dobermana, chudego, nagiego Davida, którego korpus na tylnej stronie obwoluty zmieniał się w psi zad i psie łapy; na dwie przypominające mopsy tłuste kobiety; na napisany kursywą tytuł *DIAMOND DOGS*; na rozmywające się w tle, odcięte od zielonkawego nieba drapacze chmur dziwnego futurystycznego miasta. A potem już w moim pokoju, z wysłużonego adapteru Bambino usłyszałem zdumiewający koncepcyjny album, który do dziś pozostaje moim ulubionym i którego dźwięki z zaskoczeniem ponad dwadzieścia lat później wyłowilem rozbrzmiewające za ścianą, w pokoju mojego gospodarza.

Oskar siedział ze spuszczoną głową na kanapie, kiwając się w takt muzyki, pod jego nogami odzianymi w zabłocone buty, zostawiające bure ślady na jasnoszarej wykładzinie, stała na podłodze wypita do połowy flaszka wódki.

– Skąd wiedziałeś? – zapytałem, stając w progu.

Podniósł na mnie mętny wzrok i przyglądał się, nic nie

rozumiejąc.

– Co wiedziałem?

– Że to moja ulubiona płyta?

Parsknął śmiechem.

– Skąd niby miałbym wiedzieć?

– Właśnie nie mam pojęcia, ale pierwszy raz widzę, że ktoś tego słucha. – Pokazałem palcem w stronę miniwieży. – Jeżeli już ktokolwiek zna Bowiego, to tylko *Let's Dance* i cały ten disco chłam.

– Tak jak ja – wtrącił Oskar, unosząc dwa palce w górę.

– Ale...

– Wiem, wiem... – przerwał, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. A potem jemu zebrało się na wspominki. – Połowa lat osiemdziesiątych. W telewizji królowała Wideoteka, muzyką zarządzał Krzycho Szewczyk. Więc puszczał te swoje pedalskie inspiracje. Spandau Ballety, China Crisisy, Whamy i takie tam. Jak się przypierdolił do *Let's Dance*, to katował to na okrągło. Wzięło i mnie. Takim stałem się fanem, że nawet sobie sieknąłem utlenioną grzyweczkę à la David. Domyślasz się, jak wyglądałem. Masakra. I do tego ta koszmarna, tak naprawdę, muzyka. Pewnie z czasem bym się z tego wyleczył, przerzucił na coś innego, gdyby w połowie liceum w naszej klasie nie pojawił się Nowy. Ktoś coś musiał mu powiedzieć, bo podszedł do mnie na przerwie na schodach i rzucił niedbale: podobno lubisz Bowiego. Nawet nie pamiętam dokładnie, co mu odpowiedziałem, pewnie zacząłem się podniecać tym, co znałem, na co on tylko parsknął śmiechem, machnął ręką, odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach. A następnego dnia pojawił się w szkole z walkmanem i stertą kaset, uzmysławiając mi, jak beznadziejnie płytka była moja dotychczasowa miłość. Ot, i cała tajemnica.

Każdy kiedyś spotyka swojego Szpondera, pomyślałem.

Oskar wziął do ręki flaszkę i wyciągnął w moją stronę:

– Napijesz się? Trzeba się zgłuszyć, zanim wróci Antek. Nawet

nie chcę myśleć, jakie przyniesie wieści. Trzymaj.

Wziąłem butelkę do ręki.

Dzień rozpoczął się delikatnym tąpnięciem w postaci zaduszonych kur i ukradzionych drzew owocowych, potem, jak u klasyka, napięcie już tylko rosło. Z początku nic nie wskazywało na to, jak dramatycznie potoczą się wypadki. Najpierw zgodnie z oczekiwaniami, omijając drogę nad jeziorem, nadkładając dystansu, nieco spóźniony do pracy przywędrował Kurc. Przesmarował podzespoły kombajnu, odpalił maszynę i bez przekonania, sarkając na wiszącą w powietrzu wilgoć, ruszył w pole. Za nim, mniejszym ciągnikiem z przyczepą (większym od rana Czółko orał ściernisko) podążył Antek. Kołecki udał się do lasu po brzozowe witki, skąd długo nie wracał, a Oskar z dwoma najętymi chłopakami poszedł przygotowywać spichlerz na przyjęcie ostatniej partii gryki. Mógł dziwić pośpiech, z jakim Oskar chciał zebrać z pola mokre jeszcze ziarno, ale dzień wcześniej dowiedział się, że w kołobrzesckim porcie cumuje statek, na który skupowana jest właśnie gryka, po cenie o sześćdziesiąt procent wyższej niż ta oferowana przez zmówione kaszarnie. Nie należało zwlekać, bo miejsce w ładowni masowca było ograniczone, a wiadomość rozchodziła się po okolicy wśród wszystkich tych, którzy mieli grykę do sprzedania, lotem błyskawicy – kto tylko miał dostęp do transportu, ładował zalegające w magazynach orzeszki na przyczepy czy wywrotki i pchał je do Kołobrzegu. Trwał wyścig z czasem. Oskar na rano następnego dnia zamówił ciężarówkę. Wiedział, że czego dziś nie zbierze z pola, tego już nie sprzeda, dlatego trzeba było ryzykować, kosić, dokąd sita się nie zapchają, a o unieruchomiony kombajn zatroszczyć się później, kiedy już na zimę zamrą prace w polu.

Mgła stawała się coraz gęściejsza. Powietrze zrobiło się na tyle nieprzejryste, że o fotografowaniu nie było już mowy. Wróciłem do pokoju, położyłem się na tapczanie i wbiłem wzrok w sufit. Co

robić dalej? Zastanawiałem się. Z kim jeszcze porozmawiać? Skąd czegoś się dowiedzieć? Nie miałem pomysłu. Mogłem oczywiście spróbować zajrzeć do archiwum lokalnej prasy, poszperać w starych artykułach, ale wiedziałem, że nie ma to większego sensu. Ówczesne media dostarczały w podobnych sprawach dokładnie tyle informacji, ile prokurator uznał za wskazane. O niezależnym dziennikarstwie śledczym w Polsce w latach siedemdziesiątych nikomu się nawet nie śniło. Wszystko, na co mógłbym trafić, to albo sucha notatka w dziale wypadki – miejsce, liczba ofiar, ewentualnie w dużym zarysie opisane okoliczności – albo reportaż powielający jedynie ustalenia prokuratury podczas śledztwa. Szkoda było czasu. Przecież nie o to mi chodziło, aby jeszcze raz poczytać o tym, o czym i tak wiedziałem już osiemnaście lat temu. Mnie interesowało dotarcie do kogoś, kto wyjaśniłby mi, jak to się stało, że pielęgnowana przez dziesiątki lat nienawiść tak nagle zmieniła się w ciepłe uczucia, szacunek czy nawet coś na kształt przyjaźni, chciałem się dowiedzieć, czy jest to możliwe, aby los nie wybaczał podobnych wolt i okrutnie karał wszystkich, którzy usiłują poruszyć skostniałymi, zakonserwowanymi w naftalinie złych uczuć relacjami. I czy tę niszczycielską siłę można nazywać losem? Czy zaszczepiona przez kogoś nienawiść zawisa w powietrzu niczym rakotwórczy pierwiastek i kiedy po jakimś czasie wszyscy próbują o niej zapomnieć, ona niespodziewanie uderza i zbiera swoje śmiertelne żniwo? Dlaczego zginęli akurat ci, którzy zginęli, czy tak musiało się stać, aby wszystkie elementy składanej przez kogoś tam na górze układanki w dalszym ciągu do siebie pasowały, czy po prostu był to zwykły, tragiczny przypadek? Wiedziałem teraz znacznie więcej niż przed przyjazdem, poznałem genezę targającego wsią konfliktu, który podczas mojego pierwszego pobytu we Wrześniowie przechodził właśnie do sfery wspomnień, a którym wówczas nie zaprzętałem sobie głowy. Zrozumiałem, czym żyli przez te

wszystkie lata od końca wojny Gruszczyńscy, czym Pudłowie, co ich poróżniło, ale wciąż nie rozumiałem, dlaczego przeznaczenie przewidziało dla ich nienawiści tak okrutną, wygraną na śmiertelnej nucie pointę.

Usłyszałem warkot traktora, a po nim szybkie głosy dolatujące od strony spichlerza. Pierwsza partia skoszonej dziś gryki wędrowała pod dach, ja tymczasem wpatrzony w sufit wciąż dumiałem nad tym, czyja opowieść mogłaby pomóc odpowiedzieć na drażące mnie niczym robał pytania i wątpliwości. Jedynym, który przychodził mi do głowy, był Wojciech Gruszczyński, ale on rozmawiać nie chciał. Może po prostu się bał? Wspomnień, duchów, cieniów przeszłości? Cokolwiek to było, sprawiało, że trzymał przede mną zaryglowane drzwi swojej chałupy. Zresztą nie tylko przede mną. Mogłem próbować złapać go podczas jednej z włóczęg, na jakie udawał się po okolicy, tylko czy wówczas zechciałby ze mną rozmawiać? Szczerze w to wątpiłem. Zrobię to, na sam koniec, jeśli nie będę miał już innego wyjścia, jeśli wszystko inne zawiedzie, postanowiłem. Przed samym wyjazdem, który planowałem za kilka dni.

A na razie wpatrzony w sufit próbowałem znaleźć kogoś wśród mieszkańców okolicy, z kim mógłbym zamienić jeszcze parę słów, kogoś, kto wniósłby coś nowego do sprawy. Na białej powierzchni nad moją głową przesuwały mi się niczym figury w talii kart twarze postaci zapamiętanych z pobytu tutaj. Przy każdej potrząsałem w myślach przecząco głową. Nie wiem, jak długo trwał ten przegląd kadr, ale – jak to często bywa – w pewnym momencie moje myśli zaczęły odpływać w innym kierunku, a galerię portretów na suficie zastąpiła jedna, młoda kobieca twarz w zbyt intensywnym makijażu. Uśmiechała się zachęcająco i dawała kolejną szansę. Co mnie powstrzymywało? Czym ryzykowałem? Tym, że się zakocham? Zakochanie... Broniłem się przed tym stanem od lat. Skutecznie. Uważałem, że to uczucie właściwe dla młodych, że dojrzałym ono zwyczajnie

nie przystoi, że zakochany człowiek traci rozum, zachowuje się jak idiota, absurdalnie, jest po prostu śmieszny. Te wszystkie romantyczne porywy jedynie mnie bawiły. Czułem się od tych, jak mi się wydawało, głupot wolny. I teraz, nagle, po latach, po zaledwie jednym spotkaniu na myśl o niej, o tej młodej siksie serce zaczynało walić mi jak młotem. Nie chciałem tego, a z drugiej strony nie miałem siły się temu przeciwstawić. Zadzwonię, postanowiłem. Teraz, zaraz. Na pewno jej głos wyda mi się prostacki, to co powie – banalne, rozmowa – rozczarowująca. Będzie to trochę przykre, ale przynajmniej raz-dwa wszystko wróci do normy, serce zacznie bić swoim spokojnym rytmem, bez wzruszeń i porywów.

Poderwałem się gwałtownie z tapczanu i rażnym krokiem wyszedłem na schodki przed drzwiami czworaków. Unosząca się nad wsią mgła w tym momencie nieco się rozwiała. Mogłem dostrzec zarysy spichlerza, w którym pracował Oskar. Wiedziałem, że stojące otworem pomieszczenie w pałacu, służące gospodarzowi za biuro, gdzie znajdował się jedyny we wsi telefon, było teraz puste. Mogłem spokojnie, bez skrępowania porozmawiać, o ile tylko Magda podniesie słuchawkę. Już miałem skrócić w lewo i udać się w tamtym kierunku, kiedy nagle przez bramę na pełnym gazie, dzwoniąc na bruku podskakującą pustą przyczepą, wpadł na podwórze ciągnik prowadzony przez Antka. Za nim, wymachując rękoma, biegło kilku młodych łebków. Traktor zatrzymał się gwałtownie przed otwartymi na oścież drzwiami spichlerza. Antek wyskoczył z niego jednym susem i pognał do wnętrza budynku. Usłyszałem podniesione, nakładające się na siebie głosy. Z niewyraźnych, szybujących nad folwarkiem krzyków zdołałem wyłowić tylko jedno słowo: wypadek. Oskar oraz pracujący z nim w spichlerzu jeden z robotników wybiegli na zewnątrz i wsiedli na przyczepę ciągnika, Antek odpalił maszynę i rozpoczął manewr zawracania. Ruszyłem biegiem w stronę bramy, pragnąc

przeciąć im drogę. Wysłany przez Oskara Stalon pędził w przeciwnym kierunku, do pałacu.

– Co się stało?! – krzyknąłem w stronę Oskara, kiedy nasze drogi się przecięły.

Wyciągnął do mnie rękę i pomógł wgramolić się na przyczepę.

– Kurc przypierdolił kombajnem w drzewo, ktoś jest ranny.

– W drzewo? Na polu? – zdziwiłem się, łapiąc dłonią za burte podskakującej na nierównościach przyczepy.

– Nie na polu, tylko na szosie. Zjeżdżał, bo podajnik się zapchał. Zresztą zaraz się przekonamy, bo nic nie mogę zrozumieć z tego, co oni wrzeszczą. – Pokazał ręką w stronę kabiny ciągnika i rękawem otarł pot z czoła.

Tuż za wsią masywna, zielona sylwetka kombajnu stała w poprzek szosy, tarasując przejazd. Lewa strona hederu wrzynała się na wysokości ludzkiej głowy w korę szerokiego rosnącego na poboczu drogi klonu, oplątując go pogiętymi stalowymi elementami nagarniacza uszkodzonego w wypadku. Wokół maszyny kręcił się podekscytowany tłum gapiów. Przepchnęliśmy się przez stłoczoną ciżbę. Asfalt, od wielkiego przedniego koła kombajnu po rów, pokrywała ciemnoczerwona wstęga świeżej krwi. Znad uschniętych gęstych chwastów porastających pobocze unosiła się kudłata głowa Kurca, który pochylony razem z Sylwkiem Bulerą ciągnął z wysiłkiem coś ciężkiego w kierunku najbliższych zabudowań. Pobiegliśmy w tamtą stronę. Kurc z Bulerą trzymali za ręce nieprzytomnego z bólu Wojtka Gruszczyńskiego, którego półprzymknięte oczy zachodziły mgłą, na brudnych dżinsach, w okolicy bioder i ud, czerniły się brunatne wilgotne plamy krwi przemakającej przez gruby materiał.

– Co wy, kurwa mać, robicie?! – zawołał z rozpaczą w głosie Oskar.

– Trzeba go odciągnąć jak najdalej – odpowiedział, stękając z wysiłku, Kurc. – Najlepiej do tych budynków. – Wskazał za

siebie głową.

– Oszałeliście?! Po co? – Oskar podbiegł do dwójki ciągnącej rannego i zaczął wyrywać z ich dłoni ręce Wojtka.

– Powie się, że wypadł z okna, z piętra i się połamał. – Buler, nie zwracając uwagi na zabiegi Oskara, w dalszym ciągu szarpał się z bezwładnie zwisającym ciałem.

– Porąbało was? – Oskar wdał się z Kurcem w szamotaninę. – Zrobicie mu jeszcze większą krzywdę.

– Nic mu się nie stanie – nie odpuszczał kombajnista. – Przeciągniem go delikatnie. Zara asfalt spłucze się wodą z wiadra, a maszynę odholuje na linie ciągnikiem.

– Co ty gadasz? A ci wszyscy ludzie? – Oskar pokazał na stojący wokół uszkodzonego kombajnu tłum.

– Spokojnie, nikt pary z gęby nie puści. – Kurcowi wydawało się, że zdoła przekonać szefa.

Od tyłu dokuśtykała do nas na spuchniętych nogach Bulerowa. Szpetne babsko za każdym razem, kiedy tylko dochodziło do jakiegoś wypadku, pojawiała się w samym centrum wydarzeń niczym demon nieszczęścia i zawsze miało do wtrącenia swoje trzy grosze.

– Ma rację, panie Oskar – wychrypiała i podrapała się w nadgarstek pokryty jasnymi strupami – tutaj, choćby stało się najgorsze, i tak nikt za nim nie będzie płakać. A nawet ludzie poczują ulgę, bo po co to takie żyje? I jeszcze przez trutnia dobry chłopak może do więźnia trafić. Daj pan...

– I tak już za późno – przerwał jej Oskar – za chwilę będzie tu pogotowie. Kazałem wezwać karetkę. – Jeszcze raz spróbował wyrwać ręce nieprzytomnego Wojtka ze stalowego uścisku ciągnących go mężczyzn. – Zostawcie go!

– Tak? – Kombajnista puścił ramiona ofiary wypadku i stanął twarzą w twarz ze swoim pracodawcą. – A kto za to beknie? Pan i ja! Chcę nas ratować! Maszyna jest niezarejestrowana! – syknął z naciskiem i skulił się, jakby gotował się do skoku.

– Na sam dojazd do pola nie trzeba rejestrować – powiedział uspokajająco Oskar.

– Nie trzeba, ale nie wolno jechać z przypiętym hederem, trzeba ciągnąć go z tyłu!

– Trudno, biorę to na siebie. Ty, Kurc, się tym nie zajmuj – twardo powiedział Oskar.

– Jak tam pan chcesz – niechętnie zgodził się zrezygnowany Kurc i usiadł w rowie, sięgając do kieszeni po papierosy – ale, mówię panu, panie Oskar, że będą z tego tylko kłopoty.

Czekaliśmy na przyjazd karetki. Za plecami słyszeliśmy komentarze. Próbowaliśmy dowiedzieć się od Kurca, co się właściwie stało, ale obrażony udzielał jedynie zdawkowych, nic niemówiących odpowiedzi. Bardziej skora do wyjaśnień była, jak zwykle doskonale poinformowana o wszystkim, Bulerowa. Powoli, łącząc fragmenty padających z tłumu podekscytowanych opowieści, z burkliwymi wypowiedziami kombajnisty i tym, co mówiła trajkocząca kobieta, udało nam się odtworzyć przebieg zdarzenia.

Kurc od początku nie był przekonany do wyjazdu w spowite mgłą pole, dlatego kosił grykę z zawziętą gwałtownością, oczekując z każdą chwilą awarii kombajnu. Tymczasem nic takiego nie następowało. Metr za metrem, obrót za obrotem maszyna posuwała się po łąkach, zbierając kolejne rzędy roślin, zbiornik zapełniał się orzeszkami, a na ściernisku pozostawały czerwone smugi wyplutej, wymłóconej gryczanej słomy. To powodowało, że w Kurcu narastał gniew. Zamiast złośliwej satysfakcji, której oczekiwał, a która nie nadchodziła, czuł niedającą się ugasić irytację. Raz i drugi zrzucił z pełnego zbiornika ziarno na przyczepę. Antek odstawił zbiór do spichlerza i kiedy wrócił na pole, a kombajn zbliżał się do znajdującego się niedaleko lasu zabagnienia, w podajniku coś zachrząściło, paski klinowe zaczęły ślizgać się na kołach zamachowych, naganiacz oplotły mokre czerwonebure łądygi.

Wreszcie, pomyślał Kurc i zatrzymał maszynę. Opuścił kabinę i wolno zszedł po schodkach ocenić straty. Tak jak przewidywał, cały mechanizm zapchany był mokrą słomianą miazgą. Czyszczenia i suszenia na co najmniej jeden dzień.

W pierwszym momencie poczuł ulgę, ale po chwili przyszła wściekłość na tego amatora Oskara. Kurc wskoczył do kabiny i pomknął w stronę folwarku. Chciał jak najszybciej ukarać szefa za jego dyletanctwo, święcić triumf, pokazując mu rozmiar zniszczeń, pogięte podzespoły, oszacować koszt naprawy, a na koniec powiedzieć: trzeba było mnie posłuchać! Mimo mgły, zniecierpliwiony, siedząc na skajowym fotelu, pędził tak szybko, jak tylko pozwalały na to rozmiary wielkiej jak mamut maszyny. Szosa była wąska, wysadzana na poboczach wiekowymi klonami, widoczność ograniczona, a heder kombajnu szeroki na sześć metrów. Kurc nic sobie z tego nie robił, zgrabnie slalomem klucząc pomiędzy drzewami. Pokonywał tę drogę setki razy, co mogło go tu zaskoczyć?

Niestety, zaskoczyło. I nie co, a kto. Durny Wojtuś, jak mówiono na niego we wsi, po raz kolejny wybrał się poszłajać po okolicy. Pojawił się przed kombajnem nie wiadomo jak i skąd. Siedzący w kabinie Kurc zdołał jedynie dostrzec jego wyłaniającą się z mgły głowę na wysokości hederu. Odruchowo wcisnął hamulec i z całej siły zakręcił kierownicą. Szarpnięte gwałtownie, skrętne, tylne prawe koło pojazdu dociśnięte masą maszyny, wpadając w poślizg, przesunęło się bokiem po szorstkim asfalcie. Stara opona nie wytrzymała. Ześlizgnęła się z felgi. Strzeliła dętka. Kombajnem zarzuciło. Potrącony hederem Wojtuś stracił równowagę i wpadł pod przednie koło maszyny. Zawadziło go jedynie zewnętrzną częścią bieżnika. Wystarczyło. Chrupnęły miażdżone kości miednicy i uda.

Pierwsze na miejsce wypadku przygnały bawiące się niedaleko w gliniance dzieci. Za nimi przybiegli zwabieni łoskotem giętej blachy dorośli. A potem pojawił się zjeżdżający z pola

z opóźnieniem w traktorze Antek, który wcześniej, korzystając z dobrodziejstwa przerwanych prac, próbował, osłonięty nieskoszoną gryką, zachachmęcić dla siebie litr czy dwa napędu. Wyciągnięto pokiereszowane ciało Gruszczyńskiego spod kombajnu i zaczęto się zastanawiać, co z nim dalej zrobić, a także, w jaki sposób zatrzeć ślady wypadku. Liczono na pomoc Oskara, po którego posłano Antka ciągnikiem. Żytko wyminął kombajn, zanurzając się traktorem w przydrożnym rowie, gnąc przy okazji zaczepy przyczepy. Nie takiej jednak pomocy spodziewano się po Oskarze.

Kiedy sanitariusze wieźli na noszach podłączonego pod tlen Wojtka, przez wieś przejechał radiowóz, migając niebieskim kogutem. Ze służbowego poloneza wysiadło dwóch funkcjonariuszy drogówki i rozpoczęli czynności. Zaczęło się mierzenie śladów, zbieranie danych ewentualnych świadków zdarzenia, ustalanie personaliów sprawcy. Kombajniście od razu podano do nadmuchania balonik, który wskazał wynik remisowy 0:0, Kurc na szczęście był trzeźwy jak niemowlę. Tłum gapiów natychmiast się przerzedził, a po chwili rozproszył zupełnie. Nikt nie chciał mieć do czynienia z policją, bo to nigdy nic nie wiadomo. Niby wezmą jedynie na świadka, a potem wmanewrują w jakieś nieszczęście. Ktoś powie jedno, ktoś inny coś przeciwnego i zaraz policja gotowa oskarżyć o składanie fałszywych zeznań, a przecież filozofowie już dawno, dawno temu odkryli, że nie ma jednej i tej samej prawdy. Każdy jeden widzi co inszego, twierdzono we wsi. Wrześniowianie hołdowali zasadzie, że od miejsc, gdzie pojawiają się mundurowi, lepiej trzymać się z daleka.

Nie mogli jedynie wycofać się Kurc z Oskarem. Zostałem jeszcze ja, z boku stał przyjaźniący się z kombajnistą Sylwek Bulera, który zachodził w głowę, jak pomóc kumplowi; co zeznać, żeby go nie pogrążyć, a jednocześnie nie mijać się z niezbitymi faktami, wynikającymi z pozostawionych na ziemi, odkrytych

przez przyrządy śladów, które policjanci zdążyli już wymierzyć, zapisać i obfotografować. Zza drzew policyjnym czynnościom przyglądały się zaciekawione dzieciaki.

Przydałem się i ja. Oskar sięgnął do kieszeni i wyciągnął kluczyki swojego volvo.

– Znajdź Koleckiego – poprosił, wręczając mi je wraz z dokumentami – powinien sprzątać drogę nad jeziorem. On ma prawko. Powiedz, żeby wziął Antka i niech razem jadą do szpitala w Miasteczku zobaczyć, co się dzieje z Wojtkiem. Mają nie wracać, dokąd czegoś pewnego nie będzie wiadomo.

– Ja pojedę – zaproponowałem.

– Nie, ty zostań. Nie wiem, co oni wymyślą – pokazał na policjantów. – Może mnie zabiorą ze sobą. Jeśli chcesz pomóc, bardziej przydasz się tu na miejscu, niż siedząc i czekając bez sensu w szpitalu.

Koleckiego na nadjeziornej drodze nie było. Zamiótł zaledwie kilka metrów betonu, a potem korzystając z zamieszania spowodowanego wypadkiem, dał nogę, porzucając miotłę związaną z brzoźowych witek. Znalazłem go dopiero w sklepie, kręcił się obok lady, najwyraźniej czekał, aż pomieszczenie opustoszeje i bez krępacji będzie mógł zamówić alpage. Machnąłem na niego ręką i wyszedłem na schodki przed drzwiami.

– Pierdołę, nie sprzątam, nie ma głupich – wypalił bez wstępów, kiedy tylko stanął obok mnie. – Trudno, niech piła idzie w chuj, ja tam nad jezioro nie wrócę.

– Ja nie w tej sprawie. – Wyciągnąłem w jego stronę uspokajająco dłoń.

– Nie żartuję! Nie wracam tam. Róbta sobie z tą drogą, co chcecie, ale beze mnie. Pan wiesz, co tamuj się dzieje? Zdążyłem ledwo kilka razy miotło machnąć, a tu jak nie zabalgocze w trzcinie. A potem nad wodą z tej kurewskiej mgły krzyż zaczął się układać. Aż mnie coś w gardle ścisnęło. Mówta sobie, zem

tchórz, a ja i tak nie wrócę.

– Wierzysz w takie rzeczy?

– A co mam nie wierzyć? – Na jego ptasiej twarzy odmalowała się mieszanina przerażenia i złości. – Przecież pan doskonale wiesz, co tam się stało. Ja tu jestem nowy, przysłali mnie pod koniec PGR-ów, z Gęśli. Nie chciałem, ale nie było wyjścia. Teraz człowiek trzyma się chałupy. Nowy nie nowy, ale co tu było kiedyś, doskonale wiem. Rodzina moja ze wschodu – tera można o tym głośno gadać – więc znaki czytać potrafię. Rozumim, co taki krzyż oznacza. Mówiłem, żeby się do jeziora nie zbliżać, nie budzić licha, to się Oskar uparł. Sam mieszka najbliżej, pierwszy oberwie.

– A ty jak sądzisz, co to mogło być? Tamci?

– Panie Roman, po co o tym gadać? Lepiej siedzieć cicho. Jak nikt się nie grzebie w tych starych sprawach, to i tamci dają spokój. Jest cisza. Ale jak tylko zaczyna się im przeszkadzać, to zara dadzą popalić. Zostaw pan, tak będzie dla wszystkich dobrze. – Podrapał się w nos, a potem kręcąc głową, dodał z rozpaczą w głosie. – Podkusiło mnie z tą piłą! Oskar się uparł, żebym tam szedł i patrz pan, od razu przyszło na niego nieszczęście. Podobno był jakiś wypadek, kombajnem?

– Był! A właśnie, prawie zapomniałem...

– Ktoś zginął?

– Nie, Wojtek Gruszczyński jest ranny.

– O, widzisz pan! Przyszli po swojego. Z taką mgłą nie ma żartów. Żeby tylko na mnie się nie zasadzili. – Zaczął rozglądać się po okolicznych krzakach, tak jakby miał z nich ktoś wyskoczyć. – Mówię, zostaw to pan. Ani słowa więcej o tym.

– Dobrze. Posłuchaj Kołecki, piłeś coś?

– Nie, ale zara wypiję. – Pokazał na drzwi za swoimi plecami.

– Czeka! Poważnie pytam.

– A ja poważnie odpowiadam. Zara wypiję, bo na trzeźwo z tym nie da rady.

– Nic nie wypijesz. Pojedziesz do Miasteczka. Samochodem pana Oskara...

Policja nie zabrała ze sobą Oskara, pozostawiono w spokoju także Kurca. Obu wręczono jedynie wezwania na przesłuchanie na kolejny dzień i nakazano uprzątnąć szosę. Przywołany z pola Czółko po zaczepieniu liny holowniczej dużym ciągnikiem odciągnął kombajn od drzewa, pomógł ustawić go na szosie, a potem maszyna już o własnych siłach, z flakiem w tylnym kole potoczyła się wolno na podwórze. Tam Oskar rozpuścił wszystkich do domów, a sam, nie mówiąc ani słowa, udał się do swojej części czworaków i głośno zatrzaskał za sobą drzwi. Chciał zostać sam i należało to uszanować.

Przytknąłem szyjkę butelki do ust i pociągnąłem głęboki haust wódki. Paliła gardło. Skrzywiłem się i chuchając, rozejrzałem w poszukiwaniu popitki lub zakąski. Niczego, co by się nadawało, nie zauważyłem. Oskar, widząc mój błędzący po pokoju wzrok, pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się kwaśno. Bez słowa odebrał ode mnie flaszkę i już szykował się do wypicia kolejnego łyka, kiedy od strony bramy usłyszeliśmy warkot motoru.

– Długo ich nie było, co? – Język Oskarowi zaczynał się plątać. – To dobry czy zły znak? Ano zaraz się przekonamy – powiedział i wyszedł przed dom.

Volvo podjechało ostrożnie i zatrzymało się obok prowadzących do kuchni schodków. Zgasł silnik, zgasły światła. Na chwilę okolicę spowiła ciemność. Potem Oskar wdusił przycisk długiej, piekielnie mocnej latarki policyjnej i skierował snop światła na samochód. Ciszę mącił jedynie wydobywający się z mieszkania śpiew Bowiego. Trzasnął zamek i powoli, ze skrzypieniem, od strony pasażera otworzyły się drzwi auta, przez które z wnętrza wysiadł Antek. Stał przed nami i drżącą ręką wyjął butelkę z dłoni Oskara. Pił łapczywie. Grdyka poruszała się miarowo, odliczając kolejne wlewane do gardła pięćdziesiątki. Staliśmy z Oskarem jak zahipnotyzowani, nie

potrafiąc wydobyć z siebie słowa i czekając cierpliwie, aż Antek skończy i przekaże nam wieści ze szpitala. Ale Antkowi się nie spieszyło. Oderwał flaszkę od ust i przyglądał się na zmianę to Oskarowi, to mnie. Wyglądało to tak, jakby bawił się naszym napięciem, naszą niepewnością. Za jego plecami stanął Kołeczki, potęgując nastrój wyczekiwania, nawet Bowie zamilkł. Nagle od strony drzew coś zaszeleściło gwałtownie i w wąskiej przestrzeni pomiędzy naszymi głowami a zwisającymi nisko gałęziami wiekowej lipy rosnącej przed domem przeleciało, niemal zawadzając o nasze czupryny, skrzeczące ptaszysko pokaźnych rozmiarów. Poczulem we włosach wzniecony skrzydłami powiew powietrza. Wszyscy czterej podskoczyliśmy wystraszeni.

– Sowa – odetchnął Antek i uspokajająco machnął ręką. – Kiedyś, chłopakiem jeszcze będąc, złapałem z bratem jedną w lesie. Zanieśliśmy do komórki. Ale wszów miało kurwisko...

– Antek – przerwał mu otrzeźwiony, jakby wyrwany z hipnotycznego stanu Oskar – co ty mi tu pieprzysz o jakiejś sowie. Mów natychmiast, co z Gruszczyńskim?

– Bedzie żył – odpowiedział obrażony Antek.

– A coś konkretniejszego? – Oskar wyciągnął w jego stronę paczkę papierosów.

– Ja to się nie wyznaje na tych doktorskich sprawach. – Antek brudnymi palcami z długimi paznokciami, pod którymi czerniła się żałoba, wysupływał fajkę z wymiętoszonej paczki. – Miał operację. Tera śpi nieprzytomny.

– Uszkodzona miednica i połamana noga – wtrącił z drugiego rzędu Kołeczki, również sięgając po papierosa. – Więcej nie zrozumielim, ale Antek ma rację, doktor powiedział, że jego życiu nic nie zagraża. Tak się wyraził.

– Bogu dzięki. – Oskar przypalił papierosa i pociągnął z butelki resztkę alkoholu.

– Panie Oskar, a jak będzie z moją piłą? – Kołeczki spuścił głowę i patrzył na Oskara spode łba. – Odrobiłem?

– A idź w cholere! – Oskar odwrócił się na pięcie, ruszył chwiejnym krokiem w stronę swojego mieszkania. Odchodząc, rzucił jeszcze za siebie – zabieraj sobie tę piłę i nie pokazuj mi się na oczy!

*

– W zasadzie, ten tego, informacji udzielamy jedynie najbliższej rodzinie – doktor Andrzej Rymarz wypluwał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Tylko zdaje się, że on, ten tego, żadnej rodziny nie posiada? Mam rację?

Siedzieliśmy razem z Oskarem na wprost doktora w wytartych fotelach w pokoju lekarskim oddziału chirurgicznego szpitala w Miasteczku. Przed nami w ciężkiej kryształowej popielnicy stojącej na niskim stoliku ze szklanym blatem tliły się trzy papierosy. Unoszący się z nich dym łączył się w jeden snop, który niby znaki z indiańskiego ogniska wędrował ku sufitowi. Rymarz chwycił szklanekę wypełnioną czarną jak smoła zimną kawą plujką i siorbiąc, pociągnął spory łyk płynu. Kciukiem ściągnął z języka osiadłe fusy, a następnie otarł palec o szklany spodek. Przeczesał tłuste, długie do ramion włosy, poderwał się od stolika, ściągnął kitel i włożył sztruksową marynarkę. Pomimo nieprzespanej nocy poruszał się po pokoju jak nakręcony, sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wciągnął nosem całą torbę białego proszku.

– Jego ojciec zmarł w zakładzie opieki kilka lat temu – wyjaśniłem – był kaleką, a matka i reszta rodziny zginęli w siedemdziesiątym siódmym. Może pan słyszał?

Potrząsnął przecząco głową, a z włosów na kołnierzu marynarki posypały się, wirując niczym śnieg w szklanej kuli, płatki łupieżu.

– Szlag by trafił – wściekł się lekarz, strącając dłonią z ubrania wstydlawy osad – w żaden sposób, ten tego, nie mogę sobie

z cholerstwem poradzić. – Spojrzał na mnie półprzytomnym wzrokiem. – Nie, nic, ten tego, nie słyszałem. A co?

– Nieważne. – Skoro sam nie mogłem niczego o sprawie się dowiedzieć, nie miałem ochoty wdawać się w wyjaśnienia. – Jest jeszcze podobno kuzyn, ale nikt nie wie gdzie. Może w więzieniu, a może za granicą. Nie wiadomo. Dlatego chcielibyśmy się dowiedzieć, co z Wojtkiem, i zaoferować pomoc, o ile to możliwe.

Wcześniej przez ponad pół godziny krążyliśmy z Oskarem po szpitalu, odsyłani z pomieszczenia do pomieszczenia – z rejestracji do pokoju pielęgniarek, od pielęgniarek do wiceordynatora, od niego do administracji, stamtąd wreszcie do lekarza dyżurnego – usiłując zasięgnąć informacji o stanie zdrowia Wojciecha Gruszczyńskiego. W końcu trafiliśmy we właściwe miejsce: kończący dyżur doktor Andrzej Rymarz operował wieczorem przywiezionego przez pogotowie z wypadku Wojtka. Był najlepiej poinformowany, ale podzielić się z nami tą wiedzą nie mógł, nie pozwalały mu na to przepisy.

– Pan jest właścicielem kombajnu, który go, ten tego, pokieroszował? – Lekarz przetarł przekrwione oczy. Trawiony kacem, milczący Oskar potaknął głową. Rymarz chwilę się zastanawiał, zaciągnął się końcówką papierosa, rozgniół niedopałek w popielniczce i dmuchnął dymem przez nos, niby byk na korridzie, wreszcie poderwał się po raz kolejny z tapczanu, na którym siedział, i zawołał nienaturalnie głośno. – A w dupie z paragrafami, ten tego, zaraz wam pokażę, co z nim! – Sięgnął po dużą kwadratową kopertę, z której wyciągnął rentgenowską kliszę. Pstryknął przełącznikiem, zapalając jarzeniowe światło, i przypiął klamrami zdjęcie do wiszącego na ścianie negatoskopu.

– To są kości miednicy naszego pacjenta – wskazał długopisem jasne plamy na fotografii – a w zasadzie to co z nich, ten tego, pozostało...

Trajkoczący jak katarynka doktor rozpoczął najeżony

medycznymi terminami wykład, z którego przy tempie, w jakim mówił, byłem w stanie zrozumieć wyłącznie pojedyncze słowa – chcieliśmy informacji, to ją otrzymaliśmy, najpełniejszą, jaka była możliwa, a że dla nas niestrawna, to już nie był problem Rymarza. W połowie tej perory szarpnięte przez lekarza zdjęcie wyskoczyło z negatoskopu i rzucone spłynęło na tapczan, a na jego miejscu pojawiło się kolejne, na którym widniało prześwietlenie strzaskanych kości uda Gruszczyńskiego. I znów z ust doktora popłynęły skomplikowane formułki. Rymarz rozpalał się w objaśnieniach, mówił z emfazą, tak jakby miał przed sobą lekarskich stażystów, świeżo upieczonych absolwentów akademii medycznej, z którymi chciałby się szczerze podzielić swoją wiedzą i doświadczeniem. Wreszcie, kończąc, po raz kolejny pstryknął przełącznikiem. Jarzeniowe światło zgasło, a doktor ze słowami: i tak to właśnie wygląda, padł wyczerpany na tapczan.

Zapadło milczenie. Spojrzeliśmy z Oskarem zdeorientowani na siebie. W jego oczach zobaczyłem bezradność, obrócił się w stronę lekarza i zmęczonym głosem, robiąc przeproszającą minę, powiedział:

– Panie doktorze, pan wybaczy, ale czy nie można by odrobinę prościej, bo z kolegą niewiele pojęliśmy z tego, co pan nam tu tak elokwentnie przedstawił?

Rymarz popatrzył na nas przekrwionym wzrokiem, w taki sposób, jakbyśmy go wybudzili z głębokiego snu.

– Prościej? Ten tego, prościej? No dobra. Stan pacjenta jest stabilny. Rozumiecie panowie? – Potaknęliśmy. – Jego życiu nic nie zagraża. – Uniósł brwi, jakby pytając, czy wszystko jasne. Czuliśmy się jak durnie, ale ponownie potaknęliśmy. – Jednak obrażenia są bardzo rozległe i mimo przeprowadzenia skomplikowanej operacji nie wszystko udało się poskładać. Będzie konieczny, ten tego, kolejny zabieg. Co najmniej jeden, a może i więcej. I nawet wówczas po długotrwałym leczeniu

i jeszcze, ten tego, dłuższej bolesnej rehabilitacji nie jest możliwy jego powrót do pełnej sprawności. Trudno w tej chwili precyzyjnie rokować, natomiast mówiąc krótko, ja osobiście widzę to tak: jest szansa i to, ten tego, dość spora, na odzyskanie częściowej sprawności w kończynach, na to, że pacjent w przyszłości będzie chodził, ale na to, że kiedykolwiek wybierze się na przykład na tańce, na pewno nie ma już żadnej nadziei. Paniatno?

Milczeliśmy przez chwilę wpatrzeni w popielniczkę na stole, nie wiedząc, co w tej sytuacji moglibyśmy powiedzieć. W końcu Rymarz wziął głęboki wdech i zakończył zaskakującą konkluzją:

– Rozumiem wasze zafrasowanie. W normalnych warunkach jest to tragedia, ale tutaj, ten tego, na naszym terenie spotkałem się z przypadkami, że podobne uszkodzenie ciała bywało przyjmowane jak dar boży.

– Renta – powiedział cicho Oskar.

– Dokładnie tak! Dostanie taki grupę inwalidzką, a chodzić może, choć kulawo, więc cieszy się z tego, że co miesiąc listonosz, ten tego, przyniesie rentę do domu. Darmowe pieniądze. Nie wiem, jak będzie z naszym pacjentem, ale bardzo możliwe, że właśnie tak. – Podniósł się i spojrzał na zegarek. – Czy mogę jeszcze, ten tego, jakoś panom pomóc?

– Byłaby szansa, panie doktorze, żeby do niego zajrzeć? – spróbowałem.

– Z medycznego punktu widzenia nie dostrzegam, ten tego, żadnych przeciwwskazań. Pacjent znajduje się na sali pooperacyjnej. Ale szczerze mówiąc, wątpię, żeby chciał i był w stanie z wami rozmawiać. Ból, ten tego, jest koszmarny, a środki uśmierzające mamy, jakie mamy, to bardziej placebo niż skuteczne medykamenty. – Otworzył drzwi na korytarz i uściśnął nam dłonie. – Tylko proszę pamiętać o odzieży ochronnej. Do widzenia.

Staliśmy niezdecydowani przed drzwiami sali pooperacyjnej

wystrojeni w papierowe, zielone kitle, czepki na głowach i ochraniacze na butach. Żaden z nas nie potrafił pierwszy nacisnąć klamki. Nagle Oskar gwałtownym szarpnięciem zerwał czepek z włosów, wcisnął mi go w dłoń i szarpiąc się z rękawami za małego kitla, powiedział nienaturalnie wysokim tonem:

– Nie dam dzisiaj rady. Idź ty, sam. Ja wpadnę do niego innym razem. Zresztą zaraz mam przesłuchanie, zobaczymy, jak to się skończy. Przejdę się, może to moje ostatnie chwile wolności.

– Nie przesadzaj!

– Wiem, wiem. Spotkamy się na rynku. Gdybym za długo nie przychodził, to wiesz, gdzie jest komenda?

Potaknąłem. Oskar odszedł, a ja, patrząc na jego oddalającą się sylwetkę, w duchu dziękowałem mu za ten brak, jak przypuszczałem, odwagi. Miałem okazję porozmawiać sam na sam z Wojtkiem Gruszczyńskim i jakkolwiek brutalnie i bezwzględnie to brzmiało, ten koszmarny wypadek uznałem za zrzącenie losu. Teraz nie miał szansy mi uciec. Oczywiście mógł unikać odpowiedzi, mógł milczeć, ale zwać przede mną nie miał jak. Moja w tym głowa, kombinowałem, żeby wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Być może stan, w jakim się znalazł, będzie sprzyjał zwierzeniom? Niewykluczone. Z bijącym sercem nacisnąłem klamkę. Po zaledwie dwóch minutach wychodziłem z sali z mieszaniną niecierpliwej nadziei i rozczarowania.

W pierwszej chwili w nozdrza uderzył mnie mdlący słodkawy zapach gnijących ludzkich ciał. Na ustawionych w przeciwnych krańcach sali łóżkach spoczywały dwie zawinięte w bandażu mumie podłączone do aparatury monitorującej. Leżący bliżej wejścia, na wznak, z kończynami na wyciągach Wojtek, gdy tylko mnie zobaczył, zacisnął oczy, tak jakby starał się odgonić natrętną marę. Po chwili je otworzył i nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, odezwał się słabym, przyduszonym cierpieniem głosem:

– Za dwa dni... Niech mi pan da dwa dni... Powiem wszystko...

Sam tego... chcę. Dwa dni...

*

Ciężkie chmury, które od kilkadziesiąt godzin spowijały niebo, rozstały się zupełnie niespodziewanie i ostre, padające ukośnie promienie słoneczne zaczęły macać mokry asfalt. Dopadły również przedniej szyby prowadzonej przeze mnie renówki. Zwolniłem oślepiony. Wracaliśmy z Miasteczka w zupełnie różnych nastrojach. Ja w pełnym oczekiwania podnieceniu, bo oto otrzymałem wiele mówiącą obietnicę: skoro Wojtek zapowiedział, że chce mi coś powiedzieć, coś, przed czym tyle lat uciekał, to najwyraźniej miał wiele do przekazania, być może informacje, które pomogą mi uporać się z dręczącym mnie problemem. Liczyłem się oczywiście i z tym, że wszystko, co od niego pojutrze usłyszę, nie będzie dla mnie żadną nowością, a być może konfabulacją dziwaka, który w jeden dzień stracił prawie wszystkich najbliższych i z bólu pomieszało mu się w głowie. Tak czy inaczej zbliżałem się ku końcowi. Jedno z dwojga: albo otrzymam klucz i rozwiklam tajemnicę, albo pozostanę z tym, czego do tej pory się dowiedziałem – a to sprawiało, że czułem miłe podekscytowanie. Oskar, przeciwnie, był w posępnym nastroju. Z przesłuchania wyszedł przybity. Niby dowiedział się od prokuratora, że nie grożą mu żadne sankcje karne, jednak kiedy zeszło z niego napięcie, poczuł silne znużenie, bezradność, być może nawet beznadzieję misji, jakiej podjął się na Pomorzu kilka lat wcześniej. Dotarło do niego, że materia, z którą się potyka, zaczyna go przerastać. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że traci entuzjazm, a wiedział, że gdy go zabraknie, całe przedsięwzięcie upadnie, a on poniesie klęskę.

Przekręcił pokrętko, gasząc radio. Nie zareagowałem. W uszach

mieliśmy jedynie pracujący miarowo silnik. Spojrzałem w prawo. Widziałem siedzącego posepnie młodego człowieka z inteligentną, przystojną twarzą. Chłopaka, który mógł spokojnie zgarnąć jedną z głównych nagród w toczącym się w Warszawie wyścigu szczurów, tymczasem wybrał życie przynoszące mu więcej goryczy niż profitów. Nieraz siedząc przy ognisku i słuchając jego opowieści, rozumiejąc potrzebę, jaka rodzi się czasem w ludziach do zostawienia miasta za sobą i rozpoczęcia wiejskiego życia, zastanawiałem się, czy musi się ona realizować akurat w takim miejscu? Czy nie lepiej zrobiłby, kupując dom na Mazurach czy w jakiegokolwiek innej sielskiej, spokojnej okolicy, gdzie nie szalałby postpegeerowski żywioł? Czemu upierał się właśnie przy mieszkaniu tutaj, gdzie co chwilę spotykały go bolesne rozczarowania? Czy ambicja jest na to wystarczającym usprawiedliwieniem? Jakkolwiek miło wspominałem półtoraroczny pobyt tu przed laty, to jednak z radością wróciłem po tym czasie do Warszawy. Może on powinien uczynić tak samo.

Podzieliłem się z Oskarem swoimi przemyśleniami. Spojrzał na mnie, jakby kompletnie nie rozumiał, o co mi chodzi, a potem pokazał ręką w lewo i powiedział tylko dwa słowa:

– Skręć tutaj.

Włączyłem kierunkowskaz i przepuściłem jadącą z naprzeciwka żółtą zastawę. A potem bez słowa jechaliśmy przez dwadzieścia minut wąską dróżką, tak wąską, że mieścił się na niej zaledwie jeden samochód. Żeby przepuścić kogoś jadącego z naprzeciwka, należało zjechać na bok, pomiędzy porastające pobocze drzewa. Za oknami pola, zaorane w wysoką skibę, po kilku kilometrach zamieniły się w bukowe lasy. Promienie słońca tańczyły na zaścielających poszycie czerwonych wilgotnych liściach, z których wystrzeliwały prosto w stronę nieba potężne drzewa pokryte gładką srebrzystą korą. Rozłożyste konary, mimo że pozbawione listowia, skutecznie

zatrzymywały promienie słoneczne. W lesie panował tajemniczy półmrok. Bajkowa scenografia, sprawiająca, że wewnątrz można było poczuć się jak jeden z bohaterów braci Grimm.

Dróżka wiła się ostrymi zakrętami, raz po raz pięła w górę wprost do szczytów wzniesień, zza których nie było widać dalszej części szosy, co sprawiało, że zbliżanie się do nich przypominało ruletkę, bo przecież z przeciwnej strony również mógł nadjeżdżać pojazd prowadzony przez nieświadomego naszej obecności kierowcę. Mimo niewielkiej prędkości, z jaką się poruszaliśmy, takie spotkanie twarzą w twarz, a raczej chłodnicą w chłodnicę, bez wątplenia nie należałoby do najprzyjemniejszych. Po przeskoczenia garbu na górze mknęło się w dół na złamanie karku niczym skoczek narciarski na rozbiegu.

Dalej buki rzedyły, a na ich miejsce pojawiała się brzezina wyrastająca z długich seledynowych kęp trawy, na której skrzyły się w promieniach słonecznych pękate krople deszczówki.

Sto metrów przed nami przez drogę przebiegło stadko jeleni. Już otwierałem usta, żeby skomentować ten majestatyczny widok, ale widząc kątem oka niewzruszoną minę Oskara, nie wydobyłem z siebie choćby najmniejszego westchnienia zachwytu. W milczeniu wjechaliśmy do Strzelina, gdzie na krzyżówce skręciliśmy w prawo. Za wsią zanurzyliśmy się pomiędzy pofałdowanymi łąkami, których granice wyznaczały hen, daleko, niemal na horyzoncie, ściany lasów. I znów wśród drzew dotarliśmy do miejsca wczorajszego wypadku. Minęliśmy kilka ceglanych chałup i ponownie skręciliśmy w prawo. Brukowaną dziurawą drogą podjechaliśmy pod wiszącą na jednym zawiasie bramę, za którą majaczyła w dole zniszczona pałacowa wieża. Zatrzymałem się i spojrzałem na poprzesywaną kamieniami tablicę:

TEREN PRYWATNY

Czekałem, aż Oskar wysiądzie z samochodu i odkręcając łańcuch, uwolni skrzydło bramy, tymczasem on siedział bez ruchu i wciąż nie odzywał się ani słowem. Siedziałem i ja. Minęło kilka minut. On wyglądał, jakby coś w sobie ważył. Wreszcie westchnął, przetarł dłońmi twarz i zaczął mówić, powoli cedząc słowa, jak gdyby zależało mu na tym, aby ani jedno nie umknęło mojej uwagi:

– Ludzie krążą po ziemi, przemieszczają się, zmieniają miejsca zamieszkania, emigrują. Z różnych powodów. Najczęściej, żeby poprawić sobie warunki bytowania. Jadą tam, gdzie żyje się łatwiej, gdzie więcej mogą zarobić, kombinują tak: gdzie pełno w garze, tam mniej zmartwień. Czy są szczęśliwi w tych nowych miejscach? Trudno mi powiedzieć. Wiem jedno, ja bym na ich miejscu nie był. Uważam, że pełna micha nie rozwiązuje wszystkich problemów. A w zasadzie żadnych. Dla mnie najważniejsze to znaleźć swoje miejsce na ziemi. Miejsce, gdzie bez względu na okoliczności, przeciwności losu, ludzką głupotę, niezgadzacą się ekonomię i co tam sobie złego jeszcze wymyślisz, będziesz czuł się dobrze. Większości, z różnych powodów, nie udaje się takiego miejsca odnaleźć. Ja mam to szczęście, że mnie się powiodło. Więc cokolwiek się stanie, wypadek nie wypadek, straty czy zyski na polach, kataklizmy – te naturalne i te wywołane przez ludzi – ja i tak będę happy. Z tego jednego powodu, że tu mieszkam. Może się zdarzyć oczywiście, tak jak dzisiaj, że najdą mnie wątpliwości, czarne myśli, że poczuje się przytłoczony, będę miał ochotę pierdolnąć to wszystko w cholere. Tak się raz na jakiś czas dzieje. Ale zapewniam cię, że trwa to zaledwie chwilę, a potem siądę sobie z kawą na schodkach, poczuje, jak czas tutaj inaczej płynie, i znów, po raz nie wiem już który, podziękuję Bogu, że pozwolił mi odkryć tę okolicę i osiedlić się we Wrześniowie. Inni mają swoje rajskie wyspy, Prowansje, Tajlandie czy słoneczne Kalifornie, a ja Antka, listopadową siermięgę, rozbity kombajn na

podwórzu i zarwaną bramę – pokazał przed siebie – ale ruszyć się stąd nie zamierzam. I oby nigdy nic nie zmusiło mnie do wyjazdu!

Wysiadł z samochodu i ruszył mocować się z łańcuchem oplatającym skrzydło bramy.

*

Żniwa były zakończone. Na polu pozostało wprowadzić jeszcze ze dwa hektary nieskoszonej gryki, ale nie było ani czym jej zebrać, ani gdzie sprzedać. Wszystko co dało się z nią zrobić, to zaorać. Przy arealach, jakimi zarządzał Oskar, nie była to wielka strata. Wypadało urządzić dożynki. Tego oczekiwał każdy, kto w mijającym sezonie pracował u mojego gospodarza w polu. Wczorajszy wypadek, dzisiejsza wizyta na komendzie, podły nastrój, jaki później ogarnął Oskara, wszystko to sprawiało, że nie miał on ochoty na organizowanie jakiegokolwiek imprezy, na świętowanie czegokolwiek. Wiedział jednak, że dla pracowników nie było to żadne usprawiedliwienie. Podobne wypadki zdarzały się w tej i okolicznych wioskach nagminnie, Wojtuś, jak powiedziała Bulerowa, nie był osobą, za którą ktokolwiek we Wrześniowie roniłby łzy, a nastroje szefa to już jego osobista sprawa. Ludziom należała się zabawa na koszt pracodawcy i Oskar, jeśli tylko chciał utrzymać we wsi pozycję i autorytet, musiał ją zorganizować bez względu na to, czy miał ochotę, czy nie.

W południe przyjechały ciężarówki. Dwie wysokotonowe wywrotki. Miały zabrać ziarno do portu w Kołobrzegu. Mężczyźni z szuflami w dłoniach stanęli do załadunku. Chciałem pomóc i ja. Oskar poprosił mnie jednak o coś innego. Sam musiał jechać z towarem, dopilnować sprzedaży gryki, a mnie powierzył zadanie rozpoczęcia przygotowań do dożynek, które

zaplanowano na wieczór następnego dnia. Przede wszystkim należało uprzątnąć pałacową salę balową, bo pogoda była zbyt niepewna na ryzykowanie zabawy na powietrzu. Później miałem z pobliskiej świniańni odebrać zaszlachtowanego prosiaka i przewieźć go do kuchni w najbardziej eleganckiej z miasteczkowych restauracji. Tam według planu biedne zwierzę miało zostać napchane kaszą, upieczone, by kolejnego dnia z jabłkiem w pysku wylądować na dożynkowym stole. Oskar tłumaczył mi, że zamierzał postąpić bardziej oryginalnie i zamówić na imprezę pieczonego barana, ale okazało się, że czasu jest zbyt mało i zarżnięty tryk nie zdążyłby się odpowiednio długo wymoczyć w mleku. Będzie świnia, na nasze wsiove podniebienia wystarczy, powiedział mój gospodarz, wręczając mi zapisany na karteczce adres świniańni z nazwiskiem dogadanego w sprawie pracownika. Resztę zakupów miał już zrobić sam, następnego dnia.

Wyposażony w plenipotencje Oskara, po rekonesansie, jaki zrobiłem w pałacu, ruszyłem do wsi zorganizować ekipę sprzątającą. Potrzebowałem czterech kobiet i dodatkowo dwóch silnych chłopaków. Sala była zawałona ciężkim sprzętem używanym podczas remontu, trzeba było go wynieść, a następnie wyszorować zapuszczoną drewnianą podłogę, odkurzyć stare mahoniowe boazerie pokrywające ściany do wysokości dwóch metrów, przepalić w dawno nieużywanym kominku, wymyć schody i podest służący w lepszych czasach orkiestrze. Wnieść do środka stoły i krzesła. Zadbać o chociaż skromną tradycyjną dożynkową dekorację – snopki, wieńce... Minąłem bramę i przystanąłem, zastanawiając się, w którą stronę iść. Pierwszą kobietą, jaka przyszła mi do głowy, była Maryśka Czyżykowa, ale szybko odrzuciłem tę kandydaturę. O ile nie była o tej porze już pijana, to pewnie w trakcie pracy zabrałaby się do butelki. W najlepszym razie, jeśli tego dnia nie zarobiła na niczym uzbieranym w lesie, a sklep nie wydał jej flaszki na zeszyt,

mogłaby wytrzymać bez picia do wypłaty na koniec roboty, ale jaka byłaby z niej pociecha, nie dość, że chuchro, to jeszcze z trzęsącymi się od przepicia rękoma, wiekowa i słaba. Zdecydowanie potrzebowiałem sprawniejszych kobiet. Następnie pomyślałem o Bulerowej, jednak i ją zaraz skreśliłem. To brudne, pokryte strupami babsko, mimo że silne, miało taki syf we własnej chałupie, że gdyby postarała się przenieść domowe standardy do sprzątaney sali, to musielibyśmy zapuszczone pomieszczenie, zamiast wyczyścić, jeszcze dodatkowo wybrudzić. Skąd wziąć cztery kobity do sprzątania, zachodziłem w głowę. Przecież to niemożliwe, aby w tej trawionej ponaddziewięćdziesięcioprocentowym bezrobociem wsi nie można było znaleźć chętnych kobiet nadających się do prostej pracy. Żytkowa, żona Czółki! Olśniło mnie i zaraz przypomniałem sobie zaradną, kokietującą mnie podczas wizyty u Stefana szczupłą babkę. I sama niech sobie doberze trzy pozostałe, wykombinowałem, ruszając dziarsko przed siebie.

Minąłem zajmowaną przez Bulerów część chałupy. Nagle zatrzymałem się, zauważając w prześwitach pomiędzy przywiedłymi wysokimi chwastami, porastającymi kawałek gruntu przed fasadą, kilkanaście dziur wybitych w ciemnej cegle ściany. Ślady po ruskich pociskach. Nigdy wcześniej nie zwróciłem na nie uwagi, a przecież przechodziłem tędy przez półtora roku dziesiątki razy. A nawet teraz, przed dwoma tygodniami, gdy udawałem się z wizytą do Żytków, też ich nie spostrzegłem. Chociaż wówczas był wieczór, to mogło mnie usprawiedliwiać. Dziwne, na czym zatrzymuje się oko ludzkie. Na co zwraca uwagę. A raczej na co jej nie zwraca. Jakiś nieprzyciągający wzroku fragment mijanego codziennie krajobrazu, zamaskowany element tła w powiązaniu z konkretną historią natychmiast wyłazi na pierwszy plan, kłuje w oczy, domaga się uwagi, jakby naśmiewał się z naszego braku spostrzegawczości. Teraz dopiero dziwimy się, jak mogliśmy go

wcześniej przeoczyć. Przecież jest taki charakterystyczny. Czemu do tej pory nim się nie zainteresowaliśmy, nie próbowaliśmy dociec, skąd i dlaczego się tu znalazł? Podobnie było z odkrytymi w tej chwili wyrwami po kulach. Gdybym wcześniej je zauważył podczas pierwszego pobytu we Wrześniowie, zaciekawiał się, czym są dziełem, dowiedział się o pociągającym za spust czerwonoarmiście i tubylczym karnym komandzie, które zlikwidowało siejącego postrach żołdaka, może dziś szybciej rozwikłałbym zagadkę tragicznego świątecznego wieczoru siedemdziesiątego siódmego roku. Poznałbym już wówczas źródło konfliktu dzielącego wieś i zrozumiał dziejący się na moich oczach cud pogodzenia zwaśnionych stron, a potem – jakby zgoda była nienaturalną ingerencją w trwający od kilkudziesięciu lat stan rzeczy – łatwiej odpowiedział sobie na pytanie, czemu pragnąc wyrównać zachwiane proporcje, trzymające wcześniej wieś w równowadze, opatrność sprawiła, że grunt pod nogami rozstąpił się, grzebiąc w otchłani wszystkich, którzy odważyli się wystąpić przeciw ułożonym przez nią planom. Gdybanie. Nie zauważyłem dziur, tak jak wielu innych rzeczy, których w życiu nie spostrzegalem, albo spostrzec nie chciałem, jak na przykład ostatnio sygnałów wysyłanych w moją stronę przez dziewczynę w Koszalinie. Z wiekiem zaczynałem coraz częściej zerkać wstecz. A to nie napawało mnie optymizmem.

Czyżby chwycił mnie kryzys wieku średniego? Przed pięćdziesiątką – najwyższy czas. Nie spostrzegalem jednak u siebie owego kryzysu zewnętrznych albo, właściwiej byłoby powiedzieć, uzewnętrzniających się objawów. Na porsche wprawdzie nie było mnie stać, ale czy koniecznie do przeżywania takiego kryzysu potrzebne były pieniądze? Mógłbym kupić sobie motor albo wypacykować ciało tatuażami... mnie tymczasem nic z tych rzeczy nie pociągało. Więc może jednak nie dotknęła mnie jeszcze ta męska menopauza? Czyżby –

szeptał mi do ucha jakiś złośliwy troll, a mnie jakby coś chwyciło za gardło – to jak nazwiesz zauroczenie się o połowę młodszą siksą? Ale to przecież nie na pokaz, odpowiedziałem, po prostu coś mnie trafiło, wiek nie ma tu nic do rzeczy, mogłaby być równie dobrze moją rówieśnicą, nic by to nie zmieniło. Czyżby? Jeszcze raz usłyszałem schrypięty złośliwy chichot.

*

I na co było całe to sprzątanie, zastanawiałem się, patrząc na zamrozonego, leżącego górną połową ciała na stole Daniela Żytkę. Od jego ust w poprzek blatu ciekł wielobarwny strumyk rzygowin, kończąc swój bieg na krawędzi mebla, skąd jeszcze kilkanaście minut temu ściekał wąską kaskadą, tworząc na podłodze cuchnącą plamę. A i teraz co parę sekund od zwisającego ze stołu sopła odrywała się kropla i lecąc w dół z głośnym plaśnięciem, zasilala naleśnik z wymiocin rozsmarowany na pałacowym dębowym parkiecie. Chłopak nie wytrzymał narzuconego samemu sobie tempa spożywania darmowego alkoholu, a jego żołądek przyzwyczajony do wlewania w siebie jedynie niskoprocentowych alpag nie zniósł zderzenia z palącą, popijaną piwem czystą wódką. Wszystko przemawiało przeciw niemu; wyuczony na tanich winach sposób picia alkoholu duszkiem ze szklanek; towarzystwo starszych od niego, zaprawionych w bojach opojów; pobłażliwa wesołość, z jaką ojciec obserwował jego urywający się kontakt z rzeczywistością; a nawet podkład z prosiaka, który zamiast zneutralizować pity łąpczywie alkohol, posłużył za paliwo do erupcji kolorowego gejzeru, który wystrzelił z ust młodego Żytki. Teraz chłopak dogorywał, a upojone rozbawione dożynkowe towarzystwo nie zwracało sobie gówniarzem głowy. Może gdyby padł godzinę wcześniej, zanim wszyscy mieli już ostro

w czubach, ktoś poczułby wstyd za młodziaka przed miastowymi. Przejął się zaszarganą podłogą. Wyniósł nieprzytomnego i rzucił na słomę gdzieś w oborze. Starł śmierdzącą plamę. Ale w tej chwili było na to o kilka flaszek za późno. Nikt, włącznie z chwiejącym się na nogach Oskarem, nie przejmował się Danielem. Ot, jeszcze jeden element imprezowego krajobrazu.

Jako jedyny w miarę trzeźwy spośród imprezowiczów spojrzałem na otaczające mnie pobojuwisko. Poprzewracane puste butelki, kawałki rozdeptanego szkła, plamy od rozlanego alkoholu, rozrzucone elementy połamanych krzesel, walające się po podłodze wyschnięte kłosa z rozerwanych dożynekowych wieńców i snopków, dziesiątki przydeptanych wszędzie dookoła niedopałków, kilka siedzących po kątach postaci ze zwieszonymi głowami i kilka innych, tych, które zachowały resztki sił, by toczyć bełkotliwe dyskusje z Oskarem. Miałem przed oczami obraz mogący posłużyć za pointę mojego pobytu tutaj. Tego, co zastałem po powrocie, po osiemnastu latach. Tak jak egzystencja mieszkańców Wrześniowa w ostatnim czasie z powodu skrajnej biedy została zredukowana jedynie do walki o zaspokajanie najprostszycy potrzeb życiowych, tak i zabawa ograniczyła się do dawania upustu najniższym instynktom: nażarcia się i nachlania na cudzy koszt, w opór, ile się zmieści, na wyścigi, kto w siebie więcej wleje, jakby dla najwolniejszych miało czegoś zabraknąć, a jutro – nie nadejść. Przypomniałem sobie dożynki, w jakich uczestniczyłem przed laty. Brała w nich udział cała wieś. To było prawdziwe święto: konkursy z nagrodami, grająca orkiestra, tańce, wspólne śpiewy, rytuały, wiersze deklamowane przez szkolną dziatwę, wyróżnienia wręczane najlepszym pracownikom... owszem zdarzało się i mordobicie, a niejedni miłośnik trunków zasypiał w krzakach, jednak zarówno dyrekcja zakładu, jak i pracownicy szukali w zabawie czegoś więcej niż tylko bezkosztowego sponiewierania się. Dziś borykający się

z kulejącą ekonomią gospodarstwa Oskar, próbujący się przeciwstawić tubylczemu żywiolowi skażonemu tęsknotą za PGR-em, nie miał siły na organizowanie bardziej wyszukanej zabawy, a i przytłoczeni biedą miejscowi nie oczekiwali niczego więcej niż to, co właśnie otrzymali. Postpegeerowska piramida Masłowa. We Wrześniowie od pięciu lat zredukowana jedynie do najniższego piętra, do swojej podstawy.

Przed dogasającym kominkiem na stalowym stojaku spoczywały w pomarańczowej poświacie rzucanej przez ogień resztki rozbebeszonego prosiaka, z którego na wszystkie strony wysypywały się, niczym drobne monety z jednorękiego bandyty, ziarna gryczanej kaszy, rozdeptane i rozniesione po podłodze kilkunastoma stopami odzianymi w ciężkie buciory. Przyprawiającym o głuchy śmiech paradoksem wydało mi się, że świnie w restauracji nadziano akurat takim rodzajem farszu. Gryczaną kaszą, pochodzącą zapewne z jednej z tych kaszarni, które zmawiając się na płacenie zaniżonej ceny za ziarno, próbowały zaszantażować słabszych ekonomicznie rolników, takich jak Oskar; jednej z tych, z którymi Bukowski starał się walczyć, sprzedając grykę na statek wywożący ją za granicę. A teraz, jakby na przekór, wcinał ją razem z pracownikami, bez oglądania się na trwającą ekonomiczną wojenkę. Przypominało mi to oglądany na co dzień parlamentarny cyrk, w którym niczym na arenie polityczni zapaśnicy walczą zajadle, chwytając się za gardła i dusząc, na ile tylko sił i argumentów, wystarczy, by potem – kiedy reflektory i kamery wygasną – wspólnie, w koleżeńskej atmosferze przy żartach i kieliszeczku wódeczki zajadać się kolacyjką w sejmowej stołówce.

Podniosłem się z prowadzących na orkiestrowy podest schodków, na których siedziałem od kilkunastu minut, odganiając co chwilę pragnących napić się ze mną imprezowiczów. Na odgrodzonym drewnianą balustradą podwyższeniu z fantazyjnymi tralkami, zamiast grającego

zespołu ustawiona była błyskająca niebieskimi światełkami, milcząca od co najmniej godziny miniwieża. Miałem dość! Dość dożynek, dość Wrześniowa, dość swojej samozwańczej misji rozwiązywania ułożonych osiemnaście lat temu szarad. Chciałem już tylko porozmawiać z Wojtkiem i wracać do miasta, do Warszawy. Ruszyłem pokrytym wytartą marmurową mozaiką korytarzem w stronę biura. Przekręciłem włącznik, wysoko pod sufitem zajarzyła się żarówka, zalewając pomieszczenie żółtym, słabym światłem. Nie miałem zegarka, ale nie mogło być bardzo późno. Impreza rozpoczęła się wraz z zapadnięciem zmroku, bardzo szybko się rozkręciła i równie szybko zaczęła wygasać. Wolałem się upewnić. Podniosłem słuchawkę stojącego na biurku czerwonego zakurzonego tulipana i na tarczy telefonu wykręciłem trzy cyfry: dziewięć, dwa, sześć. Dwudziesta pierwsza zero siedem, zaintonował stanowczy kobiecy głos. Dwudziesta pierw... palcem nacisnąłem na widełki, nie odkładając słuchawki. Ostatnia próba, postanowiłem i ośmielony wypitymi wcześniej kilkoma kieliszkami wódki siedem razy wskazującym palcem przekręciłem w prawo tarczę aparatu.

Jeden sygnał, drugi... Wsłuchiwałem się w brzęczenie dochodzące z przystawionej do ucha membrany. Palcami lewej ręki bawiłem się poskręcany sznurem telefonu. Kolejny sygnał... Znowu nic! Zniechęcony wyciągałem rękę w stronę widełek, kiedy w słuchawce coś zatrzeszczało:

- Halo – poprzez szumy usłyszałem jej lekko schrypnięty głos.
- Cześć Magda, tu Roman.
- O, hej! – Sprawiała wrażenie, jakby ucieszył ją mój telefon. – Skąd dzwonisz? Z Warszawy?
- Nie, spod Miasteczka – odpowiedziałem nieco skonsternowany, chociaż powinienem był spodziewać się takiego pytania.
- Wróciłeś?
- Nigdzie nie wyjechałem.

Cisza.

– Słucham? – zapytała po kilkunastu sekundach krępującego milczenia.

– Nie musiałem nigdzie wyjeżdżać. Przeciwnie, miałem tutaj jeszcze coś do załatwienia.

– Zmieniłeś plany?

– Nie, już jak się widziałem z tobą, wiedziałem, że nigdzie, przynajmniej na razie, nie wracam.

– Dobrze – jej ton stał się lodowaty – rozumiem, że mnie po prostu oszukałeś?

– Ano oszukałem. – Zacząłem żałować, że dwie minuty wcześniej wykręciłem numer zapisany na kartce. – Teraz dzwonię to naprawić, o ile to w ogóle możliwe.

– Jak długo jeszcze tam zostaniesz?

– Dwa, najwyżej trzy dni. Potem jadę do Warszawy.

– Tak jak poprzednio? – zakpiła.

– Nie, tym razem nieodwołalnie.

Znów nastąpiło kilkanaście sekund krępującego milczenia.

– Wiesz co? Nie wiem, czy słyszałeś, że niektórzy, jak przychodzi wiosna, mają ochotę robić głupie rzeczy. A ja...

– Jakie głupie rzeczy? – wszedłem jej w słowo.

– O Jezu, bo ja wiem... na przykład stanąć na wiadukcie i pokazać cycki kierowcy przejeżdżającego pod spodem samochodu. Albo wykąpać się w ubraniu w fontannie na rynku.

– Rzeczywiście głupie.

– No, a ja mam ochotę zrobić coś głupiego na jesieni.

– Co takiego?

– Spotkać się z tobą.

– To aż takie głupie?

– Mądre nie jest. Ale co mi tam, mam ochotę!

– Kiedy? – Serce zaczęło mi walić. – Przyjadę, kiedy tylko chcesz.

– Gdybyś ty do mnie przyjechał, to nie byłoby to coś głupiego. –

Zaczęła się śmiać. A po sekundzie jej głos spoważniał, przybierając głęboki ton. – Ja przyjadę do ciebie. Chcesz?

– Chcę... – wychrypiałem przez zaschnięte w jednej sekundzie gardło.

– W takim razie będę jutro.

– Lepiej by było pojutrze.

– Stawiasz warunki?

– Jutro muszę coś załatwić. Coś, po co tutaj tak naprawdę przyjechałem.

Trzymała mnie chwilę w niepewności.

– Dobrze, niech będzie pojutrze – zdecydowała wreszcie. – Gdzie mam przyjechać?

– Odbiorę cię z PKS-u w Miasteczku.

– Będę. Pa. – Odłożyła słuchawkę, nie czekając na to, co odpowiem.

Nie chciałem, żeby przyjeżdżała do Wrześniowa. Była w wieku Oskara, prawie dwa razy młodsza ode mnie. Nie miałem ochoty się przed nim tłumaczyć. Mój czas tutaj dobiegał końca. Gdyby następnego dnia udało mi się porozmawiać z Wojtkiem tak jak planowałem, to pojutrze, odbierając ją z przystanku, nie musiałbym już wracać do Wrześniowa. Zostawiłbym wreszcie tę wieś za sobą. Rozliczył się z przeszłością. Moglibyśmy od razu pojechać do Warszawy. Jeśli tylko by się zgodziła. Jeśli...

*

Niech przysunie krzesło bliżej. No tu, gdzie głowa. Nie mam siły głośno gadać. Zreszto nie chcem, żeby to nasze gadanie kto usłyszał. Tylko wy i ja. Nikt więcej. Niech uważa, żeby łóżka nie dotknął, bo ono zara sprężynuje. A mie wszystko boli. Przy najmniejszym poruszeniu. Mówię mu, boli jak skurwysyn. Jak piguły przychodzi zmieniać opatrunki, to można się wściec, tak napierdala. Już dobrze, dobrze. Ma rację, lepiej się uspokoić, wtedy mniej łupie. Najgorzej jest w nocy. Spać nijak się nie udaje, tylko ból i ból. W dzień mniejszy, bo to i czymś człowiek się zajmie i podrzemie. A noc najgorsza. Ja to od dawna po nocach źle sypiam. Jak zasnę, to zara do mie przyłażo, więc nauczyłem się spać z rozwartymi oczami. Wtenczas myśło, że nie śpię i chowajo się po kątach. Ale niech tylko zamknę ślipia... Zara rozpełzajo się po pokoju. I szepczo. Cały czas szepczo. Jak to kto? Tamci. Nie wie? Znał ich przecie. Dawniej to nawet myślałem, że mi co we łbie się poprzestawiało, że to zwidy jakieś, wariactwo. Ale jak którego dnia rano zobaczyłem znaki na szafie, takie przebarwienia, linie, litery czy coś, jakby ludzko ręką zrobione, tyle że nikogo w domu nie było, to wiedział ja od razu, że to ony. I że ze mie jednak nie żaden wariat. A myśli, że ten mój wypadek to czyja sprawka? Wydaje mu się, że ja taki durny, żeby sam się pchał pod kombajn? Wepchnął mie. Kto, kto? Ciągłe tylko pyta kto?! Ukrainiec! Mści się pierdolony. Mgła? A owszem, mgła. Dlatego wylazł. Jak jest czyste powietrze, widno, to się bojo, siedzo w domu pochowane, na strychu, kryjo się za meblami. Dziwne tylko, że do łazienki nie wchodzi. Dlatego czasem tam sobie siedzę, żeby odpocząć. Ale w tako pogodę, w szarugę, robio się odważne, wylażo. A we mgłę to najbardziej, bardziej nawet niż w ciemko. Bo wtedy to człowiek nie jest niczego pewien, czy to, co widzi, to zwyczajnie tak się tuman kłębi, czy może to ony. Nie wiem, co mie podkusiło, żeby w te cholerne mgłę wychodzić, zamiast siedzieć na dupie w domu? Laził za mno od samej chałupy. Do lasu, na pole, i w ten zagajnik na oślej górce.

Chichotał i szeptał. Właśnie on, Ukrainiec, jest najgorszy. Przychodzą wszystkie dziewięć, ale z nim zawsze są tylko kłopoty. Czasem to się aż bałem, że mi coś złego zrobi. I proszę, doczekałem się. Chciałem go zmylić. Poszedłem dookoła, inaczej niż zwykle. Schowałem się za przydrożnego klona. Jużem myślał, że go oszukał, a ta cholera się zaczął i wypchnął mnie wprost pod kombajn. Kurc nie winien, nie miał szans mnie wyminąć. Doskonale jebany wybrał moment. Zabić pewnikiem chciał. Ale ze mną nie tak łatwo. Widzi, ciągle żyję. Nie udało mu się. Połamanym, ale dalej żywym.

Niech pomyśli, ile to już lat, jak do mnie przyłążyło. Próbował się już ich pozbyć. Na różne sposoby. Nic. Nawet kiedyś zakradłem się do kościoła, jak Mroczkowa sprzątała przed sumo, i z kropielnicy nabrałem całą butelkę święconej wody. Zlałem chałupę i też nie pomogło. Na wszelki wypadek zostawiłem trochę tej wody we flasce na dnie i jak się znów pojawiły, to dawaj na nich lać. Ale one tak sprytnie unikały tej wody i śmiały się w najlepsze. Niedoczekanie. Myślałem, że może się przyzwyczaję. Że nauczymy się jakoś żyć obok siebie, albo i razem. Nic z tego. Nie da się. Co ja bym dał, żeby sobie nareszcie poszły? Jak najdalej. I teraz tak sobie pomyślałem, że jak z kimś pogadam, opowiem, to może się ode mnie wreszcie odczepio.

Niech poczeka. Mówić nie mogę. Sucho. Tamuj jest woda. Niech poda. Pić nie wolno, tylko moczyć usta. O tak. Podziękować. Niech odstawi tam dalej. Teraz lepiej. Mówio, że będzie potrzebna jeszcze jedna operacja. Chodzi taki doktor. Pachnie papierosami. On zadecyduje. Nie wiem, jak to wytrzymam. Może lepiej by się z tej narkozy już nie obudzić. Wszystko by się nareszcie skończyło. Jak to mówio, spokój to się ma dopiero na tamtym świecie. A życie boli. Tak jak teraz nogi albo tu w środku. Byle nie skończyć jak ojciec. Na wózku. Pamięta? Co to była za mordęga. Jeszcze jak matka żyła. Ona nie chciała przy nim robić, to nieraz, jak się obsrał, to leżał tak albo

siedział wysmarowany w gównie. Smród na całe mieszkanie, ale kaźden się brzydził do niego dotknąć, posprzątać. A mie się wydaje, że matka to tak specjalnie. Mściła się. Ona mie kazała przy nim robić. Oporządzać. Jak nie chciałem, to za kabel łapała i próbowała łać. Uciekałem. Biegłem zawsze wtedy do... No biegłem... Do kuzyna.

O niego niech nie pyta. Gdyby wiedział, że ja tu z wami, toby... nawet nie chcem o tym myśleć, co by zrobił. Nieobliczalny. Nawet jak siedzi, toby koleżków spod celi nasłał. Mie to już wszystko jedno. Co mi robi? Bardziej połamie? Ale wam? Kulasy by poprzetrącał albo co gorszego. Do wszystkiego jest zdolny.

Ech! Jak ja matki wtedy nienawidziłem. Wiem, źle tak mówić o nieboszczce, ale taka prawda. Za tego biednego ojca. A jego się brzydziłem. I niech patrzy, na co przyszło, tera mie to samo grozi. Tylko że ja czuję, a ojciec nic, zupełnie. Może być, że skończę jak on, na wózku. Dlatego potrzebna jeszcze jedna operancja. Doktor mówi, że po niej jest duża szansa, że będę chodził. Byle nie jak ojciec. Byle nie jak on. Niech słuha dobrze i sam oceni. Na początku, po tym, jak ojcowi ten kręgosłup przestrelili, to my mieszkaliśmy w blokach, tego nie pamięta. To ojciec całymi dniami siedział w mieszkaniu, bo nikt nie chciał go po schodach taszczyć. Śmierdziało w środku nie do wytrzymania. A potem, po tym wypadku, co to stryj i stryjenka zniknęli, to my dostali po nich dom. To już pamięta, jak tam mieszkaliśmy? No! I tamuj już było łatwiej. To znaczy dla matki i dla mie, bo dla ojca to chyba jeszcze gorzej. W tym nowym domu to matka go w komórce trzymała. Zamykała na kłódkę. Walił w drzwi, darł się, ale nikt nie słyshał albo udawał, że nie słysha. Tylko jak dziadek czy babka przychodzili, to go matka wyciągała. Wtedy nawet umyła. Ojciec się żalił, ale dziadek odpowiadał, żeby się nie mazgał, że sam sobie biedy napytał, że nikt mu nie kazał pchać kutasa, gdzie nie trzeba, że wstydu na cało wieś narobił, więc tera za to płaci. Mówił też, że so w życiu większe tragedie.

Wystarczy popatrzeć na Jadwinę i Lesia. Sieroty. A potem jeszcze dodawał, pokazując palcem na siebie, że nie ma nic straszniejszego, jak własne dziecko pochować. Że Gruszczyńscy mieli być najsilniejszą rodziną w PGR-ze, a tymczasem co? Syn kaleka, drugi trup, wnuka trzeba było oddać do miasta, tylko ten jeden – że niby ja – pozostał i w nim nadzieja. A potem mówił, że to wina mojego ojca, że on Bogu podpadł i ściągnął na nas te wszystkie nieszczęścia. I wychodził, trzaskając drzwiami, a matka zara ojca z powrotem zamykała w komórce.

Myśli, że mi odpowiadała taka rola? Że to takie łatwe, kiedy dziadek mówi, że cała nadzieja w tobie? Ni chuja, nie podobało mi się to. Tak naprawdę, nie wiedziałem, co mam robić. Żeby chociaż Lesio był obok. Ale on daleko, u cioci. A sam jeden nie miałem pojęcia, co czynić. Jak taki nadzieja rodziny ma się zachowywać? No niby jak? Drzewa narąbać? Pieniądze zarabiać? Dzieci płodzić? Najlepiej by było zwiać za Lesiem do miasta albo i na koniec świata, ale bałem się zostawić ojca samego, bo jak ja mu nie zaniósłem żarcia, to już wtenczas nikt, siedział głodny. Dzisiaj wiem, że trzeba było wiać. Nie oglądać się na nic, tylko uciekać z tego przeklętego miejsca.

Niech podejdzie do okna i przysłoni trochę zasłonę, bo słońce razi. O tak, dobrze. A tera niech siada i słucha. Powiem najważniejsze. Mie to już wszystko jedno. Nie potrafię tego wytrzymać dłużej. To bardzo cięży. Gniecie jak skurwysyn. Może jak się pozbędę, jak wyrzucę to ze siebie, ony przestano przychodzić? Tego, co usłyszysz, nikt nie wie.

Więc jak tak dziadek przyłaził i gadał, to ja się zastanawiał, co też mam zrobić, żeby ta targana nieszczęściami rodzina była ze mnie zadowolona. Nic mi nie przychodziło do głowy. Aż na wakacje przyjechał Lesio. Co to była za radość! I któregoś dnia, nad jeziorem, kiedy sobie siedzielim, pilim i gadalim, on me uświadomił. Zaczął po prostu zadawać pytania: z kim dziadek od zawsze walczył, kto starał się zaszkodzić naszej rodzinie, z kim

nigdy nikt z naszych nie rozmawiał, mówiąc krótko, kto jest naszym największym wrogiem? Na wszystkie te pytania była tylko jedna odpowiedź: Ukraińcy, Pułkowie. Dzięki Lesiowi zdałem sobie sprawę, że dziadek będzie zadowolony tylko wtedy, kiedy będę nienawidził ich z całego serca, kiedy będę im szkodził na każdym kroku. Nie było wyjścia, znienawidził ja skurwysynów, jak tylko potrafiłem najmocniej. Potem kombinowałem, jako zrobić im krzywdę. I wymyśliłem. Dzieciak, jakim byłem, nie ma za wiele mądrych pomysłów. Raczej głupie. Otrułem im psa. Mieli takiego małego pchlarza. Łatek czy jakoś tak mu było. Najpierw do chleba napakowałem szkła i wieczorem wrzuciłem to na podwórko. Rano zakradłem się, patrzę ja, ale nic. Żyje. Nawet jakby weselszy niż zwykle. Oczekałem kilka dni i wślizgnąłem się do pałacu, do piwnicy. Tam były kuchnie i spiżarnie, ale była też rozłożona trutka na szczury. Wziąłem garść do kieszeni. To były takie różowe kulki. Nawciskałem ich do kaszanki i jeszcze raz wrzuciłem przez płot. Ależ on wył, ten psiak. Słychać było na cało wieś. Aż musiałem zatykać uszy. Zdychał kilka godzin. Żał mi było, ale jak zobaczyłem, jak ten cały ich Gienio beczy po tym kundlu, to od razu zrobiło mi się lepiej. Swojo drogo, żeby płakać po psie? Przesada. Nawet u dziecka. Gruba przesada. Jednak dziadek się nie ucieszył, jak się spodziewałem. Nic a nic. Nawet gderał, że co to musi być za kutas, który zwierzaka truje. To się nie przyznałem. Do dziś nikt nie wie, kto wykończył tego psinę. Tylko Lesio. On mnie pochwalił, kiedy się dowiedział. I dodał jeszcze, że dziadek to już nie ten sam co kiedyś. Że dawniej to by się uradował, może nawet jako nagrodę mi dał, a tera to się zestarzał i zdziwaczał. Pewnie miał rację. Bo w to, co potem dziadek odwalił, to już zupełnie nie mógł ja uwierzyć. Zrobił się z niego stary piernik i tyle.

Dalej nie będę gadał, jeśli się nie przysięgnie. No, że nie puści pary z gęby. Nikomu. Nawet księdzu na spowiedzi. A bo ja wiem

na co? Co ma w życiu najświętszego? Dzieci ma? Nie... W Boga wierzy, do kościoła chodzi? Też nie... To niech powie, co dla niego jest najważniejsze? Co takiego? Może być. Niech się przysięgnie, bo jak nie, to już nic więcej nie powiem. Ani słowa. Nie, to nie jest głupie. Muszę mieć pewność, że wszystko, co teraz powiem, pozostanie między nami, że nikt nigdy o niczym się nie dowie, że choćby mnie tu zaszlachtowali podczas operacji, i tak pary z gęby nie puści. Niech zdecyduje, ja nie muszę gadać. Tylem lat trzymał język za zębami, mogę i dalej. Tak? To niech się przysięgnie. Tak, tutaj. A gdzie niby? Dobrze, tak jest dobrze. Teraz możemy dalej rozmawiać.

Najważniejsze, żeby wiedział jedno: to wszystko przez te błędy. Gdyby nie ona, wszyscy by ciągle żyli. To ona... Jak to kto? Jadwinia. Kurew jedna. Wszystko jej wina. To było tak jak... O, wiem. Oglądał kiedy teatr w telewizji? Właśnie tak, w poniedziałki. Ja to pasjami lubiałem oglądać. Każden poniedziałek. Śmiali się nawet ze mnie, ale ja się tym nie przejmowałem i patrzyłem sobie. Na te stroje i dekoracje. A przedstawienia czasem takie życiowe byli, że jakby tu obok się działo. Tyle że w kostiumach, dla picu. No właśnie. I był kiedyś taki stary teatr, zagraniczny chyba. Nie pamiętam zresztą aż tak dobrze. Romęło i... i... jakaś babka. O tak, racja, Julia. Zna? Dwie walczące ze sobą rodziny. Jego i jej. Jak u nas. Dlatego mówię, że te teatry to jak z życia wzięte. Więc te rodziny nienawidzą się i bijo wzajem. Normalna rzecz. I niech patrzy, co ta cała Julia zrobiła? Dupy dała Romęłowi. Tu rodziny wojują od lat, a ta wzięła i puściła się z największym wrogiem. Jak kurew jakaś! Chłopa można by zrozumieć, bo ona wyglądała była. Ale ona? Co, że zakochali się we sobie? A kogo to obchodzi? Mało to ludzi do zakochiwania? Trzeba we wrogu? Największym! Niech nie żartuje. Pizdę powinna zamknięto trzymać. We wojne to takim łby golono, widziałem na filmie. Też jej się należało! Na szczęście są jeszcze wyroki boskie. Skoro zna to, widział, jaka spotkała ich

kara. Wszystkich. Potruli się i był spokój. Taka to nauka z tego teatru: nie występuj przeciw rodzinie, przeciw odwiecznym prawom i nie zdradzaj swoich, bo dostaniesz po łapach, albo i co gorszego. Dostali, bydlaki, na co zasłużyli. Także samo było z to naszo Jadwinio. Kurew jak tamta. Też jej należała się kara.

Tylko że czasem to jest tak, że człowiek chce dobrze, ale weźnie i przedobrzy. Dam mu przykład. Ja w domu nie lubie siedzieć, bo jak za długo jestem w chałupie, to zara z kątów wyłażą i zaczynają mnie męczyć, więc szwendam się dużo po okolicy i niejedno już widziałem. Czasem zapuszczam się bardzo daleko. I zdarzyło mi się dojść kiedyś aż do Chrabotów. Wie, gdzie to? Prawda, daleko. W tych całych Chrabotach była ochotnicza straż. Mieli wóz, sikawki, tylko że rzadko się paliło. To i dobrze. Ale od jakiegoś czasu chłopaki przestały garnąć się do tej straży. Więc co zrobił sołtys, czy gmina, sam nie wiem kto? Wprowadził prawo, że za udział w akcji gaśniczej będzie płać. Czterdzieści tysięcy za godzinę. Na łba. I co? I zara chętnych do straży zgłosiło się co niemiara, a pożary wybuchały jeden po drugim. A dlaczego? No wiadomo! Dają, trzeba brać. Chłopaki same ogień podkładali. Wszyscy w tych Chrabotach o tym wiedzieli. Sam widziałem, jak we trzech stodołę podpalali. Wszyscy zadowoleni, bo to kmiot ubezpieczony, to z tych pieniędzy co dostał, nowy budynek postawi, a strażacy też, bo pieniądze za gaszenie dostali. I wszystko byłoby dobrze, gdyby ktoś właśnie nie przedobrzył. Bo stodoła pali się szybko, godzina, dwie i po akcji, ale już taki na przykład kościół... o, on to potrafi się hajcować bardzo długo. I tak się właśnie stało. Podpalili kościół. Cieszyli się i liczyli pieniądze, jakie dostano za akcję. Tylko nie przewidzieli jednego: że ten kościół to był jakiś ważny zabytek. Z któregoś tam wieku. Z cennym ołtarzem. Mówili, że klasy zero, ale to wydaje mi się, że żartem, bo jak zero, to chyba nic niewart, nie? Tak czy siak, przyjechał prokurator. Jeden na drugiego zaczęli sypać i poszli siedzieć. Wszyscy. Przedobrzyli.

I widzi, tej naszej kurewce, mojej kuzyneczce, też należała się kara. Jadwinia... Bładź. Wszystko przez nio.

*

To było miejsce ich potajemnych spotkań. Od samego początku, odkąd tylko zaczęli się umawiać. Gęstwina była tu taka, że nawet zimą, kiedy liście opadły, nikt, kto nie zakradł się pomiędzy krzaczory tą samą wąską ścieżką, którą oni przychodzili, nie mógł ich z zewnątrz dostrzec. Dojście wydawało się bezpieczne: na tyle oddalone od wsi, że nie można było przez przypadek ich zauważyć, a droga przez pewien czas prowadziła otwartymi polami, więc gdyby znalazł się chętny do śledzenia któregoś z nich, musiałyby dość długo maszerować odkrytą przestrzenią, a wtedy wiedzieliby, że są obserwowani. Przychodzili zawsze oddzielnie, zazwyczaj on jako pierwszy, ona pół godziny później, ale bywało, kiedy jemu nie udawało się wyslizgnąć z domu, że kolejność była odwrotna. Idąc na miejsce spotkania, mijając jej okna, gwizdał zawsze w ten sam umówiony sposób piosenkę, którą uwielbiała. *Niby nic, a tak to się zaczęło, niby nic, zwyczajne „pa pa pa”*^[2]... nuciła później, wiedząc, że za trzydzieści minut powinna sama wymknąć się z domu. A kiedy do dziewiętnastej nie słyszała sygnału, ruszała i tak, bo powód, dla którego spod okna nie dolatywał wyczekiwany dźwięk, mógł być tylko jeden: Gienka coś zatrzymało w chałupie, coś bardzo ważnego, ale wiedziała, że gdy tylko uda mu się wydostać, przybiegnie zaraz do niej. Szła wtedy przez ciemne pola z duszą na ramieniu i dopiero po przedarciu się przez chaszczę, gdy znajdowała się już w kryjówce, oddychała z ulgą.

Gienek odkrył to miejsce przypadkiem. Któregoś jesiennego dnia wędrował tędy z ojcem na grzyby. Michał opowiadał synowi, wyciągając rękę przed siebie i wskazując na polanę nad

brzegiem jeziora, że tutaj, kiedy go jeszcze na świecie nie było, topiła się jego starsza siostra, Helena, i wtedy Gienek spostrzegł dzika wędrującego w stronę gęstej kępy krzaków przez podmokły ugór, na który nikt nigdy się nie zapuszczał. Zapamiętał, którądy szło zwierzę, i wrócił tam nazajutrz pod wieczór, spróbował przemaszerować przez mokradło wyznaczonym przez odyńca szlakiem i ze zdumieniem stwierdził, że udało mu się dotrzeć suchą stopą do rosnącej nad jeziorem gęstwiny, pomimo że od kilku dni padało; dalej wystarczyło przedrzeć się przez splecione gałęzie, by dostać się do ukrytej pod baldachimem z drzew przytulnej przestrzeni wyściełanej dywanem z suchych liści, która sprawiała wrażenie uroczej nadjeziornej altany wzniesionej przez matkę naturę. Stał pochylony, bo sklepienie z konarów zamykało się tuż nad jego głową, i rozglądał się dookoła, cmokając z zachwytu. To było to. Właśnie takiego ustronia szukali z Jadwinią od dawna. Znaleźli wreszcie kąt tylko dla siebie i nawet teraz, kiedy nie musieli już przed nikim się kryć, trochę z przyzwyczajenia, trochę z braku pomysłu na lepsze miejsce, a przede wszystkim dlatego, że lubili tu przebywać, dalej spotykali się właśnie tutaj.

Znali się niemal od urodzenia. Na wsi normalna rzecz, szczególnie że byli niemal w tym samym wieku, dzielił ich jedynie rok. Jednak mimo że mieszkali zaledwie kilka chałup od siebie, nie wolno było im wspólnie bawić się, rozmawiać, a nawet zerkać w swoją stronę. Wszystko to opatrzone klauzulą „surowo zakazane”. Tylko jak kilkuletnie brzdące miały zrozumieć targające dorosłymi od kilkudziesięciu lat złe emocje, jak pojąć, że do tej uwielbianej przez swojego dziadka ślicznej dziewczynki z długimi warkoczami nie wolno się odezwać, czym wytłumaczyć brak zgody na uczestniczenie w grach wymyślanych przez wiecznie umorusanego chłopaka z szopą czarnych włosów okalających pociągłą, zawsze uśmiechniętą buzię. A wiadomo, zakazany owoc nęcił najsilniej. Dlatego

pomimo stanowczych ostrzeżeń dzieci coraz częściej zapuszczały się na niedozwolone terytorium: toczyły ukradkowe rozmowy, wymieniały się podarowanymi talizmanami, opracowywały system tajnych znaków i sygnałów przesyłanych na odległość. A kiedy oboje poszli do szkoły, zawsze tak opracowywali trasę do lub z Trójczyna, aby przynajmniej przez chwilę wędrować razem. Sprawa skomplikowała się, dopiero gdy najpierw Wojtuś, a później Lesio również rozpoczęli naukę, od tej pory Jadwinia była zmuszona drogę do Trójczyna pokonywać w ich asyście, a to wykluczało jakikolwiek kontakt z Gienkiem. Na szczęście najmłodszemu z Gruszczyńskich dość szybko nauka się znudziła i częściej niż do szkoły szedł w sobie tylko wiadomym kierunku, najczęściej zabierając na włóczęgę powolnego mu we wszystkim Wojtusia, i znów zafascynowanym sobą dzieciom udawało się kraść chwile tylko dla siebie.

Najbardziej zdumiewające było to, że przez lata żadne z opiekunów, ani spośród Gruszczyńskich, ani Pudłów, nie dostrzegło tych nielegalnych kontaktów. Co było tego powodem, trudno zgadnąć. Czy byli tak zaślepieni nienawiścią, że do głowy im nie przyszło, aby ktoś z rodziny, a szczególnie małolaty, mógł się wyłamać z tego kręgu wzajemnych uprzedzeń, czy może, jak to we Wrześniowie bywało, nikt za bardzo nie zwracał sobie głowy dziećmi, wierząc, że obserwując starszych, jakoś same się wychowają, a raz przekazany – i od czasu do czasu przypomniany za pomocą pasa zostawiającego piekące pręgi na tyłku – system nakazów i zakazów będzie funkcjonował zawsze, skutecznie i niezawodnie? Jedno jest pewne: gdy wreszcie na jaw wyszło, że pomiędzy Jadwinią a Gienkiem, podsycane przez lata rozpalką ukradkowych spotkań, wybuchło płonące żarliwe uczucie, obie rodziny były równie zaskoczone i obie, kiedy minął pierwszy szok i gdy już omdlały ręce wymierzające na oślepciosy, nie wiedziały, jak na tę sytuację zareagować.

Przynajmniej starsi, bo wśród młodych sprawy przedstawiały

się odmiennie. Już wcześniej kilka razy Gienio na własnej skórze przekonał się, jak cierpki smak może mieć zakazany owoc, kiedy przyłapany przez młodszego brata dziewczynki na próbie kontaktu z nią, zebrał solidne baty. Niby był starszy, silniejszy, ale oni – Lesio i Wojtuś – zaczajali się zawsze we dwóch, atakowali zniecka, pomagali sobie kijami i kamieniami, a gdy tylko udawało im się go przewrócić, bili bez opamiętania. A kiedy pokiereszowany wracał, chlapiąc, do domu, nie mógł nawet poskarżyć się starszym, z jakiego powodu dostał wciry, ponieważ wówczas groziłaby mu dodatkowa bura ze strony rodziców. Obrywał od Lesia i Wojtusia regularnie, aż któregoś pochmurnego wieczora przyszedł mu w sukurs starszy brat, Adaśko, który akurat wracał ze spaceru po lesie. Widząc dwóch Gruszczyńskich siedzących na Gieniu i okładających go pięściami, nie czekał ani chwili, wyprowadził dwa szybkie, celne i piekielnie mocne sierpowe. Wojtek poderwał się z wrzaskiem i uciekł, becząc na cały głos. Lesio natomiast stał ze zmrużonymi oczami, ocierając rękawem krew ciekącą z rozbitego nosa i patrząc Adaśkowi prosto w twarz. Spróbuj jeszcze raz, ostrzegł Adaśko, a w odpowiedzi Lesio wysyczał przez zaciśnięte zęby: to powiedz swojemu popierdolonemu braciszкови, żeby trzymał się z daleka od mojej siostry, bo zajebię, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł, rzucając jeszcze przez ramię: Ukraina. Potem Adaśko pomógł bratu się podnieść, ogarnąć, a na koniec, tak jak się Gienio obawiał, ze słowami: odklej się od tej poznańskiej cholery, strzelił go otwartą dłonią w ucho.

Adaśko sprawdził, czy na mundurze nie pozostały mu plamy z krwi, i ruszył w stronę wsi, zastanawiając się nad tym, co właśnie zobaczył. Coś poważniejszego musiało być na rzeczy, skoro Lesio z Wojtkiem zaryzykowali atak na starszego i silniejszego od siebie Gienia. Ale czy to tylko brat próbował się uganiać za gówniarą, czy ona również robiła do niego maślane oczy, tego nie wiedział. Wahał się, czy opowiedzieć o całej

sytuacji ojcu, czy jednak zostawić to dla siebie? Uznał, że nie ma co niepokoić starego. Szczyłowi szybko przejdzie, znajdzie sobie inną, łatwiejszą do zdobycia sikse, bo to wiadomo, każdy by się zniechęcił, mając do pokonania tyle przeciwności. Wiedział, że w tym wieku decyduje coś, co nazywają hormonami, a one niespecjalnie przepadają za komplikacjami. Znajdzie sobie inną, spuści z krzyża i będzie spokój, kombinował Adaško, a wewnątrz czuł rozwijający się w nim zarodek zrozumienia, a nawet, do czego nigdy by się nie przyznał, zazdrości. Przecież jemu też się podobała ta cholerna Irka! I to jak! Poznanianka! Tylko że on nigdy poza ukradkowe spojrzenia, których nikt, a szczególnie ona – miał nadzieję – nigdy nie spostrzegł, nie odważył się wychylić. Górę wziął strach, poczucie lojalności wobec rodziny i świadomość bezowocności jakichkolwiek starań. Później każde z nich rozjechało się w swoją stronę. Za to kiedy w wakacje odwiedzał rodziców, kiedy mijał tę noszącą się już po miastowemu babkę, chociaż mężatą, to miał ochotę cisnąć ją gdzieś w trawę i w namiętym, niedającym niczym się pohamować spazmie zrobić, nie bacząc na konsekwencje, to, o czym od tak dawna marzył. A młodemu przejdzie, pomyślał jeszcze raz, nie ma co siać paniki.

Lesio także uznał, że sam lepiej sprawę załatwi niż, jak często lubił się wyrażać, kapcaniejący starzy. Już on znajdzie sposób, żeby Ukrainiec trzymał się z dala od jego siostry, a i jej niech lepiej nie przychodzi do głowy oglądać się za nim, bo, choć ukochana przez wszystkich, oczko w głowie dziadka, to spierze ją tak, że odechce jej się amorów, a i nos na gębie w taki sposób poprzestawia, że już nie tylko Ukrainiec, ale i w ogóle nikt jej nie zechce. I może zrobiłby, jak zapowiedział, ale pewnego zimowego dnia rodzice wsiedli do feralnej syrenki. Z początku zgłoszono zaginięcie małżeństwa Mirosławy i Józefa Gruszczyńskich, przyjechała milicja, nawet prokurator, pies węszył po śladach, ale na przystanku autobusowym gubił trop, aż

wreszcie ktoś połączył fakty, skojarzył i oficjalnie uznano, że poszukiwani zginęli w tragicznym wypadku na wiadukcie kolejowym. Ciał nigdy nie odnaleziono. Do grobu złożono puste trumny. Po pogrzebie i stypie w domu Piotra Gruszczyńskiego odbyła się narada rodzinna, trzeba było postanowić, co dalej począć z sierotami. Piotr przybity tragediami, jakie w krótkim czasie dotknęły rodziny jego obydwu synów, powtarzający pod nosem wciąż to samo pytanie: za co Bóg tak nas karze, z początku odzywał się niewiele, ale kiedy Irena zaproponowała, że weźmie Lesia do siebie, do Poznania, zaoponował. Zaczęło się żmudne wyłuszczenie argumentów, przekonywanie, udowadnianie, że dziecku tam w mieście będzie lepiej; że od dawna z ciotką łączyła Lesia wyjątkowa bliska więź; że dziadkowi i babce z każdym rokiem będzie ubywało sił, a chłopak jest krnąbrny, niepokorny, trudny, tymczasem z wiekiem cechy te mogą się jeszcze nasilać, szczególnie po śmierci rodziców, która dla dzieciaka musiała być koszmarnym przeżyciem; że tu we Wrześniowie na niczyją pomoc nie mogliby liczyć, bo przykuty do wózka inwalidzkiego Franek był jedynie ciężarem dla całej rodziny, a ten jego kocmołuch Cześka do niczego się nie nadawała; że Irena sama dzieci nie miała, i prosi, aby nie rozmawiali dlaczego, więc wychowa go jak swojego, a kiedy chłopak wyrośnie, obiecywała, wróci do rodzinnego domu, zostanie prawdziwą głową rodziny, już ona o to się postara, bo chyba nie można liczyć na to, ściszyła głos, że tej funkcji podoła ta ofierma Wojtuś. Wreszcie po długich namowach, kiedy do córki przyłączyła się także Matylda, gdy i Paweł dodał również coś od siebie, Piotr pękł, zgodził się na oddanie wnuka, ale w dramatycznym okrzyku wydusił, że Jadwini z rąk nie wypuści na poniewierkę – tak jakby ktoś nastawał na to, że ją chce zabrać. Od początku dla wszystkich było jasne, że dziewczynka zostanie z dziadkami.

Lesio zniknął i do siedemdziesiątego siódmego we Wrześniowie pojawił się zaledwie trzykrotnie, za każdym razem

w wakacje. Ostatni raz w siedemdziesiątym czwartym, potem przyjechać już nie mógł. Nie było komu upilnować Jadwini. Nie miał kto zrobić porządku. Gienek odetchnął. Bez Lesia Wojtuś bał się do niego zbliżyć. Oboje z Jadwinią dostali niespodziewaną dawkę swobody, z której powoli, ostrożnie zaczęli korzystać, a był to czas, kiedy niemal każdego dnia odkrywali zmiany, jakie zachodziły w ich ciałach. Weszli w okres dojrzewania. Dotychczasową nić dziecięcej sympatii z wolna zastępowało nowe, znacznie silniejsze uczucie. Z początku nie potrafili go nazwać, aż wreszcie pewnego jesiennego dnia, gdy podczas powrotu ze szkoły do domu złapała ich ulewa i oboje, uciekając przed siekącymi zimnymi kroplami deszczu, skryli się pod rosnącym na skraju lasu rozłożystym dębem; stali oparci plecami o pień drzewa, do nozdrzy Gienia dolatywał wymieszany z kwaśną wonią potu zapach budzącej się w niej kobiety. Poszukał dłonią jej dłoni i wtedy to powiedział. Nazwał jako pierwszy uczucie, które zakiełkowało przed laty, kiedy byli jeszcze małymi dziećmi, potem wzrastało wraz z nimi, a teraz dojrzewało i rozkwitało tak jak ich ciała. Odpowiedziała mu tym samym gorącym słowem, którego do tej pory żadne z nich nigdy do nikogo nie wypowiedziało. Nachylił się, tak jak widział to w filmach, przymknął oczy i chciał ją pocałować. Wywinęła się i wybiegła ze śmiechem na deszcz. – Nie tutaj! – zawołała, odgarniając mokre włosy, jeszcze kto zobaczy, zabiliby nas. Od tego dnia rozpoczął poszukiwania ustronnej kryjówki tylko dla nich.

Nie było to proste. Na wszystkich otaczających Wrześniowo polach do późna pracowały maszyny. Nie mogli ryzykować, że ktoś ich spostrzeże. To dopiero byłaby sensacja na całą wieś: Gruszczyńska z Pudłem, dziewczyna od Poznaniaków z chłopakiem od Ukraińców, gratka dla wszystkich wioskowych plotkarzy, a konsekwencje, które rodziny wyciągnęłyby wobec dzieciaków, trudno było przewidzieć. Na koniec na pewno by ich

rozdzielono, wysłano do miasta czy szkoły z internatem, daleko od siebie. Gdyby chociaż byli dorośli... I wtedy Gienio wybrał się z ojcem na grzyby.

System spotkań, jaki wypracowali, wydawał się w pełni bezpieczny. Ryzyko pojawiało się jedynie, kiedy spadł świeży śnieg, w którym, idąc na miejsce schadzki, pozostawiali wyraźne głębokie ślady. Starali się zacierać je gałęziami, kluczyć po polach, zataczać koła, przechodzić kilka razy tą samą dróżką; na niewiele to się zdawało, jeśliby ktoś zechciał i zadał sobie odpowiednio dużo trudu, mógłby ich po tych śladach z łatwością wytropić. Na szczęście dość długo nikt takiej ochoty nie przejawiał. Na miejscu siadali przytuleni do siebie na dywanie z opadłych liści, baldachim ze splecionych gałęzi chronił ich przed deszczem, wiatrem, a przede wszystkim przed wścibskimi spojrzeniami, odcięci od wrogiego ich miłości świata zewnętrznego nareszcie mogli poczuć się swobodnie i powoli, krok po kroku z tej swobody zaczęli korzystać.

W pegeerowskim świecie o niezbyt wyśrubowanych normach etycznych – gdzie rola sekowanego przez władze Kościoła została zredukowana z krzepkiego moralnego drogowskazu do traktowanej z pobłażaniem instytucji udzielającej w Trójczynie tradycyjnych sakramentów, przyjmowanych już nie z duchowej potrzeby, a jedynie z poczucia obowiązku i przywiązania, w myśl rządzącej na wsi zasady: bo tak trzeba i wypada, gdzie rodzicom nawet do głowy nie przychodziło prowadzić ze swoimi pociechami jakichkolwiek tak zwanych rozmów uświadamiających, gdzie w szkole temat seksu i seksualności nie był poruszany nawet mimochodem, a jednocześnie wszędzie dookoła każdej wiosny buzowała parząca się w instynkcie rozrodczym natura, chciwie obserwowana przez nikogo nieedukowane seksualnie dzieci, które już od najmłodszych lat i tak wiedziały, że na świecie nie pojawiły się za sprawą bocianów czy dzięki spostrzegawczości rodziców wędrujących

przez pole kapusty – dojrzewający młodzi ludzie pozbawieni krępujących rodzące się instynkty pęt, czując pojawiające się, nieznane dotychczas łaskotanie w podbrzuszu, naśladując otaczającą przyrodę bez specjalnej krępacji, stosunkowo wcześniej i bezrefleksyjnie zaczęli oddawać się uciechom rozkwitających bujnie ciał. Nie było w tym finezji, stosowania ars amandi, skomplikowanych pieszczot, przedłużającej się gry wstępnej, ot, po prostu młodzi ludzie szli nad jezioro, gdzie bez ceregieli, ściągając z siebie tylko tyle ubrań, ile było konieczne, spółkowali pod osłoną nocy tyleż gwałtownie co szybko, a po wodzie niosły się odgłosy leśnego poszycia poruszanego pośladkami w regularnych silnych pchnięciach na tle jęklowych, przyspieszonych oddechów. Po wszystkim nie było już miejsca na czułe gesty, słowa, przytulenia. Pary wracały do wsi zazwyczaj oddzielnie, nieco zawstydzone, ale pozbawione głębszej refleksji nad dokonanym przed chwilą aktem. Przez kolejnych kilka dni „kochankowie” nie odzywali się do siebie, aż do następnego razu, kiedy ponownie popęd upominał się o złożenie nad jeziorem trybutu z młodego nasienia.

Nikt z młodzieży oczywiście nie przejmował się – do czasu – naturalnymi konsekwencjami, jakie mogły przynieść te nocne wypadki nad jezioro. O antykoncepcji żadne z nich nawet nie pomyślało, zresztą niby skąd miało o niej mieć jakiegokolwiek pojęcie, przecież ani szkoła, ani tym bardziej rodzice nic na ten temat nie mówili, a dopadający sukę w ciecze burek nie przystrajał się w prezerwatywę, nie mówiąc już o stosowaniu innych środków. W efekcie dziewczyny jedna po drugiej zaczynały się zaokrąglać, organizowano wówczas szybki ślub i od tej pory młoda para nie musiała już więcej szukać intymności na łonie natury; a jeśli dyrektor Wilusz uznał, że któreś z nich ma szansę przysporzyć jako lojalny pracownik pociechy PGR-owi – w szczególności jego kierownictwu – przyznawał nowożeńcom mieszkanie w jednym z nowo

budowanych na wzgórzu dwupiętrowych bloków z wielkiej płyty (kto w oczach dyrektora nie rokował większych nadziei, zmuszony był wygospodarować sobie pokój w rodzinnej chałupie), wkrótce lokum zapełniało się wrzeszczącymi umorusanymi dzieciakami. Przyrost naturalny we Wrześniowie znacznie przekraczał średnią krajową.

Niektóre panny miały jednak mniej szczęścia. Przez lata do PGR-u co sezon w okresie natężonych prac polowych zjeżdżało wojsko. A wiadomo, mundur nęcił wiejskie dziewczyny. Wyposzczeni żołnierze też specjalnie wybredni nie byli, brali jak leci, a podlane alkoholem pegeerówki oddawały się im chętnie i, jak zwykle, nie bacząc na konsekwencje. Po wyjściu do cywila, powrocie w rodzinne strony chłopaki woleli jak najszybciej zapomnieć o żołnierskim romansie. Wysyłane pod zanotowane na skrawkach papieru adresy dramatyczne listy powracały z adnotacją „adresat nieznany”, a brzuchy uparcie rosły. We Wrześniowie pojawiła się nowa, wcześniej nieznana kategoria mieszkańców, a w zasadzie mieszkanek – panny z dzieckiem.

Pomiędzy Jadwinią a Gienkiem wszystko toczyło inaczej. Nie musieli i nie chcieli szukać szybkiego zaspokojenia, wiedzieli, że są tylko dla siebie. I mimo świadomości, że gdyby przyłapano ich na jakichkolwiek kontaktach, zostaliby bez pardonu rozdzieleni, poznawali swoje ciała niespiesznie, kawałek po kawałku, dochodząc do kolejnych granic i przekraczając je z bijącym sercem. Nieraz słyszeli niosące się po wodzie odgłosy szybkiej miłości, jakiej oddawali się ich koleżanki i koledzy, jednak nie zwracali na nie uwagi, podążając własnym tempem. Ich dłonie i usta sięgały coraz dalej, a oni uczyli się nie tylko brać, ale również dawać. Namiętność była konsekwencją, a seks dodatkiem do uczucia, które ich połączyło. Mijały kolejne miesiące i lata, a oni, choć potrafili zaspokoić potrzebę bliskości, choć poznali już dobrze swoje ciała, to z ostatecznym aktem wciąż czekali.

Najważniejsze było utrzymać tajemnicę. Niewiele brakowało, a Gienek zdradziłby ich, kiedy raz i drugi z trudem powstrzymał się z ostrą reakcją, gdy koledzy składali Jadwini – która podobała się chłopakom we wsi, jednak roztaczała wokół siebie nimb niedostępności – propozycje udania się wieczorem nad jezioro. Prychała na to jedynie, po czym słyszała za plecami komentarze o dumnej poznańskiej kurwie, którą wcześniej czy później i tak ktoś dorwie i wydupczy. Komentarze wypowiedane półgębkiem, tak żeby nie domyśliła się, z czyich ust padły, bo przecież nikt nie miał zamiaru zdrzeć z Lesiem, gdyby ten pojawił się w końcu we wsi – legenda mściwego brata miała większą moc niż chęć odgryzienia się niedostępnej dziewczynie. W takich chwilach, kiedy był ich świadkiem, krew w Gienku się gotowała, zaciskała pięści i gryzł wargi niemal do krwi. Dopiero wieczorem, obsypując ukochanego pocałunkami i przesuwając dłoń od jego brzucha w dół, Jadwinia uspokajała Gienka i przekonywała, że nie warto ryzykować, że sama sobie poradzi z nachalnymi adoratorami, że gdyby zareagował, strzelił jednego czy drugiego w gębę, więcej by na tym stracili, niż zyskali. Taki niespotykany we Wrześniowie dżentelmeński gest zdekonspirowałby ich w jednej sekundzie. Przyznawał jej rację, ale kiedy po raz kolejny widział końskie zaloty, na jakie była narażona, znów z najwyższym trudem powstrzymywał się od gwałtownej reakcji.

Aż nadeszły dziewiętnaste urodziny. Jego. Nie potrafiła dać mu wspanialszego prezentu. Był to dzień, w którym chciała należeć do niego, cała. I od tej chwili już każdego kolejnego. Bez wyjątku. Byli na to gotowi od dawna, ale chcieli poczekać, aż będą sami mogli – przynajmniej z prawnego punktu widzenia – decydować o swoim losie, aż oboje będą dorośli, a kiedy Jadwinia skończyła osiemnaście lat i, jak się wydawało, nic już nie stało na przeszkodzie, namówiła go, żeby jeszcze chwilę, te kilka tygodni zaczekali. Chciała, aby było to czymś szczególnym i wydarzyło się akurat tego dnia, w jego urodziny. Cali drżący położyli się na

ubraniach, które wcześniej z siebie ściągnęli, a później był jej ból, jego wstyd, kiedy po zaledwie kilku ruchach było po wszystkim, i mnóstwo krwi, która wysmarowała skłębione na liściach ciuchy. Leżeli wtuleni w siebie i szlochali. Obsypywała go pocałunkami, pocieszała, sama z łatwą rezygnacją godząc się z tym, że taki w końcu jest los kobiety – musi boleć, teraz i później, przy porodzie, menstruacji, klimakterium. Jednak wiedziała i przeczuwała, że od tej chwili, od tego pierwszego tak wyczekiwanego i tak nieudanego razu, musi być tylko lepiej. I rzeczywiście było.

Przed nimi pozostała jedna, za to najcięższa próba: przyszedł czas, kiedy należało ujawnić się ze swoją miłością. Rozważali różne możliwości – nęciła ich ucieczka, gdzieś daleko w Polskę, do innego PGR-u, a może do miasta, wyjść z domu, wsiąść do PKS-u i odjechać w siną dal, by już nigdy do Wrześniowa nie powrócić, a za ich plecami niech się dzieje co chce, niech rodziny strzykają jak dotąd na siebie jadem nienawiści, niech kiszą się w tym świecie wzajemnych uprzedzeń, oni zaczęliby nowe życie. Myśleli też o innym rozwiązaniu, wyjeździe bliżej, do Miasteczka, znalezieniu tam pracy i przeczekaniu do momentu, w którym zwaśnione rodziny wreszcie ochłoną, podadzą sobie ręce, a oni wtedy, jeśli w mieście by im się spodobało i chcieli dalej w nim mieszkać, mogliby w każdej wolnej chwili odwiedzać bliskich na wsi. Jednak każdy z tych wariantów obciążony był trudnym do zaakceptowania ograniczeniem. Gienek i Jadwiga pragnęli wziąć ślub, być mężem i żoną, nie chcieli, jak to wówczas się mówiło, żyć na kocią łapę, a prawo niestety nie było po ich stronie. Chłopak nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat, a w takim wypadku potrzebna była zgoda rodziny. Można było oczywiście najpierw uciec i tym krokiem zmusić starszych do refleksji, takim swoistym szantażem wyjednać pozwolenie na ślub, oni jednak zdecydowali się stawić czoło pograżonym w nienawiści rodzinom.

Późną wiosną spotkali się w swojej kryjówce, długo ściskali za ręce, dodając sobie nawzajem otuchy, aż wreszcie ruszyli w stronę wsi. Postanowili zacząć od Pudłów. Michał wydawał się spokojniejszy, bardziej rozsądny, mniej zacięty niż Gruszczyński. Gdyby udało się go udobruchać, z Piotrem mogłoby pójść już łatwiej, a nawet gdyby nie, cóż, trudno, to w końcu Gienek potrzebował zgody na ślub, a nie Jadwinia. Przykro byłoby dziewczynie popaść w niełaszkę dziadka, którego była oczkiem w głowie, ale gdyby nienawiść do Ukraińców okazała się dla niego silniejsza niż miłość do niej, gotowa była na taki scenariusz. Na skraju gospodarstwa wsunęła swoją dłoń w jego, poczuła jej niepokojącą wilgoć, a przez Gienka od chwytających jej rękę palców po koniuszki pozostałych członków, niczym przepływający przez ciało prąd, przebiegło wydobywające się z wnętrza dziewczyny spazmatyczne drżenie. Przedfilowali przez środek folwarku, potem drogą przez wieś. Na ich widok wszyscy podnosili głowy i zamierali w pełnym napięcia zdumieniu. Nawet bawiące się wzdłuż szosy dzieciaki po zrobieniu kilku kroków w ich kierunku zatrzymywały się i z rozdziawionymi buźkami śledziły każdy krok niezwyklej, maszerującej w milczeniu pary. Nad wsią zawisła pełna oczekiwania cisza, a Jadwinie i Gienka opanowało nieprzyjemne wrażenie; czuli się jak straceńcy przedzierający się przez szpaler zatroskanych gapiów w drodze na egzekucję. W wielu podążających za nimi oczach dostrzegali obok zaskoczenia coś na kształt nuty współczucia. Serca waliły im z prędkością szybkostrzelnego karabinu. Najchętniej zawróciliby, wiedzieli jednak, że na to jest już za późno. Weszli na podwórze, a następnie zniknęli w mroku sieni.

Michał z pozornym spokojem wysłuchał wypowiedzianej łamiącym się głosem, przygotowanej wcześniej przez młodych przemowy. Stali, trzymając się za ręce w progu pokoju. Odzywał się głównie Gienek, Jadwinia z rzadka jedynie dorzucała przez

zaciśnięte gardło pojedyncze słowa. Kiedy skończyli, zapadła cisza.

Przed furką prowadzącą na podwórze chałupy Pudłów zebrała się grupka gapiów. Część ludzi nasłuchiwała, inni komentowali to, co zauważyli przed kilkoma minutami, zastanawiano się, jak zareaguje Michał. Na tłumek stojący pod domem Ukraińców zwrócił uwagę wracający ze sklepu Piotr Gruszczyński. Ruszył w tę stronę, ale kiedy tylko się zbliżył, głosy zamarły, a wszystkie twarze zwróciły się w jego kierunku. Nie wiedział, co się dzieje, ale bez wątpienia nie było to nic dobrego. Nie zatrzymał się, przeszedł pomiędzy rozstępującymi się przed nim sąsiadami. Nikt nie odważył się powiedzieć w jego stronę ani jednego słowa, a on, widząc milczące, przypatrujące mu się z zaciekawieniem twarze, czuł, że za chwilę dowie się o jakimś nowym nieszczęściu, jakie zważyło się na jego pokiereszowaną rodzinę. Miał dość, po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł strach. Jak struś postanowił szybko skryć się w domu, tak jakby ściany chałupy miały go ochronić przed tragicznymi wieściami, których się spodziewał.

Michał siedział przy stole, łokcie oparł o pokryty ceratą blat, twarz ukrył w dłoniach. Jego ciało rytmicznie kołysało się w przód i w tył. Rozwahał. Nie miał pomysłu, jak zmierzyć się z głupotą syna, nie wiedział, jak potraktować wieści, które przynieśli młodzi, jak odnieść się do ich nierealnych żądań? Nie miał pojęcia, czy jest to jedynie fanaberia smarkaczy, chęć zagrania na nerwach starszym, coś, co porządnym mantem można wybić gówniarzom z głowy, czy może jednak prawdziwe uczucie, z którym walka będzie długa i wyczerpująca? Jak miał zareagować? I kiedy tak zastanawiał się, w jaki sposób postąpić, do jego uszu doleciał słaby głos siedzącej za nim Lucyny:

– Michał... – zdążyła tylko powiedzieć.

– Nie wtrącaj się! – przerwał jej. Poczuł, jak wściekłość zasnuwa mu oczy mgłą. Zadziałał instynktownie: podniósł się,

odpiął i wyciągnął pas ze spodni, podszedł do syna. Środek ten wobec dzieci stosował jedynie w ostateczności, a tym razem nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z sytuacją, w której należało sięgnąć po najtwardsze argumenty. Świsnęło przecięte wyprawioną skórą powietrze, na szyję i klatkę piersiową Gienka spadł pierwszy cios. Posypały się następne. Michał bił z całej siły. Jadwinia z płaczem wtuliła się w kąt pokoju. Tymczasem Gienek stał z podniesioną głową, mimo palącego bólu nie poruszył się ani na milimetr, powieka nawet mu nie drgnęła. Przyjmował razy z godnością. Michał kipiał jak gejzer, bił metodycznie, raz za razem. Tymczasem z każdym kolejnym zamachem, z każdym uderzeniem pozbawione oparcia spodnie Pudły zsuwały się z bioder, odsłaniając niezbyt czyste slipy, i kiedy wreszcie osiągnęły linię kolan, Pudło nagle ochłonął. Stał ze zwisającym smętnie pasem w pomarszczonej dłoni, z opuszczonymi spodniami, stary i zmęczony, pozbawiony racji, groteskowy, a przed nim prężył się syn gotowy przyjąć na siebie każde cierpienie w imię uczucia, jakim zapalał do jedynej na świecie dziewczyny, której pokochać nie było mu wolno. Michał opadł na krzesło. Od tyłu podeszła Lucyna i zrobiła coś, czego nie robiła od lat: objęła męża i przytuliła policzek do jego policzka. W jednej chwili wszystko stało się proste. Przecież przed laty Michał też wykradł Lucynę rodzicom, bez ich zgody uciekli i wzięli ślub, nic się dla nich wówczas nie liczyło, tylko uczucie, które owładnęło nimi bez reszty. Teściów nigdy więcej nie zobaczył, rodzice żony nigdy nie ujrzeli już swojej córki. Czy tego chciał dla siebie? Podniósł głowę i spojrzał przeciągle na syna. Stał wyprostowany z pulsującą czerwonymi pręgami twarzą i patrzył wprost w oczy ojca. Moja krew, pomyślał Michał z dumą. Przeniósł wzrok na prostującą się Jadwinie: piękna dziewczyna, ocenił, czemu się tu dziwić. Niech się żenią, skoro taka wola. Teraz to Gruszczyński ma problem, a nie ja, zakończył rozważania.

Zaledwie kilku najwytrwalszych gapiów stało jeszcze pod

furtką – reszta zniechęcona ciszą panującą w chałupie (albo się pozabijali w milczeniu, albo Michała szlag trafił na miejscu, spekulowano) rozeszła się do swoich zajęć – kiedy Gienek i Jadwinia stanęli objęci w drzwiach należącej do Pudłów połowy domu. Czekala ich jeszcze konfrontacja z Piotrem. Chłopak był gotowy towarzyszyć ukochanej w rozmowie z dziadkiem, być może ochronić przed jego gniewem, ona jednak nie chciała się na to zgodzić.

– Pójdę sama – przekonywała. – Ty zostań, dziadek może dostać szału i coś ci zrobić. Mnie, ukochanej wnuczki, nie ruszy.

Myliła się. Z początku, słuchając jej, Piotr stał z otwartymi ustami i rozglądał się na boki, tak jakby nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Kiedy skończyła, wciąż stał i poruszał szczęką jak wyciągnięty z wody karp, aż wreszcie z fotela ciężko podniosła się Matylda, ta tak często biorąca stronę dzieci, przeciwstawiająca się mężowi stara kobiecina, podeszła do Jadwini, spojrzała jej w oczy, po czym przez jej twarz przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Wzięła szeroki zamach i wymierzyła wnuczce siarczysty policzek. Piekło jak diabli, ale Jadwinia, biorąc przykład z Gienka, ani drgnęła, zadarłszy dumnie głowę. Piotr, jakby zbudzony ze snu głośnym plaśnięciem, które odbiło się echem od ścian pokoju, ruszył w stronę wnuczki. Twarz mu spąsowiała, zęby bezwiednie zgrzytały w niemogącej znaleźć ujścia złości. Odsunął żonę i zaczął bić. Jadwinia wytrzymała jeden cios, przy drugim skuliła się i zaczęła uciekać po pokoju. Przez chwilę trwała gonitwa, Piotr nie mógł dopędzić wnuczki, natomiast za każdym razem, kiedy Jadwinia przebiegała obok babci, na jej plecach lądowała zaciśnięta w pięść dłoń Matyldy. Wreszcie dziewczyna wybiegła na podwórze i skierowała się w stronę furtki. Kiedy wydoستاła się na ulicę, okno w chałupie otworzyło się z trzaskiem, w otworze ukazała się potargana głowa Piotra Gruszczyńskiego, który oparł ręce o parapet, wychylił się i wrzeszczał:

– Wynoś się i nigdy nie wracaj, ty ukraińska kurwo! Słyszysz? Nie chcę cię już więcej widzieć! A tego skurwysyna niech tylko dorwę w swoje łapy...

Ale nie dorwał. Nawet nie próbował. Zamknął się w domu i przez wiele dni nie wychodził – nawet do pracy – a każdy, włącznie z dyrektorem Wiluszem, bał się choćby zbliżyć do jego chałupy. Piotr Gruszczyński pogrążył się w rozterkach. Z początku górę brały w nim myśli, w których przeważał żal do wnuczki i powtarzające się natrętnie pytanie: jak ona mogła mi coś takiego zrobić? Przecież ta wlana do serca wraz z opowieściami Mykoły nienawiść do Ukraińców, spersonalizowana w osobie Pudły i jego rodziny, była fundamentem, na jakim od trzydziestu lat budował sens swojego istnienia, swoją rolę we wsi, pozycję, jaką wypracował dla siebie i rodziny. Wokół tego wszystko się kręciło. A teraz ta, którą kochał najbardziej, zamiast lojalnie pozostać przy nim, dzielić jego gorzkie uczucia, dopuściła się jawnej zdrady. Przeszła na stronę najzjadlejszych wrogów. Piotr krążył po opustoszałych pomieszczeniach swojego domu i zastanawiał się, w którym momencie popełnił błąd? Czego poskąpił temu uwielbianemu dziecku, że mimo ostrzeżeń, jasnego przekazu, co wolno, a czego bezwzględnie należy się wystrzegać, ono postąpiło dokładnie na odwrót, łamiąc serce dziadka i skazując go na cierpienie, jakiego jeszcze kilka dni temu nie był w stanie sobie wyobrazić? Nie potrafił niczego takiego odnaleźć. Czy były wcześniej jakieś symptomy, sygnały tego, co może nastąpić? Być może, ale on niczego nie spostrzegł i to również teraz sobie wyrzucał.

Zaglądał do zajmowanego do niedawna przez Jadwinę skromnego pokoiku, siadał na tapczanie i na całe godziny pogrążał się w rozmyślaniach. Wszystko na nic, tyle lat wojował, budował, starał się, a na końcu został sam: jeden syn ot tak, po prostu wyparował, nie było nawet czego do grobu złożyć, z drugiego pozostało pół człowieka, córka wyniosła się daleko,

a teraz tracił i ją, ukochaną wnuczkę. Przegrał! Poczuł się, jakby spadał w otchłań. Nie, nie zleci tam w pojedynkę, buntował się, pociągnie za sobą całą resztę! I wtedy najgorsze myśli przychodziły mu do głowy; czując, jak pali go wewnętrzny ogień, pragnął, aby pożoga ogarnęła także tamten dom, myślał o podpaleniu chałupy Pudłów, w nocy, kiedy spali, tak aby nikt ze znajdujących się w środku nie miał szansy na ucieczkę. W czarnych wizjach, jakie roily się w jego głowie, sam również rzucał się w płomienie, które pochłaniały wszystkich: Michała, Lucynę, pozostałych Pudłów, Jadwinę, jego, nawet Matyldę. Kilkoma namoczonymi w benzynie szmatami mógł wyrównać wynik tego swoistego rodzinnego pojedynku, w którym jak dotychczas los, nierówno rozdzielając żółte i czerwone kartki, nie dawał okazji na sprawiedliwą rywalizację. W innej wersji, gasząc wewnętrzną pożogę, topił w wyobrażeniach całe to zniechęcone towarzystwo niczym nowo narodzone kocięta, a pochłaniająca wszystkich woda koila też palący jego trzewia ból. Pograżony w makabrycznych myślach zasypiał nieraz w ubraniu na tapczanie. Budziła go Matylda, potrząsając ramieniem. Siadał na łóżku nieprzytomny, na widok żony przychodziło mu na myśl, że być może to jej wina, że to ona nie dopatrzyła wychowania powierzonej ich opiece wnuczki, przemyślała jakieś nieprawe idee, a kto wie, może o wszystkim wcześniej już wiedziała. Wprawdzie Matylda jako pierwsza wymierzyła Jadwini policzek, ale mogła być to tylko zasłona, część spisku. Patrzył w takich chwilach wrogo na żonę, a kiedy tylko śmiała powiedzieć jakieś słowo, wykrzykiwał, podlewając sosem z najohydniejszych wyzwisk swoje podejrzenia. Po kilku dniach Matylda przestała go budzić. Od tej pory zrywał się sam w środku nocy, mając na sobie klejące się do ciała, mokre od potu ubranie, w którym zasnął. Siedział na tapczanie, próbując przeszyć wzrokiem ciemność, a wtedy coraz częściej przychodziły mu do głowy inne myśli, jakie nie pojawiały się od

niepamiętnych czasów.

A może błąd popełnił już dawniej, przed trzydziestu laty. Może to on nie miał racji? Może należało pozostawić Ukraińców w spokoju? Nie, nie, to niemożliwe, przekonywał sam siebie, a przed oczyma stawał mu charczący Mykoła z przebitym gardłem, należało mu się! Tak, prawda, należało mu się, odzywał się jednocześnie jakiś wewnętrzny głos, tylko czy czyny jednego bandyty mogą obciążać wszystkich? Cały naród? Pewnie, odpowiadał wtedy zajadle Piotr, każdy z nich taki sam! Czyżby, toczył się wewnętrzny nocny dialog, a co takiego osobiście zrobił ci Michał Pudło, czym zaszkodził, jaką wyrządził krzywdę? I Gruszczyński wracał pamięcią do wydarzeń sprzed trzydziestu lat, i kiedy tak uczciwie analizował to, co się wówczas stało, doszedł w końcu do wniosku, że tak po prawdzie to on usiłował zaszkodzić Michałowi, a nie odwrotnie, jak starał się sobie i całej swojej rodzinie wmawiać przez te wszystkie lata. Jedyłą winą Pudły pozostawała jego ukraińskość. A i ona nie była do końca pewna. Tak twierdziły władze, które go tu wywiozły, on sam mówił przecież coś zupełnie przeciwnego. A jeśli nawet – w myślach Piotr wygłosił to przypuszczenie szeptem – władza ludowa się myliła, jeśli rzeczywiście nastąpiła tragiczna pomyłka, jeśli Michał i jego rodzina nie są żadnymi Ukraińcami, to co wtedy? Kowal uchwycił się tej myśli i przez kolejnych kilka nocy wałkował ją na wszystkie możliwe sposoby.

Jadwinia z Gienkiem skryli się w domu Pudłów. Dziewczyna wybiegła z domu tak jak stała, nie zdążyła zabrać ze sobą niczego, a o powrocie po jakiegokolwiek rzeczy nawet nie myślała. Po pierwsze, jak szeptano we wsi, dziadek nie ruszał się z domu na krok, a nawet gdyby, to, po drugie, nie miała w chałupie żadnych sprzymierzeńców, nikogo, z czyją pomocą i asystą mogłaby zakraść się do swojego pokoju i wynieść to, co do niej należało. Babka pierwsza podniosła na nią rękę, którą potem zaciśniętą w pięść – Jadwinia miała to wciąż przed oczami –

wymachiwała w oknie nad głową krzyżącego dziadka, kiedy ten wypędzał ją z domu. Może kiedy w czasie wakacji przyjedzie ciocia Irena, kombinowała, z jej pomocą uda się odzyskać chociaż część ubrań, a jeśli nie, to trudno. Tymczasem wypadało zastanowić się, co robić dalej. Po uzyskaniu – na razie jedynie w postaci ustnego zapewnienia – zgody rodziców Gienka na ślub nie istniała już żadna formalna przeszkoda do zawarcia małżeństwa. Niby należało tylko ustalić szczegóły – jaki ślub, kościelny czy jedynie cywilny, gdzie młodzi zamieszkają po włożeniu na palce obrączek, u Pudłów w chałupie, w mieszkaniu, które mieli szansę otrzymać od dyrektora Wilusza na blokach, czy może w Miasteczku – ale wciąż zwlekali z podjęciem jakichkolwiek kroków. Wszyscy, zarówno Michał rozglądający się czujnie na boki za każdym razem po wyjściu z chałupy, jak i młodzi, a nawet publiczność przyglądająca się wszystkiemu z mieszaniną wścibskiej ciekawości i lęku przed nieuchronnym wybuchem, który rykoszetem mógłby uderzyć w niejedną głowę, czekali na ruch Poznaniaka. Wydawało się niemożliwe, aby kowal pogodził się z porażką, nie zareagował na zniewagę, jaka spotkała go ze strony Ukraińców i wnuczki. Nikt nie miał wątpliwości, że po dojściu do siebie Gruszczyński zaatakuje, nie wiadomo jedynie, jaka będzie skala jego riposty i gdzie uderzy.

Nad wsią zawisł nastrój pełnego napięcia wyczekiwania. Mijały dni. Stan zawieszenia robił się nieznośny. Zamknięty w chałupie Gruszczyński wciąż zwlekał. Wychodziła z rzadka jedynie Matylda, by zrobić zakupy, nakarmić zwierzęta. Kobyty próbowały ją zagadać, czegoś się dowiedzieć, wysondować, na co się nastawiać, jednak ona przemykała jedynie ze spuszczoną głową, jak zbity psiak z podkulonym ogonem, fukając na każdego, kto usiłował się do niej zbliżyć. I mimo że w niejednej z kobiet budził się naturalny odruch buntu, chęć krzyknienia jakiegoś dosadnego słowa, to żadna nie odważyła się tego zrobić, bo Gruszczyński, chociaż ranny, może nawet śmiertelnie,

w dalszym ciągu mógł być piekielnie niebezpieczny niczym przyparte do muru postrzelone dzikie zwierzę i potrafiłby jeszcze boleśnie ukąsić. To nie był najważniejszy moment na pastwienie się nad pokonanymi, na to należało – niecierpliwie, to fakt – jeszcze chwilę poczekać.

I wtedy stało się coś, czego nikt we Wrześniowie się nie spodziewał. Ani wcześniej, a szczególnie teraz. Piotr Gruszczyński wyszedł przed dom. Ubrany jak na pierwszego maja, elegancki, wypachniony. Z dumnie podniesioną głową ruszył krokiem jak na defiladzie w stronę sklepu. Nie rozglądał się na boki, ale jeśli ktoś miał czelność zajrzeć mu w oczy, odpowiadał takim spojrzeniem, że tamten natychmiast spuszczał wzrok. W GS-ie w ogonku stało kilka osób oczekujących na wymianę paru groszy, jakie pozostały im z pensji na płynne uciechy. Hałas otwieranych z impetem drzwi sprawił, że kilka głów odwróciło się, a na widok stojącego w progu Poznaniaka ich właściciele rozstąpili się na boki, wkrótce dołączyła do nich reszta, formując skromny zalękniony szpaler. Piotr podszedł do lady. Położył pieniądze i, zamiast mocnego głosu, jak tego chciałby Gruszczyński, z jego ust wydobył się jedynie słaby, gasnący charkot:

– Wód... – wychrypiał, po czym odchrząknął i poprawił się już pewniejszym tonem – wódki!

Sklepowa zerknęła na leżącą na kontuarze odliczoną sumę i zdjęła z półki dwie butelki żytniej. Gruszczyński, nie mówiąc już ani słowa, chwycił flaszki, odwrócił się na pięcie, zbiegł ze schodków i z każdym metrem jakby przyspieszając kroku, niby popychany przez śledzące go spojrzenia, wrócił do wsi. Bez wahania nacisnął klamkę furтки prowadzącej na podwórze chałupy Pudłów, po czym – niby żołnierz biorący udział w ulicznych walkach – jednym susem, skulony wskoczył do wnętrza domu. Siedzący wraz z całą rodziną przed telewizorem Michał zdążył jedynie pomyśleć, że mimo czujności, jaką przez

ostatnie dni starał się zachować, dał się zaskoczyć. Rozglądał się gorączkowo, czy zanim nastąpi atak, zdoła doskoczyć do pieca i porwać pogrzebacz leżący przy drzwiczkach od popielnika. Przez moment mężczyźni mierzyli się wzrokiem. A potem Piotr zrobił krok w przód. Jadwinia pisnęła i usiłowała się schować za plecami Gienka. Gruszczyński zdawał się na nic nie zwracać uwagi, patrzył Michałowi prosto w oczy i wyglądało tak, jakby cała reszta go nie interesowała. Zdecydowanym ruchem postawił na stole butelki:

– Może byśmy tak, kumie, wódki się napili, skoro mamy być jedną rodziną – powiedział bez cienia emocji w głosie, stanowczo, jakby był pewien, że jego hojna oferta jest z gatunku tych nie do odrzucenia i że w jednej chwili znów jest panem sytuacji, że zachowując się tak, jak nikt się tego po nim nie spodziewał, jednym prostym ruchem przekuł porażkę w triumf.

*

Wiatr poruszył ogołoconymi z liści konarami. Skrzypiały huśtane silnymi podmuchami pnie drzew. Taflę jeziora pokryły zmarszczki. Nadciągały jesienne chłody. Gienek przytulił siedzącą obok narzeczoną. Nie musieli już się kryć, nie było czego się obawiać, mimo to dalej lubili tu przychodzić. Miejsce przypominało im czasy, w których rodziła się ich miłość. Chłopak, czując ciepło płynące z ciała Jadwini, przypominał sobie, jakie wątpliwości targały nim na chwilę przed tym, zanim ujawnili się przed światem ze swoim uczuciem. Wątpliwości, jakimi nigdy z nikim się nie podzielił, nawet z nią. I nie chodziło wyłącznie o strach przed reakcją rodzin, ale o to, jak sami zareagują na nową sytuację. Czy zerwanie pieczęci „ściśle tajne” nie pozbawi ich uczucia mocy? Czy kiedy owoc, którego kosztują, nie będzie już owocem zakazanym, jego smak się zmieni,

spowszedniej, nabierze banalnych, ordynarnych akcentów? Jak zagra serce, gdy zniknie obowiązek bicia w odcieniu *pianissimo*, kiedy wystukiwany przez nie rytm słyszeć będą nie tylko jedne, ukochane uszy? Czy będzie wówczas biło z równą pasją jak do tej pory? Nawet jeśli stałości swoich uczuć był pewien, to czy mógł mieć nadzieję, że z Jadwinią będzie podobnie? Nadzieję, owszem, ale czy pewność? Dzisiaj śmiał się w duchu z wątpliwości, które nim wówczas targaly. Serce biło mu wciąż *con fuoco*, a łowiąc pełny oddania wzrok narzeczonej wpijający się w niego z siłą, jaką dać może jedynie najgłębsza miłość, nie miał najmniejszych już wątpliwości, że z nią jest tak samo.

Przez kilka dni, po tym jak przedefilowali, trzymając się za ręce, przez wieś, a potem ścigana klątwami miotanymi przez Gruszczyńskiego z okna Jadwinia skryła się w domu Pudłów, stali się we wsi sensacją sezonu – brakowało konkurencji, szczególnie że Piotr nie ruszał się poza próg chałupy. Zastanawiano się, jak długo już ten romans mógł trwać, zdumiewano, że nikomu nie udało się nic dostrzec, zdemaskować pokątnych nielegalnych kochanków. Przypominano sobie mgliste symptomy, które być może ten i ów gdzieś spostrzegł, ale później zlekceważył. Ale najczęściej kręcono z niedowierzaniem głowami, nie mogąc pojąć, co też Gienkowi i Jadwini strzeliło do głowy. Padało wprawdzie z jednych czy drugich ust słowo „miłość”, tylko cóż ono tak naprawdę znaczyło? Dla pracowników wrześniowieckiego PGR-u był to jedynie dolatujący niekiedy z ekranu telewizora papierowy slogan. Tu nikt nie miał czasu na takie bzdety, owszem, rozumiano namiętność, pociąg, pożądanie, czasem im nawet ulegano, ale miłość to było jakieś miastowe fiu-bździu. Zdarzało się, rzecz jasna, że temu i owemu zatańczyły motyle w brzuchu, że na widok kogoś łomotało coś szybko w klatce piersiowej, szło się wtedy w konkury, składało konkretną propozycję, która jeśli została przyjęta, prowadziła przed ołtarz, a jeśli nie, trzeba było szukać dalej. W jednym

i drugim wypadku uderzenia gorąca i suchość w ustach na widok drugiej osoby mijały równie szybko, jak się pojawiały. W twardej pegeerowskiej rzeczywistości nie było miejsca na romantyczne porywy i zbyt długie wzdychania, a już ryzykowanie z powodu zakochania głębszymi konsekwencjami, jak zrobili to Jadwinia z Gienkiem, nie mieściło się po prostu w głowach. Dlatego zakochanym przedstawicielom zwaśnionych rodzin dziwiono się, ale jednocześnie, co ciekawe, szanowano ich wybór. Odnosiło się nawet wrażenie, że z oczu sąsiadów obserwujących oczekiwanie młodych na reakcję Piotra, która – co do tego wszyscy byli zgodni – musiała być gwałtowna, płynęło współczucie i pełne litości rozrzewnienie nad ich głupotą.

Tak było do czasu, aż Gruszczyński opuścił chałupę. To, co zrobił, wprawiło w osłupienie wszystkich. Piotr skradł młodym show. Teraz oczy całej wsi były zwrócone na niego i na Michała.

Wrześniowo wyglądało obecnie niczym wybudzone z letargu, mieszkańcy spoglądali na siebie, jakby przed chwilą zdjęto klątwę rzuconą przed dziesiątkami lat na wieś i przebywających w niej ludzi i wreszcie mogli przyjrzeć się sobie nawzajem bez rozpuszczonej złymi czarami mgły przysłaniającej wzrok. Nikt – poza dwoma wyjątkami – nie był rozczarowany, nikt zawiedziony tym, co się stało. W powietrzu roznosił się zapach ulgi, na którą wszyscy z mieszkańców od lat już przestali liczyć, a którą każdy po początkowym zaskoczeniu przyjął z entuzjastyczną radością. Dawni wrogowie, bez względu na to, po czyjej – poznańskiej czy ukraińskiej – stronie dotąd się znajdowali, podawali sobie ręce, uśmiechali się do siebie i toczyli długie przyjazne rozmowy. Poznawali się na nowo, bo mimo że żyli obok siebie przez całe lata i wiedzieli o sobie na pozór bardzo wiele, to tak naprawdę nie znali się w ogóle, przyczajeni po dwóch stronach barykady, mając za pośredników jedynie rodzinę Żytków. Teraz, jak żołnierze dwóch wrogich okopanych na froncie armii po podpisaniu rozejmu, wychodzili z za

zasieków i z ciekawością próbowali zaprzyjaźnić się z niedawnym przeciwnikiem. Prym wiódł Czyżyk. Jak zawsze wesoły, otwarty, gadatliwy stawał pod sklepem i zaczepiał każdego, kto do niedawna opowiadał się za Gruszczyńskimi, przyłączał się do dyskutujących grup, żartował, licząc na to, że ktoś wyciągnie w jego stronę otwartą wypełnioną procentami butelkę. Zazwyczaj znajdował się chętny do spełnienia jego oczekiwań. Pieczętowano wówczas przyjaźnie, pociągając głębokie, palące gardła hausty. A jeśli ktoś zamroczony wypitym alkoholem, na moment zapominając o zakończonej wojnie, usiłował wzniecić awanturę, reszta ze śmiechem szybko pacyfikowała piniacza, który po przetrzeźwieniu ze wstydem przeproszał za swoje głupie zachowanie.

Jedynie wicedyrektor Piwocki zdawał się niezadowolony z harmonii, jaka zapanowała we Wrześniowie. Chodził po wsi, kręcąc głową z niedowierzaniem, a widząc zbliżenie Pudłów i Gruszczyńskich, cmokał ze złością wąskimi ustami. Na zebraniach egzekutywy w dyrekcji kombinatu, gdzie dyrektor Wilusz w swoim zastępstwie wysyłał go na nasiadówki, zajmując miejsce za prezydialnym stołem, dzielił się z pozostałymi dyrektorami i sekretarzami organizacji swoim oburzeniem:

– Jak on mógł do tego dopuścić? – sarkał, a potem dodawał, podnosząc wskazujący palec ku górze. – Zobaczycie, towarzysze, teraz wliżą mu na łeb.

Dyrekcja nie podzielała jego obaw:

– Zgoda buduje, towarzyszu Piwocki – przekonywano – to wszystko, widzicie, za długo trwało. Załoga w końcu odetchnie. Skupi się na robocie, a nie konfliktach. Głowę daję, że, tego owego, w pracy wspólny zespół wydajność wzrośnie, efektywność poszybuje w górę. Przekonacie się.

– A ja się z wami, wybaczcie, towarzysze, pozwolę sobie nie zgodzić – upierał się Piwocki, gestykułując wskazującym palcem.
– Współzawodnictwo, spór, rywalizacja, a nie mizianie się po

pysiach to jest to, co zachęca ludzi do efektywniejszej pracy. Jedni patrzą na drugich i chcąc im dopiec, swoim wrogom, chcąc zaskarbić sobie przed nimi przychylność dyrekcji, zasuwają, aż miło patrzeć. Jak żyją w zgodzie, to zaczyna się, uważacie, towarzysze, kombinowanie. A i, pamiętajcie, kiedy załoga nie mówi jednym głosem, dykcja ma większe pole manewru, może rozgrywać niesnaski na własną, i oczywiście zakładu, korzyść. Nie ma nic gorszego, niż kiedy pracownicy się jednoczą.

– Mrzonki! – ucinał ostro dyskusję naczelny. – Rywalizacja tak, ale zdrowa. Pozytywna. Optymistyczna, można powiedzieć. Tymczasem we Wrześniowie mieliśmy do czynienia z pesymizmem, z konfliktem, który był tak ostry, że czasami, tego owego, aż niemiło pachniał sabotażem. Popieram zdanie towarzyszy: w kolektywie siła, nie w koteriach. Wy, Piwocki, z waszymi teoriami jesteście tu w mniejszości, a wiecie przecież, gdzie jest miejsce tych, którzy, tego owego, mają odmienne zdanie niż zdrowo myśląca większość? No! – kończył już łagodnie i z uśmiechem połajankę dyrektor kombinatu rolnego. – Zapamiętajcie sobie zdanie naszego wielkiego poety: niezgoda rujnuje, zgoda buduje!

Piwocki potakiwał i zwieszał głowę, nieprzekonany, pewny swoich racji, ale taktycznie milczący. W końcu, co go to obchodziło, że załoga we Wrześniowie wtarabani się Wiluszowi na łeb, on głośno i wyraźnie wypowiedział swoje obawy i jeśli dyrektor przestanie radzić sobie z ludźmi, to on jako wice może jedynie na tym skorzystać. Nawet, kto wie, zająć miejsce nieudolnego, starzejącego się dyrektora. Błędy i potknięcia naszych przełożonych mogą okazać się szansą do wybicia się po ich karkach w górę, kombinował w duchu Piwocki, trzeba tylko uważać, żeby nie dać się pociągnąć w dół wraz z upadającym gamoniem. Ja tam się czujnie zabezpieczyłem. Niech stary piernik wali się na łeb na szyję, jak głupi, ja nie mam zamiaru lecieć razem z nim.

Jeszcze jedna osoba czuła się całkowicie zdezorientowana nagłą odmianą sojuszy, jaka nastąpiła we Wrześniowie. Wojtuś Gruszczyński. Przekonany przez Lesia, że jedynym sposobem zjednania sobie dziadka, sprostanania jego wymaganiom stawianym wobec wnuka jest wzbudzić w sobie szczerą i najgłębszą, jak to możliwe, nienawiść do Ukraińców, pracował nad tym z pełnym zaangażowaniem i wreszcie mu się powiodło. Nienawidził całym sercem. Przez lata pielęgnował to uczucie, by teraz z dnia na dzień zobaczyć, jak dziadek kuma się z Pudłami, jak Jadwinia, siostra Lesia, obściskuje się z ukraińskim pomiotem. Nic z tego nie rozumiał. Rozglądał się skołowany dookoła, nie mogąc znaleźć nikogo, kto pokierowałby jego emocjami, przewodnika, który wskazałby, w którą stronę należy podążać. Ojca nawet nie pytał, matka zagadnięta prychała, wzruszając ramionami i mamrocząc pod nosem: Gruszczyńscy, kto za nimi nadąży, a dziadek zbywał chłopaka słowami: dajże mnie spokój. Był otumaniony. Zastanawiał się, czy to wszystko dookoła to jest tylko teatr, czy dzieje się na poważnie? Czy cała dotychczasowa nienawiść to była wyłącznie taka gra, czy może teraz dziadek przyjmuje jedynie pozę, żeby w przyszłości Ukraińców celniej trafić? Co robić, jak to rozumieć? Gdyby chociaż w pobliżu był Lesio, on na pewno wiedziałby, co się dzieje, wyjaśnił, doradził, jak należy się zachować. Ale Lesio wciąż przyjechać nie mógł. W lecie, kiedy jak co roku we wsi pojawiła się ciotka – która tym razem zabawiła wyjątkowo krótko – pozostający pod jej opieką bratanek miał jeszcze dwa miesiące do odpokutowania. We Wrześniowie oczekiwano go dopiero zimą, tuż przed ślubem siostry. Do tej pory Wojtek musiał zająć jakieś stanowisko wobec nowej sytuacji. Zdecydował się iść z prądem, dać się ponieść nurtowi entuzjazmu, cieszyć wraz z innymi szczęściem przyszłych państwa młodych.

Rozpoczęły się przygotowania do ceremonii. Szybko osiągnano

porozumienia w kolejnych kwestiach: ślubu w kościele, a nie jedynie w urzędzie; terminu, za najlepszy uznając drugi dzień świąt Bożego Narodzenia; chwilę spierano się, szukając odpowiedniego miejsca na wesele, bo co do tego, że ma się na nim bawić cała zjednoczona wieś, w obu rodzinach nikt nie miał wątpliwości, ale w domach brakowało miejsca, a remizę w Trójczynie zarówno Piotr, jak i Michał uznali za zbyt mało reprezentacyjną jak na rangę wydarzenia. Z pomocą przyszedł dyrektor Wilusz, którego Gruszczyński postanowił – pomimo oporów, jakie miał Pudło obawiający się odmowy ze strony tak dostojnej osobistości – zaprosić na uroczystość. Zarazony wątpliwościami Michała kowal zdecydował się najpierw wysondować dyrektora i w tym celu udał się do niego do gabinetu na audiencję. Wilusz uważnie wysłuchał, co Gruszczyński miał do powiedzenia, chwilę pomilczał, po czym, podnosząc się od biurka i idąc w stronę okna, rozważał głośno:

– Do kościoła, wybaczcie, Gruszczyński, ale mi nie wypada. Sami rozumiecie. Na moim stanowisku będzie to źle odebrane. Natomiast na wesele... czemu nie?! – Zatarł ręce. – Zasłużyliście na to, obaj z Michałem, aby dyrekcja uświetniła zaślubiny. Wykazaliście się solidnym polityczno-społecznym wyrobieniem i odwagą, pokonując w sobie ostatnie okowy zabobonu i wyciągając dłonie na zgodę. Termin wybraliście wprawdzie nie tego, ale nie będę się upierał na zmianę. – Odwrócił się w stronę Gruszczyńskiego i wyciągnął dłonie, aby uściskać kowala. – Na zabawę przyjdę. To gdzie weselisko?

– No właśnie... – Gruszczyński spuścił głowę. – Bo my jeszcze... Nie bardzo wiemy gdzie. Młodzi to chcieli nawet w Trójczynie w remizie, ale my z Michałem się nie zgodzili. Kto to widział, żeby moja Jadwinia w takim dziadostwie się weseliła. Niech se tam kmioty zabawy organizują. Może by gdzie w Miasteczku poszukać? Tylko to daleko. Trzeba by...

– Czekajcie, nie przejmujcie się – przerwał dyrektor. – Bonanza

nieogrzewana, szkoda ludzi w mróz taki kawał wieźć jak w lodówce, ale mogę się dla was o jakiś autokar wystarać u dyrekcji kombinatu. Teraz z was tam są prawdziwe gwiazdy. Zaraz zadzwonię. – Sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Panie dyrektorze, nie wiem, jak dziękować. W tych dniach pojedziem z Michałem do Miasteczka szukać odpowiadającej sali.

– Sali, powiadacie? – Dyrektor przerwał w połowie wykręcanie numeru na tarczy. – Zaraz, zaraz... Chwileczkę. Mam pomysł. – Rzucił z rozmachem słuchawkę na widełki. – Urządzimy wesele w pałacu! W tej wielkiej sali, co to ją Niemcy nazywali balową. Nada się. Wszystkich pomieści.

– I na miejscu! – Piotr się ucieszył.

– Napali się w tym wielkim kominku! – nakręcał się dyrektor. – Stoły ustawi się w podkowie, to całą wioskę upchniemy. Kuchnia na dole! Będzie weselisko jak się patrzy. Należy się wam. A co?! Niech wszyscy widzą, do czego zgoda prowadzi! U mnie na zakładzie!

Szczęśliwy Gruszczyński wracał do wsi, podskakując i pogwizdując jak nastolatek. Nie mógł się wprost doczekać chwili, w której przekaze młodym informację o miejscu wesela. Podniecała go też myśl o tym, jaką minę zrobi Michał, gdy się dowie. Od momentu, kiedy Piotr wyciągnął rękę na zgodę, rywalizacja pomiędzy mężczyznami nie dość, że nie wygasła, to wręcz się wzmogła, tylko że aktualnie przybrała odmienny charakter, panowie prześcigali się w przyjaznych gestach wobec siebie i swoich rodzin, a także w obsypywaniu przyszłej młodej pary podarunkami, obietnicami, czułymi słowami, zerkając jednocześnie kątem oka, czy udało się każdemu z nich przebić drugą stronę, posunąć dalej niż niedawny wróg, okazać więcej pozytywnych uczuć, ot takie przyjacielskie, wylewne współzawodnictwo. Tak jakby lata nienawiści, które mieli za sobą, sprawiły, że bez tej rywalizacji, bez względu na to, jakimi intencjami była podszyta, nie potrafili funkcjonować, jakby dalej

pozostawała ona sensem ich życia. Kiedy otworzyły się drzwi do salonu, w którym siedziała rodzina Pudłów, a w progu stanął Piotr z triumfującą miną, Michał od razu wiedział, że wieści, jakie przynosi sąsiad, pozostawią go w pokonanym polu, ale tego, co usłyszał, nie spodziewał się nawet w najśmielszych oczekiwaniach: nie dość, że dyrekcja uświetni przyjęcie, to jeszcze oferuje pałacową salę jako miejsce wesela. Nie potrafił ukryć konsternacji, gdy tymczasem reszta rodziny wydawała z siebie zachwycone okrzyki. Z kłopotu wybawił go Gienek, sarkając:

– Może jednak pozostawilibyście nam jakieś decyzje?

– Decyzję to ty już podjąłeś – Michał poderwał się od stołu i pokazał na stojącą u boku Gienka Jadwinę – resztę zostaw nam. Wesele to sprawa rodziców, nie wasza. Dobrze mówię, Piotrek? – zwrócił się w stronę stojącego wciąż w progu z miną zwycięzcy Gruszczyńskiego.

– Pewnie. Nie podoba się wam sala w pałacu? – kował natarł na Gienka.

– Podoba. Ale...

– Bez żadnego ale. Weselisko będzie jak u hrabiów. Już wy sobie tym głowy nie turbujcie. Michał, za orkiestrą trza by się rozejrzeć.

– Zajmę się tym – szybko odpowiedział Pudło, wietrząc szansę do wykazania się, odpowiedzenia spektakularnym sukcesem na sukces Gruszczyńskiego.

– I jadłospis przygotować... – kontynuował Piotr.

– Wy, chłopcy, już lepiej do kuchni się nie mieszajta – odezwała się z fotela stara Pudłowa. – To nasza babska sprawa.

– Babska, babska – gderał Gruszczyński – tylko kto na tę babską sprawę piniędzy ma dać?

Pokrycie kosztów ślubu i wesela stanowiło problem. Obie rodziny, jak to zwykle w PGR-ze bywało, nie miały żadnych oszczędności. Nie było konieczności gromadzenia pieniędzy,

wszystkiego, co potrzebne do życia, dostarczał zakład, a jeśli kogoś naszła fantazja posiadania czegoś ekstra, jak lodówka, telewizor czy pralka, to również wymarzony sprzęt dostarczało i opłacało gospodarstwo, które później jego koszt potrącało sobie w ratach ze skromnych poborów pracownika. Oszczędzanie, trzymanie pieniędzy w skarpetach, a tym bardziej na bankowych kontach nie leżało w naturze pegeerowców, a jak gotówka się pojawiała, w mizernych, rzecz jasna, nominałach, szybko upłynniała ją w GS-ie. Teraz należało zdobyć niemałe fundusze. Można było co prawda zaciągnąć kredyt w PGR-ze, ale później wypadało go spłacić, a z czego? Nie mieli wyjścia, trzeba było, jak mówiono we Wrześniowie, zakombinować. Mężczyźni ostro zabrali się do roboty. Gruszczyński przyjmował w kuźni każdą fuchę, naprawiał co tylko się dało i komu się dało, ranne pegeerowskie sprzęty musiały poczekać na swoją kolej, teraz pierwszeństwo miały prace, za które płacono twardą gotówką. Do kuźni, już nie chyłkiem jak dotychczas, ale jawnie, przed nikim się nie kryjąc, ciągnęły pielgrzymki rolników z okolicznych wiosek, bo Gruszczyński nie dość, że za pół ceny, to jeszcze fachowo i od ręki – bez składania zapotrzebowań, kwitów i czekania na odległe terminy wykonania – naprawiał każdą usterkę, klepał piersi i lemiesz pługów, dorabiał brakujące elementy, wymieniał piasty, a nawet kuł konie. Wilusz, rozumiejąc powagę sytuacji, przymykał na wszystko oko, ufny w to, że i na górze będą patrzyli na wynikłe opóźnienia z pobłażaniem, w końcu chodziło o zażegnanie najdłużej ciągnącego się konfliktu w okolicy, który kładł się cieniem na opinię o zgodnym, kolektywnym, opartym na nowoczesności życiu w wyższej formie rozwoju rolnictwa, jakim było Państwowe Gospodarstwo Rolne. Opóźnienia da się nadrobić, a kruchą, dopiero co wypracowaną równowagę łatwo zniszczyć jednym nierozważnym ruchem, kombinował dyrektor. Michał nie pozostawał w tyle. Trwały właśnie najbardziej intensywne

prace w polu, a peerelowska gospodarka – nie wyłączając rolnictwa – odczuwała już wyraźnie skutki radosnych reform Gierka, brakowało dosłownie wszystkiego. Paliwa, smarów, nawozów, części zamiennych, ziarna na zasiew, paszy, worków, a nawet osławionych sznurków do snopowiązałek. To znaczy brakowało w oficjalnym obrocie, bo czarny rynek kwitł. A królem drugiego obiegu sezonu tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem w okolicach Miasteczka został Michał Pudło. Kradł... a raczej, jak mawiano w PGR-ze, wynosił z zakładu wszystko, na co było zapotrzebowanie i co można było na pniu sprzedać. I tym razem Wilusz udawał, że niczego nie widzi. Widział za to Piwocki i aż korciło go, żeby zareagować, jednak zadawał gwałt swojej ostrej naturze i czekał cicho; wiedział, że to jeszcze nie jest właściwy moment, że wszystko, co obserwuje, było cięciem przez dyrektora gałęzi, na której sam siedział, a jego, zastępcy, rolą jest chwycić się mocno pnia, aby zostać na górze, kiedy osłabiony konar wraz z Wiluszem i dyrektorskimi pupilami będzie walił się z hukiem na ziemię. Na razie Pudłowie i Gruszczyńscy ściubili grosz do grosza, a Piwocki skrętnie notował sobie każdy zauważony przekręt, na który Wilusz nie reagował.

Lista gości nie sprawiła organizatorom żadnego kłopotu. Na wesele zaproszeni zostali wszyscy mieszkańcy Wrześniowa, do tego dyrekcja PGR-u oraz mieszkający poza wsią członkowie rodzin państwa młodych: Adaśko, żyjąca w Miasteczku Hela z mężem i maleńkim dzieckiem, brat Piotra ze swoją żoną heterą – przy jej imieniu Gruszczyński cmoknął i niezadowolony pokręcił głową, ale cóż można było zrobić, brat to brat, a bratowa to bratowa, zaprosić wypada – i oczywiście Irena z Pawłem, a z nimi to skaranie boskie Lesio, o ile do tej pory znów nie narozrabia.

Wybór świadków nastęrczył nieco problemów. Po stronie Jadwini, bo u Gienka sprawa była oczywista: Adaśko, starszy

brat, nadawał się idealnie, najbliższa rodzina, chłop na schwał i do tego w mundurze lotniczym, lepszego Gienek nie mógł sobie wymarzyć. Tymczasem Gruszczyńscy nie mieli tak jednoznacznego wyboru. Za rodzeństwo Jadwinia miała jedynie Lesia, a ten nie dość, że chłopak – a przecież pannie młodej należała się pomoc w nakładaniu sukni ślubnej, fryzowaniu i innych kobiecych sprawkach, kto widział, żeby chłop się do tego brał – to jeszcze łobuz, z zabazgraną kartoteką. Dopiero by się prezentował przy Adaśku. Piotr nie mógł na to pozwolić. Należało poszukać kogoś innego. Pozostawała Irena. Tylko ona mieszkała daleko, a im potrzebny był ktoś na miejscu. Poza tym była sporo starsza od Jadwini. Długo we trójkę – panna młoda, Piotr i Matylda – rozważali wszystkie za i przeciw. Gruszczyńska przekonywała, że wprawdzie Irena jest już w latach i mężatka, ale z drugiej strony w wieku Adaśka, miastowa, obyta, nie będzie przy nim wyglądała jak wsiowy kocmołuch. Zresztą jakie było wyjście, obcej na świadkową nie będą brać. Wreszcie Piotr zdecydował, że jeśli córka zgodzi się wcześniej przyjechać i we wszystkim pomóc, poproszą ją na świadka. Następnego dnia powędrował do biura i dukając cyfry zanotowane na pomiętej karteluszcze, zamówił w centrali telefonicznej międzymiastową z Poznaniem. Po godzinnym oczekiwaniu zaterkotał telefon, Gruszczyński uniósł słuchawkę, z której zniecierpliwiony kobiecy głos wykrzyczał: Poznań, międzymiastowa, proszę rozmawiać! Po drugiej stronie zgłosił się dziekanat instytutu. Po wysłuchaniu prośby Piotra, z głośnym westchnieniem i rzuconym do kogoś siedzącego zapewne przy biurku obok: Rozmównicę sobie urządzili, biegaj tylko i szukaj człowieka państwa profesorstwa, pracownica zgodziła się przywołać Irenę. Na szczęście pani docent nie prowadziła w tej chwili żadnych wykładów. Przez trzaski dobiegające ze słuchawki Gruszczyński usłyszał głos córki:

– Irena Korolec, słucham.

– Irka? To ja! Ojciec! – krzyczał Piotr.

– Tata? Stało się coś?! – Irena była zaniepokojona. Nigdy wcześniej ojciec nie kontaktował się z nią w ten sposób, więc jeśli zdecydował się na taką, obcą dla niego i na pewno niewygodną formę komunikacji, musiało wydarzyć się coś niepokojącego. W jednej sekundzie przeleciało jej przez głowę kilkadziesiąt tragicznych wizji, tego, co mogło przytrafić się jej bliskim. Wiedziała wprawdzie o zgodzie z Pudłami, o ślubie Jadwini, ale wszystko to wydawało jej się tak kruche i nierealne, że była przygotowana na najgorsze. Piotr milczał, jakby zbierał się na odwagę. – Tato, co się stało? – spytała jeszcze raz.

– E! nic! – wrzasnął Gruszczyński. – Sprawa jest!

– Ale co się stało?! – Irena traciła panowanie nad sobą.

– No mówię przecie, że nic. Tylko... bo widzisz...

– Tato, wyrzuc to wreszcie z siebie, inaczej oszaleję! – Była gotowa na wszystko.

– Bo my nie mamy świadka...

– Jakiego świadka? Świadka czego?!

– Ślubu, a czego niby? Właściwie to świadkowej. I gdybyś ty, córcia, przyjechała do nas na miesiąc albo trzy tygodnie przed zaślubinami, to my chcieli ciebie prosić, żebyś świadkowała.

– Ojciec...! – Irena z westchnieniem ulgi siadła na biurku. Oddychała szybko. Milczała, dochodząc do siebie.

– Córka? Ircia? Jesteś tam?! – Piotr dmuchnął w słuchawkę i potrząsnął nią.

– Jestem – odpowiedziała cicho. – Kto będzie świadkował od Pudłów?

– A kto niby ma? Ten ich Adaśko. Wiadomo.

Przez plecy Ireny przebiegł dreszcz, a na ramionach pojawiła się gęsia skórka. Serce biło jej jak młotem, kiedy odpowiadała:

– Zgoda. Przyjadę.

Dwa dni później do 8 Pułku Lotnictwa Myśliwsko-Bombowego stacjonującego w Mirosławcu dotarł adresowany na nazwisko

plutonowego Adama Pudły telegram, w którym ojciec powiadamiał go o dacie ślubu brata. Depesza kończyła się słowami, które sprawiły, że trzymające zadrukowaną kartkę dłonie Adaśka zwilgotniały: ty Irena świadkowie stop bier przepustki przyjeżdżaj stop.

*

Pierwszy śnieg spadł już pod koniec października, a na Wszystkich Świętych była zima jak się patrzy: mróz trzymał tęgi, gałęzie gięły się pod czapami z białego puchu, a jezioro pokryła cienka jeszcze warstwa lodu. Jadwinia oparła rower o płot niedaleko cmentarnej furki i przytupnęła, pragnąc rozgrzać zziębnięte stopy. Miała za sobą prawie pięć kilometrów drogi w mrozie, smagana lodowatym wiatrem. Mimo że przy brzegu pojawiły się już pierwsze przeręble, nie odważyła się zaryzykować drogi na skróty, przez zamarznątą taflę jeziora. Niby to mówiono we wsi, że rower najbezpieczniejszy, bo na cienkich kołach i szybko porusza się na lodzie, ale z drugiej strony miała w pamięci niejednego, który utopił swój dwuślad, kiedy za wcześnie postanowił skrócić sobie podróż, a cienki lód nie utrzymał ciężaru. Niepotrzebne jej to było, jeszcze by się skąpała, po takim nurkowaniu o zapalenie płuc nietrudno, a tu do ślubu pozostały niecałe dwa miesiące. Już lepiej było wymarznąć, dać się tarmosić wiejącym z otwartych pól wiatrom, niż iść przed ołtarz z gorączką. Pewnie nic takiego by się nie przydarzyło, ale gwarancji też nikt nie mógł dać.

Wyjęła z kieszeni kożucha dwa znicze i wydeptaną cmentarną ścieżką ruszyła w stronę grobu, w którym pochowano rodziców. Ramieniem zgarnęła śnieg z lastrykowej płyty i odczytała wyryte na niej epitafium. Sięgnęła po zapalki i zgrabiałymi z zimna palcami przypaliła knoty świeczek, a następnie ustawiła znicze

przy wykutych w kamieniu imionach rodziców. Złożyła dłonie do modlitwy, a kiedy skończyła odmawiać pacierze, zaczęła opowiadać matce i ojcu o ślubie. Mówiła o swojej miłości, o tym, jaka jest szczęśliwa, i o tym, jak bardzo żałuje, że oni nie mogą tego oglądać. Ale czy naprawdę tego żałowała, przeszło jej przez myśl. Czy gdyby żyli, wszystko potoczyłoby się podobnie? A dlaczego nie? Ojciec, chociaż nienawidził Pudłów z całego serca, był w głębi duszy dobrym, ugodowym człowiekiem, na pewno zrozumiałby, przekonałby się do Gienka. Skoro potrafił dziadek, to umiałby i on. Choć z drugiej strony, gdyby Piotr w tym wszystkim nie był sam, gdyby miał wsparcie Józka, może dłużej by się bronił? Któż to teraz mógł wiedzieć? Zresztą ojciec miał inne problemy, z Lesiem. No tak! Gdyby nie śmierć rodziców, brat nie wyjechałby do Poznania i wcześniej czy później wykryłby ich romans, a wtedy... Jadwinia wzdrygnęła się na samą myśl. Brrr, otrząsnęła się, jest jak jest, i dobrze, nie ma się co zastanawiać, co by było, gdyby było. Ale swoją drogą, teraz, stojąc pewnie na nogach, mając wszystko ustalone i porezerwowane, wybraną datę ślubu, a przede wszystkim ciesząc się błogosławieństwem dziadka, ciekawa była, jak na wieść o zgodzie między rodzinami i o jej miłości do Pudły zareagował w Poznaniu Lesio? Nie miała, w zasadzie nikt nie miał – może poza ciotką Ireną, ale ona w tej sprawie milczała jak zaklęta – na ten temat żadnych informacji. Wściekł się, tego była pewna, ale czy pogodził z faktami? Nie wiedziała. Jedno nie budziło wątpliwości, nie miał innego wyjścia, musiał, a gdyby mimo wszystko dalej tkwił w zacierzewieniu, to cóż, trudno, byłoby jej żal, w końcu brat, jednak prawdę mówiąc, ich drogi rozjechały się dawno temu, czy jeszcze się zejdą, zależało już tylko od niego.

Sprawki Lesia od pewnego momentu były w domu tematem tabu. Dziadek ucinał wszelkie dyskusje na jego temat, nie odpowiadał na pytania, a i ciotka, kiedy pojawiała się we wsi,

nigdy – przynajmniej przy Jadwidze – o nim nie mówiła. Było widać, że boli ją każde wspomnienie na jego temat, że to, co się z nim działo, traktuje jako osobistą porażkę. Kochała bratanka jak własne dziecko, była gotowa nieba przychylić sierocie, tymczasem to dziecko pomimo okazanego ciepła, całej miłości, jaką Irena na nie przelała, pędziło z pochyloną głową, nie bacząc na konsekwencje, na spotkanie z murem, którym w jego mniemaniu otoczył go świat. I z tym wyimaginowanym murem w końcu się zderzył. Jadwinia wiedziała tylko tyle, że siedział za coś w poprawczaku. Za co, nie miała pojęcia i nikt nie przejawiał ochoty, aby ją o tym poinformować. Co do jednego nie miała wątpliwości: za niewinność nikt tam nie trafiał. Na szczęście przed kilkoma dniami brat opuścił placówkę resocjalizacyjną i według zapewnień ciotki miał pojawić się na ślubie. Jadwinia miała nadzieję, że kiedy chłopak zobaczy pogodzone rodziny, będzie świadkiem jej miłości, spostrzeże uśmiechnięte twarze, do niedawna jeszcze tak zacięte w gniewie, również na niego podziela dobry przykład, że obudzi to w Lesiu coś pozytywnego, poruszy jakąś łagodną nutę, którą musiał przecież – jak każdy – w sobie nosić, i spostrzeże, że wbrew temu, co mu się wydaje, świat wcale nie otoczył go murem, że niczego wokół siebie nie trzeba rozbijać, że bycie przyjaznym dla innych przynosi jedynie pozytywne konsekwencje, że to zwyczajnie się opłaca. Tu na grobie rodziców wzruszona Jadwinia przysięgła – im i sobie – że zrobi wszystko, aby pomóc bratu wyjść na właściwą drogę.

*

Z początkiem grudnia przyszła krótka odwilż. Śnieg zaczął spływać, a starsze kobiety, spotykając Jadwinę, wołały do niej wesoło: masz szczęście, dziewczyna, Barbara po wodzie, na ślub pogodę będziesz miała jak drut. Nie myliły się. Po kilku

cieplejszych dniach zaczęło się ochładzać, poproszył gęsty śnieg, a następnie, przygnany wschodnimi wyżami, chwycił słoneczny mróz i trzymał okolice w twardym uścisku, ściągnając słupki termometrów grubo poniżej zera. Mijały dni, a on wygodnie umoszczony rozparł się i nie miał zamiaru odpuścić choćby o stopień.

Najpierw przyjechała Irena. Pojawiła się pierwszego pogodnego dnia, wraz z pierwszymi promieniami słońca, jakby przywoziła ze sobą zapowiedź przyszłego szczęścia panny młodej. Była sama. Paweł nie mógł sobie pozwolić na tak długi zimowy urlop, miał dojechać na tydzień przed ślubem, razem z Lesiem, który stanowczo odmówił wspólnego przyjazdu z ciotką. Tłumaczył się tym, że nie ma zamiaru uczestniczyć w babskich ślubnych przygotowaniach, że to nie dla niego, a Gienek to żaden jego kum, brat czy swat, żeby miał mu w czymkolwiek pomagać, wręcz obawiał się, że mogłby zawadzać. Irena czuła fałsz w słowach bratanka, ale nie miała czasu dłużej się nad nimi zastanawiać, termin naglił, trzeba było jechać. Na miejscu natychmiast rzuciła się w wir przygotowań. Zaczęła od uwag dotyczących sukni ślubnej – namawiała bratanicę do większej odwagi, stosownej do miastowych norm, poddania się współczesnej modzie, słowem, skrócenia na dole okrywającej Jadwinę niczym śnieżnobiały całun sukni i wycięcia jej, choć odrobinę z przodu, odsłonięcia ramion. Była gotowa sama wziąć się do przeróbek, ale o ile panna młoda przyjęła sugestie ciotki z ostrożną ciekawością, to Matylda z Lucyną stworzyły wobec niej nieprzejednaną opozycję. Za nic nie chciały zgodzić się na jakiegokolwiek, jak się wyrażały, odsłanianki. To dobre dla miastowych latawic, upierały się, co nie dbają o ludzką opinię. Jadwinia ma być ubrana właściwie, w niewinną biel, z welonem, zakrytymi ramionami i nogami, kościół to nie miejsce na striptisy, kończyły stanowczo. Po krótkiej batalii Irena spasowała, taktycznie przyznając starszym paniom rację co do

świątyni, a potem szybko przejęła inicjatywę, oznajmiając głosem nieznoszącym sprzeciwu, że strojem do urzędu w takim razie zajmie się sama. Matrony chętnie przystały na taki podział, w końcu co tam znaczył urząd, liczyło się przede wszystkim święte miejsce i przysięga składana Bogu. Irena wzięła pod pachę przygotowaną do cywilnej uroczystości garsonkę i udała się do mieszczącej się w pałacowych piwnicach pegeerowskiej szwalni zawalczyć przy maszynie o modny wygląd bratanicy. Udobruchane Matylda z Lucyną straciły czujność i nie protestowały również, kiedy Irena wsadziła Jadwinę do PKS-u i razem z nią pojechała do Miasteczka omówić z fryzjerem uczesanie panny młodej w dniu ślubu – wprowadzie Pudłowa dziwiła się, po co to wydawać pieniądze w mieście, skoro Czyżykowa pięknie potrafi czesać i do niedawna jeszcze obsługiwała połowę wsi, tę, która trzymała z Ukraińcami, a teraz to już nawet nie wyrabia z zamówieniami, bo prawie wszyscy do niej ganiali na postrzyżyny – ale odpuściła, gdy dowiedziała się, że Irena zapłaci za ułożenie jasnych loków bratanicy. A sprawa nie była łatwa i tania, ponieważ nie dość, że pokazując zdjęcie w żurnalu, mieszkająca w Poznaniu kobieta zażyczyła sobie dla panny młodej fryzury, o której układaniu miasteczkowa fryzjerka pojęcie miała raczej mgliste, to jeszcze należało ściągnąć mistrzynię trwałych ondulacji do zakładu w dzień wolny od pracy, po dwudniowym świętowaniu Bożego przyjścia na świat, a na to mistrzyni łatwo i tanio zgodzić się nie chciała, bo wiadomo, rodzinę trzeba będzie przy świątecznym stole zostawić i oszczędzać się dzień wcześniej, żeby ręce za bardzo się nie trzęsły. Negocjacje były długie i wyczerpujące, ale Irena się uparła i wreszcie dobito targu. Kwota nie była mała, ale mistrzyni zgodziła się przyjść, a do tego zobowiązała się do dnia ślubu potrenować układanie nowej fryzury na ochotniczkach wyselekcjonowanych spośród miejscowych, miasteczkowych elegantek.

Wracały do domu zadowolone z siebie przedzierającym się przez wyżłobione w śniegu koleiny PKS-em. W Trójczynie autobus przystanął, aby zgarnąć stojącego przy drodze podróżnego machającego dłonią. Przez pokryte szronem szyby nie było widać, któż taki próbował się dostać do Wrześniowa. Trzasnęły przednie drzwiczki, zastukały na stopniach podkute buty. Najpierw ukazała się futrzana czapa z orzełkiem, a po niej szerokie bary mężczyzny wystrojonego w stalowy, wełniany płaszcz. Adaśko. Irena odwróciła wzrok, poczuła, jak mimo mrozu panującego w nieogrzewanym autobusie uderza ją w twarz fala gorąca. Adaśko nachylił się do kierowcy, coś szepnął mu na ucho, a ten z rozmachem wrzucił bieg, zgrzytnęła skrzynia i błękitny ogórek potoczył się dalej w zapadającą ciemność. Pudło nie usiadł. Stał tyłem do kierunku jazdy obok kierowcy, trzymając się skórzanej, zawieszanej na poręczy rączki. Irena kilkakrotnie zerknęła w jego stronę i za każdym razem napotykała wpatrzona w siebie ciemne oczy, a wówczas szybko odwracała wzrok. Mogła do niego zagadać, w końcu ich rodziny nie znajdowały się już na wojennej ścieżce, ale bała się, że głos ugrzęźnie jej w gardle. Poza tym to on, mężczyzna, powinien przemówić pierwszy, a tymczasem uparcie milczał. We Wrześniowie, zanim wyskoczył na szosę, uśmiechnął się tylko do niej szeroko, nie wypowiadając ani słowa.

Zazwyczaj Adaśko niechętnie opuszczał swoje ptaszydła i powierzał opiekę nad nimi starszemu szeregowemu Krasce, tym razem jednak sprawa była wyjątkowa, młodszy brat się żenił i trzeba było wesprzeć chłopaka, był przecież świadkiem. Tak to tłumaczył dowódcy, a ten po chwili wahania przyznał mu trzytygodniowy urlop okolicznościowy. Ruszył w podróż i dopiero kiedy usiadł w przegrzanym przedziale pociągu i zaczął morzyć go sen, pierwszy raz przyznał się sam przed sobą, co tak naprawdę było powodem, dla którego już na dwa tygodnie przed uroczystością postanowił pojawić się w domu: miał nadzieję, że

ona już tam, we wsi, będzie, i to być może sama, bez męża. Przeczucia go nie zawiodły.

W wojsku Adaśko nabrał pewności siebie. Teraz już nie obawiał się reakcji Ireny na okazane z jego strony zainteresowanie. Jeśli zderzy się z pogardą, to trudno, ale jeśli nie... Była mężatką, to prawda, z drugiej strony jednak przed kilkoma miesiącami relacje między nimi oczyszczono wreszcie z piętna nienawiści, jakim naznaczone były obie ich rodziny. Relacje, których tak naprawdę do tej pory nigdy nie było, mijali się jedynie z daleka, zerkając w swoją stronę, każde w innym momencie, więc o tym, że drugie też to robi, żadne z nich nie miało pojęcia. W autobusie patrzył na nią zuchwale i z zaskoczeniem spostrzegł, że i ona spoglądała na niego od czasu do czasu ze szczerym zaciekawieniem, a może nawet – aż bał się o tym pomyśleć – czymś więcej. Mimo że wiedział, iż jest to droga prowadząca donikąd i gdyby doszło między nimi do romansu, a ten w jakiś sposób wyszedłby na jaw, konsekwencje skandalu byłyby trudne do przewidzenia – dopiero co zawarta zgoda ległaby w gruzach, a rodziny prawdopodobnie wkroczyłyby ponownie na wojenną ścieżkę – postanowił zbliżyć się do niej, nie bacząc, czym wszystko to może się skończyć. Młody zdobył się na odwagę: dlaczego ja nie miałbym zrobić tak samo, dodawał sam sobie animuszu. Przez najbliższe dni okazji nie brakowało. Z mile łechcącym po całym ciele zaskoczeniem Adaśko zauważył, że Irena nie tylko nie odrzucała czynionych przez niego awansów, ale wręcz przyjmowała je z zadowoleniem, często obracając wszystko w żart, po którym jednak obdarzała go za każdym razem przeciągłym spojrzeniem, mówiącym, że śmiech to jedynie przykrywka, żeby broń Boże się nie zatrzymywał i nie zbaczał z obranej drogi, a na końcu czeka na niego nagroda, o jakiej śnił od lat.

Irena przestała walczyć sama ze sobą. Codziennie z niedającą się niczym oszukać niecierpliwością czekała na chwilę, w której

z sieni dolatywał miły jej uchu głos Adaśka: Pani świadkowa w domu? Pan świadek przyszedł. Po czym wkraczał do pokoju, stukając o podłogę podkutymi buciorami, zrzucił płaszcz i stawał przed piecem, grzejąc dłonie i rzucając w jej stronę wesołe spojrzenia. Uwielbiała go słuchać, łowić z tego, co mówił, dwuznaczne słowa, szukała przypadkowego kontaktu fizycznego, łapiąc go za rękę, kiedy tylko była po temu okazja, ocierając się delikatnie w wąskich przejściach, powstrzymując go delikatnym gestem kładzenia dłoni na jego piersi. Raz nawet, pragnąc, aby zamilkł, położyła mu palec na ustach, a on chwycił ją za przegub i już miał pocałować opuszek, gdy zza ściany doleciał ich głos Matyldy. Oskoczyli od siebie jak oparzeni. Zасыpiając, Irena zaciskała kolana i wyobrażała sobie jego szerokie ramiona nad sobą, dyszącą w podnieceniu twarz zbliżającą się do jej twarzy, kwaśny zapach potu, jaki musiał wydzielać w takiej chwili. Chciała, żeby ją gniótł, przyciskał tak, by brakło jej tchu, miętosił, a nawet – przyznawała się do tego sama przed sobą ze wstydem, ale i drżeniem – uderzył. Tak, dał klapsa w pośladek, tylko, broń Boże, nie delikatnego, a mocnego, dzikiego, zostawiającego czerwony ślad palców na białej skórze. Pragnęła, by był brutalny. Z Pawłem seks od dawna stał się dla niej zbyt ugrzecznony, taki naukowy, niby na pozór pełen eksperymentów, ale przez to spokojny, metodyczny i wyrachowany, a ona marzyła o tym, żeby poczuć się jak samica, tęskniła za zwierzęcą namiętnością, której mąż nie był w stanie jej zaoferować. Była pewna, że gdyby to Pawłowi wyznała, on najpierw szalenie by się zdziwił, a następnie wybuchł protekcyjnym śmiechem. Z dnia na dzień rosła w niej gotowość na realizację swoich pragnień i fantazji. Wiszące pomiędzy nią i Adaśkiem napięcie groziło w każdej chwili wyładowaniami o sile pacyficznego tornada.

*

Lesio najchętniej nie ruszałby się z Poznania. Rzygać mu się chciało na samą myśl o spotkaniu z rodziną: dziadkiem, który okazał się mięczakiem i zamiast do końca walczyć o swoje, skapitulował i pojednał się z największym wrogiem; siostrunią, kurewką dającą dupy ukraińskiemu pomiotowi, co wszyscy nagle przyjęli z entuzjazmem; rozmemłaną starą babką, pozbawioną własnego zdania; wujem, cuchnącym kaleką, pół człowiekiem, pół rośliną bez prawa do życia, i całą resztą tego wsiowego świata, który miał nadzieję, że zostawił za sobą. Ciekaw był jedynie Wojtusia, o nim nie miał żadnych informacji. Już dawno, zaraz po śmierci rodziców, kiedy ciotka – którą jako jedyną do dziś darzył szacunkiem, gardząc jednocześnie od lat jej mężem, tym cherlawym mądrałą – zabrała go do miasta, postanowił, że na wioskę nigdy nie wróci. Swoją przyszłość widział w Poznaniu. Tam czuł się dobrze, tam skumał się z podobnymi sobie łobuzami.

Było ich pięciu. Grasowali na własnym podwórku, otoczonym z trzech stron wybudowanymi z betonowej płyty blokami, w których mieszkali. Pomalowana na zielono ławka była ich portem, a ciemne alejki blokowiska – łowiskiem. Latarnie wytłukli kamieniami, by w mroku atakować zapóźnionych, najczęściej podchmielonych przechodniów. Z ciemności wyłaniało się zawsze dwóch – pozostali trzej opatuleni w czerń nocy pozostawali w rezerwie, na wypadek gdyby frajer okazał się szemrany albo nadciągnęła jakaś odsiecz – prosili o papierosa, a potem nie czekając na odpowiedź, walili z głowy, a kiedy delikwent leżał już na chodnikowych płytach, kopali tak długo, aż przestawał się bronić. Brali zegarki, portfele, dokumenty, czasem kurtkę lub buty, jeśli któremuś z nich się spodobały. Czuli się bezkarni, bo chociaż wszyscy mieszkańcy osiedla doskonale wiedzieli o ich zbójeckiej działalności, to obcy sobie, pozbawieni sąsiedzkiej solidarności ludzie blokowisk nie potrafili się zorganizować i przeciwstawić szajce terroryzującej

osiedle.

Mimo że z całej piątki był najmłodszy, bił zawsze Lesio, ponieważ z bańki trafiał najcelniej, z dołu w czubek nosa i jednocześnie górną wargę, na taki cios nie było mocnych, każdy zaatakowany walił się z zakrwawioną twarzą na ziemię. Nie mieli herszta. Najwięcej charyzmy miał Lesio, ale wiek nie upoważniał go do przewodzenia innym, poza tym był – co starał się całym sercem jak najszybciej wymazać ze swojej biografii – wsiowy, z zewnątrz, nie wychował się pomiędzy blokami. Pozostała czwórka znała się od kilku lat, odkąd zasiedlono nowo wybudowane blokowisko, rozrabiała od małego, jednak dopiero pojawienie się Gruszczyńskiego skierowało ich przyjaźń na nowe, przestępcze tory. Zarobione pieniądze dzielili równo, a potem równo przepijali je na ławce. Fanty upłynął Bolek u swojego kuzyna pasera. Kilka razy nawet się pokłócili podłani tanim winem, podejrzewając, że chłopak nie rozlicza się z nimi uczciwie.

I to właśnie Bolek był przyczyną ich upadku. Milicja chłopaków nie niepokoiła. Po pierwsze, napadnięci rzadko ją powiadamiali o rabunkach, a jeśli nawet tak się zdarzyło, funkcjonariusze nie chcieli podejmować czynności, tłumacząc się brakiem radiowozu, odległym czasem, jaki upłynął od napadu, niską szkodliwością społeczną czynu; milicjanci byli skłonni raczej zamknąć poszkodowanego w izbie wytrzeźwień, niż biegać po ciemnym osiedlu w poszukiwaniu duchów. Ale tamtego feralnego dnia Bolek wpadł. Z fantami pod pazuchą. Trudno zgadnąć, co było przyczyną nalotu na melinę pasera, być może jakieś porachunki w świecie przestępczym, zawiść kochanki, a może po prostu milicja przyciśnięta gdzieś z góry musiała wykazać się sukcesem? Jakakolwiek była przyczyna, jej ofiarą padł między innymi właśnie Bolek, który wdepnął w kocioł zorganizowany przez funkcjonariuszy. Małolat potraktowany na komendzie gumowymi pałami szybko wsypał

wspólników. Wszystkich z wyjątkiem Lesia. Dlaczego? Prawdopodobnie bał się najmłodszego z członków bandy. To był błąd, za który wkrótce drogo zapłacił.

Bolek wyszedł na wolność z poleceniem trzymania oczu i uszu otwartych oraz zgłaszania się raz w tygodniu z meldunkiem na komendzie. Pozostała trójka wygarnięta o piątej nad ranem z mieszkań poszła siedzieć. Zdezorientowany Lesio chciał uciekać na wieś, ale zorientowawszy się, że z jakiegoś powodu milicja zostawiła go w spokoju, przyczał się w mieście, gotowy w każdej chwili prysnąć. Siedział cicho, aż po dwóch tygodniach podszedł do niego na ulicy mężczyzna z cynkwajсами w kącikach oczu i wcisnął w dłoń zwiniętą w rulonik karteluszkę. Rozwijał ją drżącymi palcami. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Kumple wiedzieli o Bolku, ale co gorsza podejrzewali, że Lesio jest z nim w zмовie. Tego nie mógł znieść, musiał szybko pokazać kompanom, co dla niego znaczy lojalność, jak w jego, Lesia, kodeksie karze się kapusia.

Dopadł go obok placu zabaw. Matki w popłochu zabierały młodsze dzieci i uciekały do domów. Starsze stały i się przyglądały. Bolek nawet się nie bronił. Gdy runął na trawnik ze złamanym nosem i wybitym zębem, Lesio obrócił go na plecy, usiadł na klatce piersiowej i bił. Chciał widzieć twarz zdrajcy, jak puchnie i zalewa się krwią. Potem powędrował na ławkę i pił tanie wino, a kiedy słyszał za sobą jęk, wstawał, podchodził i bił dalej. Mocno metodycznie. I znów wracał pić, by po chwili katować od nowa, aż z twarzy zdrajcy pozostała bezkształtna krwawa masa. Milicja przyjechała po godzinie, kiedy był już solidnie pijany, kostki u rąk miał zdarte do krwi, a Bolka trzeba było zabrać na oddział intensywnej terapii. Walczył o życie kilka dni, potem jego stan się ustabilizował. Przeżył. To uratowało Lesia. Za morderstwo popełnione ze szczególnym okrucieństwem groził mu KS. A tak? Nie miał jeszcze skończonych szesnastu lat. Za pobicie odpowiadał jako

młodociany. Wylądował w poprawczaku.

Kiedy wyszedł, twardy, bezwzględny, z kilkoma świeżymi bliznami na twarzy i nowymi umiejętnościami zdobytymi na przestępczym uniwersytecie, czuł się jak student po magisterce – był doskonale wykształcony, posiadał fach w ręku, ale należało jeszcze poszukać roboty, zleceń. Nie miał się gdzie podziać, więc wrócił do ciotki, chociaż na chwilę, myślał, dokąd nie uruchomi wyniesionych z poprawczaka kontaktów, dokąd nie zacznie chodzić na włam i korzystać z nabytej wiedzy pozwalającej otworzyć każde drzwi, uporać się z każdym zamkiem. Potem zarobi i poczuje się swobodnie. Na razie był zdany na łaskę rodziny, więc niechętnie, z oporem, ale ostatecznie zgodził się pojechać na ślub siostry do znieawidzonego Wrześniowa.

Wybrali się pociągiem z Pawłem, którego przez całą drogę miał ochotę wypchnąć za drzwi wagonu wprost na szybko przesuujące się pod kołami tory, pokusa była tak silna, że musiał aż gryźć palce, aby się powstrzymać i jej nie ulec. Na miejscu irytowało go dosłownie wszystko; wścibska radość, z jaką go witano, z jednej strony jako dorosłego już członka rodziny, z drugiej jako kryminalistę; przejawy sympatii okazywane Ukraińcom, których on wciąż nienawidził z całego serca, bo dlaczego niby miałby zmienić zdanie, tylko dlatego, że jego siostra gziła się z jednym z nich, nic z tych rzeczy, on był wierny pielęgnowanym od małego uczuciom; wkurzały go dobrze znane wiejskie chałupy, zapuszczone, zacofane, tak liche w porównaniu z gigantycznymi mrówkowcami z wielkiej płyty, przy których postawione we wsi trzy bloki, tu potężne i okazałe, prezentowały się jak kurniki przy pałacach; wściekał go widok tych wszystkich drepczących pomiędzy folwarkiem, sklepem, domami i jeziorem postrojonych w cuchnące kożuchy wiejskich ludzi, dla których jeżdżący dwa razy na dzień przez wieś rozklekotany PKS był teleportem do innego, wielkiego świata reprezentowanego przez Miasteczko, tę prowincjonalną dziurę.

Rodzinie okazywał wrogość, a ta zaprzątnięta ostatnimi przygotowaniami do uroczystości pozostawiła Lesia w spokoju, wychodząc z założenia, że do wesela mu przejdzie i widząc szczęście siostry, przestanie się boryczyć, a jeśli nie, to trudno, jego strata.

Jedna osoba we Wrześniowie czekała na przyjazd Lesia jak na pojawienie się Mesjasza. Wojtuś Gruszczyński. Zdezorientowany chłopak liczył na to, że kuzyn wreszcie wyjaśni mu, co dzieje się dookoła, co ma znaczyć ta zgoda i jak w tym wszystkim należy się zachować. Od pierwszego dnia, gdy tylko Lesio wysiadł z PKS-u, kuzyn nie odstępował go ani na krok, a rodzina przyjęła ten fakt z zadowoleniem, bo przynajmniej łamaga nie zawadzał w ostatnich przedślubnych przygotowaniach. Lesio nie zawiódł pokładanych w nim przez Wojtkę nadziei. Krążąc po skąpanej w słońcu okolicy, zaszywając się wieczorami nad jeziorem, gdzie kupioną za wyściubione skądś groszaki butelką jabola oszukiwali mróz, Wojtek wysłuchiwał opowieści kuzyna o miastowym życiu, o twardej szkole poprawczaka, a wreszcie przemycanych pomiędzy nimi ocen sytuacji, w jakiej znalazła się rodzina Gruszczyńskich. Lesio namawiał Wojtkę do ucieczki do miasta. Przekonywał, że wiejski okres w dziejach ich rodziny dobiega końca. Dziadek skapcał, ich ojcowie zmarnowali życie, a Jadwinia nie należy już do nich, przeobraziła się w ukraińską żdzirę.

– Z czarami trudno walczyć, trzeba stąd wiać – konkludował.

Wojtuś otwierał oczy z przerażenia. – Z jakimi czarami? O co chodzi?

– A ty myślisz – odpowiadał na to Lesio i patrzył, jakie jego słowa wywierają wrażenie na kuzynie – że to wszystko dzieje się samo? Wypadki, śmierć, łaszenie się do nich? Ukraińska klątwa i tyle. Nie mogli pokonać nas uczciwie, to zaczarowali. Patrz, nawet ty nie wiedziałeś, co robić. Ja jedyny, który się stąd wyrwałem, im nie uległem. Widzę jasno, co się tutaj dzieje.

– Boże, to co robić?

– Powiedziałem ci, uciekać. Niech oni tu sobie spokojnie wymrą. A my w mieście zaczniemy od nowa rosnać w siłę.

Lesiowi podobała się perspektywa zabrania Wojtka do miasta i wciągnięcia we wspólną robotę. Tępy, zapatrzony w niego i mu powolny. Mogliby stworzyć ciekawy duet. Potrzebował kogoś do stania na czatach, pomocy w wnoszeniu fantów, rozprawienia się z pojawiającymi się zniecka niepożądanymi świadkami. Ktoś taki był mu niezbędny, a Wojtusiowi mógłby zaufać, a co najważniejsze, swobodnie nim manipulować.

– A gdzie ja się w tym mieście podzieję?

– Spokojna głowa, już ja ci coś załatwię. Daj mi kilka miesięcy, wszystko przygotuję i cię ściągnę. Ale na razie musimy zrobić coś tutaj.

– Tutaj, ale co?

– Popsuć tej ukraińskiej swołoczy zabawę.

– Jak?

– Tego jeszcze nie wiem, wciąż się zastanawiam. Na razie udawaj, że wszystko jest po staremu.

Sam jednak nie umiał poradzić sobie z narastającą dzień po dniu irytacją. Szukał jej ujścia i nie potrafił go znaleźć. Raz nawet było blisko. W wigilię Bożego Narodzenia, z samego rana, schodząc ze schodków prowadzących do sklepu, zobaczył wspinającego się w przeciwnym kierunku chłopaka. Trącił go łokciem, a gdy tamten się zatrzymał, obrócił się w jego stronę i rzucił mu prosto w twarz:

– Uważaj, kurwa, jak liziesz, palancie!

– To ty, Lesiu, uważaj, bo możesz się doigrać – odpowiedział tamten zaczepnie i spojrział w bok.

Przyjrzał mu się przez zwężone ślipia. Poznał. Antek Żytko. Co taka wiejska lapeta byłaby w stanie mu zrobić? Czuł, że teraz tę kumulowaną od kilku dni złość na całą wieś mógłby wreszcie wyładować. Spiał się, przygotował do walki, ale nim uderzył,

szybko zlustrował okolicę. U podnóża schodów stał jeszcze jeden chłopak w naciągniętej nisko na czoło czapie i przyglądał się z zainteresowaniem rozwojowi sytuacji. Stefan, starszy brat Antka, potężne chłopisko. Dalej było jeszcze dwóch, a zza zakrętu nadchodził kolejny. On miał za plecami jedynie Wojtka. Obliczał. Tego nauczył go poprawczak, kalkulować ryzyko, panować nad własną impulsywnością, atakować wyłącznie wtedy, kiedy można zwyciężyć, w najgorszym razie oberwać – w końcu, morda nie szklanka – ale coś w zamian osiągnąć. Antka nie brał pod uwagę, szybki cios z głowy wyeliminowałby go z walki, przed resztą mógł się bronić na schodach, nie daliby mu rady, ale wiedział jednocześnie, że nie mógłby liczyć na posiłki, a oni owszem, wtedy wcześniej czy później opadłby z sił i musiał ulec. Żeby chociaż miał nóż. Ale akurat nie miał. A ewentualne zyski? Rozładowałby napięcie? Za mało. Awanturą zepsuł szykowaną na pojutrze uroczystość? Też nie bardzo. Już lepiej było poczekać do wesela i wtedy wywołać bójkę, dobrze zaplanowaną, taką, która rozniesie całą biesiadę, ze zdemolowaną salą, lejącą się krwią, pogotowiem i milicją.

– Daj spokój, Antek. Żartowałem. – Cofnął się o krok i przepuścił Żytkę.

Nim Antek zdołał zareagować, zbiegł ze schodków i ruszył w stronę jeziora. Na tafli kilku zapatrzonych w żyłki mężczyzn pochylało się nad przerębiami, usiłując wyłowić rybkę na wigilijny stół. Lesio przystanął, wpatrując się w te zgięte postaci. Jego oczy zwęziły się. Nad czymś intensywnie się zastanawiał, a potem z twarzą rozjaśnioną diabolicznym uśmiechem obrócił się w stronę Wojtka.

*

Radosna atmosfera udzieliła się nawet wyprowadzanym ze stajni

koniom, trzymane przez Kulewicza za uzdy rżały, jakby wciąż, dwa dni po Pasterce, miały jeszcze coś ważnego do powiedzenia. Szły pojedynczo, eskortowane przez swojego opiekuna, który sprawnie zaprzęgał je do sań i szybko wracał do stajni po kolejnego zwierzaka. Kulig miał składać się z czterech zaprzęgów. Oprócz państwa młodych, świadków, najbliższej rodziny w saniach chciano usadowić dyrekcję zakładu, jednak Wilusz stanowczo odmawiał udania się do kościoła. W myśl prawa, a ono jest najważniejsze, młodzi już od dwóch dni są mężem i żoną, przekonywał dyrektor. Do księdza mi nie wypada, dodawał ciszej. Faktycznie w wigilijne przedpołudnie w urzędzie stanu cywilnego w Miasteczku odbyła się skromna uroczystość podpisania w obecności świadków kontraktu małżeńskiego pomiędzy Eugeniuszem Zenonem Pudłą i Jadwigą Matyldą Gruszczyńską. Uroczystość tak skromna, że państwo młodzi i drużbowie udali się na nią PKS-em, a na sali w urzędzie poza nimi i kierownikiem USC nie było nikogo. Na namowy Ireny, aby ktoś, chociaż rodzice, im towarzyszył, każdy ze śmiechem machał ręką, wołając: szkoda zachodu, ślub dopiero za dwa dni! Przygotowywana z taką troską modna ślubna garsonka ucieszyła zaledwie cztery pary oczu. Przyda się na inną okazję, pomyślała wściekła Irena i aby się pocieszyć, w momencie kiedy Gienek wkładał Jadwini obrączkę na palec, uścisnęła niby w emocji dłoń Adaśka, a on oddał jej ten uścisk. Poczwała, jak w jednej chwili zwilgotniały jej palce. Skrępowana cofnęła rękę.

Mimo namów i próśb Wilusz nie chciał ustąpić, w końcu osiągnięto porozumienie: dyrektor, jego zastępca z żoną, główny księgowy i kierownik kolumny transportowej swoją obecnością rozświetlą weselny orszak, ale w Trójczynie zamiast do kościoła udadzą się do świetlicy Ochotniczej Straży Pożarnej, tam napiją herbatki, ogrzeją, znajdzie się również buteleczka weselnej wódki dla strażaków, a po godzinie, po zaślubinach zajmą ponownie miejsca w saniach.

Nad podwórzem gospodarstwa unosiła się parująca z rozgorączkowanych głów mgiełka ekscytacji. Niosły się rozentuzjasmowane głosy, dźwięczały przytraczone do sań i końskich szyj dzwoneczki, w powietrze strzelał dym z uruchomionego ciągnika, do którego podczepiano ze śmiechem bonanżę. Do kościoła na ślub wybierała się niemal cała wieś. Nikt nie chciał przegapić takiego wydarzenia. Zastanawiano się, co powie w kazaniu ksiądz, który tak bezskutecznie przez lata walczył o pogodzenie zwaśnionych rodzin, a tu dwoje zakochanych zrobiło to szybciej, lepiej i bez Bożego wstawiennictwa. Spodziewano się, że stary księżulek, błogosławiąc młodym, zechce ostrym słowem wbić Piotrowi i Michałowi jakąś delikatną szpilę. Po staruszkę wszystkiego można było się spodziewać. Oprócz sań przygotowany był traktor z przyczepą dla tych, którzy po uroczystości musieli szybko wrócić do pałacu, by kończyć przygotowania do wesela, reszta miała pojechać, czym kto mógł, na rowerach, komarkach, piechotą, ślizgając się całym wielobarwnym korowodem na nieodśnieżonej, oblodzonej jezdni.

Wrześniowiecki PGR posiadał zaledwie dwie pary sań, z jednych korzystał dyrektor, drugie trzymano na wszelki wypadek, gdyby znamienitym, partyjnym gościom z Warszawy przyszła ochota zimą zapolować w okolicznych lasach. Niestety, od czasu pamiętnego wypadku ważne osobistości nie zjeżdżały do Wilusza na łowy nie tylko zimą, ale w ogóle o żadnej porze roku. Sanie stały więc nieużywane w magazynie. Jednak dwie pary to było za mało, kto to widział formować weselny orszak z zaledwie dwóch zaprzęgów. Trzy już jakoś by wyglądały, cztery byłyby pełnią szczęścia. Jeszcze raz z pomocą przyszedł dyrektor: stanął na głowie i zorganizował dwie dodatkowe pary sanek. Teraz goście zajmowali w pojazdach miejsca, które rozdzielono już kilka dni wcześniej. Mimo to przy wsiadaniu powstało spore zamieszanie. Najpierw Franek słabym głosem zaczął domagać się

umieszczenia w drugich, przeznaczonych dla najbliższej rodziny nowożeńców saniach, na co pozostali nie chcieli się zgodzić, potem okazało się, że do zaprzęgu nie chce wsiąść Lucyna, tłumacząc, że i tak będzie musiała wracać bonanzą, aby nadzorować ostatnie przygotowania w kuchni i na weselnej sali, potem doszło do drobnej sprzeczki o to, kto ma powozić pierwszymi saniami, ojciec pana młodego czy dziadek oblubienicy, wreszcie ustalono, że w drodze do kościoła na koźle zasiądzie Piotr, odwożąc wnuczkę przed ołtarz, a z powrotem sanie poprowadzi Michał. W końcu kulig ruszył. W pierwszych powożonych przez Gruszczyńskiego saniach jechali otuleni baranicami państwo młodzi ze świadkami, dalej Michał, Matylda i Helena z mężem i maleńkim dzieckiem, a także Czeška, żona Franka, która wpakowała się w ostatniej chwili na osieroczone przez Lucynę miejsce, w trzecich saniach jechali sami panowie: Paweł, Czyżyk, Kulewicz na koźle i Bogdan Żytko, który widząc pozostawionego na środku podwórka samotnie siedzącego na inwalidzkim wózku Franka, wciągnął i jego do sań; orszak zamykał dyrektorski zaprzęg.

Strzeliły baty i kawalkada w zachodzącym słońcu rażno pomknęła w dół, minęła udekorowany girlandami pałac, po czym wjechała z rozpędem na tafłę jeziora. Spod podkutych kopyt strzeliły drobinki lodu. Kobiety zapiszczały. Irena z Adaśkiem siedzieli tyłem do kierunku jazdy, naprzeciw mieli twarze całkowicie pochłoniętych sobą młodych. Ich nogi stykały się. Baranica grzała i... dawała poczucie intymności, nikt nie mógł dojrzeć, co się pod nią dzieje. Adaśko wyciągnął rękę i położył ją na kolanie Ireny. Nie cofnęła nogi, nie straciła jego dłoni. Poruszył palcami, a ona delikatnie rozchyliła uda. Powędrował wyżej pod sukienkę, a po chwili na własnym udzie poczuł ciepło jej palców. Nagle saniami szarpnęło, koń gramolił się na niewysoką skarpe po drugiej stronie jeziora.

Na podwórzu ostatni goście zajmowali miejsca w bonanzie.

Ciągnik zaterkotał i potoczył się w stronę bramy. Zapadającą nad pustym folwarkiem ciszę przecinał jedynie od czasu do czasu żaloszny ryk dobiegający z obory. Mijały minuty, mrok gęstniał. Wtem od strony zabudowań na podwórze wdarł się odgłos skrzypiącego pod czyimiś butami śniegu. Znow zapadła cisza, i ponownie zachręściły ugniatające zmrożony śnieg kroki. Zza spichlerza wyłoniły się dwie ukryte tam wcześniej postaci. Przemykały się w stronę pałacu, ale nie na przełaj, tylko wydeptanymi ścieżkami, tak by nie pozostawiać śladów.

– Dawaj, dawaj, wcale nie mamy tak dużo czasu – ponaglał teatralnym szeptem biegnący na przedzie Lesio.

– Łatwo ci mówić, bo niesiesz tylko słomę – wystękał obładowany żelastwem Wojtek. – Spróbowałbyś targać te graty. Wszystko nam potrzebne?

– Nie marudź, tylko się ruszaj.

Dobiegli nad brzeg jeziora i ruszyli po śladzie pozostawionym przez sanie.

– Gdzie to jest? – spytał, rozglądając się dookoła, Lesio.

– Jeszcze kawałek, bliżej środka. Zauważysz lód, tamuj jest ciemniejszy.

– Ciemniejszy, bo cieńszy. Ciekawe dlaczego?

– No przecie ci mówiłem, tamuj jest ciepły prąd, nawet jak się w lecie płynie, to czuć. Każdy szybko te kilkanaście metrów po lodzie przeskakuje, bo zawsze trochę trzeszczy. Nawet we mrozy.

– Dobra, to chyba tu. – Leszek zatrzymał się, rzucił snop słomy na lód i kopnął w taflę kilka razy obcasem. – Dawaj siekierę.

*

Orszak ślubny wkroczył do zimnego kościoła i zajął miejsca. Ławki nie pomieściły wszystkich gości, część ustawiła się pod filarami, w przejściu, a nawet w kruchcie. Oprócz wrześniowian

także wielu mieszkańców Trójczyna przyszło zobaczyć ten słynny na całą okolicę spektakl. Zadźwięczały potrząśnięte przez ministranta dzwonki, przed ołtarz wyszedł stary ksiądz i omiół wzrokiem zebrany w kościele tłum. Znał ich wszystkich. Większość chrzczył, udzielał im ślubów, podawał hostię podczas pierwszej komunii. Lata walki z religią, krzewienia ateizmu, a oni wciąż najważniejsze chwile swojego życia, aż po ostatnią posługę, celebrowali w jego świątyni. Cóż z tego, że zazwyczaj robili to bez przesadnego uniesienia religijnego, bardziej z tradycji, której nikt nie chciał i nie potrafił się przeciwstawić, najważniejsze było przetrwać, wierzył ksiądz, komuniści kiedyś przeminą, a Boga i uświęconych przez wieki rytuałów potrzeba każdemu. Skinął dłonią, zabrzmiał wygrany na akordeonie marsz weselny (wywiezionych przez Armię Czerwoną w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku organów nigdy nie udało się zastąpić nowymi) i przedzierając się przez szpaler gapiów, młoda para w asyście świadków ruszyła w stronę prezbiterium.

Jadwinia i Gienek zajęli przeznaczone dla nich miejsca i rozpoczęło się nabożeństwo, na które czekali i o którym marzyli tyle lat, a oni, stremowani i rozemocjonowani, nic nie słyszeli i niewiele rozumieli z tego, co się dookoła nich działo. Ksiądz szybko odmawiał formuły, jakby do czegoś się spieszył, potem Adam i Irena odczytali Słowo Boże, a wreszcie duchowny nakazał wszystkim usiąść. Odchrząknął, po czym zaległa cisza, przerywana jedynie dolatującym z głębi bocznej nawy męskim kaszlem. Ksiądz czekał, delektował się napięciem, aż wreszcie przemówił, wykorzystując z aktorską pasją każdą pauzę, przeciągając przecinki, rozkoszując się kropkami:

– Umiłowani bracia i siostry, Eugeniuszu, Jadwigo. Powiada Pismo: W trzech rzeczach upodobałem sobie, które są przyjemne Panu i ludziom... Panu i ludziom: zgoda wśród braci, przyjaźń między sąsiadami oraz żona i mąż dobrze zgadzający się wzajem. Przyjemne Panu i ludziom! Ileż to czasu, ileż krętych przebytych

dróg, ileż lat w zaciętrzewieniu i gniewie trzeba było przeżyć, aby wreszcie pojęto to także we Wrześniowie? Jakąż odwagą musiało wykazać się tych dwoje młodych ludzi, aby ta objawiona przez naszego Pana prawda przebiła się przez twardą skorupę wzajemnych uprzedzeń i złości? Zapytam: czy tych dwoje urodziło się po to, by pokochać? By ukochaną sobie osobę poślubić, a potem cieszyć się z nią potomstwem? Nie! Tych dwoje w momencie przyjścia na świat, w momencie cudu narodzin już było zaślubionych, zaślubionych swoim walczącym ze sobą rodzinom. Rodzinom zaślepionym grzechami pychy i gniewu. Czy Eugeniuszowi wolno było pokochać Jadwigę? Nie! A Jadwidze mieć nadzieję na zrodzenie w przyszłości potomstwa z Eugeniuszem? Również nie, bo jej rolą w momencie przyjścia na świat, rolą, jaką przeznaczyła jej rodzina, było wzrastać w gniewie do sąsiadów, utwierdzać się w pysze. A czy taką rolę przeznaczył Stwórca kobiecie, gdy wyciągał z boku śpiącego Adama żebro, by ukształtować z niego niewiastę? Znamy odpowiedź na to pytanie. Moi drodzy: zgoda...

*

Leżąc na lodzie, Lesio z Wojtkiem pracowali gorączkowo, tnąc ręcznymi piłami taflę jeziora. Na gładkiej powierzchni naznaczonych było już kilka ciągnących się od wyrąbanych wąskich przerębli, krzyżujących się ze sobą bruzd.

– Jeszcze pociągniemy tutaj, dwa razy w poprzek i będzie gotowe – wysapał Lesio, wyciągając zębate narzędzie z lodu.

– Lesiu, a czy aby nikomu nic się nie stanie? – spytał Wojtek, patrząc na swoje dzieło i przesuwał się na brzuchu we wskazanym przez kuzyna kierunku.

– Nie mędrkuj, tylko piłuj – Lesio się zdenerwował.

– Ale...

– O Jezu, a co może się stać? Wpadnie kilkoro do lodowatej wody, skąpie się, reszta ich wyciągnie i będą mieli, Ukraince, wesele jak ta lala. A miodowy miesiąc spędzą w gorączce, z zapaleniem płuc. He, he, he.

Przez chwilę pracowali w milczeniu, ocierając jedynie od czasu do czasu pot z czoł. Nad pustą okolicą zaskrzeczała wystraszona czymś kania. Ściana drzew odbiła krzyk drapieżnika, niosąc go po zamarznętym jeziorze.

– A jeśli ktoś zauważy? – dalej dopytywał z przestachem Wojtek.

– Co?

– Te dziury na lodzie.

– Nikt nic nie zauważy. Ciemno jest! Poza tym pijane będą i zaaferowane ślubem. No, gotowe. – Pchnął za siebie piłę i siekierę, którą miał również pod ręką. – Trzeba jeszcze wcisnąć słomę w szczeliny, żeby nie zamarzły, i możemy uciekać.

Powoli, odpychając się rękoma, wycofali się, a gdy stanęli już na pewnym lodzie, z narzędziami pod pachami pomknęli w stronę oddalonego blisko o sto metrów brzegu. Minęli pałac, z którego kominów buchały snopy czarnego jak smoła dymu, a potem rozplłynęli się w ciemnościach.

*

Wąż chętnych do złożenia nowożeńcom życzeń wydawał się nie mieć końca. Emocje opadały i Jadwinia pomimo zarzuconego na ramiona krótkiego kożuszka zaczęła odczuwać przenikliwy chłód. Marzyła o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w saniach, pojechać do ogrzanej gigantycznym kominkiem sali, tymczasem do kruchty wpływali kolejni ściskający w garści kwiatki goście. Adaśko już dwa razy biegał do sań zanieść bukiety, za drugim nawrotem pomiędzy życzeniami szturchnął Jadwinie w plecy.

Obróciła się. Szwagier trzymał w ręku wypełnioną przezroczystym płynem musztardówkę. Upiła spory łyk. Po chwili kolejny. Poczowała, jak szumi jej w głowie, ale krążąca szybciej w żyłach krew sprawiła, że uczucie chłodu się ulotniło.

Nie tylko państwo młodzi rozgrzewali się w ten sposób. Tu i ówdzie krążyła wśród zmarzniętych ludzi butelecinka, a wracająca ze strażackiej świetlicy piątka miała już wyraźnie w czubie. Niezbyt trzeźwi byli także sami strażacy, którzy wyprowadziwszy na zewnątrz wóz, zamiast czekać na uformowanie się ślubnego orszaku, już teraz rozkręcili syrenę alarmową tak, że Jadwinia nie słyszała składanych życzeń, nad czym specjalnie nie ubolewała, bo i tak wszystkie zlewały jej się w jedno.

Lucyna, w przeciwieństwie do synowej, zadowolona była z tych przeciągających się w nieskończoność życzeń. Sama ustawiła się pierwsza w kolejce i zaraz mogła biec zająć miejsce w bonanzie, a teraz, choć przyczepa nie była jeszcze pełna, ponagliła kierującego ciągnikiem Czółkę do odjazdu. Tak wiele rzeczy było jeszcze do dopilnowania. Nikomu nie mogła zaufać, bo to przecież wiadomo, jak samemu nie doglądiesz, to nigdy nic z tego nie będzie. Jeszcze raz zawołała na Czółkę, a on tylko bezradnie rozłożył ręce. Wreszcie nie wytrzymała:

– Ruszaj, Stefan, nie ociągaj się! – wrzasnęła. – Zrobisz najwyżej dwa kursy. Resztę zgarniesz po drodze, wracając. Ruszaj, na moje odpowiedzialność.

Czółko wzruszył ramionami i nacisnął starter. Zanim traktor odjechał, kilka osób zdążyło dopaść jeszcze drzwiczek bonanzy. Stefan wahał się przez chwilę, czy nie skrócić sobie drogi przez las i jezioro, ale kiedy pomyślał, że miałyby użerać się z Antkiem i jego kompanami, którzy szykowali się do postawienia w największej gęstwinie – tam gdzie traktu nie dało się nijak ominąć – weselnej bramy, zmienił zdanie i wyprowadził ciągnik na szosę.

*

Zrezygnowała z wpatrywania się w ciemność, szukania czegoś na drugim brzegu jeziora. Teraz jedynie nasłuchiwała, stojąc na progu pałacu. Pierwszy powinien dolecieć do niej niosący się po lesie dźwięk przytroczonych do sań dzwoneczków. Powinni już być, niepokoiła się. Wszystko było gotowe. Teraz niech tylko przyjadą, a powitają ich z Michałem i, niech będzie, z Gruszczyńskim z Matyldą – chociaż zastanawiali się, czy jako dziadkowie mieli do tego prawo, ale w drodze wyjątku zgodzili się, w końcu starzy wychowali pannę młodą – na progu chlebem, solą i wódką. Tylko czy Gienek powinien przynosić świeżo poślubioną żonę przez próg? Przecież to nie był jego dom, do tego pałac, czy to aby wypadało? Nie rozstrzygnęli tego do tej chwili. Ano się zobaczy. A potem zacznie się zabawa. I ona też się zabawi, i to jak. W końcu syna żeni. Balowała na ślubie córki, ale to nie to samo.

Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy wyczekiwany dźwięk, ale nie – to, co dolatywało do jej uszu, nadciągało z przeciwnej strony. Może pociąg gdzieś daleko zagwizdał? Stara Pudłowa, zachnęła się w duchu, przypominając sobie przezwisko, którym od jakiegoś czasu zwracano się do niej we wsi, zobaczymy, kto tu jest stary, kto na weselisku potańcuje! Trójka dzieci, każde inne, każde inną drogą podążyło. Same zuchy. Żeby tak jeszcze Adaśko się ustatkował, ożenił. Dobrze, że mundur nosi, to przynajmniej głupoty mu się we łbie nie lęgną, myślała sobie dumna z dorosłych dzieci.

Tym razem nie było wątpliwości, to były dzwonki, potem parsknięcie konia, a wreszcie nad drzewami spostrzegła łunę rzucaną przez trzymane w saniach pochodnie. Jada! – krzyknęła do wnętrza pałacu. Po chwili otoczyło ją kilka osób. Za plecami ustawiła się gotowa do gry orkiestra. Już między drzewami zamajaczył ogień i za moment na szczycie skarpy ukazały się

pierwsze sanie. Powoli zsunęły się w dół, za nimi kolejne. Wszystkie cztery jechały blisko siebie, końskie łby niemal dotykały pleców pasażerów w saniach jadących przed nimi. Szły rażno, wyciągniętym kłusem, trzymając się pewnie lodu długimi hufnalami, którymi były podkute. Lucyna z dumą spoglądała na ten piękny korowód ciągnący w jej stronę.

Nagle, kiedy kulig znajdował się niemal na samym środku jeziora, coś złowieszczo trzasnęło. Michał wyciągnął szyję, pragnąc dojrzeć, co się dzieje, lepiej usłyszeć. Próbował ściągnąć lejce, wstrzymać konia, ale ten zarył jedynie kopytami w lód, by za chwilę wśród strasznego huku zacząć zapadać się w wodę. Woźnica smagnął batem, ale było już za późno – przednie nogi zwierzęcia zanurzyły się po brzuch w wodzie. Rozpędzone kolejne sanie uderzyły w tył pierwszych, wpychając konia, a za nim pojazd, pod taflę. Michał stracił równowagę i runął do wnętrza sań, uderzając tyłem głowy o jedno z okuć i tracąc przytomność. Swoim ciężarem przycisnął pasażerów do siedzeń. Opatuleni w baranice nie mieli żadnych szans. Lodowata woda wdarła się szybko do sań, a następnie wciągnęła je pod lód, namoknięte skóry spętały ciasno całą piątkę, nie dając najmniejszej możliwości poruszenia się. W ostatnim uścisku Jadwiga z Gienkiem oraz Irena z Adaśkiem szli na dno. Tonął również nieprzytomny Michał.

Lucyna stała jak zahipnotyzowana. W kilka sekund wśród trzasków i bulgotów pierwsze sanie zniknęły pod wodą. Ocknęła się, dopiero kiedy w chwilę później lód zarwał się pod kolejnymi stojącymi nieruchomo na środku jeziora. Ich pasażerowie, widząc, co się dzieje z poprzedzającym ich pojazdem, stali wewnątrz gotowi do skoku. Na ich nieszczęście, kiedy lód trzasnął, sanie najpierw gwałtownie przechyliły się na prawo. Stracili równowagę, wpadając do wody, a za ułamek sekundy przygnieceni zostali wałącymi się na bok, tonącymi saniami. Jedynie Helena stojąca już na samym szczycie lewej burty

zdołała wybić się i wylądować na twardym lodzie, tracąc równowagę i uderzając tyłem głowy o podłoże. Na moment straciła świadomość, a gdy ją odzyskała, zorientowała się, że leży na tafli sama. W trakcie lotu brzeg koca, w który zawiniętą miała córeczkę, zaczepił o metalowe okucie sań, wyrywając jej tobołek z rąk. Maleństwo z cichym kwileniem plasnęło o wodę obok rozpaczliwie próbującego łapać powietrze dziadka, za moment przykryte zanurzającymi się saniami, machając drobnymi rączkami, poszło na dno. Helena usiadła na lodzie i przez chwilę rozglądała się bezradnie dookoła. Widziała pędzącą z dzikim wrzaskiem od strony pałacu w jej kierunku Lucynę, a za nią tłum pozostałych gości weselnych, z drugiej strony spostrzegła pełznących ku wielkiej dziurze w lodzie pasażerów pozostałych sań, którzy zdążyli wyskoczyć ze swoich pojazdów, ciągnionych teraz przez spłoszone konie, pędzące na oślep przez zamarznięte jezioro. Zrzuciła palto i wskoczyła do wody. W ułamku sekundy zabrakło jej tchu. Nie mogła złapać powietrza. Ciało przeszyło tysiące igieł. Członki odmówiły posłuszeństwa. Chciała ratować dziecko, tymczasem sama zaczęła tonąć. Zachłysnęła się wodą, raz i drugi, a potem poczuła, jak jakaś silna ręka łapie ją za włosy i ciągnie ku górze.

Krzyki rozpaczy, nawoływania, nic już nie mogło pomóc. Dzięki długiemu wężowi stworzonemu z trzymających się za nogi ludzi leżących na brzuchu udało się wyłowić z lodowatej wody jedynie Helenę i jej nieprzytomnego, wyziębionego męża. Reszta pasażerów pierwszych dwóch zaprzęgów weselnego kuligu spoczywała kilka metrów pod powierzchnią wody. Na wodzie unosiły się bukiety ślubnych kwiatów.

*

Bładoniebieskie światło zamontowanego na radiowozie

policyjnego koguta rzucało upiorne refleksy na zamarznęte jezioro i otaczającą je ścianę pozbawionych liści drzew. Targane wiatrem konary gięły się ku tafli lodu niczym szpony makabrycznych stworów. Po lodzie przepasany liną bezpieczeństwa krążył w asyście funkcjonariuszy MO wściekły prokurator. Sprawa, owszem, mogłaby być ciekawa. Mogła, ale nie była. Dziewięć trupów, a wszystko wskazywało na ludzką głupotę i w efekcie nieszczęśliwy wypadek. Do tego – prokurator rzucił nienawistne spojrzenie na zaparkowany obok radiowozu wóz strażacki – te pijane matoly – kiedy już wreszcie odebrały wezwanie i jakimś cudem, nie rozbijając się na drzewie, dotarły nad jezioro – pozacierały wszelkie ślady, a na koniec pozwoliły dziurze po zarwanym lodzie spokojnie zamarzać. Kiedy on pojawił się na miejscu, nie było już w zasadzie czego zabezpieczać. Najchętniej wszystkich ich by pozamykał i każdemu z osobna postawił zarzuty, ale straż była ochotnicza, a dziś święto, więc jak mieli się nie napić? Nurkowie mogli podjąć jakiegokolwiek czynności dopiero rano, więc prokurator wiedział, że ma przed sobą perspektywę siedzenia tu przez całą noc, a potem będzie musiał przyjechać jeszcze raz, z biegłymi. Ech, parszywa robota, pomyślał, patrząc na spisany przez milicjantów, stojący na brzegu tłum gapiów, z których jeszcze tej nocy kilkoro będzie zmuszony przesłuchać w charakterze świadków zdarzenia.

Z daleka postaciom krążącym po lodzie w blaskach bladoniebieskich snopów światła przyglądali się dwaj leżący na brzuchu zakopani w śniegu młodzi mężczyźni. Nie ruszyli się ze swojej kryjówki przez całą noc. Obserwowali, jak o świcie chodzący w długim płaszczu ktoś ważny, chyba najważniejszy, ważniejszy nawet od milicjantów w mundurach, zaczął krzyczeć i machać rękoma, a po chwili strażacy z Trójczyna biegiem zapakowali się do swojego wozu i odjechali. Na ich miejsce mniej więcej po godzinie przyjechał inny samochód, z którego wysiadło

czterech facetów. Pochodzili wokół dziury w lodzie, a potem przebrali się w dziwaczne stroje i dwóch z nich wskoczyło do wody. Wyciągali po kolei ciała i układali obok siebie w rzędzie na lodzie, a milicjanci okrywali je troskliwie białymi prześcieradłami, tak jakby to przykrycie miało ogrzać wystygłe zwłoki i przywrócić je do życia.

Poznawali ich po ubraniach. Matylda, dziadek, Michał, a zaraz dalej Jadwinia z Gienkiem, ciotka Irena i Adaśko, maleńka Sylwia, a gdy na lodzie jako ostatnia spoczęła tłusta Czeška, matka Wojtka, ten zaczął dygotać jak w febrze. Lesio obrócił się w jego stronę. Ściągnął mu czapkę z głowy i otwartą dłonią zaczął bić w potylicę.

– Widzisz, coś narobił? – Wskazał wściekły na taflę jeziora. – To przez ciebie.

Wojtek trząsał się jak osika i bezgłośnie płakał, usta zalewały mu smarki.

– Czego się trzęsiesz, gamoniu? – Lesio złapał kuzyna za kark i wcisnął jego twarz w śnieg. – Słuchaj mnie uważnie, skurwysynie i zapamiętaj sobie dokładnie, co powiem – wściekły wysyczał Wojtkowi do ucha. – Jeśli komukolwiek piśniesz choć słówko, to zanim ktokolwiek się zorientuje, zanim sąd wlepi ci czapę, ja cię znajdę, a wtedy będziesz żałował, żeś się urodził. Skończysz jak tamci, pod lodem. Albo nie, wymyślę coś lepszego, żebyś dłużej zdychał. Znajdę cię wszędzie, nie schowasz się. Zrozumiałeś? – Odpowiedział mu wydobywający się spod śniegu bełkot. Puścił kark kuzyna i spytał jeszcze raz: – Zrozumiałeś?

Wojtek szybko potaknął uwolnioną ze śniegu głową.

1 David Bowie, *Diamond Dogs* (cytat na tej stronie i dalej).

2 Halina Kunicka, *Orkiestry dęte*, sł. J.T. Stanisławski